

MISTRZOWIE  LITERATURY

# ROBERT PENN WARREN



# GUBERNATOR



REBIS

ROBERT PENN WARREN

# GUBERNATOR

Przełożył: Bronisław Zieliński



Dla Justine i Davida Mitchell Clay

# PRZEDMOWA

napisana z okazji pięćdziesiątej rocznicy pierwszego wydania  
*Gubernatora* w Stanach Zjednoczonych

Podczas kampanii prezydenckiej w 1996 roku na sam szczyt list bestsellerów wybiła się pewna powieść z kluczem. Nikt nie znał autora, za to klucz do powieści został błyskawicznie rozszyfrowany przez wszystkich, którzy pamiętali poprzednie wybory. Pierwowzorami bohaterów byli urzędujący prezydent, jego żona oraz liczne osoby zaangażowane w pełną skandali kampanię, w wyniku której objął urząd. W ciągu dwóch tygodni wydawca sprzedał ponad pół miliona egzemplarzy, a pewne studio zapłaciło ponad milion dolarów za prawa do filmu. Recenzent z niedzielnego wydania „New York Timesa” nazwał tę powieść mistrzowskim opisem rzeczywistości politycznej, „najlepszą rzeczą”, jaką kiedykolwiek czytał na temat tej sensacyjnej kampanii. I jednocześnie nadał autorowi książki miano „przebiegłego złodzieja”, tak zręcznego, że popełnione przestępstwo uszło mu na sucho. Literacki łup zidentyfikowano już w kilku wcześniejszych recenzjach: wszystko – „infrastruktura emocjonalna”, technika narracyjna, nawet rytm wypowiedzi narratora – zostało wzięte z *Gubernatora*.

Robert Penn Warren rozpoczął pracę nad pierwocinami swojej powieści prawie sześćdziesiąt lat przed wydaniem *Primary Colors* („Barwy pierwotne”). Poddana rozlicznym modyfikacjom, ukazała się w

ostatecznej wersji 19 września 1946 roku i także natychmiast nazwano ją powieścią z kluczem, przy czym tutaj kluczem było życie jednego z najbardziej osławionych demagogów amerykańskich: krótko przedtem zabitego senatora Hueya P. Longa. Long przez cztery lata władał Luizjaną jako gubernator, utrwalając swoje wpływy w tym stanie, zanim wkroczył na scenę ogólnonarodową w Waszyngtonie, a jego kariera dostarczyła osnowy powieściom Hamiltona Basso, Johna Dos Passosa oraz Adria Locke Langley na długo przed wydaniem *Gubernatora*. Pytany o jakiegokolwiek zobowiązania, Warren zwykł odpowiadać jedynie, że gdyby nie udał się do Luizjany, by tam uczyć, „ta powieść nigdy nie zostałaby napisana”. Nie jest to jednak stwierdzenie, które by wszystko wyjaśniało. To sama Luizjana stworzyła, twierdził, sposób myślenia i odczuwania pomocny w kreowaniu fikcji literackiej.

W wyniku innej powierzchownej oceny *Gubernator* został opatrzony etykietką powieści politycznej, który to stary i skądinąd szlachetny gatunek zawiera dzieła tak zróżnicowane, jak *Nostromo* Josepha Conrada, *Biesy* Fiodora Dostojewskiego oraz *It Can't Happen Here* („To się tu nie może zdarzyć”) Sinclaira Lewisa. Z tą jednak oceną Warren się nie zgadzał. Polityka, jak twierdził, dostarczyła mu jedynie oprawy dla akcji powieści zawierającej głębsze treści, a przede wszystkim temat władzy sportretowanej w człowieku, który myli cele ze środkami i ostatecznie umiera na swoim kapitolu tak samo jak Huey Long i Juliusz Cezar. Dodatkowego źródła natchnienia dostarczyła mu historia współczesna.

Pod koniec lata 1939 roku, na długo przed rozpoczęciem tej powieści, Warren znalazł się we Włoszech na stypendium Guggenheima; oficjalnie pracował tam nad kolejną powieścią z akcją osadzoną w Kentucky, ale w rzeczywistości spędzał większość czasu nad tematem władzy, który pierwotnie przedstawił w pisanym wierszem dramacie *Proud Flesh* (w jęz. ang. *proud* znaczy „dumny”, *flesh* – „ciało”, a takie złożenie

tłumaczy się jako „dzikie mięso”, który to termin dosłownie oznacza tkankę narastającą w wyniku rany lub infekcji, metaforycznie zaś może oznaczać korupcję i jednocześnie dumę). Warren pracował nad sztuką, czytał Dantego i wraz z żoną słuchał sprawozdań radiowych na temat inwazji Niemiec na Polskę, a potem przystąpienia Anglii i Francji do wojny. Na początku następnego roku opublikował wiersz zatytułowany *Terror*. Źródłem jego inspiracji były nagłówki gazet mówiące o walkach, które toczyły się od Hiszpanii po Finlandię, i dźwięczące echem tupotu faszystowskiego buta na bruku Rzymu i Berlina. Warren zwykł potem mawiać, że ambicje polityków pokroju Ciano, von Ribbentropa oraz ich panów we Włoszech i Niemczech spotyka się w prowincjonalnym świecie, jakim była Luizjana Hueya Longa. Pisarz miał jednakże dodać coś specyficznie amerykańskiego do powieści, która powstała na kanwie *Proud Flesh*, a mianowicie pragmatyzm zaczerpnięty z myśli Williama Jamesa. Jego wyznawca – jak Huey Long, gubernator południowego stanu – zwykł podejmować takie działania, które przynoszą określone rezultaty, przekonany, że człowiek powinien kierować się przede wszystkim skutecznością, a jego postępowanie winno się opierać nie na moralności, lecz na potrzebie tworzenia dobra, w razie konieczności nawet ze zła.

Przez następne dwa lata Warren nadal pracował nad *Proud Flesh*, dokonując w tej sztuce rozlicznych przeróbek; ujął wiele z zawartej w niej satyry na społeczeństwo w szerokim przekroju i zredukował liczbę wersów, zachował jednakże głównych bohaterów: gubernatora Stronga, polityków i wpływowych ludzi z jego otoczenia, lekarza idealistę oraz jego siostrę. W połowie wiosny 1941 roku, po otrzymaniu znacznej pomocy ze strony Francisca Fergussona, wykładowcy dramatu i krytyka teatralnego, Warren miał nadzieję, iż może poddać już swoją sztukę próbie inscenizacji, jednak Fergusson orzekł, iż jego zdaniem nie jest ona jeszcze gotowa. „Może masz rację”, odparł Warren, po czym dodał: „Odkładam

ją na półkę, a jutro rano zaczynam ją pisać na nowo w formie powieści”.

Podczas następnych trzech lat dokonał dużych zmian, by zaadaptować swój materiał do nowego gatunku. Gubernator Strong przeobraził się najpierw w gubernatora Talosa, a ostatecznie w Williego Starka, natomiast chóry, które komentowały akcję w sztuce, zostały w powieści zastąpione przez narratora Jacka Burdena, który w *Proud Flesh* pojawia się jedynie w krótkim epizodzie na samym końcu. Były dziennikarz Jack został obsadzony w roli pracownika i alter ego Williego Starka, przy czym, jak wspominał Warren, w miarę jak jego udział w narracji nabierał znaczenia, jego reakcja na historię Starka stawała się ważniejsza od głównego wątku. Warren, który chciał uczynić z Jacka kogoś więcej niż zwykłego narratora, stwierdził, że musi tę postać uwikłać w nadrzędne dla powieści problemy grzechu, winy i ekspiacji. Osiągnął to poprzez włączenie do przeszłości Jacka nie dokończony rozprawy doktorskiej na temat jego wuja Cassa Masterna, który z rozmysłem dał się śmiertelnie ranić podczas wojny secesyjnej po to, by odkupić popełnione cudzołóstwo. Opowieść ta, którą William Faulkner uznał za najlepszą część *Gubernatora*, symbolizuje porażki i idealizm Jacka, a także jego niezdolność do zmierzenia się z problemami moralnymi. Warren, który pragnął nie tylko nadać swej skomplikowanej powieści odpowiednią strukturę, lecz również adekwatnie wyjaśnić zawarte w niej kwestie filozoficzne, dokonał szczegółowej analizy problemu wyborów – problemu, który występuje zarówno w życiu jednostki, jak i w polityce – ilustrując go serią kontrastów. Tak jak Willie Stark jest człowiekiem czynu, tak Adam Stanton, lekarz, jest człowiekiem idei. Z kolei nieudolny Ellis Stanton, domniemany ojciec Jacka, stanowi kontrast dla energicznego sędziego Irwina, przybranego ojca Jacka, który, jak się okaże, jest również jego prawdziwym ojcem.

Inną techniką, do jakiej uciekł się Warren przy przetwarzaniu swojego materiału na powieść, była paralela. Jack opowiada czytelnikowi, że historia Williego Starka to również historia Jacka Burdena. Willie, niegdyś naiwny, młody idealista, który gardłował przeciwko korupcji politycznej, staje się cynicznym pragmatykiem uciekającym się do wszystkich środków, byle tylko osiągnąć swoje cele: sprawiedliwość dla biednych i pozbawionych przywilejów, którzy padają ofiarą bogatych i kupionych przez nich polityków. Jack przechodzi taki sam proces: idealizm, rozczarowanie, przystosowanie. Konstruuje filozofię uniewinniania się, porównując ludzkie zachowanie do mięśnia, który odruchowo reaguje na bodziec nerwowy, i odrzucając wszelkie działanie na gruncie, który nieuchronnie wiedzie do tragicznych konsekwencji; uważa, że życie to pułapka, którą należy omijać, żeby do niej nie wpaść. Oportunizm doprowadza do upadku Williego, za to jego jedenastogodzinny akt skruchy brukuje mu drogę do śmierci, a także odkupieńczych aktów Jacka. Kiedy Jack wyciąga się ostatecznie z tego bagna moralnego, które kazało mu pozostawić sumienie za drzwiami, kiedy zatrudnił się u Williego, uznaje swoje zobowiązania wobec Anny, swojej matki oraz samego siebie, tym samym ostatecznie przejmując pełną odpowiedzialność za własne postępowanie.

Te nadzwyczaj wysublimowane pojęcia abstrakcyjne – odpowiedzialność, idealizm, prawda – które pierwotnie znalazły swój wyraz w sztuce, w powieści zostają uprzedmiotowione za sprawą języka ubogaconego figurami stylistycznymi. Jedną z głównych metafor jest upadek. Podobnie jak Humpty-Dumpty, każdy z głównych bohaterów doświadcza jakiegoś typu upadku. Nawet postacie marginalne, takie jak artysta cyrkowy, który skręca sobie kark podczas skoku, dodatkowo zasilają ten trop. Warren nie był człowiekiem religijnym w konwencjonalny sposób, a jednak wierzył w pojęcie grzechu pierwotnego i wszystkie jego



postaci są nim skażone. Skażone, a jednocześnie zdolne do odkupienia, co Warren podkreśla w motcie wybranym z „Czyścica” *Boskiej Komедii* Dantego: „Lecz się nie mrozi kłątą Prakochanie / Do tyła, aby wesprzeć mię nie miało, i Póki źdźbło bodaj nadziei ostanie”. Willie ostatecznie dąży do odkupienia, podobnie jak Jack, który snuje rozważania nad mechanizmami, jakimi rządzi się polityka, i przygotowuje się, by razem z Anną przejść w „straszliwą odpowiedzialność Czasu”.

19 września 1946 roku wydano *Gubernatora* w piętnastu tysiącach egzemplarzy z notką Sinclaira Lewisa, który uznał Warrena za „prawdopodobnie najbardziej utalentowanego pisarza Południa”. Krytykowano tę powieść za dosadny język i doszukiwano się w niej melodramatycznych treści, a jednak większość recenzentów wychwalała ją i w ciągu trzydziestu lat od jej pierwszego wydania została opublikowana w trzech milionach egzemplarzy w dwudziestu różnych językach. Ten egzemplarz, wydany z okazji pięćdziesiątej rocznicy pierwszej edycji, będzie zapewne należał do kolejnych, nieprzeliczonych milionów.

Jaki zatem możemy wyciągnąć wniosek na tym etapie życia powieści? Jej pierwotne zaszeregowanie jako kolejnej powieści z kluczem, której tematem jest przemoc, traciło moc w miarę upływu lat, które zdystansowały ją od postaci Hueya Longa, zwłaszcza że okazało się, iż przemoc w domenie prywatnej i publicznej – globalnej – w tym stuleciu ma wymiar bardziej realistyczny niżli melodramatyczny. Gdyby ją oceniać jako powieść polityczną, to jest ona z pewnością dziełem wybitnym w prozie amerykańskiej i dorównuje najlepszym w prozie światowej. Warren nadał Williamu przydomek „Talos” (po brutalnym i bezlitosnym słudze Księcia Sprawiedliwości w *Królowej wieszczek* Edmunda Spensera), zapewne w przekonaniu, że jego dzieło stanowi potencjalny instrument oddziaływania politycznego. Willie miał reprezentować ten rodzaj losu, na jaki może narazić demokracja. Niemniej jednak *Gubernator* to coś więcej niż

zwykle ostrzeżenie przed totalitaryzmem, dzieło to wspiera się bowiem na niezłomnych zasadach moralnych i zawiera implikacje filozoficzne. Środki mogą splugawić cele niezależnie od wszelkich motywacji idealistycznych, a unikanie odpowiedzialności może się okazać zgubne w skutkach. Czyny jednostki są zawsze obciążone konsekwencjami.

*Gubernator*, jako dzieło funkcjonujące na pograniczu sztuki, historii i socjologii, które ponadto łączy powieściową akcję z wrażliwością poezji, zawiera treści wykraczające poza nasze stulecie i wszelkie arbitralne klasyfikacje polityczne. Postrzegane jako model, na którym oparł się autor najgłośniejszego bestsellera tego roku, wydaje się zdolne do pełnienia takiej samej funkcji wobec powieści, które dopiero zostaną napisane. Jest także najlepiej pamiętaną powieścią z ponad czterdziestu opublikowanych przez tego wybitnego pisarza, zdobywcę głównych nagród w dziedzinie poezji i prozy oraz pierwszego tytułu Poety Laureata Stanów Zjednoczonych. *Gubernator*, dzięki sile narracji, zróżnicowaniu stylistycznemu, dzięki wizji realistycznego i nadzwyczaj złożonego świata, pozostanie zapewne jedną z najważniejszych powieści literatury amerykańskiej.

Joseph Blotner  
kwiecień 1996

*Mentre che la speranza ha flor del verde.*

Dante, *Boska Komedia*, Czyściec, III

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## *Mason City*

Do tego miasta jedzie się drogą numer 58, która wybiega w kierunku północno-wschodnim ze stolicy stanu i jest szosą dobrą i nową. A raczej była nowa wtedy, gdy nią jechaliśmy. Patrzysz po szosie, a ona, prosta na całe mile, sunie ku tobie, z wciąż napływającym czarnym pasem pośrodku – czarnym, gładkim i lśniącem smoliście na tle bieli betonowych płyt – i blask odbija się od białej nawierzchni, tak że tylko ten czarny pas jest wyraźny i sunie ku tobie z sykiem opon, i jeżeli nie przestaniesz się w niego wpatrywać, nie odetchniesz kilka razy głęboko i nie trzepniesz się mocno po karku, zahipnotyzujesz się i ockniesz dopiero w chwili, gdy prawe przednie koło wyskoczy ci na czarne, ziemne obwałowanie za krawężnią betonu, i wtedy spróbujesz szarpnąć wóz z powrotem na szosę, ale nie zdołasz, bo płyty są wysokie jak krawężnik, więc może jeszcze tylko sięgniesz ręką, żeby wyłączyć zapłon, kiedy wóz będzie walił się w dół. Ale już ci się nie uda, rzecz jasna. A potem jakiś Murzyn, okopujący bawełnę o milę od tego miejsca, podniesie głowę, zobaczy mały słup czarnego dymu wstający nad zjadliwą, arsenikową zielenią krzaków bawełny na tle gwałtownego, metalicznego, pulsującego szafiru nieba i powie: „Panie Boże, jeszcze jeden się roztrząś!” A drugi Murzyn, na sąsiednim zagonie, powie: „Panie Boże!” Pierwszy zachichocze, motyka podniesie się znowu i ostrze jej błysnie w słońcu jak heliograf. W kilka dni potem ludzie z wydziału drogowego naznaczą to miejsce niewielkim metalowym kwadratem na metalowym drążku zatkniętym w czarną ziemię na stoku, a ten metalowy kwadrat będzie pomalowany na białą, z

czarną czaszką i skrzyżowanymi puszczelami. Później oplecie go powój wyrastający spomiędzy chwastów.

Natomiast jeżeli ockniesz się w porę i koło ci nie zeskoczy z betonu, będziesz dalej gnał w słoneczny blask, z którego od czasu do czasu nadjedzie prosto ku tobie jakiś samochód i minie cię z takim łomotem, jak gdyby sam Bóg Wszchemogący zrywał blaszany dach gołymi rękami. Daleko przed tobą, na horyzoncie, wśród pól bawełny mających niewyraźnie pod słońce, beton polśniewa i błyszczący niby woda, jak gdyby szosa była zalana. Pędzisz ku temu miejscu, ale ów błyszczący, zalany punkt wciąż jest daleko przed tobą, jak miraż. Przejżdżasz obok umocowanych na drążkach białych metalowych kwadracików z czaszkami i puszczelami, wyznaczających te miejsca. Jest to bowiem kraj, w którym objawił się w pełni wiek silnika spalinowego. W którym każdy chłopak jest Barneyem Oldfieldem, a dziewczyny chodzą w organdynach, batystach, koronkowych haftach i bez majtek ze względu na klimat i mają tak gładkie buzie, że człowiekowi mało serce nie pęknie, a kiedy pęd powietrza w samochodzie unosi im włosy na skroniach, widzisz osadzone tam miłe kropelki potu; dziewczyny są wtulone głęboko w siedzenie wozu, drobne plecy mają przygarbione, kolana podciągnięte wysoko pod deskę rozdzielczą i nieco rozchylone dla chłodu – jeżeli można to tak nazwać – dolatującego z nawiewu powietrza. Jest to kraj, gdzie zapach benzyny, rozgrzanych okładzin hamulcowych i whisky jest słodszy od mirry. Gdzie ośmiocyldrowe maszyny z rykiem wylatują zza zakrętów między czerwonymi wzgórzami, bryzgając żwirem jak wodą, a kiedy się dostaną na równinę i wpadną na nowy beton, Boże, zmiłuj się nad żeglarzem!

Dalej wzdłuż szosy numer 58 kraj się zmienia. Nie ma już równiny i wielkich pól bawełny ani gaju dębów wirginijskich wokoło wielkiego dworu, ani bielonych chat, wszystkich jednakich, stojących rzędem przy

polach bawełny sięgającej aż pod próg, na którym siedzi mały Murzynek niby czarna kukielka, ssie palec i patrzy na przejeżdżające auto. To wszystko zostało już w tyle. Teraz są dookoła czerwone, niewysokie wzgórza z krzakami jeżyn wzdłuż płotów i dąbrowami w kotlinach, a tu i ówdzie widać miejsca, gdzie rosną gęsto zagajniki sosnowe, jeżeli nie wypalono ich na pastwiska dla owiec, a jeśli je wypalono, sterczą tam czarne pieńki. Poletka bawełny czepiają się stoków wzgórz, pocięte wypłukanymi żlebami. Liście kukurydzy zwisają sztywno, poznaczone żółtymi plamami.

Dawno temu były tu lasy sosnowe, ale już ich nie ma. Zjechali się różni dranie, postawili tartaki, położyli szyny kolejki wąskotorowej, sklecili kantyny i płacili dolara dziennie, a ludzie wyroili się z gąszczów po tego dolara i nadciągali Bóg wie skąd, na wozach obładowanych komodą i łóżkiem, z pięciorgiem dzieciaków stłoczonych z tyłu i matką w czepcu na głowie, z prymką tytoniu w ustach i najmłodszym uwieszonym u piersi. Piły śpiewały sopranem, kierownik kantyny wydawał melasę i soloną wieprzowinę i zapisywał to w swojej księdze, a dolar jankeski i konfederacka milkliwość sprzymierzały się w leczeniu ran powstałych po czterech latach bratobójczej walki i wszystko było pogodne jak dzwony weselne. Aż nagle zniknęły sosny. Rozmontowano tartaki. Szyny kolejki wąskotorowej pokryła trawa. Ludziska porozbierali kantyny na opał. Nie było już dolara dziennie. Odjechały grube ryby z brylantami na palcach i sajetami na grzbietach. Ale wielu ludzi zostało i patrzyło, jak żleby wrzynają się coraz głębiej w czerwoną glinę. I spora garść tych ludzi oraz ich potomków i domowników została w Mason City, w liczbie mniej więcej czterech tysięcy.

Wjeżdża się tam drogą numer 58, mija odziarnię bawełny, elektrownię i rząd murzyńskich chat i podskoczywszy na torach kolejowych, jedzie ulicą, przy której stoją domki niegdyś pomalowane

na białe, ze smętą, pretensjonalną koronką ozdóbek wokoło okapów werand i blaszanymi dachami; liście drzew w ogródkach zwisają w upale, a poprzez wytworny szepet waszej osiemdziesięciokonnej górnozaworowej (czy jak tam się to nazywa) maszyny, zwalniającej do czterdziestu mil na godzinę, słyszycie lipcowe muchy bzykające wśród zieleni.

Tak to wyglądało, kiedy po raz ostatni widziałem Mason City, prawie trzy lata temu, w lecie tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Jechałem w pierwszym samochodzie, cadillacu, z Szefem, panem Duffym, żoną i synem Szefa, i Cukierkiem. W drugim wozie, któremu wprawdzie brak było spokojnej wytworności naszego, mającego coś ze skrzyżowania karawanu z liniowcem oceanicznym, ale za który też nie trzeba by się rumienić ze wstydu na parkingu jakiegoś country clubu, siedziało kilku reporterów, fotograf i Sadie Burke, sekretarka Szefa, która miała dopilnować, żeby reporterzy dojechali na tyle trzeźwi, aby móc wykonać to, co mieli do wykonania.

Cadillaca prowadził Cukierek i przyjemnie było go obserwować. Albo raczej byłoby przyjemnie, gdyby się potrafiło oderwać imaginację od obrazu, jaki przedstawiają bez mała dwie tony kosztownego mechanizmu, kiedy przekoziółkują trzy razy przy osiemdziesięciu milach na godzinę, i gdyby mogło się poświęcić całą uwagę popisowi współgrania mięśni, szatańskiego humoru i błyskawicznej orientacji, jakie wykazywał Cukierek, kiedy wymijał błyskawicznie furę z sianem, mając na wprost nadjeżdżającą cysternę z benzyną, i wyrywał przez szybko malejącą lukę tak karkołomnie, iż jednym tylnym błotnikiem mógł przyprawić kierowcę cysterny o atak serca, a drugim otrzeć mułowi smark z nosa. Ale Szef to uwielbiał. Zawsze siedział z przodu obok Cukierka, patrzył na szybkościomierz i szosę i uśmiechał się do Cukierka, kiedy przemykali między nosem muła a cysterną z benzyną. Wtedy głowa Cukierka podrygiwała jak zawsze, gdy słowa w nim wzbierały, nie mogąc wydostać

się na zewnątrz, aż wreszcie zaczynał. „D-d-d-d” – udawało mu się wykrztusić, a z ust pryskała mu ślina niczym z rozpylacza. – „D-d-d-d-drań widział, ż-że j-j-j- – tu opryskiwał całą wewnętrzną stronę przedniej szyby – j-j-ja-dę”. Cukierek nie potrafił dobrze mówić, ale umiał się wypowiadać, naciskając nogą pedał gazu. Nie wygrałby konkursu dyskusyjnego w gimnazjum, ale też nikt nie miałby ochoty dyskutować z Cukiernikiem. Przynajmniej nie ten, kto go znał i widział, jakie sztuki wyprawia ze swoim rewolwerem kaliber .38, model Special, który tkwił mu pod lewą pachą jak guz.

Niewątpliwie, sądząc po przezwisku, wzięliście Cukierka za Murzyna. Otóż nie. Był Irlandczykiem skromnego pochodzenia. Miał wzrostu około pięciu stóp i dwóch cali, zaczynał już łysieć, chociaż nie liczył sobie więcej jak dwadzieścia siedem-osiem lat, nosił czerwone krawaty, pod krawatem zaś i koszulą papistowski medalik na łańcuszku, a ja zawsze miałem w Bogu nadzieję, że ten medalik jest ze świętym Krzysztofem i że święty Krzysztof działa. Nazywał się O’Sheean, ale przezywano go Cukierek, ponieważ stale jadł cukier. Ilekroć zaszedł do restauracji, zabierał wszystkie kostki z cukierniczki. Chodził z kieszeniami wypchanymi kostkami cukru i kiedy wyjmował jedną z nich, żeby wsadzić sobie do ust, widać było przylepione do niej szare paprochy, jakie zawsze ma się w kieszeni, i drobiny tytoniu z papierosów. Wpuszczał kostkę do ust ponad przegrodą krzywych, szerniałych, małych zębów, po czym jego chude, drobne, dziwaczne irlandzkie policzki zapadały się, kiedy ją ssał, i wyglądał wtedy jak niedożywiony kobold.

Szef siedział z przodu obok Cukierka, obserwując szybkościomierz, mając przy sobie Toma, swojego syna. Tom był wtedy osiemnasto- czy dziewiętnastolatkiem – już nie pamiętam – lecz wyglądał na więcej. Nie był wysoki, ale zbudowany jak mężczyzna, z głową osadzoną na ramionach po męsku, nie tak jakoś cherlawo i ptasio jak u młodych

chłopców. W szkole był asem futbolu, a ostatniej jesieni okazał się gwiazdą drużyny pierwszego roku na uniwersytecie. Jego nazwisko dostało się do gazet, bo był naprawdę dobry. Wiedział, że jest dobry. Wiedział, że jest pierwszorzędny, co można było wyczuć po jednym rzucie oka na jego gładką, przystojną, opaloną twarz, której szczęka poruszała się z wolna, nonszalancko, żując kawałek gumy, a niebieskie oczy pod na wpół przymkniętymi powiekami taksowały powoli i zuchwale ciebie i cały ten cholerny świat. Ale owego dnia, kiedy siedział z przodu obok Williego Starka, czyli Szefa, nie widziałem jego twarzy. Pamiętam, iż przeleciało mi przez myśl, że jego głowa kształtem i sposobem osadzenia na ramionach zupełnie przypomina głowę ojca.

Pani Stark – Lucy Stark, żona Szefa – Tiny Duffy i ja siedzieliśmy z tyłu – Lucy Stark między Tinym a mną. Nie było to specjalnie wesołe grono. Po pierwsze, temperatura nie sprzyjała pogawędkom. Po wtóre, ja wciąż tylko wypatrywałem fur siana i cystern z benzyną. Po trzecie, Duffy i Lucy Stark nigdy nie byli w szczególnej przyjaźni. Lucy siedziała więc między nim a mną, zajęta własnymi myślami. Przypuszczam, że miała dużo do myślenia. Przed wszystkim mogła rozmyślać o tym, co się zdarzyło od czasu, gdy była młodą nauczycielką w szkole w Mason City i wyszła za rumianego, czerwono-karkiego chłopaka ze wsi, o wielkich, powolnych rękach i kędziorze ciemnych włosów opadającym na czoło (co można zobaczyć na ślubnym zdjęciu, które było w gazetach razem z tysiącem innych zdjęć Williego) oraz oczach pełnych psiego oddania i podziwu, kiedy na nią spoglądał. Mogła rozmyślać o wielu rzeczach, siedząc w pędzącym cadillacu, bo wiele się od tamtych czasów zmieniło.

Przejechaliśmy ulicą, przy której stały te małe, niegdyś białe domki, i znaleźliśmy się na placu. Było to sobotnie popołudnie i na placu kręciło się pełno ludzi. Wozy i auta zaparkowano gęsto dookoła trawiastego skweru, w którego środku stał budynek sądu – pudło z czerwonej cegły



– dosyć odrapany i wymagający odmalowania, bo zbudowano go jeszcze przed wojną domową, i mający wieżyczkę z zegarami ze wszystkich stron. Przy bliższych oględzinach stwierdziło się, że te zegary nie są prawdziwe. Były po prostu namalowane i wszystkie wskazywały piątą, a nie ósmą siedemnaście, jak dawniej te wszystkie malowane zegarki nad trzeciorzędnymi sklepami jubilerskimi. Zwolniliśmy, natknąwszy się na ciżbę ludzi, którzy zjechali tu pohandlować, a Cukierek wparł rękę w klakson, głowa mu zadrgała, powiedział: „D-d-d-dra-nie” – i prysnął śliną.

Zatrzymaliśmy się przed drugstore'em. Wysiadł Tom, a potem Szeff, zanim Cukierek zdążył obejść wóz naokoło i otworzyć mu drzwiczki. Wylazłem i ja i pomogłem wysiąść Lucy Stark, która na tyle wychnęła z głębin spiekoty i zamyślenia, że powiedziała mi: „Dziękuję”. Przez chwilę stała na chodniku, obciążając suknię na biodrach, które były teraz zapewne nieco bardziej rozłożyste niż wówczas, gdy podbiła serce Williego Starka, chłopaka ze wsi.

Pan Duffy wynurzył się ciężko z cadillaca i wszyscy weszliśmy do drugstore'u, przy czym Szeff przytrzymał drzwi żonie, następnie wszedł sam, a my wszyscy za nim. W środku było dużo ludzi – stojących przy barze mężczyzn w drelichach, kobiet stłoczonych dookoła kontuarów, gdzie leżały różne drobiazgi, i wreszcie dzieci, które czepiały się ich spódnic jedną ręką, a w drugiej trzymały różki z lodami i sponad wilgotnych nosków przypatrywały się temu tłumowi oczami przypominającymi malowane gałki z porcelany. Szeff stanął skromnie za ciżbą klientów przy barze, z kapeluszem w ręku i wilgotnymi włosami opadającymi na czoło. Stał tak może z minutę, aż nagle jedna z dziewczyn nakładających lody zauważyła go, zrobiła taką minę, jakby jej trzasnął w kościele pasek do pończoch, upuściła chochelkę do lodów i pobiegła na zaplecze sklepu, kołysząc gwałtownie biodrami pod sałatowozieloną sukienką.

W sekundę później mały, łysy człowieczek w białym kitlu, który powinien był dawno znaleźć się w praniu, wypadł z głębi sklepu i dał nurka w tłum, machając ręką, roztrącając klientów i krzycząc: „To Willie!” Podbiegł do Szefa, Szef postąpił kilka kroków ku niemu, a wtedy ten w białym kitlu złapał go za rękę, jak gdyby tonął. Nie uściśnął mu dłoni, przynajmniej nie tak, jak się to normalnie robi. Uwiesił się na niej, drżał cały i bełkotał święte sylaby: „Willie”. A potem, kiedy atak minął, obrócił się do ciżby, która patrząc na nich, uprzejmie odsunęła się półkolem na pewien dystans, i obwieścił:

– Na Boga, ludzie, to Willie!

Uwaga ta była zbyteczna. Jeden rzut oka na twarze zebranych wokoło i już się widziało, iż jeżeli któryś z obywateli w wieku powyżej lat trzech nie wie, że ten krępy człowiek, który tam stoi w letnim garniturze, jest Williem Starkiem, to ów obywatel musi być półgłówkiem. Przede wszystkim wystarczyłoby mu podnieść oczy na ogromną fotografię zawieszoną wysoko nad barem, fotografię mniej więcej sześciokrotnej naturalnej wielkości, na której widniała ta sama twarz, te duże oczy mające na zdjęciu lekki wyraz senności i skupienia (oczy człowieka w letnim garniturze nie miały teraz tego wyrazu, ale go w nich widywałem), worki pod oczami, policzki zaczynające już obwisać i mięsiste wargi, które nie obwisły, ale jeżeli ktoś lepiej im się przyjrzał, były dociśnięte jak dwie cegły, wreszcie kędziór opadający na niezbyt wysokie, kwadratowe czoło. Pod fotografią był napis: „Moje studia to serce ludu”. W cudzysłowie, z podpisem: „Willie Stark”. Fotografię tę widywałem w tysiącach miejsc, od sal bilardowych do pałaców.

Ktoś z głębi tłumu krzyknął: „Sie masz, Willie!” Szef podniósł rękę i pomachał nią w odpowiedzi nieznanemu wielbicielowi. Potem u drugiego końca baru wypatrzył wysokiego, cienkokościstego, malarycznego faceta, który miał twarz koloru suszonej skóry zwierzęcej, obwisłe wąsy jak na

fotografiach kawalerzystów generała Forresta i ubrany był w dżinsy. Szef ruszył ku niemu i wyciągnął rękę. Skórzana Twarz nie postąpił naprzód. Może tylko zaszurał po płytkach podłogi swoim splekanym buciorem i jabłko Adama drgnęło mu parę razy, a z twarzy, przypominającej stare siodło pozostawione na słońcu i deszczu, spojrzały czujne oczy, ale kiedy Szef podszedł bliżej, ręka Skórzanej Twarzy podniosła się od łokcia, jakby nie należała do niego i działała samorzutnie. Szef chwycił ją.

– Jak ci się wiedzie, Malachiaszu? – zapytał.

Jabłko Adama poruszyło się kilkakrotnie, Szef uściśnął zawieszoną w powietrzu, jakby bezpańską dłoń, a Skórzana Twarz odpowiedział:

– Gospadaruje sie.

– Jak twój chłopak? – zapytał Szef.

– Nie najlepiej – odparł tamten.

– Chory?

– Nie – odrzekł Skórzana Twarz. – W kreminalu.

– Boże drogi – powiedział Szef. – Cóż oni tu wyprawiają, żeby porządnych chłopców wsadzać do więzienia!

– On jest porzundny – przyznał Skórzana Twarz. – Biły sie przepisowo, tyle że pecha miał.

– Co?

– Wszystko było przepisowo, ale miał ciut pecha. Dźgnął tego gościa, a ón wykitował.

– Ostry chłopak – rzekł Szef. – Już go sądzili?

– Nie jeszcze.

– Ostry chłopak – powtórzył Szef.

– Ja nie narzekam – powiedział Skórzana Twarz. – Wszystko było przepisowo.

– Cieszę się, że cię widzę – rzekł Szef. – Powiedz swojemu chłopcu, żeby się trzymał.

– On tyż nie narzeka – oświadczył Skórzana Twarz.

Szef już chciał obrócić się do nas, którzyśmy po przejechaniu stu mil w upale wpatrywali się w aparat do rozlewania napojów jak w miraż, ale Skórzana Twarz powiedział:

– Willie...

– No? – spytał Szef.

– Tyn twój łobraz. – Targnął głową w stronę sześciokrotnie powiększonej fotografii. – Nieładnieś na nim wyszedł, Willie.

– Nie, psiakrew – odrzekł Szef i przypatrzył się fotografii, przekrzywiając głowę i mrużąc oczy. – Ale bardzo byłem wtedy zmarniały, kiedy go robili. Zupełnie jakbym miał cholereę. Jak człowiek musi wtłoczyć trochę rozumu w tę naszą legislaturę, to potem czuje się niczym po biegunce.

– Idź tam i rozpedź ich, Willie! – ryknął ktoś z głębi tłumu, który teraz gęstniał, bo ludzie wpychali się z ulicy.

– Rozpedzę ich – odparł Willie i obrócił się do małego człowieczka w białym kitlu. – Na miłość boską, dajże nam coca-coli, doktorku – powiedział.

Wydawało się, że doktorek dostanie ataku serca, pędząc na drugą stronę lady. Poły kitla powiewały za nim w powietrzu, kiedy skręcał za ladę i zaczynał przepychać się między dziewczynami w sałatowozielonych sukienkach, żeby osobiście napełnić szklanki. Najpierw nalał do jednej i podsunął Szefowi, który podał ją żonie. Potem zaczął nalewać do drugiej, powtarzając: „Na koszt firmy, Willie, na koszt firmy”. Szef wziął tę szklankę, a doktorek nalewał dalej, wciąż mówiąc: „Na koszt firmy, Willie, na koszt firmy”. Nalewał tak, aż nalał o pięć za dużo.

Tymczasem ludzie stali już zwartym tłumem za drzwiami aż po środek ulicy. Przyciskali twarze do siatkowych drzwi podobnie jak ktoś próbujący zajrzeć przez szybę do ciemnego pokoju. Na dworze wrzeszczano:

– Mowa, Willie, mowa!

– Boże kochany – powiedział Szeff w stronę doktora, który uczeplił się niklowego kurka aparatu i obserwował każdą kroplę coca-coli spływającą do gardła Szeffa. – Boże kochany, ja tu nie przyjechałem wygłaszać mów. Przyjechałem, żeby zobaczyć się z moim ojczulkiem.

– Mowa, Willie, mowa! – ryczeli na dworze.

Szeff postawił swoją szklankę na marmurowym blacie.

– Na koszt firmy – wyjąkał chrypliwie doktor resztkami sił, jakie mu zostały po ekstazie.

– Dziękuję, doktoru. – Szeff zawrócił do drzwi, po czym się obejrzał.

– Chyba teraz stań za kontuarem i sprzedaj kupę aspiryn, żeby nadrobić tę dobroczynność.

Następnie wyszedł na dwór, my za nim, a tłum się rozstał.

Pan Duffy dogonił Szeffa i zapytał, czy będzie przemawiał, ale Szeff nawet na niego nie spojrział. Szedł powoli prosto przed siebie, na drugą stronę ulicy, przez tłum, tak jakby tłum nie było. Czerwone, podłużne twarze z oczami spoglądającymi bacznie, niczym dziwie, płochliwe i czujne zwierzęta w gęstwinie, cofały się w zupełnym milczeniu. Tłum, kłębiąc się, odpływał mu z drogi, a my szliśmy jego szlakiem, ci wszyscy, co byli w cadillacu i w drugim wozie. Potem tłum zaniknął się za nami.

Szeff wciąż szedł przed siebie, z głową trochę pochyloną, jak człowiek, który przechadza się samotnie w zamyśleniu. Włosy opadły mu na czoło, bo kapelusz niósł w ręce. Wiedziałem, że mu opadły, ponieważ zauważyłem, że parę razy podrzucił szybko głowę – co robił zawsze, kiedy przechadzał się samotnie, a włosy spadały mu na oczy – ruchem podobnym do tego, który robi najedzony koń, gdy mu założą wędzidło.

Szedł prosto przez ulicę i skrawek trawnika, kierując się na schody gmachu sądu. Nikt za nim na nie nie wstąpił. Na górze obrócił się z wolną twarzą do tłumy. Popatrzył na ludzi, przymrużając trochę swe

duże oczy, jakby właśnie wyszedł z ciemnego hallu sądu i mrugał, żeby oczy przywykły mu do światła. Stał więc, mrugając, z włosami na czole i ciemnymi plamami potu pod pachami letniej marynarki. Potem targnął głową, jego oczy nagle rozwarły się szeroko, choć światło padało mu prosto w twarz, i pojawił się w nich błysk.

Zaraz się zacznie, pomyślałem.

Widywałeś te oczy rozwierające się raptownie, jakby coś się w nim stało, a potem ten błysk. Wiedziałeś, że coś się z nim dzieje, i myślałeś: Zaraz się zacznie. Zawsze tak było. Najpierw to rozwarcie oczu i błysk, a potem czułeś zimny ucisk głęboko w dołku, jak gdyby czyjaś zimna ręka w zimnej gumowej rękawicy uchwyciła coś w owym mroku, który jest tobą. Przypominało to chwilę, kiedy wracasz do domu późną nocą i widzisz żółtą kopertę telegramu wystającą spod drzwi, pochylasz się i podnosisz ją, ale nie otwierasz jeszcze przez sekundę. I kiedy stoisz na korytarzu, z kopertą w ręce, czujesz na sobie czyjeś oko, wielkie, ogromne oko, które patrzy prosto na ciebie z oddali i ciemności, poprzez mury i domy, przez twoją marynarkę, kamizelkę i skórę, i widzi cię tam, w środku, w owym mroku, który jest tobą, skulonego jak ów oślizły, żałosny, mały zarodek, który w sobie nosisz. Oko wie, co jest w kopercie, i obserwuje cię, żeby zobaczyć, co będzie, gdy ją otworzysz i też się dowiesz. Jednakże ów oślizły, żałosny, mały zarodek, który jest tobą i tkwi głęboko w mroku będącym także tobą, podnosi smętną twarzyczkę i oczy ma oślepie, i przenika go w tobie zimny dreszcz, bo nie chce wiedzieć, co jest w tej kopercie. Chce leżeć w ciemnościach i nie wiedzieć, i wtulić się w tę niewiedzę. Celem człowieka jest wiedzieć, ale jednego człowiek wiedzieć nie może. Nie może wiedzieć, czy to, czego się dowie, ocali go, czy zabije. Zostanie oczywiście zabity, lecz nie wie, czy zginie przez wiadomości, które uzyska, czy przez brak wiadomości, które – gdyby je miał – mogłyby go ocalić. Czujesz to zimno w dołku, ale otwierasz

kopertę i musisz ją otworzyć, bo celem człowieka jest wiedzieć.

Szef stał spokojnie, z oczami rozwartymi i błyszczącymi, a w tłumie było cicho jak makiem zasiał. Słyszało się tylko jedną opętaną, niewczesną muchę letnią, która bzykała na którymś z drzew catalpa rosnących na placu. A potem ów odgłos ustał i nie było już nic prócz oczekiwania. Wreszcie Szef postąpił swobodnie i miękko krok naprzód.

– Nie będę wam tu wygłaszał żadnej mowy – powiedział i wyszczerzył zęby. Ale oczy miał wciąż rozwarłe i błyszczące. – Nie przyjechałem tu przemawiać. Przyjechałem odwiedzić mojego ojczulka i zobaczyć, czy nie zostało mu w wędzarni coś do zjedzenia. Chcę mu powiedzieć: „Tato, a co z tą wędzoną kiełbasą, którą się przechwalałeś, co z tą szynką, o której tyle opowiadałeś zeszłej zimy, co z tą...” – Tak mówił, lecz jego głos był jakiś inny, nosowy i płaski, z tym lekkim złamaniem, jakie mają ludzie z czerwonych gór, kiedy wymawiał: „Tato, a co z tą...”

Ale miał ciągle błysk w oczach i myślałem: Może się zacznie. Może jeszcze nie jest za późno. Nigdy nie było wiadomo. Mogło przyjść nagle, mógł to powiedzieć.

On jednak mówił: „...więc nie będę wygłaszał żadnej mowy...” swoim dawnym głosem, własnym głosem. Tylko czy to był jego głos? Człowiek się zastanawiał, który ze wszystkich jego głosów jest prawdziwy. Ciągnął:

– I nie przyszedłem tu prosić was o nic, nawet o to, żebyście na mnie głosowali. Dobra Księga powiada: „Trzy rzeczy są, które nie bywają nasycone, owszem, cztery, które nie mówią: dosyć. – Głos jego był teraz inny. – Grób i żywot niepłodny, ziemia też nie bywa nasycona wodą, a ogień nie mówi: dosyć”. Ale Salomon mógł jeszcze dodać jedną drobną pozycję i w ten sposób uzupełnić tę swoją listę. Mógł dodać polityka, który nigdy nie przestaje mówić: „Dawaj!”

Odchylił się, głowę przekręcił trochę w bok i zamrugał oczami. Potem uśmiechnął się i powiedział:

– Jeżeli w tamtych czasach byli politycy, to też mówili: „Dawaj”, tak jak my wszyscy, politycy. Dawaj, dawaj, nie odmawiaj. Ale ja dzisiaj nie jestem politykiem. Mam wolny dzień. Nie będę was nawet prosił, żebyście na mnie głosowali. Bogiem a prawdą nie muszę was prosić. Dzisiaj już nie. Mam jeszcze swój kąt w tym wielkim domu z wysokimi na dwa piętra, białymi kolumnami u frontowego ganku i brzoskwiniowe lody na śniadanie. Nie powiem, żeby banda tych mężów stanu nie chciała mnie wygryźć. Wiecie – pochylił się trochę, jakby chciał im wyjawić sekret – to zabawne, jak nie potrafię się zaprzyjaźnić z niektórymi ludźmi. Żebym nie wiem jak próbował. Byłem uprzejmy. Mówiłem: „Bardzo proszę”. Ale „proszę” nic nie pomaga. No, ale wygląda na to, że będą musieli mnie tolerować jeszcze przez jakiś czas. I wy też. Zanim mnie spławicie. Więc lepiej uśmiechnijcie się tylko i postarajcie się wytrzymać. To nie gorsze niż czyraki. No prawda?

Przerwał i potoczył po nich wzrokiem, wolno przesuwając głowę, tak iż zdawało się, że patrzy prosto w czyjąś twarz, zatrzymując się na ułamek sekundy, a potem przenosi wzrok na inną, nieco dalej. Następnie wyszczerzył zęby, zamrugał oczami i powiedział:

– No? Co się stało? Język wam odjęło?

– Czyraki na tyłku! – ryknął ktoś z głębi tłumu.

– Psiakrew! – odkrzyknął natychmiast Willie. – To kładź się na brzuchu i śpij!

Ktoś się roześmiał.

– I dziękuj dobremu Bogu – ryknął Willie – który w swoim nieprzebranym miłosierdziu uznał za wskazane zrobić z tego skąpego kawałka materiału, przeznaczonego na ciebie, coś, co ma tył i przód!

– Dobrze mówisz, Willie! – wrzasnął ktoś z głębi tłumu. I zaczęli się śmiać.

Szef podniósł prawą rękę mniej więcej na wysokość głowy, wyciągnął



ją przed siebie dłonią do dołu i czekał, aż przestaną się śmiać i gwizdać. Potem powiedział:

– Nie, nie jestem tu po to, żeby was o cokolwiek prosić. O głosy czy o coś innego. Pewnie jeszcze po to wrócę, później. Jeżeli będą mi smakowały lody brzoskwiniowe na śniadanie w tym wielkim domu. Ale nie spodziewam się, żebyście wszyscy na mnie głosowali. Boże kochany, gdyby każdy z was głosował na Williego, to o co, u diabła, byście się spierali? Nie zostałoby wam nic prócz pogody, a na to nie można głosować.

– Nie – powtórzył, a jego głos był znowu inny, spokojny i swobodny, napływający powoli i z oddalenia. – Nie jestem tu dziś po to, żeby was o cokolwiek prosić. Wziąłem sobie wolny dzień i przyjechałem do domu. Człowiek odchodzi od swego domu i to jest ludzka rzecz. Leży po ciemku w obcych łóżkach i słyszy inny wiatr między drzewami. Idzie ulicą i widzi przed sobą twarze, ale te twarze nie mają imion. Głosy, które słyszy, nie są głosami, które dawno temu zachował w uchu, kiedy odchodził. Te głosy są hałaśliwe. Tak hałaśliwe, że nieraz przez długi czas nie może dosłyszeć tamtych, które zachował w pamięci. Ale przychodzi taka chwila, kiedy robi się cicho, i wtedy może dosłyszeć tamte głosy, które dawno temu zachował w uchu. Może rozeznąć, co mówią, a one mówią: „Wróć”. Mówią: „Wróć, chłopcze”. Więc wraca.

Jego głos się urwał. Nie ucichł jak głos kogoś, kto kończy mówić. Dopiero co rozbrzmiewał słowo po słowie w ciszy, która wypełniała plac i tłum stojący przed sądem, i była tym cichsza, że słyszało się brzęczenie much w gałęziach dwóch drzew catalpa wznoszących się nad głowami ludzi stłoczonych na trawniku. Głos ten rozbrzmiewał słowo po słowie, a potem nagle już go nie było. Pozostało tylko brzęczenie much lipcowych niejako wewnątrz twojej głowy, jak gdyby było zgrzytem i terkotem tych sprężyn i kółek zębatych, które są tobą i nie zatrzymają się bez względu na to, co mówisz, dopóki nie będą gotowe się zatrzymać.

Willie stał tak pół minuty bez słowa i bez ruchu. Zdawał się nie dostrzegać tłumu, który miał przed sobą. Potem nagle jakby go zauważył i wyszczerzył zęby.

– Więc wraca – powtórzył z uśmiechem. – Jak tylko ma z pół dnia wolnego. I mówi: „Jak się macie, ludzie? Co słyhać?” I ja to właśnie mówię.

Tyle powiedział. Popatrzył w dół z uśmiechem i kiedy jego oczy spoczęły na tłumie, obrócił głowę, zatrzymując wzrok to na tej, to na tamtej twarzy.

Potem zszedł ze schodów, jak gdyby właśnie wynurzył się z tej mrocznej sieni za wielkimi otwartymi drzwiami, co była za nim, i schodził ze schodów sam jeden, nie mając przed sobą nikogo, kto by na niego patrzył. Zszedł po schodach prosto ku miejscu, gdzie stali jego towarzysze, Lucy Stark i my wszyscy, i skinął nam głową, tak jakby po prostu mijał nas na ulicy i nie znał zbyt dobrze, a potem ruszył prosto w tłum, jak gdyby tłum nie było. Ludzie rozstąpili się nieco, robiąc mu przejście i nie spuszczaając zeń oka, my poszliśmy za nim, a tłum zamknął się za nami.

Wszyscy klaskali teraz i krzyczeli. Ktoś ryczał:

– Cześć, Willie!

Szef przeszedł przez tłum prosto na drugą stronę ulicy i wsiadł do cadillaca. My wsiedliśmy za nim, a fotograf i reszta poszli do swego wozu. Cukierek ruszył ulicą. Ludzie nie ustępowali z drogi zbyt szybko. Nie mogli, tak byli słóczeni. Kiedyśmy wjechali w tłum, widzieliśmy twarze tuż za oknami, nie dalej niż o stopę. Patrzyli prosto na nas. Ale teraz oni byli na zewnątrz, a my w środku. Oczy osadzone w rumianych, gładkoskórych, pociągłych twarzach i w twarzach ogorzałych, pokrytych zmarszczkami zaglądały do wnętrza wozu.

Cukierek wciąż naciskał klakson. Słowa w nim wzbierały.

Wargi zaczęły mu się poruszać. Widziałem jego twarz w bocznym lusterku kierowcy i te poruszające się wargi.

– D-d-d-dranie – powiedział i prysnęła ślina. Szeff zagłębił się w siedzenie samochodu.

– D-d-d-dranie – powtórzył Cukierek i nacisnął klakson, ale już wydostawaliśmy się z placu w boczną ulicę, na której nie było ludzi. Mijając ceglany budynek szkoły na krańcach miasta, ciągnęliśmy czterdzieści mil na godzinę. Widok szkoły przypominał mi, jak poznałem Williego, ze czternaście lat temu, w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, kiedy był jeszcze tylko skarbnikiem okręgu Mason i przyjechał do miasta w sprawie wypuszczenia obligacji na budowę tej szkoły. Wspomniałem, jak go zobaczyłem w pokoju za salonem bilardowym Slade’a, gdzie Slade sprzedawał wzmocnione piwo i gdzie siedzieliśmy przy jednym z takich stolików z marmurowymi blatami na żelaznych ozdobnych prętach, jakie stały w drugstore’ach, kiedyśmy byli młodymi chłopcami i przychodziliśmy ze szkolnym kociakiem w sobotnie wieczory na lody czekoladowe z bananem, żeby pocierać się kolanami pod stołem, a te pręty zawsze nam zawadzały.

Było nas wtedy czterech. Najpierw Tiny Duffy, wówczas już prawie tak tęgi jak teraz. Nie potrzebował żadnych zewnętrznych oznak, aby dać poznać, kim jest. Od pierwszego rzutu oka wiedziałeś, że to typek z władz miejskich. Miał już brzuch, koszulę przepoconą nad sprzączką paska od spodni i twarz tłustą i zsiadłą jak krowi placek na wiosennej łące, tyle że była koloru biszkoptowego ciasta, a w środku szczyrzyła złote zęby. Pełnił funkcję kierownika urzędu podatkowego i nosił sztywny, płaski kapelusz słomkowy zsunięty na tył głowy. Na kapeluszu była pasiasta wstążka.

Był tam też Alex Michel, wiejski chłopak z okręgu Mason, który potrafił się szybko uczyć. Uczył się tak szybko, że został zastępcą szeryfa. Ale nie na długo. Teraz był nikim, bo dźgnął go pod żebra jeden

narkoman pianista w burdelu, do którego zaszedł, żeby coś dostać w naturze na konto swej należności za ochranianie zakładu. Alex pochodził, jak wspomniałem, z okręgu Mason.

Duffy i ja siedzieliśmy wtedy w pokoju za salonem bilardowym Slade'a, czekając na Alexa, z którym miałem nadzieję załatwić pewien drobny interes. Byłem dziennikarzem, a Alex wiedział coś, czego się chciałem dowiedzieć. Duffy go wezwał, bo Duffy był moim znajomym. Przynajmniej wiedział, że pracuję dla „Kroniki”, która w owym czasie popierała grupę Joego Harrisona. Joe Harrison był wtedy gubernatorem. A Duffy należał do jego ludzi.

Siedziałem więc w lokalu Slade'a pewnego upalnego przedpołudnia w czerwcu czy lipcu tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, czekając na Alexa Michela i wsłuchując się w ciszę, jaka tam panowała. Dom pogrzebowy o północy jest wręcz ogłuszająco hałaśliwy w porównaniu z tym, czego się doświadcza przed południem w pokoju na tyłach takiego lokalu jak Slade'a, jeżeli ktoś zjawi się w nim pierwszy. Siedzisz tam i myślisz, jak przytulnie było wczoraj wieczorem wśród koleżeńskich śmiechów i wyziewów bratnich ciał, i spoglądasz na podłogę, gdzie teraz widać drobne, równoległe smużki wilgotnych trocin pozostawione rano przez starą miotłę, kiedy tu sprzątał bez zapału stary Murzyn, i ogółem biorąc, doznajesz wrażenia, że jesteś sam na sam z Samotnością i że teraz ona doszła do głosu. Siedziałem więc w milczeniu (Duffy nie był nigdy rozmowny z rana, dopóki nie gołnął sobie paru kolejek) i słuchałem, jak rozwierają mi się tkanki, a z kanalików tkwiących w obfitym ciele mego towarzysza delikatnie wytryskują krople potu.

Alex przyszedł z jakimś gościem i już wiedziałem, że z naszej pogawędki nici. Miałem dość delikatne zadanie, nieodpowiednie dla obcych uszu. Domyśliłem się, że Alex właśnie dlatego przyholował swojego znajomka. Możliwe, że tak, bo Alex był przebiegły w jakiś

amatorski sposób. Tak czy owak przyprowadził ze sobą Szefa.

Tylko że wtedy nie był to jeszcze Szef. Nie dla prymitywnego oka *homme sensuel*. Metafizycznie był Szefem, ale skąd mogłem o tym wiedzieć? Przeznaczenie staje w drzwiach, ma wzrostu pięć stóp i jednaście cali, masywny tors, krótkawe nogi i jest ubrane w płócienny garniturek za siedem pięćdziesiąt, z za długimi spodniami, tak że mankiety załamują się na wysokich czarnych kamaszkach, którym przydałoby się czyszczenie. Ma wysoki sztywny kołnierzyk niczym kierownik szkoły niedzielnej, krawat w niebieskie paski, który żona musiała mu podarować na gwiazdkę i który przechowywał w bibułce z kartonikiem ozdobionym gałązką ostrokrzewu („Wesołych Świąt mojemu Drogiemu Williamu od kochającej żony”), dopóki nie wybrał się do miasta – i szary filcowy kapelusz z plamami potu na wstążce. Wchodzi tak sobie, a ty skąd możesz wiedzieć? Wchodzi za Alexem Michelelem, który jest – czy był, zanim go dziabnął tamten pianista – wysokim na przeszło sześć stóp, pięknie sprzężonym zestawem kości i chrząstek o twardej, kościstej, zapiekłej twarzy i małych, bystrych, piwnych oczach, nie pasujących do tego klasycznego torsu i twarzy i podrygujących wciąż niespokojnie niczym para meksykańskich skaczących fasolek. Tak więc Przeznaczenie wlecze się skromnie za Alexem Michelelem, gdy ten podchodzi do stolika z władczą miną, która nie zwiodłaby nikogo.

Alex uściśnął mi rękę, powiedział: „Sie masz, stary!”, i klepnął mnie po ramieniu dłonią tak twardą, że mogłaby rozgnieść orzech, po czym złożył należne uszanowanie panu Duffy’emu, który wyciągnął rękę, nie wstając. Następnie, jak gdyby sobie przypomniawszy, Alex machnął niedbale dużym palcem w stronę wlokącego się za nim towarzysza i powiedział:

– To jest Willie Stark, panowie. Od nas, z Mason City. Z Williamem żeśmy do szkół chodzili. Mól książkowy był z niego, pieszczoszek

nauczycielki. Nie, Willie? – Tu Alex zarżał jak ogier, z zachwytu nad swoim wybornym dowcipem i trącił pieszczoszka nauczycielki w żebra. Po czym, opanowawszy się, dodał: – I dalej jest za pieszczoszka nauczycielki, nie, Willie, no nie tak?

Obrócił się do Duffy’ego i do mnie i zanim znowu go ogarnęła wesołość, a pokój Slade’a znów rozbrzmiał radosnym odgłosem rodem z padoku, wyjaśnił:

– Bo Willie... Willie... ożenił się ze szkolną nauczycielką!

Ta myśl wydawała się Alexowi potwornie śmieszna. Tymczasem Willie, nie mogąc dopełnić okolicznościowych uprzejmości, potulnie zniósł ów wybuch i stał, trzymając w ręce stary popielaty kapelusz filcowy, którego wstążka była przepocona na wylot. Szeroka twarz Williego nad sztywnym, wsiowym kołnierzykiem nie zdradzała niczego.

– Tak, tak... ożenił się z nauczycielką! – oznajmił ponownie Alex z nie zmniejszoną satysfakcją.

– Ano – odezwał się pan Duffy, którego doświadczenie i takt mogły sprostać każdej sytuacji – słyszałem, że szkolne nauczycielki mają to w tym samym miejscu.

Pan Duffy uniósł górną wargę, obnażając złoto, ale nie wydał żadnego dźwięku, bo będąc człowiekiem światowym, pełnym spokojnej pewności siebie, miał zwyczaj puszczenia dowcipów tak, aby same torowały sobie drogę swoją istotną wartością, aplauz zaś pozostawiał publice.

Alex dostarczył go w dużej ilości. Ja przyczyniłem się tylko uśmiechem, który wypadł dość mdło, a Willie nie pokazał po sobie niczego.

– O rany! – wykrztusił Alex, kiedy zdołał znowu pochwycić dech. – O rany, panie Duffy, pan to jest fajny! Jak pragnę Boga! – Znowu energicznie trącił pieszczoszka nauczycielki w żebra, żeby pobudzić jego niemrawą wesołość. Nie uzyskawszy żadnego wyniku, trącił go jeszcze raz i zapytał

wprost swego podopiecznego: – No, czy pan Duffy nie jest fajny?

– Owszem – odparł Willie, patrząc na pana Duffy’ego niewinnie, uważnie i beznamytnie. – Tak, pan Duffy jest fajny.

Kiedy to przyznał, aczkolwiek z opóźnieniem i pewną dwuznacznością tonu, lekka chmura, która zebrała się na czole pana Duffy’ego, rozproszyła się, nie pozostawiając po sobie śladu urazy.

Willie skorzystał z tej pauzy, aby odprawić rytuał prezentacji, który mu przerwał wyborny humor Alexa. Przełożył swój stary popielaty kapelusz do lewej ręki, postąpił dwa kroki, niezbędne, żeby dotrzeć do stołu, i z powagą wyciągnął do mnie dłoń. Tyle wody upłynęło od momentu, gdy Alex machnął dużym palcem w stronę obcego przybysza ze wsi i powiedział: „To jest Willie Stark”, iż prawie zdążyłem zapomnieć, że nie znamy się z Williem od urodzenia. Toteż nie od razu się połapałem, że chce mi uścisnąć dłoń. Musiałem spojrzeć pytająco na jego wyciągniętą rękę, a potem tępo na niego, on zaś zwrócił ku mnie swoją drętwą facjatę – taką jak każda inna, przynajmniej na pierwszy rzut oka – i nie opuścił ręki. Wtedy oprzytomniałem i żeby nie dać się zakasować w staromodnej kurtuazji, odsunąłem krzesło od stolika, podniosłem się prawie na całą wysokość i ująłem jego dłoń. Miała wcale niezłe rozmiary. Kiedy jej po raz pierwszy dotknąłeś, wydawała się jakby miękka i trochę za wilgotna (co jednak nie jest zarzutem pod pewną szerokością geograficzną), ale potem wykrywałeś, że ma solidną podbudowę. Była jak dłoń wiejskiego parobka, który już od pewnego czasu zarzucił pług na rzecz posady w sklepie u skrzyżowania dróg. Ręka Williego obyczajnie zapompowała moją trzy razy, po czym Willie powiedział: „Miło mi pana poznać, panie Burden”, tak jakby wyuczył się tego na pamięć, a następnie – przysięgłbym – mrugnął do mnie. Wówczas, patrząc w tę drętwą facjatę, nie miałem pewności. Jakieś dwanaście lat później, kiedy zagadnienie osobowości Williego natarczywiej wypełniało moje rzadkie godziny

rozmyślań, spytałem go:

– Szefie, pamiętasz, jakeśmy się poznali w tym pokoju za lokalem Slade’a?

Odpowiedział, że pamięta, co nie było niczym niezwykłym, bo był podobny do cyrkowego słonia, który nigdy niczego nie zapomina, ani tego, kto dał mu orzecha, ani tego, kto mu nasypał tabaki do trąby.

– Pamiętasz, jak podaliśmy sobie ręce? – spytałem.

– Aha – odrzekł.

– Słuchaj, Szefie – powiedziałem. – Czyś ty wtedy mrugnął do mnie, czy nie?

– Chłopcze – odparł, bawiąc się swoją szklanką whisky z wodą sodową, i wparł obcas nie wyczyszczonego, trzydziestodolarowego, wytornego, ręcznie robionego półbuta w najlepszą kapę na łóżko, jaką miał hotel „St. Regis”. – Chłopcze, to tajemnica. – I uśmiechnął się do mnie po ojcowsku znad szklanki.

– Nie pamiętasz? – spytałem.

– Jasne – odrzekł. – Pamiętam.

– No więc?

– Może coś mi wpadło do oka – powiedział.

– Szlag by to trafił, niech będzie i tak.

– A jeżeli mi nic nie wpadło?

– To może mrugnąłeś, boś pomyślał, że obaj mamy zbliżone poglądy na atmosferę tamtego zebrania?

– Możliwe – odparł. – Nie jest tajemnicą, że mój stary kolega szkolny Alex to łobuz. I nie jest tajemnicą, że Tiny Duffy to najpaskudniejszy tłuścioch, pod jakim kiedykolwiek jęknęły sprężyny fotela.

– Rzeczywiście, to kawał sukinsyna – przyznałem.

– No tak – potwierdził wesoło Szef. – Ale pożyteczny obywatel. Jeżeli ktoś wie, co z nim zrobić.



– Aha – odrzekłem. – I pewnie ci się zdaje, że wiesz, co z nim zrobić. Zrobiłeś go wicegubernatorem. – (Było to bowiem podczas ostatniej kadencji Szefa, kiedy Tiny został jego zastępcą.).

– Pewnie. – Kiwnął głową. – Ktoś musi być wicegubernatorem.

– Aha – powiedziałem. – Tiny Duffy.

– Jasne – odparł. – Tiny Duffy. W nim piękne jest to, że nikt nie może mu ufać i że o tym wiadomo. Czasem masz kogoś, komu ktoś mógłby zaufać, i wtedy spędzasz bezsennie noce, trapiąc się, czy aby jesteś właśnie tym kimś. Jak weźmiesz sobie Tiny’ego, możesz spać spokojnie. Musisz go tylko trzymać pod takim strachem, żeby mu białko uciekło z uryny.

– Szefie, czyś ty wtedy mrugnął do mnie u Slade’a?

– Chłopcze – odrzekł – gdybym ci powiedział, nie miałbyś o czym rozmyślać.

I tak nie dowiedziałem się nigdy.

Ale tamtego rana widziałem, jak Willie ściska dłoń Tiny’emu Duny’emu i wcale do niego nie mruga. Stanął przed panem Duffym, a kiedy ten wielki człowiek, nie podnosząc się z krzesła, wyciągnął w końcu rękę z pełną rezerwy miną papieża nadstawiającego campbelliście<sup>[1]</sup> palec stopy do pocałowania, Willie chwycił ją i wykonał nią te trzy pompujące ruchy, które widać były przepisowe w Mason City.

Alex usiadł przy stoliku, natomiast Willie stał, jakby czekając, żeby go zaproszono, dopóki Alex kopnięciem nie podsunął mu krzeselka o parę cali i nie powiedział:

– Kłapnij sobie, Willie.

Willie usiadł i położył przed sobą na marmurowym blacie swój popielaty kapelusz. Brzeg ronda był pofalowany i powyginany nad

[1] Campbellista – członek stowarzyszenia „Uczniów Chrystusa”, założonego w Ameryce przez Aleksandra Campbella (1788-1886).

marmurem niczym krawędź upieczonego placka, zanim ją babcia wyrówna. Willie siedział tak za swoim kapeluszem, w tym gwiazdkowym krawacie w niebieskie paski, i czekał, złożonywszy dłonie na kolanach.

Slade przyszedł z frontowej salki i spytał:

– Piwa?

– Dla wszystkich – zamówił Duffy.

– Dla mnie nie, dziękuję panu uprzejmie – powiedział Willie.

– Dla wszystkich – powtórzył Duffy z szerokim gestem ręki ozdobionej pierścieniem z brylantem.

– Dla mnie nie, dziękuję uprzejmie – rzekł Willie.

Pan Duffy z niejakim zdumieniem i bez śladu zadowolenia obrócił wzrok na Williego, który wydawał się nieświadom wagi tego incydentu i siedział wyprostowany na krzeselku za tym swoim kapeluszem i krawatem. Wtedy pan Duffy spojrział na Slade'a i targnąwszy głową w stronę Williego, powiedział:

– A tam, daj mu pan piwa.

– Nie, dziękuję – rzekł Willie równie niewzruszony jak ktoś, kto powtarza tabliczkę mnożenia.

– Za mocne dla pana? – spytał Duffy.

– Nie – odrzekł Willie. – Ale dziękuję.

– Może ta nauczycielka nie pozwala mu pić – podszeptała Alex.

– Lucy nie pochwała picia – odpowiedział spokojnie Willie. – To fakt.

– Czego nie widzi, to ją nie boli – rzekł pan Duffy.

– Dawaj mu pan piwa – powiedział Alex do Slade'a.

– Dla wszystkich – powtórzył pan Duffy tonem człowieka zamykającego sprawę.

Slade popatrzył na Alexa, popatrzył na pana Duffy'ego i popatrzył na Williego. Strzepnęła niechętnie serwetką w stronę przelatującej muchy i rzekł:

– Ja sprzedaję piwo tym, co go chcą. Nikogo nie zmuszam do picia.

Może to właśnie była chwila, kiedy Slade zrobił karierę. Jak dziwne i zmienne jest życie: kryształ tkwi w stali w punkcie pęknięcia, ropucha nosi klejnot w czole, a waga chwili przemija jak powiew, co ledwie porusza listki wierzb.

Tak czy owak, kiedy przyszło zniesienie prohibicji i pocztowcy ciężarówkami zwozili do ratusza podania o koncesje, Slade taką koncesję dostał. Dostał ją od razu, a także świetny punkt na lokal, forszę na kryte skórą, miłe kościom udowym fotele i na okrągły bar – i oto Slade, który nigdy w życiu nie miał ani centa po zapłaceniu komornego i łapówek, stoi teraz w cieniu pod malowidłami ściennymi przedstawiającymi rozebrane babki, pośród lśniących chromoniklów i kolorowych luster, w dwurzędowym granatowym garniturze, z resztkami włosów przylizanymi do czaszki i jednym okiem obserwuje czarnych kelnerów w białych kurtkach, którzy roznoszą wodę, drugim zaś blondynkę przy kasie, która wie, że jej obowiązki nie kończą się z chwilą gaszenia światła o drugiej nad ranem – a tymczasem dźwięki tercetu smyczkowego koją nerwy klientów.

Jakim sposobem Slade uzyskał koncesję tak prędko? Jak dostał kontrakt najmu, mimo że połowa grubych szyszek z jego profesji upatrzyła sobie ten właśnie punkt? Skąd wziął forszę na skórzane fotele i tercet smyczkowy? Slade nigdy mi się nie zwierzał, ale przypuszczam, iż dostał nagrodę za to, że był przyzwoitym człowiekiem.

Tak czy owak zasadnicze oświadczenie Slade'a na temat piwa zamknęło tamtego rana dyskusję. Tiny Duffy podniósł na niego wzrok z miną ogłuszonego wołu, a kiedy wróciło mu czucie, poszukał schronienia w swojej wyniosłości. Alex jeszcze raz pozwolił sobie na ironię. Powiedział:

– No, może pan tam ma dla niego jakąś oranżadę?

Kiedy jego radosne rżenie umilkło, Slade odrzekł:

– Pewnie i mam. Jeżeli będzie chciał.

– Owszem – powiedział Willie. – Chyba poproszę o oranżadę.

Podano piwo i butelkę oranżady. W butelkę oranżady były wetknięte dwie słomki. Willie podniósł z kolan ręce, które tam skromnie spoczywały podczas dotychczasowej rozmowy, i ujął w nie butelkę. Przechylił ją lekko ku sobie, nie podnosząc ze stołu, i przytknął usta do słomek. Wargi miał trochę zbyt pełne, ale nie obwisłe. Niezupełnie. Może mogło się tak wydawać na pierwszy rzut oka. Doznawało się wrażenia, że ma usta jak mały chłopak, jeszcze nie całkiem ukształtowane, i tak rzeczywiście wyglądał w owej chwili, pochylony nad butelką, ze słomkami tkwiącymi w ściągniętych wargach. Ale przy bliższych oględzinach zauważyłoby się coś trochę innego. Zauważyłoby się, że te wargi, chociaż mięsiste, są mocno zaciśnięte. Twarz też miał trochę za mięsistą, ale o cienkiej skórze i piegawatą. Oczy, duże i ciemne, patrzyły prosto na człowieka z tej cienkoscórej, piegowatej, nieomal pyzatej twarzy (z początku zdawało ci się, że jest pyzata, ale później zmieniłaś zdanie), a ciemnokasztanowate, gęste, trochę wilgotne włosy były zmierzwione i opadały na niezbyt wysokie czoło. Taki był ten mały Willie. Taki był kuzynek Willie ze wsi, spod Mason City, w gwiazdkowym krawacie, i miało się ochotę zabrać go do parku i pokazać mu łabędzie.

Alex pochylił się do Duffy’ego i powiedział tonem zwierzenia:

– Willie... on robi w polytyce.

Na twarzy Duffy’ego pojawiło się nieznaczące drgnienie zainteresowania, jednakże zaraz roztopiło się w wielkiej oleistej martwocie, która była twarzą Duffy’ego w spoczynku. Nawet nie spojrzął na Williego.

– Taaak – ciągnął Alex, pochylając się bliżej i wskazując głową Williego. – Taaak, w polytyce. W Mason City.

Głowa pana Duffy'ego dokonała ociężałego ćwierć obrotu w kierunku Williego, a bladoniebieskie oczy ześrodkowały się na nim z wielkiego oddalenia. Nie, żeby wzmianka o Mason City była obliczona na zaimponowanie panu Duffy'emu, ale to, że Willie mógł działać w polityce gdziekolwiek, chociażby w Mason City, gdzie zapewne wieprzki czochrały się o podmurówkę urzędu pocztowego, nasuwało pewien problem, godny przelotnej uwagi. Toteż pan Duffy poświęcił uwagę Williemu i problem rozwiązał. Rozwiązał go, dochodząc do wniosku, że nie ma żadnego problemu. Willie nie robił w polityce. Ani w Mason City, ani gdzie indziej. Alex Michel to kłamca, w którym nie ma krzty prawdy. Wystarczyło spojrzeć na Williego, by się przekonać, że nie jest i nigdy nie będzie politykiem. Duffy potrafił spojrzeć na Williego i wydedukować, że Willie nie działa w polityce. Rzekł więc: „Aha”, z ciężką ironią, a na jego twarzy odmalowało się wyraźne niedowierzanie. Nie powiem, żebym miał to zbyt za złe. Duffy znalazł się w obliczu owego rąbka tajemnicy, przy którym załamują się wszelkie nasze rachuby, strumień czasu wsiąka w piaski wieczności, formuła zawodzi w probówce, zapanowuje chaos i mrok i słychać śmiech wśród eterowego snu. Ale Duffy o tym nie wiedział, więc rzekł: „Aha”.

– Aha – zawtórował mu bez ironii Alex i dodał: – W Mason City. Willie jest okręgowym skarbnikiem. Nie, Willie?

– Tak – odrzekł Willie. – Okręgowym skarbnikiem.

– Mój Boże – westchnął Duffy z miną człowieka, który odkrywa, że budował na piasku i trwał wśród ułudy.

– Aha – powtórzył Alex. – I przyjechał tu w interesach okręgu Mason, nie, Willie?

Willie kiwnął głową.

– W sprawie obligacji, które tam wypuszczają – ciągnął Alex. – Mają budować szkołę i na to te obligacje.

Wargi Duffy'ego poruszyły się i można było dostrzec dyskretny błysk złotych zębów, ale z ust nie dobył mu się żaden dźwięk. Moment był zbyt nabrzmiały na słowa czy na złość.

Jednakże była to prawda. Willie pełnił funkcję okręgowego skarbnika i wówczas, dawno temu, przyjechał do miasta w sprawie wypuszczenia obligacji na budowę szkoły. Obligacje wypuszczono i szkołę zbudowano, a przeszło dwanaście lat później wielki czarny cadillac wiozący Szeffa mignął obok niej i wtedy Cukierek nacisnął gaz naprawdę i popędziliśmy dalej, ciągle po niemal nowej nawierzchni drogi numer 58.

Ujechaliśmy z milę bez słowa, po czym Szeff obrócił się na przednim siedzeniu, spojrzął na mnie i powiedział:

– Jack, zanotuj sobie, że trzeba się dowiedzieć o syna Malachiasza i o to zabójstwo.

– Jak on się nazywa? – spytałem.

– Nie wiem, psiakrew, ale to porządny chłopak.

– Ja pytam o tego Malachiasza.

– Malachiasz Wynn – odrzekł Szeff.

Wyjąłem notes, zapisałem to i dodałem: „zadzeganie”.

– Dowiedz się, na kiedy jest wyznaczona rozprawa, i znajdź mu adwokata. Dobrego, ale naprawdę dobrego, takiego, który potrafi poprowadzić sprawę, i powiedz mu, żeby ją, psiakrew, poprowadził porządnie, ale nie bierz takiego, który by szukał reklamy dla swojego nazwiska.

– Albert Evans powinien się nadać – odrzekłem.

– Używa brylantyny – powiedział Szeff. – Używa brylantyny do włosów, a potem je przylizuje, tak że czubek jego głowy przypomina czarną bilę na stole bilardowym. Znajdź kogoś, kto nie wygląda tak, jakby śpiewał w orkiestrze tanecznej. Czyś ty zwariował?

– Dobra – odparłem i zapisałem w notesie: „Ktoś w typie Abrahama

Lincolna”. Nie musiałem sobie o tym przypominać. Napisałem po prostu dlatego, że mi to weszło w zwyczaj. W ciągu sześciu lat można nabrać całej masy zwyczajów i zapłacić całą masę czarnych notesików, a potem je schować do sejfu, gdy już się je zapłaci, bo nie są czymś, co należy zostawiać na wierzchu, a także dlatego, że byłyby na wagę złota dla pewnych osób, gdyby te osoby mogły je dostać w ręce. Do tego jednak nie doszło; nigdy aż tak bardzo nie potrzebowałem pieniędzy. Mimo to miałem zwyczaj zachowywać takie notesy. Człowiek musi coś wynieść z mroku przeszłości oraz otchłani czasu poza przeżartą wątroba i mogą to równie dobrze być czarne notesiki. Leżą sobie w sejfie i prace naszych dni i rąk spoczywają zacisznie w ciemnościach małej kasetki, a tymczasem wielka oś świata wciąż się obraca.

– Wybierz adwokata – mówi Szef – ale sam się nie pokazuj. Wyślij do niego jakiegoś kumpla i dobrze dobierz tego kumpla.

– Rozumiem – odparłem, bo go rozumiałem.

Szef już miał się odwrócić, aby podzielić swoją uwagę między szosę a szybkościomierz Cukierka, gdy Duffy odchrząknął i rzekł: – Szefie...

– No? – odparł Szef.

– Pan wie, kto to był ten porźnięty?

– Nie – odpowiedział Szef, obracając się znowu – i nic mnie to nie obchodzi, choćby to była nierźnięta dziewicza ciotka Pawła apostoła.

Pan Duffy odchrząknął, tak jak to zawsze czynił w późniejszych latach, kiedy go zatykała flegma i jakaś myśl.

– Przypadkiem zauważyłem w gazecie – zaczął. – Zauważyłem wtedy, kiedy to się stało, i ten pociachany to był syn jednego doktora z okolicy. Nazwiska nie pamiętam, ale wiem, że doktor. Tak stało w gazecie. Otóż – pan Duffy mówił dalej do tyłu głowy Szefa, który najwyraźniej nie zwracał na niego żadnej uwagi – otóż mnie się wydaje – pan Duffy znowu oczyścił sobie tchawicę – wydaje mi się, że ten doktor może być

tutaj dosyć wpływowy. Pan wie, co to jest doktor na wsi. Mają go tam za kogoś. I może wyjść na jaw, że pan jest zamieszany w próbę zwolnienia tego chłopaka Wynna, a to nie byłoby dobrze dla pana. Pan wie, polityka – wyjaśnił. – Pan rozumie, jak to jest w polityce. Otóż...

Szef obrócił głowę do pana Duffy'ego tak szybko i nagle, że tylko mi coś mignęło. Było to tak, jakby jego wielkie, ciemne, wyłupiaste oczy spojrzwały raptem z tyłu głowy, przez włosy, i wszystko stopiło się razem. To jest lekka przerośnia, ale rozumiecie, o co mi chodzi. Szef już taki był. Sprawiał na pozór wrażenie człowieka powolnego i rozważnego i miał sposób siedzenia jakoś luźno, jak gdyby zapadał się w siebie i szedł na dno po raz trzeci, i mrugał oczami niczym sowa w klatce. A potem raptem robił jakiś ruch. Mogło to być złapanie w powietrzu natrętnej muchy, sztuczka, którą kiedyś robił przy mnie pewien stary, wykończony bokser, pętający się po jakiejś knajpie. Zakładał się, że potrafi złapać palcami muchę w powietrzu, i potrafił. Szef też to umiał. Albo obracał gwałtownie głowę do człowieka, który mówił coś, czego on na pozór nie słuchał. Teraz obrócił się tak do Duffy'ego i na moment utkwiał weń wzrok, zanim powiedział po prostu i z uczuciem:

– O Jezu!

A potem dodał:

– Tiny, pan nic z tego nie rozumie. Po pierwsze, znam Malachiasza Wynna, odkąd przyszedłem na świat, a jego chłopak jest porządny i wszystko mi jedno, kogo ciachnął. Po drugie, walka była uczciwa i po prostu miał pecha, a w takim wypadku, jak przychodzi do rozprawy, ludzie są zawsze po stronie tego, kogo się sądzi za morderstwo, jeżeli miał pecha, bo tamten drugi umarł. Po trzecie, gdybyś pan wydlubał sobie wosk z uszu, słyszałbyś, jak mówiłem Jackowi, żeby skombinował adwokata przez jakiegoś kumpla i wziął takiego, który nie szuka reklamy. I sam ten adwokat, i wszyscy w ogóle mogą sobie najwyżej myśleć, że



został nasłany przez papieża. A poza tym adwokata interesuje tylko jedno: czy te papierki, które z tego dostanie, mają w środku jedwabne niteczki. Czy to dla pana jasne, czy mam jeszcze narysować obrazek?

– Rozumiem – odpowiedział Duffy i zwilżył sobie językiem wargi.

Ale Szef już go nie słuchał. Odwrócił się w stronę szosy i szybkościomierza i powiedział do Cukierka:

– Rany boskie, czy ty myślisz, że chcemy podziwiać krajobraz? Już jesteśmy spóźnieni.

Wtedy można było poczuć, jak Cukierek dociska do samego końca.

Ale nie na długo. Po jakiejś pół mili trafiliśmy na boczną drogę. Cukierek skręcił na żwir i bryznęliśmy po nim, a kamyki trzaskały i strzelały pod błotnikami niczym tłuszcz na patelni. Zostawiliśmy za sobą ogon kurzu, w który wjechał drugi samochód.

A potem zobaczyliśmy dom.

Stał na niewielkim wzniesieniu, sporawy, pudełkowaty, dwupiętrowy, prostokątny, szary i nie malowany, z blaszanym dachem także nie malowanym, błyszczącym w słońcu, bo był nowy i rdza jeszcze się w niego nie wgryzła, z dwoma dużymi kominami na obu końcach. Podjechaliśmy do bramy. Dom stał blisko drogi, niewielki ogród był obwiedziony solidnym płotem z drutu kolczastego, kilka mirtów koloru malinowych lodów tkwiło w kącie ogrodu, wyglądając jakoś świeżo pomimo upału, przed domem zaś rósł dąb, niezbyt okazały i schnący z jednej strony, a z boku kilka magnolii o blaszanych, jakby zardzewiałych liściach. W ogrodzie nie było dużo trawy, a pół tuzina kur stroszyło pióra i kwokowało w piasku pod drzewami magnoliowymi. Wielki, biały, włochaty pies w rodzaju collie czy innego owczarka leżał na frontowym ganku, małym, parterowym, frontowym ganku, który był przylepiony do pułda domu, jak gdyby sobie o nim przypominano, gdy dom już stał.

Wyglądało to wszystko jak owe farmy, które się mija na wsi, jadąc

autem po południu – gdzie kury łąką pod drzewami i drzemie pies, i wiesz, że jedyną osobą w domu jest kobieta, która właśnie skończyła zmywać garnki, zamiotła kuchnię i poszła na górę położyć się na pół godzinki, ściągnęła suknię, zrzuciła pantofle i leży na wznak na łóżku w zaciemnionym pokoju, oczy ma zamknięte, a na czole kosmyk włosów jeszcze zlepiony od potu. Słucha bzykania much krążących po pokoju, potem słyszy nabrzmiwiający na szosie warkot twojego silnika, a później ten odgłos topnieje w oddali i kobieta znów przysłuchuje się muchom. Taki to właśnie był dom.

Niegdyś zastanawiałem się, dlaczego SzeF nigdy nie kazał go odmalować, kiedy już dostał się do koryta i dolar przestał być dla niego przyczyną zrywania się skoro świt. Później pomyślałem sobie, że SzeF wiedział, co robi. Gdyby kazał dom odmalować, pierwszy lepszy facet idący drogą mówiłby do drugiego: „Widziałeś, jak ten stary Stark sobie dom odnowił? Taa, nosa zadziera. Domisko miał dobre, do samej śmierci mógł w niem mieszkać, tak jak było, ale jak jego chłopak dostał się do tego kapitola, to już mu się widzi na nic. Ani sie obejrzysz, jak stary będzie chodził do ustępu w domu, a kapustę każe gotować za stodołą”. (Istotnie, Stark ojciec chodził do ustępu w domu, bo SzeF kazał założyć bieżącą wodę i łazienkę. Wodę pompowała mała autentyczna pompa elektryczna. Ale z drogi, kiedy przejeżdżasz, łazienki nie widać. Nie kole cię ona w oczy ani nie wybiega na dwór i nie gryzie cię w łydkę. A czego wyborca nie widzi, o to go serce nie boli.).

W każdym razie gdyby SzeF był pomalował dom, nie stanowiłby on ani w połowie tak doskonałego tła do zdjęć jak owego dnia, z Williem i jego ojcem na frontowych schodkach, z Lucy Stark, ich synem i starym białym psem.

W tej chwili stary Stark właśnie stał na schodkach. Kiedy wjechaliśmy na ścieżkę, minąwszy bramę z zawieszonymi na drucie kilkoma starymi

lemieszami od pługów, które zamykały ją swoim ciężarem, a brzękiem oznajmiały gości, stary wyszedł przed próg. Przystanął na schodkach i czekał – niezbyt wysoki, chudy staruszek w granatowych dżinsach i niebieskiej koszuli tak spranej, że nabrała popielistego, pastelowego odcienia, i w czarnej muszce, z tych gotowych, na gumce. Podjechawszy bliżej, zobaczyliśmy jego twarz, ogorzałą i steraną, o ciele i skórze cienko powlekających kość i obwisających w sposób, który nadaje twarzom starych ludzi wyraz cierpliwości; siwe włosy miał przy lizane na wąskiej, cienkiej jak jajko starej czaszce i jeszcze wilgotne, jak gdyby w ostatniej chwili, kiedy usłyszał samochód, przycesał je mokrą szczotką, żeby wyglądać porządnie – a leniwe, niebieskie oczy tkwiły w brunatnej fałdzistej skórze. Błękit tych oczu był blady i wyblakły podobnie jak błękit koszuli. Stary nie nosił baków ani wąsów i widać było, że ogolił się dopiero co, bo jeszcze miał na twarzy kilka drobnych zacięć z małymi strumykami krwi, tam gdzie brzytwa zawadziła o fałdy suchej, ogorzałej skóry.

Stał na schodkach i sądząc po jego reakcji, moglibyśmy równie dobrze być teraz daleko, w mieście.

A potem Szeff podszedł do niego, wyciągnął rękę i powiedział:

– Jak się masz, tato? Jak ci idzie?

– Pomalutku – odparł stary i potrząsnął jego dłonią albo raczej wyciągnąwszy rękę takim samym ruchem od łokcia jak Skórzana Twarz w drugstorze w Mason City, pozwolił Szeffowi nią potrząsnąć.

Lucy Stark podeszła do niego, nie mówiąc nic, i pocałowała go w lewy policzek. On też nic nie powiedział, kiedy to robiła. Objął ją lekko za ramię, właściwie nie przyciskając jej, tylko dotykając ręką, a jego sękata, pokrzywiona, brunatna stara dłoń, jakby za wielka w stosunku do przegubu, klepnęła ją po ramieniu kilka razy lekko, nieśmiało, ze znużeniem. Potem opadła i zwiśla u boku wzdłuż nogawki niebieskich

dżinsów, a Lucy Stark się cofnęła. Wtedy powiedział niezbyt głośno:

– Sie masz, Lucy.

– Sie masz, tato – odrzekła, a jego ręka zwisająca wzdłuż niebieskich spodni drgnęła, jak gdyby chciała się podnieść i poklepać ją znowu, ale się zatrzymała.

Myślę zresztą, że nie musiała tego robić. Nie trzeba było upewniać Lucy Stark o tym, co sama wiedziała i zawsze rozumiała bez słów, odkąd wyszła za Williego Starka, przyjechała tutaj i wieczorami siadywała przy kominku z teściem, którego żona już dawno umarła i w którego domu od długiego czasu nie było kobiety. A mianowicie to, że mają z sobą coś wspólnego – on, stary Stark, i Lucy, która wyszła za Williego, tego Williego Starka, co wówczas, gdy oni dwoje przesiadywali w milczeniu przed ogniem, tkwił na górze w swoim pokoju, pochylony nad książką prawniczą, z twarzą skupioną, poważną i zwisającymi na czoło, rozburzonymi włosami – co nie siedział z nimi przy ogniu, ale u siebie w pokoju, a nawet właściwie nie w pokoju, lecz w jakimś swoim wewnętrznym świecie, gdzie coś pęczniało i rosło boleśnie, głucho, niepostrzeżenie, jak wielki ziemniak w ciemnej, wilgotnej piwnicy. Wspólny dla tych dwojga był świat bezmownej ciszy przy ogniu, świat, który potrafił bez trudu wchłonąć w pełni ich poczynania i zajęcia całego dnia i wszystkich dni już przeżytych, i tych przyszłych, w których mieli wykonywać czynności składające się na życie, do jakiego byli stworzeni. Siedzieli więc razem w tej swojej wspólnej świadomości, podczas gdy polano na kominie skwierczało, syczało i pękało, i razem doświadczali pulsacji i pauz rytmu swojego życia. To właśnie było teraz dla nich czymś wspólnym i nic nie mogło im tego odebrać. Ale łączyło ich jeszcze coś innego: wspólna świadomość, że nie mają już tego, co mieli dawniej. Nie mieli już Williego Starka, który kiedyś był ich.

Szef przedstawił ojcu pana Duffy’ego, który był zachwycony, że może

go poznać, a jakże – a po nim tę całą bandę, która właśnie nadjechała drugim samochodem. Następnie machnął dużym palcem w moją stronę i zapytał ojca:

– Jacka Burdena pamiętasz, prawda?

– Pamiętam – odpowiedział stary i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Weszliśmy wszyscy do bawialni i zasiedli na kilku wyścielanych końskim włosiem fotelach, których kwaśny, stęchły zapach uderzył nas w spieczone nozdrza, i na prostych drewnianych krzeselkach, które Szeff z ojcem przynieśli z kuchni. Drobinę pyłu unosiły się w promieniach słońca, które wpadało między deszczułkami żaluzji wychodzących na zachód okien pokoju i przenikało przez niegdyś białe, a dziś żółtawe firanki, zwisające niepewnie z gzymsów niby rybackie sieci oczekujące naprawy. Zasiedliśmy więc na tym końskim włosiu czy na drewnianych siedzeniach i wpatrzyliśmy się w nie malowane deski podłogi lub w deseń linoleum rozłożonego pośrodku pokoju, jak gdybyśmy brali udział w pogrzebie i byli winni pieniądze zmarłemu. Linoleum było dość nowe, a jego kolory jeszcze żywe – czerwienie, brązy i błękity, gładkie i połyskliwe – i stanowiło jakąś śliską, dziwaczną, geometryczną wyspę pośród bezkształtnego półmroku i zakisłego, stęchłego zapachu, i powolnego wzbierania Czasu, który wpływał do tego pokoju dzień po dniu, od dawien dawna, niby w jakieś wewnętrzne morze, gdzie ryby są martwe, a woda zostawia słonawy smak na języku. Miało się wrażenie, że gdyby Szeff, pan Duffy i Sadie Burke, fotograf i reporterzy, ja sam i wszyscy pozostali skupili się w gromadkę na tym linoleum, ono mocą czaru uniosłoby się z podłogi, porwałoby w górę nas wszystkich i zatoczywszy leniwie wstępny krąg dokoła pokoju, wyfrunęło przez drzwi albo dach niczym wyspa Guliwera czy dywan z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, unosząc nas tam, gdzie było jego i nasze miejsce, a stary Stark siedziałby tutaj dalej, jak gdyby nic się nie stało, schludny i skaleczony

brzytwą, z siwymi włosami przylizanymi na mokro, przy stole, na którym wielka biblia, lampa i oprawny w plusz album spoczywały pod zimnym, drapieżnym spojrzeniem wąsatej twarzy z dużego pastelowego portretu nad kominkiem.

Niebawem Murzynka przyniosła na tacy dzban wody i trzy szklanki, szurając sucho po deskach podłogi stopami obutymi w stare pantofle tenisowe. Lucy Stark wzięła jedną szklankę, Sadie Burke drugą, a reszta podawała sobie kolejno trzecią.

Wreszcie fotograf zerknął ukradkiem na zegarek, odchrząknął i zaczął:

– Panie gubernatorze...

– No? – spytał SzeF.

– Tak sobie myślałem... że jeżeli pan i pana żona już odpoczęli i w ogóle... – Skłonił się, nie wstając, w stronę Lucy Stark, skłonem od pasa, który był nie lada wyczynem i sprawiał takie wrażenie, jakby fotograf wypił o kilka za dużo jak na ten upał i jakby robiło mu się słabo na krześle. – Jeżeli państwo wszyscy...

SzeF wstał.

– Dobra jest – powiedział z uśmiechem. – Wiem, o co panu idzie. – A potem spojrział pytająco na żonę.

Lucy Stark także wstała.

– Wszystko gotowe, tato – rzekł SzeF do ojca, a ten też podniósł się z miejsca.

SzeF wyszedł pierwszy na ganek frontowy. Wszyscy pociągnęliśmy za nim niby procesja. Fotograf poszedł do drugiego wozu, wypakował statywy i cały swój majdan i zmontował to naprzeciwko schodków. SzeF stanął na nich, uśmiechając się i mrugając oczami, jak gdyby zasypiał i już wiedział, jaki będzie miał sen.

– Najpierw zdejmujemy pana samego, gubernatorze – powiedział fotograf, a my wszyscy usunęliśmy się z ganku poza zasięg obiektywu.

Fotograf skrył głowę pod czarną płachtę, po czym znów wyjrzał, tknięty nowym pomysłem.

– Pies – odezwał się. – Niech pan weźmie do siebie psa, gubernatorze. Będzie pan go głąskał albo coś. O, tam na schodkach. To będzie fajne. Szlagier. Pan głąszcze psa, a on się opiera na panu łapami, jakby się cieszył, że pana widzi po powrocie do domu. Rozumie pan? To będzie szlagier.

– Jasne, szlagier – odparł SzeF.

Obrócił się do starego białego psa, który nawet nie drgnął, odkąd cadillac zajechał przed bramę, a teraz leżał z boku na ganku niczym wytarty futrzany dywanik.

– Pódź tu, Buck – powiedział SzeF i strzelił palcami. Ale pies się nie ruszył.

– Do nogi, Buck! – zawołał SzeF.

Tom Stark dla zachęty trącił psa stopą, ale mógł z równym skutkiem trącać materac.

– Buck bardzo się posunął – powiedział stary Stark. – Już teraz nie jest taki żwawy. – Podszedł do schodków i pochylił się takim ruchem, że człowiek spodziewał się usłyszeć odgłos skrzypienia starych zardzewiałych zawiasów na wrotach stodoły. – No, Buck, no, Buck! – zawołał przymilnie, ale bez optymizmu. Dał za wygraną i podniósł wzrok na SzeFa. – Gdyby on teraz był głodny... – rzekł i potrząsnął głową. – Gdyby był głodny, można by go zwabić. Ale nie chce mu się jeść. Zęby ma już kiepskie.

SzeF spojrział na mnie, a ja wiedziałem, za co mi płacą.

– Jack – powiedział. – Daj tutaj tego kudłacza i zrób coś, żeby wyglądał na zadowolonego, że mnie zobaczył.

Do moich obowiązków należało wiele rozmaitych rzeczy, a jedną z nich było dźwiganie piętnastoletnich, stutrzydziestopięciofuntowych,

włochatych, białych psów w letnie popołudnie i wywoływanie na ich wiernych pyskach wyrazu niewymownego szczęścia, gdy zagłądały głęboko, głęboko w oczy Szefa. Chwyciłem Bucka za przednie łapy, jak gdybym się szykował do popychania taczek, i dźwignąłem go. Nie poszło. Podniosłem go od przodu tylko na sekundę, ale właśnie w tej chwili on zrobił wydech, a ja wdech. Jeden dech Bucka wystarczył. Było to jak zionięcie smrodu z gniazda jastrzębia. Sparaliżowało mnie. Puściłem Bucka, a on zwałił się na deski ganku i legł tam jak ów dywanik z białego niedźwiedzia, do którego był podobny.

Następnie Tom Stark i jeden z reporterów zaczęli go popychać od ogona, a ja dźwigałem z przodu, wstrzymując oddech, i tak przeciągnęliśmy Bucka te siedem stóp do Szefa. Szef wyprostował się, my podnieśliśmy przód psa, i Szefa zaleciał dech Bucka. Ten dech wystarczył.

– Rany boskie, tato, czymżeś ty karmił tego psa? – zapytał Szef, gdy zdołał opanować skurcz.

– Ón ni ma wcale apetytu – odparł stary.

– Nie ma apetytu na fiołki, to pewne – rzekł Szef i splunął na ziemię.

– Przewrócił się dlatego, że tylne łapy mu się ugięły – zauważył fotograf. – Musimy go jakoś podeprzeć, a potem raz dwa zrobić zdjęcie.

– „Musimy”?! – zawołał Szef. – My?! Jak to my, psiakrew?! Chodź pan go pocałować. Jedno jego chuchnięcie może zwarzyć mleko i odrzeć korę z sosny. My, psiakrew!

Szef nabrał głęboko tchu, a my znów dźwignęliśmy psa. Nie daliśmy rady. Buck przelewał się przez ręce. Próbowaliśmy sześć czy siedem razy, ale nic z tego nie wyszło. W końcu Szef musiał usiąść na schodkach, a my przyciągnęliśmy Bucka i złożyliśmy jego wierny łeb Szefowi na kolanach. Szef położył rękę na łbie Bucka i popatrzył w obiektyw. Fotograf zrobił zdjęcie i powiedział: „Szlagier”, a Szef odparł: „Aha, szlagier”.

Szef siedział tak kilka sekund, z dłonią na łbie Bucka.



– Pies – powiedział – jest najlepszym przyjacielem człowieka. Ten stary Buck to najlepszy przyjaciel, jakiego w życiu miałem. – Podrapał bydlę po głowie. – Poczcwiwy, stary Buck, najlepszy z moich przyjaciół. Ale niech to szlag trafi – dodał i wstał tak nagle, że łeb psa zsunął mu się z kolan. – Nie pachnie ani trochę lepiej niż inni przyjaciele.

– Czy to można zamieścić, Szeffie? – zapytał jeden z reporterów.

– Jasne – odparł Szeff. – Śmierdzi tak samo jak wszyscy inni.

Następnie usunęliśmy ścierwo Bucka ze schodków i fotograf wziął się do dzieła. Zdjął Szeffa z rodziną we wszystkich możliwych kombinacjach. Potem zabrał swój sprzęt i powiedział:

– Gubernatorze, pan wie, że chcemy mieć pańskie zdjęcie na górze. W tym pokoju, gdzie pan mieszkał jako dzieciak. To będzie szlagier.

– Aha – odparł Szeff. – Szlagier.

Był to mój pomysł. Pewnie, że mógł być szlagier. Szeff siedzący tam ze swoim starym podręcznikiem szkolnym w ręce. Dobry przykład dla maluchów. Więc poszliśmy na górę.

Pokój był mały, z podłogą z gołych desek i ścianami łączonymi na pióro i wpust i niegdyś pomalowanymi na żółto; teraz jednakże farba łuszczyła się na drzewie i odpadała w miejscach, gdzie jeszcze jej trochę zostało. Było tam duże drewniane łóżko z wysokimi poręczami w głowach i w nogach, ustawione trochę skosem i przykryte białą kapą. Poza tym stół – sosnowy stół i kilka prostych krzeseł – i piecyk, który nazywają śmieciopałem, mocno już zardzewiały, a za nim, pod ścianą półki domowej roboty zapchane książkami. Na jednej czytanki, podręczniki do geografii i algebry i tym podobne, a na drugiej kupa sfatygowanych, starych książek prawniczych.

Szeff przystanął na środku pokoju, rozejrzał się uważnie, a my stłoczyliśmy się przy drzwiach jak owce i czekaliśmy.

– O Jezu! – powiedział Szeff. – Jeszcze tylko wstawić pod łóżko to

białe nocniczysko i wszystko będzie wyglądało jak w domu.

Spojrzałem w stronę łóżka, ale naczynia nie było. Brakowało tylko tego artykułu. Jego i chłopca o pyzatej, piegowatej twarzy i lnianych włosach opadających na czoło, pochylonego nad stołem w świetle lampy naftowej – naówczas musiała być pewnie naftowa – trzymającego w ręku ołówek ze śladami zębów tam, gdzie go przygryzał; ogień w śmieciopale dogasał, wiatr łomotał w północną ścianę domu, nadlatując od odległej o tysiąc mil Dakoty nad równinami zlodowaciałymi i uperlonymi śniegiem wypolerowanym twardo przez wichry i błyszczącym w mroku, nad łożyskami rzek i wzgórzami, gdzie dawniej sosny szumiały na wietrze, którego teraz nic już nie mogło zatrzymać. Ramy okna w północnej ścianie pokoju trzeszczały pod naporem wiatru, płomień lampy naftowej drgał i chwiał się od przenikającego do wnętrza prądu powietrza, ale chłopak nie podnosił głowy. Przygryzał ołówek i siedział zgarbiony. Po pewnym czasie zdmuchiwał lampę, ściągał ubranie i kładł się w białej bieliźnie do łóżka. Pościel była zimna i sztywna w dotyku. Leżał po ciemku i dygotał. Wiatr nadlatywał z tysięczmilowej oddali, łomotał w dom, okno trzeszczało, a w chłopcu coś nabrzmiewało, zwijało się powoli i zsiadało, aż wstrzymywał oddech, a krew dudniła mu głucho w głowie, niczym w piwnicy tak wielkiej jak ta ciemność za zewnątrz. Nie umiał nazwać tego, co tak w nim nabrzmiewało. Może i nie ma na to nazwy.

Tylko tego brakowało w pokoju: chłopca i nocnika. Poza tym było wszystko.

– Tak – mówił Szef. – Nie ma naczynia. Ale mnie to nie przeszkadza. Może, jak twierdzą starzy ludzie, siadywanie nad bieżącą wodą napędza człowiekowi flegmy do wnętrzości, ale na pewno diablo by ułatwiło naukę prawa. I nie trzeba by tracić tyle czasu.

Szef bywał powolny. Nieraz załatwialiśmy sprawy stanowe przez drzwi ubicacji, on wewnątrz, a ja zewnątrz, siedząc na krześle z moim

czarnym notesikiem na kolanach, obok dzwoniącego jak diabli telefonu.

Ale już fotograf zabrał się do rzeczy. Posadził Szefa przy stole i kazał mu się pochylić nad jakąś czytanką o kartkach pozaginanych w ośle uszy, po czym strzelił lampą błyskową i zdmął go. Następnie zrobił z pół tuzina innych zdjęć – Szefa na krześle przy piecyku, trzymającego na kolanach starą książkę prawniczą, i Bóg wie co jeszcze.

Zszedłem na parter, zostawiwszy ich zajętych przygotowywaniem dokumentów dla potomności.

Kiedy znalazłem się na dole, usłyszałem głosy w bawialni i domyśliłem się, że to stary, Lucy Stark, Sadie Burke i syn Szefa. Wyszedłem tylnymi drzwiami na ganek od podwórka. Słyszałem Murzynkę krzątającą się w kuchni i podśpiewującą coś o sobie i Jezusie. Minąłem ogródek, w którym w ogóle nie było trawy. Kiedy przychodziły jesienne deszcze, musiał się zmieniać w maź poznaczoną opętanymi śladami kurzych łapek. Teraz jednakże był tu pył. Obok furtki wiodącej do zagrody rósł bez indyjski i kiedy przez nią przechodziłem, rozrzucone na ziemi jagody trzaskały mi pod stopami jak pluskwy.

Przeszedłem przez zagrodę, mijając rząd kurzych kojców osadzonych na cyprysowych palach dla ochrony przed wilgocią, ze spiczastymi daszkami z drewna łupanego na deszczułki jak gonty. Zajrzałem na okólnik, gdzie była stodoła i stajnia, a kilka krzepkich, lecz wyliniałych mułów, z łbami zwieszonymi ze wstydu za swoją rasę, stało obok dużego żelaznego kotła, takiego, jakich używa się do gotowania melasy. Służył on teraz za koryto do pojenia. Obok niego sterczała rurka z kranem – jedno z tych nowoczesnych ulepszeń Szefa, których nie było widać z drogi.

Minąłem stajnie zbudowane z okrągłaków, ale pokryte porządnym blaszanym dachem, oparłem się o płot i popatrzyłem w dół stoku. Za stodołą ziemia była wypłukana i pożłobiona, a tu i ówdzie w wymytych miejscach narzucono stopy chrustu, żeby powstrzymać ten proces. Jak

gdyby to było możliwe. O sto jardów dalej, u stóp wzniesienia, widniała kępa drzew – karłowatych dębów i tym podobnych. Grunt musiał tam być wilgotny, bo trawa i chwasty na skraju kępy rosły bujnie, tropikalnie zielone. Na tle gołej ziemi, która była za nią, wydawały się zbyt zielone, aby wyglądać naturalnie. Leżało tam kilka wieprzów rozciągniętych na boku, niby wielkie szare bąble, co wyskoczyły z ziemi.

Zbliżał się już zachód słońca. Stałem oparty o płot, patrzyłem w stronę zachodu, gdzie rozlewało się światło słoneczne, i wdychałem ten suchy, czysty, amoniakowy zapach, który się czuje w pobliżu stajen pod wieczór w letni dzień. Uważałem, że mnie odnajdą, jeśli im będę potrzebny. Nie miałem najmniejszego pojęcia, kiedy to nastąpi. Przypuszczałem, że Szez z rodziną przenocuje w domu ojca. Reporterzy, fotograf i Sadie zapewne wrócą do miasta. Pan Duffy... ten chyba ma się zatrzymać w hotelu w Mason City. Albo może i on, i ja mamy też zostać u starego. Tylko że jeżeli będą chcieli wsadzić mnie z nim do jednego łóżka, to się zabiorę piechotą do Mason City. Poza tym był jeszcze Cukierek. Ale przestałem się nad tym zastanawiać. Guzik mnie obchodziło, co zrobią.

Pochyliłem się oparty rękami o płot, a ta pozycja tak wypuczyła mój zadek, że materiał spodni napiął się mocno i przycisnął mi do lewego biodra płaską flaszkę whisky, którą miałem w tylnej kieszeni. Namyślałem się nad tym przez chwilę, podziwiając koloryt zachodu i wdychając ów suchy, czysty, amoniakowy zapach, po czym wyciągnąłem flaszkę. Napiłem się i schowałem ją z powrotem. Oparłem się o płot i czekałem, aż ów koloryt zachodu wybuchnie mi w żołądku, co też i zrobił.

Usłyszałem, że ktoś otwiera i zamyka furtkę okólnika, ale się nie obejrzałem. Jeżeli się nie obejrzę, nie będzie prawdą, że ktoś otworzył tę furtkę ze skrzypiącymi zawiasami, a to jest dla człowieka wspaniała zasada do przyjęcia. Nauczyłem się jej z pewnej książki, gdy jeszcze byłem w college'u, i trzymałem się jej kurczowo. Zasadzie tej zawdzięczałem

powodzenie w życiu. Ona zrobiła ze mnie to, czym byłem. Czego nie wiesz, to cię nie boli, bo nie jest rzeczywiste. W tej mojej książce, którą miałem w college'u, nazywali to idealizmem i przyjąwszy ową zasadę, stałem się idealistą. W owych czasach byłem zatwardziałym idealistą.

Jeżeli ktoś jest idealistą, wtedy wszystko, co robi czy co się dzieje dookoła, nie ma znaczenia, bo i tak nie jest rzeczywiste.

Kroki zbliżały się coraz bardziej i bardziej, tłumione przez miękki piasek. Nie podniosłem wzroku. A potem poczułem, że drut płotu ugina się z chrzęstem, bo ktoś inny też oparł się o niego, aby podziwiać zachód słońca. Ten pan X i ja podziwialiśmy tak razem zachód słońca przez kilka minut bez słowa. Gdybym nie słyszał jego oddechu, nie wiedziałbym, że tam jest.

A potem uczułem ruch i drut odgiął się, kiedy pan X zdjął zeń ciężar swojego ciała. Następnie czyjaś dłoń klepnęła mnie po lewym biodrze i usłyszałem głos: „Daj mi łyk”. Był to głos Szefa.

– Bierz – odrzekłem. – Przecież wiesz, gdzie mieszka.

Uniósł połą mojej marynarki i wyciągnął flaszkę. Słyszałem bulgot, gdy czynił spustoszenie. Potem drut ugiął się znowu, kiedy się na nim oparł.

– Takem i myślał, że tutaj przyjdiesz – powiedział. – I chciałeś się napić – odparłem bez goryczy.

– Aha – rzekł. – A tata nie pochwała picia. Nigdy nie pochwał.

Spojrzałem na niego. Stał pochylony nad płotem, opierając się mocno o drut w sposób, który płotowi nie mógł wyjść na dobre, oburącz trzymając zakorkowaną butelkę, a przedramiona złożone miał na drucie.

– Dawniej Lucy też tego nie pochwałała – powiedziałem.

– Wszystko się zmienia – odparł. Odkorkował butelkę, pociągnął jeszcze łyk i zakorkował ją na powrót. – Ale Lucy... – powiedział. – Nie wiem, czy ona się zmieniła, czy nie. Nie wiem, czy teraz to pochwała,

czy nie pochwała. Sama nigdy whisky nie tyka. Ale może rozumie, że to człowiekowi uspokaja nerwy.

Roześmiałem się.

– Ty nie masz nerwów – powiedziałem.

– Jestem kłębkim nerwów – odrzekł i wyszczerzył zęby. Wciąż staliśmy oparci o płot, patrząc, jak światło kładzie się na równinę i pada na kępę drzew w dole. Szeff wyciągnął głowę nieco do przodu, zaczekał, aż u warg sformuje mu się spora banieczka śliny, po czym pozwolił jej opaść między swymi przedramionami do drewnianego koryta dla świń, które stało przed nami tuż za płotem. Koryto było puste, tylko kilka czerwonych ziaren kukurydzy i parę łupin leżało w środku i na ziemi pod nim.

– Ale tutaj niewiele się zmienia – rzekł Szeff.

To nie wymagało odpowiedzi, więc jej nie udzieliłem.

– Założyłbym się, że w swoim czasie władowałem w to koryto z dziesięć tysięcy galonów pomyj – rzekł. Spuścił do koryta drugą banieczkę śliny. – Założę się, że wykarmiłem z niego z pięćset sztuk wieprzów. I jak Boga kocham – dodał – dalej to robię. Wylewam pomyje.

– Ano – odrzekłem – przecież pomyjami się żywią, nie? Nic mi na to nie odpowiedział.

Zawiasy furtki okólnika znowu skrzypnęły i obejrzałem się. Teraz nie miałem już powodu, by się nie oglądać. Była to Sadie Burke. Brnęła w swych białych pantofelkach przez piach, jakby miała jakąś bardzo pilną sprawę, a za każdym jej krokiem wydawało się, że trzaśnie na niej spódnica kostiumu w niebieskie paski – tak się spieszyła. Szeff obrócił się i spojrzął na nią, trzymając w ręce flaszkę, którą następnie mi oddał.

– Co tam? – zapytał, kiedy znalazła się o dziesięć stóp od nas.

Nie odpowiedziała od razu, ale podeszła bliżej. Oddychała ciężko po tym pośpiechu. Słońce padało na jej lekko dziobatą twarz, wilgotną od

potu; zaczesane do tyłu czarne włosy były zjeżone i naelektryzowane, a duże, głębokie, wyraziste oczy płonęły w jej twarzy w świetle słońca.

– Co tam? – powtórzył Szeff.

– Sędzia Irwin – wybąkała resztkami tchu.

– No? – odrzekł Szeff. Wciąż stał oparty o drut, ale patrzył na Sadie tak, jakby lada chwila mogła dobyć rewolweru, a on gotował się, żeby swój wyrwać pierwszy.

– Dzwonił Matlock... międzymiastowa... i mówił, że w popołudniowej gazecie...

– Wykrztuśże to – rzucił Szeff. – Wykrztuś!

– Szlag by trafił – odparła Sadie. – Wykrztuśzę, jak przyjdę do siebie. Wykrztuśzę, jak złapię dech. Jeżeli przyjdę do siebie i jeżeli ty...

– W tej chwili zużywasz sporo tchu – powiedział Szeff tonem tak miękim, że przywodził na myśl głaskanie kota po grzbiecie.

– To mój dech i nikt go jeszcze nie kupił – warknęła na niego Sadie. – Mało nóg nie zerwę, tak gnam, żeby ci coś powiedzieć, a ty mi: „Wykrztuś, wykrztuś!”, zanim złapię dech. Powiem ci, jak przyjdę do siebie. Jak zdołam odetchnąć i...

– Nie wydajesz mi się specjalnie zasapana – zauważył Szeff, znów opierając się z uśmiechem o drut.

– Myślisz, że to takie szalenie zabawne – rzekła Sadie. – O, tak, szalenie zabawne!

Szeff nie odpowiedział. Dalej opierał się o drut, jak gdyby miał przed sobą cały dzień, i uśmiechał się ciągle. W przeszłości zauważyłem, że kiedy uśmiecha się w ten sposób, nie wpływa zbyt kojąco na Sadie. A teraz objawy też najwyraźniej przebiegały prawidłowo.

Wobec tego odwróciłem skromnie wzrok od tej pary i powróciłem do podziwiania zamierającego dnia i elegijnego pejzażu za świńskim okólnikiem. Nie dlatego, żeby ci dwoje krępowali się mną, gdyby mieli

coś na sercu. Choćby wokoło zgromadziły się potęgi, trony i władztwa, Sadie, gdyby jej przyszła ochota, i tak by sobie pofolgowała. Szeff zaś też nie miał specjalnie nieśmiałego usposobienia. Czasem tak zaczynał z byle jakiego powodu i Szeff leżał sobie i szczyrzył zęby, rozjuszając Sadie, aż te jej wielkie, czarne, błyszczące oczy o mało nie wylazły z orbit, a pukiel czarnych włosów odłączał się od zmierzwionej czupryny i opadał jej na twarz, tak że musiała odgarniać go wierzchem dłoni. Kiedy była podhecowana, mówiła dużo, ale Szeff niewiele odpowiadał. Tylko podśmiewał się z niej. Najwyraźniej rozkoszował się tym, że ją rozjusza, a sam leżał i tylko się przyglądał. Nawet kiedy go raz trzepnęła, i to porządnie, mocno, patrzył na nią dalej tak, jakby była tańczącą dla niego Hawajką. Rozkoszował się, owszem, tym podkręcaniem jej, póki w końcu nie trafiła go w bolesne miejsce. Ona jedna wiedziała, jak to zrobić. Czy też miała odwagę. Wtedy dopiero przedstawienie zaczynało się naprawdę. Nie dbali o to, kto przy tym jest. A już na pewno nie, jeżeli to byłem ja – ja zaś nie miałem żadnego powodu odwracać się przez delikatność. Przez długi czas byłem tylko meblem, ale wciąż jeszcze we mnie pokutowała jakaś resztką manier, których uczyła mnie babka, i od czasu do czasu brała górę nad ciekawością. Jasne, byłem tylko meblem – o dwóch nogach i z perspektywą czeku na pensję – ale mimo to spoglądałem teraz na zachód słońca.

– O, to diabelnie zabawne – mówiła Sadie – ale nie będziesz uważał, że takie zabawne, kiedy się dowiesz. – Przerwała, po czym rzekła: – Sędzia Irwin opowiedział się za Callahanem.

Chyba że trzy sekundy było zupełnie cicho, ale zdawało się, że to trwa z tydzień, a tymczasem jakiś dziki gołąb w tej kępie drzew, w dole, gdzie leżały wieprze, kilkakrotnie popróbował złamać gruchaniem swoje i moje serce.

A potem usłyszałem głos Szefa:



– To drań.

– Było w popołudniowych gazetach... poparcie – wyjaśniła Sadie. – Matlock telefonował z miasta. Żeby dać ci znać.

– Podstępny drań – rzekł Szeff.

Potem dźwignął się znad drutu, a ja obróciłem głowę. Domyślałem się, że konklawe zostanie rozwiązane. Tak też się stało.

– Chodźcie – rzekł Szeff i ruszył pod górę w stronę domu, obok niego Sadie, która tak się spieszyła, by mu dotrzymać kroku, że mało jej spódnica nie trzasła, a za nimi ja.

Mniej więcej w chwili, gdy dochodziliśmy do furtki, przy której rósł indyjski bez, a na ziemi pękały pod stopami jagody, Szeff powiedział do Sadie:

– Każ im się stąd zabierać.

– Tiny myślał, że zje tu kolację – rzekła Sadie – a Cukierek odwiezie go do Mason City na ten powrotny pociąg o ósmej. Sam go zaprosiłeś.

– Odpraszam go – odparł Szeff. – Wygoń ich wszystkich.

– Z największą przyjemnością – powiedziała Sadie i czułem, że mówię ze szczerego serca.

Wygoniła ich, i to szybko. Ich samochód odjechał wyżwirowaną drogą, przysiadając na resorach tylnej osi, z ludzkimi ciałami wylewającymi się przez okna, po czym spłynął na nas wieczorny spokój. Poszedłem na drugą stronę domu, gdzie między słupem a dębem rozwieszony był hamak z drutu i klepek od beczek, taki, jakie robią w tych stronach. Zdjąłem marynarkę, zawiesiłem ją na słupie, wpuściłem do jej bocznej kieszeni moją flaszkę, żeby mi nie ugniała kości biodrowej, kiedy się położę, i wlałem na hamak. Szeff był po drugiej stronie ogrodu, gdzie rosły mirty, i kroczył tam i z powrotem po zakurzonej trawie. Cóż, sam nawarzył tego piwa, to niech je teraz pije. Ja sobie leżałem w hamaku. Leżałem i przypatrywałem się spodniej stronie liści dębu, suchej,

szarawej i pylnozielonej, i widziałem, że na niektórych są rdzawe, jakby wyżarte plamki. To były te liście, co miały niedługo odłączyć się od gałęzi – i wcale nie wskutek wiatru: po prostu włókna puszcza gdzieś w środku dnia, gdy słońce świeci jasno, a w powietrzu jest taki spokój, że aż boli, podobnie jak nazajutrz po wizycie u dentysty to miejsce, gdzie był ząb; albo jak boli serce w piersi, gdy stoisz na rogu ulicy, czekając na zielone światło, i przypadkiem wspomnisz, jak było niegdyś i jak mogłoby być, gdyby nie stało się to, co się stało.

A potem, gdy tak patrzyłem na liście, usłyszałem suchy trzask od strony okólnika. Po chwili powtórzył się znowu. Wtedy odgadłem, co to takiego. Cukierek zabawiał się tam swoją trzydziestką ósemką special. Ustawiał na słupku puszkę albo butelkę, odwracał się i odchodził, trzymając rewolwer, zabezpieczony, lewą ręką za lufę, i stapał tak równym krokiem na krótkich nóżkach, w swoich zawsze niebieskich spodniach wypchanych na wypiętym siedzeniu, a ostatnie promienie wieczornego słońca połyskiwały mu na łysinie między kępkami szczecinowatych włosów przypominających zbiegłe porosty. A potem raptem stawał, chwycił prawą ręką kolbę pukawki i okręcał się – wszystko to jednym, szybkim, niezgrabnym ruchem, jak gdyby pękła w nim jakaś sprężyna – i pukawka wywalała, puszka zlatywała ze słupka albo butelka rozpryskiwała się na wszystkie strony. Prawie zawsze. A potem Cukierek mówił: „D-d-draństwo”, potrzasał głową i ślina leciała.

Najpierw był pojedynczy trzask i dłuższa chwila czekania. To oznaczało, że trafił za pierwszym razem i wlecze się do słupka, żeby ustawić następny cel. Potem, po chwili, drugi trzask i pauza. Następnie rozległy się dwa trzaski, raz po raz. To znaczyło, że Cukierek chybił pierwszym strzałem, a trafił za drugim.

Później musiałem się zdrzemnąć, bo kiedy się ocknąłem, Szefer stał nade mną, mówiąc:

– Czas coś zjeść.

Poszliśmy więc do domu na kolację.

Zasiedliśmy do stołu – stary Stark u jednego końca, a Lucy u drugiego. Lucy odgarnęła z twarzy wilgotny od potu kosmyk włosów i jeszcze po raz ostatni rzuciła okiem na stół, żeby sprawdzić, czy czegoś nie brakuje, niby generał dokonujący inspekcji oddziałów. Nie ma co mówić, znalazła się w swoim żywiole. Przez długi czas była poza nim, ale gdy tylko doń wracała, ruszała ostro niczym kot wypuszczony z worka.

Żuchwy zaczęły pracować wokół stołu, a ona je obserwowała przy pracy. Siedziała, jedząc niewiele, wypatrując bystro każdego pustego miejsca na talerzu, i obserwowała ten ruch szczęk, a jej twarz jakby się wygładzała i odprężała od wewnętrznej wiary w szczęśliwość, podobnie jak twarz głównego mechanika na statku, gdy nocą schodzi do maszynowni, a wielkie koło aż miga, tłoki skaczą w górę i w dół, ogromne stalowe wykorbienia tańczą po swej doskonałej orbicie jak w balecie, cała maszynownia w elektrycznym blasku huczy, błyska i śpiewa niczym wieczysty mózg boży, a statek pruje z szybkością dwudziestu dwóch węzłów po szklistym, rozświetlonym gwiazdami morzu.

Tak więc mięśnie żuchwowe pracowały dokoła stołu, a Lucy Stark siedziała w szczęściu samospelnienia.

Właśnie zdołałem przełknąć ostatnią łyżeczkę czekoladowych lodów, którą musiałem wtłoczyć sobie do przełyku niczym mokry beton do kesonu, gdy wtem Szef, który był tęgim i systematycznym jadaczem, przeżuł ostatni kęs, podniósł głowę, otarł serwetką dolną połowę twarzy i powiedział:

– No, wygląda na to, że Jack, Cukierek i ja łyknijemy sobie trochę nocnego powietrza na szosie.

Lucy Stark szybko spojrzała na Szefa, a potem odwróciła wzrok i poprawiła solniczkę. Na pierwszy rzut oka przypominało to spojrzenie,

które żona posyła mężowi, kiedy ten odsuwa krzesło po kolacji i oznajmia, że na chwilę wyskoczy na miasto. Ale zaraz wiedziałeś, że to nie tak. W tym spojrzeniu nie było żadnego pytania ani protestu, nagany czy rozkazu, litowania się nad sobą, żalości ani żadnego „ach-więc-już-mnie-nie-kochasz”. Nie było w nim po prostu nic, i to właśnie je wyróżniało. Był to nie lada wyczyn. Każdy akt czystej percepcji jest wyczynem, a jeżeli nie wierzycie, to kiedyś spróbujcie.

Natomiast Stark ojciec spojrział na syna i powiedział:

– A ja takem sobie miarkował... takem miarkował, że zostaniesz tu na noc.

Nietrudno odgadnąć, o co mu chodziło. Dziecko wraca do domu i rodzice od razu zarzucają na nie haczyk. Ojciec czy matka, zależnie od przypadku, nie mają dziecku nic do powiedzenia. Chcą tylko, żeby ich dziecko posiedziało na krześle przez parę godzin, a potem położyło się spać pod tym samym dachem. To nie jest miłość. Wcale nie twierdzą, że nie ma takiej rzeczy jak miłość. Wskazują jedynie na coś, co jest odmienne od miłości, ale czasami uchodzi za miłość. Możliwe, że bez tego czegoś, o czym tu mówię, nie byłoby w ogóle miłości. Ale samo w sobie miłością to nie jest. Po prostu jest czymś we krwi. Rodzajem żądzny krwi i zarazem przeznaczeniem człowieka. Jest to coś, co ma człowiek i co go odróżnia od szczęsnego świata zwierząt. Kiedy się rodzisz, twój ojciec i matka tracą coś z samych siebie i potem są gotowi wyjść ze skóry, żeby to odzyskać, a tym czymś jesteś ty. Wiedzą, że nie mogą odzyskać tego w całości, ale chcą urwać z ciebie tyle, ile się da. I miłe rodzinne spotkanie, z majówką pod jaworami, mocno przypomina skok do basenu pełnego ośmiornic. W każdym razie tak bym to określił wtedy, tamtego wieczoru.

Stary Stark poruszył więc kilka razy swym jabłkiem adamowym, podniósł przymglone, smutne, stare niebieskie oczy na Szefa, który był

jego krwią z krwi, choć nikt by tego nie odgadł, i zarzucił haczyk. Ale nie się nań nie złapało. Z Williem to nie wychodziło.

– Nie – odrzekł Szeff. – Muszę już uciekać.

– Takem sobie miarkowałam... – zaczął stary, po czym dał za wygraną i wycofał się. – Ale jeżeli to jakieś interesa...

– Nie interesy – odparł Szeff. – Czysta przyjemność. Przynajmniej chciałbym, żeby tak było, dopóki z tym nie skończę.

Roześmiał się, wstał od stołu, cmoknął żonę w lewy policzek, klepnął syna po ramieniu nieporadnie, tak jak zwykle ojcowie klepią po ramieniu synów (zawsze jest w tym coś jakby przepraszającego, a jeśli idzie o Toma Starka, to każdy, kto klepał go po ramieniu, nawet Szeff, lepiej by zrobił, gdyby przeprosił, bo Tom był aroganckim pętakiem i kiedy ojciec poklepał go tamtego wieczora, nawet nie raczył podnieść wzroku). Potem Szeff powiedział: „Nie czekajcie na mnie” i ruszył do drzwi. Cukierek i ja poszliśmy za nim. Była to dla mnie pierwsza wiadomość o tym, że mam łyknąć nocnego powietrza. Ale od Szefa dostawało się zazwyczaj tylko takie uprzedzenia. Wiedziałem dość, aby to wiedzieć.

Kiedy doszedłem do cadillaca, Szeff siedział już z przodu, obok kierowcy. Usiadłem więc z tyłu i przygotowałem się wewnętrznie na to, że będę rzucony z boku na bok na zakrętach. Cukierek wlaź za kierownicę, nacisnął starter i zaczął wydawać dźwięk mniej więcej taki: „Gy-gy-gy-gy”. Coś niby puszczyk hukający w nocy na bagnie. Gdyby miał dosyć czasu i śliny, byłby zapytał: „Gdzie jedziemy?” Ale Szeff nie czekał. Powiedział:

– Do Burden’s Landing.

A więc to tak. Burden’s Landing. Cóż, powinienem był się domyślić.

Burden’s Landing znajduje się o sto trzydzieści mil na południowy zachód

od Mason City. Jeżeli sto trzydzieści pomnożyć przez dwa, wypadnie dwieście sześćdziesiąt mil. Była już prawie dziewięta, na niebie gwiazdy, a na nizinach zaczynały się pokazywać opary. Bóg raczy wiedzieć, która będzie godzina, kiedy nareszcie się położymy, po to, żeby wstać nazajutrz, zjeść tęgie śniadanie i ruszać w dalszą drogę do stolicy stanu.

Oparłem się wygodnie i przymknąłem oczy. Żwir pryskał o spód błotników, potem przestał, tył samochodu rzuciło w bok, a mnie z nim, i już wiedziałem, że znowu jesteśmy na betonie i że teraz się zacznie.

Pognamy po nawierzchni bielejącej w świetle gwiazd między kępami lasów i ciemnymi polami, z których wstawał opar. Daleko w bok od drogi wychynie z mgieł jakaś stodoła niczym dom sterczący nad wezbraną wodą, gdy rzeka wyleje przez groblę. Przy drodze będzie stać krowa po kolana w oparze, z rogami tak wilgotnymi, że aż połyskującymi perłowo w świetle gwiazd, i popatrzy na czarną smugę, którą będziemy my, pędzący w rozjarzony korytarz świateł reflektorów, w który nigdy nie zdołamy się całkiem dostać, bo będzie rozszczepiał mrok wciąż tuż przed nami. Krowa, stojąc tam po kolana w oparze, popatrzy na tę czarną smugę i blask, a potem, nie obracając głowy, w miejsce, gdzie była czarna smuga i blask; popatrzy z tą daleką, ociężałą, beznamiętną obojętnością Boga Wszchemocnego czy Losu, czy moją własną, gdybym to ja tam stał po kolana w oparze, a smuga i blask przemknęłyby i roztopiły się między polami i kępami drzew.

Ale nie stałem tam na polu, w ciemnościach, w oparze kłębiącym się z wolna wokoło kolan i z tykającym nie-głosem nocy pod czaszką. Siedziałem w samochodzie, jadąc do Burden's Landing, biorącego swą nazwę od ludzi, od których i ja wziąłem nazwisko – do miejsca, gdzie urodziłem się i wychowałem.

Mieliśmy tak jechać dalej między polami, póki nie dotrzemy do miasta. Tam, wzdłuż ulicy, pod drzewami, będą stać domy, w których już

gasną światła, i trafimy na główną ulicę, gdzie światło pali się jaskrawo wokoło wejścia do kina, chrabąszcze bzykają, uderzając o żarówki, i odbijają się rykoszetem na betonowy chodnik, by chrupnąć sucho pod czyjąś podeszwą. Mężczyźni stojący przed salą bilardową popatrzą na wielkiego, czarnego ducha wozu mknącego ulicą i któryś splunie na jezdnię i powie: „Draniowi zdaje się, że jest kimś”, i pomyśli, że chciałby siedzieć w takim wielkim, czarnym samochodzie, ogromnym jak karawan, z resorami miękkimi jak pierś matki, z silnikiem pracującym bez szumu przy siedemdziesięciu pięciu milach na godzinę, kiedy tak pędzi gdzieś w ciemność. Ja też gdzieś jechałem. Wracalem do Burden's Landing.

Mieliśmy wjechać do Burden's Landing przez nowy bulwar nad zatoką. Powietrze ma tam słony zapach, może z odrobiną rybnej, smętnej, słodkiej woni piasków po odpływie, niemniej jednak świeży. Gdy przyjedziemy, będzie prawie północ, a światła na trzech ulicach śródmieścia już pogaszone. Za centrum i małymi domkami są inne domy wzdłuż zatoki, ukryte wśród magnolii i dębów, z białymi ścianami majaczącymi za czernią drzew i żaluzjami, które, zielone za dnia, ciemniej na tle białych murów. Ludzie będą leżeć w pokojach za żaluzjami, przykryci tylko prześcieradłem. Wiele nocy spędziłem za tymi żaluzjami od czasu, gdy byłem tak mały, że siusiałem w łóżko. Urodziłem się w takim pokoju za żaluzjami. Za którymiś z nich będzie dzisiejszej nocy leżała moja matka, ze zwiewnym pasemkiem koronki na ramiączkach nocnej koszuli i twarzą tak gładką jak twarz dziewczyny – poza tymi drobnymi zmarszczkami w kącikach oczu i ust, zresztą niedostrzegalnymi w półmroku – ze złożonym na prześcieradle nagim ramieniem o dłoni z lakierowanymi paznokciami, wąskiej i kruchej, i zdradzającej wiek. Theodore Murrell też będzie tam leżał, oddychając z lekko adenoidalnym syczeniem spod swego pięknego blond wąsa. No cóż; to było legalne, bo matka wyszła za Theodore'a Murrella, człowieka znacznie od niej młodszego, który miał piękne blond

włosy skręcone na czubku krągłej czaszki jak pierścionki i który był moim ojczymem. Zresztą nie pierwszym ojczymem, jakiego miałem.

Dalej przy bulwarze, ukryty wśród dębów i magnolii, będzie dom Stantonów, zamknięty i pusty za spuszczoneymi żaluzjami, bo Anna i Adam siedzą teraz w mieście, są już dorośli i nie chodzą ze mną na ryby, a ojciec ich zmarł. Jeszcze dalej, tam gdzie zaczynają się pola, stoi dom sędziego Irwina. Zatrzymamy się dopiero przed nim. Ale sędziemu złożymy małą wizytkę.

– Szefie – odezwałem się.

Odrócił się i na tle jasności reflektorów zobaczyłem masywny, czarny zarys jego głowy.

– Co ty mu powiesz? – zapytałem.

– Ano, nigdy nie wiadomo, póki nie przyjdzie pora – odrzekł. – Psiakrew – poprawił się – może w ogóle nic nie powiem. Nie wiem, czy mam mu coś do powiedzenia. Po prostu chcę mu się dobrze przypatrzeć.

– Sędzia nie da się tak łatwo zastraszyć – powiedziałem. Nie, nie spodziewałem się, że sędzia da się łatwo zastraszyć; wspomniałem proste plecy tego człowieka, kiedy zeskakiwał z siodła, zarzucał wodze na sztachety parkanu Stantonów i siedł po wysypanej muszelkami ścieżce ku werandzie, z panamą w ręku, z gęstymi, ciemnorudymi włosami zmierzwionymi jak grzywa na sklepionej czaszce, orlim, rumianym nosem sterczącym z twarzy i żółtymi tęczęwkami oczu, jasnymi i twardymi jak topaz. Zgoda, to było prawie dwadzieścia lat temu, i może dziś nie miał już pleców tak prostych jak wtedy (te zmiany zachodzą tak powoli, że się ich nie zauważa), i może żółte oczy trochę zmętniały ostatnio, lecz mimo to nie przypuszczałem, żeby sędzia dał się łatwo zastraszyć. Chyba o to jedno mógłbym się założyć: że się nie złęknie. Gdyby się złąkł, byłby to dla mnie zawód.

– Nie, wcale nie liczę na to, że da się zastraszyć – rzekł Szef. – Chcę



mu się tylko przypatrzeć.

– A niech to szlag trafi! – wybuchnąłem i zanim się spostrzegłem, poderwałem się na siedzeniu. – Chyba zwariowałeś, jeżeli myślisz, że ci się uda go zastraszyć!

– Spokojnie – rzekł Szeff i roześmiał się.

Nie widziałem jego twarzy. Na tle blasku reflektorów była jedynie czarna bryła, z której dobywał się śmiech.

– Chcę mu się tylko przypatrzeć – powtórzył Szeff. – Tak, jakem ci powiedział.

– No cóż, toś sobie wybrał fajną porę i fajny kawał drogi, żeby mu się przyglądać – powiedziałem, już teraz tylko rozdrażniony, i z powrotem opadłem na poduszki. – Dlaczego nie zaprosisz go kiedyś do siebie?

– Kiedyś to nie jest teraz – odparł Szeff.

– Nie wypada ci tego robić – rzekłem.

– Więc uważasz, że to poniżej mojej godności, co? – spytał Szeff.

– Cóż, jesteś gubernatorem. Podobno.

– Taak, jestem gubernatorem, Jack, a z gubernatorami jest ta bieda, że uważają za konieczne zachowywać godność. Ale słuchaj: nie ma rzeczy wartej zrobienia, którą człowiek może zrobić, zachowując godność. Znasz choćby jedną rzecz, którą Bogiem a prawdą masz chęć zrobić, a możesz przy tym zachować godność? Człowiek po prostu nie jest tak skonstruowany.

– Niech będzie – odparłem.

– A jak zostanę prezydentem, jeżeli będę miał ochotę z kimś się zobaczyć, to też pojadę prosto do niego.

– Jasne – odrzekłem. – W środku nocy. Ale mam nadzieję, że wtedy zostawisz mnie w domu, żebym się wyspał.

– Cholera tam zostawię! – powiedział. – Jak będę prezydentem, zabiorę cię z sobą. Będę trzymał ciebie i Cukierka w samym Białym Domu, żeby

was mieć pod ręką. Cukierek będzie miał rewolwerową strzelnicę w tylnej sali i paru republikańskich kongresmanów do obsługi, żeby mu ustawiali puszki, a ty będziesz mógł wprowadzać swoje dziewczyny głównym frontowym wejściem i zawsze się znajdzie jakiś członek gabinetu, żeby im podać palto i pozbierać po nich szpilki do włosów. Do tego się specjalnie przeznaczy kogoś z rządu. Zostanie on ministrem sypialni Jacka Burdena, będzie zapisywał numery telefonów i odsyłał pod właściwym adresem wszelkie pozostawione artykuły galanteryjne z różowego jedwabiu. Tiny ma odpowiednią figurę, więc tylko każę mu zrobić pewną drobną operację, ubiorę go w bufiaste jedwabne szarawary i turban i dam mu blaszaną szablę niczym Wielkiemu Mistrzowi czy jak tam, i będzie mógł sobie siedzieć pod twoimi drzwiami jako minister sypialni. No, co ty na to, chłopie?

Przechylił się przez oparcie przedniego siedzenia i klepnął mnie po kolanie. Musiał dobrze wyciągnąć rękę, bo od przedniego siedzenia cadillaca do mojego kolana było daleko, chociaż na wpół leżałem.

– Przejdiesz do historii – powiedziałem.

– No jasne!

Zaczął się śmiać. Odwrócił się, żeby popatrzeć na oświetloną szosę, i śmiał się dalej.

Potem przejechaliśmy przez jakieś miasteczko i zatrzymaliśmy się za nim przy stacji benzynowej i kiosku spożywczym. Cukierek wziął trochę benzyny i przyniósł Szefowi i mnie coca-coli. Po czym ruszyliśmy dalej.

Szef nie odezwał się już ani słowem, póki nie dojechaliśmy do Burden's Landing. A wtedy rzekł tylko:

– Jack, powiedz Cukierkowi, jak znaleźć ten dom. To przecież twoi kumple tam mieszkają.

Tak, moi kumple tam mieszkają. Czy też kiedyś mieszkali. Adam i Anna Stanton mieszkali niegdyś w tym białym domu należącym do ich

owdowiatego ojca, gubernatora. To byli moi przyjaciele, Anna i Adam. Łowiłem z Adamem ryby i pływałem łodzią po całym tym krańcu Zatoki Meksykańskiej, a Anna, która miała duże oczy, spokojną twarz i szczupłą figurę, była wciąż przy nas i nigdy nie mówiła ani słowa. Adam i ja polowaliśmy i obozowaliśmy po całej okolicy, a ona była z nami – cienkonoga dziewczynka o jakieś cztery lata młodsza od nas. Siadywaliśmy też przy ogniu w domu Stantonów lub w moim, bawiąc się zabawkami albo czytając, a Anna siedziała przy nas. Potem zaś, po długim czasie, Anna przestała być małą dziewczynką. Stała się dużą dziewczyną, a ja kochałem się w niej tak, że żyłem niczym we śnie. W tym śnie moje serce zdawało się gotowe pęknąć, bo tkwił w nim niejako cały świat, który nabrzmiwał, żeby wydostać się na zewnątrz i być światem. Ale tamto lato dobiegło końca. Czas mijał i nie stało się to, co do czego mieliśmy taką pewność, że się stanie. Tak więc Anna była teraz starą panną, mieszkała w mieście i chociaż wciąż jeszcze wyglądała doskonale i nosiła suknie, w których jej było do twarzy, śmiech jej stał się suchy, a w rysach pojawiło się pewne napięcie, jak gdyby usiłowała coś sobie przypomnieć. Cóż to próbowała przypomnieć sobie Anna? Ano, ja nie musiałem nic sobie przypominać. Mogłem sobie przypomnieć, ale nie chciałem. Gdyby rodzaj ludzki nic nie pamiętał, byłby całkowicie szczęśliwy. Niegdyś, na uniwersytecie, studiowałem historię i jeżeli czegoś się z niej nauczyłem, to właśnie tego. Albo, mówiąc ściślej, wydawało mi się, że właśnie tego się nauczyłem.

Mieliśmy więc jechać bulwarem – wzdłuż szeregu domów stojących nad zatoką – i tam to mieszkali dawniej wszyscy moi przyjaciele. Anna, teraz będąca już starą panną albo prawie. Adam, obecnie sławny chirurg, który nadal był dla mnie miły, ale już ze mną nie chodził na ryby. I sędzia Irwin, który mieszkał w ostatnim domu i był przyjacielem mojej rodziny, który zabierał mnie na polowania, uczył strzelać i jeździć konno i czytał

mi oprawne w skórę dzieła historyczne w swoim ogromnym gabinecie. Kiedy Ellis Burden odszedł od mojej matki, sędzia był mi bardziej ojcem niż ci mężczyźni, którzy się z nią żenili i sprowadzali do domu Ellisa Burdena. No i sędzia był prawdziwym mężczyzną.

Powiedziałem więc Cukierkowi, którądy ma jechać przez miasto na bulwar, gdzie teraz czy dawniej mieszkali wszyscy moi przyjaciele. Przez ulice, na których światła były pogaszone z wyjątkiem latarni wiszących na słupach telefonicznych, wydostaliśmy się na bulwar nad zatoką, przy którym domy białły jak kości pośród magnolii i dębów.

Kiedy nocą przejeżdżasz przez miasteczko, w którym niegdyś mieszkałeś, wydaje ci się, że zobaczysz siebie w spodenkach do kolan, stojącego samotnie na rogu ulicy pod wiszącymi lampami, o których blaszane klosze rozbijają się chrabąszcze i spadają ogłuszone na chodnik. Spodziewasz się zobaczyć tego chłopca tam, pod latarnią, wałęsającego się zbyt późno po nocy, i masz ochotę powiedzieć mu, że powinien już wrócić, położyć się do łóżka, bo inaczej zrobią mu piekło. Ale może leżysz w domu, w łóżku, śpisz twardo, nie śniesz o niczym i nie stało się w ogóle nic z tego, co jakoby się stało. Lecz w takim razie któż to, u diaska, siedzi w tym wielkim, czarnym cadillacu, który jak duch przelatuje przez miasteczko? No przecież to Jack Burden. Nie pamiętacie małego Jacka Burdena? Dawniej wypływał po południu łódką na zatokę i łowił ryby, a potem wracał do domu, jadł kolację, całował na dobranoc swą piękną matkę, odmawiał pacierz i kładł się do łóżka o wpół do dziesiątej wieczorem. Ach, mówicie o tym synku Ellisa Burdena? Tak, i o tej kobiecie z Teksasu – czy może z Arkansas? – z którą się Ellis ożenił, tej szcuplej kobiecie o wielkich oczach, co teraz mieszka w dawnym domu Burdena z mężczyzną, którego sobie wybrała. A co się stało z Ellisem Burdenem? Nie wiem, do licha; od lat nikt tutaj nie miał o nim wiadomości. To był dziwak. No przecież, że dziwak, psiakrew, jeżeli sobie poszedł i zostawił

taką przystojniaczkę jak ta kobieta z Arkansas. Może nie potrafił jej dać, czego chciała. Ano, dał jej tego chłopaka, tego Jacka Burdena. To fakt.

Zjawiasz się nocą w miasteczku i słyszysz te głosy.

Dojechaliśmy do końca bulwaru i zobaczyłem dom, biały jak kość za ciemnymi gałęziami dębów.

– To tutaj – powiedziałem.

– Zaparkuj tu – rzekł Szeff. A potem do mnie: – Tam się świeci. Drab jeszcze nie leży. Podejdź do drzwi, zapukaj i powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć.

– A jeżeli nie otworzy?

– Otworzy – odparł Szeff. – Ale gdyby nie, to go zmusz. Za co ci płacę, do diabła?

Wysiadłem z samochodu, wszedłem przez furtkę i ruszyłem wysypaną muszelkami ścieżką pod czarnymi drzewami. Usłyszałem, że Szeff idzie za mną. Doszliśmy tak razem, on tuż w tyle, aż na schody wejściowe.

Szeff usunął się na bok, ja otworzyłem drzwi siatkowe i zapukałem. Potem jeszcze raz; spojrzawszy przez szybę obok wejścia, zobaczyłem, że w głębi hallu otwierają się drzwi – tam, gdzie, jak pamiętałem, była biblioteka – po czym ktoś wniósł do hallu latarkę. Szedł do drzwi wejściowych. Przez szybę widziałem, jak majstruje przy zamku.

– Kto tam? – zapytał.

– Dobry wieczór, panie sędzio – powiedziałem.

Stał i mrużąc oczy, patrzył w ciemność na dworze, usiłując dojrzeć moją twarz.

– Jack Burden – rzekłem.

– Ach, to Jack, no niech mnie licho! – Wyciągnął do mnie rękę. – Wejdźże! – Był wyraźnie zadowolony, że mnie widzi.

Uścisnąłem mu dłoń i wszedłem do środka, gdzie w świetle niezbyt jasnej latarki błyszcząły na ścianach lustra w splekanych złotych ramach, a

klosze wielkich lamp połyskiwały na marmurowych postumentach.

– Czymże ci mogę służyć, Jack? – zapytał i spojrzał na mnie swymi żółtymi oczyma. Niewiele się zmieniły, chociaż on sam był zmieniony.

– Cóż – zacząłem, nie bardzo wiedząc, jak skończyć – chciałem tylko zobaczyć, czy pan jeszcze nie leży i czy mógłby pan pomówić z...

– Jasne, Jack, bardzo cię proszę. Masz jakieś kłopoty, synu? Tylko najpierw zamknę drzwi i zaraz...

Obrócił się, żeby zamknąć drzwi, i gdyby mimo siedemdziesiątki nie miał tykacza w porządku, pewnie by tam padł trupem na miejscu. Bo w progu stał Szeff. Nie puszczał pary z ust.

Mimo wszystko sędzia nie padł trupem. A jego twarz niczego nie zdradziła. Wyczułem jednak, że zeszytniał. Obróćcie się kiedy w nocy, żeby zamknąć drzwi, i zobaczcie, że ktoś stoi w ciemnościach, to także podskoczycie.

– Nie – powiedział Szeff, swobodny i uśmiechnięty, zdejmując kapelusz i wchodząc tak, jakby go zaproszono, co wcale nie nastąpiło. – Nie, Jack nie ma żadnych kłopotów. Przynajmniej nic o tym nie wiem. I ja też nie mam.

Sędzia patrzył teraz na mnie.

– Przepraszam – powiedział do mnie głosem, który potrafił uczynić zimnym i zgrzytliwym jak stara igła gramofonowa drapiąca po zdartej płycie. – Zapomniałem na chwilę, jak dobrze masz zaspokajane wszelkie potrzeby.

– O, Jack jakoś daje sobie radę – rzekł Szeff.

– A pan... – Sędzia obrócił się do Szefa i zniżył ku niemu swoje żółte oczy, bo był o pół głowy wyższy; zauważyłem, że mięśnie zuchwy drgają mu i kurczą się pod fałdami ogorzałej i pobrużdżonej skóry na długiej szczęce. – A pan żyć sobie ze mną mówić?

– Cóż, sam nie wiem – odrzekł niedbale Szeff. – Przynajmniej

chwilowo.

– No – powiedział sędzia. – W takim razie...

– O, coś się może nasunąć – przerwał mu Szefer. – Nigdy nie wiadomo. Jeżeli sobie pogadamy swobodnie...

– W takim razie – podjął sędzia i znowu była to ta stara igła i stara płyta, i zgrzytało to jak pilnik po zimnej blasze, i nie było w tym nic ludzkiego. – W takim razie mogę powiedzieć, że właśnie miałem zamiar się położyć.

– E, jeszcze wcześniej – powiedział Szefer i nie spiesząc się, obrzucił wzrokiem sędziego Irwina od stóp do głów. Sędzia miał na sobie staroświecką welwetową kurtkę wieczorową, spodnie od smokinga i koszulę ze sztywnym gorse, ale był bez kołnierzyka i muszki i złota spinka błyszcząca mu tuż pod wydatną, zaczerwienioną grdyką. – Taaak – ciągnął Szefer, obejrzawszy go – lepiej się panu będzie spało, jeżeli przed pójściem do łóżka zaczeka pan trochę, żeby przetrwać tę pyszną kolację, którą pan zjadł.

I zaczął iść przez hali ku drzwiom, w których paliło się światło, drzwiom do biblioteki.

Sędzia Irwin popatrzył na plecy Szefa, gdy ten odchodził w wymiętej na plecach marynarce, która podciągnęła mu się w samochodzie na ramiona, z plamami potu z popołudnia, ciemniejszymi u pach. Żółte oczy sędziego o mało nie wylazły na wierzch, a krew napłynęła do twarzy tak, że ta stała się koloru cielejącej wątroby w sklepie rzeźnika. Potem ruszył przez hali za Szefem.

Poszedłem za nimi dwoma.

Gdy wkroczyłem do biblioteki, Szefer już siedział w wielkim, starym, podniszczonym skórzanym fotelu. Stałem pod ścianą, pod półkami, co sięgały aż do sufitu, zastawione starymi, oprawnymi w skórę książkami, wśród których wiele było prawniczych, i gubiły się w cieniu w górze,

napełniając pokój zapachem zatęchłym jak stary ser. Tak, ten pokój nie zmienił się wcale. Pamiętałem jego woń z długich wieczorów, które tu spędzałem, czytając albo słuchając głosu czytającego sędziego, podczas gdy na kominku trzaskały polana, a zegar w kącie, wielki stojący zegar, rzucał nam z wolna drobne pojedyncze kuleczki czasu. Był to ten sam pokój. Na ścianach wisiały te same duże staloryty Piranesiego w ciężkich, ozdobnych ramach: Tyber, Koloseum, jakaś zrujnowana świątynia. Na gzymsie i biurku leżały palcaty jeździeckie i stały srebrne puchary, które psy sędziego zdobyły w próbach polowych i które sam sędzia zdobył w strzelaniu. Stojak na strzelby, tam w cieniu przy drzwiach, był poza kręgiem światła wielkiej mosiężnej lampy do czytania, stojącej na biurku, ale znałem każdą broń na nim i pamiętałem jej dotyk.

Sędzia nie usiadł. Stał na środku pokoju i spoglądał na Szefa, który wyciągnął przed siebie nogi na czerwonym dywanie. Sędzia nie mówił nic. Coś działało się w jego głowie. Czuleś, że gdyby miał małe szklane okienko z boku tej swojej wysokiej czaszki, na której niegdyś gęste, ciemnorude, do grzywy podobne włosy teraz się przerzedziły i wyblakły, można by zajrzeć do środka i zobaczyć pracujące kółka zębate, sprężyny i zapadki, błyszczące jak piękny, dobrze utrzymany mechanizm. Tylko może ktoś teraz nacisnął niewłaściwy guzik. Może mechanizm miał działać i działać, póki by coś nie trzasło albo nie rozkręciła się sprężyna – i nic nie miało się zdarzyć.

Jednakże Szef coś powiedział. Krótkim ruchem głowy wskazał stojącą na biurku srebrną tacę z butelką, karafką wody, srebrną miseczką, dwiema używanymi i kilkoma czystymi szklankami i spytał:

– Sędzio, chyba pan nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby Jack nalał mi kapkę? Wie pan, ta południowa gościnność...

Sędzia Irwin nic mu nie odpowiedział. Obrócił się do mnie i rzekł:

– Nie zdawałem sobie sprawy, Jack, że do twoich obowiązków należą



funkcje osobistego lokaja, ale oczywiście, jeżeli się omyliłem...

Miałem chęć trzasnąć go w twarz. Miałem chęć trzasnąć tę cholerną, przystojną, orlonosą, twardokościstą, ceglastą, wyniosłą, starą twarz, w której oczy nie były stare, ale twarde i błyszczące, bez żadnej głębi, i takie, że ich spojrzenie równało się zniewadze. A Szeff się śmiał i też miałem ochotę trzasnąć go w twarz. Przyszła mi chęć wyjść natychmiast i zostawić ich obu sam na sam aż do skutku w tym cuchnącym serem pokoju, i iść gdzieś przed siebie. Ale nie zrobiłem tego, co może i lepiej, bo chyba nigdy nie można naprawdę odejść od tego, od czego chciałoby się odejść najbardziej.

– Ech, bzdury! – rzekł Szeff i przestał się śmiać. Dźwignął się ze skórzanego fotela, sięgnął po butelkę, chlapanął trochę whisky do szklanki i dolał wody. Potem obrócił się i szczerząc zęby do sędziego, podszedł do mnie i podał mi szklankę. – Masz, Jack – powiedział. – Napij się.

Nie mogę powiedzieć, że wzięłem tę szklankę. Została mi wciśnięta w rękę i stałem tak, trzymając ją, nie pijąc, i patrzyłem na Szeffa, który spojrzał na sędziego Irwina i powiedział:

– Czasem Jack mnie naleje, a czasem ja jemu, a czasem znowu – zawrócił do biurka – nalewam sam sobie.

Nalał whisky, dodał wody, znów spojrzał na sędziego z ukosa, z jakąś komiczną chytrnością.

– Czy mnie ktoś prosi, czy nie – powiedział i dorzucił: – Człowiek nie dostaje całej masy rzeczy, sędzio, jeżeli czeka, aż go poproszą. A ja jestem niecierpliwy. Jestem bardzo niecierpliwy, sędzio. Dlatego właśnie nie jestem dżentelmenem.

– Doprawdy? – odparł sędzia. Stał na środku pokoju i przypatrywał się scenie, którą miał przed oczami.

Z mojego miejsca pod ścianą przyglądałem się im obu. Cholera z nimi, myślałem. Cholera z jednym i drugim. Jeżeli tak gadają, to niech

ich cholera weźmie.

– Taak – mówił Szefer. – Pan jest dżentelmenem, więc pan się nigdy nie niecierpliwi. Nawet o whisky. Nie pilno panu coś wypić także i w tej chwili, a to przecież jest whisky kupiona za pańskie pieniądze. Ale pan się napije, sędzio. Ja pana proszę. Niech pan się ze mną napije.

Sędzia Irwin nie odpowiedział ani słowem. Stał wyprostowany na środku pokoju.

– Ech, napijże się pan – rzekł Szefer i roześmiał się, usiadł znów w wielkim fotelu i wyciągnął nogi na czerwonym dywanie.

Sędzia nie nalał sobie. I nie usiadł. Szefer spojrzał na niego z fotela i spytał:

– Sędzio, ma pan tu może gdzie wieczorną gazetę?

Gazeta leżała na innym fotelu koło kominka, a na niej kołnierzyk i muszka sędziego, i jego biały smoking przewieszony przez oparcie. Widziałem, że oczy sędziego pobiegły ku niej, a potem wróciły do Szefa.

– Owszem – powiedział sędzia. – Owszem, mam.

– Nie zdążyłem dziś nic przeczytać, bo się kręciłem po okolicy. Można rzucić okiem?

– Proszę bardzo – rzekł sędzia Irwin, a jego głos znowu był pilnikiem chroboczącym po zimnej blasze. – Ale może potrafię zaspokoić pańską ciekawość pod jednym względem. Gazeta opublikowała moje poparcie dla Callahana na nominację do senatu. Jeżeli to pana interesuje.

– Chciałem tylko usłyszeć to z pańskich ust, sędzio. Ktoś mi o tym mówił, ale pan wie, jak to jest: plotka ma tysiące języków, a chłopcy z prasy są skłonni do przesady i nie wiadomo, gdzie u nich prawda.

– W tym wypadku nie było przesady – powiedział sędzia.

– Chciałem tylko usłyszeć to z pańskich ust. Wypowiedziane pańskim własnym, srebrnym językiem.

– Więc już pan usłyszał – rzekł sędzia, który wciąż stał wyprostowany

na środku pokoju. – Wobec tego może pan w każdej chwili... – Twarz sędziego przybrała znowu barwę wątroby cielecej, chociaż słowa były zimne i cedzone. – Jeżeli skończył pan pić...

– A, dziękuję, sędzio – powiedział Szeﬀ słodko jak miód. – Myślę, że jeszcze napiję się kropelkę. – I dźwignął się w kierunku butelki. Zrobił swoje i powtórzył: – Dziękuję.

Kiedy wrócił na skórzany fotel ze świeżym ładunkiem w szklance, rzekł:

– Tak, sędzio, usłyszałem to z pańskich ust, ale chciałbym usłyszeć jeszcze coś innego. Jest pan pewien, że pan się nad tym naradził z Bogiem, co?

– Rozstrzygnąłem tę sprawę we własnym sumieniu – odparł sędzia.

– Ano, jeżeli dobrze pamiętam – Szeﬀ w zadumie obracał szklankę w rękach – kiedyśmy mieli tamtą rozmówkę w mieście, pan zdaje się uważał, że ten mój Masters jest niezły.

– Do niczego się nie zobowiązywałem – odparł ostro sędzia. – Wobec nikogo poza własnym sumieniem.

– Sędzio, pan już od dawna para się polityką – rzekł swobodnie Szeﬀ – no, i – tu pociągnął łyk ze szklanki – pańskie sumienie także.

– Wypraszam sobie! – warknął sędzia.

– Drobiazg – rzekł Szeﬀ i wyszczerzył zęby. – Ale co pana zniechęciło do Mastersa?

– Doszły do mojej wiadomości pewne informacje dotyczące jego kariery.

– Ktoś panu wygrzebał na niego jakieś brudy, co?

– Jeżeli pan życzy sobie tak to nazwać – odpowiedział sędzia.

– Brudy to zabawna rzecz – ciągnął Szeﬀ. – Jak się nad tym zastanowić, to właściwie nie ma nic poza brudem na tym bożym świecie, z wyjątkiem tego, co jest pod wodą, a i to brud. Dzięki brudom rośnie trawa. Diament

to nic a nic innego jak tylko kawałek brudu, który się strasznie rozgrzał. A Bóg Wszechmogący wziął kawałek brudu, chuchnął na niego i stworzył pana i mnie, i Jerzego Waszyngtona, i całą ludzkość błogosławioną w swoich zdolnościach i niepokojach. Wszystko zależy od tego, co się zrobi z brudem. No nie?

– To nie zmienia faktu, że Masters nie wydaje mi się człowiekiem odpowiedzialnym – powiedział sędzia z wysoka, gdyż jego głowa górowała nad promieniami biurkowej lampy.

– Niech lepiej będzie odpowiedzialny – rzekł Szeff – bo mu skręcę ten jego cholerny kark!

– W tym właśnie sęk. Masters byłby odpowiedzialny wobec pana.

– To fakt – przyznał Szeff żałośnie, podnosząc twarz do światła i potrząsając głową z fatalistycznym smutkiem. – Masters byłby odpowiedzialny wobec mnie. Na to nie mam rady. Ale Callahan... bo weźmy Callahana... tak mi się widzi, że byłby do samego końca odpowiedzialny wobec pana i towarzystwa „Alta”, i Bóg wie kogo jeszcze. Więc co za różnica, he?

– No...

– „No”, psiakrew! – Szeff raptem wyprostował się w fotelu z tą wewnętrzną wybuchowością, z którą nagle łapał w powietrzu muchę albo obracał do kogoś głowę, otwierając gwałtownie oczy. Wyprostował się i wparł obcasy w czerwony dywan. Trochę płynu chlapnęło mu ze szklanki na spodnie. – Więc ja panu powiem, jaka jest różnica, sędzio! Ja wprowadzę Mastersa na stanowisko, a pan nie potrafi tego zrobić z Callahanem. A to jest duża różnica.

– Będę musiał spróbować swoich szans – powiedział sędzia z wysoka.

– Szans? – roześmiał się Szeff. – Sędzio – zaczął i przestał się śmiać – pan ma tylko jedną szansę. Już blisko czterdzieści lat temu urządził się pan doskonale w naszym stanie. Siedzi pan sobie tu, w tym pokoju,

a murzyńscy boy o wie drepczą, przynosząc panu poncz, i dobrze się panu dzieje. Siedział pan tutaj i uśmiechał się do siebie, podczas gdy inni pocili się przy politycznej robocie, aż im szelki pękały, a jak pan czegoś chciał, wystarczyło panu sięgnąć ręką i wziąć. O, jeżeli pan miał trochę czasu wolnego od polowań na kaczki i spraw korporacji, mógł pan sobie trochę pourzędować jako generalny prokurator. I tak pan zrobił. Albo też zabawiał się w sędzię. Jest pan sędzią od dawna. Jak by pan się czuł, gdyby pan teraz przestał być sędzią?

– Nikt nigdy nie potrafił mnie zastraszyć – powiedział sędzia Irwin, który wciąż stał wyprostowany na środku pokoju.

– Ja jeszcze nie próbowałem – odrzekł Szef. – Dotychczas. I nie próbuję także teraz. Dam panu szansę. Mówi pan, że ktoś panu naopowiadał jakichś brudów o Mastersie? Dobrze, a gdybym ja panu opowiedział jakieś brudy o Callahanie?... O, niech pan mi nie przerywa! Tylko spokojnie! – wyciągnął przed siebie dłoń. – Ja jeszcze nic nie wygrzebywałem, ale mogę, i gdybym wyszedł na okólnik, nabrał na łopatę i przyniósł panu trochę tego, co nie pachnie, i podsunął pod nos pańskiemu sumieniu, to wie pan, co pańskie sumienie kazałoby panu zrobić? Kazałoby panu wycofać poparcie dla Callahana. A chłopcy z prasy zlecieliby się tutaj rojem jak muchy na zdechłego psa i mógłby pan im mówić o sobie i swoim sumieniu. Nawet by pan nie musiał popierać Mastersa. Pan i pańskie sumienie moglibyście odejść razem pod rączkę i rozkoszować się opowiadaniem sobie nawzajem, jak bardzo się jedno z drugim cenicie.

– Ja poparłem Callahana – rzekł sędzia. Nie wahał się ani przez chwilę.

– Może i mógłbym panu dostarczyć tych brudów – mówił Szef w zamyśleniu. – Callahan już od dawna kombinuje, a kto się tyka smoły, ten będzie zbrukany, bo tylko mali chłopcy chodzą boso po krowim pastwisku. – Spojrzał na twarz sędziego Irwina, mrużąc oczy, badając ją,

przechylając głowę.

Nagle uświadomiłem sobie, że stary zegar w kącie pokoju bynajmniej nie odmłodził. Wyrzucał z siebie tik, który wpadał mi pod czaszkę niby kamień wpuszczony do studni, potem kręgi na wodzie rozchodziły się i znikwały, a tik zapadał w mrok.

Przez jakiś czas, który nie był ani długi, ani krótki, który może nawet nie był czasem, nie działo się nic. A potem spadał do studni tak, kręgi znowu się rozchodziły i nikły.

Szef przestał wpatrywać się w twarz sędziego Irwina, która nie zdradzała niczego. Zagłębił się w fotelu, wzruszył ramionami i podniósł szklanekę do ust. W końcu powiedział:

– Jak pan chce, sędzio. Ale wie pan, można to rozegrać jeszcze inaczej. Ktoś mógłby podsunąć Callahanowi małą szufelkę czegoś na temat kogo innego, a wtedy w Callahanie może by raptem zbudziło się sumienie i może by się wyparł swojego protektora. Bo wie pan, jak się raz zacznie taka historia z sumieniem, to nigdy nie wiadomo, do czego to doprowadzi, a jak ktoś zabierze się do grzebania...

– Będę panu wdzięczny – sędzia Irwin postąpił krok w stronę wielkiego fotela, a jego twarz nie była już koloru cięłej wątroby, bo dawno przeszła przez to stadium i teraz pokazały się na niej białe pręgi biegnące od nasady nosa. – Będę panu wdzięczny, jeżeli pan wstanie z tego fotela i opuści mój dom!

Szef nie podniósł głowy ze skórzanego obicia. Patrzył na sędziego słodko i ufnie, po czym przerzucił wzrok na mnie.

– Jack – powiedział. – Rzeczywiście miałeś rację. Sędziego niełatwo zastraszyć.

– Proszę wyjść – rzekł sędzia, tym razem niegłęboko.

– Moje stare kości nie ruszają się tak prędko – mruknął Szef smutnie – ale teraz, kiedy spróbowałem spełnić swój podstawowy obowiązek, mogę

już odejść.

Opróżnił szklanekę, postawił ją na podłodze obok fotela i wstał. Stał przed sędzią, patrząc na niego, znów mrucząc oczy i przechylając głowę, niczym farmer, który gotuje się do kupna konia.

Odstawiłem moją szklanekę na półkę za sobą. Zauważyłem, że jej nie tknąłem po pierwszym łyku. A niech to szlag trafi, pomyślałem i zostawiłem ją. Jakiś murzyński służący znajdzie ją sobie rano.

Potem Szeff, jak gdyby zdecydował, że konia nie kupi, potrząsnął głową, wyminął sędziego, jakby ten nie był w ogóle człowiekiem ani nawet koniem, ale węglem domu czy drzewem, i ruszył do drzwi hallu, stąpając powoli i swobodnie po czerwonym dywanie. Bez pośpiechu.

Przez kilka sekund sędzia nawet nie poruszył głową; potem obrócił się i popatrzył na Szefa odchodzącego do drzwi, a jego oczy zabłysły w cieniu nad lampą.

Szeff położył rękę na klamce, otworzył drzwi, po czym nie puszczając klamki, obejrzał się.

– No cóż, sędzio – powiedział. – Odchodzę raczej z bólem niż z gniewem. A gdyby pańskie sumienie doszło do wniosku, że mogłoby udławić się Callahanem, niech pan mi da znać. Oczywiście – uśmiechnął się – w jakimś rozsądnym czasie. – Potem spojrział na mnie, rzekł: – No, bierzemy tyłek w troki, Jack – i zniknął za frontowymi drzwiami.

Zanim zdążyłem wrzucić pierwszy bieg, sędzia obrócił głowę w moją stronę, skierował na mnie wzrok, górna warga uniosła mu się pod nosem w uśmiechu pełnym nieco ciężkiej ironii i powiedział:

– Pański chlebodawca woła pana, panie Burden.

– Jeszcze nie muszę używać tuby do ucha – odparłem i posunąłem do drzwi, myśląc w duchu: Rany boskie, Jack, gadasz jak łobuz; aleś ty cwaniak!

Właśnie dochodziłem do drzwi, kiedy się odezwał:

– W tym tygodniu będę na kolacji z twoją matką. Czy mam jej powiedzieć, że twoja posada wciąż ci się podoba?

Dlaczego się ode mnie nie odczepi? – pomyślałem, ale on nie chciał, a ta warga podniosła się znowu. Powiedziałem więc:

– Jak pan sobie życzy, sędzio. Ale na pańskim miejscu nie rozpowiadałbym ludziom o tej wizycie. Gdyby pan zmienił zdanie, ktoś mógłby pomyśleć, że pan się zniżył do jakiegoś nikczemnego politycznego targu z Szefem. Pod osłoną nocnych ciemności.

Potem wyszedłem do hallu i na dwór przez frontowe drzwi, które zostawiłem otwarte, natomiast trzasnąłem siatkowymi. Szlag by go trafił, dlaczego nie chciał się ode mnie odczepić? Ale się nie dał zastraszyć.

Oddaliliśmy się od zatoki i uleciał nam z nozdrzy słony, smętny, słodka wy rybi zapach nadbrzeżnych piasków. Znow jechaliśmy na północ. Było teraz jeszcze ciemniej. Przyziemny opar leżał gęściej na polach, a w zagłębieniach drogi mgła kłębiła się nad nawierzchnią, stępując światła reflektorów. Od czasu do czasu zapłonęła ku nam z ciemności para oczu. Wiedziałem, że są to oczy krowy – biednej, poczciwej, stoickiej starej krowy, co przystanęła na garbie szosy, bo nie było tu żadnych przepisów co do wypasania bydła – i oczy jej płonęły w mroku, jak gdyby zamiast krwi miała czaszkę pełną gorącego, roztopionego metalu i jak gdybyśmy mogli zajrzeć w tę krwistą, gorącą jasność w chwili, gdy światło się załamuje, jeszcze nim rozeznamy jej sylwetkę tak doskonale nadającą się do obrzucania grudkami ziemi, i jakbyśmy wiedzieli, czym ona jest, i to, że w tej nieładnej, kanciastej głowie nie ma nic poza garścią zimnej, okrzepłej szarej mazi, w której coś z wolna się dzieje, gdy przejeżdżamy. Byliśmy czymś, co działo się powoli w tym zimnym krowim mózgu. To właśnie powiedziałaby krowa, gdyby była taką zakutą idealistką jak mały



Jackie Burden. Szef odezwał się:

– No, Jackie, wygląda na to, że ci się kroi robota. A ja zapytałem:

– Callahan? A on: – Nie, Irwin.

A ja powiedziałem:

– Nie przypuszczam, żebyś coś znalazł na Irwina. A on:

– Ty znajdziesz.

Wwiercaliśmy się w ciemność przez następne dwadzieścia mil i osiemnaście minut. Ektoplazmowe palce mgły sięgały z bagien i wysnuwały się z czerni cyprysów, żeby nas schwycić, ale nie szczęściło się im. Z bagna wypadł opas, biegł przez szosę i może by mu się udało, gdyby nie to, że Cukierek był szybszy. Cukierek tylko skręcił kierownicę leciutko w lewo, o włos. Nie było nawet wstrząsu ani drgnięcia, tylko coś łupnęło o spód lewego przedniego błotnika, a Cukierek powiedział: „D-d-d-d-drań”. Cukierek potrafił nawlec igłę tym cadillakiem.

Mniej więcej po owych osiemnastu minutach i dwudziestu milach powiedziałem:

– A co będzie, jeżeli nic nie znajdę przed dniem wyborów? Szef odrzekł:

– Cholera tam z wyborami. Potrafię dostarczyć Mastersa za przedpłatą, w specjalnym opakowaniu. Ale musisz coś znaleźć, choćby to miało trwać dziesięć lat.

Wycykaliśmy znowu pięć mil, po czym spytałem:

– A jeżeli nie ma nic do znalezienia?

A Szef odparł:

– Zawsze coś jest. A ja powiedziałem:

– Może nie na sądziego, A on:

– Człowiek poczęty jest w grzechu, a zrodzon w nieprawości, i przechodzi od odoru pieluch do smrodu całunu. Zawsze coś jest.

Dwie mile dalej powiedział:

– I zrób to bez pudła.

Wszystko to było dość dawno. Dziś Masters już nie żyje, jest martwy jak makrela, ale Szeff miał rację i Masters dostał się do senatu. A Callahan nie umarł, lecz z pewnością tego żałował, bo szczęście od dawna mu się wyczerpało i śmierć nie była jego częścią. I nie żyje już Adam Stanton, który niegdyś łowił ze mną ryby i leżał w gorącym słońcu na piasku ze mną i z Anną Stanton. Nie żyje też sędzia Irwin, który pochylał się ku mnie między łądygami wysokiej bagiennej trawy, o szarym, wilgotnym świetle zimowym, i mówił: „Powinieneś być bardziej poprowadzić lufę tę kaczkę, Jack. Kaczkę trzeba prowadzić, synku”. Nie żyje też Szeff, który powiedział do mnie: „I zrób to bez pudła”.

Mały Jackie rzeczywiście tak to zrobił.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy ostatnim razem byłem w Mason City, przyjechałem tam wielkim czarnym cadillakiem z Szefem i całą bandą i pruliśmy po nowych betonowych płytach, i to było już dawno, prawie trzy lata temu, bo teraz jest tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty – a wydaje się, że przed wiekami. Ale kiedy tam się zjawiłem po raz pierwszy, było to o wiele dawniej, w dwudziestym drugim, i wtedy przyjechałem moim fordem, uczepiony kierownicy, żeby mnie nie wysadziło z siodła, kiedy wóz zarzucał w szarym pyłe, który kotłował się o milę za mną i osiadał na listkach bawełny, powlekając je także szarością – a gdy trafiłem na odcinek żwiru, zaciskałem mocno szczęki, żeby od wstrząsów na wybojach nie pooblatywała mi emalia z zębów. Jedno trzeba przyznać Szefowi, że za jego rządów człowiek mógł pojechać na świeże powietrze i zachować uzębienie w porządku. Natomiast było to niemożliwe, gdy pierwszy raz jechałem do Mason City.

Naczelny redaktor „Kroniki” wezwał mnie wtedy do siebie i powiedział:

– Jack, weź swój wóz, jedź do Mason City i sprawdź, co to za jeden ten Stark, który sobie wyobraża, że jest Chrystusem wypędzającym lichwiarzy z ich tamtejszego zakichanego sądu.

– On jest żoną z nauczycielką – odpowiedziałem.

– Widać musiało mu to uderzyć do głowy – rzekł Jim Madison, który był redaktorem naczelnym „Kroniki”. – Może sobie wyobraża, że jest pierwszym, który ma na rozkładzie nauczycielkę?

– Oni tam wypuścili obligacje na budowę szkoły – odparłem – i

pewnie Lucy uważa, że należałoby jednak zachować coś niecoś na ten cel.

– Kto to jest Lucy, u diabła?

– Ta nauczycielka – odpowiedziałem.

– Nie będzie długo nauczycielką – rzekł. – W każdym razie nie na liście płac okręgu Mason, jeżeli tak dalej pójdzie. Przynajmniej o ile znam ten okręg.

– Poza tym Lucy nie pochwała picia – dodałem.

– Czyś to ty ją rozłożył, czy ten gość? – zapytał. – Tyle wiesz o tej Lucy.

– Wiem to, co mi Willie powiedział.

– Kto to, u licha, jest Willie?

– Willie to ten facet w gwiazdkowym krawacie – odparłem. – Kuzynek Wiluś ze wsi. Willie Stark, pieszczoszek nauczycielki, a poznałem go kilka miesięcy temu w lokalu Slade’a i powiedział mi, że Lucy nie pochwała picia. Domyślam się, że nie pochwała także kradzieży.

– Widać nie pochwała i tego, że Willie jest okręgowym skarbnikiem – stwierdził Jim Madison – jeżeli to ona popycha go do robienia tych rzeczy, które teraz robi. Czy ta Lucy nie wie, jak załatwiają sprawy w okręgu Mason?

– Załatwiają tak samo jak tutaj – odparłem.

– Aha – rzekł Jim Madison, po czym wyjął z kącika ust oślizły, zżuty, mokry od śliny ogryzek tego, co było dwudziestopięciocentowym cygarem, obejrzał go i wyciągnawszy rękę, wpuścił do dużej mosiężnej spluwaczki stojącej na puszystym zielonym dywanie, który rozkwitał niczym oaza wytworności wśród czterech pięter niechlujstwa budynku „Kroniki”. Popatrzył za spadającym ogarkiem i powtórzył: – Aha. Ale zabieraj się stąd i jedź tam.

Wybrałem się więc do Mason City moim fordem i zaciskałem mocno szczęki, jadąc po wyboistej drodze, i trzymałem się kurczowo kierownicy,

kiedy mnie zarzucało na piachu, i to było już bardzo dawno temu.

Dotarłem do Mason City wczesnym popołudniem i poszedłem do jadłodajni („Domowe obiady dla pań i panów”) znajdującej się na placu, i jedną ręką próbowałem smażonej szynki z sosem, tartymi kartoflami i zieleniną, a drugą walczyłem z siedmioma czy ośmioma muchami o kawałek ciastka z kremem.

Wyszedłem na ulicę, gdzie psy wylegiwały się po cienistej stronie, pod daszkami z blachy falistej, i pomaszerowałem aż do sklepu z uprzężą. Na ławce przed sklepem było jedno wolne miejsce, więc powiedziałem „dzień dobry” i przyłączyłem się do klubu. Byłem młodszy o jakieś czterdzieści lat od reszty jego członków, ale doszedłem do wniosku, że zanim się któryś odezwie, będę już też miał tak jak oni plamy wątrobiane na opuchniętych starczych dłoniach zaciśniętych na hikorowej lasce. W takim miasteczku jak Mason City ławka przed sklepem z uprzężą jest – albo była przed dwudziestu laty, zanim położono asfaltową nawierzchnię – miejscem, gdzie czas zaplątuje się we własne nogi i leży jak stary pies, i daje za wygraną. Jest to miejsce, gdzie się siada i czeka na zapadnięcie nocy i na arteriosklerozę. Jest to miejsce, na które przedsiębiorca pogrzebowy spogląda z ufnością, myśląc, że nie umrze z głodu, póki mu się kroją tyle roboty. Ale jeżeli usiądziesz na owej ławce w sierpniowe popołudnie, razem z tymi starymi, masz wrażenie, że nigdy nic się nie zdarzy, nawet twój własny pogrzeb; słońce mocno przygrzewa, cienie nie przesuwają się po jasnym piasku, który – gdy dłużej nań popatrzeć – wydaje się usiany połyskliwymi plamkami podobnymi do kwarcu. Starzy siedzą, dłonie nakrapiane wątrobianymi plamami mają zaciśnięte na hikorowych laskach, i wydzielają jakąś metafizyczną emanację, która sprawia, że odmieniają się kategorie naszego myślenia. Czas i ruch przestają istnieć. Jest to coś w rodzaju wachania eteru, i wszystko staje się słodkie, smutne i dalekie. Siedzisz tak pośród tych starych bogów i żaden odgłos nie mąci

ciszy oprócz lekkiego rżenia tego z nich, który ma astmę – i czekasz, by wychynęli ze swojej olimpijskiej, usłonecznionej obojętności i z nienawistną wszechwiedzącą ironią poczynili jakieś uwagi na temat ludzi, którzy jeszcze są uwikłani w sidła doczesnych nakazów. „Widziałem, że Sim Saunders postawił sobie nową stodołę”. A potem: „Taaak, niektóre ludzie myślą, że są zrobione z pieniędzy”. I jeszcze: „Taaak”.

Siedziałem więc i czekałem. Jeden coś powiedział, drugi pochylił się, przesunął w ustach prymkę tytoniu i coś mu odrzekł, a trzeci dodał: „Taaak”. Potem znów odczekałem chwilę, bo znałem swoje miejsce w tym układzie, i wreszcie powiedziałem:

– Podobno mają tu wybudować nową szkołę.

Następnie znów zczekałem, aż moje słowa ucichną tak, jakbym w ogóle nic nie powiedział. Wreszcie jeden wypluł sok tytoniowy na wyschniętą ziemię, dotknął tego miejsca czubkiem swej hikorowej laski i rzekł:

– Taaak, i słyszałem, że z parowem ogrzewaniem. A na to Numer Drugi:

– Młode dostaną zapalenia płuc od tej pary. A Numer Trzeci:

– Taaak.

A Numer Czwarty:

– Jeżeli toto zbudują.

Spojrzałem na drugą stronę placu, na ów malowany cyferblat zegara z wieży ratuszowej, według którego ci starzy regulowali swój czas, i zczekałem. W końcu spytałem:

– A co im przeszkadza? Na to Numer Jeden:

– Stark. Ten Stark. A Numer Drugi:

– Aha, ten Willie Stark. A Numer Trzeci:

– We łbie mu się przewróciło. Wlazł do sądu, przedniemy kopytamy do koryta, i we łbie mu się przewróciło.

A Numer Czwarty:

– Taaak. Odczekałem i rzekłem:

– Podobno chce, żeby przyjęli najniższą ofertę. A Numer Pierwszy:

– Aha, najniższe ofertę, i chce ściągnąć tu całe bandę czarnuchów do roboty.

A Numer Drugi:

– Żeby białe zostali bez pracy. Przy tej budowie. A Numer Trzeci:

– Kto by tam chciał robić razem z czarnuchem? I to jeszcze obcem?

Czy to będzie budowa szkoły, czy ustępu.

Numer Czwarty:

– A białe ludzie potrzebują pracy.

A Numer Pierwszy:

– Taaak.

Taaak, powiedziałem do siebie. Więc to na tym polega. Bo okręg Mason jest terenem „czerwonych karków”, ci zaś nie lubią Murzynów, przynajmniej obcych Murzynów, a własnych nie mają wielu.

– Ile można by zaoszczędzić przy tej niskiej ofercie? – spytałem. Na to Numer Pierwszy:

– Nie tyle, żeby zapłacić za ściągnięcie bandy czarnuchów.

– Z tym, że białe zostaną bezrobotni – powiedział Numer Drugi.

Odczekałem trochę dla przyzwoitości, po czym wstałem i rzekłem:

– Muszę już iść. Do widzenia panom.

Jeden z tych starych popatrzył na mnie, jak gdybym dopiero co przyszedł, i zapytał:

– A ty w czym robisz, chłopcze?

– W niczym – odparłem.

– Słabowityś?

– Nie słabowity – odrzekłem. – Po prostu nie mam żadnych ambicji.

Co było świętą prawdą, jak doszedłem do wniosku, oddalając się

ulicą.

Doszedłem też do wniosku, że już zabiłem dość czasu i że pora zajrzeć do sądu i zebrać materiał, tak jak należy. To całe siedzenie przed sklepem z uprzążą nie było metodą, którą by się posłużył jakikolwiek dziennikarz dla zdobycia wiadomości. W ten sposób nie można nigdy uzyskać czegoś, co dałoby się zamieścić w gazecie. Poszedłem więc do sądu.

W gmachu sądu, gdzie wielki hali był pusty i ciemny, a czarna, oleista podłoga pod stopami poślóbiona w garby i bruzdy, gdzie powietrze było suche i pełne kurzu, w ciszy zaś, którą wdychałeś, czułeś unoszące się, ostatnie, zanikające echa wszystkich głośnych i stłumionych rozmów, które rozbrzmiewały tu przez siedemdziesiąt pięć lat – w tym gmachu, zaraz za hallem, ujrzałem kilku mężczyzn siedzących w jednym z pokojów. Nad drzwiami była blaszana tabliczka z prawie już zatartymi literami. Ale można było odczytać: „Szeryf”.

Wszedłem do tego pokoju, gdzie trzech mężczyźni siedzieli rozparci na krzeselkach, a elektryczny wentylator ustawiony na biurku o spuszczonej klapie terkotał z niewielkim skutkiem. Powiedziałem tym twarzom „dzień dobry”. Największa twarz, czerwona i okrągła, która trzymała nogi na blacie biurka, a ręce złożone na brzuchu, odpowiedziała: „Dzień dobry”.

Wyjąłem z kieszeni bilet wizytowy i podałem go temu mężczyźnie. Przyglądał się biletowi przez minutę, trzymając go w ręce wyciągniętej prawie na całą długość, jak gdyby się obawiał, że mu plunie w oko, a następnie odwrócił go i przyjrzał się drugiej stronie też przez minutę, dopóki nie uzyskał murowanej pewności, że jest pusta. Wtedy znów złożył rękę z biletem na brzuchu, gdzie było jej miejsce, i spojrzął na mnie.

– Z dalekaś pan przyjechał – powiedział.

– Tak jest – odrzekłem.

– A w jakiej sprawie?



– Dowiedzieć się, co słyhać z tą szkołą – odpowiedziałem.

– Z dalekaś pan przyjechał – powtórzył – wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Tak jest – przyznałem wesoło – ale mój szef z redakcji inaczej uważa.

– To też nie jego sprawa.

– Nie – powiedziałem. – Ale po co ten raban, jeżeli już przyjechałem?

– To nie moje sprawy. Ja jestem szeryf.

– No dobrze, panie szeryfie, więc czyje?

– Tych, co to załatwiają. Jeżeli ludzie przestaną się mieszać i dadzą im załatwić.

– Kto to są „ci”?

– Pełnomocnicy – odrzekł szeryf. – Pełnomocnicy okręgowi, których obrali wyborcy okręgu Mason, żeby pilnowali ich spraw i nie dali się nikomu wtrącać.

– No dobra, pełnomocnicy. Ale kto to jest?

Małe, sprytnie oczki szeryfa zamrugały na mnie kilka razy, po czym rzekł:

– Konstabl powinien pana przymknąć za włóczęgostwo.

– Proszę bardzo – odparłem. – Wtedy „Kronika” przyśle innego gościa, żeby opisał moją sprawę, a jak go konstabl przymknie, „Kronika” przyśle trzeciego, żeby i tę sprawę opisał, i po jakimś czasie pozamykacie nas wszystkich. Ale to może się dostać do gazet.

Szeryf siedział rozwalony na krześle, a jego małe oczka mrugały w wielkiej, okrągłej twarzy. Może ja w ogóle nic nie powiedziałem? Może mnie tam w ogóle nie ma?

– Kto to są ci pełnomocnicy? – zapytałem. – Czy może się ukrywają?

– Jeden właśnie tu siedzi – odrzekł szeryf i przekreślił na ramionach swą wielką głowę, żeby wskazać jednego z pozostałych. Gdy głowa

wróciła na miejsce, a palce wypuściły mój bilet, który spłynął na podłogę uniesiony łagodnym podmuchem wentylatora, małe oczka zamrugały znowu i szeryf niejako zapadł się pod powierzchnię mętnych wód. Zrobił, co było w jego mocy, i teraz oddawał piłkę komu innemu.

– Czy pan jest pełnomocnikiem? – spytałem wskazanego jegomościa. Wyglądał zwyczajnie, jak każdy inny stworzony na obraz i podobieństwo boże, miał na sobie białą koszulę z gotową czarną muszką i dzinsy trzymające się na parcianych szelkach. Miejski od pasa w górę, wiejski od pasa w dół. Taki, co dostaje głosy i stąd, i stamtąd.

– Aha – odpowiedział.

– On jest za kierownika – odezwał się z uszanowaniem trzeci, drobny, starszy typek o łysej, kanciastej głowie i twarzy, której sam by nie zapamiętał między jednym spojrzeniem w lustro a drugim, taki gość, co to się kręci i siada, gdy któryś z ważniaków zwolni krzesło, i próbuje się wkupić do gry takimi uwagami jak ta, którą właśnie wypowiedział.

– Pan jest przewodniczącym? – zapytałem tamtego.

– Aha – odrzekł.

– Może mi pan powiedzieć swoje nazwisko?

– To nie sekret – odparł. – Dolph Pillsbury.

– Miło mi pana poznać – powiedziałem i wyciągnąłem rękę. Ujął ją, nie wstając, tak jakbym mu podawał gorszy koniec węża mokasy na okresie zrzucania skóry.

– Panie Pillsbury – odezwałem się. – Pan niewątpliwie zna sytuację, jeżeli idzie o zamówienie na budowę szkoły. Z pewnością jest pan zainteresowany, żeby prawda o tej sytuacji została podana do wiadomości publicznej.

– Nie ma żadnej sytuacji – odrzekł pan Pillsbury.

– Może i nie ma – ciągnąłem – ale tu była jakaś niezła granda.

– Nie ma żadnej sytuacji. Komisja się zbiera i przejmuje takie ofertę,

jakie złożono. Ten gość, co dostał zamówienie, to jest J. H. Moore.

– Czy jego oferta była niska?

– Niekoniecznie.

– To znaczy, że nie była niska?

– No... – zaczął pan Pillsbury, a jego twarz zachmurzyła się takim wyrazem, jaki mogą wywołać bóle spowodowane przez gazy. – No, jeżeli pan chcesz to tak ująć...

– W porządku – odparłem. – Więc tak to ujmijmy.

– Słuchaj no pan. – Chmura zniknęła z twarzy pana Pillsbury’ego, który wyprostował się na krześle tak nagle, jak gdyby go ukłuto szpilką. – Pan tu tak gadasz, a nie zrobiło się nic nielegalnego. Nikt nie będzie uczył komisji, które ofertę ma przyjąć. Pierwszy lepszy może sobie przyjść i złożyć jakieś zakichane ofertę, ale komisja nie musi go brać. Co to, to nie. Komisja bierze takiego, co się zna na robocie.

– A kto złożył tę zakichaną ofertę?

– Niejaki Jeffers – odparł z rozdrażnieniem pan Pillsbury, jak gdyby przypomniano mu coś niemiłego.

– Biuro budowlane Jeffersa? – zapytałem. – Aha.

– A co brakuje Jeffersowi?

– Komisja wybiera sobie takiego, którego się zna na robocie? i nikomu nic do tego.

Wyjąłem ołówek i bloczek i zacząłem pisać. Potem spytałem pana Pillsbury ‘ego:

– Co pan na to? – i zacząłem mu czytać: „Pan Dolph Pillsbury, przewodniczący komisji pełnomocników okręgu Mason, oświadczył, że oferta J. H. Moore’a na budowę szkoły okręgowej, aczkolwiek nie najniższa, została przyjęta, ponieważ komisja pragnęła powierzyć zamówienie «komuś, kto zna się na robocie». Pan Pillsbury oświadczył, że najniższa oferta, przedłożona przez biuro budowlane Jeffersa, została

odrzucona. Pan Pillsbury oświadczył dalej...”

– Słuchaj no pan – pan Pillsbury poderwał się tak, jak gdyby tym razem to już nie była szpilka, ale gorący pieniążek w odbytnicy. – Słuchaj no pan, jażem nic nie oświadczył. Pan tam coś piszesz i mówisz, że to ja. Więc słuchaj pan...

Szeryf dźwignął się ociężale w krzesło i utkwiał wzrok w panu Pillsburym.

– Dolph – odezwał się. – Każ drabowi się stąd wynosić.

– Jazem nic nie oświadczył – powiedział Dolph – a pan się wynoś!

– Jasne – odrzekłem i schowałem bloczek do kieszeni. – Ale może pan mi zechce powiedzieć, gdzie jest pan Stark?

– Wiedziałem! – wybuchnął szeryf i spuścił nogi z biurka z takim hałasem jak przewracający się ceglany komin, po czym dźwignął się na krzesło i łypnął na mnie apoplektycznie. – Ten Stark; wiedziałem, że to ten Stark!

– A cóż on złego zrobił? – spytałem.

– Jezu Chryste! – ryknął szeryf, a jego twarz posiniała, gdyż słowa u więzły mu w gardle i nie mogły się wydostać na zewnątrz.

– Ważniak się zrobił, ot co – podsunął pan Dolph Pillsbury. – Wkręcił się do sądu i zrobił się ważniak.

– Murzyński wielbiciel! – podpowiedział stary łysek z kanciąstą głową.

– A ten... ten... – Pan Pillsbury wskazał mnie z demaskatorską miną. – Założę się, że to też wielbiciel czarnuchów... Przyłazi tu, szwenda się i na pewno...

– Ten numer nie przejdzie – odparłem. – Ja tam lubię na biało. Ale skoro pan poruszył ten temat, to co ma z tym wspólnego przyjaźń dla Murzynów?

– O, właśnie! – wykrzyknął pan Pillsbury jak człowiek za burtą

chwytający się deski. – To biuro budowlane Jeffersa...

– Ty, Dolph! – huknął na niego szeryf. – Dlaczego się nie zamkniesz i nie każesz mu się wynosić?

– Wynoś się pan – powiedział do mnie pan Pillsbury, posłusznie, ale bez większego wigoru.

– Dobra – odparłem i wyszedłem do hallu.

Oni są nieprawdziwi, myślałem, idąc przez hali, całkiem nieprawdziwi.

Ale wiedziałem, że są prawdziwi. Przyjeżdżasz do jakiejś obcej miejscowości, do takiego miasteczka jak Mason City, i ci ludzie wydają ci się nierealni, ale wiesz, że są prawdziwi. Wiesz, że kiedy byli dziećmi, brodzili w strumieniu, a później, jak byli więksi, wychodzili o zachodzie słońca, opierali się o płot za domem i patrzyli nad polami na niebo i nie wiedzieli, co się w nich dzieje, czy są weseli, czy smutni; a kiedy dorosli, spali ze swymi żonami, łaskotali dzieci, żeby je pobudzić do śmiechu, rano szli do pracy i nie wiedzieli, czego chcą, ale mieli swoje powody, żeby coś robić, i chcieli robić rzeczy dobre, bo zawsze podawali istotne pobudki swoich czynów – a kiedy się zestarzel, tracili powód do robienia czegokolwiek i siadali na ławce przed sklepem z uprzężą i znajdowali słowa na określenie pobudek innych ludzi, lecz już nie pamiętali, jakie one są. A później, pewnego dnia tuż przed świtem, będą leżeli w łóżku i patrzyli na sufit, którego prawie nie widać, bo lampę osłonięto spiętą gazetą, i nie zdołają już rozpoznać twarzy tych, co się zebrałi przy łóżku, bo pokój wypełni jakiś dym czy tuman, który zapieczętuje ich w oczy i wciśnie się do gardła. O, są rzeczywiści, nie ma dwóch zdań, i może dlatego nie wydają ci się tacy, że sam jesteś nie bardzo rzeczywisty.

Ale oto już stałem przed drzwiami na końcu poprzecznego hallu, patrzyłem na inną blaszaną tabliczkę i z napisu na niej dowiadywałem się, że oto przybyłem do jednoosobowej kolonii trędowatych w Mason City.

Trędowaty siedział w tym pokoju sam jeden, nie robiąc nic.

Nie było nikogo, kto by z nim siedział i pyskował pod elektrycznym wentylatorem.

– Dzień dobry – powiedziałem, a on spojrzał na mnie tak, jakbym był upiorem, który wyrzekł te słowa w obcym języku. Nie odpowiedział mi od razu i pomyślałem, że przypomina człowieka zagubionego od dwudziestu lat na bezludnej wyspie, który, kiedy dobija do brzegu szalupa i wyskakują z niej weseli majtkowie, pytając, kim jest, u licha, nie może wypowiedzieć ani słowa, gdyż język mu zardzewiał.

Z Williem nie było aż tak źle, bo w końcu zdołał powiedzieć „dzień dobry” i dodać, że pamięta, jakeśmy się poznali u Slade’a przed paroma miesiącami, i zapytał mnie, czego sobie życzę. Wyjaśniłem mu, a on wyszczerzył zęby w uśmiechu bardziej smętnym niż wesołym i spytał, czemu chcę to wiedzieć.

– Redaktor kazał mi sprawdzić – odparłem – ale Bóg go wie dlaczego. Może dlatego, że to jest ciekawa wiadomość.

To najwidoczniej go zadowoliło. Nie powiedziałem mu więc, że poza moim przełożonym, redaktorem naczelnym, istnieje cała ogromna masa przyczyn, ale dla takiego szarego człowieka jak ja jest to świat migotliwych i przezroczystych duchów skrzydlatych i nikłych głosów anielskich, które nie zawsze rozumie, a także wpływów gwiazdnych.

– Pewnie, że to ciekawe – przyznał Willie.

– Co tu się dzieje?

– Chętnie panu opowiem – odrzekł.

Zaczął mi opowiadać, a skończył około jedenastej tego wieczora razem z Lucy Stark, kiedy już położyła dziecko spać, a ja siedziałem z nimi w pokoju bawialnym w domu jego ojca, gdzie mnie zaprosił na noc, gdzie Lucy zazwyczaj mieszkała w lecie i gdzie oboje mieli zamieszkać owej zimy, zamiast wynajmować pokój w mieście, bo Lucy właśnie wymówiono na rok następny posadę nauczycielki i nie było

żadnego powodu siedzieć w mieście i wydawać pieniądze na komorne. Najprawdopodobniej istniał jeszcze inny powód braku powodów do siedzenia w mieście; bo Willie zamierzał ponownie kandydować, a jego szansę wyglądały na mniej więcej równie wielkie jak szansę pchły żerującej na rzeźbionym marmurowym lwie z pomnika. Powiedział mi, iż w ogóle dostał posadę dlatego, że Dolph Pillsbury, przewodniczący komisji pełnomocników okręgowych, był jakimś dalekim powinowatym starego Starka, przez małżeństwo czy coś, a pokłócił się z tym drugim facetem, który chciał zostać skarbnikiem okręgowym. Pillsbury razem z szeryfem właściwie rządził okręgiem i miał już teraz dość Williego. Toteż Willie był na wylocie, a Lucy już wyleciała.

– I wcale mnie to nie obeszło – powiedziała Lucy, która siedziała w bawialni, szyjąc przy lampie ustawionej na stole, na którym leżała duża biblia i album w pluszowej oprawie. – Nic się nie martwię, że mi nie dadzą już uczyć. Uczyłam przez sześć lat, licząc ten okres, kiedy się zwolniłam, żeby urodzić Toma, i nikt nigdy nie powiedział na mnie złego słowa, a teraz piszą mi w liście, że są skargi na moją robotę i że nie wykazuję ducha współpracy.

Podniosła swoje szycie i odgryzła nitkę, tak jak to robią kobiety, że aż człowiekowi ciarki przelatują po skórze. Kiedy się pochyliła, światło padło na jej włosy, wydobywając ich utajony w brązie kasztanowy połysk, którego nie zdołał całkowicie wypalić rurkami pracownik niedawno założonego w Mason City Salonu Piękności, kiedy jej robił ondulację. Szkoda było tych włosów Lucy, choć zachowały połysk. W owym czasie była jeszcze dziewczęcią, miała dwadzieścia pięć lat, ale nie wyglądała na tyle ładną, drobną talię nad przyjemnymi, nie za szczupłymi biodrami i zgrabne, drobne kostki, które skrzyżowała przed krzesłem, a twarz jej była dziewczęcą, o miękkiem, spokojnym zarysie i dużych ciemnobrązowych oczach, takich, co nasuwają na myśl zwierzanie tajemnic o zmierzchu,

przy ogrodowej furtce, kiedy bzy kwitną obok parkanu starego domostwa. Ale włosy miała obcięte mniej więcej na wysokości szyi i zakarbowane tak, jak to wtedy robiono, a szkoda, bo jej twarz należała do tego typu twarzy, które wymagają oprawy bujnych, długich i lśnącociemnych splotów rozrzuconych na śnieżnobiałej poduszce. Musiała mieć wspianiałe włosy przed tą masakrą.

– Ale mnie to obojętne – ciągnęła, unosząc głowę nad światło lampy. – Nie chcę uczyć w takiej szkole, którą budują tylko po to, żeby ktoś mógł się nakraść pieniędzy. A Willie też nie chce być skarbnikiem, jeżeli ma się zadawać z tymi kombinatorami.

– Będę kandydował w wyborach – rzekł Willie posępnie. – Nie mogą mi przeszkodzić.

– Zostanie ci o wiele więcej czasu na studiowanie twoich książek prawniczych, jeżeli nie będziesz przez cały czas siedział w mieście – zwróciła się do niego.

– Będę kandydował – powtórzył i targnął głową tym raptownym ruchem, którym odrzucał kosmyk włosów z oczu. – Będę – powtórzył raz jeszcze, jak gdyby nie mówił do Lucy ani do mnie, ale gdzieś w powietrze czy też do Boga Wszchemogącego – choćbym nie dostał ani jednego marnego głosu.

No i rzeczywiście stanął do wyborów, gdy przyszła pora, i wprawdzie dostał więcej niż jeden głos, ale nie wiele więcej, a pan Dolph Pillsbury i jego kumple wygrali tę rundę. Ten, który owej jesieni został wybrany przeciw Williamu, nie powiesił kapelusza w swym gabinecie, dopóki nie podpisał czeku na zadatek dla J. H. Moore'a i J. H. Moore szkołę zbudował. Ale to jest uprzedzanie faktów.

Fakty, tak jak mi je opowiedział Willie, były następujące: biuro budowlane Jeffersa złożyło najniższą ofertę na sumę stu czterdziestu dwóch tysięcy. Jednakże były jeszcze dwie oferty między ofertą Jeffersa



a Moore'a, która opiewała na sto sześćdziesiąt pięć tysięcy z całą kupą drobnych na dodatek. Ale kiedy Willie zaczął napadać na Moore'a, Pillsbury wyciągnął sprawę Murzynów. Jeffers był wielkim przedsiębiorcą z południa stanu i zatrudniał w niektórych swoich zespołach całą masę murzyńskich murarzy, tynkarzy i cieśli. Pillsbury podniósł wrzask, że Jeffers ściągnąłby kupę Murzynów – a okręg Mason, jak powiedziałem, jest terenem „czerwonych karków” – i że, co gorsza, Murzyni, jako wykwalifikowani robotnicy, dostaliby lepszą płacę niż ludzie, których znalazłby do niektórych robót w okolicy Mason City. Pillsbury piekł swoją pieczeń.

Piekł tak dobrze, iż ludzie zapomnieli o tym, że były jeszcze dwie oferty pomiędzy ofertami Jeffersa a Moore'a i że szwagier Pillsbury'ego posiadał cegielnię, w której Moore miał udział, i że w niezbyt dalekiej przeszłości stanowy inspektor budowlany orzekł, iż duża partia cegieł nie nadaje się do użytku, i odrzucił ją, po czym nastąpiła sprawa sądowa – oraz że równie pewnie jak to, że Pan Bóg stworzył zielone jabłuszka z robakami w środku, cegły z tejże cegielni miały być użyte do budowy szkoły. Cegielnia Moore'a i szwagra Pillsbury'ego zatrudniała jako siłę roboczą więźniów ze stanowego kryminału, co ją kosztowało tanio, bo szwagier miał jakieś chody u władz. Istotnie, jak się później dowiedziałem, chody te były tak dobre, że ów inspektor budowlany, który zrobił awanturę o cegły, został wylany, ale nigdy się nie dowiedziałem, czy był uczciwy, czy tylko źle zorientowany.

Williemu nie dopisało szczęście w rozgrywce z Pillsburym i szeryfem. Istniała wprawdzie opozycja przeciwko Pillsbury'emu, ale nie miała większego znaczenia, a Willie jej nie zdołał wzmocnić. Chodził po ulicy, zatrzymywał ludzi i usiłował im wytłumaczyć pewne sprawy. Można go było widywać stojącego na rogu, w przepoconym ubraniu, z włosami opadającymi na oczy, trzymającego w jednej ręce jakąś starą

kopertę, a w drugiej ołówek i wypisującego cyfry dla wyjaśnienia, o czym mowa; jednakże ludzie nie słuchają kogoś, kto mówi cicho i cierpliwie i zatrzymuje ich na gorącym słońcu, każąc im się zajmować arytmetyką. Willie próbował nakłonić „Gońca Okręgu Mason”, żeby coś na ten temat wydrukował, ale nie chcieli. Potem napisał długie oświadczenie w sprawie ofert, tak jak je widział, i próbował namówić „Gońca”, żeby to wydrukował za opłatą w swojej drukarni w formie ulotki, ale też się nie zgodzili. Musiał więc w tym celu pojechać do stolicy stanu. Wrócił ze swymi ulotkami i najął dwóch chłopaków, żeby je roznosili od domu do domu. Ale rodzice jednego z chłopców zakazali mu tego, gdy tylko się dowiedzieli, a kiedy drugi nie przestał, jakieś typki spuściły mu lanie.

Wobec tego Willie zaczął sam roznosić ulotki po mieście od domu do domu, w starym tornistrze, jakiego używają uczniacy, i pukał do drzwi, i uchylał kapelusza, kiedy wychodziła pani domu. Ale w większości wypadków nie wychodziła w ogóle. Poruszały się tylko firanki w oknie i nikt się nie pokazywał. Wtedy Willie wtykał ulotkę pod drzwi i szedł do następnego domu. Gdy skończył z Mason City, udał się do Tyree, drugiego miasteczka w okręgu, i rozprowadził ulotki w taki sam sposób, po czym odwiedził osady przydrożne.

Nie przekonał obywateli. Wybrano tego drugiego. J. H. Moore zbudował szkołę, w której wynikła konieczność różnych napraw, jeszcze zanim farba obeschła. Willie stracił posadę. Pillsbury’emu i jego przyjaciom Moore bez wątpienia odpalił ładny kawałek grosza, po czym zapomnieli o całej sprawie. Przynajmniej zapomnieli na jakieś trzy lata, póki nie zaczął się ich pech.

Tymczasem Willie siedział na ojcowej farmie, pomagał przy gospodarstwie i rozwoził po okolicy jako komiwojażer patentowane narzędzia do napraw domowych, żeby coś zarobić; znów jeździł swoim starym wozem od domu do domu i od osady do osady, zatrzymywał się

po drodze na farmach, pukał do drzwi, uchylał kapelusza i pokazywał kobiecie, jak się naprawia rondel. Wieczorami zaś ślęczał nad książką, przygotowując się do egzaminu adwokackiego. Ale zanim do niego doszło, Willie, Lucy i ja siedzieliśmy owego wieczora w bawialni i Willie mówił:

– Próbowali mnie zlekceważyć. Myśleli, że zrobię wszystko, co mi każą, i chcieli to załatwić nad moją głową, tak jakbym był śmieć.

Lucy, złożwszy szycie na kolanach, powiedziała:

– Słuchaj, kochanie, przecież i tak nie chciałeś się z nimi zadawać. Jak już się przekonałeś, że to oszuści i kanciarze.

– Chcieli to załatwić nad moją głową – powtórzył ponuro, przekręcając się ciężko na krześle. – Tak jakbym był śmieć.

– Willie – odrzekła, pochylając się lekko ku niemu. – Byliby kanciarzami nawet wtedy, gdyby nie chcieli tego załatwić nad twoją głową.

Nie zwracał na nią większej uwagi.

– Przecież i tak byliby kanciarzami, prawda? – spytała tonem, który po trosze przypominał cierpliwy, naprowadzający ton, jakiego musiała używać w klasie szkolnej. Obserwowała twarz Williego, która zdawała się odsuwać od niej i ode mnie, gdzieś poza pokój, jak gdyby w gruncie rzeczy nie słyszał jej głosu, ale wsłuchiwał się w inny, może jakiś sygnał rozbrzmiewający na zewnątrz, w mroku za siatką otwartego okna.

– Prawda, że by byli? – zapytała, wciągając go z powrotem do pokoju, w krąg miękkiego światła lampy stojącej na stole, na którym leżała wielka biblia i album w pluszowej oprawie. Podstawa lampy była porcelanowa, pomalowana w fiołki. – No prawda? – zapytała Lucy i zanim odpowiedział, złapałem się na tym, że słucham suchego, natarczywego, zwariowanego głosu świerszcza w trawie pośród ciemności na dworze.

W końcu Willie powiedział:

– No tak, tak, pewnie, że byliby kanciarzami – i poruszył się na krześle ruchem człowieka rozdrażnionego, że mu przerwano tok myśli. A potem znów pogrążył się w tej jakiejś zadumie.

Lucy podniosła na mnie wzrok ufnym, trochę ptasim ruchem głowy, jak gdyby coś mi udowodniła. Wtórny poblask światła nad kręgiem lampy padł na jej twarz i gdybym chciał, mógłbym odgadnąć, że cząstkę tego miękkiego blasku wydziela sama jej twarz, jak gdyby ciało miało jakąś wewnętrzną, delikatną, równą i spokojną fosforescencję.

No cóż, Lucy była kobietą i dlatego musiała być wspaniała, tak jak bywają kobiety. Obróciła się do mnie z wyrazem twarzy, który zdawał się znaczyć: „A widzisz, nie mówiłam? Tak to jest”. Tymczasem zaś Willie siedział przed nami. Ale jego twarz znowu jakby znikła w oddaleniu, które nie było oddaleniem, ale, że tak powiem, po prostu nim samym.

Lucy znów szyła i mówiła coś do mnie, nie odrywając oczu od materiału, a Willie po chwili wstał i zaczął chodzić po pokoju, z kędziorem opadającym na oczy. Kroczył tam i z powrotem, a tymczasem ja rozmawiałem z Lucy.

To chodzenie w drugim końcu pokoju nie było zbyt kojące.

Wreszcie Lucy podniosła wzrok znad szycia i powiedziała:

– Kochanie...

Willie zatrzymał się i obrócił ku niej głowę z tym kędziorem na oczach nadającym mu wygląd narowistego konia, który przyparty w kącie ogrodzenia pastwiska, stoi z lekko pochyloną głową i grzywą skudłaconą między uszami, oczy ma zarazem dzikie i przebiegłe i gotów do skoku patrzy na ciebie, kiedy podchodzisz z uzdą.

– Usiądź, kochanie – rzekła Lucy. – Denerwujesz mnie. Jesteś zupełnie jak Tom: nigdy nie możesz usiedzieć spokojnie. – Roześmiała się, a on, z jakby zawstydzonym uśmiechem na twarzy, podszedł i usiadł.

Była wspaniałą kobietą i Willie miał szczęście, że mu się trafiła taka

żona.

Ale miał także szczęście, że mu się trafili szeryf i Dolph Pillsbury, bo nic o tym nie wiedząc, działali na jego korzyść. Wówczas i Willie też chyba nie wiedział, że są jego szczęściem. Chociaż może najistotniejsza częśćka jego samego wiedziała o tym przez cały czas, tylko ta wiadomość jeszcze nie dotarła do innych, mniej ważnych części. Albo też możliwe, że ludzie pokroju Williego Starka rodzą się poza szczęściem czy pechem, a szczęście, czyli coś, co czyni każdego z nas tym, czym jest, nie ma z nimi nic wspólnego, bo ci ludzie są tym, czym są, od chwili, kiedy po raz pierwszy poruszyli się w łonie matki, aż do samego końca. I jeżeli tak jest, to historia ich życia musi być procesem odkrywania, czym są naprawdę, a nie – jak z nami, dziećmi losu – procesem stawania się tym, co z nas uczyni szczęście. I w takim razie Lucy nie była szczęściem Williego. Ani też jego nieszczęściem. Była częścią klimatu, w którym przebiegał proces odkrywania prawdziwego Williego.

Jednakże, mówiąc po prostu, szeryf i Pillsbury byli częścią szczęścia Williego. Nie wiedziałem o tym owego wieczora w bawialni jego ojca i nie wiedziałem, kiedy wróciłem do miasta i złożyłem Jimowi Madisonowi relację. No i Willie zaczął się pojawiać na łamach „Kroniki” w roli człowieka na płonącym pokładzie i tego, co wsadził kij w mrowisko, i tego, co odpowiada: „Tak”, gdy obowiązek mu szepcze: „Musisz”. „Kronika” publikowała coraz to więcej i więcej artykułów o machinacjach w okręgowych sądach naszego stanu. Wskazywała szyderczym i potępiającym palcem po całej mapie. Wtedy zacząłem chwytać znaczenie tego, co działo się w owym świecie przyczyn wysoko ponad biurkiem Jima Madisona, dojrzałem błysk tych przezroczywych skrzydeł duchów i zrozumiałem fletne szepty nikłych anielskich głosów, które tam rozbrzmiewały. Krótko mówiąc, szczęsna harmonia maszyny stanowej należała do przeszłości, a „Kronika”, obsadzona

przez opozycjonistów, podkopywała podstawy tej maszyny. Zaczynała od tego, wymacywała drogę, ustawiała dekoracje i przygotowywała tło do właściwego przedstawienia. Nie było to tak trudne, jak mogło być. Zazwyczaj te chłopaki w sądach okręgowych są kuci na cztery nogi, znają wszystkie kruczki i bardzo trudno jest ich przyszpilić, ale maszyna działała już od tak dawna bez żadnej poważnej opozycji, że ta łatwość ich zdemoralizowała. Po prostu nie zadawali sobie trudu, żeby zachowywać ostrożność. Toteż „Kronika” miała co wyciągać na widok publiczny.

Jednakże eksponatem numer jeden był okręg Mason. Ze względu na Williego. Willie nadawał brudnej historii posmak dramatu. Stał się symbolicznym rzecznikiem uczciwych ludzi, którzy mieli usta zamknięte. Kiedy zaś przepadł w wyborach w okręgu Mason, „Kronika” opublikowała jego zdjęcie z podpisem: „Zachował wiarę”. Pod spodem zaś wydrukowano oświadczenie, które Willie mi złożył, gdy znowu przyjechałem do Mason City po wyborach i jego wyeliminowaniu. Oświadczenie to brzmiało, jak następuje:

„Jasne, wygrali i to była czysta robota, dla której mam uznanie. Wracam na oj co we gospodarstwo, będę doił krowy i dalej studiował prawo, bo coś na to wygląda, że będzie mi potrzebne. Ale zachowałem wiarę w ludzi z okręgu Mason. Czas wszystko wyświecić!”.

Wybrałem się tam, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia, ale nie musiałem jechać na farmę. Natknąłem się na Williego na ulicy. Budował jakiś płot i popsuł mu się napinacz do drutu, wobec czego przyjechał do miasteczka po nowy. Na głowie miał stary, czarny kapelusz filcowy, a ubrany był w kombinezon roboczy, który mu obwisał na siedzeniu niczym niemowlakowi uśmiechającemu się z kojca.

Poszliśmy do drugstore’u na coca-colę. Stanęliśmy przed kontuarem i położyłem mój bloczek przed Williem, obok jego starego kapelusza, i dałem mu ołówek. Poślinił jego czubek, a oczy zaszklily mu się,

jakby zamierzał sumować cyfry na tabliczce, po czym pochylił się nad marmurowym blatem, w tych swoich workowatych portkach, i wypisał oświadczenie dużymi, krągłymi gryzmołami.

– Jak Lucy? – spytałem.

– Doskonale – odparł. – Podoba jej się tam, a ojciec ma towarzystwo. Zupełnie jej z tym dobrze.

– To świetnie – powiedziałem.

– Mnie też z tym dobrze – odrzekł, nie patrząc na mnie, tylko w odbicie swej twarzy w dużym lustrze za kontuarem. – Tak jak teraz jest mi pierwszorzędnie – dodał i spojrzął na twarz w lustrze, która była piegowata, o cienkiej skórze na pełnym ciele, ale pod zmierzwionym kędziorem na czole niewzruszona i czysta jak twarz człowieka, co wszedł już na ostatnie wzniesienie i spogląda w dół, na długą i prostą drogę wiodącą do miejsca, do którego zdąża.

Jak powiedziałem, jeżeli uznać, że taki człowiek jak Willie żyje w orbicie szczęścia, to jego szczęściem byli Dolph Pillsbury i szeryf. Zlekceważyli Williego i powierzyli J. H. Moore’owi budowę nowej szkoły. J. H. Moore użył do tego cegły z cegielni będącej własnością owego dalekiego powinowatego Dolpha Pillsbury’ego. Szkoła była jeszcze jednym wielkim pudłem z zewnętrznymi schodkami przeciwpożarowymi po obu końcach. Te schodki nie były z tych, co wyglądają jak silos i mają w środku kręcącą niczym korkociąg zsuwnię do spuszczenia dzieci. Były to żelazne schodki przymocowane do zewnętrznej ściany budynku.

W szkole nie było żadnego pożaru. Były tylko ćwiczenia przeciwpożarowe.

W jakieś dwa lata po jej zbudowaniu stało się. Właśnie urządzono takie ćwiczenia i wszystkie dzieci z górnych pięter zaczęły schodzić

po schodkach. Pierwsze, które weszły na schodki po zachodniej stronie budynku, były małe i nie mogły schodzić zbyt szybko. Zaraz za nimi pchała się grupa dużych dzieci, z siódmej i ósmej klasy. Ponieważ maluchy tamowały ruch, dzieci stłoczyły się na schodkach i na żelaznej platformce u góry. I otóż wtedy cegły puściły, sworznie i sztaby, którymi schodki były przymocowane do muru, wyrwały się i całość runęła, rozrzucając dzieci na wszystkie strony.

Troje zginęło na miejscu. Były to te, które spadły na betonowy chodnik. Około tuzina odniosło dość poważne obrażenia i kilkoro z tych dzieci nigdy już nie przyszło w pełni do siebie.

Był to los szczęścia dla Williego.

Willie nie starał się go wykorzystać. Nie musiał się starać. Ludzie zrozumieli. Willie poszedł na potrójny pogrzeb urządzony przez miasto dla zabitych dzieci i stanął skromnie w tyle. Ale stary pan Sandeen, ojciec jednego z zabitych dzieci, dojrzał go w tłumie i podczas gdy grudki ziemi spadały jeszcze na wieka trumien, przepchnął się do Williego, chwycił go za rękę, podniósł ramię wysoko nad głowę i powiedział głośno:

– O Boże, jestem ukarany za to, że się zgodziłem na nikczemność i głosowałem przeciwko człowiekowi uczciwemu!

To poruszyło wszystkich. Jakieś kobiety zaczęły płakać. Potem ludzie jęli podchodzić i ściskać Williemu dłoń. Wkrótce nie było już w tłumie bodaj jednego suchego oka. Czy Williego także nie były suche.

Takie było szczęście Williego. Ale najlepszy los szczęścia trafia się ludziom, którzy go nie potrzebują.

Miał teraz okręg Mason w rękę. W stolicy jego zdjęcie ukazało się we wszystkich gazetach. Ale nie ubiegał się o żaden urząd. Dalej pracował na farmie ojca, a wieczorami studiował książki prawnicze. Jedynym jego działaniem politycznym było wygłoszenie kilku mów na rzecz człowieka kandydującego w wyborach wstępnych przeciwko kongresmanowi, który



był starym kumplem Pillsbury'ego. Przemówienia Williego były kiepskie, przynajmniej to, które słyszałem. Ale wcale nie musiały być dobre. Ludzie nie dbali o to, żeby ich słuchać. Przychodzili po prostu, żeby popatrzeć na Williego i poklaskać mu, następnie zaś szli głosować przeciwko tamtemu człowiekowi Pillsbury'ego.

A potem któregoś dnia Willie obudził się jako kandydat na gubernatora. Albo raczej kandydował w wyborach wstępnych partii demokratycznej, co w naszym stanie jest równoznaczne z kandydowaniem na gubernatora.

Kandydowanie w wyborach wstępnych nie było jakimś szczególnym osiągnięciem. Każdy, kto zdoła wyskrobać kilka dolarów na opłatę kandydacką, może stanąć do wyborów i mieć przyjemność ujżenia swego nazwiska wydrukowanego na liście. Ale w wypadku Williego było trochę inaczej.

Naówczas istniały w naszym stanie dwie główne frakcje wewnątrz partii demokratycznej: grupa Joego Harrisona i grupa MacMurfee'ego. Harrison był w swoim czasie gubernatorem, MacMurfee był nim właśnie wtedy i chciał utrzymać się na urzędzie. Harrison pochodził z miasta i właściwie wszyscy, co go popierali, też byli z miasta. MacMurfee nie był, ściśle mówiąc, wieśniakiem, gdyż urodził się i wychował w Duboisville, które jest sporą miejscowością, o jakichś dziewięćdziesięciu tysiącach mieszkańców, ale miał znaczne poparcie na wsi i w małych miasteczkach. Zakręcił się sprytnie koło głosów i w większości je właśnie otrzymał. Zanosilo się na ostry wyścig. Właśnie ta sytuacja sprawiła, że Willie został w to wciągnięty.

Ktoś z grupy Harrisona wpadł na pomysł – Bóg świadkiem, sam tego nie wymyślił – podstawienia marionetki mogącej rozbić głosy na MacMurfee'ego. Musiał nią być ktoś, kto miał dużą popularność na wsi. Kimś takim był Willie, który mógł zaważyć na szali w północnej części stanu. Okazało się, że nikt nie robił z Williem żadnego układu. W Mason

City odwiedziło go kilku panów ze stolicy, którzy przyjechali w pięknym aucie i w sztuczkowych spodniach. Jednym z nich był Duffy, Tiny Duffy, znacznie dostojniejszy niż wówczas, gdy się poznali z Williem w tamtym pokoju za lokalem Slade'a. Panowie z miasta wmówili Williemu, że jest zbawicielem stanu. Przypuszczam, że Willie miał swój przyrodzony zasób zwykłej podejrzliwości i przebiegłości, ale te rzeczy łatwo wyparowują, kiedy ludzie mówią nam to, co chcemy usłyszeć. Poza tym wchodziła też w grę drobna sprawa Boga. Ludzie mówili, że ta historia ze szkołą to był palec boży. Że Bóg stanął po stronie Williego. Ze wykazał jego słuszność. Willie nie był religijny według zwykłych kryteriów, ale historia ze szkołą najprawdopodobniej wpoila mu mniemanie – które podzielało wielu miejscowych obywateli – że pozostaje w jakimś stosunku do Boga, Przeznaczenia czy też po prostu Szczęścia.

A nie jest ważne, jak to się nazwie ani czy chodzi się do kościoła. Ponieważ zaś wyroki Opatrzności są niezbadane, Willie wcale by się nie zdziwił, gdyby Bóg dla przeprowadzenia swej woli posługiwał się opasłym facetem w pasiastych portkach i z dużym samochodem. Pan Bóg wzywał Williego, a Tiny Duffy był po prostu kosztownie ubranym listonoszem jadącym w cadillacu miast na rowerze. Toteż Willie podpisał pokwitowanie odbioru.

Był gotów do dzieła. Był teraz adwokatem. Już od jakiegoś czasu, bo kiedy stracił posadę skarbnika okręgowego, serio przysiadł fałdów nad książkami w chwilach wolnych od pracy w gospodarstwie i sprzedawania narzędzi do napraw domowych. Latem ślęczał do późnej nocy w swoim pokoju i chociaż padał z braku snu, wwiercał oczy w stronicę, podczas gdy ćmy stukwały i trzepotały o siatkę okienną, usiłując dostać się do płomienia lampy naftowej, która cicho syczała na stole. I przesiadywał tam w noc zimowe, gdy ogień dogasał w zardzewiałym piecyku, a wiatr łomotał o północną ścianę domu, przelatując wśród nocy tysiąc mil, aby

wstrząsnąć pokojem, w którym Willie garbił się nad książką. Dawno temu spędził rok w Baptist College w Marston, sąsiednim okręgu, jeszcze na długo przedtem, nim poznał Lucy. Uczelnia ta była właściwie tylko lepszym gimnazjum, ale tam właśnie poznał wielkie nazwiska wypisane na wielkich książkach. Opuścił college tylko z tymi wielkimi nazwiskami w głowie, bo pieniędzy nie miał. Potem przyszła wojna i Willie znalazł się w wojsku, z przydziałem do obozu gdzieś w Oklahomie; czuł się oszukany i miał świadomość, że ominęła go szansa. A potem, po wojnie, zaczęła się praca na gospodarstwie ojca i czytanie nocami książek, nie prawniczych, ale wszystkich, jakie mu w ręce wpadły. Chciał poznać historię kraju. Miał podręcznik z college'u, duży i gruby. Szereg lat później, pokazując mi go, postukał weń palcem i powiedział: „Ja, psiakrew, nauczyłem się tego na pamięć prawie co do słowa. Mógłbym wymienić ci każde nazwisko. I każdą datę”. Potem postukał go znowu, tym razem wzgardliwie, i dodał: „A ten, co to napisał, nie ma o niczym pojęcia. O tym, jak było. Nic nie zrozumiał. Idę do zakładu, że wszystko wyglądało akurat tak jak teraz. Kupa ludzi, którzy się żarli między sobą”.

Jednak były też tamte wielkie nazwiska. A także notatnik – gruby, oprawny w płótno brulion, w którym Willie zapisywał piękne powiedzenia i piękne myśli czerpane z książek. W długi czas później pokazał mi to również i kiedy niedbale przerzucałem kartki, widząc przepisane kanciastym, chłopięcym pismem cytaty z Emersona i Macaulaya, z Beniamina Franklina i Szekspira, Willie powiedział tym samym tonem łaskawej wzgardy: „O rany, wtedy wyobrażałem sobie, że ci, co piszą książki, to już wszystko wiedzą. I zdawało mi się, że wykroję kawał tego dla siebie. Tak, zdawało mi się, że coś sobie z tego wycopę”. Roześmiał się i dodał: „Myślałem, że jestem taki cwany”.

Chciał wykroić sobie kawał wszystkiego, co tylko jest. Ale w końcu okazało się to kawałem prawa. Na scenie pojawiła się Lucy, potem Tom, była

praca, a później sąd, ale w końcu Willie dostał swój kawał prawa. Pewien stary adwokat z Tyree pomógł mu, wypożyczając książki i odpowiadając na pytania. Tak to trwało blisko trzy lata. Gdyby wtedy Willie chciał tylko wkręcić się jak najłatwiej do adwokatury, mógłby to zrobić znacznie wcześniej, bo naówczas, podobnie zresztą jak teraz, nie trzeba było mieć wyższego umysłu, ażeby złożyć egzamin adwokacki. „Ależ ja byłem dureń! – powiedział mi kiedyś, mówiąc o owych czasach. – Myślałem, że naprawdę trzeba się tego wszystkiego wyuczyć. Myślałem, że chcąc, aby człowiek nauczył się prawa. Psiakrew, przyszedłem na ten egzamin i mało nie pękłem ze śmiechu, jakem zobaczył pytania. Ja ślęczałem po nocach nad książkami, a ci mi tu dają te durne pytanki. Murzyński parobek potrafiłby na nie odpowiedzieć, jeżeliby umiał sylabizować. Trzeba mi było lepiej się przyjrzeć niektórym znajomym adwokatom, to bym wiedział, że zdać może nawet półgłówki. Ale nie: ja się, psiakrew, wziąłem, żeby się nauczyć prawa”. Potem się roześmiał, przestał się śmiać i powiedział z odrobiną posępności, która zapewne została mu po owych długich nocach, gdy w swoim pokoju schylał się nad piecykiem lub słyszał cmy uderzające miękko o siatkę okienną w sierpniowe noce: „Ano i uczyłem się prawa. Mogłem czekać”. Mógł czekać. Przeczytał książki tamtego starego adwokata z Tyree, potem nakupował innych za pieniądze, które wyciągnął z ziemi albo zarobił na swoich patentowanych narzędziach do napraw domowych. I wreszcie przyszła pora, włożył swój najlepszy garnitur z granatowej wełny, wyświecony na siedzeniu, i pojechał pociągiem do stolicy na egzamin. Odczekał i teraz naprawdę wiedział, co było w książkach.

Został adwokatem. Mógł wreszcie zawiesić na kołku roboczy kombinezon, żeby zeszywniał od ostatniego potu, jakim nasiąkł.

Mógł sobie wynająć pokój nad sklepem bławatnym w Mason City, nazwać go swoją kancelarią i czekać, aż ktoś wejdzie po schodach, na

których było tak ciemno, że musiałeś iść po omacku, i gdzie pachniało jak w starym kufrze, który od dwudziestu lat stoi na strychu. Był teraz adwokatem, a zabrało mu to dużo czasu. Zabrało mu dużo czasu, bo musiał zostać adwokatem zgodnie ze swymi wymaganiami i na swój własny sposób. Ale to już miał za sobą. Tylko może zabrało mu to za dużo czasu. Jeżeli jakaś rzecz trwa za długo, z człowiekiem coś się dzieje. Zostaje on wyłącznie tym, czym chce, i niczym więcej, bo zbyt wiele za to zapłacił – za wiele w pragnieniach, za wiele w czekaniu, za wiele w zdobywaniu. A na koniec stawiają mu tylko te durne pytania.

Jednakże pragnienie i czekanie już się skończyło, Willie miał przystryżone włosy, nowy kapelusz i nową teczkę, a w niej kopię swej mowy (którą napisał odręcznie i wyrecytował Lucy, gestykulując tak, jak gdyby się gotował do uniwersyteckiego konkursu krasomówczego), oraz sporo nowych znajomych o obwisłych, niebieskich od zarostu policzkach lub ostrych, białych nosach, którzy klepali go po plecach. Miał także impresaria przedwyborczego, Tiny'ego Duffy'ego, który przedstawiał go ludziom, mówiąc z połyskliwą jak tombak serdecznością: „To jest Willie Stark, następny gubernator tego stanu!” I Willie wyciągał na powitanie dłoń z powagą biskupa. Bo nie podejrzewał niczego.

Zastanawiałem się, skąd to się u niego wzięło. Gdyby kandydował na jakiś urząd w Mason City, nigdy w życiu nie byłby taki. Miałby całkowicie realistyczny pogląd na sytuację i obliczyłby swoje szansę. Albo gdyby był stanął do wstępnych wyborów gubernatorskich z własnej inicjatywy, też miałby pogląd realistyczny. To jednak była inna sprawa. Został zaproszony. Ściągnięto go. Wezwano. I to go trochę przestraszało. Wydaje się niewiarygodne, iż od pierwszego rzutu oka na Tiny'ego Duffy'ego i jego przyjaciół nie uświadomił sobie, że chyba coś tu nie jest w zupełnym porządku. Chociaż właściwie może to i nie było niewiarygodne. Albowiem głos Tiny'ego Duffy'ego, który go wzywał,

nie był niczym innym jak echem jakiejś pewności Williego i jego ślepego wewnętrznego musu, czegoś, co kazało mu przesiadywać noc po nocy w pokoju, ścierać sen z oczu, zapisywać w grubym brulionie piękne zdania i piękne myśli albo pochylać się z gwałtownym, nieledwie fizycznym napięciem nad pożółkłymi kartkami starej prawniczej książki. Dla Williego odrzucenie głosu Tiny'ego Duffy'ego byłoby równie trudne jak dla świętego odrzucenie głosu, który go wzywa wśród nocy.

W gruncie rzeczy stracił kontakt ze światem. Oszałamiał go nie tylko ten usłyszany głos. Oszałamiała go sama świetność pozycji, do której aspirował. Oślepiła go blask światła, które uderzyło go w oczy. Ostatecznie dopiero co wyszedł z mroku, z tego okresu, kiedy całymi dniami harował na farmie i nie widywał nikogo poza członkami rodziny (a dzień po dniu musiał przechodzić obok nich, jak gdyby byli na wprost rzeczywiści), gdy ślęczał po nocach nad książkami w swoim pokoju i aż czuł w sobie ból od tego wysiłku, od tego szukania i chcenia. Nic więc dziwnego, że blask światła go oślepił.

Oczywiście wiedział co nieco o ludzkiej naturze. Dość długo siedział w sądzie okręgowym, aby się czegoś o niej dowiedzieć. (Co prawda usunięto go z sądu. Ale nie stało się to przez jego brak znajomości natury ludzkiej. Być może raczej przez jego wiedzę nie o naturze ludzkiej w ogóle, ale o swojej własnej w szczególności, coś głębszego od zwykłego problemu dobra i zła. Został męczennikiem nie przez nieświadomość, nie tylko w imię dobrej sprawy, ale i z pewnej samowiedzy, głębszej od dobra czy zła.). Wiedział trochę o ludzkiej naturze, lecz teraz coś stało pomiędzy nim a tą wiedzą. W pewnym sensie pochlebiał naturze ludzkiej. Zakładał, że innych tak samo oszałamia świetność i oślepia blask stanowiska, do którego kandydował, i że będą słuchali jedynie argumentów i języka świetnego i błyskotliwego. Toteż jego przemówienia były przykrojone na tę miarę. Stanowiły z jednej strony dziwaczną mieszankę faktów i

cyfr (jego program podatkowy i program budowy dróg), a z drugiej subtelnych uczuć (nikłe, nieco stłumione przez czas echo owych cytatów zapisywanych kanciastym, chłopięcym pismem w wielkim brulionie).

Willie objeżdżał teren porządnym, używanym samochodem, który zakupił na osiemnaście rat, i widział swoją twarz na afiszach przybitych do słupów telegraficznych, spichrzów i parkanów. Wracał do miasta i zajrawszy na pocztę, czy nie ma listu od Lucy, odbywał konferencję z miejscowymi politykami, ścisnął czyjeś dłonie (nie dawał z siebie zbyt wiele; za dużo tam było mowy o zasadach, a za mało o obietnicach), po czym zamykał się w hotelowym pokoju (dwa dolary bez łazienki) i dalej pracował nad przemówieniami. Ciągłe szlifował i poprawiał te draństwa. Uwziął się, żeby każde z nich uczynić drugą Mową Gettysburską. I kiedy już jakiś czas przy tym pomajstrował, wstawał i zaczynał chodzić po pokoju. Chodził i chodził, i niebawem zaczynał wygłaszać swą mowę. Jeżeli ktoś był w sąsiednim pokoju, mógł słyszeć, jak kroczy i przemawia, a kiedy się zatrzymywał, wiadomo było, że przystanął przed lustrem, aby wygładzić jakiś gest.

Czasem to ja byłem w sąsiednim pokoju, bo miałem za zadanie pisać dla „Kroniki” reportaże z jego kampanii wyborczej. Leżałem więc w tej dziurze pośrodku łóżka, gdzie sprężyny puściły pod ciężarem podróżującego rodzaju ludzkiego, leżałem na wznak w ubraniu, patrzyłem w sufit, obserwowałem dym z papierosa unoszący się powoli i rozplaszczający o sufit niby zwolniony i odwrócony dołem do góry film przedstawiający jakiegoś ducha wodospadu albo jak błada, wiotka emanacja dobywająca się z ludzkich ust wraz z ostatnim tchnieniem, tak jak to sobie wyobrażali Egipcjanie, opuszczająca swoje poziomo złożone, doczesne siedlisko odziane w źle dopasowane spodnie i kamizelkę. Leżałem tak, pozwalając, by dym wysnuwał mi się z ust, nie czułem nic, tylko patrzyłem na dym, jak gdybym nie miał żadnej przeszłości ani

przyszłości – i wtedy nagle, w pokoju obok, Willie zaczynał chodzić i mamrotać.

Było to jednocześnie wyrzutem, zniewagą, powodem do śmiechu i czymś pobudzającym do łez. Wiedząc to, co wiedziałem, leżałem tam, słuchając, jak się szykuje na gubernatora, i miałem ochotę wcisnąć sobie w usta poszewkę od poduszki, żeby nie parsknąć śmiechem. Ten biedny półgłówek razem ze swoją mową! Ale głos dalej rozbrzmiewał za ścianą, kroki dalej stukały tam i z powrotem, niczym stąpanie masywnego zwierzęcia, które kołysząc ciężko głową, krąży od ściany do ściany w zamkniętym pokoju czy klatce, szukając wyjścia, nie dając za wygraną, dziko i niezłomnie pewne, że gdzieś musi być obluźowana deska, pręt albo zatrzask – nie teraz, ale kiedyś. I słuchając tego, nie miałeś przez chwilę pewności, czy owa deska lub pręt wytrzymają. Albo te nieustanne kroki były niczym maszyna, nie ludzka ani zwierzęca, i ugniatały cię jak tłuczki czy tłoki w wielkiej kadzi, a ty byłeś w tej kadzi czymś, co tam się akurat znalazło. Tłokom było obojętne, czy to ty, czy nie ty jesteś w kadzi. Ale ugniatały dalej, dopóki nie zostało z ciebie nic, później zaś jeszcze pracowały przez długi czas, aż się maszyna zużyła albo ktoś spuścił ciecz.

A potem, ponieważ miałbyś ochotę tak leżeć pod wieczór w obcym łóżku, w ciemnym pokoju, patrzeć, jak dym snuje się w górę, i nie myśleć o niczym – ani o tym, kim byłeś, ani o tym, kim będziesz – i ponieważ to stąpanie, to zwierzę, tłoki i ten półgłówek nie chcą przestać, zrywasz się, siadasz na brzegu łóżka i masz ochotę kłąć. Ale nie kniesz. Bo zastanawiasz się, czując początki bólu i niepewności, co to takiego tam, w nim, nie pozwala się zatrzymać tym stopom. Może ten człowiek jest półgłówkiem, może nie zostanie gubernatorem, może nikt oprócz Lucy nie będzie słuchał jego mów, ale te kroki nie ustaną.

Nikt nie miał ochoty słuchać mów Williego, włącznie ze mną. Były okropne. Pełne po wygrzebywanych przez niego faktów i cyfr na temat



rządzenia stanem. Mówił: „TA teraz, przyjaciele, jeżeli mnie posłuchacie cierpliwie przez kilka minut, podam wam cyfry” – po czym odchrząkiwał i obracał w palcach kartkę papieru, a kręgosłupy zapadały się głębiej w fotele i ludzie zaczynali czyścić sobie szczyrkami paznokcie. Gdyby Williemu przyszło do głowy przemawiać do nich z trybuny tak samo, jak potrafił mówić twarzą w twarz, kiedy się rozpałił, pochylając się nad rozmówcą z wytrzeszczonymi i błyszczącymi oczami, jak gdyby chciał mu wbić do głowy każde swoje słowo, wtedy może by i porwał słuchaczy. Ale nie: usiłował dorosnąć do poziomu swojego wyobrażenia o wielkim przeznaczeniu.

To było nieważne, dopóki Willie obracał się w swoich stronach. Echa wypadku w szkole były wciąż dosyć silne, ażeby mieć pewną wagę. Willie był tym, który znalazł się po stronie Boga, i Bóg dał znak. Bóg zwałił schodki przeciwpożarowe, ażeby czegoś dowieść. Natomiast kiedy Willie pojechał do środkowej części stanu, zaczęły się kłopoty. Kiedy zaś trafił do jakiegoś sporego miasta, przekonywał się, że ludzi mało obchodzi, która strona jakiegoś zagadnienia jest stroną bożą.

Willie wiedział, co się dzieje, ale nie wiedział dlaczego. Twarz mu trochę wychudła i skóra jakby bardziej napięła się na policzkach, lecz nie wyglądał na zmartwionego. To było najzabawniejsze. Jeżeli ktoś miał prawo wyglądać na zmartwionego, to właśnie Willie. A jednak nie wyglądał. Po prostu sprawiał wrażenie człowieka śniącego na jawie, kiedy zaś wchodził na mównicę przed rozpoczęciem mowy, jego twarz wydawała się jakaś oczyszczona, wzniosła i pogodna, niczym twarz człowieka, który właśnie wydzwignął się z ciężkiej choroby.

Ale Willie nie wydzwignął się ze swojej choroby. Miał galopującą anemię polityczną.

Nie mógł pojąć, co jest nie w porządku. Był jak człowiek zaziębiony, który myśli, że nagle zmienił się klimat, i dziwi się, że inni też nie dygoczą.

Być może właśnie pragnienie odrobiny ludzkiego ciepła sprawiło, że nabrał zwyczaju zagładania do mojego pokoju późnym wieczorem, kiedy już się skończyło gadanie i ściskanie rąk. Siedział tak chwilę, podczas gdy ja popijałem coś do poduszki, i mówił niewiele; raz tylko, w Morristown, po występie, który bez cienia wątpliwości zrobił zupełną klapę, Willie, posiedziawszy jakiś czas cicho, zapytał nagle:

– Jak uważasz, Jack, czy to dobrze idzie?

Było to jedno z tych kłopotliwych pytań w rodzaju: „Czy myślisz, że moja żona jest mi wierna?” albo „Czy wiedziałeś, że jestem Żydem?”, które są kłopotliwe nie z uwagi na to, co możesz odpowiedzieć – prawdę czy kłamstwo – ale dlatego, że ten ktoś je zadał. Jednakże odpowiedziałem mu:

– Doskonale; chyba doskonale.

– Faktycznie tak myślisz? – zapytał.

– Jasne – odparłem.

Przeżuwał to przez minutę, po czym przełknął. Następnie powiedział:

– Dziś jakoś nie bardzo uważnie słuchali. Wtedy, jak wyjaśniałem, na czym polega mój program podatkowy.

– Może usiłujesz za dużo im powiedzieć. To ludziom rozsada komórki mózgowe.

– Zdawałoby się, że powinni chcieć słuchać o podatkach – rzekł.

– Za dużo im mówisz. Powiedz po prostu, że wyciśniesz co tłustszych, i daj spokój z resztą tego tematu.

– Bo nam potrzeba zrównoważonego programu podatkowego. W tej chwili stosunek między podatkiem dochodowym a ogólnym dochodem stanu wykazuje, że...

– Aha – przerwałem. – Słyszałem twoją mowę. Ale ich to guzik obchodzi. Psiakrew, zrób tak, żeby płakali, żeby się śmiali, żeby myśleli, że jesteś ich słabym, błędzącym bratem albo też samym Bogiem

Wszchemocnym. Albo też doprowadź ich do pasji. Nawet do pasji na ciebie. Ale ich porusz, wszystko jedno jak i dlaczego, a będą cię uwielbiali i przychodzili po więcej. Uszczypnij ich w miękkie miejsce. Większość z nich jest martwa, martwa od lat dwudziestu. Psiakrew, ich żony straciły już zęby i linię, whisky nie chce im się utrzymać w żołądkach, w Boga nie wierzą, więc musisz nimi potrząsnąć, żeby znowu poczuli, że żyją. Choćby przez pół godziny. Po to przychodzą. Mów im, co chcesz, ale na imię boskie, nie staraj się ich rozwijać umysłowo!

Opadłem wyczerpany, a Willie medytował nad tym przez chwilę. Siedział bez ruchu, z twarzą spokojną i czystą, lecz miało się wrażenie, że gdyby dobrze posłuchać, dosłyszałoby się ten odgłos kroków wewnątrz jego głowy, i że coś jest w niej zamknięte i stąpa tam i z powrotem. A potem powiedział trzeźwo:

– Aha, ja wiem, że tak mówią.

– Nie narodziłeś się wczoraj – odparłem i nagle zgniewałem się na niego. – Nie byłeś głuchy i niemy przez cały ten czas, kiedy pracowałeś w sądzie w Mason City. Nawet mimo że dostałeś się tam, bo Pillsbury cię wsadził.

Kiwnął głową.

– Tak – odpowiedział. – Słyszałem takie gadanie.

– To się rozchodzi – odrzekłem. – To nie żaden sekret. Wtedy zapytał:

– Myślisz, że to prawda?

– Prawda? – powtórzyłem jak echo i nieomal sam sobie zadałem to pytanie, zanim odpowiedziałem: – Czyja wiem, psiakrew. Ale nie ma gadania, że sporo o tym świadczy.

Siedział jeszcze minutę, potem wstał, powiedział: „Dobranoc”, i poszedł do swojego pokoju. Niedługo potem usłyszałem, że znów zaczyna to chodzenie. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Ale on wciąż chodził. Wyższy Umysł leżał więc na łóżku, słuchał kroków w sąsiednim pokoju

i mówił sobie: Drań chce wymyślić jakiś dowcip, żeby go opowiedzieć jutro wieczorem w Skidmore i rozśmieszyć ludzi.

Wyższy Umysł miał rację. Kandydat istotnie powiedział dowcip w Skidmore. Ale nie rozśmieszył ludzi.

Jednakże właśnie w Skidmore po przemówieniu siedziałem w łoży w greckiej kawiarni, popijając kawę dla uspokojenia nerwów i kryjąc się przed ludźmi, paplaniną głosów, wonią ciał i tym spojrzeniem, z jakim oczy zwracają się na nas w tłumie – gdy wtem weszła Sadie Burke, obrzuciła wzrokiem lokal, spostrzegła mnie, podeszła i usiadła naprzeciw w łoży.

Sadie należała do nowych przyjaciół Williego, ale ja znałem ją od dawna. Krążyły plotki, że była jeszcze bliżej zaprzyjaźniona z niejakim Sen-Sen Puckettem, który żuł sen-sen, żeby mieć wonny oddech, i był tęgim chłopem zarówno fizycznie, jak i politycznie, a także dawniej (i zapewne nadal) przyjacielem Joego Harrisona. Według niektórych to właśnie Sen-Sen pierwszy wpadł na świetny pomysł użycia Williego jako podstawionej marionetki. Sadie była o wiele za dobra dla Sen-Sena, który zresztą prezentował się wcale nieźle. Samej Sadie nie można by nazwać przystojną, a już z pewnością nie uczyniłoby tego jury, które wybiera dziewczyny na Miss Oregonu czy Miss New Jersey. Zbudowana była bardzo przyjemnie, ale miało się skłonność o tym zapominać z uwagi na potworne suknie, w jakie się ubierała, i na jej niezgrabne, gwałtowne, urywane gesty. Miała absolutnie czarne włosy, które obcinała na zwariowaną długość i które rozwiewały się na wszystkie strony dziko i jakoś elektrycznie. Rysy miała dobre, jeżeli się je zauważało, do czego raczej nie było się skłonnym, ponieważ była dziobata. Ale oczy miała wspaniałe, głęboko osadzone i atramentowoaksamitnie czarne.

Jednakże Sadie była za dobra dla Sen-Sena nie ze względu na swoją urodę, ale dlatego, że Sen-Sen był szuja. Prawdopodobnie związała się

z nim, bo był przystojny, a potem, znów według plotek, wciągnęła go w robotę polityczną. Bo Sadie była spryciara. Była oblatana i nauczyła się wiele w trudnych warunkach.

Znalazła się wtedy w Skidmore razem z otoczeniem Starka, ponieważ należała do jego sztabu (prawdopodobnie jako coś w rodzaju wtyczki Sen-Sena) w dwuznacznym charakterze sekretarki. Trzeba dodać, że była bardzo obrotna, załatwiała sporo spraw i dawała Williemu informacje na temat miejscowych znakomitości.

Otóż więc weszła do mojej loży w greckiej kawiarni tym, charakterystycznym dla niej, gwałtownym krokiem, spojrzała na mnie i zapytała:

– Mogę się przysiąść?

Usiadła, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

– Wszystko, co sobie życzysz – odrzekłem wytwornie. – Możesz usiąść, stać czy się położyć.

Przypatrzyła mi się krytycznie tymi atramentowoaksamitnie czarnymi, głęboko osadzonymi oczami, które błyszcząły w dziobatej twarzy, i potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję – odparła. – Lubię coś, co ma witaminy.

– To znaczy nie uważasz, że jestem przystojny? – spytałem.

– Nie zależy mi, żeby chłop był przystojny – powiedziała – ale nigdy nie leciałam na kogoś, kto mi przypomina pudełko z rozsypanym makaronem. Same kanty i suchy grzechot.

– Niech będzie – rzekłem. – Wycofuję moją propozycję. Z godnością. Ale skoro wspomniałaś o witaminach, to powiedz mi jedno. Czy uważasz, że twój kandydat Willie ma witaminy? Dla wyborców?

– O Boże! – westchnęła, wywracając oczy ku niebu.

– Więc dobrze – ciągnąłem. – Kiedyż nareszcie powiesz swoim ludziom, że nic z tego nie wychodzi?

– Jak to, nie wychodzi? Przecież w Upton szykują wielki piknik i wiec. Duffy mi mówił.

– Sadie – powiedziałem. – Wiesz doskonale, że na tym pikniku musieliby chyba upiec na rożnie wielkiego włochatego mastodonta i ponakładać na bułki dziesięci dolarowe banknoty zamiast liści sałaty. Dlaczego nie powiesz swoim grubym szyszkom, że nic z tego nie będzie?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Słuchaj, Sadie – powiedziałem. – Jesteśmy kumplami od dawna i nie musisz wujciowi kłamać. Nie zamieszczam w gazetach wszystkiego, co wiem, ale wiem, że Willie nie dlatego bierze udział w tym wyścigu, że podziwiacie jego krasomówstwo.

– Prawda, że okropne? – spytała.

– Przecież ja wiem, że to wszystko jest ukartowane – ciągnąłem. – Każdy wie z wyjątkiem Williego.

– No tak – przyznała.

– Więc kiedy powiesz swoim ludziom, że nic z tego nie będzie, że tylko marnują forszę? Że Willie nie urwałby jednego głosu nawet Abrahamowi Lincolnowi w kolebce Konfederacji?

– Powinam była to zrobić już dawno.

– A kiedy zrobisz? – spytałem.

– Słuchaj – powiedziała. – Jeszcze zanim się to zaczęło, mówiłam im, że nic z tego nie wyjdzie. Ale nie chcieli słuchać Sadie. Zakute łby! – raptem plunęła kłębem papierosowego dymu znad krągłej, zbyt czerwonej, nagle wywiniętej i połyskliwej dolnej wargi.

– Dlaczego im nie powiesz, że nic z tego, i nie uwolnisz biedaka od męki?

– A niech wydają, psiakrew, te swoje pieniądze! – odparła z irytacją, kręcąc gwałtownie głową, jak gdyby dym z papierosa wpadał jej w oczy. – Niechby jeszcze o wiele więcej wydali, bałwany. Szkoda, że ten biedny

dureń nie miał tyle rozumu, żeby im kazać dobrze go naoliwić przed laniem, które go czeka. A tak będzie miał z tego tylko tyle, że się najędzi. Niech ma chociaż to. Nieświadomość jest szczęściem.

Kelnerka przyniosła filiżankę kawy, którą Sadie musiała zamówić po przyjeździe, jeszcze zanim mnie zauważyła. Wypiła łyk, po czym zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Wiesz co – powiedziała, rozgniatając wściekle niedopałek w filiżance i patrząc na niego, nie na mnie. – Wiesz, że nawet gdyby mu ktoś powiedział... Nawet gdyby zrozumiał, że jest frajer, pewnie by ciągnął to dalej.

– Aha – odparłem. – Wygłaszałyby te mowy.

– O Boże! – jęknęła. – Prawda, że okropne? – No!

– Ale myślę, że ciągnąłyby dalej. – Aha.

– Bałwan – powiedziała.

Wróciliśmy pieszo do hotelu i poza jednym czy drugim przelotnym spotkaniem nie widziałem Sadie więcej, aż dopiero w Upton. Przed wyjazdem do Upton sytuacja wcale się nie poprawiła. Wróciłem do miasta i na jakiś tydzień zostawiłem kandydata samopas, ale słyszałem, co się dzieje. A potem, w przeddzień pikniku, wsiadłem do pociągu jadącego do Upton.

Upton znajduje się w zachodniej części stanu i jest ośrodkiem tych wyborców, którzy jakoby mieli wyroić się hurmem z krzaków na ów piknik. A nieco na północ od Upton są tereny węglowe, gdzie masa ludzi mieszka w barakach kompanii i modli się o pełny tydzień pracy. Było to dobre miejsce na zapewnienie dużej frekwencji na pikniku. Ci ludzie z baraków znajdowali się w takim położeniu, że byliby gotowi przejść pieszo piętnaście mil, aby dostać coś świeżego do przekąszenia. Gdyby mieli jeszcze siły, a poczęstunek był darmowy.

Miejscowy pociąg, którym jechałem, sapał, trząsł, zwalniał i znowu

pędził przez kraj bawełny. Od czasu do czasu staliśmy pół godziny na bocznicy, czekając na coś, i wtedy przyglądałem się rzędom krzaków bawełny zbiegającym się na rozmigotanym od upału horyzoncie i sterczącemu niedaleko spomiędzy nich czarnemu kikutowi spalonego drzewa. A potem, późnym popołudniem, pociąg wjechał w kraj przetrzebionych sosnowych lasów i bożydrzewu. Stawaliśmy na żółtej, pudełkowej stacji, z rozsypanymi za nią nie malowanymi domkami, w przerwie między nimi widziałem centrum miasteczka, a kiedy pociąg znów ruszył – ogródki przy domach, obwiedzione płotami z desek albo drutu, jak gdyby po to, aby odgrodzić się od otwartej, pofalowanej i porośniętej bożydrzewem przestrzeni, wyglądającej na gotową zalać i pochłonąć domy. Same domy wydawały się tu nie na miejscu, jakieś zaimprovizowane, rzucone niedbale, jakby ludzie mieli je lada chwila opuścić. Na sznurze wisiałaby pewnie wtedy bielizna, ale i ją by zostawili, odchodząc. Nie mieliby czasu ściągnąć jej ze sznura. Bo już by się ściemniało i musieliby się śpieszyć.

Ale gdy pociąg się oddala, w kuchennych drzwiach któregoś z domów staje kobieta – tylko postać kobieca, bo twarzy rozeznacć nie można – i trzyma w ręku rondel, i chlusta z niego wodą, nagłym, postrzępionym błyskiem srebra w świetle. Zawraca do domu. Do tego, co jest w domu. Jego podłoga cienko pokrywa nagą ziemię, cienkie są ściany i dach, odgradzające go od wszystkiego, co jest na zewnątrz, ale nie można przeniknąć przez nie wzrokiem do owej tajemnicy, do której wróciła kobieta.

Pociąg oddala się coraz szybciej, a kobieta już jest w domu, gdzie ma pozostać. Bo tam pozostanie. I nagle myślisz, że to ty jesteś tym, który ucieka i który powinien uciekać szybko tam, dokąd zdąża, bo już niedługo się ściemni. Pociąg jedzie dość prędko, ale masz wrażenie, jakby przedzierał się przez nieustępliwą, nasyconą gęstość powietrza niczym



węgorz usiłujący płynąć w syropie, a jego wysiłek zdaje się zmagać ze wzrastającym, nieubłagany przyciąganiem ziemskim. Myślisz, że gdyby ziemia raz drgnęła, podobnie jak drga skóra na śpiącym psie, pociąg wyrzuciłby się i zwałił, lokomotywa bryzgałaby parą i sapała, a jakieś sterczące w górę koło obróciłoby się jeszcze raz ciężko niby we śnie.

Ale nic się nie dzieje i przypominasz sobie, że tamta kobieta nawet nie spojrzała na pociąg. Zapominasz o niej, pociąg toczy się szybko i szybko przejeżdża po małym mostku. Dostrzegasz spokojne, metaliczne, czyste, przedwieczne, niezmaczone lśnienie wody pod niebem między niskimi brzegami i widzisz krowę stojącą w strumieniu nie opodal samotnej, pochyłej wierzby. I nagle czujesz, że zbiera ci się na płacz. Ale pociąg jedzie szybko i niemal zaraz to, co uczułeś, także zostaje ci zabrane.

Cholerny głupcze, zdaje ci się, że chcesz wydoić krowę?

Nie chcesz wydoić krowy.

A potem jesteś w Upton.

W Upton poszedłem do hotelu, taszcząc moją małą walizkę i maszynę do pisania poprzez tłum ludzi na ulicy, ludzie, którzy przyglądali mi się z tym powolnym, ciekawym, całkowitym bezwstydem wieśniaków i nie usuwali mi się z drogi, dopóki na nich nie nastąpiłem, podobnie jak na trakcie krowa nie zejdzie ci sprzed samochodu, dopóki chłodnica o mało nie trąci jej pod zebra. W hotelu zjadłem sandwicza, poszedłem na górę do pokoju, puściłem wentylator, kazałem sobie przysłać dzbanek wody z lodem, zdjąłem buty i koszulę i zasiadłem w krzesle z książką.

O wpuł do jedenastej zapukano do drzwi. Ryknąłem: „Wejść!”, i do pokoju wszedł Willie.

– Gdzieś się podziewał? – zapytał go.

– Byłem tu całe popołudnie – odparł.

– Duffy cię ciągał, żebyś wyściskał ręce wszystkim czołowym

obywatelom?

– Aha – odrzekł pośepnie.

Ta pośepność jego głosu sprawiła, że spojrzałem na niego uważniej:

– Co się stało? – spytałem. – Czy ci goście tutaj niemilo z tobą gadali?

– Owszem, miło gadali – odparł. Podeszedł i usiadł na krześle przy biurku. Nalał sobie wody do szklanki stojącej na tacy, obok mojej butelki z whisky, wypił i powtórzył: – Owszem, miło gadali.

Znowu spojrzałem na niego. Twarz miał zapadniętą, a skórę napiętą mocniej, tak że wydawała się nieomal przezroczysta pod plamami piegów. Siedział ciężko na krześle, nie zwracając na mnie uwagi, jak gdyby coś sobie w myśli przeżuwał wciąż od nowa.

– Co cię gryzie? – zapytałem.

Przez chwilę zachowywał się tak, jakby nie usłyszał, a kiedy obrócił do mnie głowę, wydało się, że nie ma żadnego związku między tym ruchem a moimi słowami. Jakby ruch wynikał z tego, co działo się w jego głowie, nie z tego, że coś powiedziałem.

– Człowiek nie musi być gubernatorem – rzekł.

– Co?! – zawołałem ze zdumieniem, bo była to ostatnia rzecz, jakiej się w owej chwili spodziewałem. Występ w tym ostatnim mieście (gdzie nie pojechałem) musiał naprawdę zrobić klapę, żeby go tak otrzeźwić.

– Człowiek nie musi być gubernatorem – powtórzył, a kiedy teraz spojrzałem na niego, nie zobaczyłem już tej cienkoskórej, chłopięcej twarzy, ale jakąś inną pod spodem, jak gdyby pierwsza była maską ze szkła, przez którą mogłem dojrzeć tamtą. Przypatrzyłem się tej drugiej twarzy i nagle ujrzałem gruba we wargi dociśnięte jedna do drugiej niczym cegły w murze i supły mięśni na policzkach, w miejscu gdzie zaczepiona jest żuchwa.

– No cóż – odezwałem się z opóźnieniem – jeszcze nie policzyli głosów.

Przeżuwał dalej w myśli to, co go zaprzętało. W końcu powiedział:

– Nie przeczę, że tego chciałem. Nie będę ci kłamał. – Pochylił się nieco i spojrzął na mnie, jak gdyby chcąc mnie przekonać o czymś, czego i tak byłem bardziej pewny niż własnych rąk i nóg. – Chciałem tego. Po nocach nie spałem, takem tego chciałem. – Zacisnął złożone na kolanach wielkie ręce, aż trzasnęło w stawach. – Psiakrew, człowiek może leżeć i chcieć czegoś tak strasznie, i taki być pełen tego chcenia, że po prostu zapomina, czego właściwie chce. To tak, jak kiedy jesteś chłopakiem i pierwszy raz wzbierają w tobie soki i którejs nocy myślisz, że zwariujesz od tego chcenia, i chcesz czegoś tak bardzo, że mało się nie pochorujesz, aż prawie zapominasz, co to takiego. To jest coś w tobie. – Pochylił się, nie spuszczać ze mnie oczu, i chwycił przód swojej pociemniałej od potu, niebieskiej koszuli, aż pomyślałem, że chce rozerwać guziki, aby mi coś pokazać. Jednakże opadł z powrotem na krzesło, odwrócił ode mnie wzrok, popatrzył w ścianę tak, jakby jej nie było, i powiedział: – Ale od samego chcenia nic się jeszcze nie staje. Nie trzeba żyć sto lat, żeby się o tym przekonać.

Było to tak prawdziwe, że nawet nie uważałem, aby mu warto było przytaknąć.

Zdawał się nie zauważać mojego milczenia, taki był pogrążony w swym własnym. Ale po minucie wyrwał się z niego, popatrzył na mnie i powiedział:

– Mógł ze mnie być dobry gubernator. Jak Boga kocham – uderzył się pięścią po kolanie – jak Boga kocham, o wiele lepszy niż tamci. Słuchaj – pochylił się ku mnie – temu stanowi potrzeba nowego systemu podatkowego. I powinno się podnieść stawkę od terenów węglowych, które stan wydzierżawiają. A jak się wyjedzie za miasto, to widać, że w całym stanie nie ma jednej porządnej drogi. Poza tym mógłbym zaoszczędzić naszemu stanowi trochę pieniędzy dzięki scaleniu różnych wydziałów.

A szkoły... Weź choćby mnie... nie miałem w życiu ani jednego dnia porządnej nauki: sam się dokopałem do tego, co wiem, i nie ma powodów, żeby ten stan...

Już to słyszałem. Wtedy, gdy stał na trybunie, z twarzą wzniosłą i czystą, a wszystkich guzik to obchodziło.

Musiał zauważyć, że mnie też nie obeszło. Nagle umilkł. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, z głową wyciągniętą do przodu i kędziorem spadającym na czoło. Zatrzymał się przede mną.

– Przecież trzeba to zrobić, nie? – zapytał.

– Jasne – odpowiedziałem i to nie było kłamstwo.

– Ale oni nie chcą mnie słuchać – rzekł. – Szlag by trafił tych drani. Przychodzą na przemówienie, a potem nie chcą człowieka słuchać. Ani jednego słowa. Wszystko im jedno. Szlag by ich trafił! Warci są tego, żeby się grzebać w błocie i nic z tego nie mieć oprócz burczenia w brzuchu! Nie chcą słuchać.

– Nie – przyznałem. – Nie chcą.

– I ja nie będę gubernatorem – powiedział krótko. – Zasłużyli na to, co ich czeka. – I dodał: – Dranie.

– Więc co? Chcesz, żebym z tego powodu pottrzymał cię za rączkę? – Nagle rozeźliłem się na niego. Po co do mnie przy laź? Czego ode mnie oczekiwał? Skąd mu przyszło do głowy, że mam chęć wysłuchiwać, czego potrzeba stanowi? Przecież wiedziałem, psiakrew. Każdy wiedział. To nie był żaden sekret. Potrzeba było jakiego przyzwoitego rządu. Ale kto, u licha, miał się tym zająć? I kogo to obchodziło, że nikt tego nie robi i nie robi? Po co przyszedł do mnie z tym skomleniem? I z tym, że tak piekielnie chciał być gubernatorem, że aż leżał i myślał o tym po nocach. Wszystko to przeleciało mi przez głowę, kiedy nagle rozeźliłem się na niego i spytałem zjadliwie, czy chce, żebym go pottrzymał za rączkę.

Spojrzał na mnie powoli, obrzucił wzrokiem, czytając w mojej

twarży. Ale nie był zły. Co mnie zaskoczyło, bo chciałem go rozzłościć, rozzłościć na tyle, żeby sobie poszedł. Jednakże w jego spojrzeniu nie było nawet zdziwienia.

– Nie, Jack – powiedział wreszcie, potrząsając głową. – Nie chciałem od ciebie współczucia. Cokolwiek się stanie, nie proszę o współczucie ani ciebie, ani nikogo innego. – Otrząsnął się ciężko, jak wielki pies wychodzący z wody albo budzący się ze snu. – Nie, na Boga – powiedział i w gruncie rzeczy nie mówił teraz do mnie. – Nie proszę o to nikogo na świecie, ani teraz, ani nigdy.

To jakby coś załatwiało. Usiadł więc na powrót.

– Co teraz zrobisz? – spytałem.

– Muszę się zastanowić – odparł. – Nie wiem i muszę pomyśleć. To dranie! – powiedział. – Gdybym chociaż mógł ich zmusić do słuchania!

Właśnie w tej chwili weszła Sadie. Albo raczej zapukała do drzwi, ja krzyknąłem, a ona weszła.

– Cześć – powiedziała, szybko obrzuciła spojrzeniem całą scenę i ruszyła ku nam. Nie spuszczała oka z butelki whisky stojącej na stole. – Można się napić? – spytała.

– Proszę bardzo – odpowiedziałem, ale najwidoczniej nie włożyłem w swój ton dostatecznego zasobu jowialności. Czy też może zwąchała w powietrzu, że coś się stało, bo jeżeli ktoś to potrafił, to właśnie Sadie.

Tak czy owak, zatrzymała się na środku pokoju i spytała:

– Co się stało?

Nie odpowiedziałem od razu, a Sadie podeszła do biurka krokiem szybkim i nerwowym, jak to ona zawsze; obleczona w nieforemną, tandetnie niebieską letnią sukienkę, którą musiała wybrać, zaszedłszy do sklepu z używaną garderobą. Pewnie zamknęła oczy, pokazała palcem i powiedziała: „Wezmę tę”.

Pochyliła się, wyjęła papierosa z mojej paczki leżącej na stole,

postukała go o knykcie i obróciła na mnie swoje gorące reflektory.

– Nic się nie stało – odrzekłem. – Tyle tylko, że Willie powiada, że nie będzie gubernatorem.

Kiedy mówiłem te słowa, miała już zapaloną zapałkę, ale ta nie dotarła do papierosa. Zatrzymała się w powietrzu.

– Więc mu powiedziałeś – rzekła, patrząc na mnie.

– Cholera tam powiedziałem – odparłem. – Nigdy nic nikomu nie mówię. Tylko słucham.

Zgasiła zapałkę złym strząśnięciem ręki i obróciła się do Williiego.

– Kto ci powiedział? – spytała.

– Co mi powiedział? – spytał Willie, patrząc na nią uważnie.

Spostrzegła się, że popełniła błąd. A nie był to ten rodzaj błędu, który mogła popełnić Sadie Burke. Drogę w świecie utorowała sobie z nizin dzięki temu, że zawsze dowiadywała się, co wiedzą inni, a nie pozwalała im się dowiedzieć, co wie sama. Jej metodą było nigdy się nie wychylać, ale zrećnie grać na pewniaka, kiedy ktoś stracił już równowagę. Tym razem jednak się wychyliła. Gdzieś głęboko w Sadie Burke tkwiła myśl, że ja powiem Williemu. Albo że powie mu ktoś inny. Nie, że to ona, Sadie Burke, powie Williemu, ale że Willie się dowie i ona nie będzie musiała mu mówić. Czy też może nie było to tak sprecyzowane. Po prostu gdzieś w głębokim mroku myśli o Williem i o tym, czego Willie nie wiedział, unosiły się jak dwa kawałki drewna wessane przez wir na dno rzeki, gdzie powoli, ślepo kołują w ciemnościach. Ale są tam przez cały czas.

Tak więc wskutek przypuszczenia, które powzięła bezwiednie, czy też pragnienia albo obawy, której sobie nie uświadamiała, wychyliła się tym razem. I stojąc tam, kręcąc w swych mocnych palcach nie zapalonego papierosa, wyczuła to. Ale pieniążek już został wpuszczony w otwór automatu i patrząc na Williiego, można było dostrzec, że kółka zębate i wiśnie, i cytryny zaczynają się obracać wewnątrz maszyny.

– Co mi powiedział? – powtórzył Willie znowu.

– Ze nie zostaniesz gubernatorem – odparła na pozór beztrzesko, ale rzuciła mi spojrzenie, bodaj jedyne SOS, jakie Sadie Burke komukolwiek posłała.

Ale to było jej piwo i pozwoliłem jej dalej je warzyć.

Willie czekał, nie spuszczał z niej oka, kiedy się odwracała, odkorkowywała butelkę i nalewała sobie trochę na uspokojenie nerwów. Wypiła bez godnego damy odkaszlnięcia.

– Co mi powiedział? – zapytał Willie.

Nic nie odrzekła. Tylko spojrzała na niego. A on, patrząc na nią, powtórzył grobowym głosem:

– Co mi powiedział?

– Niech cię szlag trafi! – krzyknęła na niego wtedy, a szklanka zadzwoniła o tacę, kiedy ją odstawiała, nie patrząc. – Ty frajerze przeklęty!

– W porządku – powiedział Willie tym samym głosem, piłując jak bokser, którego przeciwnik zaczyna miotać się dziko. – Co to było?

– Więc dobrze – odparła. – Dobrze, ty frajerze: wykiwali cię! Patrzył na nią uparcie przez pół minuty i nie było nic słyhać prócz jego oddechu. Przysłuchiwałem mu się. A potem zapytał:

– Wykiwali?

– Jeszcze jak! – odrzekła Sadie i pochyliła się ku niemu z jakąś mściwą i tryumfalną energią błyszczącą w oczach i dźwięczącą w głosie. – Ach, ty kukło, ty tępą kukło, dałeś im się! A tak, dałeś im się, boś myślał, że jesteś ten biały baranek boży... – Przerwała, żeby kilka razy prychnąć na niego szyderczo, wykrzywiając usta. – Tak, myślałeś, żeś baranek boży, jasne, ale wiesz, co ty jesteś?

Zaczekała jakby na odpowiedź, ale Willie wciąż wpatrywał się w nią bez słowa.

– No więc jesteś kozioł – powiedziała. – Kozioł ofiarny. Jesteś baran.

Frajer. Boś im się dał. I nawet nic z tego nie miałeś. Zapłaciliby ci, żebyś się dał rozłożyć, ale takiemu frajerowi jak ty nawet nie musieli nic płacić. O, nie! Taki byleś nadęty sobą i gorącym powietrzem, i tym, jaki ty jesteś Jezus Chrystus, że chciałeś tylko stanąć na tylnych łapach i palnąć mowę. „Przyjaciele! – wykrzywiła twarz, małpując go złośliwie, z afekcją. – Przyjaciele! Temu stanowi potrzeba dobrych pięciocentowych cygar”. Boże kochany! – Wybuchnęła jakimś dzikim, sztucznym śmiechem, który urwał się nagle.

– Dlaczego? – zapytał Willie, wpatrując się w nią uparcie i oddychając ciężko, ale nie pokazując nic po sobie. – Dlaczego to zrobili? Mnie?

– O, Boże! – wykrzyknęła i obróciła się do mnie. – Słyszysz tego frajera? Chce wiedzieć dlaczego. – Potem znowu obróciła się ku niemu, pochyliła nad nim i powiedziała: – Posłuchaj, jeżeli potrafisz wbić to sobie do swego głupiego łba. Chcieli, żebyś rozbił głosy na MacMurfee’ego. W kawałki. Zrozumiałeś, czy jeszcze ci trzeba obrazka? Kapujesz, ty zakuty łbie?

Spojrzał na mnie powoli, zwilżył językiem wargi i zapytał:

– Czy to prawda?

– On chce wiedzieć, czy to prawda! – oznajmiła Sadie modlitewnie, zwracając się do sufitu. – O mój Boże!

– Czy to prawda? – zapytał mnie.

– Tak słyszałem – odrzekłem.

To był dla niego cios. Nie da się zaprzeczyć. Twarz skurczyła mu się, jakby chciał coś powiedzieć albo wybuchnąć płaczem. Jednakże nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Sięgnął do stołu, wziął butelkę, nalał do szklanki dość, żeby zważyło z nóg Irlandczyka, i wypił to gładko.

– Ej! – powiedziałem. – Uważaj, nie jesteś do tego przyzwyczajony.

– Nie jest przyzwyczajony do wielu rzeczy – rzekła Sadie, posuwając ku niemu butelkę po tacy. – Nie jest przyzwyczajony do myśli, że nie



będzie gubernatorem. Prawda, Willie?

– Nie możesz się odczepić? – spytałem ją.

Ale ona nawet nie zwróciła na mnie uwagi. Pochyliła się do Williego i powtórzyła, tym razem przymilnie:

– Prawda, Willie?

Sięgnął po butelkę i wypił znowu.

– No nie? – spytała, już się nie przymilając.

– Byłem – powiedział, patrząc na nią, a krew już mu napłynęła do twarzy, kosmyk włosów zwisał, oddech ciężko dobywał się z piersi. – Byłem przedtem, ale teraz nie.

– Co nie? – spytała.

– Nie jestem przyzwyczajony.

– Lepiej się przyzwyczaj – odrzekła, zaśmiała się i popchnęła ku niemu butelkę.

Wziął ją, nalał sobie, wypił, ostrożnie odstawił szklanekę i powiedział:

– Lepiej nie. Lepiej, żebym się nie przyzwyczajał. Zniosła się znowu tym dzikim, sztucznym śmiechem, urwała nagle i powtórzyła jak echo:

– On mówi, że lepiej, żeby się nie przyzwyczajał. O mój Boże! – i roześmiała się znowu.

Willie siedział ciężko na krześle, ale nie odchyłony do tyłu, pot zaczynał perlić się na twarzy i spływać powoli, lśniąc po skórze. Nie zwracał na to uwagi, nie ocierał potu i obserwował śmiejącą się Sadie.

Wtem dźwignął się z krzesła. Myślałem, że się na nią rzuci. I ona też musiała tak pomyśleć, bo jej śmiech zamarł. W samym środku arii. Ale Willie nie rzucił się na nią. Nawet na nią nie patrzył. Potoczył wzrokiem po pokoju i wyciągnął ręce przed siebie, jak gdyby chciał coś schwycić.

– Zabiję ich! – powiedział. – Zabiję!

– Siadaj – odrzekła, szybko pochyliła się ku niemu i pchnęła go w pierś.

Nie stał zbyt pewnie na nogach, więc siadł. Prosto na krzesło.

– Zabiję ich – powtórzył z krzesła, oblany potem.

– Nie zrobisz nic a nic – oświadczyła. – Nie będziesz gubernatorem i nic ci nie zapłacą za to, że nie będziesz, i nie zabijesz ani ich, ani nikogo, a wiesz dlaczego?

– Zabiję ich – powtórzył.

– Powiem ci dlaczego – mówiła, pochylając się nad nim. – Bo jesteś frajer. Potrójny, zakuty, ciężki frajer, a poza tym...

Wstałem.

– Wszystko mi jedno, jak to sobie rozgrywacie – powiedziałem – ale nie muszę tu siedzieć i przyglądać się wam.

Sadie nawet nie obróciła głowy. Ruszyłem do drzwi i wyszedłem, a ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem, było definiowanie przez Sadie, jakim Willie jest frajerem. Pomyślałem, że każdemu potrzeba by na to sporo czasu.

Tego wieczora zobaczyłem kawał miasta Upton. Widziałem ludzi wychodzących po ostatnim seansie z kina „Picture Palace”, podziwiałem bramy cmentarza i budynek szkoły w świetle księżyca, stałem wychylony przez poręcz mostu i spluwałem do rzeki. Zabrało mi to ze dwie godziny. Potem wróciłem do hotelu.

Kiedy otworzyłem drzwi pokoju, zastałem Sadie siedzącą na krześle przy biurku i palącą papierosa. Powietrze było tak gęste, że można by je krajać nożem, a w świetle lampy stojącej na stole błękitny dym unosił się, wił i kłębił wokoło niej, tak iż doznałem wrażenia, że widzę ją siedzącą w akwarium napełnionym mydlinami. Butelka na stole była pusta.

Przez sekundę myślałem, że Willie już poszedł. A potem zobaczyłem gotowy produkt.

Leżał na moim łóżku.

Wszedłem i zamknąłem drzwi.

– Widać, że tu się uspokoiło – zauważyłem. – Aha.

Podszedłem do łóżka i obejrzałem ów towar. Willie leżał na wznak. Marynarkę miał podciągniętą aż pod pachy, ręce nabożnie złożone na piersiach niczym ręce postaci na grobowcu w katedrze, koszula wysunęła mu się trochę spod podtrzymującego ją paska, a jej dwa dolne guziki odpięły się, ukazując trójkątny kawałek z lekka obrzmiałego brzucha, biały, z kilkoma ciemnymi, sztywnymi włosami. Usta były lekko rozchylone, a dolna warga drgała delikatnie, obwisłe, za każdym rytmicznym wydechem. Bardzo to było ładniutkie.

– Trochę tu szalał – powiedziała Sadie. – Gadał mi, czego to on nie zrobi. O, ma wielkie zamiary. Zostanie prezydentem. Będzie zabijał ludzi gołymi rękami. Boże kochany! – Zaciągnęła się papierosem, wydmuchnęła dym i odepchnęła go od twarzy gwałtownym strzepnięciem prawej dłoni. – Ale go uspokoiłam – dodała z wyrazem ponurej, niespodziewanej staropanieńskiej satysfakcji, takiej, jaką się widuje u ciotecznej babki.

– Czy on idzie na ten piknik? – zapytałem.

– A bo ja wiem? – warknęła. – Nie gadał tu o takich drobiazgach jak pikniki. O, to wielki działacz. Ale... – Przerwała i znowu powtórzyła to zaciągnięcie się dymem, wydmuchanie i strzepnięcie ręką. – Ale go uspokoiłam.

– Wygląda, jakbyś go kropnęła – zauważyłem.

– Nie kropnęłam go – odpowiedziała. – Ale dałam w miękkie miejsce. W końcu zrozumiał, co z niego za frajer. I to go uspokoiło.

– Spokojny jest, rzeczywiście – powiedziałem i podszedłem do stołu.

– Nie uspokoił się tak od razu. Ale na tyle, że siedział na krześle i szukał pociechy w butelce, i mówił, że będzie musiał powiedzieć o tym jakiejś tam Lucy.

– To jego żona – odparłem.

– Mówił o niej tak, jakby była jego mamunią i miała mu wytrzeć

nosek. Potem powiedział, że idzie prosto do siebie i napisze do niej list. Ale – ciągnęła, spoglądając na łóżko – nie dał rady. Doszedł do środka pokoju, a potem zawrócił do łóżka.

Wstała z krzesła, podeszła do łóżka i popatrzyła na Williego.

– Czy Duffy wie? – spytałem.

– Guzik mnie obchodzi, co Duffy wie – odparła. Ja także podeszedłem do łóżka.

– Zdaje się, że trzeba będzie go tu zostawić – powiedziałem. – Pójdę do jego pokoju i położę się spać.

Pochyliłem się i poszukałem w kieszeniach Williego klucza do pokoju. Znalazłem go. Potem wyjąłem z mojej walizki szczoteczkę do zębów i pidżamę.

Sadie wciąż stała przy łóżku. Obróciła się do mnie.

– Mógłbyś przynajmniej zdjąć draniowi buty – zasugerowała. Położyłem walizkę na brzegu łóżka i ściągnąłem mu buty.

Wziąłem pidżamę i szczoteczkę do zębów i podeszedłem do stołu, żeby zgasić lampę. Sadie dalej stała przy łóżku.

– Lepiej ty napisz ten list do mamci Lucy – powiedziała – i zapytaj, dokąd odesłać szczątki.

Kładąc rękę na wyłączniku, obejrzałem się na Sadie, która stała, przypatrując się szczątkom, z lewą ręką, tą od mojej strony, opuszczoną prosto, trzymając między czubkami dwóch palców papierosa, z którego powoli odwijano się w górę pasemko dymu; głowę miała lekko pochyloną i w zamyśleniu wydmuchiwała dym nad wysuniętą, połyskującą w świetle dolną wargą.

To była ta Sadie, która przebyła długą drogę od budy na nizinach. Przebyła długą drogę, bo grała, żeby wygrać, i to nie na zapalki, i wiedziała, że aby wygrać, trzeba postawić pieniądze na właściwy numer, a jeżeli nam numer nie wyjdzie, czeka już facet z grabkami i zgarnie nasze

pieniądze, które wtedy nie będą nasze. Od dawna już była wyrobiona, gadała z ludźmi i patrzyła im prosto w oczy jak mężczyzna. Niektórzy ją lubili, a ci, co jej nie lubili, słuchali, kiedy mówiła, co nie zdarzało się zbyt często, ponieważ istniały podstawy do mniemania, że kiedy te wielkie czarne oczy – tak czarne, iż nie sposób było rozeznąć, czy jest to czerń powierzchni, czy głębi – spojrzały na koło, zanim zaczęło się obracać, potrafiły przewidzieć, w którym punkcie się zatrzyma, i ujrzeć kulkę na danym numerze. Niektórzy, jak Sen-Sen, lubili ją ogromnie. To kiedyś było dla mnie trudne do zrozumienia. Widziałem tylko tobołek owinięty w workowaty tweed albo w luźne płócienko, zależnie od pory roku, i dziobatą twarz z grubą krechą pomadki do ust, a w tej twarzy dwie czarne lampy, nad nimi zaś gąszcz czarnych włosów, które wyglądały tak, jakby je chlaśnięto tasakiem na wysokości uszu.

A potem w pewnej chwali zobaczyłem nagle coś innego. Widuje się przez długi czas jakąś kobietę i uważa, że jest brzydka. Ze to po prostu nic. A potem ni stąd, ni zowąd zaczynasz myśleć, jaka też ona jest pod tym workowatym tweedem czy luźnym płóciukiem. Ni stąd, ni zowąd dostrzegasz twarz pod dziobatą maską, twarz pokorną, czystą i ufną, która cię prosi, żebyś uniósł maskę. To musi być podobnie, jak kiedy stary człowiek spojrzy na swoją żonę i przez sekundę widzi twarz, którą znał przed trzydziestu laty. Tylko że w przypadku, o którym mówię, nie było to przypomnieniem sobie twarzy widzianej dawno temu, ale odkryciem nowej, której się nigdy nie widziało. To była przyszłość, nie przeszłość. Bardzo to niepokojące. I było niepokojące przez jakiś czas. Spróbowałem, czy mi się z nią nie uda, ale nic z tego nie wyszło.

Roześmiała mi się w twarz i powiedziała: „Mam ułożone życie i trzymam się go, póki je mam”.

Nie wiedziałem, jakie jest to życie. To było, zanim jeszcze zjawił się pan Sen-Sen Puckett. To było, zanim jeszcze pozwoliła mu skorzystać ze

swego daru stawiania na właściwy numer.

Nic z tego nie przeszło mi przez myśl, kiedy kładłem rękę na przełączniku i oglądałem się na Sadie Burke. Ale mówię o tym dlatego, żeby wyjaśnić, kim była Sadie Burke, która stała przy łóżku, medytując nad ze włokiem, kiedy kładłem rękę na wyłączniku, i która doszła do tego, czym była, bo się nigdy nie pośliznęła, a pośliznęła się tego wieczora.

Przynajmniej tak to sobie wyobrażałem.

Przekręciłem wyłącznik i oboje wyszliśmy z pokoju i pożegnaliśmy się na korytarzu.

Musiałoby już być około dziewiątej nazajutrz rano, kiedy Sadie zaczęła dobijać się do moich drzwi, a ja wypłynąłem otumaniony z dna grząskiego snu, niby kawałek nasiąkniętego wodą drewna wynurzający się z dna sadzawki. Podeszedłem do drzwi i wytknąłem głowę na zewnątrz.

– Słuchaj – zaczęła, nie bawiąc się w żadne uprzejmości. – Duffy wybiera się na plac targowy, a ja jadę z nim. On ma tam kupę ważnej roboty. Chciał też wyciągnąć wcześniej tego frajera, żeby się bratał z pospółstwem, ale mu powiedziałam, że nie czuje się najlepiej. Że przyjdzie trochę później.

– Okej – odparłem. – Nie płacą mi za to, ale postaram się go dostarczyć.

– Mnie obojętne, czy on tam dobrnie – rzekła. – Dla mnie dziury w niebie nie będzie.

– W każdym razie postaram się go przywieźć.

– Jak chcesz – odparła i odeszła korytarzem, skubiąc płócienną sukienkę.

Wyrzałem przez okno, stwierdziłem, że oto zaczyna się nowy dzień, ogoliłem się, ubrałem i zszedłem na kawę. Potem poszedłem do mojego pokoju i zapukałem. Wewnątrz rozległ się jakiś odgłos, podobny do

niskiego beknięcia oboju w beczcze z pierzem. Wobec tego wszedłem. Poprzedniego wieczora nie zamknąłem drzwi na klucz.

Było już po dziesiątej.

Willie leżał na łóżku. W tym samym miejscu, w marynarce wciąż podciągniętej pod pachy, z dłońmi wciąż złożonymi na piersi, a twarz miał bladą i czystą. Zbliżyłem się do łóżka. Nie obrócił głowy, ale jego oczy przerzuciły się na mnie takim ruchem, iż zdawało się, że mógłbyś dosłyszeć, jak trzeszczą w oczodołach.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Otworzył trochę usta, wysunął język i ostrożnie zwilżył nim wargi. Potem uśmiechnął się blado, jak gdyby próbował, czy mu aby coś nie pęknie. Nic się nie stało, więc szepnął:

– Zdaje się, że wczoraj się spałem?

– Tak to nazywają – odparłem.

– Pierwszy raz – rzekł. – Jeszcze nigdy się nie upiłem. Nawet nie próbowałem alkoholu, poza jednym razem.

– Wiem. Lucy nie pochwała picia.

– Ale myślę, że zrozumie, kiedy jej powiem – rzekł. – Zrozumie, co mnie do tego doprowadziło. – A potem pogrążył się w zadumie.

– Jak się czujesz?

– Zupełnie dobrze – odrzekł i dźwignął się do pozycji siedzącej, spuszczając nogi na podłogę. Siedział tak, oparłszy stopy w skarpetkach na podłodze, rejestrując swoje wewnętrzne napięcia i dolegliwości. – Tak – zakonkludował. – Czuję się dobrze.

– Jedziesz na ten piknik?

Spojrzał na mnie, z wysiłkiem unosząc głowę; miał taką minę, jakbym to ja był tym, który powinien odpowiedzieć.

– Dlaczego o to pytasz? – zagadnął.

– Cóż, bo wiele się wydarzyło.

– Owszem – odrzekł. – Pojadę.

– Duffy i Sadie już pojechali. Duffy chce, żebyś się tam zjawił i zbratał z motłochem.

– Dobrze – powiedział. Potem wbiwszy oczy w jakiś wymaginowany punkt na podłodze z dziesięć stóp od jego nóg, wytknął znów język i zaczął nim przesuwając po wargach. – Pić mi się chce – rzekł.

– Jesteś odwodniony – wyjaśniłem. – Skutki nadużycia alkoholu. Ale tylko tak trzeba go używać. Tylko tak może komuś dobrze zrobić.

Jednakże Willie nie słuchał. Dźwignął się i pobrnął do łazienki.

Słyszałem odkręconą wodę, łykanie i sapanie. Musiał pić prosto z kranu. Po jakiejś minucie odgłos ten ustał. Przez chwilę nie było nic słychać. Potem rozległ się zupełnie inny. A później męka się zakończyła.

Stanął w drzwiach łazienki, opierając się o framugę, i wpatrzył się we mnie z wyrazem smutnego wyrzutu na twarzy zroszonej zimnym potem.

– Nie musisz tak na mnie patrzeć – powiedziałem. – Whisky była dobra.

– Zerzygałem się – rzekł melancholijnie.

– Cóż, nie tyś to wynalazł. Poza tym teraz będziesz mógł zjeść na tym pikniku wielki, gorący, soczysty, bardzo posilny płat wieprzowiny z rusztu.

Najwyraźniej nie uważał, żeby to było zbyt zabawne. Ja zresztą też nie. Ale nie uważał też, żeby było specjalnie niezabawne. Po prostu trzymał się framugi drzwi i patrzył na mnie jak jakiś głuchoniemy nieznajomy. Potem znowu zawrócił do łazienki.

– Zamówię ci imbryk kawy! – ryknąłem do niego. – To cię postawi na nogi!

Ale nie postawiło. Wypił kawę, lecz ta nie zdążyła się nawet zadomowić.

Później wyciągnął się na chwilę. Położyłem mu mokry ręcznik na



czole, a Willie zamknął oczy. Złożył ręce na piersiach, a piegi na jego twarzy wyglądały jak plamy rdzy na polerowanym alabastrze.

Około kwadransa po jedenastej zadzwonił portier z wiadomością, że dwaj panowie czekają z samochodem, żeby zawieść pana Starka na plac targowy. Zakryłem mikrofon dłonią i spojrzałem na Williego. Oczy miał otwarte i utkwione w sufit.

– Po kiego licha chcesz jechać na ten piknik? – zapytałem. – Powiem im, żeby stąd sieprzali.

– Jadę na piknik – oznajmił z głębi świata ducha, nie odrywając oczu od sufitu.

Wobec czego zeszedłem do hallu, żeby spławić dwóch miejscowych pseudoczołowych obywateli, którzy zgodziliby się nawet pojechać karawanem gubernatora, byleby ich nazwiska figurowały w gazecie. Spławiłem ich. Powiedziałem, że pan Stark jest lekko niedysponowany i że sam go przywiozę za jakąś godzinę.

O dwunastej spróbowałem ponownie kuracji kawowej. Nie podziałała. Albo raczej podziałała niewłaściwie. Duffy zadzwonił z placu targowego, pytając, co jest, u diabła. Odpowiedziałem mu, aby lepiej zaczął rozdawać rzeszom chleb i ryby i prosił Boga, żeby Willie zdążył na drugą.

– Co się stało? – zapytał Duffy.

– Człowieku – odparłem – im dłużej pan nie wie, tym lepiej dla pana. – I odłożyłem słuchawkę.

Około pierwszej, kiedy Willie jeszcze raz spróbował bezskutecznie pokrzepić się kawą, powiedziałem:

– Słuchaj, Willie, po co ty tam jedziesz? Dlaczego nie zostaniesz tutaj? Zawiadom ich, że jesteś chory, i oszczędź sobie przykrości. A później, jeżeli...

– Nie – przerwał mi i dźwignął się do pozycji siedzącej na brzegu łóżka. Jego twarz miała wzniosłą i czystą przezroczystość twarzy

męczennika przed wstąpieniem na stos.

– Cóż – odrzekłem bez entuzjazmu. – Jeżeli się uparłeś, to masz jeszcze jedną szansę.

– Znów kawę? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem, otworzyłem walizkę i wyjąłem drugą butelkę. Nalałem trochę do kieliszka i podałem mu. – Starzy ludzie twierdzą, że najlepszym sposobem jest nalać dwie miarki absyntu na trochę tłuczonego lodu i dodać żytniówki. Ale my nie możemy sobie pozwolić na takie frymuśności. Przynajmniej przy prohibicji.

Przełknął. Nastąpił moment napięcia, po czym odetchnąłem z ulgą. Po dziesięciu minutach powtórzyłem dawkę. Następnie kazałem mu się rozebrać, a sam puściłem zimną wodę do wanny. Kiedy się kąpał, zadzwoniłem do portiera, żeby nam sprowadził samochód. Potem poszedłem do pokoju Williego po świeżą bieliznę i jego drugie ubranie.

Zdołał je wreszcie nałożyć, odpoczywając co jakiś czas, żebym mógł zastosować leczenie.

Ubrał się i usiadł na brzegu łóżka, tak jakby miał na sobie wielką etykietę z napisem: „Ostrożnie, szkło! – stawiać tą stroną do góry”. Ale jakoś go sprowadziłem do samochodu.

Potem musiałem jeszcze wrócić po tekst jego mowy, który zostawił w górnej szufladzie biurka. Kiedy już z nim przyszedłem, Willie powiedział, że może go potrzebować. Ze a nuż nie zdoła dobrze zapamiętać i będzie musiał czytać.

– Wszystko to są bajeczki dla grzecznych dzieci – powiedziałem, ale mnie nie słuchał.

Kiedy nasza bryka toczyła się po żwirze w stronę placu targowego, oparł się wygodnie i przymknął oczy.

Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem małe samochody, platformy i wózki ustawione rzędem na skraju lasku i budynki targowe, i sztandar

Stanów Zjednoczonych zwisający z masztu na tle błękitnego nieba. Potem, poprzez pykanie tej naszej maszynki do kawy, dosłyszałem dźwięki orkiestry. Duffy przygotowywał rzesze do trawienia.

Willie wyciągnął rękę i położył ją na flaszcze.

– Daj mi trochę – powiedział.

– Powoli – odparłem. – Nie jesteś przyzwyczajony. Już przecież...

Ale on tymczasem przytknął flaszkę do ust i odgłos bulgotania byłby zagłuszył moje słowa, gdybym je dalej rzucał na marne.

Kiedy mi oddał flaszkę, nie było w niej nawet tyle, żeby było warto schować ją do kieszeni. To, co się zebrało na dnie, gdy ją przechyliłem, nie wystarczyłoby nawet na poczęstunek dla pensjonarki.

– Na pewno nie masz ochoty tego dokończyć? – zapytałem z kpiącą uprzejmością.

Potrząsnął głową jakby w otumanieniu, powiedział: „Nie, dziękuję”, a potem wzdrygnął się jak człowiek mocno przeziębiony.

Wobec tego wypilem resztę i wyrzuciłem pustą półkwartową butelkę przez okno.

– Podjedź pan jak można najbliżej – powiedziałem szoferowi. Podjechał bardzo blisko, wysiadłem, podałem Williemu rękę i zapłaciłem chłopakowi. Potem razem z Williem pomaszzerowaliśmy z wolna po zrudziałej i wydeptanej trawie ku estradzie, a tłum dokoła nas jakby nie istniał, oczy Williiego były utkwione w dalekie horyzonty, orkiestra zaś grała *Casey’ego Jonesa*.

Pod estradą pozostawiłem Williego, który stanął samotnie na brunatnej trawie, w owej krainie, z zadumą na twarzy, w ostrym słońcu. Odszukałem Duffy’ego i powiedziałem:

– Jestem gotów wydać towar, ale chcę dostać pokwitowanie.

– Co mu jest? – chciał się dowiedzieć Duffy. – Przecież drań nie pije. Czyżby się urzynał?

– Nigdy tego nie tyka – odparłem. – Po prostu był na drodze do Damaszku, ujrzał wielką światłość i to go oślepiło.

– Co mu się stało?

– Powinieneś pan częściej czytać Dobrą Księgę – oświadczyłem Duffy’emu i poprowadziłem go do kandydata. Było to wzruszające spotkanie. Wobec tego wtopiłem się w tłum.

Ciżba była spora, bo zapach pieczonego mięsa w powietrzu może zdziałać cuda. Ludzie zaczęli się zbierać dokoła estrady i włączyć na trybunę. Miejskowa orkiestra stała obok estrady i bębniła teraz: *Witajcie, witajcie nam wszyscy*. Na estradzie byli ci dwaj miejscowi goście bez politycznej przyszłości, co rano przyjechali do hotelu, inny facet, jak się domyślałem kaznodzieja mający odmówić modlitwę, i Duffy. No i Willie pocący się obficie. Siedzieli rzędem na krzesłach w głębi estrady, pod sfałdowaną trójkolorową draperią, za stołem nakrytym trójkolorowym płótnem, na którym stała karafka wody i kilka szklanek.

Jeden z miejscowych wstał pierwszy i zwracając się do swoich przyjaciół i sąsiadów, przedstawił kaznodzieję, który z kolei zwrócił się do Boga Wszzechmogącego, podnosząc wychudłą, kościstą twarz znad niebieskiego płótna i mrużąc oczy w ostrym świetle. Potem ten pierwszy miejscowy gość wstał znowu i zabrał się do przedstawiania drugiego miejscowego gościa. Przez chwilę wyglądało na to, że drugi miejscowy gość jest ten ważny, bo najwyraźniej był obliczony na wytrzymałość, nie szybkość, ale okazało się, że wcale nie jest ważniejszy niż pierwszy miejscowy gość czy kaznodzieja, czy też Bóg Wszzechmogący. Po prostu potrzebował więcej czasu, aby dowieść, że nie ma nic do powiedzenia, i wskazać zebranym Williego.

Wtedy Willie stanął sam jeden obok stołu, mówiąc: „Przyjaciele!”, obracając swą alabastrową twarz z boku na bok i szperając w prawej kieszeni marynarki, aby wyłowić przemówienie.

Kiedy przekładał kartki, spoglądając na nie z lekko otepiałą miną, jak gdyby to, co miał przed oczami, było napisane w obcym języku, ktoś pociągnął mnie za rękaw. Była to Sadie.

– Jak to się stało? – spytała.

– Popatrz i zgadnij – odparłem.

Przyjrzała się dobrze estradzie, po czym zapytała:

– Jak to zrobiłeś?

– Klin klinem.

Znowu spojrziała na estradę.

– Klin, psiakrew – powiedziała. – Musiał łyknąć cały drąg. Przypatrzyłem się Williemu, który stał bez słowa, pocąc się i chwiejąc w gorącym słońcu.

– Leży na obie łopatki – powiedziała Sadie.

– Psiakrew, leżał przez całe rano – odparłem. – Na szczęście. Wciąż patrzyła na niego. Bardzo podobnie jak poprzedniego wieczoru, kiedy leżał nieprzytomny w moim pokoju, a ona stała przy łóżku. Nie było w jej wzroku litości ani pogardy. Było to spojrzenie nieprzeniknione, zamysłone. Wreszcie rzekła:

– Może taki już się urodził.

Powiedziała to tonem, który dawał do zrozumienia, że skończyła z tym tematem. Ale ciągle patrzyła na Williego w taki sam sposób.

Kandydat jakoś się trzymał na nogach, przynajmniej opierając się udem o stół. I już zaczął mówić. Parę razy nazwał słuchaczy przyjaciółmi i powiedział, jak się cieszy, że tutaj jest. Teraz stał, ściskając oburącz rękopis, głowę miał pochyloną jak krowa z obciętych rogami osaczona przez zajadłe psy na podwórku, ostre słońce padało na niego, a pot ściekał mu z czoła. Wreszcie zebrał się w sobie i podniósł głowę.

– Mam tutaj przemówienie – powiedział. – To jest przemówienie o tym, czego potrzeba naszemu stanowi. Ale nie ma co mówić wam,

czego ten stan potrzebuje. Wy sami jesteście stanem. Wiecie, czego wam potrzeba. Spójrzcie na wasze spodnie. Czy nie mają dziur na kolanach? Posłuchajcie waszego brzucha. Czy nie burczał wam kiedyś z głodu? Popatrzcie na wasze zbiory. Czy nie zdarzało się, że zgniły na polu, bo droga była tak podła, żeście nie mogli dostawić ich na targ? Weźcie wasze dzieci. Czy nie rosną w ciemnocie jak wy, bo nie ma dla nich szkoły?

Willie przerwał i mrużąc oczy, popatrzył na tłum.

– Nie – rzekł. – Nie będę wam tu odczytywał żadnej mowy. Sami wiecie lepiej ode mnie, czego wam potrzeba. Ale opowiem wam jedną historię.

Znów przerwał, oparł się mocniej o stół i nabrał głęboko tchu, zlany potem.

Pochyliłem się do Sadie.

– Co ten bałwan ma zamiar zrobić? – spytałem.

– Cicho bądź – rozkazała wpatrzona w niego. Zaczął znowu.

– To zabawna historia – powiedział. – Szykujcie się na śmiech. Szykujcie się na zrywanie boków, bo rzecz jest naprawdę zabawna. To jest historia parobka. Historia chama ze wsi, z przeproszeniem takiego samego jak wy wszyscy. Właśnie takiego jak wy. Dorastał on jak każdy inny na piaszczystych drogach i nad strumieniami na farmie na północy stanu. Dobrze wiedział, co to jest być parobkiem. Wiedział, co to znaczy wstawać przed świtem, czuć, jak krowie łajno wchodzi między palce stóp, karmić bydło, obrządzać je i doić przed śniadaniem, żeby o wschodzie słońca ruszyć piechotą do odległej o sześć mil, jednoizbowej, ciasnej szkoły. Wiedział, co to jest płacić wysokie podatki za tę rozklekotaną rudere szkolną i za te wypłukane, gliniaste drogi, po których chodził albo na których łamał osie wozu czy zrywał nogi mułom.

O, wiedział dobrze, co to znaczy być parobkiem w lecie i w zimie. Rozumiał, że jeżeli chce coś zrobić, musi to zrobić sam. Więc siadywał po

nocach, uczył się z książek, uczył się prawa, żeby może kiedyś móc coś zmienić. Nie uczył się tego prawa w żadnej szkole ani na uniwersytecie. Uczył się go nocami po ciężkiej pracy na polu. Żeby móc coś zmienić. Dla siebie samego i dla takich jak on. Nie będę wam tu kłamał. Nie zaczął od myślenia o wszystkich innych parobkach i o tym, jakie to cuda dla nich zdziała. Zaczął od myślenia o sobie samym, ale po drodze coś mu przyszło do głowy. Że nie będzie mógł zrobić czegoś tylko dla siebie, a nie dla innych, albo czegoś dla siebie bez pomocy innych. Że musi to być albo dla wszystkich razem, albo dla nikogo. To mu właśnie przyszło do głowy.

A przyszło mu z potężną mocą gromu bożego pewnej tragicznej chwili przed dwoma laty w jego rodzinnych stronach, kiedy pierwsza murowana szkoła, jaką postawiono w jego okręgu, zawałiła się, bo była zbudowana z przeżartych polityką cegieł, i zabiła, i okaleczyła tuzin biednych uczniów. O, znacie tę sprawę. Zwalczał politykę, która tkwiła za budową tej szkoły ze spróchniałych cegieł, ale przegrał i szkoła się zawałiła. Jednakże to dało mu do myślenia. Że następnym razem powinno być inaczej.

Ludzie byli mu życzliwi, bo występował przeciwko tym spróchniałym cegłom. A niektórzy z publicznych przywódców w mieście wiedzieli o tym i przyjechali wielkim, pięknym autem na farmę jego ojczulka i powiedzieli, że chcieliby, żeby kandydował na gubernatora.

Chwyciłem Sadie za ramię.

– Myślisz, że on...

– Cicho bądź – szepnęła zaciekle.

Spojrzałem na Duffy'ego, który siedział za Williem na estradzie. Na twarzy malował mu się niepokój. Była zaczerwieniona, krągła, spocona i był w niej niepokój.

– O, dużo mu naopowiadali – mówił Willie – a ten parobek się nabrał.

Zajrzał w swoje serce i pomyślał, że mógłby popróbować coś zmienić. W całej swojej pokorze myślał, że mógłby popróbować. Był zwyczajnym wiejskim chłopakiem, który wierzył, tak jakżeśmy zawsze wierzyli tam, w górach, że nawet najprostszy, najbiedniejszy człowiek może zostać gubernatorem, jeżeli jego współobywatele uznają, że ma na to dane i odpowiedni charakter.

Ci goście w spodniach w prążki obejrzeni parobka i nabrali go. Naopowiadali mu, że MacMurfee to fajtlapa i bałwan, a znów Joe Harrison jest narzędziem miejskiego aparatu i że chcieliby, żeby on, ten parobek, wziął wszystko w swoje ręce i zapewnił uczciwe rządy. Tak mu powiedzieli. Ale... – Willie przerwał i podniósł ku niebu prawą dłoń, w której zaciskał tekst przemówienia. – Ale wiecie, kim oni byli? To byli sługusi i wazeliniarze Joego Harrisona i chcieli, żeby ten parobek kandydował i rozbił wiejskie głosy na MacMurfee'ego. Czyja to odgadłem? Nie odgadłem. Nie, bo słuchałem ich słodkiej mowy. I do tej chwili nie znałbym prawdy, gdyby nie to, że ta kobieta – tu wskazał Sadie – ta kobieta, która tam stoi...

Trąciłem Sadie i powiedziałem:

– Siostró, wyleciałaś z posady.

– ...gdyby ta wspaniała kobieta nie była na tyle uczciwa i przyzwoita, żeby mi powiedzieć ohydłą prawdę, której smród bije w nozdrza Najwyższego!

Duffy zerwał się i niepewnie podsunął na front estrady. Spoglądał rozpaczliwie ku orkiestrze, jak gdyby chciał jej dać znak, żeby coś zagrała, a potem na tłum, jakby próbował wymyślić, co by tu powiedzieć. Wreszcie podsunął się do Williego i coś mu szepnął.

Jednakże ledwie te jakieś słowa dobyły mu się z ust, Willie obrócił się do niego.

– O, proszę! – ryknął. – Proszę! – I wyciągnął prawą rękę, w której



zaciskał kartki. – Oto jest Judasz Iskariota, ten wazeliniarz, ten lizus.

I Willie pokazał Duffy’ego prawą ręką trzymającą kurczowo tekst, którego nie odczytał. Duffy usiłował coś mu powiedzieć, ale Willie nie słuchał, bo wymachiwał kartkami przed nosem cofającego się Duffy ego i krzyczał:

– Przyjrzyjcie mu się! Przyjrzyjcie mu się!

Duffy, wciąż się cofając, zerknął na orkiestrę, zamachał do niej ręką i krzyknął:

– Grać! Grać! Grać *Gwiazdzisty sztandar!*

Ale orkiestra nie zagrała. I właśnie gdy Duffy obrócił się znowu do Williego, ten jeszcze energiczniej niż przedtem zamachał mu przed nosem roztrzepotanymi kartkami i zawołał:

– Przyjrzyjcie mu się! Tej marionetce Joego Harrisona!

Duffy wrzasnął:

– To kłamstwo! – i cofnął się przed oskarży cielską ręką.

Nie wiem, czy Willie miał zamiar to zrobić. W każdym razie zrobił. Nie można powiedzieć, żeby zepchnął Duffy’ego z estrady. Zmusił go tylko do tańczenia wzdłuż jej krawędzi do jakiegoś delikatnego, lekkiego jak puch, osłupiałego, powolnego adagio, któremu towarzyszyło wymachiwanie rękami wokoło twarzy przypominającej zdziwiony krem z dziurą w środku merengi, przy czym tą dziurą były usta Duffy’ego, tylko że nie dobywał się z nich żaden głos. Żadnego głosu nie było też słychać od strony pięcioakrowej połąci spoconych istot ludzkich. Przypatrywali się jedynie tańczącemu Duffy’emu.

A potem Duffy stańczył z estrady na ziemię. Wywrócił się i na wpół legł, na wpół siadł, oparty o podbudowę estrady, z ustami wciąż otwartymi. I teraz też nie dobywał się z nich żaden głos, bo Duffy nie miał już tchu, żeby go wydać.

Takie rzeczy, a ja tu bez aparatu fotograficznego!

Willie nawet nie zadał sobie trudu, żeby wyrzeć przez krawędź.

– Niech ten wieprz tam leży! – zakrzyknął. – Niech leży, a wy słuchajcie mnie, parobki. Tak, bo też jesteście parobkami i was też tysiąc razy okpili, tak samo jak mnie. Bo oni sobie myślą, że my na to jesteśmy. Żeby nas okpiwać. No cóż, tym razem ja kogoś okpię. Wycofuję się z tego wyścigu. A wiecie dlaczego?

Przerwał i lewą ręką otarł pot z twarzy płaskim, gwałtownym ruchem.

– Nie dlatego, że zraniono jakieś tam moje uczucia. Wcale nie są zranione: nigdy w życiu nie czułem się lepiej, bo teraz znam prawdę. Wiem to, co powinienem był wiedzieć już dawno temu. Że jeżeli parobek czegoś chce, musi to zrobić sam. Nikt, kto przyjeżdża pięknym autem i gada słodko, nie robi tego dla niego.

Kiedy znów będę kandydował na gubernatora, wystąpię na własną rękę i wtedy nie będzie ze mną żartów. Ale teraz się wycofuję. Zrzekam się kandydatury na rzecz MacMurfee’ego. Jak mi Bóg miły, podtrzymuję wszystko, co powiedziałem o MacMurfeem i zawsze to powtórzę, ale będę przemawiał za nim po całym stanie. Ja i inne parobki zrobimy Joego Harrisona na szaro, tak że już nigdy nie będzie kandydował w tym stanie nawet na hycła. A potem zobaczymy, co zdoła MacMurfee. To jego ostatnia szansa. Przyszedł już czas. Prawda będzie powiedziana i to ja ją powiem. Rozpowiem ją po całym stanie od końca do końca, choćbym miał po to jeździć pociągiem na gapę albo ukraść sobie muła, i nikt, ani Joe Harrison, ani żaden inny, mnie nie powstrzyma. Bo mam swoją ewangelię i będę... Pochyliłem się do Sadie.

– Słuchaj – powiedziałem. – Muszę się dostać do telefonu. Lecę do miasta albo do pierwszego aparatu, jaki mi się trafi. Muszę to przetelefonować. Ty zostań tu i na miłość boską zapamiętaj, co się będzie działo.

– Dobrze – odparła, nie zwracając na mnie większej uwagi.

– I złap Williego, kiedy to się skończy, i przywieź go do miasta. Duffy na pewno cię nie poprosi, żebyś z nim jechała. Złap tego frajera i...

– Ładny frajer – przerwała. I dorzuciła: – No już, leć. Odszedłem. Przecisnąłem się wzdłuż trybuny, potem przez tłum, wciąż słysząc głos Williego, który łomotał w bębni uszu i otrząsał z drzew zeschnięte liście. Skręcając za trybunę, obejrzałem się i zobaczyłem, że Willie cisnął precz kartki rękopisu, które rozsypały mu się wokoło stóp, i grzmoci się w piersi i krzyczy, że prawda jest już wiadoma i nie trzeba jej spisywać. Stał tak, z kartkami u stóp, z podniesioną ręką, z rękawem marynarki podciągniętym aż do łokcia, twarzą czerwoną jak obtłuczony burak, zlany potem, z włosami opadłymi na czoło, z błyszczącymi oczami wyłażącymi z orbit, pijany w sztok, na tle czerwono-biało-niebieskiej draperii, pod jasnym, świetlistym, rozpalonym bożym niebem.

Uszedłem kawałek wyżwirowaną drogą i złapałem jakąś ciężarówkę, która podwiozła mnie do miasta.

Tej nocy, kiedy już wszystko się uspokoiło i pociąg, którym Duffy wracał do stolicy stanu (aby tam niewątpliwie zdać sprawę Joemu Harrisonowi), sapał pod gwiazdami poprzez kraj bożydrzewu, a Willie od paru godzin leżał w łóżku, odsypiając opary alkoholu, sięgnąłem po butelkę stojącą na biurku w moim pokoju hotelowym w Upton i powiedziałem do Sadie:

– Chcesz jeszcze kropelkę tego, co obala przegrody i rozluźnia hamulce?

– Co takiego? – spytała.

– Nie rozumiesz, o czym nadmieniam w tak gramatyczny sposób? – odparłem i nalałem jej do szklanki.

– A, zapomniałam – rzekła. – Przecież ty jesteś ten, co to chodził do college'u.

Istotnie, byłem facetem, który chodził tak gramatycznie do college'u, gdzie – jak teraz uznałem – nie nauczył się wszystkiego, czego się można nauczyć.

Willie dotrzymał słowa. Objężdżał stan, przemawiając za MacMurfeem. Nie jeździł na gapę i nie kupił sobie ani nie ukradł muła. Ale zdzierał swój wcale niezły używany samochód na wyboistych drogach i w piachu sięgającym po piasty, grzązał w czarnej mazi, gdy padał deszcz, i siadywał w aucie, czekając na zaprzęg mułów, które by go wyciągnęły. Stawał na schodach szkół, na skrzynkach wypożyczonych ze sklepu bławatnego, na siedzeniach wiejskich wozów i ganków domów towarowych u rozstajnych dróg i przemawiał.

– Przyjaciele, „czerwone karki”, naiwniacy i koledzy parobcy – mówił, pochylając się, pochylając do nich, przyglądając się im. Potem przerywał i czekał, aż te słowa do nich dotrą.

A tłum stał w milczeniu, zaniepokojony i urażony tymi słowami, słowami, o których wiedzieli, że tak nazywają ich ludzie, ale których nikt jeszcze nie powiedział im w oczy.

– Taaak – mówił Willie. – Taaak – i wykrzywił usta przy tym słowie. – Bo właśnie tym jesteście i nie macie co się na mnie wściekać, że wam to mówię. Zresztą wściekajcie się, a ja i tak wam powiem. Tym właśnie jesteście. I ja też, ja też jestem taki. Jestem parobkiem, któremu słońce spaliło kark na czerwono. Jestem naiwniakiem, bo dałem się nabrać na słodkie słówka tego gościa w pięknym aucie. O, tak: złapałem ten cukrowany cycek i przestałem beczeć. Jestem parobkiem, parobkiem, którego chcieli użyć do rozbicia głosów innych parobków. Ale stoję tutaj na moich własnych zadnich nogach, bo nawet pies się tego nauczy, jak mu dać czas. Ja się nauczyłem. Potrzeba mi było czasu, ale się nauczyłem

i teraz stoję na własnych zadnich nogach. – Potem pochyłał się ku nim. I pytał: – A wy co? Stoicie na własnych nogach? Nauczyliście się chociaż tyle? Myślicie, że potraficie się nauczyć?

Mówił im rzeczy nieprzyjemne. Nazywał ich słowami, którymi nie lubili być nazywani, ale zawsze, prawie zawsze niepokój i niechęć wygaszały i Willie pochyłał się nad ludźmi, z wytrzeszczonymi oczami i twarzą błyszczącą w gorącym słońcu albo w czerwonym świetle palników naftowych. Ludzie słuchali go, kiedy im nakazywał stanąć na własnych nogach.

– Idźcie i głosujcie – mówił im. – Głosujcie tym razem na MacMurfee’ego, bo on jest jedynym, na którego możecie głosować. Ale głosujcie zwarcie, tak zwarcie, żeby pokazać, co możecie. Przegłosujcie MacMurfee’ego, a potem, jeżeli się nie wykaże, przygwoźdźcie go.

Tak – mówił pochylony. – Tak, przygwoźdźcie go, jeżeli się nie wykaże. Dacie mi młotek, to sam go przygwoźdźę.

Głosujcie – mówił im. – Wybierzcie MacMurfee’ego – nakazywał. Pochylał się nad nimi i wołał: – Słuchajcie mnie, wy parobki! Słuchajcie, podnieście oczy i popatrzcie na świętą i czystą prawdę bożą! Jeżeli jeszcze macie tyle oleju w głowie, żeby się poznać na prawdzie. Prawda jest taka: jesteście parobkami, a nikt jeszcze nie pomógł parobkowi poza nim samym. Tamci z miasta wam nie pomogą. To już jest wasza rzecz i Boga, a Bóg pomaga tym, co sami sobie pomagają!

Mówił im takie rzeczy, a oni stali przed nim, z palcami zatkniętymi za szelki drelichów, wpatrzeni w niego spod rond zsuniętych na oczy kapeluszy, jak gdyby był czymś, co dojrzeli daleko w dolinie czy w lesie, z czym jeszcze nie bardzo się oswoili, co było za daleko, żeby to dobrze rozeznąć – czy jakimś nagłym ruchem w zaroślach, spostrzeżonym po drugiej stronie doliny lub pola, gdzie coś może wyskoczyć z gęstwiny – i pod oczami szczęki żuły tytoń ruchem powolnym, systematycznym,

niewzruszonym jak proces historyczny. Czas nie istnieje dla żarłoka, podobnie jak dla historii. Obserwowali go i jeżeli ktoś im się dobrze przyjrzał, widział, że coś zaczyna się w nich dzieć. Stoją tak spokojnie, nawet nie przestępują z nogi na nogę – mają talent do spokoju; nieraz ich się widuje stojących nieruchomo, bez słowa, na rogu ulicy, kiedy przyjadą do miasta, albo przykucniętych przy trakcie i tylko spoglądających ku miejscu, gdzie droga zbiega ze wzgórza – stoją tak, a ich przymrużone oczy nie odrywają się od człowieka, którego widzą przed sobą. Mają talent do spokoju. Ale czasem ten spokój się kończy. Urywa się raptem jak mocno naciągnięty sznurek. Siedzi taki spokojnie na ławce podczas zebrania religijnego na wolnym powietrzu i słucha, a potem nagle zrywa się, wyrzuca ręce w górę i ryczy: „O Jezu! Zobaczyłem Twoje imię!” Albo inny naciska palcem spust i huk strzelby zaskakuje nawet jego samego.

Willie stoi tam. W słońcu czy w czerwonym świetle palników naftowych.

– Pytacie mnie, jaki jest mój program. Więc słuchajcie, parobki. Tylko go nie zapomnijcie. Przygwoźdźcie ich! Przygwoźdźcie Joego Harrisona. Przygwoźdźcie każdego, kto włązi wam w drogę. Przygwoźdźcie MacMurfee’ego, jeżeli się nie wykaże. Każdego, kto wejdzie wam w drogę. Dacie mi młotek, a ja to zrobię własnymi rękami. Przygwoźdźcie ich do wrót stodoły! I żadnego odpędzania much indyckim skrzydłem!

To był ten sam Willie. Człowiek, który nosił to imię. MacMurfee został wybrany. Willie musiał się do tego przyczynić, bo obliczono, że najwięcej głosów pochodziło z tych okręgów, w których działał Willie. Ale MacMurfee przez cały czas nie bardzo wiedział, co o nim myśleć. Z początku boczył się na niego, bo Willie powiedział o nim parę dość przykrych rzeczy, a potem, kiedy się okazało, że Willie wywiera na ludziach wrażenie, MacMurfee zaczął się wahać. W końcu Willie stanął dęba i powiedział, że ludzie MacMurfee’ego proponują mu zwrot

kosztów, ale on jest niezależny, nie jest człowiekiem MacMurfee'ego, chociaż namawiał, żeby na niego głosować. Oświadczył, że sam za siebie płaci, chociażby musiał po to zaciągnąć pożyczkę na farmę swego ojca, ostatnią, jaka zmieściłaby się na hipotecę. Tak jest, i jeżeliby ktoś nie miał dwóch dolarów na opłatę wyborczą i przyszedł do niego, i powiedział to wprost, on, Willie Stark, zapłaci za niego z pożyczki zaciągniętej na hipotekę farmy ojca. Bo tak bardzo wierzy w to, co mówi.

MacMurfee objął urządowanie. A Willie wrócił do Mason City i zajął się praktyką prawniczą. Musiał to ciągnąć przez jakiś rok, prowadząc sprawy o kradzież kur czy zabłąkane wieprze i o bójki nożownicze (które są jedną z rozrywek podczas sobotnich potańcówek w okręgu Mason). A potem stała się krzywda pewnej ekipie robotników, kiedy zawaliło się rusztowanie na moście, który stan budował na rzece Ackamulgee, i kilku z nich poniosło śmierć. Wielu robotników pochodziło z okręgu Mason City i wzięli Williego na swojego adwokata. W związku z tym jego nazwisko ukazało się we wszystkich gazetach. I Willie wygrał sprawę. Później natrafiono na naftę zaraz na zachód od Mason, w okręgu Ackamulgee, i Willie został wciągnięty w spór między kompanią naftową a jakimiś niezależnymi dzierżawcami. Strona Williego wygrała, a on po raz pierwszy w życiu zobaczył paczki pieniędzy. Zobaczył ich całkiem sporo.

Przez cały ten okres nie widywałem Williego. Spotkałem go, dopiero kiedy wystąpił na zebraniu przedwyborczym partii demokratycznej w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku. Ale to właściwie nie było zebranie przedwyborcze. Było to połączenie stada rozhukanych żrebaków, szarzy lekkiej brygady i sobotniego wieczora w tylnej salce baru Caseya, i kiedy dym się rozwiął, na ścianach nie został ani jeden obraz. I nie było żadnej partii demokratycznej. Był tylko Willie z włosami opadającymi na oczy i koszulą przyklepioną do spoconego brzucha. A w ręku miał topór

rzeźnicki i z wrzaskiem domagał się krwi. Gdzieś w tle tego obrazu, pod fioletowawym, ponurym niebem, znaczonej złowieszczą bielą chmur pędzonych wiatrem jak piana, stały po obu stronach Williego dwie postacie: Sadie Burke i wysoki, pochylony, mówiący powoli mężczyzna, o smutnej, ogorzałej twarzy i tak zwanych marzących oczach. Człowiekiem tym był Hugh Miller – szkoła prawna w Harvardzie, eskadra Lafayette’a, *Croix de Guerre*, czyste ręce, złote serce i żadnej politycznej przeszłości. Przez całe lata siedział cicho, aż wreszcie ktoś (Willie Stark) wetknął mu pałkę w rękę i zacisnął palec na trzonku. Miller był prawdziwym mężczyzną i prokuratorem generalnym. A Sadie Burke była po prostu Sadie Burke.

Nieco dalej w tle znajdowali się oczywiście jeszcze inni ludzie. Na przykład pewni panowie, niegdyś oddani Joemu Harrisonowi, którzy odkrywszy, że pod względem politycznym Joe Harrison przestał istnieć, musieli wyszukać sobie nowego przyjaciela. Tak się złożyło, że tym nowym przyjacielem został Willie. Był jedynym, do którego mogli się zwrócić. Wyobrazili sobie, że pójdą na służbę do Williego i będą kwitnąć wraz z krajem. Willie rzeczywiście ich przyjął i w rezultacie otrzymał sporo dodatkowych głosów.

Po jakimś czasie przyjął nawet Tiny’ego Duffy’ego, który został komisarzem do budowy dróg, a później, podczas ostatniej kadencji Williego, wicegubernatorem. Nieraz zastanawiałem się, dlaczego Williego go trzyma. Czasem pytałem Szefa: „Po co ty trzymasz tego bałwana?” Bywało, że tylko się śmiał i nic nie odpowiadał. Kiedy indziej mówił: „Psiakrew, ktoś przecież musi być wicegubernatorem, a oni wszyscy są jednakowi”. Ale raz powiedział:

– Bo coś mi przypomina. – A co?

– Coś, czego nie chcę nigdy zapomnieć – odpowiedział.

– Cóż to takiego?



– Że kiedy ktoś przychodzi do człowieka ze słodkimi słówkami, lepiej nie słuchać, co mówi. Nie mam zamiaru o tym zapomnieć.

Więc to o to chodziło. Tiny był tym, który przyjechał wielkim autem i gadał słodko do Williego, kiedy Willie był jeszcze wiejskim adwokacina.

Ale czy to na tym polegało? Albo raczej, czy to było wszystko? Przymuszczałem, że jest jeszcze inna przyczyna. SzeF musiał po trosze pysznić się tym, że potrafił zrobić kogoś z Tiny’ego Duffy’ego. Rozniósł go, a potem pozbierał kawałki i złożył go razem jako swój własny twór. Musiało mu być ogromnie przyjemnie obserwować okazałą postać Tiny’ego i jego pierścion z diamentem i myśleć, że to wszystko jest puste w środku, że to blaga, że gdyby kiwnął małym palcem, Tiny Duffy zniknąłby jak dymek. W pewnym sensie sam sukces, który SzeF zapewnił Tiny’emu Duffy’emu, był jego zemstą na nim, bo ilekroć SzeF obrócił na Tiny’ego swoje zamyślane, senne, dalekie spojrzenie, Tiny wiedział, czując zimny skurcz w swym tłustym sercu, że gdyby SzeF kiwnął palcem, nie zostałyby nic prócz tego dymku. W pewnym sensie sukces Tiny’ego był ostatecznym wskaźnikiem własnego sukcesu Szefa.

Ale czy to na tym polegało? W końcu doszedłem do wniosku, że poza innymi przyczynami jest jeszcze jedna. A mianowicie ta: Tiny Duffy stał się w jakiś dziwaczny sposób drugim „ja” Williego Starka i cała wzgarda, i wszystkie zniewagi, jakimi Willie Stark obrzucał Tiny’ego Duffy’ego, nie były niczym innym, jak tylko tym, co jedno „ja” Williego Starka wyrządzało drugiemu z jakiejś ślepej, wewnętrznej konieczności. Ale do tego wniosku doszedłem dopiero na samym końcu, znacznie później.

Na razie jednak Willie właśnie został gubernatorem i nikt nie wiedział, co będzie potem.

Tymczasem zaś – kiedy kampania wyborcza jeszcze trwała – straciłem posadę.

Moją działką były sprawozdania polityczne dla „Kroniki”. Miałem

tam swoją szpalnę. Byłem uczonym w piśmie.

Któregoś dnia Jim Madison wezwał mnie do siebie i kiedy stanąłem na zielonym dywanie rozpostartym wokół jego biurka niczym pastwisko, powiedział:

– Jack, ty przecież wiesz, jaka jest linia „Kroniki” w tych wyborach.

– Jasne – odparłem. – „Kronika” pragnie ponownego wyboru Sama MacMurfee’ego z uwagi na jego świetne wyniki administracyjne oraz wielką rzetelność jako męża stanu.

Uśmiechnął się trochę kwaśno i powiedział:

– Chcemy, żeby Sam MacMurfee został wybrany.

– Przepraszam, zapomniałem, że jesteśmy na łonie rodziny. Zdawało mi się, że piszę swoją rubrykę.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Chwilę bawił się ołówkiem leżącym na biurku.

– Właśnie o tej rubryce chciałem z tobą pomówić.

– Okej – odrzekłem.

– Nie mógłbyś w nią wsadzić trochę więcej pieprzu? To są wybory, nie zebranie metodystów.

– Słusznie, wybory.

– Nie mógłbyś trochę bardziej się przyłożyć?

– Jeżeli ktoś musi pracować z Samem MacMurfeem – odpowiedziałem – to nie ma wielkiego pola do popisu. Robię, co potrafię.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem zaczął:

– No bo dlatego, że ten Stark jest akurat twoim przyjacielem, ty...

– Nie jest żadnym moim przyjacielem. Nawet go nie widziałem od czasu ostatnich wyborów. Osobiście wszystko mi jedno, kto będzie gubernatorem tego stanu i co z niego za drań. Ale jestem tu na etacie i robię, co mogę, żeby w mojej rubryce zataić palące przeświadczenie, że Sam MacMurfee jest jednym z najgorszych sukiny...

– Znasz linię „Kroniki” – rzekł z naciskiem Jim Madison i przyjrzał się oślinionemu, żółtemu ogarkowi swego cygara.

Dzień był gorący i podmuch wentylatora kierował się tylko na Jima Madisona, nie na mnie, toteż w gardle czułem pasemko kwaśnej, jakby żółtej śliny, podobnie jak przy nadkwasocie żołądka, a głowę miałem niczym wyschlą tykwę z kilkoma ziarenkami grzechoczącymi w środku. Spojrzałem więc na Jima Madisona i powiedziałem:

– W porządku.

– Jak to rozumiesz? – zapytał.

– Rozumiem tak, jak powiedziałem – odparłem i ruszyłem do drzwi.

– Słuchaj, Jack, ja... – zaczął i położył ogarek cygara na popielniczce.

– Wiem – odrzekłem. – Masz żonę i dzieci, a twój chłopak jest w Princeton.

Powiedziałem to, nie zatrzymując się.

Za drzwiami, na korytarzu, był zbiornik z mrożoną wodą, więc przystanąłem przy nim, wziąłem jedną ze stożkowatych kartonowych czarek i wypilem z dziesięć porcji lodowatej wody, żeby splukać to coś żółtego z gardła. Potem stanąłem w korytarzu, z żołądkiem pełnym wody, którą czułem w sobie niby zimną banię.

Mogłem teraz sypiać do późna, potem budzić się i nie ruszać, tylko patrzeć, jak gorące światło słoneczne koloru roztopionego masła wpada przez dziury w rolocie, bo hotel mój nie był najlepszym w mieście, a mój pokój nie był najlepszym w tym hotelu. Kiedy pierś podnosiła mi się i opadała przy oddychaniu, prześcieradło, którym byłem przykryty, lepiło się wilgotnie do mojej nagiej skóry, bo tak się tam sypia w lecie. Słyszałem tramwaje i beczenie klaksonów samochodowych, nie za głośne, ale zróżnicowane i nieustanne – jakąś chrapliwą, przeciągłą mieszanię

dźwięków, łaskoczącą koniuszki nerwów – i niekiedy brzęk naczyń, bo mój pokój wychodził na kuchnię. I od czasu do czasu jakiś Murzyn nucił coś tam, na dole.

Mogłem sobie leżeć, jak długo chciałem, i pozwalać, by przebiegały mi przez głowę obrazy wszystkiego, czego może pragnąć mężczyzna – kawy, dziewczyny, pieniędzy, napitku, białego piasku i błękitnej wody – przesuając się jeden po drugim niby talia kart powoli wymykająca się z ręki. Możliwe, że rzeczy, których pragniemy, są jak karty. Właściwie nie chce się ich dla nich samych, choć tak się sądzi. Nie pragnie się karty dla karty, ale dlatego, że w najzupełniej dowolnym układzie reguł i wartości oraz w szczególnej kombinacji, której część już się ma w ręku, karta zyskuje znaczenie. Jednakże przypuśćmy, że się nie bierze udziału w grze. Wtedy, nawet jeżeli zna się reguły, karta nie znaczy nic. Wszystkie wyglądają podobnie.

Tak więc mogłem sobie leżeć, chociaż wiedziałem, że po jakimś czasie wstanę – wcale nie decydując się wstać, ale po prostu znajdując się nagle w środku pokoju, podobnie jak później stwierdzałem z łagodnym wstrząsem rozeznania, że oto piję kawę, rozmieniam banknot, obcuję z dziewczyną, pociągam ze szklanki, unoszę się w wodzie. Zupełnie jak człowiek cierpiący na utratę pamięci, który stawia pasjansa w szpitalu. Wstanę i wyłożę sobie karty. Ale później. Na razie będę leżał, wiedząc, że nie muszę wstawać, i czując błogosławioną pustkę i utrudzenie świętego po ciemnej nocy duszy. Bo Bóg i Nicość mają ze sobą wiele wspólnego. Jeżeli na sekundę spojrzysz jednemu albo drugiemu w oczy, natychmiastowy wpływ tego na naturę ludzką będzie taki sam.

Często kładłem się wcześniej do łóżka. Niekiedy sen staje się czymś poważnym i pełnym. Przestajesz spać, aby móc wstać, ale wstajesz po to, żeby móc znowu zasnąć. W ciągu dnia łapiesz się na tym, że nagle zatrzymujesz się bez ruchu, czekasz i nasłuchujesz. Jesteś jak mały

chłopiec na stacji kolejowej, gotów odjechać pociągiem, który jeszcze nie nadszedł. Patrzysz na tory, ale nie możesz jeszcze dojrzeć małego kłębka czarnego dymu. Kręcisz się, lecz raptem zatrzymujesz w samym środku tego kręcenia i nadstawiasz ucha. Jeszcze nic nie słyszysz. Wtedy podchodzisz i kłękasz na tłuczniu w swoim odświętnym ubraniu – za co matka powyrywa ci wszystkie włosy z głowy – przykładasz ucho do szyny i nasłuchujesz pierwszego bezgłośnego szmeru, który odezwie się w szynie na długo przedtem, nim mała czarna plama zacznie rosnąć na niebie. Podobnie nasłuchujesz nocy na długo przedtem, nim przyjdzie zza horyzontu, i na długo, długo przedtem, nim runie ku tobie, hucząc i kipiąc jak wielka czarna lokomotywa, a czarne wagony zazgrzytają, przystając na chwilę, i konduktor o czarnej, lśniącej twarzy pomoże ci wsiąść po schodkach, mówiąc: „Proszę uprzejmie, proszę”.

Śpiąc tak, nie miewasz snów, ale każdej minuty jesteś świadom, że śpisz, jak gdybyś miał długi sen o samym spaniu i w tym spaniu śnił o śnie, spał i śnił o śnie bez końca, koncentrycznie, ku środkowi.

Tak było przez pewien czas po tym, gdy straciłem posadę. Nie było to nic nowego. Zdarzyło mi się już przedtem dwa razy. Nawet nadałem temu nazwę: Wielki Sen. Wtedy, gdy rzuciłem uniwersytet, zaledwie na parę miesięcy przed terminem ukończenia mojej rozprawy doktorskiej z historii Ameryki. Była już niemal gotowa i orzekli, że wypadła dobrze. Arkusiki zapisanego papieru piętrzyły się na stole przy maszynie. Kartoteka była tuż obok. Wstawałem późno i widziałem arkusiki papieru, przy czym ten, co leżał na wierzchu, zaczynał się już zwijać dookoła przycisku. I widziałem je tak samo, kiedy wracałem po kolacji, żeby się położyć do łóżka. Wreszcie pewnego rana wstałem późno, wyszedłem za próg, nie wróciłem więcej i zostawiłem je tam. A drugim razem Wielki Sen przyszedł, kiedy wyniosłem się z mieszkania i wystąpiliśmy z Lois o rozwód.

Teraz jednakże nie było żadnej historii Ameryki ani żadnej Lois. Był natomiast Wielki Sen.

Kiedy nareszcie wstałem, wałęsałem się beczynnienie. Szedłem do kina, zaglądałem do pokątnych szynków, chodziłem popływać albo do country clubu, gdzie kładłem się na trawie i obserwowałem dwóch zgrzanych bałwanów walących rakietami w białą piłeczkę, która migiała w słońcu. Kiedy indziej jedną z grających była dziewczyna, której krótka biała spódniczka owijała się i trzepotała wokół brązowych ud i także migiała w słońcu.

Kilka razy odwiedziłem Adama Stantona w jego mieszkaniu – tego chłopaka, z którym wychowywałem się w Burden's Landing. Był teraz wziętym chirurgiem i tyłu ludzi domagało się, aby ich krajał, że nie mógł nadążyć, a poza tym był profesorem w Akademii Medycznej, zajętym wysmażaniem rozprawek, które publikował w czasopismach medycznych albo odczytywał na zjazdach w Nowym Jorku, Baltimore i Londynie. Nie był żonaty. Mówił, że nie ma na to czasu. Nie miał czasu na nic. Ale znajdował chwilę, żeby pozwolić mi zasiąść w odrapanym, wypchanym fotelu w jego odrapanym, zawalonym papierzyskami mieszkaniu, gdzie czarna pokojówka rozmazywała kurz na meblach. Nieraz zastanawiałem się, dlaczego tak żyje, skoro musi wcale nieźle zarabiać, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nic nie bierze od wielu z tych ludzi, których kraje. Wśród kolegów po fachu uchodził za mięczaka. A kiedy już zrobił pieniądze, ludzie nabierali go, jeżeli tylko potrafili mu opowiedzieć historię jako tako możliwą do przełknięcia. W jego mieszkaniu jedyną rzeczą wartą złamanego szeląga był fortepian, najlepszy, jaki można dostać.

Kiedy zachodziłem do Adama, większość czasu spędzał przy fortepianie. Mówiono mi, że nieźle gra, ale nie znałem się na tym. Chętnie jednakże słuchałem, jeżeli fotel był dobry i wygodny. Musiałem kiedyś

przyznać się Adamowi, że muzyka niewiele mi mówi, ale przypuszczam, że albo o tym zapomniał, albo nie mógł uwierzyć, żeby to było u kogokolwiek możliwe. Tak czy owak, obracał się do mnie i mówił: „O, teraz posłuchaj tego... Boże drogi, to dopiero jest...” Ale jego głos cichł i słowa, które miały wyjaśnić, czym to z pewnością i po wsze czasy jest w swojej błogosławionej prawdzie, nie zostawały wypowiedziane. Po prostu urywał zdanie, które zawisało w powietrzu i okręcało się z wolna niby kawałek przetartego sznura, i spoglądał na mnie swymi czystymi, głęboko osadzonymi, błękitnymi jak zamrożona woda, abstrakcyjnymi oczami – takimi oczami i takim wzrokiem, jakie nasze sumienie miewa około trzeciej nad ranem – po czym, w przeciwieństwie do naszego sumienia, zaczynał się uśmiechać, ale nie zanadto, tylko jakimś niepewnym, niemal przepraszającym uśmiechem, który odejmował surowość tym wąskim ustom i kanciastej szczęce i zdawał się mówić: „Psiakość, co ja mogę poradzić, że tak na ciebie patrzę, chłopie; po prostu zawsze tak patrzę na wszystko”. A potem uśmiech zniknął. Adam obracał twarz do fortepianu i kładł dłonie na klawiszach.

Wcześniej czy później nużyło go granie i opadał na któryś z odrapanych foteli. Albo też przypominał sobie, że trzeba mi dać coś do picia, czy nawet przygotowywał napitek dla siebie, bledszy niż zimowe słońce i mniej więcej równie mocny. Siedzieliśmy tak, nie mówiąc nic, popijając z wolna, oczy Adama płonęły zimno i błękitnie, tym błękitniejsze, że skórę miał śniadą, napiętą na kościach twarzy. Było to tak samo, jak kiedy w dzieciństwie wybieraliśmy się na ryby w Burden’s Landing. Siadywaliśmy wtedy godzinami w łodzi, w gorącym słońcu, bez słowa. Albo też leżeliśmy na plaży. Lub razem rozbijaliśmy obóz i po kolacji układaliśmy się obok małego, dymiącego ogniska, które miało odpędzać komary, i też nie mówiliśmy ani słowa.

Możliwe, iż Adam nie żałował mi tych krótkich chwil dlatego, że

przypominałem mu Burden's Landing i tamten okres. Zazwyczaj o tym nie mówił. Ale raz coś powiedział. Siedział w fotelu i przyglądał się dżinowi w szklance, którą obracał powoli w swych długich, twardych, nerwowych palcach. Spojrzał na mnie i rzekł:

– Dobrze nam się wtedy żyło, co? Jak byliśmy mali.

– Aha – odparłem.

– Tobie i mnie, i Annie – powiedział.

– Aha – odrzekłem i pomyślałem o Annie. Po czym spytałem: – A teraz źle ci się żyje?

Wziął to pytanie pod rozwagę na pół minuty, jak gdybym mu zadał prawdziwe pytanie, którym może zresztą i było. Wreszcie powiedział:

– Cóż, chyba nigdy o tym nie myślałem. – A potem: – Nie, chyba nigdy o tym nie myślałem.

– Źle ci się żyje? – zapytałem. – Jesteś as. Źle ci z tym?

Nie folgowałem mu. Wiedziałem, że jest to pytanie, którego nie ma się prawa nikomu zadawać – przynajmniej nie tym tonem, który usłyszałem z własnych ust – ale nie mogłem mu przepuścić. Dorastasz razem z kimś, ten ktoś ma w życiu powodzenie, zostaje asem, a tobie nic nie wychodzi, ale on traktuje cię tak samo jak zawsze i wcale się nie zmienia. Jednakże to właśnie popycha cię do tego, choćbyś, próbując mu wbić nóż, sam sobie nie wiem jak wymyślał. W niepowodzeniu jest jakiś snobizm. Czy to będzie klub, czy koleżeństwo ze szkoły, czy studenckie stowarzyszenie, nie ma bardziej złośliwego i wyniosłego grymasu niż ten, który wykrzywia usta pijanemu, kiedy wpółleży na kontuarze barowym obok starego kumpla, który został asem i nie zmienił się wcale, albo kiedy ten stary kumpel zabiera go na kolację do domu i przedstawia ślicznej, drobnej, jasnookiej żoneczce i zdrowym dzieciakom. W odrapanym mieszkaniu Adama nie było ślicznej żoneczki, ale Adam był asem, a ja musiałem mu to powiedzieć.



Jednakże to nie dotarło do niego. Po prostu obrócił na mnie swoje szczere, błękitne spojrzenie, teraz z lekka ocienione zadumą, i powiedział:

– To jest coś, nad czym się nigdy nie zastanawiałem.

A potem uśmiech uczynił coś dziwnego z jego ustami, które zazwyczaj przypominały ładne, czyste, zdecydowane cięcie chirurgiczne, dobrze zagojone, bez żadnych fałdek.

Spróbowałem jakoś mu wynagrodzić to, że jestem taki, zacząłem więc z sentymentalnej beczki:

– Aha, dobrze nam się żyło, jak byliśmy mali, ty, Anna i ja.

Tak, dawniej, nad morzem w Burden's Landing, Adam Stanton, Anna Stanton i Jack Burden dobrze sobie żyli, kiedy byli dziećmi. Szkwał mógł piętrzyć i piętrzył wody zatoki, niebo mogło się mroczyć od deszczu, a palmy targać i giąć opętańczo, z liśćmi błyszczącymi jak mokra blacha w resztkach groźnego, żółciejącego, rozproszonego światła – nam nie działa się nic złego w naszym nadmorskim królestwie, bo byliśmy bezpieczni w białym domu – ich domu czy moim – i staliśmy przy oknie, patrząc, jak fale przyboju piętrzą się za falochronem niczym bita śmietana. A w głębi pokoju, za nami, siedział albo gubernator Stanton, albo pan Ellis Burden, albo obydwaj, bo byli przyjaciółmi, albo sędzia Irwin, bo też był przyjacielem, i żaden wiatr nie ośmieliłby się nękać gubernatora Stantona, Ellis a Burdena czy sędziego Irwina.

„Tobie, Annie i mnie” – powiedział do mnie Adam Stanton, a ja to powiedziałem do niego. Toteż któregoś rana, kiedy wreszcie zdołałem wygrzebać się z łóżka, zadzwoniłem do Anny i tak zacząłem:

– Od dawna nie myślałem o tobie, ale parę dni temu widziałem się z Adamem i mówił, że tobie, jemu i mnie dobrze się żyło, kiedy byliśmy dziećmi. Więc może byś zjadła ze mną kolację? Mimo że teraz już jesteśmy stetryczeli.

Zgodziła się. Z pewnością nie była stetryczala, ale nie było nam wcale

zabawnie.

Zapytała, co robię, więc jej odpowiedziałem:

– Nic a nic. Po prostu czekam, aż mi się skończy gotówka. Nie powiedziała, że powinienem się czymś zająć, ani nawet nie zdradziła takiego zamiaru. To już było coś. Wobec tego zapytałem, co robi, a ona roześmiała się i odrzekła:

– Nic a nic.

Wiedziałem, że to nieprawda, bo zawsze coś tam kombinowała dla różnych sierot, półgłówków i ślepych Murzynów i nawet nie dostawała za to żadnej zapłaty. A patrząc na nią, widziało się, że to jest strata czegoś i że tym czymś nie są pieniądze. Powiedziałem więc:

– No, mam nadzieję, że chociaż robisz to w przyjemnym towarzystwie.

– Niespecjalnie – odparła.

Spojrzałem na nią uważnie i zobaczyłem to, co spodziewałem się zobaczyć i co widziałem wiele razy, kiedy nie siedziała naprzeciw mnie. Zobaczyłem Annę Stanton, która może i nie była piękną, ale która była Anną Stanton. Anna Stanton: smągła, złotawoświetlista twarz, nie tak ciemna jak Adama, z zarysem podbudowy kostnej pod skórą naciągniętą z jakąś odrobiną, śladem owego naprężenia, które było w twarzy Adama, jak gdyby ten, co ją tworzył, nie chciał trwonić materiału na żadne miękkości czy obwisłości i wymodelował swój twór jak najczyściej. Ciemne włosy odciągnięte gładko, nieomal za mocno od równego przedziałka. Niebieskie oczy, które patrzyły wprost na człowieka, tak samo jak oczy Adama, ale w których czysty, abstrakcyjny, lodowy błękit tamtych był zastąpiony przez błękit głębszy, z wikłany, zmacony. Przynajmniej niekiedy. Podobni oni byli do siebie, Adam i Anna. Mogliby być bliźniętami. Mieli nawet ten sam uśmiech. Ale usta, na których się pojawiał, były w wypadku Anny inne. Wcale nie nasuwały na myśl ładnego, czystego, zdecydowanego, dobrze zagojonego cięcia chirurgicznego. Ten, kto je stworzył, pozwolił

sobie przy tym artykule na luksus użycia niewielkiej dodatkowej ilości materiału. Nie za dużej. Ale wystarczającej.

Taka była Anna Stanton i zobaczyłem to, co spodziewałem się zobaczyć.

Siedziała przede mną wyprostowana, z głową podniesioną wysoko i osadzoną prosto na pięknej, krągłej łądycze szyi, nad drobnymi, mocno zarysowanymi ramionami; obnażone ręce, dość szczupłe, ale krągło modelowane, trzymała przyciśnięte do boków z matematyczną dokładnością. Patrząc na nią, myślałem, że pod blatem stołu jej smukłe nogi na pewno też są złożone dokładnie, udo do uda, kolano do kolana, kostka do kostki. Właściwie zawsze w niej było coś trochę wystylizowanego – coś z tego, co można zaobserwować w niektórych egipskich płaskorzeźbach i statuetkach księżniczek z późnego okresu, o kształtach, w których wdzięk i miękkość, nie tracąc nic z wdzięku i miękkości, ujęte są w matematyczne prawidła. Anna Stanton zawsze patrzyła prosto na ciebie, a jednak miałaś wrażenie, że patrzy na coś bardzo dalekiego. Zawsze trzymała głowę podniesioną i doznawałaś wrażenia, że czeka na jakiś głos, którego ty nie zdołasz dosłyszeć. Zawsze stała równo i prosto i miałaś wrażenie, że cały jej wdzięk i miękkość ujęte są w rygory jakiejś myśli, której nie potrafisz określić.

– Masz zamiar zostać starą panną? – zapytałem. Roześmiała się i odpowiedziała:

– Nie mam żadnych zamiarów. Już dawno przestałam robić plany.

Tańczyliśmy na małej jak chustka do nosa przestrzeni między stolikami, na których stały talerze z nie dojezdzonym spaghetti i kostkami kurczaków oraz butelki czerwonego wina. Przez pięć minut mniej więcej taniec miał wartość sam w sobie, lecz potem stał się podobny do załatwiania we śnie jakiejś zawiłej i doniosłej sprawy, która zdaje się mieć znaczenie, ale tego znaczenia nie możesz rozeznaczyć. A później muzyka

umilkła i przerwanie tańca było jak obudzenie się ze snu, z radością, że człowiek się budzi i uwalnia, a jednak jest zmartwiony, bo teraz już nigdy się nie dowie, o co właściwie chodziło.

Anna musiała to odczuć tak samo, bo kiedy potem poprosiłem ją znowu do tańca, powiedziała, że nie ma ochoty i woli porozmawiać. Rozmawialiśmy, nawet dużo, ale to było trochę tak jak z tańcem. Nie można bez końca rozmawiać o tym, jak diabelnie dobrze się żyło, kiedy się było dzieckiem.

Odwiozłem ją do domu, który był o parę klas lepszy od lokalu Adama, bo nie można powiedzieć, żeby gubernator Stanton umarł w biedzie, i rozstałem się z nią w hallu. Powiedziała mi „dobranoc” i dodała:

– Zachowuj się grzecznie, Jack.

– Zjesz jeszcze kiedy ze mną kolację? – spytałem.

– Jeśli tylko będziesz chciał – odrzekła. – W każdej chwili. Wiesz o tym.

Tak, wiedziałem o tym.

I rzeczywiście była ze mną na kolacji jeszcze kilka razy. Ostatnim razem powiedziała:

– Widziałam twojego ojca.

– Aha – odrzekłem niezachęcająco.

– Nie bądź taki – poprosiła.

– Jaki?

– Och, przecież wiesz, o co mi idzie – odparła. – Nawet nie chcesz usłyszeć, co porabia?

– Wiem, co porabia – odrzekłem. – Siedzi w swojej norze albo dopomaga tej misji swoimi bzdurami, albo wypisuje te idiotyczne ulotki, które rozdają ludziom na ulicy – zawsze coś ze świętego Marka, rozdział czwarty, werset szósty, czy z Hioba, siódmy, piąty – i okulary ma zsunięte na czubek nosa, a na kołnierzu czarnej marynarki łupież jak burza śnieżna

w Dakocie.

Przez chwilę milczała, po czym rzekła:

– Widziałam go na ulicy i nie wyglądał dobrze. Sprawiał wrażenie chorego. Z początku go nie poznałam.

– Chciał ci wetknąć te śmiecie? – spytałam.

– Tak – odparła. – Podał mi kartkę papieru, a że się śpieszyłam, więc po prostu automatycznie wyciągnęłam po nią rękę. Potem uświadomiłam sobie, że wpatruje mi się prosto w twarz. W pierwszej chwili go nie poznałam. – Przerwała na moment. – To było ze dwa tygodnie temu.

– Nie widziałem go prawie od roku – powiedziałam.

– Och, Jack! – zawołała. – Nie powinieneś tak postępować. Musisz się z nim zobaczyć.

– Słuchaj, co ja mu mogę powiedzieć? A Bóg świadkiem, że on też nie ma mi nic do powiedzenia. Nikt mu nie kazał tak żyć. I nikt go nie zmuszał, aby rzucił swoje biuro prawne i nawet nie zadał sobie tyle trudu, żeby zamknąć za sobą drzwi.

– Ale, Jack – powiedziała. – Ty...

– Robi to, co chce robić. A poza tym, jeżeli był na tyle głupi, by tak postąpić dlatego, że nie mógł sobie poradzić z kobietą... zwłaszcza z taką kobietą jak moja matka... Jeżeli nie potrafił jej dać, czego chciała, cokolwiek to było, ale jeżeli nie mógł jej tego dać, to...

– Nie mów tak – przerwała mi ostro.

– Posłuchaj – powiedziałam. – Nie musisz do mnie przemawiać jak stara baba tylko dlatego, że twój ojciec był kiedyś gubernatorem i umarł w mahoniowym łożu z kotarami, przy którym stało kilku wysokopłatnych lekarzy podliczających sobie w głowie honoraria, i że uważasz, że był Jezusem Chrystusem w czarnej muszce. Ja nie mówię o twojej rodzinie. Mówię o swojej i nie moja wina, że widzę nagą, nie lakierowaną prawdę. A jeżeli ty...

– Cóż, nie musisz ze mną o tym rozmawiać – odparła. – Ani z nikim.

– Kiedy to jest prawda.

– Och, prawda! – wykrzyknęła, zaciskając prawą dłoń złożoną na serwecie. – Skąd wiesz, że to prawda? Nic o tym nie wiadomo. Nie masz pojęcia, co ich skłoniło, żeby zrobić to, co zrobili.

– Ja znam prawdę. Wiem, jaka jest moja matka. I ty też wiesz. I wiem, że ojciec był głupi, że dał jej się tak pogiębić.

– Nie bądź taki zajadły – powiedziała, chwyciła mnie za przedramię, wpiła w nie przez marynarkę ostre palce i potrząsnęła lekko.

– Nie jestem zajadły. Guzik mnie obchodzi, co robili. Czy robią. I dlaczego.

– Och, Jack – powiedziała, wciąż ściskając moje ramię, ale już nie tak mocno. – Nie możesz ich trochę kochać albo wybaczyć im, albo po prostu nie myśleć o nich czy jak? Bylebyś postępował inaczej niż teraz.

– Mogę nie myśleć o nich do końca życia – odparłem. Wtedy zauważyłem, że potrząsa lekko głową z boku na bok, że jej oczy są tak ciemnoniebieskie jak nigdy i zbyt błyszczące i że przygryza dolną wargę. Wyciągnąłem prawą rękę, zdjąłem jej dłoń z mego przedramienia, położyłem ją płasko na serwecie i przykryłem moją. – Bardzo mi przykro – powiedziałem.

– Nie, Jack – odrzekła. – W gruncie rzeczy nie jest ci przykro. Nigdy nie jest ci przykro z żadnego powodu. Ani przyjemnie. Jesteś po prostu... ach, sama nie wiem.

– Przykro mi – powtórzyłem.

– Ech, tylko ci się wydaje, że jest ci przykro. Albo przyjemnie. Wcale tak nie jest.

– Jeżeli człowiek uważa, że mu przykro, to kto, u licha, ma prawo mówić, że nie? – zapytałem, bo jak już wspomniałem, byłem wtedy zakutym idealistą i nie miałem zamiaru urządzać plebiscytu, czy jest mi

przykro, czy nie.

– To się wydaje słuszne – odparła – ale nie jest. Nie rozumiem dlaczego... zresztą owszem, rozumiem. Jeżeli nigdy nie było ci ani przykro, ani przyjemnie, to nie ma możliwości, byś wiedział następnym razem, czy jest ci tak, czy nie.

– No dobrze – odrzekłem. – Ale czy mogę ci jedno powiedzieć? Dzieje się we mnie coś, co podoba mi się nazwać przykrością.

– Możesz to powiedzieć, ale nie wiesz na pewno. – A potem, wyrywając rękę spod mojej dłoni: – Och, tobie robi się przykro albo przyjemnie, albo jeszcze jakoś, ale to nic nie daje.

– Coś niby jak zielone jabłuszko z robakiem w środku, które spada z drzewa, zanim dojrzeje?

Roześmiała się i odpowiedziała:

– Tak, jak zielone jabłuszko z robakiem w środku.

– No więc masz to zielone jabłuszko z robakiem w środku: jest mi przykro.

Odczuwałem przykrość albo to, co nazywało się przykrością w moim słowniku. Było mi przykro, że zepsułem ten wieczór. Ale szczerłość zmuszała mnie do przyznania, że nie było w nim wiele do zepsucia.

Nie zaprosiłem jej więcej na kolację, przynajmniej wtedy, kiedy byłem bez pracy i zajmowałem się snaniem. Nachodziłem już Adama i słuchałem jego gry na fortepianie. I siedziałem już nad spaghetti i czerwonym winem, patrząc na Annę Stanton. A wskutek tego, co Anna mi powiedziała, poszedłem do slumsów i zobaczyłem się z ojcem, niewysokim mężczyzną, który niegdyś był tęgi, ale którego twarz obwisła teraz szarymi, nalanyimi fałdami pod siwą czupryną i któremu stalowe okulary trzymały się na czubku nosa, a ramiona, wychudłe obecnie i ośnieżone łupieżem, opadały jakby obciążone ciężarem nie pasującego do reszty, miękkiego brzucha, co mu wypychał kamizelkę czarnego ubrania nad pasek i luźno zwisające

spodnie. W każdym razie zobaczyłem to, co spodziewałem się zobaczyć, bo pewne rzeczy się stały i nic nie mogło tego odmienić. Zapadałem w sen jak człowiek tonący w wodę i to wszystko przeleciało mi przed oczami, tak jak podobno przeszłość przebiega przed oczami tonącego.

No cóż, mogłem teraz znów spać. W każdym razie dopóki by mi się nie skończyła gotówka. Mogłem być Ripem Van Winkle. Tylko uważałem, że historia Ripa Van Winkle jest zupełnie fałszywa. Zасыpiasz na długo, a kiedy się budzisz, stwierdzasz, że nic się nie zmieniło. Bez względu na to, jak długo się śpi, wszystko jest takie samo.

Ale nie zdołałem wiele się naspać. Dostałem posadkę. Albo raczej posada dostała mnie. Pewnego rana wyrwał mnie z łóżka telefon. Dzwoniła Sadie Burke, która powiedziała:

– Przyjedź tu, do Kapitolu, o dziesiątej. Szef chce się z tobą widzieć.

– Kto? – zapytałem.

– Szef – odparła. – Willie Stark, gubernator Stark; czy może nie czytujesz gazet?

– Nie czytuję, ale ktoś mi mówił u fryzjera.

– To prawda – rzekła. – Więc Szef prosił, żebyś tu przyszedł o dziesiątej. – I odłożyła słuchawkę.

Ano, powiedziałem do siebie, może i coś się zmienia, kiedy człowiek śpi. Ale nie wierzyłem w to wtedy i w gruncie rzeczy nie wierzyłem, gdy wszedłem do wielkiego pokoju z boazerią z czarnego dębu i przed oczami tych wszystkich oryginalnych olejnych portretów starych wąsatych mężczyzn maszerowałem po długim czerwonym chodniku ku mężczyźnie, który nie był ani zbyt stary, ani wąsaty, który siedział za biurkiem pod wysokimi oknami i który wstał, gdy się zbliżyłem. Cholera, pomyślałem. Przecież to tylko Willie.

Był to tylko Willie, chociaż miał na sobie coś zupełnie innego niż tamto wiejskie granatowe ubranie, które nosi dawniej w Upton. Ale to



coś miał nałożone byle jak, krawat rozluźniony i ściągnięty w bok, a kołnierzyk rozpięty. I włosy spadały mu na czoło tak jak zawsze. Przez chwilę wydało mi się, że może te mięsiste wargi są zaciśnięte mocniej niż dawniej, ale zanim zdążyłem się upewnić, wyszczerzył zęby i wyszedł zza biurka. Więc znowu pomyślałem, że to tylko Willie. Wyciągnął rękę i powiedział:

– Jak się masz, Jack.

– Gratulacje – odezwałem się.

– Słyszałem, że cię wylali.

– Żle słyszałeś – odparłem. – Sam wyszedłem.

– Mądrześ zrobił – rzekł. – Bo jak skończę z tymi gośćmi, nie będą mieli z czego ci płacić. Nie będą mieli z czego zapłacić Murzynowi, co myje spluwaczki.

– To mi odpowiada – przyznałem.

– Chcesz posadę? – zapytał.

– Rozważę propozycję.

– Trzysta miesięcznie – powiedział – i koszta podróży. Jak będziesz podróżował.

– Dla kogo mam pracować? Dla stanu?

– Nie, psiakrew. Dla mnie.

– Wygląda na to, że ty pracowałbyś dla mnie – odparłem. – To gubernatorstwo daje tylko pięć tysięcy rocznie.

– W porządku – odrzekł i roześmiał się. – Więc będę pracował dla ciebie.

Wtedy przypomniałem sobie, jak dobrze mu szło w praktyce adwokackiej.

– Spróbuję – powiedziałem.

– Świetnie – rzekł. A potem: – Lucy chce się z tobą zobaczyć. Przyjdź do nas jutro na kolację.

– To znaczy do pałacu?

– A gdzieś ty myślał, u diabła? Do schroniska dla turystów? Do pensjonatu? Pewnie, że do pałacu.

No tak, do pałacu. Miał zamiar potraktować mnie jak za dawnych czasów, zabrać do domu na kolację i przedstawić ślicznej żoneczce i zdrowemu dzieciakowi.

– Chłopie – powiedział. – My się tam objamamy luzem we trójkę: Lucy, Tom i ja.

– Co mam robić? – zapytałem.

– Jeść – odparł. – Przyjdź o wpół do siódmej i najedz się dobrze. Zadzwon do Lucy i powiedz, na co byś miał ochotę.

– Ja pytam, co mam robić na tej posadzie?

– A bo ja wiem, psiakrew – odrzekł. – Coś się wykluje. Miał rację pod tym względem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Zawsze wszystko odbywało się tak samo, kiedy przyjeżdżałem do domu i spotykałem się z matką. Dziwiłem się, że jest właśnie tak, ale jednocześnie uświadamiałem sobie, iż wiedziałem, że tak będzie. Przyjeżdżałem do domu z niezłomnym przekonaniem, że matki w gruncie rzeczy wcale nie obchodzi, że jestem po prostu jeszcze jednym mężczyzną, którego chce mieć przy sobie, bo była taką kobietą, która musi mieć koło siebie mężczyzn, żeby tańczyli tak, jak im zagra. Jednakże zapominałem o tym wszystkim, gdy tylko ją zobaczyłem. Czasami zapominałem nawet, zanim ją zobaczyłem. W każdym razie, kiedy już zapomniałem, dziwiłem się, że nie możemy dojść ze sobą do ładu. Dziwiłem się, chociaż wiedziałem, co będzie, chociaż wiedziałem zawsze, że scena, w której wezmę udział i wypowiem słowa, które miałem wypowiedzieć, rozgrywała się już przedtem lub raczej nigdy nie przestawała się rozgrywać i że gdy znów wejdę do obszernego, białego, wysoko sklepionego hallu, zobaczę za połącią lśniącej jak ciemny lód podłogi moją matkę stojącą w drzwiach na tle migotliwego światła ognia w mrocznym pokoju i uśmiechającą się do mnie jak dziewczyna, z wyrazem nagłego, niewinnego szczęścia na twarzy. A potem podejdzie z tym kruchym, podnieconym stukotem obcasów i krótkim, gardłowym śmiechem, przystanie przede mną, uchwyci materiał mej marynarki między duże i wskazujące palce obu rąk, tak jakoś dziecinnie, łagodnie i zarazem natarczywie, i podniesie ku mnie twarz, obracając ją z lekka w bok, żebym mógł złożyć na policzku oczekiwany pocałunek. Jej policzki będą w dotyku jędrny, gładki i całkiem chłodny; poczuję zapach perfum,

których zawsze używa, i całując ją, dojrzę epilowaną nieskazitelność jej brwi i delikatne zmarszczki w kąciku zwróconego ku mnie oka, zauważę wiotką, jedwabistą, przyciemnioną powiekę, drgającą szybko nad niebieską tęcza. Oko, leciutko wylupiaście, będzie błyszczące i utkwione w jakiś punkt za mną.

Tak było zawsze – kiedy wracałem do domu ze szkół, kiedy wracałem z letnich obozów, kiedy wracałem z college’u, kiedy wracałem z posady – i tak też było tamtego późnego deszczowego popołudnia, na przełomie zimy i wiosny roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego, gdy znowu wróciłem do domu po długiej nieobecności. Od mojej ostatniej wizyty upłynęło sześć czy osiem miesięcy. Mieliśmy wówczas z matką starcie w związku z moją pracą dla gubernatora Starka. Zawsze wcześniej czy później dochodziło między nami do starcia z jakiejś przyczyny, a w ciągu tych dwu i pół lat, które przepracowałem u Williego, zazwyczaj w końcu sprowadzało się to do niego. A jeżeli nawet jego nazwisko nie padało, stał wciąż za nami jak cień. Zresztą nie było zbyt ważne, o co się kłócimy. Za nami stał jeszcze inny cień, wyższy i mroczniejszy od Williego. Mimo to stale wracałem i wróciłem także tym razem. Czułem, że coś mnie tam ciągnie. Tak było i wtedy, i jak zawsze wydawało się, że wszystko zaczniemy od nowa, od przekreślenia tego, czego, jak wiedziałem, niepodobna przekreślić.

– Zostaw walizki w samochodzie – powiedziała matka. – Służący je zabierze.

I pociągnęła mnie ku otwartym drzwiom salonu, w którym płonął ogień na kominku, i dalej przez pokój ku rozłożystej sofie. Zauważyłem naczynie z lodem, syfon wody sodowej i butelkę szkockiej whisky, połyskujące w świetle ognia na szklanym blacie stolika.

– Siadaj – powiedziała. – Siadaj, synku – i lekko mnie popchnęła w pierś palcami prawej ręki. Nie było to silne pchnięcie, nie straciłem od

niego równowagi, ale siadłem i zagłębiłem się w sofę. Patrzyłem, jak matka miesza mi whisky z wodą sodową, a potem przygotowuje sobie jakiś pozór drinka, bo nigdy nie piła dużo. Podała mi szklanke, śmiejąc się znowu po swojemu, krótko i gardłowo. – Masz! – powiedziała, a jej twarz zdawała się obwieszczać, że ofiarowuje mi coś absolutnie specjalnego, rzecz tak cenną, że równej nie ma na całej kuli ziemskiej.

Dużo jest alkoholu na świecie, nawet szkockiej whisky, ale wziąłem szklanke i pociągnąłem łyk, też czując, że to coś specjalnego.

Matka opadła na sofę ruchem swobodnym, mającym coś z trzepotu ptaka, który sfruwając na gałązkę, muska dziobem pióra, upiła mały łyk i uniosła głowę, jak gdyby po to, by trunek jej spłynął do gardła. Jedną nogę podciągnęła pod siebie, a drugą przewiesiła przez nią, tak że spiczastym czubkiem szarego zamszowego pantofelka ledwie dotykała podłogi z precyzją tancerki. Wyprostowana, obróciła się zgrabnie od pasa, aby popatrzeć na mnie, marszcząc szary materiał sukni. Światło ognia na kominku modelowało drobne, regularne rysy jej twarzy, z jednej strony oświetlonej, z drugiej pogrążonej w cieniu, oraz starannie zaczesane, wysoko upięte włosy, i podkreślało lekkie, jakby zgłodniałe zakłębłości poniżej kości policzkowych (zawsze wyobrażałem sobie, odkąd na tyle dorosłem, by sobie coś wyobrażać, że właśnie to podbijało mężczyzn – te zakłębłości pod kośćmi policzkowymi). Włosy jej były złotawe jak metal, teraz już poznaczone siwizną, ale ta siwizna była też metaliczna niby pasemka metalu wplecione w złocistość. Wydawało się, że tak to było zamierzone od samego początku i przy tym diablo kosztowne. W każdym szczególe.

Spojrzałem na nią i pomyślałem: No, już przecież dobiega do pięćdziesiątki piątki, ale muszę przyznać, że jest pierwszorzędna. I nagle poczułem się stary, a te trzydzieści pięć lat, które przeżyłem, raptem wydały mi się rozciągnięte wstecz w nieskończoność. Jednakże musiałem

przyznać, że jest pierwszorzędna.

Patrzyła na mnie w milczeniu, z tym wyrazem, który zawsze zdawał się mówić: „Ty masz coś, czego ja chcę, czego potrzebuję, co muszę mieć”. A potem: „Ja także mam coś dla ciebie, jeszcze nie powiem ci co, ale mam”. Ta zakłęśłość policzków – wygłodniałe wejrzenie. Te błyszczące oczy – obietnica. Jedno i drugie naraz. To była sztuka nie lada.

Dopiłem resztki trunku i trzymałem szklankę. Matka, ciągle mnie obserwując, sięgnęła po nią i postawiła na stoliczku. A potem powiedziała:

– Och, synku, wyglądasz na zmęczonego.

– Nie jestem zmęczony – odpowiedziałem, czując w sobie opór.

– Jesteś – odparła, chwyciła mnie za rękaw i przyciągnęła do siebie. Z początku się opierałem. Pozwalałem jej tak ciągnąć za rękaw. Nie ciągnęła mocno, ale wciąż patrzyła prosto na mnie.

Uległem i pochyliłem się ku niej. Położyłem się na wznak z głową na jej kolanach, tak jak wiedziałem, że zrobię. Położyła mi lewą dłoń na piersi, dużym i wskazującym palcem kręcąc tam i z powrotem guzik mojej koszuli, a prawą na czole. Potem przeniosła mi ją na oczy i z wolna pogładziła po czole. Ręce miała zawsze chłodne. Było to jedno z pierwszych wrażeń, jakie w życiu zapamiętałem.

Długo nic nie mówiła. Przesuwała mi tylko dłonią po oczach i czole. Wiedziałem, że tak robi, wiedziałem, jak było przedtem i jak będzie później. Miała umiejętność tworzenia małej wysepki pośród czasu i czyjejs świadomości, będącej wynikiem czasu.

A potem powiedziała:

– Jesteś zmęczony, synku.

Nie byłem zmęczony, ale nie byłem też nie zmęczony, zmęczenie zaś nie miało nic wspólnego z sytuacją. A później, po chwili:

– Ciężko pracujesz, synku?

– Tak sobie – odpowiedziałem. I znowu po chwili:

– Ten człowiek... Ten człowiek, dla którego pracujesz...

– O co ci idzie? – spytałem.

Dłoń zatrzymała mi się na czole i wiedziałem, że to mój ton ją zatrzymał.

– O nic – odrzekła. – Tylko że nie musisz dla niego pracować. Theodore mógłby ci wyszukać...

– Nie chcę posady, którą miałbym dostać przez Theodore'a – odparłem i spróbowałem się podnieść, ale czy kiedy próbowaliście się podnieść, leżąc płasko na wznak, na miękkiej sofie, gdy ktoś wam trzyma rękę na czole?

Przycisnęła mi mocno dłoń do czoła, pochyliła się i powiedziała:

– Przestań, proszę cię. Theodore jest moim mężem, a twoim ojczymem. Nie mów tak, on by chętnie...

– Słuchaj – przerwałem. – Już ci powiedziałem, że ja... Ale ona odparła:

– Cicho, synku, cicho – położyła mi dłoń na oczach i znowu zaczęła nią wodzić po moim czole.

Nie mówiła nic więcej. Ale powiedziała już, co powiedziała, i musiała znowu zaczynać od początku tę sztukę z wyspą. Możliwe, że powiedziała to tylko dlatego, aby móc znowu zacząć, aby dowieść, że potrafi. W każdym razie zrobiła tak i to podziałało.

Po chwili trzasnęły drzwi frontowe, a w hallu rozległy się kroki. Wiedziałem, że to Theodore Murrell, i chciałem się znowu podnieść. Lecz nawet wtedy, w ostatniej chwili przycisnęła mi czoło dłonią i nie puściła, dopóki odgłos kroków Theodore'a nie wniknął do pokoju.

Wstałem, czując, że marynarka podjechała mi na szyję, a krawat mam pod uchem, i spojrzałem na Theodore'a, który miał piękny blond wąs, policzki rumiane jak jabłka, jasne włosy oblepione niczym polewa na krągłej czaszce i zaczątki godnego brzuszka (ćwicz skłony, draniu,

rób ze sto skłonów co rano i dotykaj podłogi, łobuzie jeden, bo inaczej przestaniesz się podobać pani Murrell, a wtedy co z tobą będzie?) i splecił z lekka adenoidalnie, kiedy otwierał tę swoją szparkę pod pięknym blond wąsem, jakby miał w ustach za dużo gorącej owsianki.

Matka podeszła do niego żwawym krokiem, ze ściągniętymi do tyłu ramionami, i zatrzymała się przed Młodym Dyrektorem. Młody Dyrektor objął ją ramieniem i pocałował tą szparką pod pięknym blond wąsem, matka uchwyciła go za rękaw i pociągnęła ku mnie, a on powiedział:

– No, stary, miło mi cię widzieć. Co słyhać, polityku? – Wszystko dobrze – odparłem. – Ale ja nie jestem polityk.

Jestem najemnikiem.

– Oho – rzekł – nie bujaj mnie. Ludzie mówią, że ty i gubernator jesteście z sobą tak! – Tu podniósł dwa splecione, niezbyt szczupłe, bardzo czyste i nienagannie wymanikiurowane palce, wystawiając je na mój podziw.

– Nie znasz gubernatora – odparłem. – Jediną istotą, z jaką gubernator jest o tak – tu podniosłem dwa niezbyt czyste i całkiem nagannie wymanikiurowane palce – może być tylko sam gubernator, a od czasu do czasu Bóg Wszechmogący, jeżeli gubernatorowi potrzeba kogoś, kto by przytrzymał wieprza, kiedy on mu gardło podrzyna.

– No, jeżeli tak dalej pójdzie... – zaczął Theodore.

– Siadajcie obaj – powiedziała do nas matka, więc usiedliśmy i wzięliśmy szklanki, które nam podała. Zapaliła światło.

Siedziałem rozparty w fotelu, mówiłem: „Tak” i mówiłem: „Nie”, i rozglądałem się po tym długim pokoju, który znałem lepiej niż którykolwiek pokój na świecie i do którego zawsze wracałem bez względu na to, co mówiłem. Zauważyłem w nim nowy mebel. Była to wysoka sekretera z klapą, w stylu Sheratona, stojąca na tym miejscu, gdzie dawniej było nerko wateg biureczko. Ano, pewnie to biurko stało obecnie na strychu, w muzeum



drugiej klasy, podczas gdy my siedzieliśmy w muzeum klasy pierwszej, a firma Bowman i Heatherford z Londynu zapisywała grubszą cyfrę w czarnej rubryce swej księgi rachunkowej. W tym pokoju wciąż zachodziły zmiany. Wracając do domu, zawsze się rozglądałem i zastanawiałem, jakie one będą, gdyż przewinęła się tutaj długa procesja doborowych okazów: szpinetów, biurek, stołów, foteli, każdy bardziej doborowy od poprzedniego – i każdy po kolei trafiał na strych, żeby zwolnić miejsce dla nowej doskonałości. Tak, póki ten, odkąd go pamiętałem, przebył długą drogę, zmierzając do jakiejś idealnej doskonałości, która istniała w głowie mej matki albo agenta z Nowego Orleanu, Nowego Jorku czy Londynu, i być może przed śmiercią matki miał osiągnąć ów ideał, a wtedy ona by w nim siadywała – wypielęgnowana stara dama z upiętymi wysoko siwymi włosami, jedwabistą skórą obwisającą na delikatnych szczękach i mrugającymi szybko niebieskimi oczami – i popijałaby z filiżanki herbatę na cześć owego ideału.

Umieblowanie się zmieniało, ale zmieniali się w tym pokoju także ludzie. Dawno temu był tu krępy, silny, niewysoki mężczyzna, z niesforną czarną czupryną, w stalowych okularach na nosie, mający zwyczaj zapinania kamizelki nie na ten guzik, co trzeba, i z grubą, złotą dewizką od zegarka, za którą lubiłem pociągać. Potem zniknął stąd, a matka przycisnęła mi głowę do piersi i powiedziała:

– Synku, tatuś już więcej nie wróci.

– Umarł? – spytałem wtedy. – Będziemy mieli pogrzeb?

– Nie – odpowiedziała. – Nie umarł. Odszedł, ale możesz teraz o nim myśleć jak o umarłym.

– Ale dlaczego sobie poszedł?

– Bo nie kochał mamusi. Dlatego odszedł.

– Ja ciebie kocham, mamusiu – powiedziałem. – Będę cię kochał zawsze.

– Tak, synku, ty kochasz swoją mamusię – odrzekła i przytuliła mnie mocno do piersi.

Tak odszedł Uczony Adwokat. Miałem wtedy ze sześć lat. Po nim był Bogaty Przemysłowiec, wychudły, łysy i sapiący na schodach.

– Dlaczego papa Ross tak dyszy, jak idzie na górę? – pytałem.

– Cicho – odparła matka. – Cicho, synku.

– Dlaczego, mamusiu?

– Bo papa Ross niedobrze się czuje.

A potem Bogaty Przemysłowiec umarł. Nie pociągnął długo.

Wtedy matka oddała mnie do szkoły w Connecticut i wyjechała za ocean. Kiedy wróciła, był z nią inny mężczyzna, wysoki i szczupły, który nosił białe ubrania, palił długie, cienkie cygara i miał wąziutkie, czarne wąsiki. To był Hrabia, a moja matka była teraz Hrabinią. Hrabia siadywał w tym pokoju z gośćmi, dużo się uśmiechał i niewiele mówił. Ludzie spoglądali na niego z ukosa, ale on patrzył na nich wprost i uśmiechał się, ukazując najbielsze na świecie zęby pod tymi wąskimi, równiutkimi, czarnymi wąsikami. Kiedy nie było nikogo, grał przez cały dzień na fortepianie, a potem wychodził w czarnych butach i obcisłych białych bryczesach, dosiadał konia, skakał na nim przez bramki i galopował po plaży, aż boki konia mydliły się od piany i pulsowały ze śmiertelnego zdyszania. Potem Hrabia wracał do domu, popijał „wiskii”, trzymał na kolanach perskiego kota i gładził go dłonią niewielką, ale tak silną, że ludzie krzywili się, kiedy im ścisnął rękę. A raz zauważyłem cztery granatowoczarne, równoległe pręgi na prawym przedramieniu mojej matki.

– Patrz, mamó! – zawołałem. – Co ci się stało?

– Nic – odpowiedziała. – Uderzyłam się. – I naciągnęła szal na rękę.

Hrabia nazywał się Covelli. Ludzie mówili: „Ten cały hrabia to sukinsyn, ale konno to umie jeździć”.

A potem zniknął. Było mi przykro, bo lubiłem Hrabiego. Lubiłem patrzeć, jak jeździ konno.

Później przez dłuższy czas nie było nikogo.

A potem zjawił się Młody Dyrektor, który był Młodym Dyrektorem od czasu, kiedy jego matka wypchnęła go na świat, i miał być Młodym Dyrektorem aż po ten dzień, kiedy mu wypuszczą krew i wtloczą do żył płyn balsamujący. Ale do tego było jeszcze daleko, bo miał dopiero czterdzieści cztery lata, a siedzenie za biurkiem w kompanii naftowej, gdzie zarabiał sobie na „szpilki”, żeby uzupełnić to, co otrzymywał od żony, nie zdierało go tak szybko.

Otóż ja siadywałem w tym salonie z nimi wszystkimi: z Uczonym Adwokatem, Bogatym Przemysłowcem, Hrabią i Młodym Dyrektorem, i obserwowałem zmiany w umeblowaniu. I teraz też siedziałem, przyglądałem się Theodore’owi i nowej sheratonowskiej sekretarce i zastanawiałem się, jak długo oboje tu przetrwają.

Wróciłem do domu. Byłem tym, który wraca zawsze.

Tej nocy padało. Leżałem w pięknym, wspانياłym, starym łóżu rodowym, pochodzącym z czyjegoś innego rodu (dawno temu w moim pokoju stało na matach podłogi białe, żelazne łóżko, a wielkie, wspانياłe, stare łóże mahoniowe Burdenów, które teraz nie było już dostatecznie wspانياłe i znajdowało się na strychu, stało w pokoju matki). Wsłuchiwałem się w szmer deszczu na liściach wirginijskich dębów i magnolii. Rano przestało padać i pokazało się słońce. Wyszedłem na dwór i zobaczyłem na czarnej ziemi płytkie kałuże, podobne do tafelek żelatyny. Wokoło drzew kameliowych pływały na połyskujących czarno kałużach białe, czerwone i innych kolorów płatki otrząśnięte z kwiatów. Niektóre unosiły się na wodzie podwiniętymi brzeżkami do góry, jak łódki, dokoła zaś inne pływały odwrócone dnem albo tonęły, nabrawszy wody, tworząc wesoły obraz spustoszenia, jak gdyby okręt wojenny dał

kilka salw do floty karnawałowych barek i gondoli w jakiejś dalekiej, szczęsnej, płoczej krainie.

Przy schodach rosnęło gęste drzewo kameliowe. Pochyliłem się, by zebrać kilka płatków. Woda była bardzo zimna. Trzymając płatki w dłoni, poszedłem krętą ścieżką do furtki. Przystanąłem tam, ściskając płatki, i popatrzyłem na zatokę roziskrzoną za pasmem białawego piasku, oznaczonego naniesionym przez wodę osadem.

Jednakże przed południem zaczęło znowu padać – długa mżawka z gąbczastego nieba, która trwała dwa dni. Tego popołudnia, nazajutrz rano i następnego popołudnia wkładałem nieprzemakalny płaszcz należący do Młodego Dyrektora i chodziłem po deszczu. Nie, żeby był miłośnikiem spacerów, który musi przeczyścić sobie płuca ozonem. Ale chodzenie wydawało mi się najwłaściwszym zajęciem. Pierwszego popołudnia poszedłem wzdłuż plaży, mijając dom Stantonów, jakiś zimny i opustoszały za opadającymi liśćmi, aż do domu Irwinów, gdzie sędzia Irwin posadził mnie w fotelu piętami do ognia, otworzył butelkę wyborowej starej marylandzkiej żytniówki, poczęstował mnie i zaprosił na kolację następnego wieczora. Jednakże wypilem tylko jeden kieliszek i wyszedłem, i powędrowałem tam, gdzie nie było już domów, tylko zarośla oraz gęste dąbrowy ze sterczącą tu i ówdzie sosną, a czasem otwartą polanką, na której stał szary szałas.

Następnego dnia poszedłem wzdłuż zatoki ulicami miasta, a potem dalej, dopóki nie dotarłem do małego zalewu w kształcie półksiężyca, gdzie gaj sosnowy schodził aż do białego piasku. Najpierw wędrowałem pod osłoną sosen i obcasy zapadały mi się głęboko w igliwie, a potem wyszedłem na piasek. Było tam miejsce, gdzie leżało na wpół zwęglone polano, bardzo czarne od wilgoci, a dookoła niego zawilgły popiół i szerniały kawałki drewna, tym czarniejsze, że piasek był biały. Ludzie nadal zjeżdżali się tu na pikniki. Ano i ja też przyjeżdżałem tu na pikniki.

Wiedziałem, co to są pikniki.

Istotnie, wiedziałem, co to jest piknik.

Anna, Adam i ja przyjechaliśmy tu kiedyś przed laty, gdyśmy jeszcze byli bardzo młodzi, ale tamtego dnia nie padało. Dopiero pod koniec. Było bardzo upalnie i bezwietrznie. Patrząc daleko, poza zalew, ku zatoce, widziało się wodę wznoszącą się w świetle, tak jakby horyzont przestał istnieć. Popływaliśmy trochę, zjedliśmy obiad, leżąc na piasku, a potem łowiliśmy ryby. Ale szczęście nam nie dopisywało. Tymczasem obłoki zaczęły się kłębić, ogarniając całe niebo z wyjątkiem strony zachodniej, za sosnami, gdzie słońce świeciło przez lukę między chmurami. Woda była bardzo spokojna i nagle pociemniała od tego ciemnego nieba, a daleko po drugiej stronie zalewu linia lasów wydała się już nie zielona, lecz czarna nad białą pasmą, które tam było plażą.

O niecałą milę w tej stronie stała unieruchomiona z braku wiatru żaglówka, i pod tym niebem, na tle ciemnej wody i czarnej linii lasów, nie mogło być nic tak rozdzierającego białego jak jej spiczasty żagiel.

– Powinniśmy wracać – rzekł Adam. – Będzie wieją.

– Nie tak zaraz – odparła Anna. – Jeszcze popływajmy.

– Lepiej nie. – Adam zawahał się i popatrzył na niebo.

– Chodźmy – nalegała, ciągnąc go za rękę. Nie odpowiadał, wciąż badając niebo. Nagle puściła jego rękę, roześmiała się i pobiegła ku wodzie. Nie biegła wprost do niej, ale wzdłuż plaży, ku małej mieliźnie, z kusymi włosami rozwianymi w powietrzu. Patrzyłem za nią. Biegła z rękami nie całkiem rozpostartymi i przygiętymi w łokciach, ruch jej nóg był pełen wdzięku i swobody, a jednocześnie odrobinę nieporadny, jak gdyby niezupełnie zapomniała jednego rodzaju biegu, biegania dziecinnego, a jeszcze nie całkiem nauczyła się innego rodzaju – biegu kobiety. Nogi jej wydawały się zaczepione zbyt luźno, trochę niepewnie, u drobnych bioder, które jeszcze nie były w pełni zaokrąglone.

Przypatrując się jej, spostrzegłem, że nogi ma długie. Czego nigdy dotąd nie zauważyłem.

Nie żaden odgłos, ale właśnie cisza sprawiła, że raptem obejrzałem się na Adama. Wpatrywał się we mnie. Gdy nasze oczy się spotkały, jego twarz pokrył rumieniec; oderwał ode mnie wzrok jakby w zakłopotaniu. Potem powiedział chrapliwie: „Pościgajmy się” i pognął za nią. Ja też pobiegłem, a jego stopy obrzucały mnie piaskiem.

Anna była już w wodzie i płynęła. Adam wskoczył za nią i ostro popłynął wprost przed siebie, wyprzedzając mnie. Minął Annę i płynął dalej. Był świetnym pływakiem. Z początku nie miał ochoty pływać, ale teraz płynął prosto, ostro i szybko.

Zrównałem się z Anną, zwolniłem i powiedziałem: „Halo!” Na chwilę podniosła wysoko głowę ruchem płynnym, podobnym do ruchu foki, po czym zwinęła się do przodu, nurkując gładko pod powierzchnię. Jej drobne, złożone razem pięty mignęły na sekundę nad wodą i znikły. Dopędziłem ją, a ona zrobiła to znowu. Za każdym razem, gdy ją doganiałem, podnosiła głowę, uśmiechała się i nurkowała. Za piątym razem jednak nie zanurkowała. Obróciła się na wznak lekkim, leniwym skrętem ciała i położyła się na wodzie, patrząc w niebo, szeroko rozpostarłszy ramiona. Przekręciłem się więc także i leżąc na wodzie o kilka stóp od niej, patrzyłem w niebo.

Było teraz jeszcze ciemniejsze, z fioletowawozielonawym odcieniem. Koloru dojrzewających winogron. Ale wciąż wydawało się wysokie, z całym przestworzami powietrza pod nim. Prosto nade mną, bardzo wysoko, przeleciała mewa. Na tle nieba była bielsza nawet od tamtego żagla. Przeleciała po całym obszarze nieba, jaki obejmowałem wzrokiem. Zastanawiałem się, czy Anna ją zobaczyła?. Kiedy spojrzałem na Annę, oczy miała zamknięte. Ręce trzymała wciąż rozłożone szeroko, a jej włosy unosiły się swobodnie na wodzie wokoło głowy. Głowa była odchyłona

daleko do tyłu, broda podniesiona. Twarz miała bardzo spokojną, jakby spała. Leżąc na wodzie, widziałem jej profil odcinający się ostro na tle dalekich, czarnych drzew.

Raptem odwróciła się ode mnie, jak gdyby mnie nie było, i zaczęła płynąć do brzegu. Płynęła teraz ruchami powolnymi, niejako opóźnionymi, a jednak nie zdradzającymi wysiłku. Jej szczupłe ramiona wznosiły się i opadały z gnuśną, ospałą, kapryśną precyzją, przypominającą swobodne ruchy, jakie wykonujemy we śnie.

Zanim dotarliśmy do plaży, deszcz zaczął padać wielkimi, rzadkimi, ciężkimi, pojedynczymi kroplami, które kłuły jeszcze wciąż szklistą powierzchnię wody. A potem nadleciała fala deszczu i gładkość powierzchni znikła.

Wyszliśmy z wody, stanęliśmy na piasku, w deszczu, który siekł nas po ciele, i spojrzeliśmy na Adama płynącego do brzegu. Miał jeszcze spory kawał drogi przed sobą. Daleko za nim w kierunku południowym, ponad zatoką, rozwidlone pioruny waliły z ciemnego nieba z przeciągłym grzmotem. Od czasu do czasu Adam na chwilę ginął nam z oczu w sunącej płachcie deszczu, która szorowała po wodzie. Anna, obserwując go, stała z głową lekko pochyloną, nieledwie w zamyśleniu, z przygarbionymi plecami, z rękami skrzyżowanymi na drobniutkich piersiach, obejmując samą siebie, jak gdyby ją ogarniał dreszcz, ściskając z lekka ugięte kolana.

Adam dopłynął do brzegu, zebraliśmy nasze rzeczy, nałożyliśmy przemoczony sandały i przeszliśmy przez gaj sosnowy, gdzie w górce kłębiły się czarne zwały, a poprzez grzmoty można było chwilami dosłyszeć skrzypienie konarów. Dotarliśmy do naszego auta i pojechaliśmy do domu. Tego lata skończyłem siedemnasty rok życia, Adam był mniej więcej w moim wieku, a Anna młodsza coś o cztery lata. To było jeszcze przed wojną światową, a raczej przed naszym do niej przystąpieniem.

Tego pikniku nie zapomniałem nigdy.

Sądę, że właśnie tamtego dnia po raz pierwszy zobaczyłem Annę i Adama jako dwie odrębne, indywidualne osobowości, których sposób postępowania był szczególnie, tajemniczy i doniosły. I możliwe też, że owego dnia po raz pierwszy zobaczyłem samego siebie jako osobowość. Ale nie o tym tu mówię. Zdarzyło się jedno: w mojej głowie powstał obraz, który już nigdy jej nie opuścił. Widujemy wiele rzeczy i wiele rzeczy potrafimy zapamiętać, ale to jest co innego. W naszych umysłach powstaje bardzo mało takich obrazów, o jakich tu mówię – takich, które stają się dla nas coraz żywsze i żywsze, jak gdyby upływanie lat nie przesłaniało ich realności, lecz z roku na rok uchylało coraz to innej zasłony, ukazując znaczenie, któreśmy zrazu tylko niejasno przeczuwali. Najprawdopodobniej ostatnia zasłona nie zostanie nigdy uchylona, bo na to lat nie starczy, ale jasność obrazu wzrasta – i wzrasta także nasze przeświadczenie, że ta jasność jest właśnie treścią czy też legendą treści i bez tego obrazu nasze życie nie byłoby niczym więcej, jak tylko starym kawałkiem filmu nawiniętym na szpulkę i wrzuconym do szuflady biurka między listy pozostawione bez odpowiedzi.

Obraz, który owego dnia powstał w moim umyśle, był obrazem twarzy Anny leżącej na wodzie, twarzy bardzo spokojnej, z zamkniętymi oczami, pod ciemnym, zielonkawofioletowym niebem, z białą mewą przelatującą w górze.

Nie chcę przez to powiedzieć, że tego dnia zakochałem się w Annie. Wówczas była jeszcze dzieckiem. To przyszło później. Ale tamten obraz byłby przetrwał, nawet gdybym się nigdy w niej nie zakochał czy nigdy więcej jej nie zobaczył, czy też ją znienawidził. Bywały później chwile, gdy nie kochałem Anny. Powiedziała mi, że za mnie nie wyjdzie, i po pewnym czasie ożeniłem się z Lois, która była od niej ładniejsza, taka, za jaką ludzie oglądają się na ulicy – i byłem w niej zakochany. Jednakże obraz wciąż trwał, coraz jaśniejszy w miarę jak uchylały się zasłony,



obietujący jasność jeszcze większą.

Toteż kiedy w długi czas później, tamtego deszczowego wczesnowiosennego popołudnia wyszedłem z sosnowego gaju i zobaczyłem zwęglone polano na białym piasku, gdzie ktoś urządzał piknik, przypomniałem sobie ów letni piknik z roku tysiąc dziewięćset piętnastego, ostatni nasz piknik przed moim odjazdem z domu do college'u. Droga do tego college'u nie była zresztą tak piekielnie daleka. Po prostu do uniwersytetu stanowego.

– Och, synku – mówiła mi matka – dlaczego nie postąpisz rozsądnie i nie zapiszesz się do Harvardu albo Princeton? – Jak na kobietę z prymitywnego Arkansas, matka niewątpliwie wiedziała wtedy już bardzo dużo o naszych co lepszych uczelniach. – Czy choćby do Williams – dodała. – Podobno to bardzo przyzwoita i elegancka uczelnia.

– Poszedłem do tej szkoły, którą wybrałaś – odparłem. – A była elegancka, nie ma co.

– Albo nawet na uniwersytet wirginijski – ciągnęła, patrząc mi bystro w twarz i nie słysząc ani słowa z tego, co mówiłem. – Twój ojciec tam studiował.

– To nie powinno być dla ciebie taką nadzwyczajną rekomendacją – odparłem i pomyślałem, jak mi się sprytnie udało. Podczas sporów z nią nabrałem zwyczaju napomykania w jakiś sposób o odejściu ojca.

Ale nie usłyszała i tego. Po prostu mówiła dalej:

– Gdybyś był gdzieś na wschodzie, łatwiej by ci było przyjeżdżać do mnie na lato.

– Przecież tam teraz jest wojna – odrzekłem.

– Niedługo się skończy – powiedziała. – Wtedy będzie łatwiej. – Aha, a mamie będzie łatwiej mówić ludziom, że byłem w Harvardzie niż na takim uniwersytecie, o którym nikt nie słyszał, jak ten stanowy. Nawet by nie znali nazwy stanu, w którym jest.

– Ja po prostu chcę, żebyś chodził na jakąś przyzwoitą uczelnię, synku, gdzie nawiądziesz odpowiednie znajomości. I jak powiedziałam, byłoby ci wtedy łatwiej przyjeżdżać do mnie latem.

(Napomykała wówczas o ponownym wyjeździe do Europy i wojna bardzo ją niecierpliwiła. Hrabiego nie było już wtedy od jakiegoś czasu, od okresu bezpośrednio poprzedzającego wojnę, i matka miała zamiar znowu pojechać do Europy. Pojechała, istotnie, po wojnie, ale już nie wyszukiwała sobie więcej hrabiów. Może doszła do wniosku, że wychodzenie za nich jest zbyt kosztowne. Wysłała ponownie za mąż dopiero za Młodego Dyrektora.).

No więc powiedziałem jej, że nie mam ochoty iść na żadną elegancką uczelnię, że nie chcę żadnych eleganckich znajomości, że nie pojedę do Europy i nie będę brał od niej pieniędzy. To ostatnie, o tych pieniądzach, wysnęło mi się w zapale chwili. Wydawało się wspaniałym, męskim oświadczeniem, a efekt tak dalece przewyższył moje oczekiwania, że już nie mogłem się cofnąć i popsuć dramatu. Matce zaparło dech w piersiach. O mało nie padła. Myślę, że nie była przyzwyczajona, żeby jakaś istota nosząca spodnie mówiła coś podobnego. Owszem, próbowała mnie przekonać, ale ja dosiadłem wielkiego konia i uparłem się. W ciągu następnych czterech lat z tysiąc razy myślałem, co ze mnie był za cholerny dureń. Usługiwałem w barach, pisałem na maszynie, a w ostatnim roku nawet pracowałem przez część dnia w dziennikarstwie i rozpamiętywałem sobie, jak odrzuciłem blisko pięć tysięcy dolarów tylko dlatego, że w którejś książce wyczytałem, jakie to męskie przebijać się o własnych siłach przez studia. Nie powiem, żeby matka nie przysyłała mi pieniędzy. Na gwiazdkę i na urodziny. Brałem to i urządziłem sobie popijawę, taką porządną, parodniową, z dodatkami, a potem wracałem do posług czy tego, co akurat robiłem. Do wojska mnie nie wzięli. Kiepskie nogi.

Kiedy sędzia wrócił z frontu, miał tylko wojnę w głowie. Był pułkownikiem artylerii i doskonale mu się działało. Zdążył na czas, żeby wywalić całą kupę żelaza na Niemców i uniknąć kupy ich żelaza posyланego w odpowiedzi. Podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej dochrapał się tylko dyzenterii na Florydzie. Natomiast teraz jego szczęście było całkowite. Uważał, że nie poszły na marne wszystkie te lata, które strawił na rysowaniu map kampanii Cezara i sporządzaniu działających modeli katapult, balist, skorpionów i taranów według starożytnych i średniowiecznych wzorów. Cóż, nie poszły na marne, jeżeli idzie o mnie, bo gdy byłem mały, pomagałem mu przy tej robocie i to były wspaniałe zabaweczki. Przynajmniej dla dzieciaka. A wojna też nie poszła na marne, bo sędzia odwiedził Alise-Ste-Reine, czyli miejsce, gdzie Cezar pobił Wercyngetoryksa, a pod koniec lata, po powrocie, Foch i Cezar, Pershing i Haig, Wercyngetoryks, Critognatus, Vercassivellaunus, Ludendorff i Edith Cavell całkiem mu się pokiełbasili w głowie. Powyciągał wtedy te wszystkie katapulty i skorpiony naszej roboty i po wycierał je z kurzu. Ale podobno był dobrym oficerem i odważnym człowiekiem. Na dowód tego miał medal.

Zdaje się, że przez dłuższy czas przybierałem drwiące tony, mówiąc o sędzim jako o bohaterze, bo było wtedy modnie przybierać tony na temat bohaterów i ja wyrosłem w tej modzie. Albo też może dlatego, że miałem kiepskie nogi i nie dostałem się do wojska ani nawet do przysposobienia wojskowego, kiedy byłem w college'u, wobec czego chodziło tu o wypadek kwaśnych winogron, jak to zwykle u niedołęgów. Może gdybym sam służył w wojsku, wszystko wyglądałoby inaczej. Za to sędzia był dzielnym człowiekiem, nawet mimo że na dowód tego miał medal. Wykazał odwagę, jeszcze zanim go dostał. I miał ją wykazać ponownie. Na przykład raz pewien gość, którego sędzia kiedyś wsadził za kratki, zatrzymał go na ulicy w Landing i powiedział, że go zamorduje. Sędzia

tylko się roześmiał, odwrócił do niego plecami i odszedł. Wtedy tamten wyciągnął pistolet i parę razy zawołał na sędziego. W końcu sędzia się obejrzał. Kiedy zobaczył, że tamten trzyma wymierzony w niego pistolet, zawrócił w miejscu i bez słowa ruszył ku niemu. Podszedł i odebrał mu pistolet. Nigdy się nie dowiedziałem, co robił po wojnie.

Owego wieczora, prawie piętnaście lat później, kiedy poszliśmy z matką i Młodym Dyrektorem do niego na kolację, znów zaczął wyciągać tamte rzeczy. Byli wtedy Pattonowie, małżeństwo mieszkające w sąsiedztwie, dziewczyna nazwiskiem Dumonde, której obecność poczytywałem za gest w moją stronę, sędzia Irwin i my. Wyciągnięcie balisty też było prawdopodobnie gestem w moją stronę, chociaż sędzia zawsze zdradzał tendencję do pouczania swych gości o sztuce wojennej z epok przedprochowych. Przez całą kolację mówiło się o dawnych czasach, również na mój benefis, bo jak ktoś wraca do miejsc, w których był niegdyś, ludzie zawsze zaczynają przeżuwać tę właśnie kość: dawne czasy. Przed deserem dawne czasy doszły do tego, jakeśmy we dwóch robili modele. Sędzia wstał, poszedł do biblioteki i wrócił z długą na jakieś dwadzieścia cali balistą, odsunął swój deser i ustawił ją na stole. Potem ją napiął za pomocą małej korbki na bębenuk odciągającym wyrzutnię, jakby nie miał dość siły, żeby ją napiąć od razu jednym czy dwoma palcami. Potem okazało się, że nie ma czym strzelać. Zadzwoił więc na czarnego boya i kazał przynieść bułkę. Rozłamał ją, wyrwał kawałek mięksizu i spróbował ukreścić z niego kulkę. Nie wyszła zbyt dobrze, więc ją namoczył w wodzie, żeby się zlepiała. Potem ją wpuścił do wyrzutni.

– No więc to działa o, tak – powiedział i nacisnął spust.

Podziałało. Kulka była ciężka od porządnego namoczenia, a balista widać nie straciła z latami ikry, bo zanim się połapałem, rozległ się huk w żyrandolu, pani Patton wrzasnęła, plując miętowymi lodami na swoją czarną aksamitną suknię, a na obrus i wielki wazon z kameliami posypały

się kawałeczki szkła. Sędzia trafił w sam środek elektrycznej żarówki. Odstrzelił także jeden z kryształowych wisiorów żyrandola.

Sędzia bardzo przeproszał panią Patton. Mówił, że jest starym, zdziecinniałym durniem, który bawi się zabawkami, po czym usiadł w fotelu, mocno wyprostowany, żeby pokazać, jaki ma jeszcze tors i bary. Pani Patton dokończyła resztki miętowych lodów, przerywając tę czynność rzucaniem nieufnych spojrzeń na nieszczęsną balistę. Potem przeszliśmy wszyscy do biblioteki sędziego, gdzie miano nam podać kawę i butelkę koniaku.

Ja jednak pozostałem jeszcze chwilę w jadalni. Powiedziałem, że balista nie straciła ikry z latami. Ale to było nieścisłe stwierdzenie. Nie miała możliwości jej stracić. Obejrzałem model dokładnie, z pobudek raczej sentymentalnych niż naukowych. I wtedy zauważyłem linki, które mu nadawały tę ikrę. Na wszystkich takich balistach, niektórych typach katapult, skorpionach i tym podobnych są dwa skręcone włókna, przymocowane do czubka wyrzucającego ramienia, tworząc niejako dwie połowy czegoś w rodzaju superkuszy. Dawniej przy ich sporządzaniu oszukiwaliśmy, wplatając we włókna katgut i cienki drut stalowy, aby je wzmocnić. Teraz, kiedy przyjrzałem się linkom, zauważyłem, że to wcale nie te stare, które założyłem za dawnych, dobrych, umarłych czasów. Nic podobnego. Te były zupełnie nowe.

I wtedy naraz ujrzałem sędziego Irwina przesiadującego po nocach w bibliotece, z katgutem, drutem stalowym, sznurkiem, szczypcami i nożycami rozłożonymi na biurku, z pochyloną, starą rudą głową, z żółtymi oczami wwiercającymi się w robotę. I widząc w myśli ten obraz, poczułem smutek i zakłopotanie. Z początku, przed laty, nie miałem żadnego stosunku do tego, że sędzia tym się zajmuje. Gdy byłem dzieckiem, wydawało mi się naturalne, że człowiek przy zdrowych zmysłach chce robić takie rzeczy, czytać o nich książki, sporządzać mapy i modele. I

później też mi się wydawało w porządku, że sędzia to robił. Ale obecnie ten obraz w mej głowie się zmienił. Czułem się zasmucony, zakłopotany i w jakiś sposób oszukany.

Przyłączyłem się więc do gości siedzących w bibliotece i na zawsze zostawiłem kawałek Jacka Burdena w jadalni, przy baliście.

Siedzieli przy kawie. Wszyscy z wyjątkiem sędziego, który otwierał butelkę koniaku. Gdy wszedłem, podniósł wzrok i zapytał:

– Oglądałeś sobie nasz stary grochomiot, co? – Położył leciutki nacisk na słowie „nasz”.

– Tak – odpowiedziałem.

Żółte oczy wwierciły się we mnie na sekundę i poczułem, że już wie, co wykryłem.

– Naprawiłem ją – powiedział z najniewinniejszym, najbardziej rozbajającym uśmiechem na świecie. – Przedwczoraj. Rozumiesz, stary facet, który nie ma nic do roboty ani do kogo ust otworzyć. Nie można bez przerwy czytać prawa, historii i Dickensa. Ani łowić ryb.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu, który wydawał mi się konieczny jako danina dla czegoś bliżej nieokreślonego w moich myślach. Wiedziałem jednak, że ten uśmiech jest mniej więcej równie przekonujący jak zimny rosół z kury w pensjonacie.

Następnie usiadłem obok tej Dumonde, którą tu sprowadzono dla mojej uciechy. Była ładniutką, ciemnowłosą, elegancką dziewczyną, ale czegoś jej brakowało: zbyt wydelikaccona i ożywiona, miała specjalny sposób chwytania człowieka niejako na łąso swymi niespokojnymi, piwnymi oczyma i trzepotania powiekami, gdy dociskała pętlę, po czym mówiła to, co mamusia przykazała jej mówić przed dziesięciu laty.

– O, proszę pana, więc pan jest w polityce! O, to musi być po prostu fascynujące! – Nie ma dwóch zdań, że nauczyła ją tego mamusia. Tylko że już dobiegała trzydziestki i jakoś to jeszcze nie podziałało. Ale powieki

wciąż były w ruchu.

– Nie, nie jestem w polityce – odrzekłem. – Po prostu mam posadę.

– Niechże mi pan opowie o swojej pracy.

– Jestem chłopcem na posyłki.

– O, przecież mówią, że pan jest ważną figurą, proszę pana. Ze pan ma wielkie wpływy. Och, to musi być fascynujące. Mieć wpływy, proszę pana!

– To dla mnie coś nowego – odparłem i w tej chwili zauważyłem, że wszyscy przyglądają mi się tak, jakby im nagle zaświtało w głowach, że siedzę na sofie obok panny Dumonde goły jak święty turecki, z filiżanką kawy na kolanie. Taki jest los człowieka. Ilekroć nas piłuje jakaś babka w rodzaju panny Dumonde, a my zaczniemy z nią gadać tak, jak człowiek musi gadać z babkami tego typu, wszyscy od razu nadstawiają uszu. Zauważyłem, że sędzia się uśmiechnął, jak mi się wydawało, z mściwą satysfakcją. Potem powiedział:

– Niech pani nie da mu się wywieść w pole. Jack jest człowiekiem bardzo wpływowym.

– Wiedziałam! – zawołała panna Dumonde. – To musi być fascynujące.

– Niech będzie – rzekłem. – Jestem wpływowy. Może pani ma za kratkami jakichś kumpli, dla których chciałaby pani wydebić przeze mnie ułaskawienie? – Po czym pomyślałem: Wspaniale jesteś wychowany, Jack. Mógłbyś się przynajmniej uśmiechnąć, jeżeli już musisz to powiedzieć. Wiec się uśmiechnąłem.

– Ano, ktoś niedługo trafi za kratki – odezwał się stary Patton. – Przy tym, co się wyprawia w mieście! To całe...

– George! – fuknęła na niego żona, ale to nic nie pomogło, bo pan Patton był typem szorstkim i zadzierzystym, z kupą pieniędzy, pełnym męskiej szczerości. Mówił więc dalej:

– ...tak jest: to całe bezprawie! Przecież ten facet zmarnuje nasz stan.

Darmo to, darmo tamto, darmo owo... Dziś byle prościuch wyobraża sobie, że wszystko na świecie jest darmo. A kto będzie płacił, chciałbym wiedzieć. Co on na to mówi, Jack?

– Nigdy go nie pytałem – odrzekłem.

– No to spytaj – ciągnął pan Patton. – I zapytaj też, ile idzie na lewo. Tyle się wyrzuca pieniędzy, więc mi nie mów, że nic nie idzie na lewo. A spytaj go też, co zrobi, jak go postawią w stan oskarżenia. Powiedz mu, że jeszcze jest w tym stanie konstytucja albo była, dopóki jej nie rozwalili. Powiedz mu to.

– Powiem – odparłem i roześmiałem się, a potem roześmiałem się jeszcze raz, kiedy pomyślałem, jaką Willie miałby minę, gdybym mu rzeczywiście powiedział.

– George – odezwał się sędzia. – Jesteś stary konserwatysta. Dzisiaj rząd jest obowiązany do świadczenia usług, o których my nigdy nie słyszeliśmy, kiedyśmy dorastali. Świat się zmienia.

– Tak się zmienił, że jakiś gość może sobie przyjść i zagarnąć cały stan. Dać mu jeszcze z parę lat, to żadna siła go stąd nie wysadzi. Będzie miał pół stanu na swoim żołdzie, a druga połowa będzie się bała głosować. Terror, szantaż, Bóg wie co.

– To twardy człowiek – rzekł sędzia. – Rozegrał to twardo i ostro. Ale zrozumiał jedną zasadę: że nie da się zrobić omletu, nie rozbijając jajek. I ma już precedensy. Narozbijał sporo jajek i może teraz robić swoje omlety. A pamiętaj, że jak dotychczas Sąd Najwyższy poparł go w każdej podniesionej kwestii.

– Aha, bo to j e g o sąd. Odkąd tam wsadził Armstronga i Talbota. A te podniesione kwestie! Lepiej powiedz, co z tymi, których nie podniesiono? Których ludzie bali się podnieść?

– Dużo się gada – odparł spokojnie sędzia – ale właściwie niewiele wiemy.



– Ja wiem, że on zakatuje ten stan podatkami – rzekł pan Patton, poprawił na siedzeniu swoje potężne szynki i spojrział spode łba. – I wysiuda stąd wszelkie interesy. Ściąga opłaty od stanowych terenów węglowych. I od naftowych. I...

– Tak, George – roześmiał się sędzia. – I rąbnął tobie i mnie podatek dochodowy.

– Jeżeli idzie o sytuację w przemyśle naftowym – zaczął Młody Dyrektor, ponieważ padło święte słowo „nafta”. – Tak jak ja to widzę, sytuacja...

Nie ma dwóch zdań, że panna Dumonde, wspomniawszy o polityce, rozwarła na oścież wrota zagrody i od tej chwili huczał już tętent kopyt i kłębiły się tumany kurzu, a ja siedziałem na gołej ziemi pośrodku tego wszystkiego. Przez chwilę nie przychodziło mi na myśl, że jest coś osobliwego w tej scenie. A potem mi przyszło. Bądź co bądź pracowałem dla tego rzekomego szatana z kopytami i ogonem, a to tutaj było, czy miało być, zebraniem towarzyskim. Nagle uprzytomniłem to sobie i doszedłem do wniosku, że jego przebieg jest dosyć dziwny. Potem zrozumiałem, że ostatecznie wcale nie taki dziwny. Pan Patton, Młody Dyrektor i pani Patton (bo i ona zaczęła wtrącać swoje trzy grosze), a nawet sędzia – zakładali, że chociaż pracuję dla Williego, przecież sercem jestem z nimi. Wprawdzie u Williego zarabiałem trochę czy może nawet sporo grosza, ale sercem musiałem być w Burden's Landing, nie mieli więc przede mną tajemnic i wiedzieli, że nie mogą mnie urazić. Może mieli rację. Może rzeczywiście byłem sercem w Burden's Landing. Może nie mogli mnie urazić. Ale po godzinie siedzenia cicho i wdychania subtelnych perfum panny Dumonde wmieszałem się do rozmowy i coś powiedziałem. Nie pamiętam, w którym punkcie im przerwałem, ale i tak to na jedno wychodziło. Powiedziałem:

– Czy cała historia nie sprowadza się aby do tego: gdyby od dłuższego

czasu rządy naszego stanu robiły coś dla ludzi, czy Stark zdołałby przyjść tam z gołymi rękami i rozpędzić tych gości? I czy musiałyby tylokrotnie upraszczać sobie drogę do celu, żeby nadrobić czas stracony przez te wszystkie lata nieróbstwa? Chciałbym tylko zaproponować dyskusję na ten temat.

Przez pół minuty było cicho. Granitowa twarz pana Pattona zdawała się chylić ku mnie jak padający pomnik, wole pod brodą pani Patton drgało niczym worek pełen kociąt, odgłos adenoidów Młodego Dyrektora był wyraźnie dosłyszalny, sędzia siedział, tocząc żółtymi oczami po obecnych, a ręce mojej matki zaciskały się i rozwierały na kolanach. W końcu powiedziała:

– Ależ synku, ja nie wiedziałam, że ty... że ty... tak do tego podchodzisz!

– No... e... tak – odezwał się pan Patton. – Nie uświadamiałem sobie, że... e...

– Ja wcale nie powiedziałem, jak podchodzę – odparłem. – Po prostu zaproponowałem temat do dyskusji.

– Dyskusji! Dyskusji! – wybuchnął pan Patton, który już przyszedł do siebie. – Obojętne, jakie rządy miał nasz stan dawniej. Takiego jak ten jeszcze nie było. Jeszcze nikt nie próbował zagarnąć całego stanu. Nikt nigdy...

– To bardzo ciekawy temat – rzekł sędzia i pociągnął koniaku. I znowu zaczęli od nowa, wszyscy z wyjątkiem matki; jej ręce poruszały się z wolna na kolanach, a blask ognia wybuchał na wielkim brylancie, którego nigdy nie dostała od Uczzonego Adwokata. Poruszały się tak wciąż, dopóki nie przyszła pora wyjścia.

– Kto to jest ta panna Dumonde? – zapytałem matkę pod wieczór

następnego dnia, siedząc przy kominku.

– Córka siostry pana Ortona – odpowiedziała. – I odziedziczy wszystkie jego pieniądze.

– Cóż – odparłem – ktoś powinien zaczekać, aż dostanie tę forszę, a potem ożenić się z nią i utopić ją w wannie.

– Nie mów tak – powiedziała matka.

– Nie martw się – rzekłem. – Chętnie bym ją utopił, ale nie chcę jej pieniędzy. Pieniądze mnie nie interesują. Gdybym chciał, mógłbym każdego dnia sięgnąć ręką i urwać z dziesięć tysięcy. Dwadzieścia tysięcy. Boja...

– Och, synku... To, co mówił pan Patton... Ci ludzie, z którymi się zadajesz... Synku, tylko nie wplącz się w jakiś szwindel.

– On to nazywa szwindlem wtedy, kiedy to robią goście, którzy nie wiedzą, jakiego widelca używać.

– Wszystko jedno, synku. Ci ludzie...

– Nie wiem, co robią ci ludzie, jak ich nazywasz. Bardzo się pilnuję, żeby nigdy nie wiedzieć, co kto gdzie robi i kiedy.

– Ale, synku, nie... proszę cię...

– Co nie?

– Nie wplącz się w... w nic.

– Powiedziałem tylko, że mógłbym sięgnąć ręką i urwać z dziesięć tysięcy. Bez żadnego szwindlu. Informacje. Informacje to są pieniądze. Ale powiedziałem ci, że nie interesuję się pieniędzmi. Ani trochę. Willie też nie.

– Willie? – zapytała.

– Szef. Szef nie interesuje się pieniędzmi.

– Czym więc się interesuje?

– Interesuje się Williem. Całkiem po prostu i zwyczajnie. A jak ktoś się interesuje samym sobą całkiem po prostu i zwyczajnie, tak jak Willie

interesuje się Williem, to to się nazywa geniusz. Tylko tacy niedowarzeni ludzie jak pan Patton interesują się pieniędzmi. Nawet te grube ryby, które naprawdę zarabiają ciężką forszę, nie interesują się pieniędzmi. Henry'ego Forda nie interesują pieniądze. Interesuje go Henry Ford i dlatego właśnie jest geniuszem.

Wzięła mnie za rękę i powiedziała poważnie:

– Nie, nie mów tak, synku. – Jak?

– Kiedy tak mówisz, sama nie wiem, co myśleć. Po prostu nie wiem.

Spojrzała na mnie błagalnie; światło ognia padające na jej policzki pogłębiało jego wklęsłość, nadawało mu jeszcze bardziej zgłodniały wygląd. Położyła drugą dłoń na mojej dłoni, którą trzymała, a kiedy kobieta robi z czyjejś ręki taki sandwicz, jest to zawsze wstępem do czegoś. Co w tym wypadku było:

– Dlaczego ty, synku... dlaczego się nie ustatkujesz... Czemu nie ożenisz się z jakąś przyzwoitą panną i...

– Już próbowałem – odrzekłem. – Jeżeli chciałaś coś dla mnie zmontować z tą Dumonde, to na pewno trafiłaś kulą w płot.

Patrzyła na mnie coraz usilniej, badawczym, przenikliwym spojrzeniem swoich nazbyt błyszczących oczu, jak człowiek rozeznający coś w oddali.

– Synku... byłeś trochę dziwny wczoraj wieczorem... Nie wnikałeś w istotę rzeczy... a poza tym ten twój ton...

– No dobrze... – odparłem.

– Nie byłeś sobą, takim jak dawniej, bo...

– Gdybym miał być taki jak dawniej, tobym się zastrzelił – powiedziałem. – A jeżeli narobiłem ci wstydu przy tych twoich półgłówkach Pattonach i tej kretynce Dumonde, to przepraszam.

– Sędzia Irwin... – zaczęła.

– Jego w to nie mieszaj – przerwałem. – On jest inny.

– Och, synku! – wykrzyknęła. – Dlaczego jesteś taki? Wstydu mi nie narobiłeś, ale czemu jesteś taki? To ci ludzie... i to, co robisz... Dlaczego się nie ustatkujesz... nie weźmiesz jakiejś przyzwoitej posady... Sędzia Irwin, Theodore mogliby ci wyszukać... Wyrwałem rękę z tego sandwicza, który zrobiła, i powiedziałem:

– Nie chcę od nich nic na tym bożym świecie. Ani od nikogo. Nie chcę się ustatkować, nie chcę się żenić, nie chcę żadnej innej posady, a jeżeli idzie o pieniądze...

– Synku... Synku... – powiedziała, splatając ręce złożone na kolanach.

– A jeżeli idzie o pieniądze, to nie chcę więcej, niż mam. Poza tym nie muszę się o to martwić. Ty masz dosyć – wstałem z kanapy, zapaliłem papierosa i cisnąłem zapalną w ogień – masz dosyć, żeby zostawić ładną sumkę i Theodore'owi, i mnie.

Nie poruszyła się i nic nie powiedziała. Spojrzała tylko na mnie, a ja widziałem, że łzy napływają jej do oczu i że mnie kocha, bo jestem jej synem. I że Czas nie ma żadnego znaczenia, ale że ta podniesiona twarz o błyszczących, za dużych oczach jest stara. Pod jasnymi oczyma skóra obwisała na zakłęsłych policzkach.

– Nie mówię, że chcę twoich pieniędzy – powiedziałem. Wyciągnęła rękę nieśmiały, pokornym ruchem, ujęła moją prawą dłoń, nie całą, tylko same palce, i ścisnęła ją.

– Synku – powiedziała. – Ty wiesz, że wszystko, co mam, jest twoje. Nie wiesz o tym?

Nic nie odpowiedziałem.

– Nie wiesz o tym? – powtórzyła i uchwyciła się moich palców, jak gdyby były końcem linki, którą jej rzucono do wody.

– No dobrze – usłyszałem swój głos i poczułem, że moje palce drgnęły, aby uwolnić się z uścisku, lecz jednocześnie serce mi nagle zmiękło i rozpląnęło się w piersi jak topniejąca kula śnieżna, którą rozgniatasz w

dłoni. – Przykro mi, że tak mówiłem – dodałem – ale, psiarew, dlaczego my nie możemy skończyć z tymi rozmowami? Dlaczego nie może tak być, żebym po prostu przyjechał do domu na dzień, dwa i żebyśmy nic nie mówili, nawet nie otwierali ust?

Nie odpowiedziała, tylko ciągle ścisnęła moje palce. Uwolniłem je więc, oświadczyłem: „Idę na górę wziąć kąpiel przed kolacją” i ruszyłem do drzwi. Wiedziałem, że nie obróciła głowy, by za mną spojrzeć, gdy wychodziłem, ale idąc przez pokój, czułem się tak, jak gdyby zapomniano spuścić kurtynę po zakończeniu widowiska i jakbym miał tysiąc oczu utkwionych w plecy, a oklaski jeszcze się nie zaczęły. Może dranie nie wiedzą, że to już koniec? Może nie wiedzą, że już czas klaskać?

Poszedłem na górę, wyciągnąłem się w wannie, po uszy w gorącej wodzie, i wiedziałem, że już jest po wszystkim. Znowu po wszystkim. Zaraz po kolacji wsiądę do samochodu i pognam jak diabli do miasta po nowej asfaltowej nawierzchni między czarnymi, przegowanymi mgłą polami, dojadę tam około północy i pójdę na górę do mojego hotelowego pokoju, gdzie nie mam nic własnego, gdzie nic nie zna mojego imienia i nie ma mi nic do powiedzenia o czymś, co mogło się zdarzyć.

Leżąc w wannie, usłyszałem zajeżdżający samochód i wiedziałem, że to Młody Dyrektor, że wejdzie od frontu, że kobieta siedząca na kanapie wstanie i szybkim krokiem, z wyprostowanymi, drobnymi, wytwornymi ramionami, poniesie mu swą starą twarz jak podarunek.

I, jak Boga kocham, niechże on lepiej uda, że jest wdzięczny.

W dwie godziny później siedziałem w samochodzie, Burden's Landing i zatoka zostały w tyle, a wycieraczki na przedniej szybie pracowicie sykały i szczękały jak coś w człowieku, co nie powinno się nigdy zatrzymać. Bo znowu padał deszcz. Z ciemności siekły w reflektory nadlatujące skośnie

krople, niczym zasłona z błyszczących, metalowych paciorków, przez którą wóz się przedzierał.

Nie ma nic bardziej samotnego niż jazda autem nocą, wśród deszczu. Ja właśnie siedziałem w aucie. I byłem z tego rad. Między jednym a drugim punktem na mapie była ta samotność w aucie, wśród deszczu. Powiadają, że człowiek jest sobą tylko w powiązaniu z innymi. Gdyby nie było innych ludzi, nie byłoby nas samych, bo to, co robimy, czyli to, czym jesteśmy, ma sens tylko w powiązaniu z innymi. Ta myśl jest bardzo pokrzepiająca, kiedy siedzisz samotnie w aucie, nocą, wśród deszczu, bo wtedy nie jesteś sobą, a nie będąc sobą ani w ogóle niczym, możesz się oprzeć wygodnie i trochę odpocząć. To jakby urlop od samego siebie. Jest tylko pulsacja motoru pod stopą, wysnuwającego jak pająk wątłą nic dźwięku ze swych metalowych trzewi – to włókno, tę więź właściwie nie istniejącą, między tym tobą, którego dopiero co zostawiłeś w jednym miejscu, a tamtym tobą, którym będziesz, gdy dotrzesz do następnego.

Należałoby kiedyś zaprosić tych dwóch „ja” na przyjęcie. Albo urządzić zebranie rodzinne wszystkich odmian swojego „Ja” z piknikiem na zielonej trawce. Zabawnie byłoby usłyszeć, co by sobie mówili.

Tymczasem jednak nie ma ani jednego, ani drugiego mnie, a ja jestem w aucie, w deszczu, nocą.

A oto, dlaczego jestem w tym aucie: przed trzydziestu siedmiu laty, około roku 1896, krępy, stateczny, dobiegający czterdziestki mężczyzna w stalowych okularach i w ciemnym ubraniu, będący Uczonym Adwokatem, pojechał do pewnego miasteczka tartaczego w południowym Arkansas, żeby przesłuchać świadków i przeprowadzić dochodzenie w dużej sprawie o drzewo. Zdaje się, że to nie było nadzwyczajne miasto. Parę bud, zajazd dla dyrektorów i inżynierów, poczta, kantyna kompanii – wszystko to sterczące z czerwonego błota – a dookoła jak okiem sięgnąć pieńki, stojąca wśród nich krowa, skowyt pił niczym obolały nerw w

środku czaszki, a w powietrzu i w nozdrzach wilgotny, słodkomdławy zapach piłowanego drewna.

Nie widziałem tego miasteczka. Noga moja nigdy nie powstała w Arkansas. Ale widziałem to miasteczko w myśli. I na schodkach kantyny stoi tam dziewczyna o blond włosach zwisających dwoma grubymi warkoczami, ma oczy niebieskie i zaczątki delikatnych, zgłodniałych zakęśłości na policzkach. Powiedzmy, że ma na sobie jasnozieloną bawełnianą sukienkę, bo jasnozielony jest twarzowym, odpowiednim kolorem dla blondynki stojącej w porannym słońcu na schodkach kantyny – i słucha zgrzytu pił, i patrzy na krępego mężczyznę w ciemnym ubraniu, który nadchodzi, wyszukując sobie ostrożnie przejście przez czerwone błoto pozostałe po ostatniej wielkiej wiosennej ulewie.

Dziewczyna stoi na tych schodkach, bo jej ojciec zarządza kantoną kompanii. Tyle wiem o jej ojcu.

Mężczyzna w ciemnym ubraniu przebywa w miasteczku dwa miesiące, załatwiając swoje sprawy prawnicze. Wieczorami, przed zachodem, on i dziewczyna spacerują zakurzoną ulicą miasteczka aż tam, gdzie kończą się domy i zaczynają pieńki. Widzę ich stojących wśród wytrzebionej okolicy, na tle miedzianokrwawego, letniego zachodu słońca w Arkansas. Nie mogę rozpoznać, co mówią do siebie.

Kiedy mężczyzna, zakończywszy swoje sprawy, wyjeżdża z miasteczka, zabiera z sobą dziewczynę. Jest to pocziwy, niewinny, nieśmiały człowiek i siedząc obok dziewczyny na czerwonym pluszu ławki w pociągu, trzyma jej dłoń w swojej, sztywno i ostrożnie, jak gdyby mógł upuścić i stłuc coś cennego.

Osadza dziewczynę w wielkim, białym domu, wybudowanym przez jego dziadka. Przed domem jest morze. To dla niej coś nowego. Dziewczyna codziennie spędza wiele czasu na przyglądaniu się morzu. Niekiedy schodzi na plażę i staje tam samotnie, patrząc na linię horyzontu.



Wiem, że to prawda, ta historia z patrzeniem na morze, bo kiedyś, wiele lat później, gdy byłem już dużym chłopakiem, matka mi powiedziała: „Gdy tutaj pierwszy raz przyjechałam, stawałam przy furtce i tylko patrzyłam na wodę. Patrzyłam tak godzinami, sama nie wiedząc dlaczego. Ale to przeszło. Przeszło na długo przed twoim urodzeniem, synku”.

Uczony Adwokat pojechał do Arkansas, a dziewczyna stała na schodkach kantyny i właśnie dlatego ja siedziałem teraz w aucie, w deszczu, pośród nocy.

Do hallu mego hotelu wszedłem tuż przed północą. Portier zobaczył, że wchodzę, dał mi znak i wręczył kartkę z numerem, pod który miałem zadzwonić.

– Zamęczali tu telefonistkę – powiedział. Nie przypomniałem sobie tego numeru.

– Mówili, żeby pan poprosił do aparatu niejaką pannę Burke – dodał portier.

Nie wstępowałem więc już na górę, ale od razu wszedłem do jednej z kabin telefonicznych w hallu.

– Hotel „Markheim” – odezwał się suchy głos, poprosiłem pannę Burke i zaraz usłyszałem głos Sadie:

– No, jak Boga kocham, nareszcie jesteś! Dzwoniłam do Burden’s Landing licha wie kiedy i powiedzieli, że już wyjechałeś. Coś ty robił? Wracałeś pieszo?

– Nie jestem Cukierek – odrzekłem.

– No, przyjeżdżaj tu. Apartament dziewięćset pięć. Zrobiło się piekło.

Odwiesiłem słuchawkę bardzo powoli, poszedłem do portiera i poprosiłem go, żeby dał moją walizkę boyowi, napiłem się mrożonej lemoniady z automatu w hallu, kupiłem u zaspanej dziewczyny w kiosku kilka paczek papierosów, otworzyłem jedną, zapaliłem i przystanąłem, zaciągając się głęboko i patrząc na pusty hali tak, jakbym nie miał

absolutnie nigdzie jechać.

Ale miałem gdzieś jechać. I pojechałem. I to szybko, jak już raz ruszyłem z miejsca.

Sadie siedziała przy telefonie w pierwszym pokoju apartamentu dziewięćset pięć, mając przed sobą popielniczkę pełną niedopałków oraz wieniec dymu przelewający się z wolna wokoło krótko uciętych, czarnych włosów.

– No? – powiedziała zza tej dymnej zasłony tonem przełożonej domu poprawczego dla dziewcząt, ale ja nic nie odrzekłem. Podszedłem prosto do niej, mijając Cukierka, który chrapał w fotelu, schwyciłem w garść te jej niesforne, irlandzkie włosy, żeby unieruchomić głowę, i cmoknąłem ją w czoło, zanim zdążyła mnie skląć.

Co zresztą zrobiła.

– Nie wiesz, dlaczego cię pocałowałem – rzekłem.

– Obojętne, byleby ci to nie weszło w zwyczaj.

– Nie było w tym nic osobistego – odparłem. – Po prostu dlatego, że nie nazywasz się Dumonde.

– A ty będziesz się nazywał śmieć, jeżeli zaraz tam nie wejdiesz – powiedziała i skinęła głową w stronę następnych drzwi.

– Może się podam do dymisji – odparłem żartem, a potem przez ułamek sekundy, z niespodziewanym błyskiem w głowie, podobnym do błysku lampy fotografa, pomyślałem, że może naprawdę tak zrobić.

Sadie już miała coś odpowiedzieć, gdy wtem zadzwonił telefon, a ona skoczyła doń, jakby go chciała zadusić gołymi rękami, i chwyciła za słuchawkę. Idąc do wewnętrznych drzwi, usłyszałem, jak mówiła:

– Więc go macie. Dobra, przywieźcie go tutaj... Do diabła z jego żoną. Powiedzcie mu, że będzie bardziej chory od niej, jeżeli nie przyjedzie... Tak, powiedzcie mu...

Zapukałem do drzwi, usłyszałem czyjś głos i wszedłem.

Zobaczyłem Szefa bez marynarki, rozwalonego w fotelu, ze stopami w skarpetkach opartymi na stojącym przed nim krześle, z przekrzywionym krawatem, oczami wyłażącymi z orbit i wskazującym palcem wyciągniętym przed siebie w powietrzu niczym biczysko batoga. A potem spostrzegłem, z czego by ów batog spędzał muchy, gdyby palec Szefa był biczyskiem: stał przed nim pan Byram B. White, kontroler rachunkowy stanu, a jego podłużna, koścista twarz koloru parafiny ociekała ciężkimi kroplami potu, oczy zaś uczepliły się mnie jak ostatniej nadziei.

Wyczułem, że przeszkadzam.

– O, przepraszam – powiedziałem i zacząłem się wycofywać.

– Zamknij drzwi i siadaj – polecił mi Szef, po czym jego głos bez żadnej przerwy podjął to, co mówił przed moim wejściem, a palec znów zaczął wygrażać: – ... i niech pan sobie dobrze zapamięta, że pan się nie ma bogacić. Taki facet jak pan, pięćdziesiąt lat, niedołączny, bez zębów, goły przez całe życie... gdyby Bóg miał zamiar zrobić pana bogatym, to już dawno by zrobił. Przypatrz się pan sobie, psiakrew! Żeby panu strzeliło do głowy, że pan masz być bogaty, to już jest czyste bluźnierstwo! Przyjrzyj się pan sobie. Nie mam racji? – i palec został wymierzony prosto w pana By rama B. White'a.

Ale pan White nie odpowiedział. Stał zgnębiony i patrzył na ten palec.

– Co, do cholery, kot panu język odgryzł? – zapytał Szef. – Nie możesz pan odpowiedzieć na grzeczne pytanie?

– Tak – wykrztusił pan White zbielałymi wargami, które się ledwo poruszyły.

– No to gadaj pan, nie mamroc. Powiedz pan: „Racja, to jest bluźnierstwo” – nalegał Szef z wycelowanym weń palcem.

Wargi pana White'a zbielały jeszcze bardziej, a głos stał się cichszy i mniej wyraźny, ale powiedział to. Co do słowa.

– No dobra, teraz lepiej – rzekł Szef. – Teraz pan wie, co pan ma

robić. Masz pan być ubogi i słuchać rozkazów. Nie dbam o czystość, którą sądząc po pańskim wyglądzie, zachowujesz pan chyba bez trudu, ale idzie mi o ubóstwo i posłuszeństwo i niech pan aby o tym nie zapomina. Zwłaszcza o tym drugim. Od czasu do czasu trafi się panu jakiś drobiazg na osłodę, ale tym zajmie się Duffy. Więcej pan nic nie rób na swoją rękę. Nie będzie żadnych jednoosobowych kokosów. Zrozumiano? Gadaj pan!

– Tak – powiedział pan White.

– Głośniej! Mów pan: „Zrozumiałem”. Powiedział to. Głośniej.

– Dobra – rzekł SzeF. – Zastopuję to oskarżenie przeciwko panu. Tylko nie wyobrażaj pan sobie, że to z miłości do pana. Po prostu dlatego, żeby tym gościom wybić z głowy, że mogą kogoś rąbnąć, kiedy chcą. Czy moje pobudki są jasne?

– Tak – powiedział pan White.

– W porządku. Teraz siadaj pan przy tym biurku – SzeF wskazał małe biureczko, na którym stała podstawa do piór i telefon. – Wyjmij pan z szuflady kartkę czystego papieru i weź pióro do ręki.

Zaczekał, aż pan White przesunął się jak zjawa przez pokój i usadowił przy biurku, robiąc się dziwnie malutki, niczym duszek gotowy wleźć do butelki, kuląc się, jak gdyby chciał przybrać pozycję embriona, czuć się mały, zagrożony i bezpieczny w ciemnościach. Ale SzeF mówił:

– Teraz pan pisz to, co powiem. – I zaczął dyktować: – „Szanowny panie gubernatorze... z uwagi na zły stan zdrowia... który utrudnia mi sumienne wypełnianie... – Tu SzeF przerwał i dodał: – Tylko aby pan pewno napisz pan to «sumienne»; chyba byś pan nie chciał tego opuścić. – Po czym podjął rzeczowym tonem: – ...moich obowiązków kontrolera... pragnę podać się do dymisji... w terminie możliwie jak najkrótszym od daty niniejszego pisma... gdy tylko pan uzna za możliwe mnie zwolnić”. – Obrzucił wzrokiem przygarbioną postać i dodał: – „Z poważaniem...”

Było cicho, pióro skrzypiało po papierze, potem przestało. Ale

podłużna, łyśa, wąska głowa pana White'a pozostała schylona tuż nad kartką, tak jakby miał krótki wzrok albo się modlił, albo też jakby popsuło mu się to coś w karku, co podtrzymuje prosto głowę.

Szef przypatrywał się tyłowi pochylonej głowy. Potem zapytał:

– Podpisał pan?

– Nie – odrzekł głos.

– No to podpisuj pan, do cholery! – A kiedy pióro znowu przestało skrzypieć po papierze: – Nie stawiaj pan żadnej daty. Sam to wypełnię, kiedy zechcę.

Głowa pana White'a nie podniosła się. Z mojego miejsca widziałem, że jego ręka wciąż trzyma obsadkę, a stalówka nadal dotyka papieru przy zakończeniu ostatniej litery nazwiska.

– Daj pan to – rzekł Szef.

Pan White wstał i obrócił się, a ja spojrzałem na jego wciąż pochyloną twarz, ciekaw, co też zobaczę. W oczach, którymi przesunął po mnie, nie było już błagania. Nie było w nich nic. Były tak odrętwiałe i pozbawione wyrazu, jak para szarych ostryg na muszelnkach.

Podał arkusik Szefowi, ten zaś odczytał go, złożył i rzucił na łóżko, obok którego siedział.

– Taaak – rzekł. – Wpiszę datę, kiedy będzie potrzeba. Jeżeli będzie potrzeba. Wszystko zależy od pana. Ale wie pan co, Byram, nie mam pojęcia, dlaczego zaraz na początku nie wziąłem od pana takiej nie datowanej dymisji. Mam ich już całą kupę. Tylko że ja pana źle oceniłem. Raz się panu przyjrzałem i powiedziałem sobie: „Psiakość, ten stary jest nieszkodliwy”. Wydało mi się, że pan, taki skopany, powinien wiedzieć, że Bóg nie zamierzał uczynić pana bogatym. Myślałem, że pan nigdy nie popróbuje żadnych numerów. Psiakrew, myślałem, że pan ma tyle inicjatywy co mokra ścierka rzucona na podłogę w łazience przytułku dla starych panien. Muszę przyznać, że się pomyliłem. Pięćdziesiąt lat i

przez cały ten czas czekał pan na swoją wielką szansę. Na to, żeby pański statek zawinął do portu. Oszczędzał pan resztkę sił na ten swój numerek w noc poślubną. Czekał pan na wielką szansę i to właśnie było to, i odtąd wszystko miało się zmienić. Ale – tu znowu pogroził palcem panu White’owi – ale pan się pomylił, Byram. To nie była ta pańska szansa. I nigdy jej nie będzie. Nie dla takich jak pan. A teraz idź pan sobie!

Pan White wyszedł. W jednej sekundzie był, a w następnej go nie było i zniknął prawie bez szmeru. Zostało tylko puste miejsce, które przed chwilą zajmowała pustka nosząca nazwisko Byram B. White.

– No – powiedziałem do Szefa. – Ale sobie użyłeś! – Cholera – odparł. – Czasem coś w czyichś oczach zmusza człowieka do tego. Ten gość chętnie by cudzą ślinę zlizywał, i to widać, i właśnie dlatego tak się postępuje.

– Aha – rzekłem. – Rzeczywiście wygląda na glistę.

– Dałem mu wszelkie szansę – ciągnął Szef ponuro. – Wszelkie szansę. Nie musiał powiedzieć tego, co mu kazałem. Nie musiał mnie słuchać. Mógł po prostu wyjść z pokoju i iść przed siebie. Mógł wstawić datę na tej dymisji i wręczyć mi ją. Mógł zrobić dziesięć rzeczy. Ale czy zrobił? Nie, psiakrew. Nie on. Tylko tu stał i mrugał prędko oczami jak pies, co ci się ociera o nogę, zanim go uderzysz, i jak Boga kocham, człowiek ma uczucie, że jeżeli tego nie robi, nie wypełni woli boskiej. I robi to, bo w ten sposób pomaga Byramowi postąpić zgodnie z jego naturą.

– Wiem, że to nie moja sprawa – powiedziałem – ale o co ta cała chryja?

– Nie czytałeś gazet?

– Nie. Byłem na urlopie.

– A Sadie ci nie powiedziała?

– Dopiero co przyjechałem – odrzekłem.

– No więc Byram wykombinował sobie śliczniutki plan, żeby się

wzbogacić. Zwąchał się z jednymi gośćmi od nieruchomości i załatwił im sprawę z Hamillem z urzędu podatkowego. Bardzo ładnie, tylko że oni chcieli wszystko dla siebie, ktoś tam się wściekł, że go nie uwzględnili, i wyśpiewał całą rzecz ludziom MacMurfee’ego z legislatury. I jeżeli dostanę tego kogoś w swoje ręce...

– Ale kogo?

– Tego, co wyśpiewał gościom MacMurfee’ego. Powinien był to załatwić z Duffym. Każdy wie, że Duffy jest od załatwiania skarg. No i teraz mamy tę historię z oskarżeniem.

– Kogo?

– Byrama.

– A co z Hamillem?

– Wyniósł się na Kubę. Wiesz, lepszy klimat. I sądząc z relacji, nie czekał długo. Duffy tam poszedł dziś rano, ale Hamill już zdążył na pociąg. I mamy teraz na głowie tę sprawę oskarżenia.

– Nie sędzę, żeby to zdołali przeprowadzić.

– Nawet nie próbują. Jak raz się pozwoli rozkręcić taką rzecz, to nie można przewidzieć, co się stanie. Teraz jest chwila, żeby ich usadzić. Już wysłałem ludzi, żeby pozbiali niezadowolonych i związkowców i sprowadzili ich do miasta. Sadie przez cały dzień sterczy przy telefonie i przyjmuje wiadomości. Niektóre ptaszki się pochowały, bo to już musiało się rozejść, ale ich wyłapią. Trzech ściągnęli dziś po południu i daliśmy im, co się należało. Ale bo też mieliśmy na nich wszystkich coś gotowego. Trzeba ci było widzieć minę Jeffa Hopkinsa, kiedy się przekonał, że wiem, jak jego papa sprzedaje wódę w tym swoim marnym drugstorze tam w Talmadge, a potem fałszuje recepty do sprawozdań. Albo minę Marttena, kiedy się dowiedział, że wiem, że bank w Okaloosie ma na jego domu hipotekę, której płatność przypada za jakieś pięć tygodni. Ano – poruszył z zadowoleniem palcami w skarpetkach. – Uspokoilem im nerwy. To stare

lekarstwo, ale zawsze działa uspokajająco.

– A co ja mam robić?

– Jedz jutro do Harmonville i zobacz, czy potrafisz wbić trochę rozumu do głowy Simowi Harmonowi.

– To wszystko?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Sadie wetknęła głowę przez drzwi i oznajmiła, że sprowadzono Witherspoona, który był przedstawicielem północnego krańca stanu.

– Wsadź go do tamtego pokoju – odparł Szef. – Niech skruszeje. – A potem, kiedy Sadie się wycofała, obrócił się do mnie i odpowiedział na moje pytanie: – Tak, wszystko; tylko jeszcze zanim pojedziesz, zbierz mi co tylko się da na Ala Coyle’a. Chłopcy próbują go dopaść, a ja chcę być przygotowany, kiedy go dostarczą.

– Okej – rzekłem i wstałem.

Spojrzał na mnie tak, jakby chciał coś powiedzieć. Przez sekundę wydawało mi się, że się do tego szykuje, i czekałem, stojąc przed moim krzesłem. Ale Sadie znowu wetknęła głowę do pokoju.

– Pan Miller chce się z tobą zobaczyć – powiedziała do Szefa tak, że to nie sprawiło wrażenia dobrej wiadomości.

– Daj go tu – rozkazał Szef, a ja wyczułem, że bez względu na to, co chciał mi powiedzieć przed chwilą, teraz zaprzątnęło go coś innego, a mianowicie Hugh Miller ze szkoły prawnej w Harvardzie, eskadra Lafayette’a, *Croix de Guerre*, czyste ręce, złote serce, prokurator generalny.

– Nie będzie zachwycony – powiedziałem.

– A nie – odrzekł. – Nie będzie.

Potem zaś w progu stanął ów wysoki, szczupły, nieco pochylony mężczyzna o ogorzałej twarzy, rozwichrzonych ciemnych włosach i



smutnych oczach pod czarnymi brwiami, z kluczykiem Phi Beta Kappa<sup>[2]</sup> na zmiętoszonym granatowym ubraniu. Stał przez sekundę, mrugając smutnymi oczami, jak gdyby nagle wyszedł z ciemności na światło albo trafił do niewłaściwego pokoju. Rzeczywiście wydawało się, że nie jest tym, co powinno wejść przez te drzwi.

Szef wstał i podreptał ku niemu w skarpetkach, wyciągając rękę i mówiąc:

– Sie masz, Hugh.

Hugh Miller uściśnął mu dłoń i wszedł do środka, a ja zacząłem się wycofywać z pokoju. Potem uchwyciłem spojrzenie Szefa, który szybkim ruchem głowy wskazał mi krzesło. Wobec tego również się przywitałem z Hugh Millerem i usiadłem znowu.

– Siadaj – powiedział Szef do Hugh Millera.

– Nie, dziękuję, Willie – odparł Miller swoim powolnym, uroczystym tonem. – Ale ty usiądź.

Szef opadł na fotel, znów złożył stopy na krześle i zapytał:

– Z czym przychodzisz?

– Chyba wiesz – odparł Hugh Miller.

– Chyba tak – powiedział Szef.

– Chcesz uratować skórę White'a, co?

– Guzik mnie obchodzi jego skóra – odrzekł Szef. – Chcę uratować coś innego.

– On jest winny.

– Jak cholera – przyznał wesoło Szef. – Jeśli kategorie winy i niewinności mogą mieć jakiś związek z czymś takim jak Byram B. White.

– Jest winny – powtórzył Hugh Miller.

– Mój Boże, ty mówisz tak, jakby Byram był człowiekiem! Przecież to

[2] Odznaka stowarzyszenia studenckiego tejże nazwy, jednego z najstarszych na uniwersytetach amerykańskich.

jest rzecz! Nie wytacza się sprawy maszynie do rachowania, jeżeli pęknie sprężyna i maszyna zrobi błąd. Reperuje się ją. No więc ja nareperowałem Byram a. Nareperowałem go tak, że w rocznicę tego dnia jego jeszcze nie narodzone prawnuki będą popuszczają w majtki, nie wiedząc dlaczego. O rany, to będzie prawdziwy wstrząs w genach. Psiakrew, Byram jest tylko czymś, czego się używa, a od tej pory na pewno będzie użyteczny.

– Bardzo to pięknie, Willie, ale wszystko sprowadza się do tego, że chcesz uratować skórę White’a.

– Szlag by trafił jego skórę! – rzekł Szeff. – Chcę uratować coś innego. Jeżeli tej bandzie MacMurfee’ego w legislaturze pozwoli się nabrać przekonania, że mogą przeprowadzać coś podobnego, to nie wiadomo, gdzie się zatrzymają. Myślisz, że im się podoba cokolwiek z tego, co się zrobiło? Podatek od kopalni? Podwyższenie opłat od gruntów stanowych? Podatek dochodowy? Plan budowy dróg? Ustawa o służbie zdrowia?

– Nie, nie podoba im się – przyznał Hugh Miller. – A raczej nie podoba się to tym ludziom, którzy stoją za MacMurfeem.

– A tobie się podoba?

– Owszem – odrzekł Hugh Miller. – Samo w sobie mi się podoba. Natomiast nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobały niektóre sprawy z tym związane.

– Hugh – powiedział Szeff i uśmiechnął się. – Z tobą jest ta bieda, żeś ty prawnik. Cholernie dobry prawnik.

– Ty też jesteś prawnikiem – rzekł Hugh.

– Nie – poprawił go Szeff. – Nie jestem prawnikiem. Znam się trochę na prawie. Właściwie nawet znana spory kawał prawa. I zarobiłem na prawie trochę pieniędzy. Ale prawnikiem nie jestem. Dlatego potrafię zrozumieć, czym jest prawo. Prawo jest jak pojedyncza kołdra na podwójnym łóżku, a pod nią trzy osoby w zimną noc. Nie starcza tej kołdry do przykrycia sprawy, żeby nie wiem jak naciągać i przyciągać, i zawsze ktoś będzie

narażony na zapalenie płuc. Psiakrew, prawo jest jak te spodenki, które kupiłeś zeszłego roku dla rosnącego chłopaka, tylko że teraz już jest ten rok i szwy pękają, a chłopak świeci łydkami. Prawo jest zawsze za krótkie i za ciasne dla rosnącej ludzkości. Jedyne wyjście to najpierw coś zrobić, a potem dopasować do tego prawo, ale i tak, zanim się je spisze, zrobisz coś zupełnie innego. Myślisz, że bodaj połowa tego, co zrobiłem, była jasno, wyraźnie i prosto przewidziana w konstytucji tego stanu?

– Sąd Najwyższy orzekł... – zaczął Hugh Miller.

– Aha, orzekł, boja go to tego zapędziłem, i widział, co trzeba zrobić. Wielu rzeczy nie było w konstytucji, ale teraz są, jak Boga Kocham. A jak się tam dostały? Po prostu dlatego, że ktoś je zrobił.

Krew poczęła napływać do twarzy Hugh Millera, potrząsnął głową leciutko, ledwo, ledwo, tak jak powolne zwierzę, gdy obok przelatuje mucha. Potem powiedział:

– Nigdzie w konstytucji nie jest powiedziane, że Byram B. White może bezkarnie popełnić przestępstwo.

– Hugh – zaczął z cicha Szef. – Czy ty nie rozumiesz, że Byram nie ma żadnego znaczenia? Przynajmniej w tej sytuacji? Tamtych idzie o to, żeby rozbić naszą administrację. Byram ich nie obchodzi, chyba tylko o tyle, że to ludzka rzecz wściekać się, jak ktoś dostaje coś, a my nic. Ważne dla nich jest tylko zlikwidowanie tego, co nasza administracja zrobiła. I teraz już pora ich usadzić. A jak się zacznie coś robić – usiadł prosto w fotelu, trzymając się rękami jego wypchanych boków i wyciągnął gwałtownie głowę do Hugh Millera – trzeba się posługiwać tym, co się ma. Trzeba się posługiwać takimi gośćmi jak Byram, jak Tiny Duffy i te szumowiny z legislatury. Nie ma zbiorów bez nawozu, a nawóz najczęściej śmierdzi. I jeżeli ci się zdaje, że możesz tu coś zmienić, to jesteś ciężko stuknięty.

Hugh Miller wyprostował się z lekka. Nie patrzył na Szefa, ale na ścianę za Szefem.

– Podaję się do dymisji jako prokurator generalny – powiedział. – Dostaniesz to na piśmie jutro rano, przez gońca.

– Długo z tym zwlekałeś – rzekł cicho Szeł. – Bardzo długo, Hugh. Dlaczego tak długo?

Hugh Miller nie odpowiedział, ale przeniósł wzrok ze ściany na twarz Szeła.

– Ja ci powiem, Hugh – ciągnął Szeł. – Siedziałeś piętnaście lat w swoim gabinecie i patrzyłeś, jak sukinsyny wygniatają fotele w tym stanie i palcem nie kiwną, jak bogaci się bogacą, a biedni ubożeją. Potem przyszedłem ja, wetknąłem ci w rękę tęgą pałę i szepnąłem do ucha: „Chciałbyś wziąć się do roboty i pomóc trochę?” I ty tak zrobiłeś. Miałeś wielką frajdę. Aż wióry leciały. Wsadziłeś za kratki dziewięciu drobnych kombinatorów. Aleś nigdy nie tknął tych, co stali za nimi. Prawo nie jest na to stworzone. Można zrobić tylko jedno: odebrać rządy tym zakulisowym gościom i więcej ich nie dopuścić do władzy. Obojętne, jakim sposobem. Ty to wiesz w głębi duszy. Chcesz, żeby twoje harwardzkie ręce pozostały czyste, ale w głębi duszy wiesz, że ci mówię prawdę, i wolisz, żeby ktoś inny usmolil sobie łapki. Wiesz, że jeżeli się wycofasz, będzie to znaczyło, że się wykręcasz. I dlatego – ciągnął jeszcze ciszej, pochylając się i wpatrując w Hugh Millera – dlatego tak długo z tym zwlekałeś. Z tym wycofaniem.

Hugh Miller wpatrywał się w niego przez pół minuty – w tę podniesioną, mięsistą twarz i twarde, wyłupiaste oczy. Miał poważny, skupiony wyraz twarzy, jak gdyby usiłował odczytać coś przy złym świetle albo w obcym języku, który znał niezbyt dobrze. W końcu powiedział:

– Ja już powziąłem decyzję.

– Wiem, że powziąłeś decyzję – odparł Szeł. – Wiem, że nie mógłbym ci tego wyperswadować, Hugh. – Wstał z fotela, podciągnął spodnie ruchem człowieka, który zaczyna zaokrąglać się w pasie, i podreptał

w skarpetkach do Hugh Millera. – Szkoda – powiedział. – Nam dwóm dobrze się razem pracowało. Twojemu mózgowi z moimi mięśniami.

Na twarzy Hugh Millera pojawił się jakby zaczątek uśmiechu.

– Bez urazy? – zapytał Szeff i wyciągnął rękę. Hugh Miller ją uściśnął.

– Jeżeli nie rzucisz picia, może kiedy wpadniesz do mnie na jednego – rzekł Szeff. – Nie będę gadał o polityce.

– Dobrze – odparł Hugh Miller i obrócił się do drzwi. Już do nich dochodził, kiedy Szeff zawołał:

– Hugh!

Hugh Miller zatrzymał się i obejrzał.

– Zostawiasz mnie samego jak palec – powiedział Szeff z półzartobliwą żałością – z tymi sukinsynami. Mnie i innych.

Hugh Miller uśmiechnął się sztywno, z zakłopotaniem, potrząsnął głową, rzekł: „Psiakrew, Willie...”, po czym umilkł, nie dopowiedziawszy tego, co zaczął, i oto harwardzka szkoła prawna, eskadra Lafayette’a, *Croix de Guerre*, czyste ręce i złote serce nie były już z nami.

Szeff usiadł w nogach łóżka, lewą kostkę założył na prawe kolano i skrobiąc się w zamyśleniu w lewą stopę, jak farmer, który wieczorem zdejmuje obuwie, wpatrzył się w zamknięte drzwi.

– Z tymi sukinsynami – powtórzył i wciąż wpatrując się w drzwi, pozwolił stopie zsunąć się z kolana i klapnąć na podłogę.

Wstałem znowu. Była to moja trzecia próba wydostania się stamtąd i powrotu do hotelu, żeby się trochę przespać. Szeff potrafił przesiadywać do rana noc po nocy, bez śladu zmęczenia, co było oczywiście piekielne dla jego współpracowników. Znowó skierowałem się do drzwi, ale Szeff rzucił na mnie spojrzenie i już wiedziałem, że coś będzie. Zatrzymałem się więc i czekałem na to, a tymczasem jego spojrzenie badało moją twarz, usiłowało wysondować szarą materię we wnętrzu mojej głowy niczym chirurgiczna peseta. Wreszcie zapytał:

– Uważasz, że powinienem rzucić White’a wilkom na pożarcie?

– Aleś się w porę wybrał z takim pytaniem! – odparłem.

– Uważasz, że powinienem?

– „Powiniennem” to zabawne słowo – odpowiedziałem. – Jeżeli idzie ci o to, żeby wygrać, to przyszłość pokaże. Jeżeli o to, żeby postąpić sprawiedliwie, to nikt ci na to nie potrafi odpowiedzieć.

– A ty co myślisz?

– Myślenie nie należy do moich obowiązków – odrzekłem – i radziłbym ci przestać się nad tym zastanawiać, bo przecież i tak doskonale wiesz, co zrobisz. Zrobisz to, co właśnie robisz.

– Lucy chce ode mnie odejść – oznajmił spokojnie, jak gdyby odpowiadał na coś, co powiedziałem.

– Niech mnie diabli! – zawołałem ze szczerym zdumieniem, bo miałem Lucy za ten wyrozumiały typ kobiety, na której łonie zawsze się w końcu wypłakuje skruszone łyzy. Na samym końcu. I wtedy wzrok mój powędrował ku zamkniętym drzwiom, za którymi siedziała przy telefonie Sadie Burke z czarnymi, smolistymi oczami w dziobatej twarzy i dymem papierosowym snującym się w tych rozwichrzonych, czarnych, krótko uciętych, irlandzkich włosach, niczym poranny opar w sosnowym zagajniku.

Zauważył to moje spojrzenie na drzwi.

– Nie – powiedział. – To nie to.

– No, według zwyczajnych kryteriów zupełnie by wystarczyło – rzekłem.

– Lucy nic nie wiedziała. O ile się orientuję.

– Jest kobietą – odparłem – a one umieją to wyniuchać.

– Nie o to jej idzie – rzekł. – Powiedziała, że odejdzie ode mnie, jeżeli będę krył Byrama White’a.

– Wygląda na to, że wszyscy chcą rządzić za ciebie.

– Cholera jasna! – zawołał, wstał z łóżka i zaczął chodzić po dywanie – cztery kroki w jedną stronę, obrót i z powrotem – a ja, widząc ten ruch i to ciężkie kołysanie głową, kiedy zawracał, przypomniałem sobie tamte noce, gdy słyszałem stąpanie w sąsiednim pokoju, w obskurnych hotelikach po całym stanie, za czasów, gdy Szeff był jeszcze Williem Starkiem, a Willie Stark był naiwniakiem, który szykował sobie gimnazjalne przemowy pełne faktów i cyfr i robił z siebie wariata.

I otóż teraz to zobaczyłem – ten długi, pełen napięcia krok, który wówczas rozlegał się za ścianą w pudełkowatym pokoiku hotelowym. Cóż, wyszedł już z takiego pokoiku. Wyszedł na szeroki świat.

– Cholera jasna! – powtórzył Szeff. – Oni nic a nic nie rozumieją, nie wiedzą, jak to jest, i nie można im wytłumaczyć.

Przeszedł jeszcze kilka razy tam i z powrotem, po czym powiedział:

– Nie wiedzą.

Znowu zawrócił, postąpił kilka kroków i przystanął, wyciągając do mnie szyję.

– Wiesz, co zrobię? Jak tylko stłamszę tę bandę?

– Nie – odrzekłem. – Nie wiem.

– Zbuduję najcholerniejszy, największy, najbardziej chromonikłowy, najbardziej śmierdzący eterem bezpłatny szpital i ośrodek zdrowia pod słońcem. O rany, mówię ci, każę tam wstawić do każdego pokoju klatkę z kanarkami umiejącymi śpiewać wielkie opery włoskie i nie będzie ani jednej pielęgniarki, która by nie wygrała konkursu piękności w Atlantic City, a każdy podsuwacz będzie z osiemnastokaratowego złota, z wmontowaną szwajcarską pozytywką, grającą do wyboru *Indyka* na *słomie* albo sekstet z *Łucji*.

– To będzie coś fajnego – powiedziałem.

– Ja to zrobię – rzekł. – Ty mi nie wierzysz, ale ja to zrobię.

– Wierzę ci co do słowa – odparłem.

Byłem śmiertelnie śpiący. Stałem tam, kołysząc się na piętach, i jak przez mgłę widziałem go, kiedy kroczył zamasyżycie, gwałtownie, kołysząc swą wielką głową z włosami opadającymi na oczy.

Uważałem za cud, że Lucy Stark już dawniej nie spakowała manatków. Nie miałem pojęcia, jak mogła nie wiedzieć o czymś, co trudno by nazwać tajemnicą. Nie zauważyłem, kiedy to się zaczęło. Ale kiedy się dowiedziałem, było już w pełnym rozwoju. W sześć czy osiem miesięcy po wyborze na gubernatora Szefer pojechał do Chicago w pewnej drobnej, prywatnej sprawie i zabrał mnie z sobą. Tam jeden gość nazwiskiem Josh Conklin pokazał nam życie nocne, a w sam raz nadawał się do tego – wysoki, tęgi facet o przedwcześnie posiwiałych włosach, rumianej twarzy i czarnych, krzaczastych brwiach, we fraku opiętym jak gorset, mający frymuśne mieszkanie, zupełnie jak z filmu, i grubą na cal książkę z adresami. Nie był tym prawdziwym klasycznym typem, ale z pewnością dobrą imitacją, co często bywa lepsze, bo ten prawdziwy czasem spuszcza z tonu, natomiast imitacja nie może sobie na to pozwolić i przez cały czas musi być o włos prawdziwsza od pierwowzoru i nie oglądać się na wydatki. Zabrał nas do nocnego lokalu, gdzie rozłożyli na podłodze taflę najprawdziwszego lodu, po czym stadko „nordyckich nimf” w srebrnych cieniutkich przepaskach i srebrnych biustonoszach wyleciało na prawdziwych łyżwach i zaczęło się kręcić, płasać i skakać pod muzykę w świetle domowej aurory borealis. Łyżwy błyskały, migały białe kolana, białe ramiona przeżyły się wężowo w niebieskim świetle, drobne, bliźniacze, twarдомиękkie kolumny mięśni i ciała wzdłuż kręgosłupów nagich pleców kołysały się pięknym, zgodnym ruchem, to, co sterczało pod biustonoszami, wibrowało w takt muzyki, a długie, rozpuszczone, srebrzyste, niewinne, szwedzkie włosy rozwiewały się, rozplływały i



falowały w powietrzu.

To wzięło chłopaka z Mason City, który nigdy nie widział lodu, a tylko co najwyżej osad w końskim korycie. „O Jezu!”, westchnął z nieopisanym zachwytem chłopak z Mason City. A potem jeszcze: „O Jezu!”, a grdyka mu mocno chodziła, jakby mu utknął w gardle tęgi kęs suchego kukurydzianego placka.

Numer się skończył i Josh Conklin zapytał przejmie:

- Jak się panu podobało, gubernatorze?
- Umieją się ślizgać, nie ma co – odpowiedział gubernator.

A potem jedna z tych szwedzkowłosych nimf wyszła z garderoby już bez łyżew, w srebrzystym płaszczu zarzuconym na nagie ramiona, i podeszła do naszego stolika. Była to znajoma Josha Conklina, taka znajoma, którą bardzo przyjemnie mieć, choćby nawet jej włosy nie pochodziły ze Szwecji, ale ze sklepu. Miała w zespole przyjaciółkę, więc ściągnęła tę przyjaciółkę, ta zaś szybko zaprzyjaźniła się z gubernatorem, który na resztę pobytu w Chicago właściwie zniknął z mojego życia poza tymi chwilami, kiedy co wieczór odbywała się ślizgawka. Wtedy siadywał, przypatrując się temu kołowaniu, i przełykał ów kęs suchego placka kukurydzianego tkwiący mu w gardle. A potem, kiedy kończył się ostatni numer, mówił mi: „Dobranoc, Jack” i ruszał w noc z przyjaciółką znajomej Josha Conklina.

Nie mam pojęcia, czy Lucy dowiedziała się kiedykolwiek o ślizgawce, ale Sadie owszem. Bo Sadie miała kanały informacyjne niedostępne dla typu „rodzinnego”. Kiedy Szef wrócił ze mną, a „nordyckie nimfy” stały się już tylko lubym wspomnieniem, miękkim, słodkim punkcikiem w sercu niczym obtłuczone miejsce na melonie, to Sadie zrobiła mu siedmiorakie irlandzkie piekło. Od razu tego rana, kiedyśmy przybyli do miasta, usłyszałem pomruki w gabinecie Szefa, gdy stałem w zewnętrznym pokoju, gadając z dziewczyną, która była recepcjonistką, i dowiadując się

o najświeższe plotki. Doleciał mnie ten harmider tam w środku, hałas podobny do trzaśnięcia książką o blat biurka, a potem głos – głos Sadie.

– Co tam się dzieje? – spytałem dziewczyny.

– Aha, to pan niech mi lepiej powie, co działo się w Chicago – odrzekła.

– O! – wykrzyknąłem w mojej naiwności. – Więc to o to idzie?

– O! – zawołała, przedrzeźniając mnie. – O to, i jeszcze jak!

Ruszyłem do drzwi mojej komórki, która była przy tym zewnętrznym pokoju. Ledwie wszedłem do środka, zostawiwszy drzwi otwarte, z gabinetu Szefa wypadła Sadie mniej więcej tak, jak musiały wyskakiwać te wielkie drapieżne koty z klatek na drugim końcu areny, rzucając się na chrześcijańskich męczenników. Włosy jej były rozwichrzone, jak gdyby żyły odrębnym życiem, a twarz kredowobiała, z dziobami po ospie nadającymi jej wygląd podziurkowanego gipsu – coś niby gipsowa maska Meduzy, której jakiś chłopak użył jako tarczy do strzelania ze śrutówki. Jednakże w środku tej gipsowej maski znajdowało się coś, co nie miało absolutnie nic wspólnego z gipsem: jej oczy, będące bliźniaczą katastrofą, czarną eksplozją, pożogą. Cała się gotowała tak, że o mało nie wysadziło nitów, a kiedy puła przez pokój, nieledwie słyszałeś, jak pękają szwy jej sukni.

A potem zobaczyła mnie i nie zwalniając kroku, skręciła prosto do mego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– To sukinsyn! – powiedziała, dysząc i wpatrując się we mnie złowrogo.

– Do mnie nie możesz mieć pretensji – odrzekłem.

– Sukinsyn! – powtórzyła z tym samym spojrzeniem. – Zabiję go, jak pragnę Boga, zabiję!

– Przywiązujesz do czegoś wysoką wagę – stwierdziłem.

– Ja go wykończę, przegnam go z tego stanu, przysięgam Bogu! Sukinsyn jeden, żeby mnie wykiwać po tym wszystkim, co dla niego

zrobiłam! Słuchaj – powiedziała, łapiąc swymi mocnymi rękami pełne garście klap mojej marynarki i potrząsając mną. (Ręce miała duże, silne i twarde, jak ręce mężczyzny.). – Słuchaj... – powtórzyła.

– Nie musisz mnie dusić – zaprotestowałem z irytacją. – I wcale nie chcę słuchać. Już i tak wiem za dużo.

I bynajmniej nie żartowałem. Nie miałem ochoty słuchać. Świat pełen był rzeczy, których nie chciałem wiedzieć.

– Słuchaj – potrząsnęła mną – kto zrobił tego sukinsyna tym, czym jest dzisiaj? Kto go zrobił gubernatorem? Kto się nim zajął, kiedy był największym durniem sezonu, i wy kierował go na dygnitarza? Kto mu dyktował wszystkie zagrania tak, żeby nie mógł przegrać?

– Zdaje się chcesz, abym powiedział, że ty.

– Bo to jest prawda – odparła. – A on ze mną prowadził podwójną grę, ten...

– Nie – odrzekłem, usiłując oswobodzić się z tego uchwytu za klapy. – Podwójną grę prowadził z Lucy, musisz więc zastosować jakąś inną arytmetykę do tego, co zrobił tobie. Ale nie wiem, czy w takim wypadku mnoży się, czy dzieli.

– Lucy! – wykrzyknęła ustami, które drgały i wykrzywiały się. – Lucy! To idiotka. Gdyby jej słuchał, siedziałby teraz w Mason City i karmił wieprze i on o tym dobrze wie. Wie, co by dla niego zrobiła. Gdyby jej słuchał. Miała swoją szansę i... – Urwała, bo po prostu zabrakło jej tchu, ale widać było, że słowa wciąż płoną w jej głowie, kiedy chwyciła ustami powietrze.

– Jak widzę, uważasz, że Lucy jest na wylocie – powiedziałem. – Lucy!... – zaczęła i urwała, ale jej ton mówił wszystko, co było do powiedzenia o Lucy, wiejskiej dziewczynie, która chodziła do baptystowskiego zaściankowego college'u, gdzie wierzono w Boga, uczyła małych, rozczochranych smarkaczy w szkole okręgu Mason,

wyszła za Williego Starka i dała mu syna, i zmarnowała swoją szansę. A potem Sadie, nagle uspokojona, dorzuciła tonem ponurej rzeczowości: – Tylko mu dać czas, to ją puści kantem, sukinyń jeden.

– Ty to powinnaś wiedzieć – odrzekłem po prostu dlatego, że nie mogłem się oprzeć logice takiego wniosku, ale jeszcze nie zdążyłem tego dokończyć, gdy mnie trzepnęła. Na to się człowiek naraża, kiedy się miesza w czyjeś sprawy, prywatne czy publiczne.

– Źle się wybrałaś – powiedziałem, dotykając policzka i cofając się o krok od tego żaru, bo zdawało się, że buchnie płomieniem. – Ja nie jestem bohaterem tej sztuki.

W następnej chwili daleka była od buchnięcia płomieniem. Stała przede mną jakaś ciężko odrętwiała w swojej workowatej sukni. Zauważyłem, że w wewnętrznych kącikach jej oczu zbierają się łzy, zbierają bardzo powoli, nabrzmiwająco, potem staczają się w dół z precyzją maleńkiej mechanicznej zabawki, po obu stronach z lekka zakłęsłego nosa, aż wreszcie obie jednocześnie dotarły do krechy ciemnej pomadki do ust i tam się rozlały. Widziałem, jak wysunął się język i delikatnie dotknął górnej wargi, rzekłbyś, aby posmakować tę słoność.

Przez cały czas patrzyła prosto na mnie, jak gdyby patrząc dość usilnie, mogła dojrzeć odpowiedź na coś.

Potem wyminęła mnie, podeszła do ściany, na której wisiało lustro, przejrzała się, przybliżając twarz do tafli i obracając się powoli z boku na bok. Nie widziałem odbicia w lustrze, tylko tył jej głowy.

– Jaka ona była? – spytała beznamiętnie, z oddalenia.

– Kto? – odpowiedziałem, i to pytanie było zupełnie szczere.

– Ta w Chicago.

– A, taka kurewka – odrzekłem. – Miała sztuczne szwedzkie włosy na głowie, łyżwy na nogach i właściwie nic między jednym a drugim.

– Ładna była? – zapytał ten daleki, beznamiętny głos.

– Psiakrew, nawet bym jej nie poznał, gdybym ją jutro spotkał na ulicy.

– Ładna była? – pytał głos.

– A bo ja wiem – zirytowałem się znowu. – Trudno było zwracać uwagę na jej twarz, kiedy się ją widziało w tym stroju, w jakim zarabiała na życie.

– Ładna była?

– Daj sobie z tym spokój, na miłość boską – odparłem. Obróciła się i podeszła do mnie, podniósłszy z obu stron dłonie mniej więcej na wysokość brody, z palcami złożonymi, lekko zgiętymi, nie dotykając twarzy. Podeszła do mnie blisko i przystanęła.

– Dać sobie z tym spokój? – powtórzyła, jakby dopiero teraz usłyszała moje słowa.

A potem podniosła dłonie nieco wyżej i dotknęła z obu stron tej białej, dziurkowanej maski gipsowej, ledwie muskając jej powierzchnię, jak gdyby była spuchnięta i bolesna.

– Patrz! – rozkazała. Uniosła twarz, żeby mi ją pokazać. – Patrz! – powtórzyła wściekle i wpiła mocno palce w ciało. Bo to było ciało, wcale nie gips. – Tak, patrz! – powiedziała. – Leżeliśmy chorzy w tej zapomnianej od Boga norze... oboje, mój brat i ja... byliśmy dzieciakami... i mieliśmy ospę... mój ojciec był pijakiem i nicponiem... jak tylko wygrzebał skądś dziesiątaka, szedł do knajpy, pił i płakał... płakał i opowiadał, jakie chore są te dzieciaczki, te słodkie aniołeczki... o, to był parszywy, zapijaczony, serdeczny, bijący dzieci mazgaj irlandzki... i mój brat umarł... a powinien był żyć... jemu by to nie przeszkadzało... jako mężczyźnie... ale ja, ja nie umarłam... nie umarłam i wyzdrowiałam... a ojciec przyglądał mi się, łapał mnie i zaczynał obcałowywać po całej twarzy, po tych dziurach, chlipał i beczał, i śmierdział whisky... albo też patrzył na mnie, mówił: „O rany”, i bił mnie po twarzy... ale to było obojętne... obojętne, bo to

nie ja umarłam... nie umarłam i...

Wszystko to mówiła bez tchu, monotonnie, głosem, który nagle się urwał. Wyciągnęła ręce, schwyciła materiał mojej marynarki i przytuliła mi do piersi schyloną głowę. Stałem, obejmując ją prawym ramieniem, poklepując i gładząc po plecach, które bezdźwięcznie wstrząsały się od czegoś, co musiało być łkaniem.

A potem, nie podnosząc głowy, zaczęła:

– Tak to będzie... tak było zawsze i będzie dalej... tak samo...

Myślałem, że mówi o swojej twarzy, ale nie o niej mówiła, bo teraz ciągnęła:

– Tak będzie zawsze... będą całować i chlipać... a potem trzasną w twarz... wszystko jedno, co by się dla nich zrobiło, choćby się ich wy kierowało na to, czym są... wyciągnęło z rynsztoka i zrobiło czymś... Dadzą w twarz przy pierwszej sposobności... bo miałas ospę... Zobaczą jakąś gołą dziwkę na łyżwach i dadzą ci w twarz... błotem ci w twarz rzucą...

Dalej ją poklepywałem i gładziłem, bo nie mogłem zrobić nic innego.

– ...tak to będzie... zawsze jakaś dziwka na łyżwach... jakaś...

– Słuchaj – powiedziałem, wciąż ją gładząc. – Przesadzasz. Co cię obchodzi, co on robi?

Szarpnęła głowę do góry.

– Co ty tam wiesz, co ty wiesz, psiakrew?! – zapytała, wpiła palce w moją marynarkę i potrząsnęła mną.

– Jeżeli to cię tak boli – ciągnąłem – to go puść kantem.

– Puść go! Puść go! Najpierw go zabiję, przysięgam! – powiedziała, wpatrując się we mnie zaczerwienionymi oczami. – Puścić go? Słuchaj – i potrząsnęła mną znowu – jeżeli polecisz za jakąś dziwką, to wróci. Musi wrócić, słyszysz? Musi. Bo nie da sobie rady beze mnie. I on o tym wie. Może dać sobie radę bez tych dziwek, ale beze mnie nie. Bez Sadie Burke.

I on to dobrze wie.

Uniosła twarz wysoko, nieomal napierając na mnie, jak gdyby pokazywała mi coś, z czego obejrzenia powinienem być bardzo dumny.

– Zawsze wróci – powtórzyła ponuro.

I miała rację. Wracał zawsze. Świat był pełen dziwek na łyżwach, choćby nawet niektóre łyżew nie miały. Jedne były słomianymi wdówkami, inne stukwały na maszynie do pisania, jeszcze inne odbierały w szatniach kapelusze, zdarzały się i żony członków izby ustawodawczej – ale wracał zawsze. Jednakże niekoniecznie bywał witany z otwartymi ramionami i czułym uśmiechem. Czasami przyjmowało go zimne milczenie, podobne do nocy podbiegunowej. Czasem szłał mogący poruszyć wszystkie sejsmografy na kontynencie. Niekiedy jeden dobrze dobrany epitet. Na przykład wtedy, gdyśmy się z Szefem wybrali w małą podróż na północ stanu. Tego popołudnia, kiedyśmy wrócili, weszliśmy do Kapitolu, a tam, w okazałym hallu, pod wielką kopułą z brązu, stała Sadie. Podeszliśmy do niej. Zaczekała, aż znajdziemy się blisko, po czym bez wszelkich wstępów, całkiem zwyczajnie, powiedziała:

– Ty draniu!

– Ojej, Sadie – odrzekł Szef, ze swoim uśmiechem kapryśnego, przystojnego chłopaka. – Nawet nie czekasz, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Ty po prostu nie potrafisz zachować się przyzwoicie, draniu jeden – powiedziała najzwyczajniej i odeszła.

– Ojej – zwrócił się do mnie żałośnie Szef. – Przecież ja nic nie zrobiłem podczas tej podróży, a patrz, co się dzieje.

Co wiedziała Lucy Stark? Nie mam pojęcia. O ile można było się zorientować, nie wiedziała nic. Nawet gdy oświadczyła Szefowi, że pakuje manatki, powiedziała, iż to dlatego, że nie rzucił Byrama B. White'a wilkom na pożarcie.

Ale nie spakowała manatków nawet wtedy.

Nie spakowała, bo była zanadto szlachetna, zanadto wspaniałomyślna czy zanadto jakaś tam, żeby mu zadać cios, gdy wydawało jej się, że już leży. Albo że go rozłoży. Nie miała zamiaru dodać ani odrobiny brzemienia do tego, co mocno przypominało złożoną na szalach paczkę kłęski, z krwią przesiąkającą przez papier. Albowiem oskarżenie Byrama B. White'a stało się pomniejszym problemem. Wyciągnięto teraz główną sprawę: oskarżenie przeciwko Williemu Starkowi.

Nie wiem, czy tamci tak to zaplanowali, czy nie. Czy też zostali do tego zmuszeni jeszcze przed zaplanowaniem, kiedy doszli do wniosku, że SzeF się rozkręcił i że to ich jedyna szansa przejścia z powrotem do ofensywy. Czy też wyobrazili sobie, że Pan Bóg wydał im wroga w ręce, że mogą go wykończyć, oskarżając o próbę przekupienia, sterroryzowania i zaszantażowania legislatury, nie mówiąc o innych drobnych zaniedbaniach i wykroczeniach. Możliwe, że zmobilizowali jakichś szeregowych bohaterów, gotowych zaświadczyć, że wywierano na nich presję. Trzeba było na to bohatera (albo też solidnej zachęty), bo tylko półgłówek mógł w świetle rzeczowych danych uwierzyć, że SzeF chce kogoś zastraszyć. Najwyraźniej jednak uważali, że znaleźli czy kupili sobie kilku bohaterów.

Tak czy owak popróbowali i przez krótki czas życie było jedną zawieruchą. Poważnie wątpię, czy SzeF w ogóle sypiał przez dwa tygodnie. To znaczy, czy sypiał w łóżku. Niewątpliwie drzemał czasem na tylnym siedzeniu samochodu, pędząc nocą po szosach – albo w fotelu, pomiędzy wyjściem jednego rozmówcy a wejściem drugiego. Uganiał się po stanie z szybkością osiemdziesięciu mil na godzinę, z wyciem klaksonu, z miasta do miasta, od jednego skrzyżowania szos do drugiego, wygłaszał pięć, sześć, siedem lub osiem przemówień dziennie. Wychodził na estradę niemal ospale, niespiesznie, jak gdyby miał przed sobą Bóg wie ile czasu i ten czas należał do niego. Zaczynał powoli:



– Ludzie, będzie w mieście malutka awantura. Między mną a tą całą legislaturą pełną hienowatych, kundlowatych, niemrawych synów śmierdzącej wilczycy. Rozumiecie, o co mi idzie? Ano, tak długo się przyglądałem im i im podobnym, że postanowiłem przewietrzyć się trochę i zobaczyć, jak wyglądają ludzkie twarze, zanim całkiem zapomnę. I otóż wy wszyscy wyglądacie po ludzku. Mniej albo więcej. I macie rozum. Mimo całego tego gadania tych z legislatury, co biorą za to gadanie pięć dolarów dziennie z waszych pieniędzy podatkowych. Gadają, żeście nie mieli odrobiny oleju w głowie ani rozumu, kiedyście swoimi głosami wybierali mnie na gubernatora tego stanu. Możecie i nie mieli rozumu. Mnie nie pytajcie, nie jestem bezstronny. Ale – teraz już nie mówił leniwie, z lekko przechyloną głową w ten swobodny, taksujący sposób, spoglądając spod nieco opuszczonych powiek, bo raptem podnosił masywną głowę i wytrzeszczał oczy zaczerwienione z bezsenności – ale ja wara zadam jedno pytanie. I chcę usłyszeć odpowiedź. Chcę odpowiedzi przed Bogiem, przed straszliwym obliczem Najwyższego. Odpowiedzcie mi: czyja was zawiodłem? Zawiodłem was? – A potem, pochyliwszy się gwałtownie, podnosił prawą dłoń, podczas gdy to pytanie jeszcze dźwięczało w powietrzu, i wołał: – Czekaście! Nie mówcie nic, dopóki nie zajrzycie w głąb waszych serc, żeby zobaczyć prawdę. Bo prawda jest tam właśnie. Nie w książkach. Nie w księgach prawniczych. Ani na żadnym świstku papieru. W waszych sercach. – Następnie przerywał na dłuższą chwilę i z wolna wodził wzrokiem po tłumie twarzy. A potem: – Odpowiedzcie mi!

Czekałem na ryk. Nie sposób się było temu oprzeć. Wiedziałem, że się rozlegnie, ale czekałem nań i za każdym razem to czekanie wydawało mi się nieznośnie długie. Przypominało nurkowanie w głębokiej wodzie. Zaczynasz wypływać ku światłu, ale wiesz, że jeszcze nie możesz odetchnąć – jeszcze nie teraz – i w owej nieznośnej beczasowości

świadom jesteś jedynie tętnienia krwi pod czaszką. A potem wybuchał ryk i czułem się jak wtedy, gdy zanurkowawszy głęboko, wypryskujesz z wody, powietrze wrywa ci się z płuc, a wszystko wiruje w świetle. Nie ma nic równego rykowi tłumu, gdy wzbiera nagle, jednocześnie, z czegoś, co jest w każdym człowieku z tłumu, a jednak nie jest nim samym. Ryk nabrzmiwał, wznosił się i opadał, nabrzmiwał znowu, a Szeł stał z prawą ręką wzniesioną ku niebu i z wytrzeszczonymi, czerwonymi oczyma. A kiedy ryk ucichł, Szeł mówił ze wzniesioną ręką:

– Zajrzałem w wasze twarze!

A oni wrzeszczeli.

I mówił:

– O, Boże, zobaczyłem znak! A oni wrzeszczeli znowu.

A on mówił:

– Ujrzałem rosę na runie i suchą ziemię! I znowu ryk.

I potem:

– Zobaczyłem krew na księżycu! Całe wiadra krwi! I wiem, czyja będzie ta krew. – Pochylał się, wyciągał gwałtownie prawą rękę, jak gdyby chciał coś uchwycić w powietrzu przed sobą. – Dawajcie mi topór rzeźnicki!

Zawsze tak było albo podobnie. Gnaliśmy po całym stanie z wyciem i beczaniem klaksonu. Cukierek muskał na autostradzie ciężarówkę z benzyną i ślina pryskała mu z ust, gdy wargi poruszały się bezgłośnie, a słowo w nim wzbierało, zanim je zdołał z siebie wyrzucić: „D-d-d-drań!” Szeł stawał na czymś, z ręką podniesioną ku niebu (mógł padać deszcz, mogło świecić słońce, mogła być noc i czerwone światło skwierczących palników naftowych rozstawionych na ganku wiejskiego sklepu), i tłum ryczał.

A ja miałem głowę tak ciężką z niewyspania, że wydawała mi się wielka jak niebo, kiedy zaś szedłem, miałem wrażenie, że stąпам po

chmurach waty.

Tak to bywało.

Ale i tak: Szeff w cadillacu stojącym z wygaszonymi światłami przed jakimś domem w bocznej ulicy, dobrze po pomocy. Albo też na wsi, przed furtką. Pochylał się do kogoś – Cukierka lub jednego z kumpli Cukierka, Harrisa bądź Ala Perkinsa – i mówił cicho i szybko:

– Każ mu wyjść. Wiem, że jest w domu. Powiedz, żeby lepiej wyszedł i pogadał ze mną. Gdyby nie chciał, powiedz mu, że jesteś znajomym Elli Lou. To go przekona.

Albo:

– Spytaj go, czy kiedy słyszał o Slicku Wilsonie.

Albo coś w tym rodzaju. A potem stawał przed nim mężczyzna w bluzie od pidżamy wetkniętej w spodnie, dygoczący, z twarzą bielejącą w ciemnościach.

I jeszcze to: Szeff siedzący w pokoju pełnym dymu, na podłodze dzbanek kawy albo butelka, a on mówi:

– Wprowadźcie drania. Dajcie go tu.

Kiedy zaś wprowadzono drania, Szeff powoli obrzucał go wzrokiem od stóp do głów, po czym oświadczał:

– To jest pańska ostatnia szansa. – Mówił to wolno i niedbale. Następnie pochylał się nagle ku temu człowiekowi i dodawał już nie powoli i niedbale: – Szlag by pana trafił, czy pan wie, co ja panu mogę zrobić?

I mógł to zrobić. Bo miał podstawy.

Po południu czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku ulice prowadzące do Kapitolu zaroily się ludźmi, a nie byli to tacy ludzie, jakich zazwyczaj widywało się na tych ulicach. W każdym razie w

takiej liczbie. W wieczornym wydaniu „Kronika” przytaczała pogłoski o marszu na Kapitol, ale twierdziła, że sprawiedliwość nie da się zastraszyć. Przed południem piątego kwietnia ukazało się jeszcze o wiele więcej wełnianych czapek, czerwonych karków, kumoszek i krepdeszynowych spódnic ze śladami rudawego pyłu na nierównym dolnym obrąbku oraz cała masa strojów i twarzy, które nie były wieśniacze ani farmerskie, ale małomiasteczkowe i robotnicze.

Tłum posuwał się do Kapitolu bez śpiewów i wrzasków i rozlał się po wielkim trawniku, gdzie stały posągi.

Ludzie ze statywami i aparatami fotograficznymi uwijali się na skraju cizby, rozstawiając swój sprzęt na schodach Kapitolu, wdrapując się na cokoły strojnych w surduty posągów, ażeby porobić zdjęcia. Tu i ówdzie po brzegach tłumu widać było nad nim granatową kurtkę konnego policjanta, a na pustej połaci trawnika między tłumem a Kapitołem stali inni policjanci oraz kilku ze służby drogowej, wyglądających bardzo schludnie i dziarsko w swych jasnozielonych mundurach, czarnych butach i czarnych pasach koalicyjnych z dyndającymi kaburami rewolwerów.

Tłum począł skandować:

– Wil-lie, Wil-lie, Wil-lie! My chce-my Wil-lie-go! Patrzyłem na to z okna drugiego piętra. Zastanawiałem się, czy te głosy dolatują do Izby Reprezentantów, gdzie właśnie przekrzykiwano się, spierano i perorowano. Tam na trawniku, pod jasnym wiosennym słońcem, wszystko było bardzo proste. Żadnych sporów. Bardzo proste. „My chcemy Williego – Williego – Williego!” Długim rytmem, z chrapliwym pogłosem, jak fale przyboju.

A potem zobaczyłem wielki czarny samochód, który zajechał z wolna przed Kapitol i stanął. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna, pomachał ręką policjantom i podszedł do podium dla orkiestry na skraju trawnika. Był to mężczyzna otyły, Tiny Duffy.

Zaczął przemawiać do tłumu. Nie mogłem dosłyszeć jego słów,

ale wiedziałem, co mówi. Mówił, że Willie Stark prosi, aby spokojnie rozeszli się do miasta, zaczekali do zmierzchu i o godzinie ósmej zebrali się znowu na tym trawniku przed Kapitołem, bo wtedy będzie miał im coś do powiedzenia.

Wiedziałem, co im powie. Wiedziałem, iż stanie przed nimi i powie, że wciąż jest gubernatorem tego stanu.

Wiedziałem to, bo poprzedniego dnia wczesnym wieczorem, gdzieś około wpół do ósmej, zawołał mnie i wręczył dużą brązową kopertę.

– Lowdan mieszka w hotelu „Haskell” – powiedział. – Wiem, że w tej chwili jest u siebie. Jedź tam i pokaż mu to, ale nie dawaj do ręki, i powiedz, żeby wziął na wstrzymanie. Zresztą wszystko jedno, czy to zrobi, czy nie, bo i tak już się rozmyślili. (Lowdan był przewodorem grupy MacMurfee’ego w Izbie).

Pojechałem do hotelu „Haskell” i poszedłem do pokoju pana Lowdana, nie zapowiadając się przez portiera. Zapukałem do drzwi i kiedy usłyszałem jego głos, powiedziałem: „List”. Otworzył mi wysoki, jowialny mężczyzna o miłym obejściu, w kwiecistym szlafroku. Z początku mnie nie poznał, zobaczywszy tylko dużą brązową kopertę, a nad nią jakąś twarz. Jednakże cofnąłem kopertę w chwili, kiedy wyciągnął po nią rękę, i przestąpiłem próg. Wtedy dopiero musiał spojrzeć na twarz.

– A, dzień dobry, panie Burden – powiedział. – Słyszałem, że pan ostatnio miał dużo roboty?

– Tak się wałęsam – odrzekłem. – Po prostu się wałęsam. I właśnie przechodziłem tędy, pomyślałem więc, że wstąpię i pokażę panu coś, co mi dał jeden gość. – Wyjąłem z koperty podłużny arkusz i pokazałem mu go. – Nie, niech pan nie dotyka: parzy, parzy! – powiedziałem.

Nie dotknął papieru, ale przyjrzał mu się uważnie. Widziałem, że grdyka mu drgnęła kilka razy, po czym wyjął z ust cygaro (dobre cygaro, co najmniej ćwierć dolara, sądząc po zapachu) i powiedział:

– To fałszywka.

– Podpisy są podobno prawdziwe – odparłem – ale jeżeli pan nie jest pewny, może pan zadzwonić do któregoś z tych swoich gości, których nazwiska pan tu widzi, i zapytać go wprost.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a grdyka znowu zaczęła mu chodzić, teraz mocniej, ale przyjmował to po żołniersku. Albo może jeszcze myślał, że to fałszywka. Potem rzekł:

– Podejmuję pańskie wyzwanie – i podszedł do telefonu. Czekaając na połączenie, podniósł wzrok i powiedział: – Proszę, niech pan siada.

– Nie, dziękuję – odparłem, bo nie uważałem tego spotkania za towarzyskie.

Po chwili dostał połączenie.

– Monty – powiedział w telefon. – Mam tu takie oświadczenie, wedle którego podpisani pod nim uważają wniesienie oskarżenia za nieuzasadnione i będą głosowali przeciwko niemu na przekór wszelkiej presji. Tak tu jest napisane: „wszelkiej presji”. Twoje nazwisko jest na liście. Co ty na to?

Nastąpiła dłuższa pauza, po czym pan Lowdan rzekł: – Na miłość boską, przestańże mamrotać i bełkotać i mów wyraźnie!

Znów pauza, a potem pan Lowdan ryknął:

– Ty...! Ty...!

Jednakże słów mu zabrakło, więc trzasnął słuchawką o widelki i obrócił ku mnie swoją szeroką, przed chwilą jeszcze jowialną twarz. Chwytał powietrze ustami, ale nie wydawał żadnego dźwięku.

– Cóż – powiedziałem. – Chce pan spróbować jeszcze jednego?  
– To szantaż – powiedział bardzo spokojnie, ale ochryple, jak gdyby mu nie starczało tchu. A potem, odzyskawszy go trochę: – To szantaż. Wymuszenie. Przekupstwo, tak, przekupstwo. Mówię panu, wyście zaszantażowali i przekupili tych ludzi, a ja...

– Ja nie wiem, dlaczego podpisali to oświadczenie – odparłem – ale jeżeliby pańskie zarzuty miały być słuszne, to morał wydaje mi się następujący: MacMurfee nie powinien wybierać do legislatury ludzi, których można przekupić, albo takich, co popełnili coś, czym można ich szantażować.

– MacMurfee... – zaczął, po czym zapadł w głębokie milczenie, a jego ukwiecony tułów pochylał się w zamyśleniu nad aparatem telefonicznym. I on też miał zapewne swoje kłopoty z MacMurfeem.

– To już jest drobny szczegół – powiedziałem – ale prawdopodobnie byłoby mniej niezręcznie dla pana, a zwłaszcza dla sygnatariuszy tego dokumentu, gdyby dało się cofnąć wniesienie oskarżenia, zanim dojdzie do głosowania. Mógłby pan spróbować to załatwić jutro. W ten sposób miałyby pan czas na odpowiednie kroki i na obmyślenie możliwie zręcznego wyjścia z sytuacji. Oczywiście dla gubernatora byłoby z politycznego punktu widzenia o wiele bardziej celowe dopuścić do głosowania, ale chce panu ułatwić sprawę, zwłaszcza że w związku z tym jest w mieście spore poruszenie.

O ile mogłem zaobserwować, nie zwracał na mnie uwagi. Podeszedłem do drzwi, otworzyłem je i obejrzałem się.

– Ostatecznie gubernatorowi jest obojętne, jak pan to załatwi – powiedziałem.

Następnie zamknąłem drzwi i odszedłem korytarzem.

To było wieczorem czwartego kwietnia. Kiedy nazajutrz wyglądałem z okna na masy ludzi wypełniające ulice i szeroką połąć trawnika za posągami przed Kapitołem, nieomal żałowałem, że wiem to, co wiem. Gdybym nie wiedział, mógłbym tam stać w pełni podniecony możliwościami chwili. Jednakże znałem z góry wynik gry. Było to coś w rodzaju próby generalnej po zakończeniu przedstawienia. Stałem tam i czułem się jak Bóg Wszechmocny zadumany nad Historią.

Co zresztą musi być nudnym zajęciem dla Boga Wszechmocnego, który wie z góry, co z tego wyniknie. Który, mówiąc ściśle, wiedział to, zanim jeszcze wiedział, że w ogóle będzie jakaś Historia. Co znowu jest kompletnym nonsensem, ponieważ zakłada element Czasu, a Bóg jest poza Czasem, albowiem Bóg to Pełnia Istnienia i w Nim Koniec jest Początkiem. Co z kolei można wyczytać w broszurkach pisanych i rozdawanych na rogach ulic przez pewnego otyłego, niechlujnego, obsypanego łupieżem starszego pana w metalowych okularach, który był niegdyś Uczonym Adwokatem i ożenił się z dziewczyną o złotych warkoczach i czystych, zgłodniałych policzkach tam, w Arkansas. Wtedy jednakże myślałem, że te broszurki są zwariowane. Uważałem, że Bóg nie może być Pełnią Istnienia. Bo życie jest Ruchem.

(Używam tu dużych liter podobnie jak starszy pan w swoich broszurkach. Siadywałem naprzeciw niego w pokoju nad torami kolejowymi, przy stole, na którego jednym końcu stały brudne, nie pozmywane naczynia, na drugim zaś piętrzyły się papierzyska i książki; on mówił, a ja słyszałem w jego głosie te duże litery. Powiedział: „Bóg jest Pełnią Istnienia”. A ja odpowiedziałem: „Błędne rozumowanie. Bo Życie jest Ruchem. Bo...”

Bo Życie jest Ruchem ku Wiedzy. Jeżeli Bóg jest Doskonałą Wiedzą, w takim razie jest Doskonałym Nie-Ruchem, czyli Nie-Życiem, czyli Śmiercią. Dlatego jeżeli jest taki Bóg Pełni Istnienia, powinniśmy czcić Śmierć-Ojca. To właśnie powiedziałem starszemu panu, który spojrział na mnie sponad papierów i brudnych talerzy, a jego zaczerwienione oczy zamrugały nad okularami w metalowej oprawie, zsuniętymi na koniec nosa. Potrząsnął głową i kilka drobnych łupieżu opadło z rzadkich białych włosów okalających jego czaszkę, w której słowa formowały się pod wpływem elektrycznych drgań w uzwojonym, gąbczastym, nabiegłym krwią mroku. Powiedział wtedy: „Jam jest zmartwychwstanie i życie”. A



ja odrzekłem: „To błędne rozumowanie”.

Bo Życie jest płomykiem pełzającym po sznurze – czy może po lonicie wodzącym do baryłki prochu, którą nazywamy Bogiem? – a tym sznurem jest coś, czego nie wiemy, nasza Niewiedza, natomiast jego spopieloną częścią, która zachowuje kształt sznura, dopóki nie nadleci podmuch wiatru, jest Historia, Wiedza człowiecza; ta jednak jest martwa i kiedy ogień strawi cały sznur, Wiedza człowiecza dorówna bożej i wówczas nie będzie już płomienia, który jest Życiem. Albo jeżeli ów sznurek wiedzie do baryłki prochu, to nastąpi przeraźliwy błysk ognia i nawet ów spopielony kształt sznurka zostanie doszczętnie zdmuchnięty. Tak powiedziałem starszemu panu.

Ale on odpowiedział: „Ty myślisz kategoriami Skończoności”. A ja odrzekłem: „Nie myślę w ogóle, po prostu rysuję obraz”. On na to zawołał: „Ha!”, tak samo jak to pamiętałem z dawnych czasów, kiedy grał w szachy z sędzią Irwinem w dużym pokoju białego domu, wychodzącym na morze. Dodałem: „Narysuję ci jeszcze jeden obraz. Człowieka próbującego namalować zachód słońca. Kolory i kształty wciąż się zmieniają, nim zdąży zanurzyć pędzel w farbie. Nadajmy tytuł obrazowi, który próbuje namalować: Wiedza. A więc jeżeli przedmiot, na który człowiek patrzy, zmienia się ustawicznie, tak że Wiedza o nim jest ciągle nieprawdziwa i z tej przyczyny staje się Niewiedzą, to jest możliwy Wieczny Ruch. I Wieczne Życie. Dlatego możemy wierzyć w Wieczne Życie, tylko jeżeli odrzucimy Boga, który jest Doskonałą Wiedzą”.

Starszy pan odpowiedział: „Będę się modlił za twoją duszę”).).

Jednakże choć nie wierzyłem w owego Boga starszego pana, wówczas, stojąc rano w oknie Kapitolu i spoglądając na tłum, czułem się jak Bóg, bo posiadałem wiedzę o tym, co ma się stać. Czułem się jak Bóg zadumany nad Historią, bo widziałem przed sobą mały kawałek Historii. Tam, na trawniku, stały na piedestałach brązowe posągi w surdutach i z prawymi

dłońmi wsuniętymi w zanadrze, na serce – w wojskowych mundurach, z dłońmi na rękojeściach szpad, a nawet jeden w kozłowej skórze, z prawą ręką ściskającą lufę opartej o ziemię, długiej strzelby. Oni już byli Historią, trawa wokoło ich piedestałów była krótko przystrzyżona, a kwiaty posadzone w gwiazdy, koła i półksiężyce. Dalej zaś, za posągami, stali ludzie, którzy jeszcze nie byli Historią. Niezupełnie. Mnie jednak wydawali się Historią, bo znałem koniec wydarzenia, którego częstkę stanowili. Albo przynajmniej sądziłem, że go znam.

Wiedziałem też, za co uznają ten tłum dziennikarze, gdy tylko dowiedzą się zakończenia. Uznają ten tłum za przyczynę. „Haniebny dowód tchórzostwa legislatury... pozwolili się zastraszyć... pozałowania godny brak kierownictwa...” Patrzyłeś na tłum, słyszałeś w jego krzyku ów pogłos chrapliwy jak przybój i myślałeś, że ten tłum istotnie może być przyczyną wydarzenia. Chociaż ktoś mógł powiedzieć, że to Willie Stark je spowodował, korumpując i szantażując legislaturę. Ale znowu z kolei można by na to odrzec, że Willie Stark jedynie dał legislaturze sposobność postąpienia zgodnie z jej naturą i że naprawdę odpowiedzialnym był MacMurfee, który popierał wybór tych ludzi, chcąc się posłużyć dla własnych celów ich bojaźliwością i chciwością. Jednakże na to można by znowu odrzec, że odpowiedzialność ponosi bądź co bądź ten tłum – pośrednio o tyle, że pozwolił MacMurfee’emu wybrać takich ludzi, a bezpośrednio o tyle, że na przekór MacMurfee’emu wybrał Williego Starka. Ale dlaczego wybrali Williego Starka? Z uwagi na układ sił, który uczynił ich tym, czym byli, czy też dlatego, że Willie Stark umiał pochyłać się ku nim z wytrzeszczonymi oczyma i prawą ręką podniesioną ku niebu? Jedno było pewne: odgłos tego przeciągłego krzyku, wznoszącego się chrapliwie i opadającego, nie miał być przyczyną niczego, niczego w ogóle. Stałem w oknie Kapitolu i pieściłem w sobie tę wiedzę jak jakąś cenną, drażliwą tajemnicę, i nie myślałem o niczym.

Patrzyłem, jak otyły mężczyzna wysiada z czarnej limuzyny i wchodzi na podium dla orkiestry. Widziałem, jak tłum się przelewa, skupia, rozcieńcza i rozprasza. Spojrzałem poza samotnych teraz i bezrobotnych policjantów, poza posągi – w surdutach, mundurach i skórkach kozłowych – na wielki trawnik, pusty i jaskrawy w wiosennym słońcu. Wydmuchnąłem ostatni dym z papierosa, pstryknąłem niedopałek przez okno i popatrzyłem za nim, gdy wirując, opadał na kamienne schody daleko w dole.

Na owych schodach, o ósmej tego wieczora, miał stanąć Willie Stark, w powodzi świateł, drobny u szczytu ogromnych stopni, na tle zwalistego masywu gmachu.

Owego wieczora ludzie cisnęli się aż do samych schodów, wypełniając cały cień poza ostro wykreśloną przestrzenią światła. (Aparaturę oświetleniową zamontowano na cokołach dwóch posągów, jednego w kozłowej skórze, drugiego w surducie.). Nawoływali i skandowali: „Willie! Wil-lie! Wil-lie!”, napierając na kordon policji u stóp schodów. A potem, po chwili, w wysokich drzwiach Kapitolu ukazał się on. Kiedy tam stał, mrugając w świetle, skandowane słowa zamilkły, nastąpił moment ciszy, a potem był już tylko ryk. Wydawało się, że upłynęła długa chwila, zanim Willie podniósł rękę, by go uciszyć. Wtedy ryk zaczął zamierać, powoli, pod naciskiem jego opadającej dłoni.

Stałem w tłumie z Adamem i Anną Stanton i patrzyłem, jak wychodzi na stopnie Kapitolu. Kiedy już się skończyło, kiedy powiedział to, co miał do powiedzenia tłumowi, i zawrócił do wnętrza gmachu, pozostawiając za sobą nowy, niepowstrzymany ryk głosów, powiedziałem Annie i Adamowi „dobranoc” i poszedłem do Szefa.

Pojechaliśmy razem do jego pałacu. Kiedy wsiadłem do samochodu, nie odezwał się ani słowem. Cukierek przeciskał się bocznymi ulicami; za sobą słyszeliśmy wciąż jeszcze ryk i okrzyki, i przeciągłe beczenie klaksonów samochodowych. Potem Cukierek wyrwał się na spokojną

małą uliczkę, gdzie domy były cofnięte od chodnika, a w nich paliły się światła i w oświetlonych pokojach siedzieli ludzie, nad nami zaś spletały się pączkujące gałęzie drzew. Na rogach, przy latarniach, można już było rozeznaczyć na gałęziach odcień pierwszej zieleni.

Cukierek zajechał przed tylne wejście do pałacu. Szeff wysiadł i wszedł do środka. Ruszyłem za nim. Minął sień, w której nie spotkaliśmy nikogo, a potem wszedł do wielkiego hallu. Pomaszerował prosto; pod żyrandolami i zwierciadłami, obok schodów prowadzących na piętro, zajrzał do salonu, znowu zawrócił przez hali, by zerknąć do małego saloniku, wreszcie jeszcze do biblioteki. Chodziłem za nim, a potem przestałem. Zatrzymałem się w środku wielkiego hallu i czekałem. Nie powiedział, że mnie potrzebuje, ale nie powiedział też, że nie. Ścisłe mówiąc, nic nie powiedział. Ani słowa.

Kiedy znowu zawrócił z biblioteki do hallu, wyszedł z jadalni murzyński boy w białej kurtce.

– Widziałeś panią Stark? – zapytał Szeff. – Ta-jest.

– Gdzie, psiakrew? – warknął Szeff. – Co ty myślisz, że się pytam o swoje zdrowie?

– Nie, pan, ja nic nie myślę, ja...

– Gdzie?! – huknął Szeff, aż brzęknęły żyrandole.

Po pierwszym paraliżu wargi zaczęły się poruszać w czarnej twarzy. Z początku bez żadnego efektu. Potem dało się rozróżnić dźwięk.

– Na górę... poszła pani na górę... pewnie już w łóżku...

Szeff wbiegł na schody.

Wrócił prawie natychmiast, wyminął mnie bez słowa i wszedł z powrotem do biblioteki. Powlokłem się za nim. Rzucił się na wielką skórzaną kanapę, przeniósł stopy z podłogi na nią i powiedział:

– Zamknij te cholerne drzwi.

Zamknąłem drzwi, a on oparł się o poduszki pod kątem mniej więcej

trzydziestu stopni i ponuro przyjrzał się swoim knykciom.

– Uważam, że mogłaby dziś na mnie poczekać – rzekł w końcu, wciąż oglądając knykcie. Potem spojrzął na mnie. – Położyła się do łóżka i zamknęła drzwi na klucz. Powiedziała, że ma ból głowy. Idę na górę, a tam siedzi Tom w tym pokoju naprzeciwko i odrabia lekcje. Zanim położyłem rękę na klamce jej drzwi, wychodzi i powiada: „Mama nie chce, żeby jej przeszkadzać”. Jak gdybym był chłopcem na posyłki. Mówię mu: „Nie będę jej przeszkadzał. Opowiem tylko, jak było”. Spojrzął na mnie i mówi: „Boli ją głowa i nie chce, żeby jej przeszkadzać”. – Zawahał się, znowu spojrzął na swoje knykcie, potem na mnie i dokończył z nutą usprawiedliwienia w głosie: – A ja tylko chciałem jej opowiedzieć, jak to dzisiaj wypadło.

– Chciała, żebyś rzucił Byrama wilkom na pożarcie – powiedziałem.  
– Czyżby chciała też, żebyś rzucił i siebie samego?

– Nie wiem, czego chce, psiakrew – odparł. – Nie wiem, czego chcą one wszystkie. Mężczyzna nigdy nie wie. Ale jedno wiadomo: że gdyby ktokolwiek spróbował tak poprowadzić sprawy, jak one na ogół by chciały, to skończyłoby się na tym, że sypiałyby na gołej ziemi. A ciekawe, jakby jej się to podobało.

– Myślę, że Lucy by to zniosła – odrzekłem.

– Lucy... – powtórzył z miną nieco zdziwioną, tak jakbym wprowadził nowy temat do rozmowy. Wtedy uprzytomniłem sobie, że imię Lucy w ogóle dotąd nie padło. Jasne, mówił o Lucy Stark, wiedział o tym i ja także wiedziałem. Ale coś się zmieniło, gdy imię „Lucy” zostało wymówione zamiast tego „ona”. Było to tak, jak gdyby weszła do pokoju i spojrzała na nas.

– Lucy... – powtórzył. A potem: – No tak, Lucy. Ona by to zniosła. Lucy mogłaby spać na gołej ziemi i jeść fasolę, ale to by w niczym nie zmieniło świata. A czy Lucy potrafi to zrozumieć? Nie, Lucy nie

potrafi. – Teraz najwyraźniej rozkoszował się wymawianiem tego imienia, mówieniem: „Lucy” zamiast „ona”, jak gdyby wymawiając to imię, mogąc je wymówić, dowiódł czegoś o czymś, o niej czy też o sobie samym. Powiedział: – Lucy mogłaby spać na gołej ziemi. I jeżeli postawi na swoim, tak właśnie wy kieruje Toma. Doprowadzi do tego, że sześćcioletnie dzieciaki będą w niego waliły z proc i nawet się nie pofatygują, żeby uciekać. On jest porządny, krzepki chłopak, dobrze gra w futbol, założę się, że wejdzie do drużyny, jak będzie w college’u... ale ona go wykończy. Zrobi z niego lalusia. Niech tylko powiem słowo do chłopaka, zaraz jej twarz lodowacieje. Dzwoniłem tu dziś wieczorem, żeby Tom przyjechał obejrzeć te tłumy. Chciałem przysłać po niego Cukierka, bo sam nie miałem czasu wstąpić do domu. I co? Puściła go? Skądże znowu. Powiedziała, że musi zostać w domu i uczyć się. Uczyć! – powtórzył, a potem: – Nie chciała, żeby tam był, nic więcej. Że niby ja i ten tłum.

– Spokojnie – powiedziałem. – Wszystkie kobiety tak się odnoszą do swoich dzieci. A zresztą ty sam zostałeś wielką figurą dzięki nauce.

– On jest bystry, dostatecznie bystry, nie będąc lalusem – odparł. – Ma dobre stopnie w szkole i, jak Boga kocham, lepiej, żeby je miał! Jasne, ja chcę, żeby się uczył. I niech się uczy, ale nie rozumiem tego...

W hallu rozległ się hałas, jakieś głosy, a potem pukanie do drzwi.

– Zobacz, kto to – powiedział Szefer.

Otworzyłem drzwi i do pokoju wtargnęły znajome twarze, nieco pokraśniałe, z Tinym Duffym na czele. Otoczyli Szefera, sapali, przepychali się, chichotali.

– Aleśmy ich załatwili!... Jak cholera!... Nie ma co, usadziliśmy ich!... Teraz długo poczekaają do następnego razu!

A Szefer leżał na poduszkach, pod kątem trzydziestu stopni, z nogami na kanapie, jego oczy przeskakiwały z twarzy na twarz, patrząc spod

półprzymkniętych powiek, i miało się takie wrażenie, jakby podglądał coś przez dziurkę od klucza. Nie odzywał się ani słowem.

– Szampan – mówił jeden z przybyłych. – Prawdziwy szampan! Cała skrzynka, uczciwy jak złoto. Francuski, prosto z Francji. Już jest w kuchni. Sambo go mrozi. Szefie, oblewanie!

Szef nic nie mówił.

– Oblewamy, robimy oblewanie, a pan nie, Szefie?

– Duffy – odezwał się Szef niegłośnie. – Jeżeli nie jesteś zanadto pijany, to pewnie widzisz, że nie życzę tu sobie tego całego wygłupiania. Zabierz swoją hałastrę na drugą stronę domu i nie płacz mi się pod nogami. – Przerwał i w ciszy jego oczy znowu przesunęły się po twarzach i wróciły do Duffy'ego, któremu powiedział: – Jak sądzisz, uchwyciłeś moją myśl?

Tiny Duffy uchwycił jego myśl. Ale inni uchwycili ją także i jak mi się wydało, zauważyłem wśród członków zgromadzenia lekkie współzawodnictwo o to, kto wymknie się pierwszy.

Szef przez kilka minut spoglądał na piękne płyciny zamkniętych drzwi. Nagle zapytał:

– Wiesz, co powiedział Lincoln?

– A co?

– Że dom przeciwko sobie rozdzielony nie może się ostać. No więc się kochana mylił.

– Tak?

– Tak – odparł Szef. – Bo ten rząd składa się na poły z niewolników i na poły z drani, a jakoś stoi.

– Którzy są którymi? – spytałem.

– Niewolnicy są w legislaturze, a dranie tutaj – odrzekł. I dodał: – Tylko że czasem jedni pokrywają się częściowo z drugimi.

Lucy Stark nie opuściła Szefa po załatwieniu historii z oskarżeniem. Ani nawet po następnych wyborach, kiedy Szefer rozpoczął swoją drugą kadencję w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym. (W naszym stanie gubernator może objąć następstwo po sobie samym i Szefer to zrobił, z rozmachem. Jeszcze nie było takich wyników głosowania.). Przepuszczam, że Lucy pozostała ze względu na Toma. Kiedy wreszcie odeszła, odbyło się to bez hałasu. Słabe zdrowie. Wyjechała na dłuższy czas na Florydę. Po powrocie siedziała u siostry, pod miastem, na małej farmie, gdzie była hodowla drobiu z wylęgarnią. Tom spędzał tam z nią sporo czasu, ale myślę, że wtedy już rozumiała, że przestał być maminsynkiem. Wówczas był to już krzepki chłop, pewny siebie, szybki w nogach, urodzony futbolista, i odkrył, że w butelkach można dostawać jeszcze coś poza pasteryzowanym mlekiem oraz że w przybliżeniu połowa rodzaju ludzkiego należy do płci interesująco odmiennej od jego własnej. Lucy prawdopodobnie wyobrażała sobie, że może się przyczynić do utrzymania go w korbach, toteż nie doszło do całkowitego zerwania z Williem. Od czasu do czasu, choć nie za często, pokazywała się z mężem publicznie. Na przykład podczas tej wyprawy do Mason City – wtedy, gdy razem z Szefem odwiedziliśmy o północy sędziego Irwina – Lucy była z nami. Działo się to w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym, a wówczas Lucy mieszkała na farmie siostry już od blisko roku.

Szefer także jeździł czasem na tę farmę dla zachowania pozorów. Dwa czy trzy razy gazety – te rządowe – opublikowały fotografie Szefa stojącego z żoną i synem przed zagrodą dla kur albo wylęgarnią. Te kury nic nie szkodziły. Stwarzały miłą, domową atmosferę. Budziły zaufanie.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wtedy, gdyśmy obaj z Szefem odwiedzili w środku nocy sędziego Irwina i kiedy wóz puł po szosie z powrotem do Mason City, w ciemnościach między czarnymi polami, Szef powiedział do mnie:

– Zawsze coś jest.

A ja odpowiedziałem:

– Może nie na sędziego. A on rzekł:

– Człowiek poczęty jest w grzechu, a zrodzon w nieprawości, i przechodzi od odoru pieluch do smrodu całunu. Zawsze coś jest.

I kazał mi to wygrzebać, wykopać – tego zdechłego kota z kępkami sierści jeszcze przywartymi do napiętej, wzdętej, szarej skóry. Było to odpowiednie dla mnie zajęcie, bo jak wspomniałem, studiowałem kiedyś historię. Badaczowi historii jest obojętne, co wygrzebie z tego kopca popiołów, tego śmietniska, tego ziemskiego stosu odpadków, jakim jest ludzka przeszłość. Obojętne mu, czy to będzie zdechły kocur, czy diament Koh-i-noor. Było to więc odpowiednie dla mnie zadanie, taka wycieczka w przeszłość.

Miała ona być moją drugą wycieczką w przeszłość, ciekawszą i bardziej sensacyjną od pierwszej, a także uwieńczoną o wiele większym powodzeniem. W istocie ta druga wycieczka w przeszłość miała być całkowicie udana. Natomiast pierwsza udana nie była. Nie była udana, ponieważ w jej toku próbowałem wykryć prawdę, nie fakty. A potem, gdy się okazało, że prawdy nie sposób wykryć, względnie gdy po wykryciu nie mogłem jej zrozumieć, ciężko mi było żyć z tym zimnookim wyrzutem faktów. Wyszedłem więc wtedy z pewnego pokoju, pokoju, w którym

fakty zamieszkiwały w dużym pudle, pełnym kartoników o wymiarach pięć na trzy cale, i kroczyłem przed siebie, dopóki nie dotarłem do mego następnego zadania z dziedziny historycznych badań, które można by nazwać Sprawą Szlachetnego Sędziego.

Jednakże muszę tu opowiedzieć o tamtej pierwszej wycieczce w uroki przeszłości. Nie dlatego, żeby owa pierwsza wycieczka miała coś bezpośrednio wspólnego z dziejami Williego Starka, ale ponieważ ma bardzo dużo wspólnego z dziejami Jacka Burdena, a dzieje Williego Starka i dzieje Jacka Burdena są w pewnym sensie jedną historią.

Dawno temu Jack Burden był absolwentem piszącym pracę doktorską z historii Ameryki na uniwersytecie swojego ojczystego stanu. Tenże Jack Burden (którego prawnym, biologicznym i może nawet metafizycznym kontynuatorem jest obecny Jack Burden, czyli ja) zajmował niechlujne mieszkanie z dwoma innymi absolwentami – jednym pracowitym, głupim, pechowym i alkoholikiem, a drugim leniwym, inteligentnym, szczęściarzem i alkoholikiem. Przynajmniej oddawali się oni alkoholizmowi przez pewien czas po pierwszym każdego miesiąca, kiedy już otrzymali marne pieniądze wypłacane im przez uniwersytet za ich marną pracę asystentów wykładowców. Pilność i pech jednego równoważyły lenistwo i szczęście drugiego, toteż obaj byli siebie wari i pili, co tylko mogli dostać i kiedy tylko dostali. Pili, ponieważ w gruncie rzeczy nie darzyli najmniejszym zainteresowaniem swojej pracy i nie mieli najmniejszych nadziei na przyszłość. Nie dopuszczali nawet myśli o ukończeniu studiów, bo to byłoby równoznaczne z porzuceniem uniwersytetu (czyli porzuceniem owych popijaw po pierwszym, wyrzekaniu na „pracę” i „pomysły” w zadymionych pokojach, dziewczyn, które zataczały się lekko i chichotały niepowściągliwie na ciemnych schodach wiodących do mieszkania) po to, aby udać się do jakiejś normalnej szkoły u spieczonego słońcem skrzyżowania dróg albo do college’u, gdzie dużo

jest religijności, a mało funduszków, i tam stanąć oko w oko z surową rzeczywistością harówki, stopniowego pleśnienia i wścibskich oczu oraz powolnego rozwiewania się tego zielonego pasemka marzeń, które, niby roślina na oknie w pokoju chorego, wykwitąło z butelki. Tylko że nie woda była w tej butelce. Było w niej coś, co wyglądało jak woda, pachniało jak nafta i miało smak karbolu: przepalana zbożowa whisky.

Jack Burden mieszkał razem z nimi, w owym niechlujnym mieszkaniu, pośród nie pozmywanych statków w zlewie i na stole, odoru zatęchłego dymu tytoniowego, wśród brudnych koszul i kalesonów zrzuconych na kupę po kątach. Właściwie nawet rozkoszował się tym niechlujstwem, możliwością ciśnięcia resztek grzanki z masłem na podłogę, gdzie leżały nietknięte, dopóki czyjś obcas nie wgniółł ich przypadkowo w dywan koloru błota – oraz widokiem tłustego karalucha pełzającego po splekany linoleum w łazience, gdy on sam siedział w gorącej kąpieli. Raz przyprowadził tam na herbatę swoją matkę, ona zaś usiadła na brzeżku wypchanego fotela, trzymając w ręku popękana filiżankę, i rozmawiała z delikatnym, odmierzonym wdziękiem, malującym się na twarzy utrzymywanej w formie dzięki wielkiemu wysiłkowi woli. Widziała wtedy karalucha, który wylazł z drzwi kuchni. Widziała, jak jeden z kolegów Jacka Burdena rozgniółł mrówkę na wewnętrznej ścianie cukiernicy, po czym strzepnął z palca szczątki. Paznokiec owego palca też nie był zbyt czysty. Mimo to zastygła twarz matki wciąż emanowała swym wdziękiem. To trzeba było jej przyznać.

Jednakże później, gdy szli ulicą, zapytała:

– Dlaczego tak żyjesz?

– Pewnie do tego się urodziłem – odparł Jack Burden.

– Z tymi ludźmi... – ciągnęła.

– Oni są na poziomie – odrzekł i zastanowił się, czy rzeczywiście są i czy on sam też jest.

Matka przez minutę nic nie mówiła, tylko jej obcasy stuknęły o chodnik, ostro i wyraźnie. Szła ze zgrabnie wyprostowanymi ramionami, ze swą doskonale niewinną, błękitnooką twarzą o zgłodniałych policzkach, lekko uniesioną ku pulsującemu, przedwieczornemu, kwietniowemu światłu, niby jakiś kosztowny prezent, na który świat powinien spoglądać z radością.

Idąc obok Jacka, powiedziała w zamyśleniu:

– Ten z ciemnymi włosami... gdyby się trochę doczyścił... byłby dosyć przystojny.

– Tak właśnie uważa kupa innych kobiet – odrzekł Jack Burden i nagle odczuł dławiącą nienawiść do tego ciemnowłosego, tego, co rozgniół mrówkę w cukiernicy, co miał brudne paznokcie. Ale musiał mówić dalej, coś w nim nakazywało mu mówić dalej: – A jakże, i niejednej wcale nie potrzeba, żeby się doczyścił. Biorą go takim, jaki jest. To wielki kochanek naszego lokalu. To on powygniatał sprężyny na tej naszej kanapie.

– Nie bądź wulgarny – powiedziała, ponieważ zdecydowanie nie lubiła tego, co uchodzi za wulgarność w rozmowie.

– Kiedy to prawda – odparł.

Nic nie odpowiedziała, a jej obcasy dalej stuknęły ostro. Wreszcie rzekła:

– Gdyby wyrzucił to okropne ubranie... i sprawił sobie coś porządnego...

– Aha – odrzekł Jack Burden. – Z tych swoich siedemdziesięciu pięciu dolarów miesięcznie.

Spojrzała na niego, na jego ubranie.

– Twoje też jest dosyć okropne – powiedziała.

– Czyżby? – zapytał Jack Burden.

– Prześlę ci pieniądze na jakiś przyzwoity garnitur – rzekła. W kilka dni potem przyszedł czek z listem, w którym prosiła go, żeby sobie sprawił

„kilka porządnych ubrań z dodatkami”. Czek był wystawiony na dwieście pięćdziesiąt dolarów. Jack nie kupił sobie nawet krawata. Natomiast on i obaj jego współlokatorzy urządzili wspaniałą ochłaj, który trwał pięć dni i w którego wyniku ten pracowity i pechowy stracił posadę, a leniwy i szczęściarz nawiązał zbyt bliskie stosunki towarzyskie i pomimo swojego szczęścia nabawił się pewnej towarzyskiej choroby. Natomiast Jackowi Burdenowi nic się nie przydarzyło, bo nigdy nic się nie przydarzało Jackowi Burdenowi, który był nienaruszalny.

I Jack Burden dalej mieszkał w niechlujnym mieszkaniu z owymi dwoma absolwentami, bo ten pechowy i pracowity pozostał tam nawet po wyrzuceniu go z posady. Po prostu przestał cokolwiek płacić, ale mieszkał dalej. Pożyczał pieniądze na papierosy. Ponuro zjadał żywność, którą tamci dwaj przynosili i gotowali. Wylegiwał się w ciągu dnia, bo już nie miał powodu być pracowitym – nigdy więcej. Kiedyś w nocy Jack Burden obudził się i wydało mu się, że słyszy szloch w saloniku, w którym ten pechowy i pracowity sypiał na opuszczanym łóżku, przymocowanym do ściany. A potem pewnego dnia ten pracowity i pechowy zniknął. Nigdy się nie dowiedzieli, dokąd poszedł, i nigdy więcej o nim nie słyszeli.

Jednakże zanim to się stało, żyli sobie w owym mieszkaniu w atmosferze braterstwa i wzajemnego zrozumienia. Wspólne im było to, że wszyscy trzej się ukrywali. Różnica polegała na tym, przed czym się ukrywali. Tamci dwaj ukrywali się przed przyszłością, przed dniem, kiedy uzyskają stopnie naukowe i opuszczą uniwersytet. Jack Burden zaś ukrywał się przed terażniejszością. Tamci dwaj chronili się w terażniejszość. Jack Burden szukał schronienia w przeszłości. Oni siadywali w saloniku, spierali się, pili, grali w karty albo czytali, natomiast Jack Burden przesiadywał najczęściej w swojej sypialni, przy małym sosnowym stoliku, z rozłożonymi przed sobą notatkami, książkami i papierami, i ledwie słyszał ich głosy. Bywało, że wychodził stamtąd,

by napić się czegoś, pograć w karty, podyskutować lub wziąć udział w jakichś innych zajęciach swych towarzyszy, ale ważne było tylko to, co znajdowało się tam, w sypialni, na sosnowym stoliku.

Cóż więc było w sypialni, na sosnowym stoliku?

Duży pakiet listów, osiem postrzępionych, czarnooprawnych brulionów rachunkowych związanych razem wyblakłą czerwoną tasiemką, fotografia o wymiarach mniej więcej pięć na osiem cali, naklejona na karton i z zaciekami na dolnej połowie, oraz zwykła złota męska obrączka z napisem, zawieszona na sznurku. Przeszość. Czy raczej ta cząstka przeszłości, która nosiła imię Cass Mastern.

Cass Mastern był jednym z wujów Ellisa Burdena, Uczzonego Adwokata, bratem jego matki, Lavinii Mastern. Drugi wuj nazywał się Gilbert Mastern, umarł w roku tysiąc dziewięćset czternastym, mając dziewięćdziesiąt cztery czy pięć lat, budował koleje, należał do rady naczelnej i pozostawił po sobie ów pakiet listów, czarne bruliony rachunkowe oraz bardzo dużo pieniędzy, które zapisał wnukowi (a Jackowi Burdenowi ani centa). W jakieś dziesięć lat później spadkobierca Gilberta Masterna, przypomniawszy sobie, że Jack Burden, którego nie znał osobiście, studiuje historię czy coś podobnego, przysłał mu pakiet listów, bruliony rachunkowe i fotografię, zapytując, czy on, Jack Burden, nie sądzi, że załączone przedmioty mogą mieć jakąś „wartość finansową”, ponieważ on, spadkobierca, słyszał, że biblioteki czasami płacą „pokaźne sumy za stare dokumenty oraz pamiątki i zabytki sprzed wojny domowej”. Jack Burden odpowiedział, że ponieważ Cass Mastern nie był jednostką o znaczeniu historycznym, jest wątpliwe, aby jakaś biblioteka zapłaciła za te materiały więcej niż parę dolarów w najlepszym razie, i poprosił o dyspozycje, co ma zrobić z przesyłką. Spadkobierca odpisał, że wobec powyższego Jack Burden może sobie zatrzymać te rzeczy jako mające „wartość uczuciową”.

W ten sposób Jack Burden zawarł znajomość z Cassem Masternem, który zmarł w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym w szpitalu wojskowym w Atlancie, a dotąd był dla niego jedynie zasłyszany kiedyś, lecz zapomnianym nazwiskiem i ową parą ciemnych, szeroko rozstawionych, głębokich oczu, co płonęły na fotografii poprzez brud, kurz i pięćdziesiąt lat z okładem. Oczy będące Cassem Masternem spoglądały z podłużnej, kościstej twarzy, ale twarzy młodej, o pełnych wargach nad nieco rzadką, krętą, czarną brodą. Te wargi zdawały się nie pasować do kościstej twarzy i palących oczu.

Młody człowiek z fotografii, widoczny tam w pozycji stojącej od ud w górę, miał na sobie luźną, nieforemną kurtkę ze zbyt obszernym kołnierzem i za krótkimi rękawami, które odsłaniały mocne przeguby i kościste dłonie splecione na wysokości pasa. Gęste, czarne włosy, zaczesane w tył od wysokiego czoła, długie i równo przycięte, spadały zgodnie z modą owego czasu, miejsca i klasy nieomal aż na kołnierz ordynarnej, jakby kupionej na tandecie kurtki, która była kurtką mundurową żołnierza piechoty w armii Konfederacji.

Wszystko, co na tym zdjęciu kontrastowało z ciemnymi, palącymi oczami, wydawało się przypadkowe. Ale owa kurtka przypadkowa nie była. Została nałożona w wyniku pewnego obrachunku i udręki, dumy i samoupokorzenia, w przeświadczeniu, że będzie noszona w chwili śmierci. Jednakże śmierć nie miała być tak szybka i łatwa. Miała nadejść powoli, ciężko, w cuchnącym szpitalu w Atlancie. Ostatni list z paczki nie był już pisany ręką Cassa Masterna. Leżąc z gnijącą raną w szpitalu, podyktował swój pożegnalny list do brata, Gilberta Masterna. Ten list oraz ostatni z brulionów rachunkowych, w których Cass Mastern prowadził swój dziennik, odesłano w końcu do Missisipi, a Cass Mastern został pochowany gdzieś w Atlancie, nikt nigdy nie dowiedział się, w którym miejscu.

W pewnym sensie byłoby czymś właściwym, żeby Cass Mastern, w tej szarej kurtce, sztywnej od potu, kłującej jak włosienica – którą dla niego się stała, będąc zarazem insygnium gorzkiej chwały – powrócił do Georgii, by tam powoli zgnić na śmierć. Albowiem on, Gilbert Mastern, i Lavinia Mastern urodzili się w Georgii, między czerwonymi wzgórzami w stronie Tennessee. „Przyszedłem na świat – tak zaczynała się pierwsza stronica pierwszego tomu dziennika – w zbudowanej z bierwion chatcie w północnej Georgii, w ubóstwie, i choć w późniejszych latach sypiałem na puchu i jadałem na srebrze, proszę Boga, by nie pozwolił we mnie zamrzeć wspomnieniom chłodu i głodu. Albowiem wszyscy ludzie przychodzą na świat nadzy, pośród dostatku zaś człowiek jest tak skłonny do zła jako iskry do wzlatywania w górę”. Słowa te zostały napisane, kiedy Cass studiował w Transylvania College w Kentucky, gdzie okres, który nazywał swym „mrokiem i utrapieniem”, ustąpił już miejsca pokojowi bożemu. Dziennik zaczynał się bowiem od relacji o owym „mroku i utrapieniu”, które były całkiem realnym utrapieniem: martwym mężczyzną i żyjącą kobietą, i długimi zadrapaniami od paznokci aż kościstej twarzy Cassa Masterna. „Zapisuję to – notowałem w swoim dzienniku – z tak całkowitą prawdomównością, jaką tylko może osiągnąć człowiek grzeszny, ażebym – jeśli kiedykolwiek zrodzi się we mnie pycha cielesna czy duchowa – mógł odczytać te kartki i pojąć ze wstydem, ile zła się we mnie gnieździło i może zagnieździć znowu, albowiem któż wie, jaki podmuch powieje na zwęglone polana i na nowo roznieci płomień?”

Pobudka pisania dziennika wynikała z „mroku i utrapienia”, ale Cass Mastern miał najwidoczniej umysł systematyczny, bo cofnął się aż do samego początku, do owej chaty z bierwion pośród czerwonych wzgórz Georgii. To starszy brat, Gilbert, liczący z piętnaście lat więcej od Cassa, wydzwignął rodzinę z drewnianej chaty. Gilbert, który jako młody chłopiec uciekł z domu i pojechał na zachód, do Missisipi, później, w wieku lat



trzydziestu paru, to jest około tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku, był na najlepszej drodze do stania się „bawełnianym snobem”. Goły i zapewne głodny chłopak, stąpający boso po czarnej glebie Missisipi, miał dziesięć czy dwanaście lat później zostać panem na włościach, dosiadającym przed białą werandą dziarskiego dereszowatego ogiera (imieniem Powhatan – to wiadomo z dziennika). Jak Gilbert zdobył swojego pierwszego dolara? Czy poderżnął gardło jakiemuś podróżnemu w gąszczu trzciny cukrowej? Czy może czyścił buty w zajeździe? Nic o tym nie wiadomo. Ale dorobił się fortuny, siadywał na białej werandzie i głosował na wigów. Kiedy po wojnie domowej biała weranda przemieniła się w kupę popiołu, a fortuna zniknęła, nie było niczym dziwnym, że Gilbert, który już raz zrobił majątek gołymi rękami, po prostu z niczego, potrafił dzięki swojemu doświadczeniu, sprytowi i twardości (teraz tym twardszej po czterech latach wędrowek, skąpego pożywienia i rozczarowań) wykrajać sobie drugą, o wiele większą od pierwszej. Jeżeli w późniejszych latach w ogóle wspominał swojego brata Cassa i wy dobył kiedyś jego ostatni list, podyktowany w szpitalu w Atlancie, musiał się nad nim zadumać z wyrozumiałą ironią. List ten brzmiał bowiem:

„Wspomnij mnie, ale bez żalu. Jeżeli któryś z nas jest szczęśliwy, to właśnie ja. Teraz mnie czeka spoczynek; ufam w miłosierdzie Przedwiecznego i w Jego najświętszą łaskę. Ty zaś, mój bracie, skazany jesteś na to, aby pożywać chleb w goryczy, budować na miejscu popiołów i zgłiszcz, tworzyć coś z niczego i cierpieć wśród ruin i winy naszego drogiego kraju i pospólnej winy człowieczej. Na sąsiednim łóżku obok mnie leży tu pewien młodzieniec z Ohio. Jest konający. Jego jęki, przekleństwa i modlitwy nie różnią się od innych w tym tabernakulum cierpienia. Przybył tu obciążony swą winą, podobnie jak ja moją. I winą swojego kraju. Oby powszechne Zbawienie wy dźwignęło nas z prochu. Modlę się, drogi bracie, do Boga, aby ci dał siłę do zniesienia tego, co

przyjdzie”.

Gilbert musiał się uśmiechać, myśląc o przeszłości, bo niewiele pożywał chleba w goryczy. Miał swój własny rodzaj siły. Około roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego znów mu się wiodło. W siedemdziesiątym piątym czy szóstym był bogaty. W osiemdziesiątym dorobił się fortuny, mieszkał w Nowym Jorku, miał nazwisko, był tęgim, krzepkim mężczyzną o ruchach powolnych i głowie jak blok nagiego granitu. Przeżył z jednego świata w inny. Być może nawet w tym nowym czuł się bardziej u siebie niż w starym. Albo może tacy Gilbertowie Masternowie czują się zawsze u siebie w każdym świecie. Tak jak Cassowie Masternowie nie czują się nigdy u siebie w żadnym.

Ale wróćmy do rzeczy. Jack Burden wszedł w posiadanie owych papierów dzięki wnukowi Gilberta Masterna. Gdy przyszła pora na wybór tematu rozprawy doktorskiej, jego profesor zaproponował mu, żeby opracował dziennik i listy Cassa Masterna i napisał esej biograficzny, studium społeczne oparte na tych i innych materiałach. I tak Jack Burden rozpoczął swą pierwszą wycieczkę w przeszłość.

Z początku wydawała się łatwa. Nietrudno było odtworzyć sobie życie w drewnianej chacie pośród czerwonych wzgórz. Zachowały się pierwsze listy Gilberta z okresu, kiedy już zaczął iść w górę. (Jackowi Burdenowi udało się uzyskać inne papiery po Gilbercie Masternie, z czasów poprzedzających wojnę domową.). Był dobrze znany wzorzec owego życia, stopniowo zmierzającego do zamożności, jak określano z tego dystansu dostatki Gilberta. A potem jednego roku umarli ojciec i matka, i Gilbert powrócił, ukazując się zapewne Cassowi i Lavinii jako niewiarygodne zjawisko, wspaniały szalbierz w czarnych samentach, lakierowanych trzewikach, białej koszuli i z ciężkim złotym pierścieniem na palcu. Umieścił Lavinie w szkole w Atlancie, nakupił jej całe kufry sukienek i pocałował na pożegnanie. („Nie mogłeś mnie zabrać z sobą,

drogi bracie Gilbertcie? Byłabym ci zawsze obowiązkową i kochającą siostrą – tak do niego pisała kaligrafią ze szkolnego zeszytu, brązowym atramentem, mową cudzą, pełną szkolnej grzeczności. – Czy nie mogłabym przyjechać do ciebie teraz? Czy nie ma żadnych drobnych zajęć, które ja...” Ale Gilbert miał inne plany. Kiedy by przyszła pora, aby Lavinia pokazała się w jego domu, miała być do tego gotowa.). Natomiast zabrał ze sobą Cassa, niedorostka ubranego teraz na czarno i siedzącego na klaczy pełnej krwi.

Po trzech latach Cass nie był już niedorostkiem. Spędził te trzy lata klasztornego rygoru w Valhalla, plantacji Gilberta, pod opieką niejakiego pana Lawsona oraz samego Gilberta. Od Gilberta nauczył się zarządzania plantacją. Od pana Lawsona, suchotniczego i niezdecydowanego młodzieńca z Princeton w stanie New Jersey, nauczył się trochę geometrii, trochę łaciny i bardzo dużo prezbiteriańskiej teologii. Polubił książki i kiedyś Gilbert (tak było napisane w dzienniku), stanąwszy w progu, przypatrzył mu się, pochylonemu nad stołem, po czym powiedział: „Może się nadasz przynajmniej do tego”.

Jednakże Cass nadał się do czegoś więcej. Kiedy Gilbert podarował mu małą plantację, Cass przez dwa lata zarządzał nią z takim sprytem (i takim szczęściem, bo zarówno urodzaje, jak i popyt zmówiły się na jego korzyść), że po tym czasie mógł spłacić Gilbertowi znaczną część ceny kupna. Potem pojechał, czy raczej został wysłany, do Transylwania College. Był to pomysł Gilberta. Któregoś wieczora zjawił się on w domu na plantacji Cassa i zastał go nad książkami. Przeszedł przez pokój i zbliżył się do stołu, na którym leżały książki i przy którym stał Cass, podniósłszy się z miejsca. Gilbert wyciągnął rękę i postukał szpicrutą w otwartą książkę. „Możesz coś z tego mieć”, powiedział. Dziennik o tym donosił, nie donosił natomiast, jaką to książkę postukała szpicruta Gilberta. Zresztą nie jest ważne, co to była za książka. Albo może i

ważne, bo coś w naszym umyśle, naszej wyobraźni, pragnie to wiedzieć. Widzimy ogorzałą, twardą, silną dłoń („brat mój jest mocno zbudowany i rumiany”) wystającą z białego mankietu, ściskającą szpicrutę, która w tym uścisku wydaje się wątpa jak witka. Widzimy trzepnięcie małej skórzanej pętli po otwartej stronicy, trzepnięcie szybkie, nie całkiem wzgardliwe, ale stronicy rozeznac nie możemy.

W każdym razie nie była to zapewne książka teologiczna, bo wydaje się wątpliwe, ażeby w takim wypadku Gilbert użył słów: „coś z tego mieć”. Mogła to być jednakże stronica łacińskich poetów, bo Gilbert musiał się przekonać, że ci poeci w niewielkich dawkach nadają się do polityki lub prawa. Tak więc miał teraz być Transylwania College – jak się okazało, na propozycję sąsiada i przyjaciela Gilberta, pana Jeffersona Davisa, który tam niegdyś studiował. Pan Davis studiował grekę.

W Transylwania College, w Lexingtonie, Cass odkrył życiowe uciechy. „Odkryłem, że można wyedukować się w grzechu podobnie jak w cnocie, i nauczyłem się tego, czego nauczyć się można z gry w karty, z butelki, wyścigów i zakazanych rozkoszy cielesnych”. Przyszedł tam z nędznej chaty, z klasztornej dyscypliny Valhalli, z odpowiedzialnej pracy na swojej małej plantacji, a był wysoki i silny, i – sądząc po fotografii – urodziwy, z palącymi, ciemnymi oczyma. Nic więc dziwnego, że „odkrył uciechy” bądź że uciechy go odkryły. Bo chociaż w dzienniku nic o tym nie wspomina, opisując ciąg wydarzeń, które doprowadziły do „mroku i utrapienia”, Cass był, przynajmniej z początku, bardziej nagabywanym niż nagabującym.

O stronie nagabującej mówi się w dzienniku „ona” i „Jej”. Ale Jack Burden dowiedział się nazwiska. „Ona” była to Annabelle Trice, żona Duncana Trice’a, a pan Duncan Trice był zamożnym młodym bankierem z Lexingtonu w stanie Kentucky, bliskim znajomym Cassa Masterna, i prawdopodobnie jednym z tych, co wprowadzili go na drogę uciech.

Jack Burden dowiedział się tego nazwiska, wertując numery dzienników lexingtońskich z lat tysiąc osiemset pięćdziesiątych, aby odnaleźć relację o pewnym zgonie. Był to zgon pana Duncana Trice'a. W gazecie określono go jako nieszczęśliwy wypadek. Gazeta donosiła, że pan Duncan Trice zastrzelił się przypadkowo, podczas czyszczenia pary pistoletów. Jeden z pistoletów, już oczyszczony, leżał na tapczanie, na którym pan Trice siedział w swej bibliotece w chwili wypadku. Drugi, narzędzie śmierci, upadł na podłogę. Jack Burden znał z dziennika istotę sprawy, kiedy więc ustalił te szczególne okoliczności, dowiedział się, kim była „ona”. Pan Trice – tak donosiły gazety – pozostawił wdowę, z domu Annabelle Puckett z Waszyngtonu.

Annabelle Trice poznała Cassa niedługo po jego przyjeździe do Lexingtonu. Duncan Trice przyprowadził go do siebie, otrzymał bowiem od pana Davisa list polecający mu brata Gilberta Masterna, jego dobrego przyjaciela i sąsiada. (Duncan Trice przybył do Lexingtonu z południowego Kentucky, gdzie jego ojciec przyjaźnił się z ojcem Jeffersona Davisa, Samuelem, który mieszkał w Fairview i hodował konie wyścigowe.). Tak więc Duncan Trice przyprowadził do domu wysokiego młodzieńca, który już nie był niedorostkiem, posadził go na sofie, wetknął mu w rękę szklanę i zawołał swą śliczną, obdarzoną aksamitnym głosem żoną, z której był bardzo dumny, ażeby powitała przybysza.

„Gdy weszła do pokoju, w którym gęstniały cienie zbliżającego się zmierzchu, choć pora zapalenia świec jeszcze nie nadeszła, myślałem, że oczy jej są czarne, co dawało efekt uderzający, jako że włosy miała tak jasne. Zauważyłem także, jak miękko, posuwicie stąpa, co, aczkolwiek była wzrostu nieco poniżej średniego, sprawiało wrażenie iście królewskiego dostojństwa...

*...et auertens rosea ceruice refulsit,*

*Ambrosiaequ comae diuinum uertice odorem  
Spirauere, pedes uestis defluxit ad imos,  
Et vera incessu patuit Dea.*<sup>[3]</sup>

Tak mówił mantuańczyk, gdy ukazała się Wenus i chód jej objawił prawdziwą boginię. Weszła do pokoju i oto była prawdziwą boginią, objawioną ruchami swoimi, a także – gdyby nie łaska boża (jeżeli takowa może przypaść w udziale podobnemu jak ja kłębkowi zgnilizny) – moim prawdziwym potępieniem. Podała mi rękę i przemówiła dźwięcznym, a miękkim głosem, który przywiódł mi na myśl gładzenie dłonią puszystego jak aksamit sukna czy futra. Nie można by go nazwać głosem melodyjnym, takim, jaki się powszechnie admiruje. Wiem o tym i mogę jedynie zapisać tu, jakie wywarł wrażenie na moich narządach słuchu”.

Cass zamieścił w dzienniku bardzo sumienny opis wszystkich jej rysów i proporcji, coś w rodzaju udręczonej inwentaryzacji, jak gdyby pośród „mroku i utrapień”, w chwili męki i odtrącenia, musiał obejrzyć się po raz ostatni, choćby ryzykując, że zostanie przemieniony w sęp soli. „Twarz jej nie była duża, choć nieco skłonna do krągłości. Usta mocne, lecz wargi czerwone i wilgotne, jak gdyby z lekka rozchylone albo gotowe się rozchylić. Broda krótka i dobrze ukształtowana. Nim zapalono świece, zdawało mi się, że jej płeć jest wielkiej białości, lecz później miałem dostrzec, że rozkwita kolorem. Włosy, niezwykle bujne i bardzo jasne, ściągnięte były z czoła w duże sploty opadające na szyję. Kibić miała nader drobną, a piersi, snadź z natury jędrne, krągłe i pełne, były tym wyżej podniesione przez gorset. Suknia jej, jak pamiętam,

[3] ...różowa jej szyja

Rozbłyśnie, woń ambrozji od włosów uderzy,

Czar bliski, do stóp fałdy jej spłyną odzieży,

Boginię sam krok wydał.

Wergiliusz, *Eneida*, ks. I (przekład T. Karyłowskiego.).

z ciemnoniebieskiego jedwabiu, była głęboko wycięta aż po łagodny spadek ramion, z przodu zaś ukazywała piersi wzniesione jako bliźniacze półkule”.

Tak opisywał ją Cass. Przyznawał, że jej twarz nie była piękna. „Jakkolwiek przyjemna w proporcjach” – dodawał. Ale włosy miała piękne, „zdumiewającej miękkości, w dotyku miększe i delikatniejsze niż samo pojęcie jedwabiu”. Tak więc nawet w owej chwili, wśród „mroku i utrapienia” wkrada się do dziennika wspomnienie o tym, jak owe bujne, piękne włosy przemykały mu między palcami. „Ale urodą jej – dodawał – były oczy”.

Nadmienił, że kiedy po raz pierwszy weszła do półmrocznego pokoju, jej oczy wydały mu się czarne. Miał się jednak przekonać, że się pomylił, a to odkrycie było pierwszym krokiem do jego zguby. Po przywitaniu („powitała mnie z wielką prostotą i uprzejmością i poprosiła, abym na powrót zajął miejsce”) powiedziała coś o tym, jak ciemno jest w pokoju i jak jesień zawsze nas zaskakuje niespodziewanie. Potem pociągnęła za sznur dzwonka i do pokoju wszedł murzyński boy. „Kazała mu przynieść światło i poprawić na kominku ogień, który dogasał w popiele. Niebawem boy wniósł siedmioramienny świecznik i postawił go na stole za kanapą, na której siedziałem. Potarł zapalną, ale ona powiedziała: «Ja pozapalam świece». Pamiętam to tak, jakbym dopiero wczoraj siedział na tej kanapie. Od niechcenia obróciłem głowę, aby popatrzeć, jak zapala świece. Dzielił nas ów mały stolik. Pochylała się nad świecami i przytykała kolejno zapalną do knotów. Kiedy się pochylała, widziałem, jak jej gorset podnosi i ściska piersi, ale ponieważ była schyłona, powieki przesłaniały jej oczy przed moim wzrokiem. A potem uniosła nieco głowę i spojrzała wprost na mnie nad płomykami świeżo zapalonych świec, i od razu zobaczyłem, że oczy jej nie są czarne. Były szafirowe, szafirowym tak głębokim, że mogę go przyrównać jedynie do barwy wieczornego nieba jesienią, gdy

jest pogodnie, księżyc nie świeci i dopiero co pokazały się gwiazdy. I nie wiedziałem, że są tak duże. Pamiętam doskonale, jakem to sobie powtarzał: «Nie wiedziałem, że są tak duże» – kilkakrotnie, powoli, niby dziwujący się człowiek. Wtedy uświadomiłem sobie, że się rumienię, język zesechł mi w ustach na popiół i nagle poczułem się mężczyzną.

Jeszcze w tej chwili widzę najdokładniej wyraz jej twarzy, ale nie umiem go sobie wytłumaczyć. Czasem myślałem, że był w nim utajony uśmiech, ale nie mam pewności. (Pewien jestem tylko jednego: że człowiek nie jest nigdy bezpieczny i że zawsze nań czyha potępienie, o Boże, mój Odkupicielu!) Siedziałem tam, z jedną ręką zaciśniętą na kolanie, w drugiej trzymając pustą szklanę, i nie mogłem pochwycić tchu. Wtedy powiedziała do męża, który stał za mną:

– Duncan, nie widzisz, że trzeba coś nalać panu Masternowi?”

Minął rok. Cass, który był znacznie młodszy od Duncana Trice’a – a prawdę powiedziawszy o kilka lat młodszy od Annabelle Trice, stał się bliskim kompanem Duncana i dużo się od niego nauczył, bo Duncan Trice był bogaty, światowy, inteligentny i wesoły. („Wielce skłonny do śmiechu i pełnokrwisty”). Duncan Trice zapoznał Cass a z butelką, karcianym stolikiem i wyścigami, ale nie z „zakazanymi rozkoszami cielesnymi”. Duncan Trice był bowiem namiętnie, bezgranicznie rozkochany w swojej żonie. „Kiedy wchodziła do pokoju, jego oczy wpatrywały się w nią bezwstydnie i nieraz widziałem, jak odwracała twarz i okrywała się rumieńcem pod jego zuchwałym spojrzeniem, jeśli ktoś był przy tym obecny. Sądzę wszelako, że czynił to nierozmyślnie, tak wielkim do niej pałał uczuciem”. Nie, to inni młodzieńcy z otoczenia Trice’a pierwsi zapoznali Cassa z „zakazanymi rozkoszami”. Jednakże mimo tych nowych zainteresowań i uciech Cass potrafił pracować nad książką. Miał czas także na to, bo odznaczał się wielką siłą i wytrzymałością.

Tak minął ten rok. Cass często bywał w domu Trice’ów, ale prócz



„słów wesołych i uprzejmych” nie padły między nim a Annabelle Trice żadne inne. W czerwcu odbyła się zabawa taneczna w domu jednego z przyjaciół Duncana Trice’a. Duncan, jego żona i Cass wyszli w pewnym momencie do ogrodu i zasiedli w altance obrosniętej jaśminem. Duncan zawrócił do domu, by przynieść poncz dla nich trojga, a Cass i Annabelle zostali obok siebie w altanie. Cass powiedział coś o słodczy zapachu jaśminów. Annabelle nagle wybuchnęła głosem niskim i miękkim, lecz z gwałtownością, która mnie zadziwiła: «Tak, tak, aż za słodki! Duszący. Duszę się!», i prawą dłoń z rozstawionymi palcami położyła na nagiej wypukłości piersi, nad ściskającym je gorsetem.

Mniemając, że nawiedziła ją jakaś nagła choroba – zapisał Cass w swoim dzienniku – spytałem, czy jej nie słabo. Odrzekła: «Nie», bardzo cichym, aksamitnym głosem. Mimo to wstałem w zamiarze przyniesienia jej szklanki wody. Nagle powiedziała szorstko, co mnie zdumiało, zważywszy jej nienaganną uprzejmość:

– Siadaj pan, siadaj! Nie chcę wody!

Usiadłem więc, nieco stroskany, że mimowolnie mogłem ją czymś urazić. Popatrzyłem na ogród, gdzie w świetle księżyca kilka par przechadzało się po ścieżkach między niskimi żywopłotami. Obok siebie słyszałem jej oddech. Był niespokojny i nierówny. Wtem zapytała:

– Ile pan masz lat?

Odpowiedziałem, że dwadzieścia dwa. – Aja dwadzieścia dziewięć – odparła.

Wyjąkałem coś w zadziwieniu. Roześmiała się, rzekłbyś, z mojej konfuzji, i powiedziała:

– Tak, jestem od pana starsza o siedem lat. Czy to pana zaskoczyło?

Odparłem twierdząco. Wtedy rzekła:

– Siedem lat to szmat czasu. Siedem lat temu byłeś pan jeszcze dzieckiem. – Roześmiała się z nagłą szorstkością, lecz zaraz się

pohamowała i dorzuciła: – Ale ja nie byłam dzieckiem siedem lat temu.

Nic jej nie odpowiedziałem, bo nie miałem w głowie ni jednej jasnej myśli. Siedziałem tam zmieszany, ale w tym moim pomieszaniu próbowałem wyobrazić sobie, jak mogła wyglądać, będąc dzieckiem. Nie umiałem wykrzesać żadnego obrazu. A potem jej mąż nadszedł od domu”.

Kilka dni później Cass wrócił do Missisipi, aby poświęcić parę miesięcy swojej plantacji i pod opieką Gilberta wybrać się raz do Jackson, stolicy stanu, i raz do Vicksburga. Było to pracowite lato. Teraz Cass widział jasno, jakie Gilbert miał zamiary: uczynić go bogatym i wciągnąć w politykę. Takie perspektywy były miłe i błyskotliwe, i wcale nie nierealne dla młodego człowieka, którego bratem był Gilbert Mastern. „Brat mój jest człowiekiem wielce małomównym, tęgiego umysłu, kiedy zaś głos zabiera, to choć nie próbuje nikomu się przypodobać ani schlebiać, wszyscy, a zwłaszcza ludzie poważni, odpowiedzialni i wpływowi, ważą słowa jego z respektem”.

Tak minęło lato, pod silną ręką i chłodnym okiem Gilberta. Jednakże pod koniec wakacji, gdy Cass zaczynał już przemyśliwać o powrocie do Transylwanii, przyszedł do niego list z Lexingtonu, adresowany nie znaną mu ręką. Kiedy Cass rozłożył pojedynczy arkusik papieru, wypadł z niego mały, spłaszczony kwiatek. Przez chwilę Cass nie mógł się zorientować, co to jest ani skąd się wzięło w jego ręku. A potem podniósł kwiatek do nozdrzy. Zapach, już nikły i zwietrzały, był zapachem jaśminu.

Arkusik był złożony dwukrotnie, tworząc cztery równe kwadraty. Na jednym z nich widniały słowa wypisane czystymi, mocnymi, niezbyt dużymi literami: „Och, Cass!” To było wszystko.

To wystarczyło.

Pewnego dżdżystego, jesiennego popołudnia, zaraz po powrocie do Lexingtonu, Cass zjawił się w domu państwa Trice, by złożyć im swoje uszanowanie. Nie zastał Duncana Trice’a, który dał znać, że pilne sprawy

zatrzymały go w mieście i że wróci dopiero późno, na kolację. O tym popołudniu Cass tak napisał w dzienniku: „Znalazłem się w pokoju sam na sam z nią. Już się ściemniało, podobnie jak owego popołudnia przed rokiem, kiedy ją tam po raz pierwszy ujrzałem i kiedy wydało mi się, że oczy ma czarne. Powitała mnie uprzejmie, na co odpowiedziałem i cofnąłem się, uściskawszy jej dłoń. Wtedy uświadomiłem sobie, że patrzy na mnie uparcie, tak samo jak ja na nią. Nagle jej wargi rozchyliły się lekko i wydały coś w rodzaju krótkiego westchnienia czy powściąganego jęku. Jak gdyby jednym odruchem wiedzeni zbliżyliśmy się do siebie i padliśmy sobie w objęcia. Staliśmy tak, nie mówiąc ani słowa. Zdawało nam się, że trwa to bardzo długo. Tuliłem do siebie jej ciało zamknięte w mocnym uścisku, ale nie wymieniliśmy pocałunku, co potem, gdym to wspominał, wydawało się dziwne. Ale czy było dziwne? Czy było dziwne, że jakaś resztką wstydu wzbraniała nam spojrzeć sobie w oczy? Czulem i słyszałem, że serce łomocze mi w piersi, jakoś luźno, jak gdyby oderwało się i miało beładnie po wielkiej próżni we mnie – ale jednocześnie nie mogłem sobie uświadomić, że wszystko to dzieje się naprawdę. Kiedy tam stałem, z nozdrzami pełnymi woni jej włosów, opanowało mnie jakieś niedowierzenie, nawet co do mej własnej tożsamości. Trudno było uwierzyć, że to ja jestem Cassem Masterem, stojącym tak w domu przyjaciela i dobrodzieja. Nie czulem żadnych wyrzutów sumienia ni zgrozy z racji podłości tego czynu, jedynie owo niedowierzenie, o którym wspominałem. (Człowiek odczuwa niedowierzenie w chwili pierwszego złamania obyczaju, natomiast zgrozę przy pogwałceniu zasady. Dlatego też wszelka cnota i honor, jakie poznałem w przeszłości, były przypadkowym wynikiem obyczaju, nie zaś owocem woli. A zresztą, czy cnota może być owocem woli człowieczej? Taka myśl jest pychą.).

Jak powiedziałem, staliśmy tam długo w mocnym uścisku; ona przytuliła twarz do mojej piersi, ja zaś wpatrywałem się przez okno na

drugim końcu pokoju w gęstniejący mrok wieczoru. Gdy wreszcie uniosła twarz, zauważyłem, że płakała bezgłośnie. Dlaczego płakała? Nieraz zadawałem sobie to pytanie. Czy dlatego, że nawet na progu popełnienia nieodwracalnego zła mogła łyzy ronić nad skutkami czynu, któremu nie miała siły zapobiec? Czy dlatego, że obejmował ją mężczyzna znacznie od niej młodszy i że jego uścisk był dla niej wyrzutem młodości i tych siedmiu lat różnicy? Czy dlatego, że zjawił się o siedem lat za późno i nie mógł przyjść w niewinności? Mniejsza, jaka była przyczyna. Jeśli ta pierwsza, to łyzy mogą jedynie stanowić dowód, że uczucie nie zastąpi obowiązku; jeżeli druga, to tylko dowodzą, że litowanie się nad sobą nie zastępuje mądrości. Wszelako roniła łyzy i w końcu podniosła ku mnie twarz z tymi łzami błyszczącymi w wielkich oczach, i chociaż stały się moją zgubą, dziś jeszcze nie mógłbym pragnąć, by nie zostały wylane, albowiem świadczyły o sercu gorącym i dowodziły, że bez względu na to, jaki był jej (i mój) grzech, nie wstąpiła weń lekką stopą, z oczyma twardymi od chuci i pożądliwości cielesnej.

Łzy owe stały się moją zgubą, bo gdy podniosła ku mnie twarz, do uczuć moich przymieszała się jakaś nuta tkliwości i serce stopniało mi w piersi, niejako wypełniając tę wielką próżnię, w której miotano się przed chwilą. Powiedziała: «Cass», po raz pierwszy zwracając się do mnie po imieniu. «Tak?», odparłem. «Pocałuj mnie – rzekła bardzo prosto. – Teraz już możesz». Pocałowałem ją więc. I wówczas w zaślepieniu grzesznej żądzy i w zachłanności serc naszych dopełniliśmy aktu. Tam, w tym pokoju, nie bacząc, że gdzieś po domu stąpają cicho służący, że mąż jej ma wrócić niebawem, przy drzwiach otwartych, w pokoju nie całkiem jeszcze pograżonym w mroku wieczoru. Byliśmy jednak bezpieczni w naszej lekkomyślności, jak gdyby pożądliwe serce mogło wydzielać ciemną chmurę, która nas przesłaniała, podobnie jak Wenus przesłoniła niegdyś chmurą Eneasza, ażeby mógł niepostrzeżenie przejść

między ludźmi, zdążając do miasta Dydony. W takich wypadkach sama nieopatrzność zapewnia bezpieczeństwo, podobnie jak moc pożądania zdaje się dzielić czynom sankcji prawości i dobra.

Jakkolwiek płakała i dopełniała aktu niejako z rozpaczą i smutkiem, natychmiast potem przemówiła do mnie beztrosko. Stała na środku pokoju, poprawiając włosy, ja zaś niepewnie wypowiedziałem kilka słów na temat naszej przyszłości, słów nader bezładnych, gdyż całe moje jestestwo wciąż jeszcze było pogrążone w pomieszaniu. Ona jednakże odpowiedziała: «Och, nie myślmv teraz o tym», jak gdybym poruszył błahy temat. Co prędzej zawołała służącego i kazała przynieść światło. Gdy je wniesiono, przypatrzyłem się jej twarzy i stwierdziłem, że jest świeża i nieskalana. A kiedy przybył jej mąż, przywitała go poufale i serdecznie, mnie zaś, gdym na to patrzył, ścisnęło się serce, choć, wyznać muszę, bynajmniej nie od wyrzutów sumienia. Raczej z gwałtownej zazdrości. Kiedy zaś do mnie przemówił i podał mi rękę, zmieszanie moje było tak wielkie, iż miałem pewność, że musi mi się odmalować na twarzy”.

Tak rozpoczęła się druga faza historii Cassa Masterna. Przez cały ten rok, podobnie jak przedtem, często odwiedzał dom Duncana Trice’a i tak jak przedtem, często wybierał się z Duncanem na wycieczki myśliwskie, grywał z nim w karty, pił, chodził na wyścigi. Nauczył się, jak pisał, „zachowywać czoło nie zmarszczone”, czyli godzić się z sytuacją. Co zaś się tyczy Annabelle Trice, to czasem, oglądając się wstecz, ledwo mógł uwierzyć, że „kiedyś roniła łzy”. Miała, jak powiada, „naturę gorącą, usposobienie lekkomyślne i namiętne, nie znosiła żadnej wzmianki o przyszłości (nigdy nie pozwalała mi wspominać o tym, co będzie), była żwawa, wesoła i pomysłowa w wynajdywaniu sposobów zaspokajania naszych apetytów, a przy tym obdarzona niewieścią tkliwością, którą każdy mężczyzna ceniłby wysoko w swym uświęconym ognisku domowym”.

Istotnie musiała być żwawa i pomysłowa, bo prowadzenie podobnego romansu tak, żeby uniknąć wykrycia, było z pewnością nie lada problemem w owym czasie i miejscu. Na końcu ogrodu Trice'ów stała altanka, do której można było wejść niepostrzeżenie z alejki. Tam odbywały się niektóre ich spotkania. Przyrodnia siostra Annabelle, mieszkająca w Lexingtonie, najwyraźniej dopomagała kochankom lub przymykała oczy na ich związek, ale, jak się zdaje, dopiero po pewnym nacisku ze strony Annabelle, bo Cass wspomina o jakiejś „burzliwej scenie”. Tak więc niektóre spotkania odbywały się właśnie tam. Ale od czasu do czasu Duncan Trice musiał wyjeżdżać w interesach i wtedy Cassa wpuszczano późną nocą do domu, nawet gdy przebywali tam rodzice Annabelle; toteż nieraz leżał w łóżku należącym do Duncana Trice'a.

Bywały jednak i inne spotkania, nie planowane i nieprzewidziane, chwile kradzione wtedy, gdy się znaleźli sam na sam. „Niewiele było zakątków, zakamarków, ustronnych miejsc czy kryjówek w domu mego ufnego przyjaciela, których byśmy nie pokalali w tym czy innym momencie, i to nawet przy pełnym, bezwstydnym świetle dziennym” – pisał Cass w pamiętniku, i kiedy Jack Burden, badacz historii, pojechał do Lexingtonu, aby obejrzeć dawny dom Trice'ów, przypomniał sobie to zdanie. Miasto rozrosło się wokół domu, ogród zaś, z wyjątkiem połaci trawnika, zniknął. Jednakże sam dom był dobrze zachowany (mieszkała tam jakaś rodzina nazwiskiem Miller i na ogół go szanowała) i Jackowi Burdenowi pozwolono go zwiedzić. Chodził po owym pokoju, gdzie nastąpiło pierwsze spotkanie i Annabelle podniosła na Cassa Masterna oczy znad świeżo zapalonych świec, i gdzie w rok później wydała to westchnienie czy powściągany jęk i padła mu w ramiona; obejrzał hali, który miał piękne proporcje i pełne wdzięku schody, dalej niewielką, mroczną bibliotekę i rodzaj sieni na tyłach domu, będącej także „ustronnym miejscem czy kryjówką” i na dodatek odpowiednio po temu

umeblowanej. Jack Burden stał w głównym hallu, chłodnym i ciemnym, z matowo połyskującą podłogą i pośród ciszy domu wspominał tamte czasy sprzed lat siedemdziesięciu, ukradkowe spojrzenia, ostrożne szepty, zdyszany oddech, niebaczne westchnienia, nagły szelest jedwabiu w ciszy (stroje owej epoki niewątpliwie nie były pomyślane tak, by zachęcały do uprawiania naprędce rozpusty). No cóż, to wszystko działo się dawno temu, Annabelle Trice i Cass Mastern od dawna już nie żyli, a pani Miller, która poczęstowała Jacka Burdena filiżanką herbaty (pochlebiała jej to „historyczne” zainteresowanie jej domem, choć nie odgadywała właściwej natury sprawy), z pewnością nie była „zwawa”, nie wyglądała na „pomysłową” i prawdopodobnie całą swoją energię zużywała w Związku Ołtarzowym przy kościele episkopalnym Świętego Łukasza i w stowarzyszeniu Cór Rewolucji Amerykańskiej.

Okres intrygi, druga faza historii Cassa Masterna, trwał przez cały rok akademicki, część lata (bo Cass musiał wrócić do Missisipi, by zająć się swoją plantacją, a także być na ślubie siostry, Lavinii, która wyszła za ustosunkowanego młodego człowieka nazwiskiem Willis Burden) i przez następną zimą, gdy Cass znowu przebywał w Lexingtonie. A potem, dziewiętnastego marca tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego roku, Duncan Trice zmarł w swej bibliotece (która też była „ustronnym miejscem i kryjówką” w jego domu), z ołowianą kulą wielkości dużego paznokcia tkwiącą w piersi. Był to zupełnie oczywisty wypadek.

Wdowa siedziała w kościele wyprostowana i nieruchoma. Gdy raz uniosła welon, by dotknąć chustką oczu, Cass zauważył, że jej policzki „były białe jak marmur z wyjątkiem jednej czerwonej plamy, podobnej do gorączkowego rumieńca”. Lecz nawet gdy welon znów opadł, Cass dojrzał nieruchome, jasne oczy, błyszczące „w tym sztucznym półcieniu”.

Cass Mastern wraz z pięcioma innymi młodzieńcami z Lexingtonu, druhami i kompanami zabaw zmarłego, poniósł trumnę do grobu.

„Trumna, którą niosłem, zdawała się zgoła nie mieć wagi, aczkolwiek mój przyjaciel odznaczał się słusznym wzrostem i skłonnością do tuszy. Gdyśmy z nią szli, dziwiłem się jej lekkości i nagle przeleciało mi przez głowę, że wcale go w niej nie ma, że może jest pusta, a to wszystko jest jakąś maskaradą, parodią doprowadzoną do granic niedorzeczności i świętokradstwa, bez żadnego celu, jak we śnie. Albo też po to, by mnie oszukać. Byłem przedmiotem mistyfikacji, wszyscy zaś inni zmówili się i sprzysięgli przeciwko mnie. I gdy ta myśl się pojawiła, nagle poczułem się bardzo przebiegły i podniecony. Za sprytny byłem, aby dać się tak nabrać. Przejrzałem to oszustwo. Miałem chęć cisnąć trumnę na ziemię, zobaczyć, jak się rozewrze, zionąc pustką, i zaśmiać się tryumfalnie. Ale nie uczyniłem tego i patrzyłem, jak trumna opuszcza się pod ziemię, na której staliśmy, i jak padają na nią pierwsze grudki.

Zaledwie rozległ się stukot grud uderzających o wieko, poczułem wielką ulgę, a potem przemożne pożądanie. Spojrzałem na nią. Klęczała u stóp grobu; nie mogłem odgadnąć, jakie były jej myśli. Głowę miała lekko pochyloną, twarz zasłoniętą welonem. Jasne słońce padało na jej postać w czerń obleczoną. Nie mogłem oderwać oczu od tego widoku. Klęcząca pozycja uwypuklała jej wdzięki i moim rozgorzałym zmysłom podsuwała myśl o jędrności jej ciała. Nawet sama żałobna barwa stroju zdawała się przydawać jej ponęt. Słońce paliło mnie w kark i czułem je na ramionach poprzez materiał surduta. Było nadnaturalnie jaskrawe, oślepiało mi oczy i otumaniało zmysły. Jednakże przez cały czas słyszałem jakby z bardzo daleka chrobot łopat o wykopaną ziemię i głuchy odgłos grud spadających do dołu”.

Tego wieczora Cass poszedł do altany w ogrodzie. Nie na jakieś wyznaczone spotkanie; po prostu pod wpływem impulsu. Czekał tam długo, lecz w końcu się ukazała, ubrana w czerń „niewiele ciemniejszą od nocy”. Gdy się zbliżała, „sunąc jak cień wśród cienia”, nie odezwał



się ani nie dał żadnego znaku, ale stał w miejscu, w najgłębszym mroku altany. Nawet gdy weszła, nie zdradził niczym swej obecności. „Nie jestem pewien, czy w moim milczeniu był jakiś zamysł. Narzucił mi je przemożny impuls, który mnie chwycił, ściskając gardło i porażając ciało. Przedtem i potem wiedziałem, że niegodnie jest kogoś podpatrywać, lecz w owej chwili nie nasunęły mi się żadne podobne względy. Nie mogłem oderwać od niej oczu, kiedy tam stała, mniemając, że jest samotna w ciemnościach altany. Przyszło mi na myśl, że skoro sądzi, iż jest sama, zdołam przeniknąć w jej jestestwo, dowiedzieć się, jakie zmiany, jakie skutki wywarła śmierć małżonka. Namiętność bliska paroksyzmu, która owego popołudnia ogarnęła mnie nad grobem przyjaciela, zniknęła. Teraz byłem zupełnie zimny. Ale musiałem wiedzieć, spróbować wiedzieć. Było to tak, jak gdybym poznając ją, mógł poznać samego siebie. (Jest ludzką ułomnością próbować poznać siebie poprzez jestestwo innego. Człowiek może poznać samego siebie jedynie w Bogu i w Jego oku.).

Weszła więc do altany i opadła na ławkę nie dalej niż o kilka stóp od miejsca, w którym się znajdowałem. Długo tam stałem, wpatrując się w nią. Siedziała sztywno wyprostowana. W końcu wyszeptałem jej imię, najciszej, jak to możliwe. Jeżeli nawet usłyszała, nie zdradziła się niczym. Powtórzyłem więc je w taki sam sposób, a potem raz jeszcze. Za trzecim jego wymówieniem szepnęła: «Słucham», lecz nie zmieniła pozycji ani nie obróciła głowy. Wtedy odezwałem się głośniej, znów powtarzając jej imię, a ona zerwała się natychmiast z gwałtownym niepokojem i zdławionym okrzykiem, podnosząc ręce do twarzy. Zachwiała się, jak gdyby miała upaść na ziemię, ale opanowała się i stanęła, patrząc na mnie. Jąkając się, zacząłem przeproszać, mówiąc, że nie chciałem jej przestraszyć, że miałem wrażenie, jakoby odpowiedziała: «Słucham» na mój szept, nim przemówiłem głośno, i wreszcie spytałem:

– Czyż nie odpowiedziałaś na mój szept? Odparła, że tak.

– Dlaczego więc tak się strwożyłaś, gdy znowu przemówiłem? – zapytałem.

– Bo nie wiedziałam, że tu jesteś – odparła.

– Przecież mówisz, że słyszałaś mój szept, że nań odpowiedziałaś, a teraz twierdzisz, jakobyś nie wiedziała, że tu jestem.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś – powtórzyła cicho i nagle pojąłem, co ma na myśli.

– Posłuchaj – rzekłem. – Gdy usłyszałaś ten szept... czy poznałaś, że to mój głos?

Patrzyła na mnie w milczeniu.

– Odpowiedz – zażądałem, bom musiał wiedzieć. Patrzyła nadal, wreszcie odrzekła z wahaniem:

– Nie wiem.

– Myślałaś, że to... – zacząłem, lecz nim zdążyłem wymówić te słowa, poskoczyła do mnie, objęła w desperacji jak człowiek tonący, i wykrzyknęła:

– Nie, nie, to nieważne, co myślałam; jesteś tu, jesteś!

Przyciągnęła mą twarz ku sobie i przywarła wargami do moich warg, by nie pozwolić mi mówić. Wargi jej były zimne, ale nie odrywały się od moich.

Ja także byłem zupełnie zimny, jak gdyby ogarnięty śmiertelnym chłodem. I ten chłód był ostateczną potwornością aktu, któryśmy spełnili niczym dwie kukły parodiujące hańbę i brud człowieczy, by go uczynić podwójnie haniebnym.

Potem rzekła do mnie:

– Gdybym cię tu dziś nie zastała, nie mogłoby tego więcej być między nami.

– Dlaczego? – spytałem.

– To był znak – odparła.

– Znak? – powtórzyłem.

– Znak, że nie możemy ująć, że... – Przerwała, lecz po chwili podjęła zaciekle w ciemnościach: – Nie chcę uchodzić... to znak... Cokolwiek uczyniłam, już się stało. – Zamilkła na chwilę, a potem zażądała: – Daj mi rękę.

Podąłem jej prawą dłoń. Chwyliła ją, puściła i rzekła:

– Tę drugą, drugą rękę.

Wyciągnąłem ją ku niej nad prawą, siedziałem bowiem z jej lewej strony. Chwyliła ją, podniosła i przyłożyła sobie płasko do piersi. Potem, po omacku, wsunęła mi na czwarty palec jakiś pierścień.

– Co to? – spytałem.

– Obrączka – odrzekła, umilkła i dorzuciła: – Jego obrączka. Wtedy przypomniałem sobie, że mój przyjaciel zawsze nosił obrączkę, i poczułem chłód metalu na ciele.

– Czy zdjąłeś mu ją z palca? – spytałem, wstrząsając się na tę myśl.

– Nie – odpowiedziała.

– Nie? – powtórzyłem.

– Nie – odrzekła. – Sam ją zdjął. Zdjął ją ten jeden jedyny raz.

Siedziałem obok niej, czekając nie wiedzieć na co, a ona przyciskała mi dłoń do piersi. Czułem, jak pierś jej wznosi się i opada. Nie mogłem mówić.

Wreszcie zapytała:

– Chcesz wiedzieć, jak... jak ją zdjął?

– Tak – odpowiedziałem w ciemnościach i czekając na jej słowa, powiodłem językiem po zaschłych wargach.

– Posłuchaj – nakazała mi stanowczym szeptem. – Tamtego wieczora, kiedy... kiedy to się z nim stało... i kiedy już się w domu uspokoiło, siedziałam u siebie w pokoju na małym krzeselku przy toalecie, na którym zawsze siadam, gdy Phebe mi rozpuszcza włosy. Usiadłam tam chyba z

przyzwyczajania, bo cała byłam odrętwiała. Patrzyłam, jak Phebe ścieli mi łóżko na noc. (Phebe była jej pokojówką, urodziwą Mulatką, nieco skłoną do kaprysów i humorów.). Widziałam, że zdjęła poduszki, a potem spojrzała w jakiś punkt pod nimi po mojej stronie łóżka. Podniosła coś stamtąd i podeszła do mnie. Spojrzała na mnie... a oczy ma żółte, można w nie patrzeć i nie sposób dojrzeć, co w nich jest... spoglądała na mnie długo, a potem wyciągnęła zaciśniętą dłoń, wciąż mnie obserwując... i wreszcie, wolno, jakże wolno, rozwarła palce i oto na jej dłoni leżała obrączka i wiedziałam, że to jego obrączka, ale myślałam jedynie, że jest złota i leży na złotej dłoni. Bo dłoń Phebe była złota... nigdy dotąd nie zauważyłam, że ma kolor czystego złota. Potem podniosłam wzrok, a ona wciąż wpatrywała się we mnie i jej oczy też były złote, błyszczące i twarde jak złoto. I już wiedziałam, że wie.

– Wie? – zapytałem jak echo, ale teraz i ja wiedziałem. Przyjaciel mój odgadł prawdę – z chłodu swej żony, z pogwarek służby – i zdjął z palca złotą obrączkę, zaniósł do łóżka, na którym tylekroć leżał ze swoją żoną, włożył ją pod poduszkę, zszedł na dół i zastrzelił się, ale w takich okolicznościach, iż nikt prócz żony nie mógł się nigdy domyślić, że to nie zwykły przypadek. Jednakże popełnił jeden błąd w obrachunku. Obrączkę znalazła Mulatka.

– Ona wie – szepnęła, przyciskając mocno moją rękę do piersi, która znowu wznosiła się i drżała szaleńczo. – Wie... i tak patrzy na mnie... zawsze tak będzie patrzyła. – Potem głos jej przycichł i pojawiła się w nim nuta żałości: – Rozpowie to. Wszyscy się dowiedzą. Wszyscy w tym domu będą patrzeć na mnie i wiedzieć... podając mi potrawy... wchodząc do pokoju... a stąpają tak cicho. – Wstała raptownie, puszczaając moją rękę. Ja wciąż siedziałem, ona zaś stała obok obrócona do mnie tyłem, tak że już nie widziałem białości jej twarzy i rąk, a czerń jej stroju, nawet z tak bliska, stapiała mi się w oczach z mrokiem. Nagle powiedziała w

ciemności nade mną, głosem, którego nie poznałem, taki był twardy: – Ja tego nie zniosę, nie zniosę! – Potem obróciła się, pochyliła nagle i pocałowała mnie w usta. W następnej chwili już jej nie było; dosłyszałem odgłos stóp biegnących po żwirze ścieżki. Siedziałem jeszcze czas jakiś w ciemnościach, okręcając obrączkę na palcu”.

Po tym spotkaniu w altanie Cass przez kilka dni nie widział Annabelle Trice. Dowiedział się, że pojechała do Louisville, gdzie, jak sobie przypomniał, miała bliskich przyjaciół. Zabrała ze sobą Phebe, co było zupełnie naturalne. A potem dowiedział się, że wróciła, i tego samego dnia poszedł późnym wieczorem do altany w ogrodzie. Zastał ją tam, siedzącą w ciemnościach. Przywitała się z nim. Napisał później, że wydawała się dziwnie nieobecna, daleka, jakaś otumaniona, niby somnambuliczka czy osoba znajdująca się pod działaniem narkotyku. Zapytał o jej podróż do Louisville, a ona odpowiedziała krótko, że popłynęła w dół rzeki, do Paducah. Napomknął, iż nie wiedział, że ma znajomych w Paducah, na co odparła, że nie ma tam żadnych. A potem obróciła się nagle do niego, jej otumanienie ustąpiło miejsca gwałtowności i wybuchła:

– Po co się wtrącasz?! Wtrącasz się w moje sprawy! Nie będę tego tolerowała!

Cass wyjąkał jakieś usprawiedliwienie, lecz mu przerwała:

– Ale jeżeli musisz wiedzieć, to ci powiem. Zawiozłam ją tam. Przez chwilę Cass był szczerze zaskoczony.

– Ją? – zapytał.

– Phebe – odparła. – Zawiozłam ją do Paducah i już jej nie ma.

– Nie ma? A gdzie jest?

– Popłynęła w dół rzeki – odparła i powtórzyła: – W dół rzeki. – Roześmiała się krótko i dorzuciła: – Już nie będzie więcej tak na mnie patrzyła.

– Sprzedałaś ją?

– Tak, sprzedawałam. W Paducah, człowiekowi, który zbierał transport niewolników do Nowego Orleanu. W Paducah nikt mnie nie zna, nikt nie wie, że tam byłam, i nikt się nie dowie, że ją sprzedawałam, bo powiem, że uciekła do Illinois. Ale sprzedawałam ją. Za tysiąc trzysta dolarów.

– Dostałaś dobrą cenę – rzekł Cass – nawet za Mulatkę tak hożą jak Phebe. – (Pisze w dzienniku, że roześmiał się „nieco gorzko i brutalnie”, choć nie powiada dlaczego.).

– Tak – odparła. – Dostałam dobrą cenę. Musiał mi zapłacić co do centa tyle, ile była warta. A wiesz, co potem zrobiłam z tymi pieniędzmi?

– Nie.

– Kiedy zeszałam ze statku w Louisville, na pomoście siedział tam stary, ślepy Murzyn, który brzdąkał na gitarze i śpiewał *Starego Dana Tuckera*. Wyjęłam te pieniądze z torebki, podeszałam do niego i wrzuciłam mu je do starego kapelusza.

– Jeżeli miałaś zamiar oddać te pieniądze... jeżeli uważałaś, że są zbrukane... to dlaczego jej nie wyzwoliłaś? – zapytał Cass.

– Boby tu została. Nie odeszłyby nigdzie, zostałyby i wciąż patrzyła na mnie. O nie, nie odeszłyby, bo jest żoną tego woźnicy Motleyów. Och, zostałyby tutaj, patrzyła na mnie i rozpowiadała, rozpowiadała, co wie, a ja bym tego nie zniosła! Wtedy Cass rzekł:

– Gdybyś mi powiedziała, odkupiłbym od Motleya tego człowieka i jego też wyzwolił.

– Nie sprzedaliby go – odparła. – Motleyowie nie sprzedają służby.

– Nawet na wyzwolenie? – ciągnął Cass, ale przerwała mu.

– Powtarzam, że nie dam ci się wtrącać w moje sprawy, rozumiesz?

Podniosła się i stanęła na środku altany, a on dojrzał w ciemnościach jasną plamę jej twarzy i usłyszał przerywany oddech.

– Myślałam, że ją lubiłaś – powiedział.

– Lubiłam – odparła – dopóki... dopóki tak na mnie nie spojrziała.

– A czy ty wiesz, dlaczego dostałaś za nią taką cenę? – spytał Cass i ciągnął, nie czekając na odpowiedź: – Bo jest Mulatką, przystojną i dobrze zbudowaną. O, poganiacze nie poprowadzą jej skutej łańcuchami z resztą transportu. Nie będą chcieli jej zmarnować. Powiozą ją w dół rzeki wygodnie. A wiesz dlaczego?

– Tak, wiem – odparła. – Ale co to ciebie obchodzi? Taki nią jesteś oczarowany?

– To niegodne – powiedział Cass.

– Ach, rozumiem, mój panie – ciągnęła. – Rozumiem: troszczysz się o honor czarnego woźnicy. Wielka to delikatność uczuć, panie Mastern. Ale dlaczego – stanęła nad nim, nadal siedzącym na ławce – dlaczego nie okazałeś podobnie delikatnej troski o honor swojego przyjaciela, który teraz nie żyje?

Według słów z dziennika, w owej chwili zerwała się „burza uczuć” w jego piersi. Napisał: „W ten sposób usłyszałem po raz pierwszy ujęty w słowa zarzut, który zawsze, we wszystkich stronach świata, obliczony jest na zadanie bólu człowiekowi o należytych zasadach i przyrodzonej prawości. To, co człek zatwardziały znieść może od cichego, wewnętrznego głosu, staje się – gdy jest wypowiedziane z zewnątrz – oskarżeniem tak srogim, że krew mu z twarzy odpływa. Ale tu nie chodziło jedynie o to oskarżenie samo w sobie, bo prawdę mówiąc, najadłem się do syta tej potworności i od dawna z nią oswoiłem. I nie tylko o zdradę przyjaciela. I nie tylko o śmierć owego przyjaciela, w którego pierś sam wymierzyłem oręż. Z tym wszystkim mógłbym jeszcze jakoś żyć. Ale nagle poczułem, że odmienia się wokół mnie świat i sama treść rzeczy, że rozpoczyna się proces powszechnego rozpadu, którego jestem ośrodkiem. W owej chwili wzburzenia, gdy zimny pot wystąpił mi na czoło, nie sformułowałem sobie w myśli żadnych wyraźnych słów. Ale obejrzał się wstecz i popróbowiałem poznać prawdę. Nie to było

ważne, że niewolnicę sprzedano z domu, w którym cieszyła się opieką i łaskawością, że wyrwawszy ją z ramion małżonka, wtrącono w rozpustę. Wiedziałem, że takie rzeczy się dzieją; nie byłem dzieckiem, bo po moim przybyciu do Lexingtonu i zapoznaniu się z co rozwiąźlejszymi kompanami, miłośnikami sportów i wyścigów, sam nieraz korzystałem z podobnych rozrywek. I nie tylko to było ważne, że kobieta, dla której poświęciłem mój honor i życie przyjaciela, mogła w swoim cierpieniu obrócić się przeciwko mnie z zimną wściekłością i zniewagami, tak że jej zgoła nie poznałem. Ważne było, że to wszystko – śmierć mego przyjaciela, krzywda Phebe, ból, wściekłość i ta wielka odmiana w kobiecie, którą kochałem – że wszystko to wynikło z mojego jednego aktu grzechu i przewrotności, tak jak gałęzie wyrastają z pnia, a liście z gałęzi. Albo też – by rzecz przedstawić inaczej – było to tak, jakby wibracja, w którą mój czyn wprawił świat cały, rozchodziła się bez końca, z wciąż wzrastającą siłą, i nikt nie mógł przewidzieć, co z tego wyniknie. Nie ująłem tego w takie słowa, ale stałem tam, miotany burzą uczuć”.

Kiedy Cass opanował swoje wzburzenie, zapytał:

– Komu sprzedałaś dziewczynę?

– A co cię to obchodzi?

– Komu sprzedałaś dziewczynę? – powtórzył.

– Nie powiem ci – odparła.

– Sam się dowiem – rzekł. – Pojadę do Paducah i tam się dowiem.

Chwyliła go za ramię, wpijając palce głęboko w ciało, jak szpony, i zapytała:

– Po co... po co chcesz jechać?

– Żeby ją odszukać – odpowiedział. – Odszukać ją, kupić i wyzwolić.

Nie przemyślał sobie tego. Napisał w dzienniku, że usłyszał własne słowa i pojął, iż taki jest jego zamiar. „Odszukać ją, kupić i wyzwolić” – powiedział i uczył, że palce puszczają jego ramię, a potem, w



ciemnościach, jej paznokcie nagle rozorały mu policzek i usłyszał głos „syczący dziko”, który mówił:

– Jeżeli to zrobisz... jeżeli zrobisz... och, ja tego nie zniosę... nie zniosę!

Odskoczyła od niego i rzuciła się na ławkę. Słyszał jej dyszenie i szloch, „twardy, suchy, jak szloch mężczyzny”. Nie poruszył się. A potem usłyszał jej głos:

– Jeżeli to zrobisz... jeżeli zrobisz... ona tak na mnie patrzyła, a ja tego nie zniosę... Jeżeli to zrobisz... – A potem, po chwili, bardzo spokojnie: – Jeżeli to zrobisz, nie zobaczysz mnie więcej.

Nie odpowiedział. Stał tam jeszcze kilka minut, sam nie wiedząc, jak długo, po czym wyszedł z altany, w której nadal siedziała, i oddalił się alejką.

Nazajutrz rano wyjechał do Paducah. Dowiedział się nazwiska handlarza niewolników, ale dowiedział się także, że ten sprzedał Phebe (młodą Mulatkę, która odpowiadała jej opisowi) jakiemuś „prywatnemu osobnikowi”, który akurat bawił wtedy w Paducah, ale potem odpłynął w dół rzeki. Nazwisko tego człowieka nie było w Paducah znane. Handlarz prawdopodobnie sprzedał Phebe dlatego, żeby samemu móc pojechać z transportem niewolników po jego skompletowaniu. Jak mówiono, udał się niedawno z kilkoma młodymi Murzynami i Murzynkami do południowego Kentucky, aby tam zakupić następnych. Zgodnie z przewidywaniem Cassa handlarz nie chciał zmarnować Phebe, wioząc ją w transporcie. Toteż otrzymawszy w Paducah korzystną cenę, sprzedał dziewczynę na miejscu. Cass ruszył na południe, aż do Bowling Green, ale tam zgubił ślad owego nabywcy. Wobec tego, bez większej nadziei, napisał do handlarza list na adres targu niewolników w Nowym Orleanie, prosząc o podanie nazwiska nabywcy i wszelkich o nim informacji. Potem zawrócił na północ, do Lexingtonu.

W Lexingtonie poszedł na West Short Street, do placówki handlu niewolnikami będącej własnością Lewisa C. Robardsa, który przed kilku laty przerobił na ten cel stary teatr. Cass uważał, że pan Robards, czołowy handlarz na tamtym terenie, mógłby po zapewnieniu odpowiedniej prowizji odnaleźć Phebe dzięki swoim stosunkom w dole rzeki. W kantorze nie było nikogo prócz jakiegoś chłopaka, który powiedział, że pan Robards wyjechał, ale że „zastępuje go” pan Simms, który jest w tej chwili w „domu” na „ogłądzie”. Wobec tego Cass udał się do sąsiedniego budynku. (Kiedy Jack Burden, studiując życie Cassa Masterna, pojechał do Lexingtonu, dom ten jeszcze stał; był dwupiętrowy, ceglany, tradycyjnego typu mieszkalnego, z podłużnym dachem, drzwiami pośrodku frontowej elewacji, oknami po obu ich stronach, kominami na obu końcach i przybudówką z tyłu. Pan Robards trzymał swój „wyborowy inwentarz” tam, a nie w kojcach, w oczekiwaniu „oglądu”).

Cass zastał główne drzwi domu otwarte, wszedł do sieni, nie napotkał nikogo, ale usłyszał dolatujące z góry śmiechy. Wszedł na piętro i ujrzał na końcu korytarza małą grupkę mężczyzn zgromadzonych przed otwartymi drzwiami. Kilku z nich poznał – młodych obiboków, których widywał w mieście i na torze wyścigowym. Zbliżył się i zapytał, czy jest pan Simms.

– W środku – odrzekł jeden z nich. – Pokazuje.

Cass mógł zajrzeć nad głowami do pokoju. Najpierw zobaczył niskiego, krępego mężczyznę, czarnego jak kruk, o czarnych włosach, dużych, błyszczących czarnych oczach, w czarnym surducie i czarnym halsztuku, ze szpicrutą w ręce. Cass zaraz odgadł, że jest to francuski „spekulant” kupujący „lepsze kąski” do Luizjany. Francuz patrzył na coś, co znajdowało się poza polem widzenia Cassa. Ten posunął się więc dalej i zajrzał do środka.

Zobaczył tam nijakiego jegomościa w cylindrze na głowie, w którym domyślił się pana Simmsa, a za nim postać kobiecą. Była to bardzo

młoda kobieta, może dwudziestoletnia, dość szczupła, o skórze nieco ciemniejszej od kości słoniowej, najprawdopodobniej mająca jedną ósmą krwi murzyńskiej, włosy raczej faliste niż kręte i oczy głębokie, ciemne i łzawe, z lekka nabiegłe krwią, wpatrzone w jakiś punkt nad Francuzem. Ubrana była nie w pospolite kraciaste płótno i chustkę, jak zwykle wystawiane na sprzedaż niewolnice – ale w białą, luźno skrojoną, długą do stóp suknię z rękawami do łokcia; zamiast chustki miała tylko przepaskę we włosach. Za nią w schludnie umeblowanym pokoju („całkiem przyzwoitym”, jak go nazywał w dzienniku, notując zarazem okratowane okna) Cass ujrzał bujany fotel, obok stoliczek, a na nim koszyk do robótek z kawałkiem wymyślnego haftu, porzuconym z wpiętą weń igłą, „jak gdyby jakaś godna młoda panna czy gospodyni odłożyła go mimochodem, wstając, aby powitać gościa”. Cass zanotował, iż nie wiedzieć czemu zapatrzył się w ten haft.

– Taaak – mówił pan Simms. – Taaak! – I ująwszy dziewczynę za ramię, okręcił ją powoli, pokazując ze wszystkich stron. Potem chwycił za przegub jej ręki, którą podniósł do wysokości ramienia, kilka razy poruszył do przodu i tyłu, aby pokazać, jak giętko chodzi, i powiedział: – Taaak. – To uczyniwszy, wyciągnął w przód, ku Francuzowi, jej rękę z dłonią zwisającą bezwładnie od przegubu, za który ją trzymał. (Ręka ta była według pamiętnika „pięknie ukształtowana, o szczupłych palcach”). – Taaak – powtórzył pan Simms. – Patrzajcie na tę rękę. Żadna dama nie ma drobniejszej, bardziej maluchnej rączki. I krągła jest, a pulchna, nie?

– Nie ma tam ona czego innego krągłego i pulchnego?! – zawołał jeden z mężczyzn stojących w drzwiach, a pozostali się roześmieli.

– No! – rzekł pan Simms i pochyliwszy się, chwycił kraj sukni, który ruchem delikatnym, podrywającym, podniósł wyżej pasa, drugą zaś ręką zebrał materiał i owinął go jak „niezgrabną opaskę” wokół jej talii. Trzymając skrecony materiał, obszedł dziewczynę dookoła, zmuszając ją

do obracania się za nim (obracała się „bez oporu, rzekłbyś, w transie”), póki jej drobne pośladki nie znalazły się naprzeciw drzwi.

– Krągłe i pulchne, chłopcy – powiedział pan Simms i dał Mulatce tęgiego klapsa w jeden z pośladków, tak że ciało zadrgało. – Kładliście kiedy rękę na czymś krągłym i pulchniejszym? – zapytał. – Poducha, mówię wam. A trzęsie się jak słodka galaretką.

– Rany Boga, i ma pończochy! – odezwał się któryś z mężczyzn.

Kiedy inni się śmiali, Francuz podszedł do dziewczyny i przytknął czubek szpicruty do małego wgłębienia tuż nad miejscem, gdzie zaczynała się wypukłość pośladków. Przytrzymał tak szpicrutę delikatnie przez chwilę, po czym przyłożył ją płasko do ciała i wolno, równomiernie przesunął w dół po jednym i drugim pośladku, wykreślając ich pełną wypukłość.

– Obróć ją pan – rzekł swoim cudzoziemskim głosem.

Pan Simms posłusznie obniósł dokoła dziewczyny zebraną w rękę suknię, a ciało wykonało za nim pół obrotu. Jeden z mężczyzn u drzwi gwizdnął. Francuz przyłożył szpicrutę do brzucha dziewczyny, jak gdyby był „cieślą, który coś odmierza, czy może po to, aby wykazać jego płaskość”, i podobnie jak przedtem, przesunął nią w dół po ciele, dopóki nie spoczęła w poprzek ud, poniżej trój kącika. Wtedy opuścił do boku rękę ze szpicrutą.

– Otwórz usta – rozkazał dziewczynie.

Usłuchała, a on z powagą obejrzał jej zęby. Potem pochylił się i powąchał jej oddech.

– Dobry – przyznał, jakby niechętnie.

– No! – odparł pan Simms. – No! Nigdzie pan lepszego nie znajdziesz.

– Macie tu jeszcze jakie inne na podporządku? – zapytał Francuz.

– Mamy – odrzekł pan Simms.

– Chciałbym obejrzeć – powiedział Francuz i ruszył do drzwi,

najwidoczniej „w zuchwałym przeświadczeniu”, że zebrana tam grupka rozstąpi się przed nim. Wyszedł na korytarz, a za nim pan Simms. Kiedy ten zamykał drzwi, Cass rzekł do niego:

– Jeżeli pan jesteś Simms, to chciałbym z panem pomówić.

– He? – odrzekł pan Simms („mruknął”, jak to określa dziennik), ale spojrzawszy na Cassa, od razu wygrzeczniał, bo po stroju i postawie poznał, że Cass nie jest jednym z przypadkowych gapiów. Wpuścił więc Francuza do sąsiedniego pokoju, by tam obejrzał jego mieszkanke, a sam zawrócił do Cassa. Cass notuje w dzienniku, że dałoby się uniknąć burdy, gdyby spróbował pomówić z nim na osobności; jednakże pisze, że w owej chwili był tak zaprzątnięty swą sprawą, że stojący obok mężczyźni wydawali mu się ledwie cieniami.

Wyjaśnił panu Simmsowi, czego sobie życzy, opisując Phebe jak najdokładniej, podał nazwisko handlarza z Paducah i zaproponował sowitą prowizję.

Pan Simms miał najwyraźniej wątpliwości, jednakże obiecał zrobić, co będzie w jego mocy, po czym rzekł:

– Ale jest dziewięć szans na dziesięć, że pan jej nie znajdziesz, panie szanowny. A my tu mamy coś lepszego. Jużes pan widział Delphy, która jest prawie jak biała kobita, a grubo smakowitsza, zaś ta, o której pan mówisz, jest kawowa. Otóż Delphy...

– Kiedy tego panicza świerzbi do kawowych – odezwał się jeden z gapiów i zaśmiał się, a reszta mu zawtórowała.

Cass uderzył go prosto w usta. „Uderzyłem bokiem pięści – napisał – tak, żeby go rozkrwawić. Uderzyłem bez namysłu i pamiętam zdumienie, jakie mnie nawiedziło, gdym ujrzał krew na jego brodzie i spostrzegł, że zza koszuli wyciąga nóż. Spróbowałem uchylić się przed pierwszym ciosem, ale dostałem w lewe ramię. Nim zdążył się cofnąć, chwyciłem go prawą ręką za przegub, przygiąłem do dołu tak, aby móc się posłużyć

także lewą, w której zostało mi jeszcze trochę siły, i skręciwszy się w bok całym ciałem, zламаłem mu rękę na swoim prawym udzie, po czym go obaliłem. Podniosłem nóż z podłogi i z nim obróciłem się ku drugiemu mężczyźnie, który był najwidoczniej przyjacielem powalonego. On także miał nóż w ręku, ale nie wydawał się skłonny do dalszej dyskusji”.

Cass odmówił przyjęcia pomocy pana Simmsa, przycisnął chustkę do rany, wyszedł na ulicę, ruszył do swego mieszkania i upadł na West Short Street. Odniesiono go do domu. Nazajutrz poczuł się lepiej. Dowiedział się, że pani Trice wyjechała z miasta, prawdopodobnie do Waszyngtonu, Kilka dni później w ranę wdało się zakażenie i przez jakiś czas leżał nieprzytomny, między życiem a śmiercią. Powrót do zdrowia był powolny, prawdopodobnie opóźniony przez to, co Cass w dzienniku nazywał swoim „pragnieniem odejścia w mrok”. Jednakże jego organizm okazał się silniejszy od woli i Cass wyzdrowiał, uznając siebie za „największego z grzeszników, ropień na ciele ludzkości”.

Byłby popełnił samobójstwo, gdyby nie lęk przed potępieniem za taki czyn, bo chociaż „nie mogłem mieć nadziei na Łaskę, przecież trzymałem się nadziei na Łaskę”. Jednakże chwilami samo potępienie za samobójstwo stawało się niejako pobudką do samobójstwa; Cass przywiódł bowiem przyjaciela do samobójstwa, a ów przyjaciel tym czynem ściągnął na siebie wieczne potępienie, dlatego też on, Cass Mastern, powinien był w imię sprawiedliwości ściągnąć na siebie potępienie takim samym czynem. „Jednakże Bóg ochronił mnie od targnięcia się na własne życie – dla celów, które są Jemu wiadome i które przekraczają moją wiedzę”.

Pani Trice nie wróciła już do Lexingtonu.

Cass pojechał do Missisipi. Przez dwa lata uprawiał swoją plantację, czytywał Biblię, modlił się i, rzecz dziwna, świetnie mu się powodziło, niemal jakby na przekór jego woli. W końcu spłacił dług Gilbertowi i wyzwolił swych niewolników. Przyszedł mu do głowy pomysł uprawiania

plantacji tą samą siłą roboczą, lecz na zasadzie płacy.

– Ty głupcze – mówił mu Gilbert. – Bądź sobie głupcem prywatnym, skoro już musisz, ale, na imię boskie, nie bądźże publicznym. Myślisz, że potrafisz ich zmusić do pracy, jak będą wolni? Jeden dzień będą pracować, a drugi próżniaczyć. Zdaje ci się, że można trzymać bandę wolnych Murzynów obok plantacji z niewolnikami? Jeżeliś już chciał ich wyzwolić, to nie musisz ich niańczyć do końca życia. Usuń ich z tych stron i weź się do prawa lub medycyny. Albo chodź z kazaniem i przynajmniej zarabiaj na życie tym całym modleniem.

Cass przez rok z górą próbował uprawiać plantację z pomocą swoich wolnych Murzynów, ale musiał przyznać, że ten pomysł jest na nic.

– Wypraw ich z tych stron – mówił mu Gilbert. – A może byś sam poszedł z nimi? Dlaczego nie pojedziesz na Północ?

– Moje miejsce jest tutaj – odparł Cass.

– No to może byś tutaj zaczął głosić abolicję? – zaproponował Gilbert.  
– Rób coś, byle co, ale przestań strugać wariata, próbując uprawiać bawełnę wolnymi Murzynami.

– Może kiedyś będę głosił abolicję – odrzekł Cass. – Nawet tutaj. Ale nie teraz. Nie jestem godzien pouczać innych. Nie teraz. Tymczasem jednak daję przykład. Jeżeli jest dobry, nie będzie stracony. Nic nigdy nie jest stracone.

– Oprócz twojego rozumu – odparł Gilbert i ciężko wymaszerował z pokoju.

W powietrzu pachniało awanturą. Tylko wielkie bogactwo i autorytet Gilberta oraz jego ledwie skrywane, żartobliwe lekceważenie brata uratowało Cassa od ostracyzmu lub czegoś gorszego. („To jego lekceważenie jest dla mnie tarczą – pisał Cass. – Traktuje mnie jak kapryśne, głupie dziecko, które może kiedyś zmańdrzeje i którego nie należy brać poważnie. Dlatego też sąsiedzi moi nie biorą mnie poważnie”). Jednakże

awantura wybuchła. Jeden z Murzynów Cassa miał na pobliskiej plantacji młodą żonę. Kiedy spotkały ją jakieś drobne przykrości od nadzorcy, mąż wykradł ją z plantacji i uciekł. Oboje schwytano nad granicą Tennessee. Murzyna, który stawiał opór, zastrzelono, kobietę przyprowadzono z powrotem.

– A widzisz? – powiedział Gilbert. – Tyłeś zdziałał, że Murzyna zabili, a Murzynkę oćwiczili. Przyjmij moje gratulacje.

Wobec tego Cass załadował swych wolnych Murzynów na statek płynący w górę rzeki i więć się o nich nie usłyszał.

„Patrzyłem na statek wypływający na kanał, obserwowałem koła zmagające się z wartkim prądem i umysł mój ogarniało wzburzenie. Wiedziałem, że ci Murzyni przechodzą z jednej niewoli w drugą i że nadzieje, które w tej chwili żywią, zostaną zniweczone. Całowali moje ręce i płakali z radości, lecz ja nie mogłem uczestniczyć w ich weselu. Nie łudziłem się wcale, że to uczynił dla nich. To, co zrobiłem, zrobiłem dla siebie, ażeby uwolnić mego ducha od brzemienia – brzemienia ich niedoli, ich oczu we mnie utkwionych. Małżonka mego zmarłego przyjaciela poczuła na sobie oczy Phebe i to ją rozwścieczyło, przestała być sobą i sprzedała dziewczynę na poniewierkę. Ja poczułem ich oczy na sobie i wyzwoliłem ich, także na poniewierkę, by nie uczynić czegoś gorszego. Albowiem wielu jest takich, co nie mogą znieść ich oczu na sobie, popadają z desperacji w zło i okrucieństwo. Na przeszło dziesięć lat przed moim pobytem w Lexingtonie żył w owym mieście zamożny prawnik nazwiskiem Fielding L. Turner, który pojął za żonę panią z towarzystwa bostońskiego. Pani ta, Caroline Turner, która nigdy nie miała dokoła siebie czarnych i wychowała się w poglądach przeciwnych instytucji niewolnictwa, wprędce zasłynęła z ohydnych okrucieństw, dokonywanych w przyływie pasji. Cała miejscowa społeczność potępiała chłosty, które ta pani wymierzała własnymi rękami, wydając przy tym,



jak powiadano, krótkie, gardłowe okrzyki. Raz, gdy chłostała służącego w pokojach na piętrze swego wielkiego, pięknego domu, wszedł mały Murzynek i zaczął szlochać. Wtedy chwyciła go i wyrzuciła przez okno, tak że spadł na kamienie i złamał sobie kręgosłup, wskutek czego pozostał kaleką do końca swoich dni. Aby obronić tę panią przed dochodzeniem prawnym i gniewem społeczności, sędzieja Turner osadził ją w domu wariatów. Jednakże później lekarze stwierdzili, że jest zdrowa na umyśle, i zwolnili ją. Mąż w testamencie nie zostawił jej żadnych niewolników, bo jak w nim napisał – byłoby to skazaniem ich na niedolę za życia oraz na rychłą śmierć. Wszelako wystarała się o innych, wśród których był woźnica Mulat, imieniem Richard, łagodny w obejściu, wrażliwy, o miłym usposobieniu. Pewnego dnia kazała go skuć i jęła chłostać. On jednak zerwał się z łańcuchów, którymi był przykuty do muru, chwycił kobietę za gardło i zadusił. Później złapano go i powieszono za morderstwo, choć wielu pragnęło, aby mu ułatwiono ucieczkę. Historię tę opowiadano mi w Lexingtonie. Jedna z dam oświadczyła: «Pani Turner nie rozumiała Murzynów». A druga: «Pani Turner postępowała tak, bo pochodziła z Bostonu, gdzie są abolicjoniści». Ja jednak tego nie pojmowałem. A potem, o wiele później, zaczęłam pojmować. Zrozumiałem, że pani Turner chłostała swoich Murzynów z tej samej przyczyny, z której żona mojego przyjaciela sprzedała Phebe: nie mogła znieść ich oczu na sobie. Rozumiem to, bo sam nie mogę ich znieść. Może tylko taki człowiek jak mój brat Gilbert potrafi pośród zła zachować dość niewinności i siły, by znosić ich spojrzenia i świadczyć odrobinę sprawiedliwości w ramach wielkiej niesprawiedliwości”.

Tak więc Cass, właściciel plantacji, na której nie miał kto pracować, pojechał do Jackson, stolicy stanu, i zajął się nauką prawa. Przed jego odjazdem zjawił się Gilbert i zaproponował, że przejmie plantację i będzie ją uprawiał na zasadzie podziału zysków siłą roboczą ze swego własnego,

dużego majątku. Najwyraźniej wciąż się starał uczynić Cassa bogatym. Ale Cass odmówił, a Gilbert powiedział:

– Jesteś przeciwny, żebym tam użył do pracy niewolników, prawda? No więc pozwól sobie powiedzieć, że jeżeli sprzedasz plantację, będą na niej pracowali niewolnicy. To czarna ziemia i będzie ją nawadniał czarny pot. Cóż więc za różnica, który czarny pot na nią spadnie?

Cass odparł, że nie ma zamiaru sprzedać plantacji. Wtedy Gilbert wpadł w apoplektyczną pasję i ryknął:

– Boże kochany, przecież to jest ziemia, człowieku, nie rozumiesz?! To jest ziemia, a ziemia woła o ludzkie ręce!

Ale Cass nie sprzedał plantacji. Osadził w domu dozorcę i wydzierżawił sąsiadowi kawałek gruntu na pastwisko.

Pojechał do Jackson, przesiadywał do późna nad książkami i obserwował chmury gromadzące się nad krajem. Do Jackson pojechał bowiem jesienią roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego. Dziewiątego stycznia sześćdziesiątego pierwszego roku stan Missisipi uchwalił wystąpienie z Unii. Gilbert był temu przeciwny i pisał do Cassa: „Głupcy! W całym stanie nie ma ani jednej fabryki broni. Głupi są, że się nie przygotowali, jeżeli przewidywali awanturę. Jeśli zaś jej nie przewidzieli, głupi są, postępując tak w obliczu faktów. Głupi, że nie działają teraz na zwłokę i skoro już trzeba, nie przygotowują się do zadania ciosu. A mówiłem ludziom odpowiedzialnym, żeby się przygotowali. Ale to wszystko głupcy”. Na co Cass odpowiadał: „Wiele się modłę o pokój”. Później jednakże napisał: „Rozmawiałem z Frenchem, który, jak wiesz, jest szefem uzbrojenia, i mówił mi, że mają dla wojska tylko stare karabiny, i to skałkowe. Na rozkaz gubernatora Pettusa agenci przetrząsnęły cały stan w poszukiwaniu śruto wek. «Śrutówek – powiedział mi French, odymając wargi. – I to jakich śrutówek», dodał, po czym opisał mi jedną z ofiarowanych dla sprawy: lufę starej strzelby przytwierdzoną drutem do

kawałka cyprysowej listwy wygiętej na końcu. Pewien stary niewolnik oddał dla sprawy swój skarb; nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać?”

Kiedy Jefferson Davis, podawszy się do dymisji w senacie, przybył do Missisipi i objął dowództwo wojsk stanowych w randze generała majora, Cass odwiedził go na prośbę Gilberta. Napisał do brata: „Generał mówi, że dano mu dziesięć tysięcy ludzi, natomiast żadnych nowoczesnych karabinów. Jednakże powiedział również:

– Dali mi bardzo piękny mundur z czternastoma mosiężnymi guzikami z przodu i czarnym aksamitnym kołnierzem. Może będziemy mogli użyć tych guzików jako nabojów do naszych śrutówek – dodał z uśmiechem”.

Cass widział się raz jeszcze z Davisem, gdyż był razem z Gilbertem na pokładzie parowca *Natchez*, na którym nowy prezydent Konfederacji odbywał pierwszy etap podróży ze swej plantacji Brierfield do Montgomery. „Byliśmy na pokładzie statku starego Toma Leathera – zapisał w dzienniku – który miał zabrać prezydenta z przystani położonej o kilka mil poniżej Brierfield. Wszelako pan Davis nie mógł na czas opuścić swego domu, wskutek czego podwieszono go do nas łodzią. Stałem oparty o poręcz i widziałem małą, czarną łódkę zbliżającą się po czerwonawej wodzie. Z tej łódki pomachał do nas ręką jakiś mężczyzna. Kapitan *Natcheza* spostrzegł ten znak i zadął potężnie syreną statku, aż nam zadzwoniło w uszach, a drżący dźwięk poszedł po wodzie. Statek zatrzymał się i łódka podpłynęła. Wzięto pana Davisa na pokład. Gdy parostatek ruszył, pan Davis podniósł rękę, pozdrawiając swojego służącego Murzyna (Isaiaha Montgomery’ego, znanego mi z Brierfield), który stał w łódce kołyszącej się na falach uczynionych przez statek i machał mu ręką na pożegnanie. Później, gdyśmy płynęli w górę rzeki ku urwistym brzegom Vicksburga, pan Davis podszedł do mego brata, z którym stałem na pokładzie. Obaj powitaliśmy go już poprzednio. Teraz brat powtórnie i bardziej poufale złożył powinszowania panu Davisowi,

który odparł, że nie czerpie żadnej przyjemności z zaszczytu, jaki go spotkał.

– Zawsze odnosiłem się do Unii z zabobonnym szacunkiem – powiedział – i na niejednym polu walki chętnie narażałem życie za jej umiłowany sztandar, toteż możecie panowie wyobrazić sobie moje uczucia w tej chwili, gdy przedmiot mego wieloletniego przywiązania został mi odjęty. Obecnie – ciągnął – doznaję jedynie tej smętnej satysfakcji, że mam czyste sumienie. – Potem uśmiechnął się, co rzadko czynił. Następnie przeprosił nas i zszedł pod pokład.

Zauważyłem, jak bardzo wycieńczoną miał twarz na skutek choroby i trosk i jak cienko powlekała kości skóra. Napomknąłem bratu, że pan Davis niedobrze wygląda. Odpowiedział mi:

– To chory człowiek. Ładna historia mieć chorego za prezydenta!

Odrzekłem, że może nie będzie wojny, że pan Davis ma nadzieję na pokój. Jednakże mój brat powiedział:

– Nie łudź się, Jankesi będą się bili, i to bili dobrze, a pan Davis jest niemądry, że ma nadzieję na pokój.

Odparłem:

– Wszyscy dobrzy ludzie mają nadzieję na pokój.

Na to brat wydał jakiś niezrozumiały okrzyk i rzekł:

– Teraz, kiedy już się w to wdano, potrzeba nam nie człowieka dobrego, ale takiego, który potrafi zwyciężyć, mnie zaś nie interesują subtelności sumienia pana Davisa.

Następnie obaj z bratem jeliśmy przechadzać się w milczeniu, a ja rozmyślałem nad tym, że pan Davis jest dobrym człowiekiem. Jednakże teraz, pisząc te słowa, zastanawiam się nad tym, że świat jest pełen dobrych ludzi, a przecież pograża się w mrok i krwawe zaślepienie, choćby i w tej chwili, gdy późną nocą siedzę w pokoju hotelowym w Vicksburgu; toteż sam siebie zapytuję, jaka jest wartość cnót ludzkich. Oby Bóg wysłuchał

naszych modłów”.

Gilbert otrzymał stopień pułkownika w pułku kawalerii. Cass zaciągnął się jako prosty żołnierz do strzelców stanu Missisipi.

– Mógłbyś być kapitanem – powiedział mu Gilbert. – Albo majorem. Masz na to dość oleju w głowie. A diablo mało jest takich, co go mają – dodał.

Cass odparł, że woli być szeregowcem „maszerującym razem z innymi”. Nie mógł jednakże wyjawić bratu przyczyny ani powiedzieć, że chociaż będzie maszerował z innymi i nosił broń, nigdy nie odbierze życia żadnemu wrogowi. „Muszę pomaszerować z tymi, co maszerują – pisał w dzienniku – bo to są nasi i winienem w pełni dzielić ich niedolę. Ale nie mogę odebrać życia innemu człowiekowi. Jakżebym mógł, ja, który odebrałem życie przyjacielowi, odebrać je wrogowi? Już wyczerpałem swoje prawo do krwi”. Tak więc Cass pomaszerował na wojnę, niosąc karabin będący dla niego tylko bezsensownym ciężarem, na piersi zaś, pod szarym sukniem munduru, zawieszoną na sznurku obrączkę, która niegdyś była ślubną obrączką Duncana Trice’a i którą tamtej nocy w altanie Annabelle Trice włożyła mu na palec, trzymając jego rękę na piersi.

Cass pomaszerował do Shiloh między zielonymi polami, był to bowiem początek kwietnia, potem zaś w lasy przesłaniające rzekę. (Rozkwitał właśnie dziki dereń i drzewo judaszowe.). Pomaszerował w lasy, usłyszał świst kul koło głowy, zobaczył zabitych leżących na ziemi, a następnego dnia wyszedł z lasów i ruszył w pośepnym odwrocie ku Corinthowi. Był pewien, że nie przeżyje tej bitwy. Przeżył jednakże i kroczył zatłoczoną drogą jak we śnie. I napisał: „Czułem, że odtąd będę żył jak we śnie”. Sen ten zaprowadził go znowu do Tennessee – do Chickamaugi, Knoxville, Chattanooga, ku bezimiennym utarczkom – a kula, na którą czekał, jakoś go nie znalazła. Pod Chickamaugą, gdy

jego kompania zachwiała się w nieprzyjacielskim ogniu i atak był bliski załamania, Cass wciąż kroczył pod górę, nie mogąc pojąć, że nic mu się nie stało. I ludzie przegrupowali się i poszli za nim. „Dziwne mi się zdawało – pisał – że ja, który za wolą boską szukałem śmierci, nie mogąc jej znaleźć, w tym swoim poszukiwaniu prowadziłem na śmierć ludzi, co zgoła jej nie szukali”. Kiedy pułkownik Hickman złożył mu gratulacje, nie mógł „znaleźć żadnych słów w odpowiedzi”.

O ile jednak nałożył szarą kurtkę w rozterce ducha i w nadziei ekspiacji, o tyle później nosił ją z dumą, bo takie same kurtki nosili ci, z którymi maszerował. „Widziałem, jak ludzie dokonywali czynów odważnych, niczego dla siebie nie żądając” – napisał i dodał: „Nietrudno jest kochać ludzi za to, co potrafią przetrzymać, i za słowa, których nie wypowiadają”. Do dziennika, między modlitwy i wyrazy skrupułów moralnych, coraz częściej wkradały się uwagi zawodowego żołnierza i krytyka dowodzenia (Bragga po bitwie pod Chickamaugą), zadowolenie i nieosobista duma z jakiegoś manewru czy z artylerii („działania baterii Marlowe’a wyśmienite”), a wreszcie podziw dla pozorowanych ataków i akcji opóźniających, dokonanych dzięki mistrzostwu Johnstona na przedpolu Atlanty, pod Buzard’s Roost, Snake Creek Cap, New Hope Church czy górą Kenesaw („zawsze jest jakaś chwała, choćby niebłyskotliwa i przyćmiona, we wszystkim, co ręka ludzka robi dobrze, a generał Johnston robi to dobrze”).

A potem, pod Atlantą, znalazła go kula. Leżał w szpitalu i powoli gnił na śmierć. Ale jeszcze zanim wdało się zakażenie, gdy rana w nodze wydawała się mało poważna, wiedział, że umrze. „Ja umrę – pisał w dzienniku – i będzie mi oszczędzone zakończenie i ostateczna gorycz wojny. Nie uczyniłem w życiu nikomu nic dobrego i widziałem, jak inni cierpią za mój grzech. Nie podaję w wątpliwość sprawiedliwości Boga, który sprawił, że za mój grzech cierpieli inni, bo może być, iż tylko

przez cierpienie niewinnych Bóg ukazuje, że ludzie są braćmi, braćmi w Jego święte imię. Tu, ze mną, w tej izbie, cierpią dziś ludzie zarówno za nie swoje, jak i swoje grzechy. Pokrzepieniem jest świadomość, że ja cierpię za moje własne”. Wiedział nie tylko, że umrze, ale i że wojna jest skończona. „Już się skończyło. Skończyło się wszystko i zostali tylko konający, którzy jeszcze będą konali. Chociaż wrzód zebrał i pękł, musi jeszcze wyciec ropa. Ludzie będą się nadal spotykać i umierać w pospólnej winie człowieczej, w tej winie, co pchnęła ich tutaj z dalekich miejsc i odległych ognisk domowych. Ale Bóg w miłosierdziu swoim oszczędził im końca. Niech będzie błogosławione Jego imię”.

Na tym kończył się dziennik. Był jeszcze tylko ów list do Gilberta, pisany cudzą ręką, podyktowany przez Cassa, gdy nazbyt już zesłabł, by pisać. „Wspomnij mnie, ale bez żalu. Jeżeli któryś z nas jest szczęśliwy, to właśnie ja...”

Atlanta padła. W końcowym zamęcie nie oznaczono grobu Cassa. Ktoś ze szpitala, niejaki Albert Calloway, przechował jego papiery oraz obrączkę, którą Cass nosił na sznurku na szyi, i znacznie później, już po wojnie, przesłał je Gilbertowi Masternowi z uprzejmym listem. Gilbert zachował dziennik, listy Cassa, jego fotografię i obrączkę na sznurku, a po śmierci Gilberta a jego spadkobierca przekazał paczkę Jackowi Burdenowi, badaczowi historii. I tak znalazło się to na małym sosnowym stoliku w sypialni Jacka Burdena, w niechlujnym mieszkaniu, które zajmował razem z dwoma innymi absolwentami, tym pechowym, pracowitym i alkoholikiem i tym szczęściarzem, próżniakiem i alkoholikiem.

Jack Burden przeżył półtora roku z papierami Cassa Masterna. Chciał poznać wszystkie fakty składające się na świat, w którym żyli Cass i Gilbert Masternowie, i faktów tych poznał wiele. I jak mu się wydawało, poznał też Gilberta Masterna. Gilbert Mastern nie prowadził dziennika, ale Jack Burden czuł, że zna tego człowieka o głowie przypominającej

blok nagiego granitu, człowieka, który przeżył z jednego świata w drugi i czuł się u siebie w obydwóch. Natomiast przyszedł taki dzień, kiedy Jack Burden zasiadł przy sosnowym stoliku i uświadomił sobie, że nie zna Cassa Masterna. Nie musiał go znać, żeby otrzymać stopień naukowy; wystarczyło mu na to znać dane o świecie Cassa Masterna. Jednakże bez znajomości Cassa nie mógł zestawić danych o jego świecie. Jack Burden nie powiedział sobie tego wyraźnie. Po prostu przesiadywał noc po nocy przy sosnowym stoliku, wpatrywał się w fotografię i nie pisał nic. Potem wstawał napić się wody i w ciemnej kuchni, ze starym słoikiem od marmolady w ręce, czekał, aż zimna woda napłynie z kranu.

Powiedziałem, że Jack Burden nie mógł zestawić danych o świecie Cassa Masterna, ponieważ Cassa nie znał. Jack Burden nie wyjaśnił sobie ostatecznie, dlaczego nie zna Cassa Masterna. Natomiast ja (który jestem tym, czym stał się Jack Burden) spoglądam wstecz teraz, po latach, i próbuję na to odpowiedzieć.

Cass Mastern przeżył niewiele lat i w ciągu owego czasu zrozumiał, że świat jest z jednej bryły. Zrozumiał, że świat jest jak olbrzymia pajęczyna i że jeżeli jej się dotknie, choćby najlżej, w jakimś punkcie, drgania rozchodzą się aż po najdalsze kręgi, i senny pająk czuje łechtanie, otrząsa się z senności i skacze, aby omotać nitkami tego, kto dotknął pajęczyny, a potem wstrzyknąć mu pod skórę czarny, porażający jad. Nie jest ważne, czyś chciał, czy nie chciał dotknąć tej pajęczyny świata. Twoja bez troska stopa czy też wesołe skrzydło mogły ją musnąć za ledwie, ale to, co się stało, zawsze się staje i wtedy widzisz pająka o czarnej brodzie i wielkich, siatkowatych ślepiach, błyszczących jak lustro w słońcu albo jak oko Boga, z ociekającymi jadem żądlami.

Ale jakże mógł to pojąć Jack Burden, będąc tym, czym był? Mógł odczytywać słowa pisane przed wielu laty w pustym domu na plantacji, kiedy Cass Mastern wyzwolił swoich niewolników, albo w pokoju



adwokata w Jackson w stanie Missisipi, albo przy świetle świecy w pokoju hotelowym w Vicksburgu po rozmowie z Jeffersonem Davisem bądź przy dogasającym ognisku na jakimś biwaku, kiedy na ziemi leżały wyciągnięte postacie ludzkie, a noc wokoło wypełnił powolny, smutny poszept, podobny do wiatru muskającego sosny, który jednakże nie był szumem wiatru między sosnami, lecz oddychaniem tysięcy śpiących ludzi.

Jack Burden mógł odczytywać te słowa, ale jakże miał je zrozumieć? Dla niego były tylko słowami, bo świat przedstawiał mu się wtedy po prostu jako nagromadzenie jakichś szczątków podobnych do połamanych, popsutych i zakurzonych przedmiotów zebranych na strychu. Albo też był strumieniem rzeczy przepływających mu przed oczami (czy za oczami) i w ostatecznym wyniku żadna z nich nie miała nic wspólnego z czymkolwiek innym.

Albo może odłożył dziennik Cassa Masterna nie dlatego, że nie mógł go zrozumieć, ale że bał się zrozumieć, bo to, co mógłby zrozumieć, było dla niego wyrzutem.

Tak czy owak odłożył dziennik i wkroczył w jeden z okresów Wielkiego Snu. Wracał do domu wieczorem, a ponieważ wiedział, że nie będzie mógł pracować, więc kładł się od razu do łóżka. Spał po dwanaście, czternaście, piętnaście godzin i śpiąc, czuł, jak zapada się w sen coraz głębiej i głębiej, niczym nurek opuszczający się w ciemną wodę, wymacujący coś, co może tam być i co by błyszczało, gdyby w głębinie było światło, którego nie ma. A potem, rano, leżał w łóżku, niczego nie pragnąc, nawet nie czując głodu, i słuchał drobnych odgłosów świata, które wkradały się i wsączały do pokoju pod drzwiami, przez szkło, przez szpary w ścianach, przez pory drewna i tynku. I wtedy myślał: „Jeżeli nie wstanę, nie będę mógł wrócić do łóżka”. Wstawał więc i wychodził na świat, który wydawał mu się bardzo obcy, ale obcością dręczącą, jak świat

dzieciństwa, do którego wraca człowiek stary.

A potem, któregoś rana, wyszedł na ten świat i nie wrócił więcej do pokoju i sosnowego stolika. Czarne bruliony dziennika, obrączka, fotografia, paczka listów zostały tam obok grubego stosu kartek rękopisu – dzieł wszystkich Jacka Burdena – których rogi zaczynały już zwijać się pod przyciskiem.

W kilka tygodni później gospodyni przesłała mu za pobraniem dużą paczkę zawierającą materiały pozostawione na małym sosnowym stoliku. Paczka ta, nie otwierana, wędrowała z nim z jednego umeblowanego pokoju do drugiego, do mieszkania, które przez pewien czas zajmował ze swoją piękną żoną, Lois, póki nie przyszła chwila, gdy wyszedł po prostu za drzwi i więcej nie wrócił, do innych umeblowanych pokoi i pokoi hotelowych – duża kwadratowa paczka zawinięta w żółknący brązowy papier, obwiązana rozluźnionym sznurkiem, z blaknącym powoli napisem: „Pan Jack Burden”.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

Taki był koniec mojej pierwszej wyprawy w uroki przeszłości, moich pierwszych badań historycznych. Jak już wspomniałem, nie bardzo się to udało. Natomiast druga praca stała się sensacyjnym sukcesem. Była to *Sprawa Szlachetnego Sędziego* i miałem wszelkie powody wieszować sobie dobrze wykonanej roboty. Ta doskonała praca badawcza nosiła na swej technicznej doskonałości tylko jedną skazę: miała pewne znaczenie.

Jak powiedziałem, wszystko zaczęło się od tego, że Szeff, siedząc w pędzącym przez noc czarnym cadillacu, powiedział do mnie (do tego Mnie, który byłem tym, czym stał się Jack Burden, badacz historii): „Zawsze coś jest”.

A ja powiedziałem: „Może nie na sędziego”.

A on rzekł: „Człowiek poczęty jest w grzechu, a zrodzony w nieprawości, i przechodzi od odoru pieluch do smrodu całunu. Zawsze coś jest”.

Czarny cadillac huczał, pędząc poprzez noc, opony syczały po asfalcie, a obok przemykały czarne pola przegowane mgłą. Cukierek prowadził pochylony nad kierownicą, która wydawała się za duża dla niego, a Szeff siedział wyprostowany obok na przednim siedzeniu. Widziałem ciemną bryłę jego głowy na tle tunelu światła, którym gnaliśmy. A potem się zdrzemnąłem.

Obudziło mnie hamowanie. Uświadomiłem sobie, że jesteśmy z powrotem na farmie Starka. Wylazłem z wozu. Szeff już stał w ogrodzie, zaraz za bramą, w świetle gwiazd; Cukierek zamykał na klucz drzwiczki auta.

Kiedy znalazłem się w ogrodzie, Szeff powiedział:

– Cukierek prześpi się na dole, na tapczanie, a dla ciebie jest przygotowane składane łóżko na górze, drugie drzwi w lewo od schodów. Lepiej pokimaj trochę, bo jutro zaczynasz wygrzebywać to, co popuścił sędzia.

– Długie będzie to grzebanie – powiedziałem.

– Słuchaj – odrzekł. – Jeżeli nie chcesz tego robić, to nie musisz. Zawsze mogę opłacić kogoś innego. A może chciałbyś podwyżkę?

– Nie, nie chcę podwyżki – odparłem.

– Podnoszę ci o sto miesięcznie, czy chcesz, czy nie chcesz.

– Daj to na kościół – powiedziałem. – Gdybym chciał pieniędzy, znalazłbym łatwiejszy zarobek niż przy tobie.

– Więc pracujesz dla mnie, bo mnie kochasz? – rzekł Szeff.

– Nie wiem, czemu dla ciebie pracuję, ale nie dlatego, że cię kocham. I nie dla pieniędzy.

– Nie – odparł, stojąc w ciemnościach. – Ty nie wiesz, czemu dla mnie pracujesz. Ale ja wiem – rzekł i roześmiał się.

Cukierek wszedł do ogrodu, powiedział: „Dobranoc” i ruszył do domu.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Chłopie – odparł – bo ja jestem taki, a nie inny, a ty jesteś taki, a nie inny. To jest układ wynikający z samej natury rzeczy.

– Cholernie wspaniałe wytłumaczenie.

– Nie żadne wytłumaczenie – odrzekł i roześmiał się znowu. – Nigdy nie ma wytłumaczenia. Niczego. Można tylko wskazać naturę pewnych rzeczy. Jeżeli jest się dość byстрыm, żeby ją widzieć.

– Ja nie jestem dość bystry – powiedziałem.

– Dość bystry, żeby wygrzebać to, co jest na sędziego.

– Może nic nie być.

– Bzdury – odparł. – Idź się położyć.

– A ty się nie kładziesz?

– Nie – odpowiedział i zostawiłem go idącego w ciemnościach, przez ogród, z głową lekko pochyloną, z rękami założonymi na plecy, stąpającego tak swobodnie, jak gdyby wyszedł przespacerować się po parku w niedzielne popołudnie. Ale to nie było popołudnie: była trzecia piętnaście nad ranem.

Na górze położyłem się na tapczanie, ale nie usnąłem od razu. Myślałem o sędzim Irwinie. O tym, jak tej nocy spojrział na mnie oczami osadzonymi w wysoko sklepionej starej głowie, jak te żółte oczy zabłyśły, a wargę podwinęła się nad mocnymi, starymi, pożółkłymi zębami, kiedy mówił „W tym tygodniu będę na kolacji z twoją matką. Czy mam jej powiedzieć, że twoja posada wciąż ci się podoba?”

Jednakże minęło to szybko i zobaczyłem go w długim salonie białego domu nad morzem, pochylonego nad szachownicą, naprzeciw Uczonego Adwokata – i nie był wtedy stary, był młodym mężczyzną o wyniosłej, orlej, rumianej twarzy, zamyślonym nad szachami. To jednak też nie trwało długo i owa twarz pochylili się ku mnie między wysokimi łądogami szarej bagiennej trawy, w wilgotnym, szarym, chłodnym świetle, i powiedziała: „Powinieneś być bardziej poprowadzić łufą tę kaczkę, Jack. Kaczkę trzeba prowadzić, synu. Ale jeszcze zrobię z ciebie dobrego strzelca do kaczek”. I twarz się uśmiechnęła. A ja chciałem przemówić i spytać: „Czy jest coś, sędzio? Czyja coś znajdzie?” Lecz twarz tylko się uśmiechała, a ja zasnąłem. Zanim zdążyłem powiedzieć cokolwiek, zasnąłem w środku tego uśmiechu.

A potem przyszedł nowy dzień i zabrałem się do wykopywania zdechłego kota, wydłubywania robaka z sera, wyszukiwania liszki na róży, odnajdywania martwej muchy pośród rodzyneków ryżowego puddingu.

Znalazłem to.

Ale nie od razu. Jeżeli się tego szuka, nie znajduje się od razu. Leży

to zagrzebane pod smutnymi okruchami czasu, tam gdzie bez wątpienia powinno być. Zresztą nie chcesz tego znaleźć od razu, przynajmniej jeżeli jesteś badaczem historii. Gdybyś znalazł od razu, nie miałbyś sposobności zastosowania swojej techniki. Natomiast ja miałem sposobność zastosowania mojej techniki.

Pierwszy krok zrobiłem następnego popołudnia, siedząc w piwiarni w mieście, otoczony barykadą pustych butelek po piwie. Zapaliłem kolejnego papierosa od niedopałka poprzedniego i zadałem sobie następujące pytanie: „Jakie przyczyny, wyłączwszy grzech pierworodny, najbardziej skłaniają człowieka do występku?”

Odpowiedziałem: „Ambicja, miłość, strach, pieniądze”.

Zapytałem: „Czy sędzia jest ambitny?”

Odpowiedziałem: „Nie. Człowiekiem ambitnym jest ten, kto chce, żeby inni mieli go za kogoś wspaniałego. Sędzia wie, że jest wspaniały, i nie dba, co myślą inni ludzie”.

Zapytałem: „A miłość?”

Byłem zupełnie pewny, że sędzia miał swoje przygody, ale byłem także pewny, że nikt w okolicy Landing nie wie nic na ten temat. Bo jeśli ktoś w małym miasteczku ma coś na kogoś, nie trzeba długo czekać, żeby się wszyscy dowiedzieli.

Zapytałem: „Czy sędzia jest człowiekiem, który może łatwo się zląknąć?”

Odpowiedziałem: „Nie lęka się łatwo”.

Zostawały więc pieniądze. Zapytałem wobec tego: „Czy sędzia kocha pieniądze?”

„Sędzia chce tylko tyle pieniędzy, żeby mu się dobrze żyło”.

Zapytałem: „Czy była kiedyś taka chwila, gdy sędzia nie miał dosyć pieniędzy, żeby mu się dobrze żyło?” Ale to naturalnie nie był łatwy orzech do zgryzienia.

Zapaliłem następnego papierosa i zacząłem obracać w myśli to pytanie. Nie znałem odpowiedzi. Jakiś głos z czasów mego dzieciństwa szeptał mi coś, ale nie mogłem uchwycić, co mówi. Doznawałem niejasnego wrażenia, napływającego z głębi czasu i ze mnie samego, że jestem dzieckiem, że wchodzę do pokoju, gdzie są dorośli, i wiem, że właśnie w tej chwili zamilkli, ponieważ wszedłem, a nie powinienem wiedzieć, o czym rozmawiają. Czy wtedy słyszałem, o czym mówili? Nasłuchiwałem głosu szepczącego mi coś z dzieciństwa, ale ten głos był bardzo daleki. Nie mógł mi dać odpowiedzi. Wstałem więc od stolika, zostawiłem puste butelki po piwie i niedopałki papierosów i wyszedłem na ulicę, która jeszcze parowała po przedwieczornej ulewie niczym łaźnia turecka i na której opony samochodów syczały gorąco, tocząc się po warstewce wilgoci pokrywającej asfalt. W szczęśliwym przypadku mógł później od zatoki nadlecieć powiew. W szczęśliwym przypadku.

W końcu złapałem taksówkę, powiedziałem: „Róg Piątej Południowej i St. Etienne” – i opadłem na skórzane poduszki, słuchając syczenia opon toczących po wilgotności, przypominającego skwierczenie czegoś na patelni. Jechałem ku odpowiedzi w sprawie sędziego. Jeżeli człowiek, który znał odpowiedź, zechciałby mi ją wyjawić.

Człowiek ów był niegdyś przez wiele lat bliskim przyjacielem sędziego, jego drugim ja, jego Damonem, jego Jonatanem, jego bratem. Człowiek ów był niegdyś Uczonym Adwokatem. Powinien był wiedzieć.

Stałem na chodniku przed meksykańską restauracją, gdzie od dźwięków szafy grającej drgało galaretowate powietrze, zapłaciłem za taksówkę i obróciłem się, by spojrzeć na trzecie piętro budynku, który wibrował wokół grającej szafy. Widniały tam wciąż wywieszki przyćpione drutem do żelaznego balkonika, przybite do muru – drewniane tablice pomalowane na różne kolory, jedne na białą, inne na niebiesko, jeszcze inne czarne albo zielone, z literami w kontrastujących

z tłem barwach. Wielki napis zwisający z balkonu głosił: „Z Boga się nie drwi”. Inny mówił: „Już nadszedł dzień Zbawienia”.

Aha, powiedziałem do siebie. Więc on tu ciągle mieszka. Mieszkał tam, nad jakąś latynoską knajpą, gołe murzyńskie dzieciaki bawiły się na sąsiedniej ulicy wśród wygłodniałych kotów, Murzynki siadywały na schodkach, gdy słońce się zniżyło, i wachlowały się powoli wachlarzami z palmowych liści. Gotując się do wejścia na schody, sięgnąłem po papierosy, ale stwierdziłem, że już ich nie mam. Zaszedłem więc do restauracji, gdzie szafa zgrzytliwie kończyła swoje granie.

Zwróciłem się do starej kobiety, która stała za kontuarem, przysadzista jak beczka, i miała krzaczaste brwi bielejące na tle smagłej meksykańskiej skóry i czarnego *rebozo* i powiedziałem:

– *Cigarillos?*

– *Que tipo?* – zapytała.

– Lucky – odpowiedziałem, a kiedy je przede mną położyła, wskazałem palcem w górę i spytałem:

– Ten stary jest na piętrze? – Jednakże widziałem, że nie rozumie, zapytałem więc: – *Esta arriba el viejo* – i poczułem zadowolenie z siebie, że mi to wyszło.

– *Quien sabe?* – odparła. – *Viene y va.*

A więc przychodził i wychodził. W sprawach bożych. Wtedy z cienia w głębi baru jakiś głos odezwał się znośną angielszczyzną:

– Stary teraz wyszedł.

– Dziękuję panu – odrzekłem staremu Meksykaninowi, który tam siedział na krześle. Obróciłem się do kobiety, powiedziałem: – Niech mi pani da piwa – i wskazałem kurek.

Popijając piwo, podniosłem wzrok nad kontuar i zauważyłem jeszcze jeden z tych napisów, wymalowany na dużym kawale dykty czy czegoś takiego i zawieszony na gwoździu. Tło miał jaskrawoczerwone, w górnych



rogach niebieskie, kwieciste zawijasy, litery czarne z naniesionymi białą farbą refleksami światła. Głosił: „Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się królestwo niebieskie – Mat. 3, 2”.

Pokazałem napis.

– *De el?* – spytałem. – Tego starego, co?

– *Si, señor* – odparła kobieta. A potem dodała ni stąd, ni zowąd: – *Es como un santito.*

– Może sobie być święty – zgodziłem się. – Ale jest także stuknięty.

– Stukaj enty?

– *Es loco* – wyjaśniłem. – *Es* stuknięty.

Nic na to nie odrzekła i dalej popijałem piwo, dopóki stary Meksykanin w głębi baru nie powiedział nagle:

– Patrz pan, idzie!

Obróciwszy się, zobaczyłem przez mętne szyby drzwi czarno ubraną postać; potem drzwi rozwarły się i wszedł, wyglądający starzej, niż go zapamiętałem, z białymi kosmykami włosów zwisającymi wilgotnie spod starej panamy, w niebezpiecznie przekrzywionych stalowych okularach, za którymi były wyblakłe oczy, z ramionami przygarbionymi i jakby obciążniętymi od bezwstydnego, naprężającego, żalosego ciężaru brzucha, który był jak ciężka taca czy torba noszona na barkach przez wędrownego przekupnia z rogu ulicy. Czarna marynarka nie dopinała się na brzuchu.

Stał, wpatrując się we mnie z powagą przymrużonymi oczami, najwyraźniej mnie nie poznając, ponieważ wszedł z resztek światła słonecznego w półmrok restauracji.

– Dobry wieczór, *señor* – powiedział stary Meksykanin do Uczonego Adwokata.

– *Buenas tardes* – odezwała się kobieta.

Uczony Adwokat zdjął panamę, obrócił się do kobiety i skłonił lekko

ruchem głowy, który nagle wywołał w mym umyśle obraz podłużnego pokoju w białym domu nad morzem, a w tym pokoju obraz człowieka, tego samego, a jednak innego, młodszego, z jeszcze nie siwymi włosami.

– Dobry wieczór – odpowiedział kobiecie, a potem, zwracając się do Meksykanina, powtórzył: – Dobry wieczór panu.

Stary Meksykanin wskazał mnie i rzekł:

– On czeka.

Wtedy Uczony Adwokat bodaj po raz pierwszy naprawdę mnie zauważył. Ale nie poznał mnie, tylko patrzył, mrużąc oczy w półmroku. Z pewnością nie miał powodu spodziewać się mnie tutaj.

– Dzień dobry – odezwałem się. – Nie poznajesz mnie?

– Owszem – odrzekł i dalej mi się przypatrywał. Podał mi rękę, a ja ją uścisnąłem. Była lepka.

– Wyjdźmy stąd – powiedziałem.

– Chce pan chleba? – zapytał stary Meksykanin. Uczony Adwokat obrócił się do niego.

– Tak, dziękuję. Jeżeli można.

Meksykanin wstał, poszedł na koniec kontuaru, wziął napełnioną czymś sporą torbę z brunatnego papieru i podał mu ją.

– Dziękuję – powiedział Uczony Adwokat. – Bardzo panu dziękuję.

– *De nada* – odrzekł Meksykanin z ukłonem.

– Życzę panu dobrej nocy – powiedział Uczony Adwokat i skłonił się mężczyźnie, potem kobiecie ruchem głowy, który znowu wywołał we mnie dawne wspomnienia pokoju w białym domu nad morzem.

Wyszedłem za nim z restauracji na ulicę. Po drugiej stronie był mały parczek, gdzie wydeptana, pożółkła trawa polśniewała teraz od wilgoci, gdzie na ławkach siedzieli włóczędzy, gołębie gruchały głosem miękkim jak spokojne sumienie i sadyły delikatne, białe jak wapno kupki na cemencie dokoła fontanny. Spojrzałem na gołębie, potem na rozchyłoną

torbę, która, jak zauważyłem, była pełna skórek chleba.

– Będziesz karmił gołębie? – zapytałem.

– Nie, to dla George’a – odparł, ruszając w stronę wejścia na piętro.

– Masz psa?

– Nie – odrzekł, wprowadzając mnie do sieni, a potem na drewniane schody.

– Więc cóż to jest ten George? Papuga?

– Nie – odpowiedział zasapany, bo schody były strome. – George to nieszczęśliwy człowiek.

Przypomniałem sobie, że to oznacza włóczęgę. Nieszczęśliwy jest to włóczęga, który ma tyle szczęścia, że trafia do domu „mięczaka” i tam już zostaje. Jeżeli otrzyma dobre posłanie, awansuje z włóczęgi na nieszczęśliwego. Uczony Adwokat już nieraz przyjmował do siebie nieszczęśliwych. Jeden taki nieszczęśliwy pobił organistę z misji, w której działał Uczony Adwokat. Inny nieszczęśliwy zwędził mu zegarek i kluczyk Phi Beta Kappa.

A więc George był jeszcze jednym nieszczęśliwym. Spojrzałem na chleb i powiedziałem:

– Cóż, musi być bardzo nieszczęśliwy, jeżeli to jest wszystko, co ma do jedzenia.

– Zjada trochę tych skórek – odrzekł Uczony Adwokat. – Ale to jest właściwie przypadkowe. Używa ich do swojej roboty. Tylko że coś tam z pewnością dostaje mu się do żołądka i dlatego nie jest nigdy głodny. Poza tym ma apetyt na słodycze – dodał.

– Jakże, na imię boskie, może używać skórek do swojej roboty tak, żeby jednocześnie dostawały mu się do żołądka?

– Nie bierz imienia Pana nadaremno – odparł i dodał: – Robota George’a jest bardzo przemyślna. I artystyczna. Zobaczysz.

Zobaczyłem. Wdrapaliśmy się na piętro, skręciliśmy w wąski korytarz

pod splekany szklanym świetlikiem i weszli w jakieś drzwi. W kącie dużego, skąpo umeblowanego pokoju na kawałku starego koca siedział po turecku ktoś, w kim domyśliłem się George'a. Przed sobą, na podłodze, miał dwie spore miseczki i duży arkusz dykty o wymiarach mniej więcej dwie stopy na cztery. Kiedy weszliśmy, podniósł oczy i powiedział:

– Już nie mam chleba.

– Proszę – odrzekł Uczony Adwokat i podał mu brunatną torbę.

George wysypał skórki do jednej z misek, wsadził sobie kawałek do ust i zaczął żuć spokojnie i metodycznie. Był dosyć roslym, muskularnym mężczyzną z diabelnie tęgim karkiem, a kiedy żuł, ścięgni na szyi poruszały mu się i napinały równomiernie. Miał resztki blond włosów i gładką, płaską twarz o niebieskich oczach. Żując, wpatrywał się prosto przed siebie w jakiś punkt po drugiej stronie pokoju.

– Po co on to robi? – spytałem.

– Robi anioła.

– No, no! – rzekłem. I właśnie w tej chwili George pochylił się nad drugą miseczką i wypluł do niej przeżuty gruntownie kawałek chleba. Potem włożył do ust następną skórkę.

– Tu jest jeden już wykończony – powiedział Uczony Adwokat, wskazując kąt pokoju, gdzie stała druga dykta oparta o ścianę. Podeszedłem, żeby ją obejrzyć. Na jednym końcu widniała postać anioła ze skrzydłami w rozwianej szacie, wykonana w płaskorzeźbie z czegoś, co przypominało kit. – Ten teraz schnie – ciągnął Uczony Adwokat. – Jak dobrze wyschnie, George go pomaluje. A potem pociągnie szelakiem. Później pomaluje się dyktę i da na niej motto.

– Bardzo ładne – powiedziałem.

– On robi także posążki aniołów. Zobacz. – Podeszedłszy do szafki kuchennej, otworzył ją, ukazując półkę zastawioną dzbankami i talerzami oraz drugą, na której stały szeregiem jaskrawe anioły.

Obejrzałem je. Tymczasem Uczony Adwokat wyjął z szafki blaszankę zupy, bochenek chleba i trochę rozmiękłego masła, postawił to na stole pośrodku pokoju i zapalił jeden z dwóch palników na stojącej w kącie kuchence gazowej.

– Zjesz ze mną kolację? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odrzekłem i dalej przypatrywałem się aniołom.

– On czasem je sprzedaje na ulicy – mówił, nalewając zupę do rondla – ale nie cierpi sprzedawać tych najlepszych.

– Czy te są właśnie najlepsze? – spytałem.

– Tak – odparł Uczony Adwokat. I dodał: – Wcale nieźle, prawda?

– Aha – odpowiedziałem, bo nie było nic innego do powiedzenia. A potem, spojrzawszy na artystę, zapytałem: – Czy on wyrabia tylko anioły? A laleczki albo pieski?

– Tylko anioły. Ze względu na to, co się stało.

– A co się stało?

– Jego żona – odparł Uczony Adwokat, mieszając zupę w rondlu. – Robi anioły ze względu na nią. Bo wiesz, oboje pracowali w cyrku...

– Nie, nie wiem.

– Tak, byli... jak to się mówi... akrobatami. Ona wykonywała numer anioła. George opowiada, że miała duże białe skrzydła.

– Białe skrzydła – wy marniał George, żując chleb, ale to wyszło jak „bałe skydua”. Zatrzepotał wielkimi dłońmi niby skrzydłami i uśmiechnął się.

– Zlatywała kawał w dół z tymi białymi skrzydłami, trzepoczącymi, jak gdyby fruwała – ciągnął Uczony Adwokat, wyjaśniając cierpliwie.

– I któregoś dnia pękła linka – podpowiedziałem.

– Coś się popsuło w urządzeniu. George to odczuł bardzo głęboko.

– A ona jak to odczuła? Stary pan zignorował mój żart.

– Zrobiło się z nim coś takiego, że nie mógł odgrywać swojego

numeru.

– Co to był za numer?

– Występował jako człowiek, którego wieszają.

– A! – powiedziałem i zerknąłem na George’a. To zapewne dlatego ta gruba szyja. Spytałem: – Czy urządzenie zepsuło się także jemu i przydławiło go albo co?

– Nie – odrzekł Uczony Adwokat. – Cała sprawa po prostu mu obrzydła.

– Obrzydła?

– Tak, obrzydła. Doszło do tego, że nie mógł wykonywać z zadowoleniem swojego wybranego zawodu. Ilekroć zasypiał, śniło mu się, że spada. I moczył się w łóżko jak dzieciak.

– Spada, spada – wymamlał, żując chleb George, co wyszło, jak „spaa, spaa”. Wciąż jednakże uśmiechał się wesoło.

– Któregoś dnia wszedł z pętlą na szyi na tę swoją platformkę i nie mógł skoczyć. W ogóle nie mógł się ruszyć. Przycupnął na niej i zaczął płakać. Musieli go stamtąd zdjąć i ściągnąć na dół – rzekł Uczony Adwokat. – Potem przez jakiś czas był kompletnie sparaliżowany.

– Widać, że ten numer z wieszaniem musiał mu porządnie obrzydnąć, jak to pięknie powiedziałeś – rzekłem.

– Był kompletnie sparaliżowany – powtórzył, nie zwracając uwagi na moje dowcipy. – Bez żadnej przyczyny fizycznej... jeżeli... – Przerwał. – Jeżeli cokolwiek dzieje się z przyczyn fizycznych. Bo świat fizyczny, chociaż istnieje i jego istnienia nie można bez bluźnierstwa negować, nie jest nigdy przyczyną, tylko skutkiem, tylko objawem, gliną pod palcem garncarza, a my... – Przerwał znowu, błysk, który na chwilę pojawił się w jego wyblakłych oczach, przygasł, a ręce, które zaczęły gestykulować, opadły. Pochylił się nad kuchenką i zamieszał zupę. – Coś mu się popsło tutaj. – Przyłożył palec do czoła. – W jego duchu. Duch jest zawsze

przyczyną... powiadam ci... – Zamilkł, potrząsnął głową, popatrzył na mnie i dorzucił smutnie: – Ale ty tego nie rozumiesz.

– Chyba nie – przyznałem.

– Przyszedł do siebie po tym paraliżu – mówił. – Ale właściwie nie jest z nim dobrze. Nie może znieść wysokości. Za nic nie wyjrzy przez okno. Zakrywa oczy rękami, kiedy go sprowadzam po schodach na ulicę, żeby sprzedawał swoje artystyczne dzieła. Toteż sprowadzam go teraz rzadko. Nie usiądzie na krześle ani nie uśnie na łóżku. Musi być zawsze na podłodze. Nie lubi stać. Nogi wprost uginają się pod nim i zaczyna płakać. Całe szczęście, że zawsze miał te artystyczne skłonności. To mu pomaga oderwać myśli od różnych rzeczy. I modli się dużo. Nauczyłem go się modlić. To mu pomaga. Ja wstaję i modłę się, a on powtarza za mną pacierze. Wtedy jak budzi się w nocy z tych snów i nie może zasnąć.

– Czy dalej moczy się w łóżko? – spytałem.

– Czasami – odpowiedział poważnie Uczony Adwokat.

Spojrzałem na George'a. Płakał cicho, łzy ściekały mu po gładkich, płaskich policzkach, ale szczęki nie przestały żuć ani na chwilę.

– Patrz na niego – rzekłem. Uczony Adwokat spojrzał.

– Głupiec! Głupiec! – mruknął z irytacją, potrząsając głową, tak że kilka dodatkowych łusek łupieżu opadło na czarny sukieny kołnierz. – Głupiec ze mnie, że tak gadam, kiedy on słucha. Głupiec... Jestem stary, a zapominam... – I cmokając, mrużąc i wciąż potrząsając z irytacją głową, nalał zupy do miski, wziął łyżkę i podszedł do George'a. – Patrz, patrz – powiedział i pochylił się z łyżką zupy skierowaną ku jego twarzy. – To dobre, dobra zupa... zupa... zjedz trochę zupy.

Ale łzy wciąż płynęły z oczu George'a, który nie otworzył ust. Natomiast szczęki przestały żuć chleb. Były teraz mocno zaciśnięte.

Stary pan postawił miskę na podłodze i wciąż trzymając w jednej ręce łyżkę przytkniętą do ust George'a, drugą poklepał go uspokajająco po

plecach, wydając ciche, podniecone, kokoszę, macierzyńskie kwoktania. Nagle podniósł na mnie wzrok znad zsuniętych okularów i powiedział zrzędnym tonem, jak matka: – Już nie wiem, co robić... Nie chce jeść zupy... Nic nie chce jeść oprócz cukierków, czekoladek... Po prostu nie wiem... – Zamilkł.

– Może go psujesz – powiedziałem.

Odłożył łyżkę do miski stojącej na podłodze i zaczął szperać w kieszeniach. W końcu wyłowił tabliczkę czekolady Hersheya, rozmiękkłą od ciepła, i zaczął zdejmować z niej lepłą cynfolię. Ostatnie lzy spływały po policzkach George'a, kiedy się temu przyglądał z ustami wilgotnie rozwartymi w radosnym oczekiwaniu. Nie wyciągnął jednak po tabliczkę swoich pękatych łap.

Stary pan odłamał kawałek czekolady, wsunął go między oczekujące wargi i zajrzał w twarz George'a, w którego wewnętrznym mroku zapewne rozgorzały teraz brodawki smakowe, gruczoły ze znużonym, słodkim, pełnym ulgi westchnieniem wypuściły soki, a sama twarz przybrała wyraz powoli kiełkującego, głębokiego, wewnętrznego szczęścia niczym oblicze świętego.

„Cóż – o mało nie powiedziałem do starego pana – mówiłeś, że nigdy nie ma przyczyn fizycznych, a przecież tabliczka czekolady to rzecz fizyczna i patrz, co wywołała. Bo widząc tę twarz, można pomyśleć, że sprawił to nie kęs Hersheya, lecz kęs Jezusa. I jakże to odróżnić, co?”

Ale nie powiedziałem tego, bo patrzyłem na starego pana, który stał pochylony, z obwisającymi na nosie okularami, z obwisłą marynarką, z brzuchem obwisłym od tego pochylenia, i który trzymał w wyciągniętej ręce drugi kawałek czekolady, kwoktał z cicha i miał twarz szczęśliwą – bo to było właściwe słowo na określenie jego twarzy – i patrząc na niego, zobaczyłem nagle człowieka w długim, białym pokoju nad morzem, tego samego, a jednak innego; deszcz, niesiony szkwałem od morza o



wczesnym zmierzchu, siekł w szyby, ale ten odgłos był miły i bezpieczny, bo ogień tańczył w kominku i na szybach, po których spływał deszcz, znacząc nitkami srebra czarne jak noc tafle szkła i mieszając to srebro z blaskiem ognia, a człowiek ów pochylał się, trzymając coś w wyciągniętej ręce, i mówił: „Patrz, co tatuś ci dzisiaj przyniósł. Ale ugryź tylko raz – i odłamywał kawałek, i podawał go, ciągnąc: – Tylko raz, bo kolacja już prawie gotowa... za to po kolacji...”

Spojrzałem teraz na starego pana i zrobiło mi się ciepło w środku, i coś mi stopniało w piersi – jak gdybym nosił tam jakąś bryłę tak długo, że już do niej przywykłem i nie czułem jej, dopóki nagle nie zniknęła i nie odetchnąłem swobodnie.

– Ojczy – odezwałem się. – Ojczy...

Stary pan podniósł na mnie wzrok i zapytał gderliwie:

– Co... co powiedziałaś?

Ach, ojczy, ojczy! Ale teraz już nie stał w długim, białym pokoju nad morzem i nie miał do niego wrócić, bo wyszedł stamtąd – czemu? czemu? – dlatego że nie był na tyle mężczyzną, aby kierować własnym domem, że był głupcem, że... i przebył długą drogę, i wszedł po schodach do tego pokoju, gdzie stary człowiek pochylał się z czekoladą w ręce, ze szczęściem – jeżeli to było szczęście – przelotnie odmalowanym na twarzy. Tylko że teraz już w niej nie było szczęścia. Było jedynie lekkie rozdrażnienie starego człowieka, który nie bardzo zrozumiał, co do niego powiedziano.

Ale i ja też przebyłem długą drogę od tamtego białego pokoju nad morzem, wstałem z owego dywanika przed kominkiem, gdzie siadywałem z moim blaszanym wozem cyrkowym, moimi kolorowymi kredkami i papierem, słuchając, jak deszcz niesiony szkwałem stuka po szybach, i gdzie ojciec pochylał się, mówiąc: „Patrz, co tatuś ci dzisiaj przyniósł” – i znalazłem się tu, w tym pokoju, w którym Jack Burden stał oparty o

ścianę, z papierosem w zębach. Nikt nie pochylał się teraz nad nim, by mu dać czekoladę.

Toteż spojrzawszy w twarz starego pana, odpowiedziałem mu na to gderliwe pytanie:

– A nic.

Bo tak było. Cokolwiek się zdarzyło, nie zostało z tego już nic. Bo co było niegdyś, nie jest już teraz, a co jest teraz, nie będzie potem, piana zaś, która tak lśni w słońcu, gdy wiatr napędza fale, zalega po odpływie smugami na twardym piasku i przypomina pomyje.

No cóż, jednak coś zostało: pomyje na twardym piasku. Więc powiedziałem:

– Owszem, coś było. – Co?

– Opowiedz mi o sędzim Irwinie.

Wyprostował się i stanął naprzeciw mnie, mrugając zza okularów wyblakłymi oczami, tak jak mrugał, kiedy wszedł ze światła w półmrok meksykańskiej restauracji na dole.

– Sędzia Irwin – powtórzyłem. – No wiesz... Twój stary druh.

– To było dawno temu – zachrypiał, spoglądając na mnie, trzymając w ręce ułamany kawałek czekolady.

– Jasne, że dawno – odparłem i patrząc na niego, pomyślałem: Jak Boga kocham, dawno. I powiedziałem: – Jasne, ale przecież pamiętasz.

– Tamte czasy umarły – rzekł. – Aha. Ale ty nie.

– Ten grzeszny człowiek, którym kiedyś byłem, sięgający po próżność i zepsucie, już umarł. Jeżeli teraz grzeszę, to ze słabości, nie z woli. Odrzuciłem wszelki brud.

– Słuchaj – powiedziałem. – To jest proste pytanie. Tylko jedno pytanie.

– Odrzuciłem tamte czasy – rzekł i poruszył ręką, jak gdyby coś odpychał.

– Tylko jedno pytanie – nalegałem.

Patrzył na mnie bez słowa.

– Słuchaj – ciągnąłem. – Czy Irwin był kiedyś splukany? Czy kiedyś naprawdę potrzebował pieniędzy? Koniecznie?

Patrzył na mnie z daleka, z wielkiego oddalenia, nad miską zupy stojącą na podłodze, nad czekoladą trzymaną w ręku, poprzez czas. W końcu zapytał:

– Dlaczego... Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Żeby powiedzieć prawdę – wybuchnąłem mimo woli. – Zresztą nawet nie ja. Ale ktoś inny tego chce, a ten ktoś płaci mi pierwszego każdego miesiąca. To gubernator Stark.

– Brudy – odrzekł, spoglądając na mnie poprzez to coś, co nas dzieliło.  
– Brudy.

– Czy Irwin był kiedyś splukany? – spytałem.

– Brudy – powtórzył.

– Słuchaj – powiedziałem. – Nie sądzę, żeby gubernator Stark... jeżeli to mają być te brudy, o których mówisz... rozmawiał o tym z Bogiem, ale czyś ty kiedy się zastanawiał, jaki śmietnik zrobili z tego stanu tacy twoi wspaniali, cholerni, wystrojeni w cylindry, nabożni, cytujący Horacego przyjaciele, jak Stanton i Irwin? Szef przynajmniej coś robi, ale oni... oni tylko siedzieli na tyłkach... oni...

– Wszystko brudy! – wykrzyknął stary pan i machnął gwałtownie przed sobą prawą ręką, w której zaciskał czekoladę tak, że aż ją rozgniał. Kawalek czekolady spadł na podłogę. Dzidzius go podniósł.

– Jeżeli chcesz przez to powiedzieć – ciągnąłem – że polityka, włącznie z tą, którą prowadzili twoi niegdysiejsi przyjaciele, niezupełnie przypomina Wielki Tydzień w klasztorze, to masz rację. Ale tym razem ja pierwszy wyciągnę metafizyczną broń. Polityka jest działaniem, a wszelkie działanie to tylko skaza na doskonałości bezwładu, który jest

spokojem, podobnie jak wszelki byt jest tylko skazą na doskonałości niebytu, który jest Bogiem. Bo jeżeli Bóg jest doskonałością, a jedyna doskonałość to niebyt, to Bóg jest niebytem. A zatem nicością. Nicość nie może stanowić podstawy do krytyki Rzeczy w jej rzeczowości. Wobec tego skąd możesz mieć coś do powiedzenia? Z jakiego punktu wyjdiesz?

– Głupstwa, głupstwa – odparł. – Głupstwa i brudy!

– Pewnie masz rację – rzekłem. – Wszystko to głupstwa. Ale nie głupsze od całego takiego gadania. Wciąż tylko słowa.

– Mówisz rzeczy brudne.

– Nie, tylko słowa – odparłem. – A wszystkie słowa są do siebie podobne.

– Z Boga nie wolno drwić – powiedział i zauważyłem, że głowa trzęsie mu się na szyi.

Podszedłem szybko i zatrzymałem się tuż przed nim.

– Czy Irwin był kiedyś splukany? – zapytałem.

Zdawało się, że coś powie, wargi rozchyliły mu się. A potem zamknęły.

– No, był? – pytałem.

– Więcej nie dotknę świata brudu – odpowiedział, a jego wyblakłe oczy spojrzały mi prosto w twarz. – Żeby nie odjąć ręki ze smrodem na palcach.

Miałem ochotę schwycić go i potrząsnąć tak, żeby mu zęby zadzwoniły. Miałem ochotę wytrząsnąć to z niego. Ale nie można złapać starca i zrobić mu czegoś podobnego. Podszedłem niewłaściwie do całej sprawy. Trzeba mi było go najpierw naprowadzić, a potem wyłudzić odpowiedź. Trzeba mi było go ugłaskać. Ale zawsze, kiedy się z nim stykałem, byłem tak podminowany i zdenerwowany, że myślałem tylko o jednym: żeby od niego uciec. A potem, gdy już odszedłem, czułem się jeszcze gorzej, dopóki nie wyrzuciłem go z myśli. Spartoliłem robotę.

I tylko tyle się dowiedziałem. Wychodząc, spojrzałem na dzidziusia,

który skończył jeść kawałek czekolady upuszczony przez starego pana i w zamyśleniu wodził dłonią po podłodze, szukając jeszcze jakichś okruchów. A potem stary pan pochylił się znowu ku niemu, ciężko i powoli.

Schodząc po schodach, myślałem, że nawet gdybym spróbował ugłaskać starego, pewnie bym nic się nie dowiedział. Nie dlatego tak się stało, że podszedłem do rzeczy niewłaściwie. Nie dlatego, że mi się wyrwało tamto o gubernatorze Starku. Co on tam wiedział o gubernatorze Starku i co go to obchodziło? Stało się tak dlatego, że zapytałem go o świat przeszłości, od którego już odszedł. Powiedział, że ten świat, jak cały świat, jest brudem i on nie ma zamiaru go tykać. Nie miał zamiaru o tym mówić i ja nie mogłbym go zmusić.

Ale przynajmniej jedno z tego miałem. Byłem pewien, że coś wie. A to znaczyło, że jest coś, czego można się dowiedzieć. Cóż, i ja się tego dowiem. Wcześniej czy później. Opuściłem więc Uczzonego Adwokata i świat przeszłości i powróciłem do świata teraźniejszości.

Który był:

Podłużnym boiskiem, gdzie białe pasy z matematyczną dokładnością kratkowały murawę, arsenikowozieloną w świetle wielkich baterii reflektorów umocowanych wysoko na koronie potężnego stadionu. Nad tym polem nabrzmiałe, rozedrgane kłębowisko światła strzępiło się i rozrzedzało w gorącym mroku, ale trzydzieści tysięcy par oczu na wewnętrznych pochyłościach stadionu patrzyło nie w ciemność tam wyżej, lecz w dół, w tę studnię światła, gdzie ludzie w czerwonych, lśniących jedwabnie spodenkach i złotych kaskach zmagali się z ludźmi w niebieskich, lśniących jedwabnie spodenkach i złotych kaskach, rozbiegali się i przewracali na jaskrawej, arsenikowozielonej murawie jak rozrzucone lalki, a gęste powietrze przecinał lodowato gwizdek niczym turecka szabla poduszkę kanapy.

I który był:

Brzmącą orkiestrą, rykiem przypominającym huk morza, wrzaskami jak w męce, potem ciszą, pojedynczym krzykiem kobiety, srebrnym i sopranowym, rozświetlającym ciszę niczym krzyk potępionej duszy, i znowu rykiem, od którego niemal zakołysało się gorące powietrze. Bo ze starcia, kotłowaniny i migania tam, na zieleni, wystrzelił na zewnątrz czerwony punkcik, oderwał się od masy, gnał po murawie, zawracał, kołował i pędził, mimo wszystko powolny w beczasowości tej chwili, pod strasliwą grozą ryku tłumu.

I który był:

Człowiekiem walącym mnie po plecach i wrzeszczącym – człowiekiem o ciężkiej twarzy i rozwichrzonych, ciemnych włosach opadających na czoło – krzyczącym: „To mój chłopak! Tom – Tom – Tom! To on... Wygrał... teraz już nie zdążą tego odrobić... wygrał... To jego pierwszy mecz uniwersytecki i Tom wygrał... Mój chłopak!” I ten człowiek walił mnie w plecy, przygarniał do siebie obydwoma potężnymi ramionami, tulił jak brata, jak swoją wielką miłość, swojego syna, a łzy mu napływały do oczu, łzy razem z potem ociekały po masywnych policzkach, i wrzeszczał: „To mój chłopak...! Nie ma drugiego takiego...! Będzie w reprezentacji Ameryki... a Lucy chce, żebym zakazał mu grać... moja żona chce, żeby przestał... mówi, że to go wykańcza... wykańcza, cholera... będzie w reprezentacji... o rany, widziałeś go... jaki szybki, szybki... Szybki drań! No, nie?!”

„Tak” – odpowiedziałem i to była prawda.

Był szybki i był draniem. A przynajmniej jeżeli jeszcze nim nie był, to wykazywał ogromnie przekonujące zdolności w tym kierunku. Nie można było mieć zbyt za złe Lucy, że chciała skończyć z tym futbolem; nazwisko Toma stale w dodatku sportowym – fotografie – „Bolid Pierwszego Roku” – „Drugoroczniacki Piorun” – oklaski – wielkie grube ręce klepiące go po plecach – dłoń Tiny’ego Duffy’ego na jego

ramieniu – taak, Szefie, to pański nieodrodny syn – przydrożne hoteliki – smukłonogie dziewczyny o pełnych piersiach, piszczące: „Och, Tom, och, Tom” – butelki i turystyczne schroniska – morski poszum tłumu i zawsze ten pojedynczy krzyk kobiecy, rozdzierający nagłą ciszę jak potępienie.

Ale Lucy nie miała żadnych szans. Bo Tom musiał wejść do reprezentacji Ameryki. Grać na ćwierćboku w najlepszej drużynie. Jeżeliby butelka i łóżko nie przytępiły za wcześnie czegoś w tych stu osiemdziesięciu funtach błyskawicznego, wybuchowego, precyzyjnego jak szwajcarski zegarek, pięknego mechanizmu, który był Tomem Starkiem, synem Szefa, Drugorocznikiem Piorunem, ukochaniem tatusia, i który tego wieczora stał pośrodku hotelowego pokoju z kawałkiem plastra na nosie i butnym uśmiechem na ładnej, czystej, chłopięcej twarzy – bo była ładna, czysta i chłopięca – podczas gdy ręce kumpli tatusia obściskowały go, grzmociły po plecach, Tiny Duffy klepał go po ramieniu, a Sadie Burke, która siedziała jakby na zewnątrz ogólnego podniecenia, w swoich prywatnych tumanach dymu papierosowego i wyziewów whisky, mówiła z nieco dwuznacznym wyrazem na ładnej, dziobatej twarzy: „Taaak, Tom, ktoś mi wspomniał, że podobno grałeś dziś w futbol”.

Jednakże jej ironia nie była czymś, co Tom Stark mógł dosłyszeć czy zrozumieć, bo stał tam pośrodku swej połyskliwej, złocistej mgławicy upojenia faktem, że jest Tomem Starkiem, który właśnie brał udział w meczu futbolowym.

Dopóki Szef nie powiedział:

– No, teraz idź do łóżka, synu. Wyśpij się. Przygotuj się, żeby w przyszłą sobotę ich nalać. – Objął go za ramię i rzekł: – Wszyscy jesteście ogromnie z siebie dumni, chłopaku.

A ja powiedziałem do siebie: Jeżeli mu znowu oczęta rozbłyszną od łez, to się zerzygam.

– Idź do łóżka, synu – powtórzył.

A Tom Stark odpowiedział kątem ust:

– Jasne – i wyszedł z pokoju.

Ja zaś zostałem, tam, w owej teraźniejszości.

Jednakże była także przeszłość. Było to pytanie. Był zdechły kot zagrzebany w kupie popiołu.

Toteż później stałem we wnęce dużego okna wykusz owego i patrzyłem, jak resztki dziennego światła przestają polśniewać na metalicznych liściach magnolii, a dalej spienione fale morza szarzeją w gęstniejącym zmierzchu. Za mną był pokój niewiele się różniący od tamtego długiego, białego pokoju wychodzącego na morze – gdzie teraz, kto wie, czy nie w tej samej chwili, moja matka unosiła ku płowowłosemu Młodemu Dyrektorowi tę swoją twarz, która wciąż jeszcze przypominała diabelnie kosztowny prezent i którą winien był diabelnie podziwiać. Ale w tym pokoju, który znajdował się za mną, wąż oświetlony ogarkiem świecy na półce, meble były spowite w białe pokrowce, a zegar w kącie stał surowy i niemy jak pradziadek. Jednakże wiedziałem, że kiedy się obrócę, zobaczę wśród tych całunowych pokrowców i beczasowej ciszy kobietę klęczącą przed zimną czernią wielkiego kominka i podkładającą sosnowe szyszki i drzazgi pod ułożone tam polana. Kobieta ta powiedziała:

„Nie, pozwól mnie to zrobić. Wiesz, to jest mój dom i ja powinnam zapalić ogień, kiedy tu wracam. Rozumiesz, taki rytuał. Ja tego chcę. Adam mi zawsze pozwala, jak tu wracamy”.

Bo tą kobietą była Anna Stanton, a dom był domem gubernatora Stantona, którego twarz, marmurowa, niewzruszona, wyniosła nad czarną kwadratową brodą i czarnym surdudem, spoglądała w świetle świecy z masywnych złożonych ram nad kominkiem, przed którym córka klęczała jakby u stóp ojca, pocierając zapalkę, aby rozniecić ogień. Cóż, bywałem w tym pokoju, gdy gubernator nie był jeszcze owym marmurowym obliczem w masywnych złożonych ramach, ale wysokim mężczyzną,



co siedział z nogami na dywaniku przed kominkiem, mając u stóp usadowioną na poduszce dziewczynkę, jeszcze dziecko, która oparłszy mu głowę na kolanach, spoglądała w ogień, podczas gdy jego duża, męska dłoń rozkosznie się bawiła rozpuszczonymi jedwabistymi włosami. Natomiast teraz znalazłem się tam, ponieważ Anna Stanton, już nie mała dziewczynka, powiedziała: „Przyjedź do Landing; wybieramy się tylko na sobotni wieczór i niedzielę, żeby napalić w kominku, zjeść coś z puszki i znowu przespać się pod tym dachem. Adam nie ma czasu na dłużej. A teraz nieczęsto może sobie nawet na tyle pozwolić”. Przyjechałem więc, niosąc w sobie moje pytanie.

Usłyszałem pocieranie zapalki i odwróciłem się od morza, które było już ciemne. Płomień uchwycił miąższ drzazg sosnowych i skakał, i bryzgał małymi gwiazdkami jak choinkowe zimne ognie, a światło tańczyło ciepło po nachylonej twarzy Anny Stanton, jej szyi i policzku, kiedy – wciąż klęcząc – podniosła na mnie wzrok, gdy się zbliżyłem do paleniska. Oczy jej błyszczały jak dziecku, które dostaje niespodzianie coś ładnego, i nagle zaśmiała się dźwięcznie, gardłowo. Tak śmieją się kobiety ze szczęścia. Nigdy tak się nie śmieją jedynie przez grzeczność czy też z jakiegoś dowcipu. Kobieta śmieje się w ten sposób tylko kilka razy w życiu. Kobieta śmieje się w ten sposób tylko wtedy, gdy coś przeniknęło do samej głębi jej jestestwa, a szczęście wzbiera w niej tak naturalnie jak oddychanie, jak pierwsze narcyzy, jak górski potok. Kiedy kobieta tak się śmieje, coś dzieje się z człowiekiem. I nie jest ważne, jaką ona ma twarz. Słyszysz ten śmiech i czujesz, że oto pojąłeś jakąś czystą i piękną prawdę. Czujesz to, bo ten śmiech jest objawieniem. Jakąś ogromną, bezosobową szczerością. Jest kiścią rosistego kwiecia odrastającą od wielkiej, głównej łodygi Wszechistnienia, a nazwisko i adres kobiety nie mają z tym nic a nic wspólnego. Dlatego nie sposób udawać takiego śmiechu. Gdyby jakaś kobieta nauczyła się go udawać, wówczas Nell Gwyn i pani Pompadour

wyglądałyby przy niej jak dwie harcerki w okularach, podkutych butach i z krzywymi mlecznymi zębami. Mogłaby skłócić wszystkich. Bo mężczyzna właściwie pragnie tylko jednego: usłyszeć tak śmiejącą się kobietę.

A więc Anna spojrzała na mnie błyszczącymi oczyma i zaśmiała się tak właśnie, a blask ognia oblał jej policzki. Wtedy i ja się roześmiałem, patrząc na nią. Wyciągnęła do mnie rękę, którą ująłem, i pomogłem jej wstać, gdy podnosiła się swobodnie i gibko – Boże, jakże nie cierpię kobiety gramolącej się niezdarnie! – i przytrzymałem tę rękę, kiedy zachwiała się lekko, prostując się na całą wysokość. Była bardzo blisko mnie, wciąż jeszcze miała śmiech na twarzy, a coś głęboko we mnie odpowiadało mu echem – i trzymałem ją za rękę tak samo jak dawno temu, przed piętnastu, dwudziestu laty, gdy pomagałem jej wstać, a ona chwiała się przede mną, zanim objąłem ją i poczułem gibkie ugięcie jej talii pod moją dłońią. Tak było niegdyś. Więc teraz musiałem pochylić się ku niej i przez moment miała jeszcze na twarzy ślad tego śmiechu, a głowę odrzuciła nieco do tyłu, tak jak to czyni dziewczyna, kiedy spodziewa się, że ją obejmiesz, i wcale nie jest temu przeciwna.

Ale nagle ów śmiech zniknął. Było to tak, jakby ktoś spuścił jej zasłonę na twarz. Poczułem się jak człowiek, który idąc ciemną ulicą, spogląda w oświetlone okno i widzi w jasnym pokoju ludzi, co rozmawiają, śpiewają i śmieją się w falującym, migotliwym świetle ognia na kominku, i patrząc, słyszy dźwięki muzyki wypływające na ulicę; potem zaś czyjaś ręka – nigdy się nie dowiesz czyja – opuszcza zasłonę. A ty zostajesz tam, na zewnątrz.

I ja też zostałem na zewnątrz.

Może powinienem był jednak to zrobić – objąć ją wtedy. Ale jej nie objąłem. Spojrzała na mnie i zaśmiała się w taki właśnie sposób. Ale nie do mnie. Zaśmiała się, bo była szczęśliwa, że znowu jest w tym pokoju,

gdzie zawarła się przeszłość – której częśćkę niegdyś stanowiłem, lecz teraz już nią nie byłem – i że klęczy przed kominkiem, i czuje nowe ciepło ognia złożone na twarzy jak dłoń.

Ten śmiech nie był przeznaczony dla mnie. Puściłem więc jej rękę, cofnąłem się i zapytałem:

– Czy sędzia Irwin był kiedy splukany... ciężko splukany?

Zadałem to pytanie szybko i ostro, bo jeżeli o coś zapytać szybko, ostro, prosto z mostu, można uzyskać odpowiedź, której inaczej nie dostałoby się nigdy. Jeżeli zapytana osoba już czegoś nie pamięta, takie szybkie, ostre pytanie może to wyrwać z grzęzawiska, jeżeli zaś nie zapomniała, ale nie chce powiedzieć, szybkie, ostre pytanie może przez zaskoczenie wydobyć z niej odpowiedź, zanim się zastanowi.

Jednakże nic z tego nie wyszło. Albo nie wiedziała, albo nie można było z niej nic wydobyć przez zaskoczenie. Powinienem był się domyślić, że ktoś taki jak ona – ktoś, kto niewątpliwie ma głęboką wewnętrzną pewność siebie, wynikającą z tego, że jest z jednej bryły, nie ze strzępków i ułomków, i starych kółek zębatych, utrzymywanych w kupie zardzewiałym kolczastym drutem, śliną i kawałkami sznurka jak większość nas – powinienem był się domyślić, że ktoś taki nie da się zmusić przez zaskoczenie do odpowiedzi na pytanie, na które nie chce odpowiedzieć. Nawet jeżeli zna odpowiedź. A ona może jej nie znała.

Jednakże była trochę zaskoczona.

– Co? – zapytała.

Więc powtórzyłem to jeszcze raz.

Obróciła się do mnie plecami, odeszła, usiadła na kanapie, zapaliła papierosa i znów zwróciła się ku mnie, patrząc mi prosto w oczy.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? – spytała. Spojrzałem na nią i odrzekłem:

– Wcale nie ja chcę wiedzieć. Jeden kumpel. Mój najlepszy przyjaciel.

Wypląca mi forszę co pierwszego.

– Och, Jack! – wykrzyknęła, cisnęła świeżo zapalony papieros do kominka i wstała z kanapy. – Och, dlaczego ty musisz wszystko zepsuć? Wtedy było nam dobrze, a ty chcesz to popsuć. Przecież my...

– My? – podchwyciłem.

– ...mieliśmy coś wtedy, a ty chcesz to zepsuć, chcesz pomóc jemu w psuciu tego... temu człowiekowi... On...

– My? – powtórzyłem znowu.

– Chcesz zrobić coś złego.

– My? – powiedziałem. – Jeżeli nam wtedy było tak diabelnie dobrze, to dlaczego mnie nie chciałaś?

– To nie ma z tym nic wspólnego. Ja chcę powiedzieć, że...

– Chcesz powiedzieć, że wtedy było pięknie, wspaniale, a ja chcę powiedzieć, że skoro było tak diablo pięknie i wspaniale, to chyba teraz dlatego zrobiło się wcale niepięknie i niewspaniale, że wtedy nie wszystko było piękne i wspaniale. Odpowiedz mi na to.

– Cicho – rzekła. – Cicho, Jack!

– Tak, odpowiedz mi na to. Bo chyba z pewnością nie powiesz, że teraz jest pięknie i wspaniale. A to, co jest teraz, wywodzi się z tamtych czasów, i dzisiaj masz już trzydzieści pięć lat, przyjeżdżasz tutaj, żeby sobie zrobić specjalną uciechę, siadasz wśród kupy powtykanych w pokrowce, zakurzonych mebli, w domu z wyłączoną elektrycznością, a Adam... Adam ma cholerne życie, przez cały dzień kraje ludzi, że aż nie może ustać na nogach, i cały jest w środku poskręcany w supły, a...

– Nie mieszej do tego Adama, zostaw go – przerwała mi i wyciągnęła dłonie, jakby chcąc mnie odepchnąć, ale stałem daleko od niej. – On przynajmniej coś robi... coś...

– ...a Irwin bawi się swoimi zabawkami, a moja matka siedzi z tym Theodore'em, a ja...

– Tak, ty – rzekła. – Ty.

– No właśnie – odparłem. – Ja.

– Tak, ty. Z tym człowiekiem.

– „Tym człowiekiem, tym człowiekiem” – zacząłem ją przedrzeźniać.

– Tak go tu każdy nazywa, tak go nazywa Patton, ci wszyscy, których odsunął od żłobu. Cóż, on przynajmniej coś robi. Równie dużo jak Adam. Więcej. Ma wybudować ośrodek medyczny dla tego stanu. Ma...

– Wiem – powiedziała ze znużeniem, nie patrząc na mnie, i opadła na kanapę przykrytą pokrowcem.

– Wiesz, ale zajmujesz to samo snobistyczne stanowisko, co cała reszta. Jesteś taka jak oni.

– W porządku – odparła, wciąż nie patrząc na mnie. – Jestem snobką. Jestem taką snobką, że w zeszłym tygodniu byłam z nim na obiedzie.

Ano, gdyby ten stojący zegar w kącie jeszcze tykał, to by go to zatkało. Bo mnie w każdym razie zatkało. Słyszałem ogień, który huczał na kominku, wżerając się w polana. Potem i to ustało, i nie było już nic. W końcu powiedziałem:

– Rany boskie!

A chłodna cisza wessała te słowa jak bibuła.

– Niech będzie – odparła Anna. – Rany boskie.

– No, no – rzekłem. – Widok córki gubernatora Stantona jedzącej obiad z gubernatorem Starkiem pewnie by przyprawił redaktora rubryki towarzyskiej w „Kronice” o zawrót głowy. A suknia, moja kochana... Jakąż miałaś suknię? Czy kwiaty też? Czy piłaś koktajl szampanowy? Czy...

– Piłam coca-colę i jadłam sandwicza z serem. W barze samoobsługowym w podziemiach Kapitolu. – Wybacz mi moją ciekawość, ale...

– ...ale chcesz wiedzieć, skąd się tam wzięłam. Powiem ci. Byłam u

gubernatora Starka w sprawie uzyskania zasiłku od stanu na przytułek dla dzieci. I mam zamiar...

– Czy Adam wie? – przerwałem jej.

– ...i mam zamiar go dostać. Mam przygotować szczegółowe sprawozdanie i...

– Czy Adam wie?

– Obojętne, czy Adam wie, czy nie... i mam złożyć to sprawozdanie w...

– Wyobrażam sobie, co Adam by powiedział – zauważyłem ponuro.

– Myślę, że sama potrafię zajmować się swoimi sprawami – powiedziała dość ostro.

– No, no – rzekłem i zauważyłem, że krew napłynęła jej trochę do policzków. – Myślałem, że ty i Adam zawsze jesteście z sobą o tak. – Tu podniosłem prawą dłoń ze wskazującym palcem przyciśniętym do środkowego.

– Jesteśmy – odparła. – Ale mnie nie obchodzi, co...

– ...nie obchodzi cię też, co on – wskazałem dużym palcem wyniosłą, niewzruszoną, marmurową twarz, która spoglądała z pograżonych w cieniu masywnych złożonych ram – co on by na to powiedział?

– Och, Jack... – Wstała z kanapy nieomal z irytacją, ruchem zupełnie jej obcym. – Co ci każe tak mówić? Czy ty nie rozumiesz? Staram się o pieniądze na przytułek. To są interesy. Po prostu interesy.

Poderwała podbródek z wyrazem twarzy, który miał załatwiać sprawę w sposób ostateczny, ale osiągnęła tylko tyle, że do ostateczności doprowadził mnie.

– Słuchaj – powiedziałem, czując, jak mi się robi gorąco pod kołnierzykiem. – Interesy, nie interesy, ale czy warto narażać swoją opinię lataniem z...

– „Lataniem, lataniem”! – wykrzyknęła. – Nie bądź głupi. Poszłam z

nim na obiad. W interesach.

– Interesy, nie interesy, ale tu idzie o twoją opinię i...

– „Opinię” – powtórzyła. – Już jestem w takim wieku, że sama mogę dbać o swoją opinię. Przecież dopiero co powiedziałeś, że jestem prawie zgrzybiała.

– Powiedziałem, że masz prawie trzydzieści pięć lat – odparłem rzeczowo.

– Och, Jack, mam tyle i jeszcze nic nie zrobiłam. I nic nie robię. Nic takiego, co byłoby coś warte. – Zawahała się i z desperacją dotknęła dłońmi włosów. – Nic a nic. Nie mam ochoty przez cały czas grać w brydża. A te drobiazgi, które robię... ten przytułek, te tam boiska...

– Zawsze masz jeszcze Związek Panien z Towarzystwa – powiedziałem, ale zignorowała moją uwagę.

– ...to nie wystarcza. Dlaczego ja nic nie robiłam... nie studiowałam czegoś? Nie zostałam lekarką czy pielęgniarką? Mogłabym być asystentką Adama. Mogłam studiować ogrodnictwo. Mogłam...

– Mogłaś wyrabiać abazury – podpowiedziałem. – Mogłam robić coś... cokolwiek...

– Mogłaś wyjść za mąż – rzekłem. – Mogłaś wyjść za mnie.

– Och, mnie nie chodzi o wyjście za mąż. Ja myślę o...

– Sama nie wiesz, co myślisz – powiedziałem.

– Jack! – zawołała, chwyciła mnie za rękę i uczepliła się jej. – Może i nie wiem. Nie mam pojęcia, co mi się dziś stało. Czasem, jak tu przyjadę... jestem szczęśliwa, naprawdę, ale...

Nie powiedziała nic więcej na ten temat. Złożyła mi głowę na piersi, ja poklepałem ją kilka razy pocieszająco po ramieniu, ona wybąkała, że powinienem być jej przyjacielem, na co odpowiedziałem: „Jasne”, wciągając w nozdrza zapach jej włosów. Pachniały tak jak zawsze – czystym, domytym zapachem małej dziewczynki gotowej na przyjęcie.

Ale nie była już małą dziewczynką, a to nie było przyjęcie. To stanowczo nie było przyjęcie. Takie z różowymi lodami, tortem czekoladowym, trąbkami, zabawą w łapki i tą grą, w której się śpiewa, że król Wilhelm jest synem króla Jakuba, i tą, co się nazywa, „a ja sobie stoję w kole i wybieram, kogo wolę”.

Stała tak parę minut z głową na mojej piersi i wszystko byłoby już jasne między nią i jej przyjacielem, gdyby w ogóle mogło być jasne; i ów przyjaciel udzielał jej tych bezosobowych, terapeutycznych klepnięć po ramieniu. Potem odeszła od niego i stanęła przy kominku, patrząc w ogień, który już się pięknie rozpałił i nadawał pokojowi tak zwaną prawdziwie domową atmosferę.

Wtedy drzwi otworzyły się na oścież, do pokoju, niczym wielki, otrząsający się pies, wpadł od zimnego morza wiatr i ogień wystrzelił w górę. To Adam Stanton wkraczał w tę domową atmosferę. Niósł całe naręcze paczek, bo był w Landing, żeby nam kupić coś do jedzenia.

– Cześć! – powiedział znad paczek i uśmiechnął się tymi swoimi szerokimi, cienkimi, zaciętymi wargami, które w stanie spoczynku przypominały czystą, dobrze zagojoną bliznę chirurgiczną, natomiast gdy się uśmiechał, jeżeli się uśmiechał, zaskakiwały człowieka i napełniały go ciepłem.

– Słuchaj – powiedziałem szybko. – Czy kiedyś, dawniej, sędzia Irwin był sflukany? Porządnie sflukany?

– No... nie... Nie wiem – zaczął, a twarz mu spochmurniała. Anna odwróciła się szybko ku niemu, a potem ostro spojrzała na mnie. Przez chwilę myślałem, że coś powie. Ale nie powiedziała.

– Chociaż tak! – zawołał Adam, wciąż przyciskając do siebie paczki. A więc wyrwałem to z grzęzawiska.

– No tak – powtórzył z zadowolonym, wesołym wyrazem twarzy, jaki miewają ludzie, kiedy odgrzebią z przeszłości coś zagubionego. –



Tak... Zaraz, zaraz... byłem wtedy jeszcze dzieciakiem... gdzieś około roku tysiąc dziewięćset trzynastego czy czternastego... Pamiętam, jak ojciec powiedział coś o tym do stryja Johna czy kogoś, zanim sobie przypomniał, że jestem w pokoju... A potem był tutaj sędzia i wtedy obaj z ojcem... Myślałem, że się pokłócili, tak głośno gadali... Rozmawiali o jakichś pieniądzech.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Proszę bardzo – odrzekł z lekko zdziwionym uśmiechem, podszedł do kanapy i zrzucił paczki kaskadą na jej bezpieczną miękkość.

– No – odezwała się Anna, patrząc na mnie – mógłbyś przynajmniej być tak łaskaw, żeby mi powiedzieć, dlaczego o to pytałeś.

– Jasne – odrzekłem i obróciłem się do Adama. – Chciałem się dowiedzieć dla gubernatora Starka.

– Polityka – rzekł i szczęki zamknęły mu się jak potrzask.

– Tak, polityka – powiedziała Anna, uśmiechając się trochę kwaśno.

– Cóż, Bogu dzięki, ja się nie muszę do niej mieszać. – rzekł Adam. – Przynajmniej obecnie. – Powiedział to jednak prawie niefrasobliwie. Co mnie zaskoczyło. Potem dodał: – Co z tego, u diabła, że Stark się dowie, że sędzia był splukany? To było przeszło dwadzieścia lat temu. I żadne prawo tego nie zakazuje. Więc co, u licha?

– Tak, co, u licha? – powtórzyła Anna i patrząc, uśmiechnęła się tym kwaśnym uśmiechem.

– A ty, u licha, co robisz? – roześmiał się Adam i chwyciwszy Annę za rękę, potrząsnął nią. – Stoisz tu, kiedy trzeba ugotować żarcie. Bierz się do roboty, ponuraczk, i jazda! – Popchnął ją ku kanapie, na której piętrzyły się paczki.

Pochyliła się, żeby je zebrać, a on dał jej klapsa w pośladki, mówiąc: „Jazda!” I roześmiał się. Ona także się roześmiała z radością i wszystko już było zapomniane, bo Adam nieczęsto tak się otwierał i śmiał serdecznie,

ale w takich chwilach bywał swobodny i wesół i wiedziałeś, że będzie świetna zabawa.

Bawiliśmy się świetnie. Podczas gdy Anna gotowała, a ja szykowałem napoje i nakrywałem do stołu, Adam ściągnął pokrowiec z fortepianu (instrument był stale nastrojony i jeszcze wcale niezły) i zaczął bębnić, aż dom się trząsł i kołysał. Adam nawet wypił przed kolacją trzy porządne szklanki whisky zamiast jednej. Potem coś zjedliśmy, on znów bębnił na fortepianie, grając takie rzeczy, jak *Róże kwitną w Pikardii* i *O trzeciej nad ranem*, Anna i ja tańczyliśmy i brykaliśmy, to znów Adam zaczynał grać „z łezką”, Anna nuciła mi do ucha i kołysaliśmy się słodko, powoli, jak młode topole na lekkim wietrze. Wreszcie zeskoczył ze stołka i gwizdząc *Piękną panią*, wyrwał Annę z mych objęć i pociągnął ją w łobuzerski walc, ona zaś odchyliła się podtrzymywana przez jego ramię, głowę miała odrzuconą do tyłu, oczy zamknięte jak w omdleniu, a wyciągniętą ręką przytrzymywała delikatnie kraj wirującej spódnicy.

Ale Adam był dobrym tancerzem, nawet kiedy błaznował. Dlatego, że to było u niego wrodzone, bo teraz nie miał już żadnej praktyki. I nigdy się nie wyżył. W niczym, z wyjątkiem własnej pracy. A kobiety same mu się napraszały. Natomiast raz na jakieś pięć lat wpadał w dziką, nieokiełznaną, rozhukaną wesołość, przypominającą przerwanie tamy, kiedy to woda wrywa z korzeniami drzewa i krzaki – i wtedy ty byłeś drzewem i krzakiem. Ty sam i wszyscy dokoła. Oczy mu dziko błyszcząły, gestykulował szeroko z nadmiaru energii, która wybuchwała gdzieś w głębi niego. Przywodził na myśl wielką turbinę czy dynamo wykonujące milion obrotów na minutę, wyrzucające z siebie moc, gotowe wyskoczyć z posad. Kiedy gestykulował tymi silnymi, długimi, prężnymi białymi rękoma, było to jak skrzyżowanie Svengalego z maszyną do rozbijania atomów. Człowiek spodziewał się ujrzeć błękitne iskry. Kiedy to na niego przychodziło, kobiety nie miały nawet siły mu się narzucać. Były po

prostu gotowe położyć się z punktu tam, gdzie stały. Tylko że nic z tego nie wychodziło.

Ale coś podobnego nie zdarzało się często. I nie trwało długo. Znowu zalegał chłód i wieko szybko się zatrzaśniało.

Tego wieczora Adam nie włączył pełnej mocy. Po prostu był gotów uśmiechać się, śmiać, żartować, bębnić na fortepianie i okręcać swą siostrę w tym łobuzerskim walcu, podczas gdy ogień skakał na wielkim kominie, wyniosła twarz spoglądała z masywnych złożonych ram, od morza dolatywał wiatr, a w mroku na dworze szeleściły liście magnolii.

Ale tam, w tym pokoju, przy trzaskającym ogniu i muzyce, nie słyszeliśmy cichego szelestu liści magnolii na wietrze. Usłyszałem ten cichy, suchy szelest dopiero później, przez otwarte okno, leżąc na górze w łóżku, w ciemnościach, i pomyślałem: „Czy dzisiaj było nam dobrze po prostu dlatego, że było dobrze, czy też dlatego, że kiedyś, dawno temu, było nam dobrze? Czy nasza dzisiejsza radość była jak światło Księżyca, które nie on sam emituje – bo Księżyc, będąc zimny, nie ma własnego światła – lecz tylko odbija przybyłe z bardzo daleka?” Obracałem w głowie tę myśl i próbowałem z niej zrobić ładniutką, zgrabną metaforę, ale metafora nie wychodziła, bo trzeba by być zimnym, martwym, wędrującym Księżycem i zarazem kiedyś, dawno temu, Słońcem – a jakże, u licha, można być jednocześnie i Słońcem, i Księżycem? To się nie trzymało kupy. To wcale nie było zgrabne. Do diabła z tym, pomyślałem, przysłuchując się liściom.

A potem pomyślałem: No, w każdym razie wiem, że Irwin był splukany.

Tyle odgrzebałem z przeszłości, a nazajutrz miałem opuścić Burden's Landing i przeszłość i wrócić do terażniejszości. Jakoż wróciłem do terażniejszości.

Która była:

Tiny Duffym siedzącym w wielkim, miękkim, skórzanym fotelu ze swymi wielkimi, miękkimi szynkami wylewającymi się na skórę obicia i wielkim, miękkim brzuchem wylewającym się na wielkie, miękkie szynki, z długą cygarniczką w ustach, w której tkwił zapalony papieros, sterczącą zawadiacko w bok (cygarniczka była świeżą innowacją, zapożyczoną od pewnego pana, najwybitniejszego członka stronnictwa, któremu Tiny zadeklarował wierność), i z jego wielką, miękką twarzą wylewającą się na kołnierzyk, i pierścieniem na palcu, z diamentem ogromnym jak orzech – bo wszystko to składało się na Tiny’ego Duffy’ego, który był niewiarogodny, a jednak prawdziwy, i który najwyraźniej przejrzał rysunki w rocznikach „Harpers’ Weekly” z lat dziewięćdziesiątych, by się dokładnie dowiedzieć, jak powinien wyglądać, zachowywać się i ubierać polityk, który zrobił karierę.

I która była:

Tiny Duffym mówiącym: „O Jezu, no i SzeF wsadzi sześć milionów w ten szpital – sześć milionów dolarów!” I odchylając się w fotelu, z oczami zapatrzonymi marząco w kasetonowy sufit, z głową spowitą w niebieskawy dym papierosa, mruczał w zamyśleniu: „Sześć milionów dolarów”.

A Sadie Burke powiedziała na to:

– Tak, sześć milionów i SzeF nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić, żebyś ty bodaj tknęła to palcem.

– Ja bym mógł mu wszystko załatwić w czwartym dystrykcie. MacMurfee jeszcze się tam rządzi. On i Gummy Larson. Ale tylko dać tę umowę Gummy’emu, a...

– ...a Gummy sprzeda MacMurfee’ego. O to ci idzie?

– No cóż... Ja bym tego tak nie ujmował. Gummy, można powiedzieć, jakoś by przemówił MacMurfee’emu do rozsądku. – I coś by ci odpalił. O to idzie, Tiny?

– Ja nie mówię o sobie. Mówię o Gummym. Załatwiłby MacMurfee’ego dla Szefa.

– Szef nie potrzebuje, żeby mu ktoś załatwiał MacMurfee’ego. Sam go załatwi, jak przyjdzie pora, i to na dobre. Rany boskie, Tiny, znasz Szefa od tak dawna, a jeszcze go nie poznałeś. Nie wiesz, że prędzej by kogoś zniszczył, niż kupił? No nie, Jack?

– A bo ja wiem – odparłem. Ale wiedziałem.

Wiedziałem przynajmniej, że Szef chce zniszczyć człowieka nazwiskiem Irwin. I ja zostałem wyznaczony do kopania.

Wróciłem więc do kopania.

Jednakże nazajutrz, nim się do tego wziąłem, zadzwoniła Anna Stanton.

– Spryciarzu! – powiedziała. – Spryciarzu, myślałeś, że jesteś taki sprytny.

Usłyszałem jej śmiech gdzieś daleko na końcu linii, lecz jego dźwięk przybiegł po drucie i wyobraziłem sobie roześmianą twarz Anny.

– Tak, spryciarzu! Dowiedziałeś się od Adama, że sędzia Irwin był dawno temu splukany, ale i ja też się czegoś dowiedziałam!

– Tak? – powiedziałem.

– Tak, spryciarzu! Poszłam do mojej starej kuzynki, Mathilde, która wie wszystko o wszystkich w czasie ostatnich stu lat. Naprowadziłam rozmowę na sędziego Irwina, a wtedy zaczęła gadać. Wystarczy jej o czymś wspomnieć i to jest tak, jakby ktoś wrzucił pieniążek do grającej szafy. Owszem, sędzia Irwin był kiedyś splukany na czysto albo prawie, ale... i w tym miejscu można się uśmieć z ciebie, Jackie, z ciebie, spryciarzu! I z twojego Szefa! – I znowu rozległ się śmiech nadlatujący z daleka, dobywający się z małej, czarnej słuchawki, którą trzymałem w ręce.

– No? – zapytałem.

– I wtedy się ożenił! – powiedziała. – Kto?

– A o kimże mówimy, spryciarzu? Sędzia Irwin.

– Jasne, ożenił się. Każdy wie, że był żonaty, ale co to, u diabła, ma wspólnego...

– Ożenił się bogato. Tak mówi kuzynka Mathilde, a ona wie wszystko. Był splukany, ale ożenił się bogato. No, teraz, spryciarzu, przetrzaw to sobie!

– Dziękuję – powiedziałem, ale zanim to słowo dobieło się z moich ust, usłyszałem szcęknięcie i Anna się rozłączyła.

Zapałem papierosa, odchyliłem się w obrotowym krześle i położyłem nogi na biurku. Jasne, wszyscy wiedzą, czy wiedzieli, że sędzia Irwin był żonaty. Ściśle mówiąc, był żonaty dwukrotnie. Jego pierwsza żona, ta z czasów mojego dzieciństwa, spadła z konia i mogła tylko leżeć w łóżku i wpatrywać się w sufit albo w najlepszym razie wyglądać przez okno. Jednakże umarła, kiedy byłem jeszcze mały, i prawie jej nie pamiętałem. Ale nieomal nie pamiętało się i drugiej żony. Pochodziła skądś z daleka – usiłowałem sobie przypomnieć, jak wyglądała. Rzeczywiście widziałem ją kilka razy. Ale piętnastoletni chłopak nie zwraca większej uwagi na dojrzałą kobietę. Przywołałem obraz ciemnowłosej, chudej kobiety o dużych ciemnych oczach, ubranej w długą białą suknię i trzymającej w ręku białą parasolkę. Może to wcale nie był obraz właściwy. Może to jakaś inna poślubiła sędziego Irwina, przyjechała do Burden's Landing i przyjmowała te wszystkie zaciekawione, uśmiechnięte panie w podłużnym, białym domu sędziego Irwina, i była świadoma tych wszystkich spojrzeń i tego nagłego, baczego milczenia, a potem szeptów, kiedy tuż przed nabożeństwem szła przejściem między ławkami w kościele Świętego Mateusza. A później zachorowała i tak długo mieszkała w pokoju na piętrze, z murzyńską pielęgniarką, że ludzie zapomnieli o jej istnieniu i zdziwili się, kiedy pogrzeb przypomniał im, że w ogóle istniała. Jednakże

po pogrzebie już nie było nic, co by im o tym przypominało, bo ciało jej odesłano gdzieś daleko, tam, skąd pochodziła, i nie pozostało nawet wyryte nazwisko na działce Irwinów na cmentarzu przy kościele Świętego Mateusza, pod dębami i smutnie poetycznymi festonami hiszpańskich mchów, które zwisały girlandą u gałęzi jak dekoracje na święto duchów.

Sędzia Irwin nie miał szczęścia do żon i ludzie go żalowali. Obydwie długo chorowały, a potem zmarły na jego rękach. Zyskał sobie z tej racji wiele współczucia.

Ale teraz dowiedziałem się, że ta druga żona była bogata. To wyjaśniało, dlaczego twarz, którą sobie przypominałem, nie była ładna – nie taka, jakiej można by się spodziewać u żony sędziego Irwina – mizerna, chuda twarz, nawet niemłoda, wyróżniająca się tylko dużymi, ciemnymi oczami.

A więc ta kobieta była bogata i to przekreślało mój domysł, że gdzieś w tysiąc dziewięćset trzynastym-czternastym roku sędzia był splukany i coś przeskrobał. I to ucieszyło Annę Stanton. Ucieszyło ją, bo w ten sposób Adam, nawet mimowolnie, nie stał się konfidentem Szefa. Cóż, jeżeli ją cieszyło, to chyba cieszyło i mnie. Może cieszyła ją także myśl, że sędzia Irwin jest niewinny. Wobec tego i mnie to powinno było cieszyć. Ja tylko starałem się udowodnić, że sędzia Irwin jest niewinny. Będę zatem mógł wcześniej czy później pójść do Szefa i powiedzieć: „Guzik z tego, Szefie. Sędzia jest obmyty we krwi Baranka”.

„Sukinsyn jest obmyty w bielidle” – odpowiedziałyby Szef. Ale musiałyby uwierzyć mi na słowo. Bo wiedział, że jestem sumienny. Byłem bardzo sumiennym i wytrawnym badaczem. A szukałem prawdy bez żadnych uprzedzeń. Aż wióry leciały.

W każdym razie mogłem skreślić rok tysiąc dziewięćset trzynasty. Załatwiła to Anna Stanton.

Ale czy aby na pewno?

Gdy szukasz w starym pałacu zagubionego testamentu, opukujesz cał po calu piękną mahoniową boazerię albo masywne obmurowanie piwnic i nasłuchujesz głuchego odgłosu. A potem, gdy go usłyszysz, szukasz sekretnego guzika lub wsuwasz łom w szczelinę. Ja tak opukiwałem i usłyszałem głuchy odgłos. Sędzia Irwin był splukany. Jednakże Anna Stanton powiedziała: „O nie, tam nie ma żadnej skrytki, tamtędy tylko przechodzą kanały wentylacyjne”.

Ale ja zacząłem znów opukiwać. Żeby tylko posłuchać tego głuchego odgłosu, nawet jeżeli to było jedyne miejsce, którędy przechodziły kanały.

Zadałem sobie pytanie: Jeżeli komuś potrzeba pieniędzy, to skąd je bierze? Odpowiedź jest prosta: pożyczka. Jeżeli zaś pożyczka, musi dać jakieś zabezpieczenie. Co mógł dać sędzia Irwin jako zabezpieczenie? Najprawdopodobniej swój dom w Burdens' Landing albo plantację nad rzeką.

Jeżeli potrzebował grubszej forsy, musiała to być plantacja. Wsiadłem więc do samochodu i pojechałem w górę rzeki, do Mortonville, siedziby władz okręgu La Salle, którego spory szmat obejmuje dawna plantacja Irwina, gdzie bawełna rośnie biała jak bita śmietana, a szczęśliwe czarnuchy śpiewają po całych dniach niczym Al Jolson.

W gmachu sądowym w Mortonville kazałem sobie dać wyciąg z księgi hipotecznej nieruchomości Irwina. Wszystko tam było, od osiemnastowiecznego nadania hiszpańskiego aż po dzień dzisiejszy. A w roku tysiąc dziewięćset siódmym był następujący zapis: „Zastaw hipoteczny – Montague Irwin na rzecz Banku Handlowego w Mortonville, dolarów 42 000 płatne pierwszego stycznia 1910 roku”. Pod koniec stycznia roku tysiąc dziewięćset dziesiątego spłacono tylko część – około dwunastu tysięcy dolarów – i hipoteka została odnowiona. W połowie roku tysiąc dziewięćset dwunastego powstały zaległości w spłacie odsetek. W marcu czternastego wszczęto postępowanie w sprawie pozbawienia prawa



wykupu hipoteki. Ale sędzia uratował się w ostatniej chwili. Na początku maja figurował zapis o pełnym zaspokojeniu roszczeń. W wyciągu nie było już dalszych zapisów.

Zapukałem więc ponownie i rozległ się głuchy odgłos. Kiedy ktoś bankrutuje, zawsze jest głuchy odgłos, jak z grobu.

Ale sędzia wziął sobie bogatą żonę.

Tylko czy była bogata?

Miałem jedynie zapewnienie kuzynki Mathilde. I świadectwo mizernej twarzy pani Irwin. Postanowiłem użyć łomu.

Trzeba było porównać datę ślubu z datami w wyciągu. To mogło mi coś powiedzieć. Ale cokolwiek by mi powiedziało, musiałem użyć łomu.

Nie wiedziałem nic o pani Irwin, nie znałem daty jej ślubu ani nawet panińskiego nazwiska czy miejsca pochodzenia. Ale to było łatwe. Godzina spędzona nad rocznikami gazet w bibliotece publicznej w stolicy, przejrzenie stronic kroniki towarzyskiej, które po dwudziestu latach z górą były pożółkłe i kruche, już wcale nie wesołe ani błyskotliwe – i wyszedłem znowu na światło dzienne, w zmieszonym kołnierzyku, z ubrudzonymi rękami, ale i z następującą notatką na odwrocie koperty w wewnętrznej kieszeni marynarki: „Mabel Carruthers, jedyna córka Le Moyne Carruthersa z Savannah, Georgia. Ślub dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset czternastego roku”.

Data ślubu niewiele mi mówiła. Co prawda postępowanie w sprawie pozbawienia prawa wykupu zostało wszczęte już po ślubie, ale to nie dowodziło, że Mabel nie była bogata; możliwe, że sędzia Irwin potrzebował całego miesiąca poślubnego na to, by wreszcie poruszyć drażliwy temat gotówki. Sędzia nie był taki brutalny. Ona mogła więc mieć pieniędzy jak lodu. Niemniej jednak tego wieczora siedziałem już w pociągu jadącym do Savannah.

Dwadzieścia pięć lat to niewiele w oczach Boga, ale też trzeba

nieleddie boskiego oka, aby przeniknąć do podszewki spraw nawet takiego czołowego obywatela jak Le Moyne Carruthers, który już nie żył od dwudziestu pięciu lat. Ja nie miałem boskiego oka. Musiałem wymacywać, niuchać, wertować roczniki gazet, pompować podupadłego starego wygę, redaktora wiadomości miejskich, przebywać w towarzystwie gościa, którego niegdyś znałem, a który teraz był miejscową szyszką w ubezpieczeniach, i poznać jego przyjaciół. Jadałem pieczone kaczki nadziewane ostrygami i słodkimi ziemniakami i tę wspaniałą pieczeń z korzeniami, którą przyrządzają w Savannah i która smakuje wybornie nawet komuś takiemu jak ja, kto nie cierpi jedzenia. Piłem żytniówkę, chodziłem po tych pięknych ulicach wytyczonych przez generała Oglethorpe'a, spoglądałem na piękne, surowe elewacje domów, teraz surowsze niż kiedykolwiek, bo ze strzelistych drzew na ulicach opadły już ostatnie liście i przyszła ta pora roku, kiedy wiatr niesie znad Atlantyku wielkie kłęby szarych chmur, co nadpływają tak nisko, że brzuchami ocierają się o maszty i rury kominów niczym ciężarne maciory leżące na ściernisku.

Obejrzałem dom Le Moyne Carruthersa. Gość musiał być bogaty, nie ma co mówić. A według sądownie zatwierdzonego testamentu był też bogaty, kiedy umierał w roku tysiąc dziewięćset czwartym. Jednakże od dziewięćset czwartego do trzynastego minęło dziewięć lat, a przez ten czas wiele może się zdarzyć. Tak to wyglądało. Mabel Carruthers żyła na wysokiej stopie. Ale wszyscy twierdzili, że mogła sobie na to pozwolić. A według tego, co zdołałem wyłuskać, nie było powodu do mniemania, że wuj Mabel, zamieszkały w Nowym Jorku i będący wykonawcą testamentu, nie potrafił pokierować jej inwestycjami.

Wszystko to wyglądało całkiem przepisowo. Jednakże jest jedna rzecz, o której nigdy nie wolno zapomnieć: zbiór orzeczeń sądowych w archiwach sądu.

Nie zapomniałem o tym. I tam znalazłem nazwisko Mabel Carruthers. Ludzie mieli niejaki trudności z wydobywaniem od niej pieniędzy. To jednak niczego nie dowodziło. Wiele jest kobiet tak bogatych, że jeśli idzie o płacenie rachunków, są po prostu ponad to i trzeba je naciskać, aby coś z nich wydusić. Ale zauważyłem jedno: Mabel nabrała tego niedobrego zwyczaju dopiero po roku tysiąc dziewięćset jedenastym. Innymi słowy, przez pierwsze siedem lat dysponowania swymi pieniędzmi płaciła rachunki jak należy. Otóż – rozumowałem – jeżeli ta nieszkodliwa słabostka była jedynie wynikiem usposobienia, nie zaś konieczności, to czemu pojawiła się tak nagle? Bo przyszła nagle i na całego. To nie dotyczyło tylko jednego kupca kolonialnego z rogu ulicy. Znajdował się w doborowym towarzystwie, bo Mabel nie chciało się zapłacić Le Clercowi z Nowego Jorku za brylantowy wisiołek ani krawcowej, ani miejscowemu handlarzowi win za jakieś dosyć imponujące dostawy. Mabel rzeczywiście żyła na wysokiej stopie.

Ostatnie zasądzenie było na rzecz banku Seaboard za pożyczkę wynoszącą siedemset pięćdziesiąt dolarów. Dla Mabel po prostu drobiazg. Otóż w Savannah nie było banku Seaboard. O tym poinformowała mnie ksiązka telefoniczna. Ale pewien stary jegomość siedzący na składanym krzeselku w gmachu sądu powiedział mi, że bank Seaboard został wykupiony około roku dziewięćset dwudziestego przez Georgia Fidelity. W Georgia Fidelity powiedzieli mi: zgadza się, w tysiąc dziewięćset dwudziestym. Kto był wtedy prezesem Seaboardu? Zaraz, jedną chwileczkę, to się dowiedzą. Pan Percy Pointdexter. Czy on mieszka w Savannah? No, trudno powiedzieć na pewno, czasy zmieniają się tak szybko. Ale pan Pettis będzie wiedział. Pan Charles Pettis, jego zięć. Ależ proszę uprzejmie. Bardzo proszę.

Pana Percy'ego Pointdextera nie było jednak w Savannah, a bez mała i na tym świecie, bo po każdym jego oddechu trzeba było czekać i czekać,

aż ów kruchy, drobny zestaw cienkich jak zapałki kości, pergaminowo przezroczystej skóry i delikatnych, niebieskich żył zbierze się na jeszcze jeden wysiłek. Pan Pointdexter oparł się w swoim fotelu na kółkach, przezroczyste dłonie złożył na winnoczerwonym jedwabiu szlafroka, bladoniebieskie oczy utkwiał w jakiejś metafizycznej oddali i oddychając z trudem, powiedział:

– Tak, młody człowieku... oczywiście mówisz nieprawdę... ale wszystko mi jedno... dlaczego chcesz to wiedzieć... teraz to już nieważne... dla nikogo... bo wszyscy nie żyją... Le Moyne Carruthers nie żyje... a był moim przyjacielem... najbliższym przyjacielem... ale to już dawno temu i nawet nie pamiętam jego twarzy... a jego córka, Mabel... robiłem dla niej, co mogłem... nawet po tym finansowym krachu zostałyby jej jeszcze dosyć na przyzwoite utrzymanie... nawet na skromny luksus... ale nie, ona musiała wyrzucać pieniądze... coraz więcej... mój bank sporo jej pożyczył... zmusiłem ją do oddania części... parę rachunków sam zapłaciłem... przez pamięć dla Le Moyne'a... i posłałem jej już pokwitowane, żeby ją zawstydzić... i nic z tego... dalej przychodziła bez żadnego wstydu i patrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi oczami... ciemne były, posępne i rozpalone jak w gorączce... i mówiła: chcę pieniędzy... aż w końcu oddałem jakiś rachunek do sądu... żeby ją zawstydzić... nastraszyć... dla jej własnego dobra... bo wydawała pieniądze jak wodę... wyrzucała je gorączkowo na bale i przyjęcia... żeby się stroić, bo była próżna... żeby sobie znaleźć męża... ale mężczyźni poza zwykłymi uprzejmościami nie zwracali na nią uwagi... no i w końcu znalazła sobie męża... skądś z Zachodu, podobno bogatego człowieka... ożenił się z nią szybko i zabrał ją... umarła i przywieźli ją tutaj... był pogrzeb... pogoda okropna i mało osób przyszło... mimo szacunku dla Le Moyne'a... nawet niektórzy jego przyjaciele... nie żył już od dwunastu lat i zapomnieli o nim... ludzie zapominają...

Zabrakło mu tchu i przez dłuższą chwilę myślałem, że więcej nie odetchnie. Odetchnął jednak i powiedział:

– Ale... to... też nieważne.

Podziękowałem, uściśnałem jego rękę, która była jak zimny wosk i zostawiła mi na dłoni uczucie chłodu, wyszedłem, wsiałem do mojego wynajętego auta, wróciłem do miasta i poszedłem się czegoś napić, nie żeby to oblać, lecz żeby wypłukać ze szpiku kości lód, który w nim wytworzyła nie pogoda, ale ten stary człowiek.

Dowiedziałem się, że Mabel Carruthers została bez pieniędzy, ale wyszła za bogatego człowieka z Zachodu. Albo raczej ze stron, które w Savannah nazywano „Zachodem”. No, to był niezły kawał. Niewątpliwie i ten bogaty człowiek z Zachodu też ożenił się z nią dla pieniędzy. Musiało być wesoło, gdy prawda wyszła na jaw.

Nazajutrz wyjechałem z Savannah, ale przedtem poszedłem jeszcze na cmentarz obejrzeć grobowiec Carruthersów, gdzie mech porastał wielkie nazwisko, a aniołowi brakowało jednej ręki. To jednak nie miało znaczenia, bo wszyscy Carruthersowie byli w środku.

A więc zapukałem i odezwał się odgłos bardzo, bardzo głuchy. Wepchnąłem głębiej łom. Sędzia Irwin w roku tysiąc dziewięćset czternastym nie spłacił hipoteki pieniędzmi żony. Cóż więc robił w owym roku, aby dostać pieniądze? Prowadził plantację i za rządów gubernatora Stanton'a był prokuratorem generalnym stanu. Ale z plantacji bawełny nie wyciąga się czterdziestu czterech tysięcy dolarów w ciągu sezonu (a tyle zapłacił, bo dowiedziałem się, że tamte dwanaście tysięcy, które zwrócił w dziewięćset pięćdziesiątym, pochodziło z pożyczki zaciągniętej na hipotekę domu w Landing, który sędzia oczyścił potem jednocześnie z plantacją). A jego pensja prokuratora generalnego wynosiła trzy tysiące czterysta dolarów rocznie. Nie można się wzbogacić, będąc prokuratorem generalnym południowego stanu. Przynajmniej się nie powinno.

Ale w marcu tysiąc dziewięćset piętnastego roku sędzia Irwin dostał dobrą posadę, bardzo dobrą posadę. Podał się do dymisji jako prokurator generalny po to, by zostać radcą prawnym i wiceprezesem Amerykańskiej Kompanii Elektrycznej, z bardzo dobrą pensją dwudziestu tysięcy dolarów rocznie. Nie mieli żadnego powodu nie zaangażować sędziego Irwina, który był dobrym prawnikiem. Tylko że można zaangażować masę dobrych prawników za znacznie mniej niż dwadzieścia tysięcy rocznie. Ale posada w roku tysiąc dziewięćset piętnastym nie mogła opłacić komornika w roku czternastym. Kiedy zapukałem, znów coś zabrzmiało głucho.

Wobec tego raz jeden wskoczyłem w rynek akcyjny. Kupiłem jedną akcję Amerykańskiej Kompanii Elektrycznej, akcję tanią jak barszcz w okresie Wielkiego Kryzysu. Jednakże okazała się bardzo kosztownym kawałkiem papieru. Dla wielu osób.

Byłem teraz obcinaczem kuponów i chciałem wiedzieć, jak się tam zajmą moją inwestycją. Skorzystałem więc z prawa akcjonariusza. Poszedłem przejrzeć rejestry akcji Amerykańskiej Kompanii Elektrycznej. Dosłownie z pyłu czasu wygrzebałem pewne fakty: w maju tysiąc dziewięćset czternastego roku Montague M. Irwin sprzedał *al pari* pięćset akcji Wilburowi Satterfieldowi i Aleksowi Cantorowi, którzy, jak się później dowiedziałem, byli urzędnikami kompanii. To oznaczało, iż pod koniec maja Irwin miał już tyle w kieszeni, że mógł spłacić długi hipoteczne i jeszcze zachować trochę gotówki. Ale kiedy dostał te akcje? To było proste. W marcu czternastego roku zreorganizowano kompanię i wypuszczono spory pakiet nowych akcji. Te, które miał Irwin, do nich właśnie należały. Ktoś mu je podsunął (czy może on sam je nabył), a ktoś inny odkupił z powrotem. (Irwin musiał sobie pluć w brodę, że je sprzedał, bo zaraz potem zaczęły iść w górę i szły tak przez dłuższy czas. Czy panowie Satterfield i Cantor nabrali Irwina? To byli starzy wyjadacze.

Ale Irwin musiał sprzedać akcje, i to szybko. Bo był ten dług hipoteczny.).

Irwin miał zatem akcje i sprzedał je panom Satterfieldowi i Cantorowi. Jak dotąd wszystko w porządku. Ale jakim sposobem Irwin dostał te akcje? Czyżby mu je dali ot tak, bez powodu? Mało prawdopodobne. Więc z jakiej przyczyny ktoś może komuś dać duży pakiet ślicznych, nowiutkich akcji ze złotymi pieczęciami? Odpowiedź jest prosta: bo tamten świadczy mu uprzejmości.

Wobec tego zadanie polegało na dowiedzeniu się, czy sędzia Irwin – naówczas prokurator generalny stanu – wyświadczył kiedyś uprzejmość Amerykańskiej Kompanii Elektrycznej. A to pociągało za sobą długie kopanie. Z tym że na dnie dołu właściwie nic nie było. Bo przez cały ten okres, kiedy sędzia Irwin pełnił funkcje generalnego prokuratora, Amerykańska Kompania Elektryczna była wzorowym obywatelem. Mogła każdemu spojrzeć w oczy i nie prosiła o żadne łaski. W dole nie było nic.

Ale czym się zajmował sędzia Irwin jako prokurator generalny?

Okazało się, że zwykłymi drobiazgami. Raz tylko omal nie doszło do poważniejszej sprawy. Do procesu o należności od Południowego Towarzystwa Opałowego, które eksploatowało na zasadzie dzierżawy stanowe tereny węglonośne. Było o to trochę szumu, małe poruszenie w legislaturze, kilka artykułów w gazetach i parę przemówień, ale teraz zostało z tego zaledwie echo szeptu. Obecnie byłem bodaj jedynym człowiekiem w stanie, który o tym wiedział.

Jeżeli nie wiedział także sędzia Irwin, nie budził się nocą i nie leżał w ciemnościach.

Cała sprawa dotyczyła interpretacji umowy o opłatach, którą stan zawarł z towarzystwem. Była to umowa bardzo niejasna. Możliwe, że taka miała być. W każdym razie na pierwszy rzut oka stan miał otrzymać około stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów opłat już należnych i Bóg wie

ile jeszcze przed upływem terminu umowy. Ale ta umowa była niejasna. Tak niejasna, że kiedy już miało dojść do sprawy sądowej, prokurator generalny uznał, że nie ma do tego podstaw. „Uważamy za wielce naganne – powiedział w swoim publicznym oświadczeniu – iż osoby odpowiedzialne za sporządzenie tej umowy okazały tak mało dbałości o ochronę interesu publicznego, że przyjęły warunki w niej zawarte, wskutek czego stan oddał za bezcen jeden ze swoich najwartościowszych zasobów. Uważamy jednak również, że skoro ta umowa istnieje i nadaje się tylko do jednej rozsądnej interpretacji, nasz stan, który pragnie popierać na swoim terytorium przemysł i inicjatywę, nie może uczynić nic innego, jak tylko zastosować się do układu, który chociaż wyraźnie niesprawiedliwy w praktyce, jest prawnie wiążący. A musimy pamiętać nawet w takich okolicznościach, że sprawiedliwość opiera się właśnie na prawie”.

Przeczytałem to w starym numerze „Times-Chronicle” z dwudziestego szóstego lutego tysiąc dziewięćset czternastego roku, która to data poprzedzała o kilka tygodni wszczęcie postępowania o pozbawienie prawa wykupu przeciwko plantacji Irwina. I o jakieś trzy tygodnie ostateczną reorganizację Amerykańskiej Kompanii Elektrycznej oraz wypuszczenie nowych akcji. Związek między tymi faktami był związkiem w czasie.

Ale czy jakiś związek jest związkiem w czasie i tylko w czasie? Jajem cukierka, a jakiegoś druciarza w Tybecie zaczynają boleć zęby? Teoria kwiatu rosnącego w szczelinie muru. Musimy ją przyjmować, bo tak często bolą nas zęby od cukierków, których wcale nie jedliśmy. Wyrwałem więc kwiat ze szczeliny i odkryłem zdumiewający fakt botaniczny. Odkryłem, że jego delikatny korzonek po wielu skrętach i zawijasach sięgał aż do Nowego Jorku, gdzie czerpał soki z bogatej kupy nawozu, która nazywała się Madison Corporation. Kwiatek w szczelinie był Południowym Towarzystwem Opałowym. Wobec tego zerwałem drugi



kwiatek, zwany Amerykańską Korporacją Elektryczną, i przekonałem się, że jego delikatne korzonki wyrastają z tej samej kupy nawozu.

Nie mógłbym wprawdzie oświadczyć, że już wiem wszystko o Bogu i człowieku, lecz miałem zamiar spróbować chytrego domysłu na temat pewnego człowieka. Ale tylko domysłu.

Przez długi czas był to jedynie domysł. A to dlatego, że w swoich poszukiwaniach dotarłem do takiego stadium, w którym można już tylko się modlić. To stadium zawsze przychodzi. Człowiek robi, co potrafi, i modli się, dopóki może, a potem idzie spać w nadziei, że wszystko objawi mu się we śnie za sprawą jakiejś łaski. Poemat *Kubła Khan*, wzór strukturalny benzenu, pieśni Caedmona – wszystko to objawiło się we śnie.

Objawiło się i mnie. Kiedy zasnąłem pewnej nocy. Tylko nazwisko. Zabawne nazwisko. Mortimer L. Littlepaugh. Nazwisko to kołatało mi się po głowie, myślałem sobie, jakie jest zabawne, i wreszcie usnąłem. Ale kiedy zbudziłem się rano, swoją pierwszą myślą było: Mortimer L. Littlepaugh. Później owego dnia, idąc ulicą, kupiłem gazetę i spojrzawszy na nią, zobaczyłem nazwisko Mortimer L. Littlepaugh. Tylko że ono nie było wydrukowane w gazecie, którą właśnie kupiłem. Widniało na pożółkłym, postrzępionym, cuchnącym starym serem papierze, który nagle ujrzałem oczami duszy. „Urząd śledczy koronera stwierdza, że Mortimer L. Littlepaugh uległ śmiertelnemu wypadkowi”. To było to. A potem następujące zdanie wynurzyło się powoli niczym wypływający z głębin kawał nasiąkniętego wodą drewna: „Radca prawny Amerykańskiej Kompanii Elektrycznej”. To było to.

Wróciłem znów do starych roczników i zapoznałem się z całą historią. Mortimer wypadł z okna hotelowego albo raczej z małego żelaznego balkoniku za oknem. Spadł z piątego piętra i taki był koniec Mortimera. Podczas śledztwa jego siostra, z którą mieszkał, oświadczyła, że ostatnio

niedomagał i skarżył się na napady zamroczenia. Przebąkiwano o samobójstwie, bo jak wyszło na jaw, interesy Mortimera były mocno poplątane, a poręcz balkonu zbyt wysoka jak na przypadkowy upadek. I była też drobna zagadka pewnego listu, który – jak przysięgał boy hotelowy – Mortimer dał mu wieczorem, tuż przed śmiercią, wraz z pięćdziesięcioma centami napiwku i poleceniem, aby natychmiast poszedł go wrzucić do skrzynki. Boy przysięgał, że list był adresowany do panny Littlepaugh. Panna Littlepaugh przysięgała, że nie otrzymała żadnego listu. Ano cóż: Mortimer miewał napady zamroczenia.

Poza tym był radcą prawnym Amerykańskiej Kompanii Elektrycznej. Jak się dowiedziałem, został zwolniony na krótko przed zaangażowaniem Irwina. Nie wyglądało to zbyt obiecująco, ale jeden ślepy zaułek więcej niewiele znaczył. Dużo napotkałem ślepych zaułków w ciągu sześciu czy ośmiu miesięcy, które spędziłem nad tą robotą.

Jednakże tym razem to nie był ślepy zaułek. Istniała panna Lily Mae Littlepaugh, którą po pięciu tygodniach wytropiłem w ciemnej, brudnej, cuchnącej lisem norze w domu czynszowym na skraju slumsów w Memphis. Była to wychudła stara kobieta, ubrana w czerń poplamioną i uwalaną resztkami jedzenia, nieomal już wyzbyta wszelkich pretensji do elegancji. Siedząc w tym ciemnym pokoju i wydzielając odór starego lisa, który się mieszał z zapachem wschodniego kadzidła i wosku świec, mrugała na mnie powoli swymi osłabionymi, zaczerwienionymi oczami osadzonymi w zgrzybiałej twarzy. Na każdym wolnym kawałku ściany wisiały święte obrazki, a w kącie pokoju, na małym stoliku, stało coś w rodzaju ołtarzyka ze zwisającą nad nim draperią z wypłowiałego, winnoczerwonego aksamitu, w środku zaś była nie Madonna czy krucyfiks, jak można by się spodziewać, sądząc po owych obrazach, ale naklejony na deskę duży wizerunek z filcu, który początkowo wzięłem za rozdętą do niebywałych rozmiarów poduszkę do szpilek w kształcie

słonecznika, ale który, jak się okazało, przedstawiał słońce z promieniami, Dawcę Życia. I to w tym pokoju. Przed ołtarzykiem, na stoliku, paliła się świeca tak jasno, jak gdyby czerpała pożywkę nie tylko z wosku, ale i z samej substancji lepkiego powietrza.

W środku pokoju stał stół nakryty aksamitną serwetą barwy wina, a na nim salaterka z jadownicie kolorowymi cukierkami, szklanka wody i kilka długich, cienkich fajarek czy trąbek z cyny. Usiadłem dość daleko od stołu. Z jego drugiej strony panna Littlepaugh przyjrzała mi się czerwonymi oczyma, po czym zapytała nadspodziewanie mocnym głosem:

– No, to zaczynamy? – Przyjrzała mi się jeszcze i powiedziała jakby do siebie: – Jeżeli pana tu przysłała pani Dalzell, to chyba...

– Tak, przysłała mnie.

Rzeczywiście przysłała. Kosztowało mnie to dwadzieścia pięć dolarów.

– To chyba wszystko w porządku.

– W porządku – odpowiedziałem.

Wstała i podeszła do stojącej na małym stoliku świecy, nie spuszczając ze mnie oka, jak gdybym w ostatnim błysku światła przed jej zdmuchnięciem mógł raptem okazać się wyraźnie nie w porządku. Następnie zdmuchnęła świecę i wróciła na krzesło.

Potem przez jakiś czas słychać było sapanie i stęknęcia, brzęk metalu – jak się domyślam, którejs z trąbek – wreszcie parę niezbyt pouczających czy budujących wypowiedzi Zaczarowanej Księżniczki, która była medium panny Littlepaugh, oraz kilka jeszcze mniej pouczających uwag wyrzeczonych chrapliwym, gardłowym głosem przez kogoś z Tamtego Świata, kto utrzymywał, że ma na imię Jimmy i niegdyś był moim przyjacielem z młodości. Tymczasem kaloryfer za moimi plecami brzęczał i bulgotał, ja zaś pocilem się i wdychałem smołową ciemność. Jimmy mówił, że czeka mnie podróz.

Pochyliłem się w ciemnościach i powiedziałem:

– Niech pani wywoła Mortimera. Chcę mu zadać jedno pytanie. Któraś z trąbek znowu brzęknęła cicho i Księżniczka powiedziała coś, czego nie rozumiałem.

– Chciałbym pomówić z Mortimerem – rzekłem.

Znowu rozległo się jakieś, bardzo niewyraźne, chrypienie w trąbce.

– Próbuje przemówić – odezwał się głos panny Littlepaugh – ale wibracje są niedobre.

– Chcę mu zadać pytanie – powtórzyłem. – Niech pani wywoła Mortimera. Wie pani, Mortimera L. To „L” jest od „Lonzo”.

Wibracje wciąż były niedobre.

– Chcę go zapytać o to samobójstwo.

Tym razem wibracje musiały być bardzo niedobre, bo zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Niech pani wywoła Mortimera – ciągnąłem. – Chcę go zapytać o ubezpieczenie. Chcę go zapytać o ten ostatni list, który napisał.

Wibracje musiały być wręcz okropne, bo trąbka trzasnęła o stół i odbiła się od podłogi, usłyszałem jakiś hałas i szuranie dokoła stołu, a kiedy nagle zapłonęło światło elektryczne, ujrzałem pannę Littlepaugh stojącą przy drzwiach, z ręką na przełączniku, i wpatrującą się we mnie zaczerwienionymi oczyma, podczas gdy jej oddech dobywał się z wyraźnie dosłyszalnym świszczaniem spomiędzy starych zębów.

– Skłamał pan! – powiedziała. – Nakłamał mi pan!

– Nie, nie nakłamałem pani – odrzekłem. – Nazywam się Jack Burden, a przysłała mnie pani Dalzell.

– Głupia! – zasyzczała. – Głupia jest, że pana przysłała... pana...

– Uważała, że jestem w porządku. I wcale nie była głupia, skoro wzięła za to dwadzieścia pięć dolarów.

Wydobyłem portfel, wyjąłem zeń kilka banknotów i pokazałem jej.

– Może nie jestem w porządku – rzekłem – ale te rzeczy są zawsze w porządku.

– Czego pan chce? – spytała, a jej oczy przeskoczyły z mej twarzy na zielony zwitek banknotów i z powrotem.

– Tego, co powiedziałem – odrzekłem. – Chcę porozmawiać z Mortimerem Lonzo Littlepaughiem. Jeżeli pani może nawiązać z nim łączność.

– A czego pan chce od niego?

– Już mówiłem. Chcę zapytać o samobójstwo.

– To był wypadek – powiedziała głucho. Wyciągnąłem jeden z banknotów i podniosłem go do góry.

– Niech pani patrzy – rzekłem. – Tu jest sto dolarów. – Położyłem je na tym końcu stołu, który był bliżej niej. – Niech pani się dobrze przyjrzy. To jest dla pani. Proszę to wziąć.

Zerknęła lękliwie na banknot. Podniosłem do góry dwa kolejne.

– Jeszcze dwa takie samiutki – powiedziałem. – Trzysta dolarów. Jeżeli pani skontaktuje mnie z Mortimerem, pieniądze będą pani.

– Wibracje... – szepnęła. – Czasami wibracje...

– Tak, wibracje – powtórzyłem. – Ale sto dolarów może bardzo dopomóc wibracjom. Niech pani weźmie. To jest pani.

– Nie – odparła szybko, chrapliwie. – Nie.

Wziąłem jeden z dwóch banknotów, które trzymałem w ręku, i położyłem go na tym, co już leżał na stole.

– Niech pani bierze – powiedziałem – i niech szlag trafi wibracje. Nie lubi pani pieniędzy? Nie potrzeba pani pieniędzy? Kiedy pani ostatnio jadła porządny obiad? Niech pani to bierze i zacznie mówić.

– Nie – szepnęła, skuliła się pod ścianą i położywszy rękę na klamce, jak gdyby chciała uciec, wpatrzyła się w pieniądze. Potem spojrzała na mnie i nagle poderwała głowę, mówiąc: – Ja wiem... ja pana znam... pan

mnie chce podejść... pan jest z towarzystwa ubezpieczeniowego.

– Pomyłka w adresie – odparłem. – Ale wiem coś niecoś o polisie ubezpieczeniowej Mortimera. Klauzula dotycząca samobójstwa. Dlatego właśnie pani...

– On... – zasyczała, a jej wychudłą twarz wykrzywił grymas, który mógł być bólem, wściekłością, rozpaczą, trudno powiedzieć na pewno. – On się zapożyczył na swoje ubezpieczenie... prawie na całą sumę... i nic mi nie powiedział... on...

– A więc skłamała pani prawie za nic – rzekłem. – Co prawda podjęła pani ubezpieczenie, ale niewiele tam zostało do podjęcia.

– Tak, niewiele. On mnie zostawił... w taki sposób... nic nie powiedział... zostawił mnie bez niczego... a to... to... – Rozejrzała się po pokoju, po połamanych meblach, po całym tym brudzie, wzdrygnęła się i skuliła, jak gdyby dopiero w tej chwili tu weszła i zobaczyła to wszystko. – To... – powtórzyła. – To...

– Trzy setki coś by pani dały – rzekłem i wskazałem głową dwa banknoty na aksamitnej serwecie.

– To... to... – mówiła. – Zostawił mnie... był tchórzem... o, jemu było łatwo... łatwo... wystarczyło mu tylko...

– Wyskoczyć – dokończyłem.

To ją uspokoilo. Patrzyła na mnie ponuro przez chwilę, po czym rzekła:

– On nie wyskoczył.

– Droga panno Littlepaugh – powiedziałem tonem zazwyczaj określanym jako „nie pozbawiony uprzejmości”. – Dlaczego pani tego nie przyzna? Pani brat już od dawna nie żyje i to mu nie zaszkodzi. Towarzystwo ubezpieczeniowe zapomniało o całej sprawie. Nikt pani nie potępi za kłamstwo: musiała pani żyć. No, a...

– Nie chodziło o pieniądze, ale o ten wstyd – odparła. – Chciałam,

żeby miał kościelny pogrzeb. Chciałam... – Urwała nagle.

– Aha – powiedziałem i zerknąłem na święte obrazy na ścianach.

– Wtedy byłam wierząca – zaczęła, przerwała i poprawiła się: – Teraz też wierzę w Boga, ale to co innego.

– Tak, tak – odparłem uspokajająco i spojrzałem na pozostałą na stole trąbkę. – No i oczywiście niemądrze jest myśleć tu o jakimś wstydzie. Kiedy pani brat to zrobił...

– To był wypadek – przerwała mi.

– Panno Littlepaugh, przecież pani sama przyznała przed sekundą...

– To był wypadek – powtórzyła, zamykając się w sobie.

– Nie, on to zrobił, ale to nie była jego wina. Został do tego doprowadzony. – Przyjrzałem się jej twarzy. – Poświęcił całe lata kompanii, a potem go wyrzucili. Żeby zrobić miejsce dla człowieka, który dopuścił się brzydkiej rzeczy. Który popchnął pani brata do samobójstwa. Prawda? – Wstałem i postąpiłem krok ku niej. – No prawda?

Popatrzyła na mnie bacznie, a potem wybuchnęła:

– Tak! On go do tego popchnął, on go zabił, zaangażowali go, bo to była łapówka... A mój brat wiedział... mówił im, że wie... ale go wyrzucili... powiedzieli, że nie może tego dowieść, i wyrzucili go...

– A mógł dowieść? – pytałem.

– O, tak, on wiedział. Wiedział o tej całej historii z węglem... wiedział od dawna, ale nie domyślał się, co mu zrobią... Wtedy dobrze go traktowali, wiedząc przez cały czas, że go wyrzucą... Ale poszedł do gubernatora i powiedział...

– Co? – zapytałem. – Co pani mówi? – i podszedłem do niej.

– Do gubernatora, i on... – Kto?

– Do gubernatora Stanton, a gubernator nie chciał słuchać, tylko...

Chwyciłem starą kobietę za ramię i przytrzymałem mocno.

– Mówi pani – rzekłem – że pani brat poszedł do gubernatora Stanton

i powiedział mu o tym?

– Tak, a gubernator Stanton nie chciał słuchać. Nie chciał słuchać. Oświadczył mi, że nie może niczego udowodnić, że nie będzie śledztwa i że...

– Czy pani kłamie? – zapytałem i potrząsnąłem ręką cienką jak zapałka.

– To prawda, klnę się na Boga! – krzyknęła, dygocząc w moim uścisku. – I to brata zabiło. Zabił go gubernator. Brat poszedł do hotelu, napisał mi wszystko w liście i tej nocy...

– Co się stało z tym listem? – spytałem.

– ...tej nocy... tuż przed świtem... a czekał całą noc w tym pokoju... i tuż przed świtem...

– Co się stało z listem? – powtórzyłem.

Potrząsnąłem nią znowu, a ona powiedziała szeptem: – ...tuż przed świtem... – Ale wynurzyła się z głębin myśli, w których była pogrążona, spojrzała na mnie i odparła: – Ja mara ten list.

Puściłem jej ramię, wetknąłem banknot w lepką dłoń i zacisnąłem na nim jej palce.

– Tu jest sto dolarów – powiedziałem. – Niech pani mi da ten list, a dostanie pani resztę... trzy setki!

– Nie – odparła. – Nie. Pan chce się pozbyć tego listu. Bo w nim jest prawda. Pan jest przyjacielem tamtego. – Spojrzała mi w twarz, sondując ją, mrugając oczyma jak staruszka, która usiłuje słabymi palcami otworzyć pudełko. Dała za wygraną i spytała bezradnie: – Pan jest jego przyjacielem?

– Myślę, że nie uważałby mnie za przyjaciela, gdyby mnie mógł teraz widzieć – odparłem.

– Więc pan nie jest jego przyjacielem?

– Nie – odrzekłem. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem. – Nie –



powtórzyłem. – Nie jestem jego przyjacielem. Niech pani mi da ten list. Jeżeli zostanie kiedyś użyty, to tylko przeciwko niemu. Przysięgam pani.

– Boję się – powiedziała, ale poczułem pod ręką, że jej palce z wolna obmacują banknot, który między nie wetknąłem.

– Niech pani się nie boi towarzystwa ubezpieczeniowego. To było już dawno.

– Kiedy poszłam do gubernatora... – zaczęła.

– To pani też była u gubernatora?

– Kiedy tamto się stało... już po wszystkim... Chciałam zaszkodzić temu człowiekowi... Poszłam do gubernatora...

– Boże! – powiedziałem.

– ...i prosiłam, żeby go ukarał... bo przecież wziął łapówkę... bo zabił mojego brata... ale gubernator powiedział, że nie mam dowodów, że tamten jest jego przyjacielem i że nie mam dowodów.

– A list, pokazała mu pani list?

– Tak, miałam go.

– Pokazała pani list gubernatorowi Stantonowi?

– Tak... Tak... I on tam stał i powiedział: „Panno Littlepaugh, przysięgła pani, że pani nie otrzymała tego listu, poprzysięgła pani kłamstwo i to jest krzywoprzysięstwo, a za krzywoprzysięstwo są duże kary i jeżeli ten list zostanie ujawniony, będzie pani ukarana z całą surowością prawa”.

– I co pani zrobiła? – spytałem.

Jej głowa, która była wszystka siwymi włosami, żółtą skórą napiętą na kości i dawnymi wspomnieniami, zachwiała się na cienkiej łodydze szyi lekko i sucho, jak gdyby poruszona powiewem.

– Co zrobiłam – powtórzyła jak echo, trzęsąc głową. – Co zrobiłam! Byłam biedną, samotną kobietą. Mój brat odszedł. Co mogłam zrobić?

– Zatrzymała pani list – powiedziałem, a ona skinęła głową.

– Niech pani go da! – zawołałem. – Niech pani go da. Nikt nie będzie pani niepokoił. Przysięgam.

Dała mi go. Zaczęła szperać w stercie poźółkłych, kwaśno pachnących papierów, starych wstążek i zmiętych kawałków materiału w stojącym w kącie blaszanym kuferku, a ja pochylałem się nad nią zniecierpliwiony sparaliżowaną nieporadnością jej palców. Wreszcie go znalazła.

Wyrwałem jej z ręki kopertę i wytrząsałem arkusik papieru. Był to firmowy papier hotelowy – hotel „Moncastello” – i nosił datę trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset piętnastego roku. List brzmiał:

*Kochana Siostró,*

*Dziś po południu byłem u gubernatora Stanton i dowiedziałem mu, że po tylu latach wyrzucili mnie z posady jak psa, bo ten Irwin wziął łapówkę za umorzenie sprawy przeciwko Południowemu Towarzystwu Opałowemu, i że dostał moje miejsce z taką pensją, jakiej mnie nigdy nie płacili, chociaż krwawo dla nich pracowałem przez wszystkie te lata. I jeszcze go zrobili wiceprezesem. Nakłamali mi, oszukali, a jego robią wiceprezesem za to, że wziął łapówkę. Ale gubernator Stanton nie chciał mnie słuchać. Zażądał dowodów, a ja mu powtórzyłem, co Satterfield mówił mi szereg miesięcy temu, że sprawa jest załatwiona i że nasza kompania zaopiekuje się Irwinem. A teraz Satterfield temu zaprzecza. Zaprzecza, że mówił mi coś podobnego i patrzy mi prosto w oczy. Więc nie mam żadnych dowodów i gubernator Stanton nie chce wszcząć śledztwa.*

*Nie mogę zrobić nic więcej. Jak wiesz, rozmawiałem z ludźmi, którzy politycznie są przeciwko gubernatorowi Stantonowi, ale nie chcieli mnie słuchać. Bo ten łajdak i kanciarz, McCall,*

*który jest ich przywódcą, ma powiązania z Południowym Towarzystwem. Z początku się interesowali, ale teraz śmieją się ze mnie. Cóż mogę zrobić? Jestem stary i marnie się czuję. Nigdy się do niczego nie nadam. Będę ci ciężarem, nie pomocą. Cóż mogę zrobić, Siostrzyczko?*

*Byłaś dla mnie dobra. Dziękuję ci. Przebac mi to, co uczynię, ale teraz pójdę do naszej uwielbianej matki i najdroższego ojca, którzy byli dla nas dobrzy i kochani i którzy mnie powitają na Drugim Brzegu i osuszą wszystkie łzy.*

*Do zobaczenia w owym szczęśliwym dniu, kiedy się znowu spotkamy w Światłości.*

*Mortimer*

*P.S. Wziąłem sporą pożyczkę na moje ubezpieczenie. Ze względu na złe inwestycje. Ale coś jeszcze zostało i jeżeli się dowiedzą, że zrobiłem to, co mam zamiar zrobić, nie zapłacą ci nic.*

*P.S. Mój zegarek, który należał do ojca, daj Julianowi, bo będzie go szanował, chociaż jest tylko naszym kuzynem.*

*P.S. To, co mam zrobić, mógłbym zrobić w jakiś łatwiejszy sposób, gdyby nie to, że chcę ci zapewnić ubezpieczenie. Zapłaciłem za nie i powinnaś je dostać.*

Tak więc na ów Drugi Brzeg, gdzie ojciec i matka mieli osuszyć wszystkie łzy, biedaczysko przeprawił się bezpośrednio po pouczeniu siostry, jak ma os zwabić towarzystwo ubezpieczeniowe. To był cały Mortimer Lonzo Littlepaugh: bezład, słabość, nabożność, litowanie się nad samym sobą, małostkowa przebiegłość, mściwość – wszystko to wypisane schludnym, pajęczym, staroświeckim pismem buchaltera,

może nieco bardziej roztrzęsionym niż zazwyczaj, ale ze wszystkimi „t” przekreślonymi i ze wszystkimi kropkami nad „i”.

Włożyłem list do koperty i schowałem ją do kieszeni.

– Zrobię z tego listu fotokopię – powiedziałem – i mogę go pani zwrócić. Fotokopię każę poświadczyć. Ale pani musi złożyć u notariusza zeznanie na temat pani wizyty u gubernatora Stanton. – I podszedłem do stolika, wziąłem obydwie banknoty i wręczyłem jej. – Dostanie pani jeszcze taki jeden po złożeniu tego zeznania. Niech pani będzie gotowa.

Więc wreszcie miałem to po tylu miesiącach. Bo nic nie ginie, nic nigdy nie ginie. Zawsze jest jakiś trop, przekreślony czek, ślady szminki, odciski stóp na klombie, kondom na ścieżce parkowej, ukłucie w dawnej ranie, dziecinne buciki umazane na brązowo, skaza we krwi. A wszystkie czasy są jednym czasem i wszyscy umarli w przeszłości nie żyli wcale, dopóki nasza definicja nie dała im życia, i oczy ich patrzą na nas błagalnie z mroku.

Tak uważamy my wszyscy, badacze historii.

Poza tym kochamy prawdę.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

Był koniec marca roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego, gdy odwiedziłem pannę Littlepaugh w brudnej, cuchnącej lisem norze w Memphis i dotarłem do kresu moich poszukiwań. Ta robota zajęła mi prawie siedem miesięcy. Jednakże poza moimi poszukiwaniami działa się w owym czasie jeszcze inne rzeczy. Tom Stark, student drugiego roku, został przyjęty na ćwierć-beka do legendarnej Jednostki Południa i uczcił to, wbijając kosztowny, żółty wóz sportowy w kanał przepustowy przy jednej z rozlicznych nowych autostrad noszących imię jego ojca. Szczęściem wrak został znaleziony przez patrol policji drogowej, a nie przez jakiegoś gadatliwego obywatela, toteż na wpół opróżniona butelka, będąca dowodem rzeczowym, została zapewne ciśnięta w ciemność i spadła do czarnych wód bagniska. Obok nieprzytomnego Drugorocznickiego Pioruna leżała inna postać, przytomna, ale ciężko poszwankowana, albowiem Tom miał w swojej dużej, żółtej, kosztownej maszynie sportowej nieco mniej kosztowną, żółtowłosą, sportową maszynkę, noszącą, jak się okazało, nazwisko Caresse Jones. Owa Caresse wylądowała więc w sali operacyjnej szpitala, a nie w bagnisku. Była na tyle uprzejma, że nie umarła, jakkolwiek w przyszłości nie miała się już zbytnio nadawać na ozdobę sportowego wozu. Natomiast jej ojciec okazał się mniej uprzejmy. Tupał i przysięgał, że się dobierze do czyjejś skóry, grzmiał coś o wyrokach, więzieniach, podaniu do prasy i sprawie sądowej. Jego zapaly zostały jednakże wprędce ostudzone. Nie obeszło się to bez wyłożenia ładnej gotówki. Ale w końcu całą transakcję przeprowadzono bez hałasu. Pan Jones trudnił się transportem ciężarowym i ktoś mu zwrócił

uwagę, że ciężarówki jeżdżą po szosach stanowych i że transportowcy mają wiele do czynienia z pewnymi stanowymi wydziałami.

Tomowi nic się nie stało, chociaż przeleżał nieprzytomny trzy godziny w szpitalu, podczas gdy Szeff, błąd jak nakrochmalone prześcieradło, z włosami spadającymi na oszalałe oczy i policzkami mokrymi od potu, przemierzał tam i na powrót poczekalnię, wgniatając pięść w dłoń drugiej ręki i oddychając równie ciężko jak jego syn w sąsiednim pokoju. A potem zjawiała się Lucy Stark – było to około czwartej nad ranem – z oczami czerwonymi, ale suchymi, i z wyrazem oszołomienia na twarzy. Doszło między nimi do ostrej kłótni. Ale dopiero wtedy, gdy ich zawiadomiono, że Tomowi nic nie grozi. Do tego momentu on chodził tam i z powrotem, oddychając ciężko, a ona siedziała wpatrzona w przestrzeń. Kiedy jednakże przyniesiono im tę wiadomość, wstała, podeszła do niego i powiedziała:

– Musisz z tym skończyć.

Jej głos ledwie się wzniosł ponad szept.

Will stał, wpatrując się ociężale, bezmyślnie w jej twarz, po czym wyciągnął rękę, aby jej dotknąć, jak niedźwiedź wymacujący coś niezdarnej, badawczą łapą, i powiedział suchymi wargami:

– Jemu... jemu nic nie będzie, Lucy. Już wszystko dobrze.

Potrząsnęła głową.

– Nie – odrzekła. – Nie jest dobrze.

– Doktor... – Postąpił chwiejnie krok ku niej. – Doktor powiedział...

– Nie, nie jest dobrze – powtórzyła. – I nie będzie. Dopóki coś z tym nie zrobisz.

Krew nagle rzuciła mu się do policzków.

– Słuchaj no, jeżeli ty chcesz, żebym mu zabronił grać w futbol... jeżeli...

Była to ta stara historia między nimi.

– Ach, nie chodzi tylko o futbol. Jest już dostatecznie ile, że ma się za bohatera, że nie widzi nic innego na świecie... ale idzie o to wszystko, co się z tym łączy... Jest rozhukany, samolubny, rozpróżniaczony i...

– Mój chłopak nie będzie lalusiem. A ty byś tego chciała! – Wolałabym go zobaczyć martwego u moich stóp, niż żeby miał być tym, co z niego zrobi twoja próżność.

– Nie bądź niemądra!

– Ty go zmarnujesz. – Głos jej był teraz spokojny i równy.

– Psiakrew, daj że mu być mężczyzną! Ja, dorastając, nie miałem żadnych przyjemności. Niechże się chłopak trochę zabawi! Chcę, żeby się bawił. Ja tylko patrzyłem, jak inni się bawią, a sam nie bawiłem się nigdy. Chcę, żeby...

– Zmarnujesz go – powiedziała głosem spokojnym i odmierzonym jak fatalność.

– Cholera jasna! Słuchaj no... – zaczął, ale w tej chwili wymknąłem się za drzwi i zamknąłem je cicho za sobą.

Jednakże wypadek Toma nie był jedynym wydarzeniem tej zimy.

Był jeszcze projekt Anny Stanton uzyskania pieniędzy stanowych na przytułek dla dzieci. Dostała niezły zasiłek i była z siebie ogromnie kontenta. Twierdziła, że uzyska dwuroczną dotację; mówiła, że to nieodzowne, i zapewne miała słuszność, bo prywatne źródła dobroczynności prawie zupełnie powysychały około roku dwudziestego dziewiątego i nawet w siedem lat później ledwie co się z nich sączyło.

Coś też się działo w czwartym dystrykcie, gdzie jeszcze rej wodził MacMurfee. Jego przedstawiciel zabrał głos w Kongresie w Waszyngtonie, co było wprawdzie daleko, ale znowu nie na księżycu, i wypowiedział swoje poglądy na temat Szefa, o czym się rozpisano na pierwszych stronach dzienników w całym kraju. Wobec tego Szef zakupił sobie sporo miejsca w audycjach radiowych, wypowiedział swoje poglądy na

temat owego kongresmana nazwiskiem Petit i uraczył kraj szczegółową, zawartą w kilku odcinkach biografią kongresmana Petita, który, jak dowiodły badania wydziału informacji Szefa, wyrwał się niczym Filip z konopi. Szef wcale nie odpowiadał na to, co mówił Petit, tylko po prostu zajął się osobą samego mówcy. Zdawał sobie doskonale sprawę z tak zwanej zwodniczości *argumentum ad hominem*. „Może to być zwodnicze – mówił – ale użyteczne, nie ma co gadać. Jeżeli się zastosuje właściwy rodzaj argumentum, można zawsze tak nastraszyć owego hominem, że zapłaci rachunek z pralni, którego się wcale nie spodziewał”.

Petit nie wypadł więc zbyt dobrze, ale trzeba to oddać MacMurfee’emu, że ani na chwilę nie przestał próbować. Tiny Duffy także nie przestał próbować. Diabelnie się starał wmówić Szefowi, że budowę szpitala trzeba powierzyć Gummy’emu Larsonowi, który był potęgą w czwartym dystrykcie i bez wątpienia mógł wpłynąć na MacMurfee’ego, czyli po prostu go sprzedać. Szef słuchał Tiny’ego mniej więcej równie uważnie, jak słucha się deszczu bębniącego po dachu, i mówił: „Jasne, Tiny, jasne; jeszcze kiedyś o tym pogadamy”. Albo: „Psiakrew, Tiny, zmieńże już tę płytę”. Albo też nic nie odpowiedział, tylko spoglądał na Tiny’ego ociężałym, głębokim, obojętnym, kalkulującym wzrokiem, jak gdyby brał po coś jego wymiary i nie odzywał się ani słowem, dopóki głos Tiny’ego nie rozplynał się w ciszę tak absolutną, że można było dosłyszeć oddechy ich obydwu – oddech Tiny’ego syczący, przyśpieszony i płytki pomimo całej jego tuszy i oddech Szefa równy i głęboki.

Tymczasem szpital stawał się głównym zainteresowaniem Szefa. Szef jeździł na wschód oglądać wszystkie najlepsze i największe szpitale: ogólny stanu Massachusetts, prezbiteriański w Nowym Jorku, ogólny filadelfijski i wiele innych. „Jak Boga kocham – mówił. – Mogą sobie być wspaniałe, ale mój będzie wspanialszy. I żeby były nie wiem jak wielkie, mój będzie większy, i każdy biedak w tym stanie pójdzie tam, otrzyma,



co tylko jest najlepszego, i nie zapłaci ani centa”. Kiedy wyjeżdżał w taką podróż, cały czas spędzał z lekarzami, architektami i dyrektorami szpitali – ani chwili ze śpiewaczką kabaretową czy z bukmacherem. Kiedy zaś wracał do domu, jego gabinet przemieniał się w stos planów architektonicznych, notatników wypełnionych gryzmołami, a także ksiązek o architekturze, systemach ogrzewania, dietetyce i szpitalnictwie. Wchodziłeś tam, a on podnosił na ciebie wzrok i zaczynał mówić gdzieś od środka, tak jakbyś był z nim przez cały czas: „Otóż oni w Massachusetts mają...” To rzeczywiście było jego ukochane dziecko.

Ale Tiny nie dawał za wygraną.

Pewnego wieczora przyszedłem do pałacu, zastałem Cukierka usadowionego w wysokim, szlachetnie proporcjonalnym hallu, z gazetą rozłożoną na kolanach, rozmontowanym rewolwerem w rękę i puszką oliwy na podłodze, spytałem go, gdzie jest Szeff, przyjrzałem mu się, gdy jego wargi usiłowały w męce przemówić, a ślina pryskała, zrozumiałem z ruchu głowy, że Szeff jest w bibliotece, i poszedłem zapukać do wielkich drzwi. Gdy tylko je otworzyłem, natknąłem się prosto na oczy Szeffa niczym na wylot dwulufowej śrutowej dziesiątki wymierzonej z trzech kroków i zatrzymałem się.

– Patrz! – rozkazał mi, dźwigając się na wielkiej skórzanej kanapie, na której leżał podparty. – Patrz! – I przerzucił tę swoją dwururkę na Tiny’ego, który stał przed nim na dywanie i zdawał się wytapiać z siebie łój szybciej, niżby to mógł sprawić nawet ogień polan płonących na kominku. – Patrz – powiedział Szeff do mnie. – Ten drań chciał mnie podejść, chciał przesznułować tutaj tego Gummy’ego Larsona, żeby ze mną pogadał. Ściągnął go aż z Duboisville i myślał, że będę uprzejmy. Ale niech mnie cholera Jeżeli byłem! – Znowu obrócił się do Tiny’ego. – No co, byłem uprzejmy?

Tiny nie zdołał wykrztusić ani słowa.

– No, byłem, psiakrew? – zapytał Szeff.

– Nie – odparł Tiny jakby z dna głębokiej studni.

– Nie byłem – rzekł Szeff. – Nie pozwoliłem mu przestąpić tego progu.

– Wskazał zamknięte drzwi za mną. – Powiedziałem, że jeżeli kiedyś będę chciał z nim gadać, to po niego poślę, i kazałem mu się wynosić do diabła. Ale ty – wyciągnął palec ku Tiny’emu. – Ty...

– Myślałem...

– Myślałeś, że mnie wrobisz... wrobisz mnie w to, żeby go kupić. No, więc go nie kupuję. Ja go wykończę. Za wielu już kupiłem sukinsynów. Jak się ich wykończy, to są wykończeni, ale jeżeli ich kupić, nigdy nie wiadomo, na jak długo będą kupieni. Już ich za wielu kupiłem. I popełniłem błąd, że nie wykończył i ciebie. Ale myślałem, że będziesz kupiony na dobre. Bo bałyś się nie być.

– Ależ, Szefie – odezwał się Tiny. – To niesprawiedliwe, przecież pan dobrze wie, jak my wszyscy odnosimy się do pana. I w ogóle. Nie to, żeby ktoś się bał, ale...

– Już ty tam lepiej się bój – odparł Szeff głosem nagle słodkim i cichym. Niczym matka szepcząca do dziecka w kołysce.

Mimo to na czoło Tiny’ego znowu wystąpił pot.

– A teraz się stąd zabieraj! – powiedział Szeff bardziej stanowczym tonem.

Popatrzyłem na drzwi, które zamknęły się za wychodzącym, i rzekłem:

– Nie ma co mówić, przymilasz się swoim stronnikom.

– O Jezu! – westchnął, opadając na skórzaną kanapę, i odsunął kilka rulonów z planami. Uniósł rękę, spróbował odpiąć kołnierzyk, zaczął go tarmosić, wreszcie zniecierpliwził się, urwał guzik i rozluźnił krawat. Pokręcił ciężko głową z boku na bok, jak gdyby ten kołnierzyk go dławił. – O Jezu – powtórzył niemal opryskliwie. – Czyż on nie może zrozumieć, że nie chcę, żeby się do tego mieszał? – I znowu odepchnął na bok plany.

– A czego się spodziewasz? – spytałem. – Przecież tu wchodzi w grę sześć milionów dolarów. Widziałeś kiedy, żeby muchy nie zlatywały się do miodu przy podbieraniu?

– Niech on się lepiej trzyma z daleka od tego miodu.

– Przecież po prostu rozumuje logicznie. Larson najwyraźniej chce sprzedać MacMurfee’ego. Za umowę. Jest wytrawnym budowniczym. Poza tym...

Poderwał się do siedzącej pozycji, wpatrzył we mnie i spytał:

– Czy i ty jesteś w to wciągnięty?

– Mnie to nic nie obchodzi – odparłem i wzruszyłem ramionami. – Jeżeli o mnie idzie, to możesz sobie zbudować ten szpital gołymi rękami. Powiedziałem tylko, że Tiny rozumuje logicznie, jeżeli wziąć pod uwagę jego przesłanki.

– Czy ty nie rozumiesz? – zapytał, przypatrując mi się badawczo. – Psiakrew, czy i ty też nie rozumiesz?

– Rozumiem, co rozumiem.

– Nie widzisz, o co chodzi? – spytał, dźwigając się z kanapy. W chwili gdy wstał, poznałem po lekkim zachwianiu się, że musiał pić. Podszedł, złapał mnie za klapę marynarki, potrząsnął lekko, wpatrując mi się w twarz (teraz, z bliska, widziałem, że oczy ma przekrwione) i powiedział: – Czy ty też nie rozumiesz? Ja buduję ten szpital, najlepszy w kraju, najlepszy na świecie i taki łobuz jak Tiny nie będzie się do tego mieszał; nazwę ten szpital imieniem Williego Starka i on tu zostanie długo po tym, kiedy umrę i już mnie nie będzie, i ty umrzesz i już ciebie nie będzie, i wszystkie te sukinsyny powymierają i już ich nie będzie, i każdy, choćby nie miał ani centa, pójdzie tam...

– I będzie na ciebie głosował – dokończyłem.

– Ja już nie będę żył – odparł. – I ty także, i wszystko mi jedno, czy ktoś zechce na mnie głosować, czy nie, bo będzie mógł tam pójść...

– I błogosławić twoje imię – powiedziałem.

– Cholera jasna! – Potrząsnął mnie mocno, zgniatając moją klapę w wielkiej garści. – Stoisz tu z takim uśmieszkiem... Zdejmij ten uśmieszek z twarzy... zdejmij, bo jak nie, to ci go...

– Słuchaj – powiedziałem. – Ja nie jestem jedną z tych twoich szumowin i będę się uśmiechał, kiedy mi się spodoba.

– Jack... psiakrew... Jack... Ty wiesz, że ja przecież... Tylko że tak tu stoisz i uśmieciasz się. Cholera, czy ty nie możesz zrozumieć? Nie możesz? – Trzymał za klapę, przysuwał do mnie swą wielką twarz i wwiercał wzrok w moje oczy, mówiąc: – Nie możesz? Nie rozumiesz, że nie pozwolę tym draniom przypieprzać się do tego? Do szpitala imienia Williego Starka? I ściągnę najlepszego faceta, jaki jest, żeby go poprowadził. Tak! Najlepszego, jaki jest. W Nowym Jorku mówili mi, żeby go ściągnąć, że on jest właśnie tym, którego trzeba. I ty, Jack...

– Co? – zapytałem.

– Ty go ściągniesz.

Uwolniłem klapę z jego uchwytu, wygładziłem ją i opadłem na fotel.

– Kogo ściągnę? – spytałem.

– Doktora Stanton – odrzekł. – Doktora Adama Stanton.

O mało nie wyskoczyłem z fotela. Popiół z papierosa spadł mi na przód koszuli.

– Od jak dawna masz te objawy? – zapytałem. – Widujesz może czasem różowe słonie?

– Ściągniesz Stanton – powiedział.

– Słyszysz jakieś głosy? – odparłem.

– Ściągniesz go – powtórzył z uporem.

– Szefie – powiedziałem. – Adam jest moim starym kumplem. Znam go jak własnego brata. I wiem, że nie może na ciebie patrzeć.

– Ja nie proszę, żeby mnie kochał. Proszę go, żeby kierował moim

szpitalem. Nikogo nie proszę, żeby mnie kochał. Nawet ciebie.

– Wszyscy pana kochamy – powiedziałem, przedrzeźniając Tiny’ego.

– Pan dobrze wie, jak my wszyscy odnosimy się do pana.

– Namów go – rzekł.

Wstałem, przeciągnąłem się, ziewnąłem i ruszyłem do drzwi.

– Idę sobie – oświadczyłem. – Jutro, jak będziesz w pełni władz umysłowych, posłucham, co masz do powiedzenia.

I zamknąłem za sobą drzwi.

Nazajutrz, kiedy był w pełni władz umysłowych, wysłuchałem, co miał do powiedzenia, a to było: „Ściągnij Stantona”.

Poszedłem więc do obskurnego, klasztornego mieszkanka, gdzie fortepian lśnił jakby na urągowisko pośród całego niechlujstwa, gdzie książki i papiery leżały stertami na krzesłach, gdzie stała zapomniana przez murzyńską sprzątaczkę filiżanka po kawie z zaschniętymi fusami w środku i gdzie mój przyjaciel z młodości przyjął mnie tak, jak gdyby on nie był Sukcesem, a ja Niepowodzeniem (jedno i drugie dużą literą), położył mi dłoń na ramieniu, wymówił moje imię, spojrzał na mnie tymi lodowato-wodniścieniebieskimi abstrakcyjnymi oczami, które były nieugięte jak sumienie i wydawały się wyrzutem wobec wszystkiego, co niejasne, zawikłane i mgliste. Ale uśmiech na jego twarzy, rozchylający jakby z wahaniem mocny szew chirurgiczny ust, przejmował człowieka ciepłem, nieśmiałym ciepłem podobnym do tego, jakie odkrywa się z zadziwieniem w zimowym słońcu pod koniec lutego. Ten uśmiech był usprawiedliwieniem Adama za to, że jest tym, czym jest, że patrzy na ciebie tak, jak patrzy, i widzi to, co widzi. Nie tyle wybaczał tobie i światu, ile sam prosił o wybaczenie za zbrodnię patrzenia wprost na to, co ma przed sobą, czyli w tym wypadku ciebie. Ale Adam nie uśmiechał się często. Uśmiechał się do mnie nie dlatego, że byłem tym, czym byłem, ale że byłem Jego Przyjacielem z Młodości.

Przyjaciel z Młodości jest jedynym przyjacielem, jakiego w ogóle mamy, bo w gruncie rzeczy nas nie widzi. Widzi w swych myślach twarz, która już nie istnieje, wymawia jakieś imię – Spike, Bud, Snip, Red, Rusty, Jack, Dave – które należy do tej nie istniejącej już twarzy, lecz które przez jakieś czcze, wypaczone pomieszczenie pojęć on chwilowo łączy z niezbyt mile widzianym i nudnym obcym przybyszem. Ale robi ustępstwo na rzecz tego idiotycznego, wypaczonego pomieszczenia pojęć i nadal uprzejmie nazywa obcego nudziarza imieniem, które należy do tamtej chłopięcej twarzy i do owych czasów, kiedy chłopięcy głos nawoływał cienko nad przedwieczorną wodą, szeptał nocą przy obozowym ognisku lub mówił na tłumnej ulicy: „Te, posłuchaj: Na Wenlock Edge niepokój w borach, gdzie leśne runo z Wrekinu spływa...” Przyjaciel z naszej Młodości jest naszym przyjacielem, ponieważ już nas nie widzi.

I może nawet nigdy nie widział. To, co widział, stanowiło po prostu część zawartości cudownego, otwierającego się świata. Przyjaźń była czymś, co nagle odkrył i musiał odwzajemnić w dowód wdzięczności i jako zapłatę za ów porywający świat, który otwierał się i rozkwitał jak powój. Było całkowicie obojętne, komu da tę przyjaźń, bo wagę miał sam fakt jej dawania, i jeżeli akurat znalazłeś się pod ręką, byłeś automatycznie wyposażony we wszystkie atrybuty właściwe przyjacielowi, a to, co stało się z tobą później, nie miało żadnego znaczenia. Przyjaciel z Młodości jest jedynym przyjacielem, jakiego można mieć, bo wcale się nie troszczy o odważanie własnego interesu czy twoich zalet. Nic go chwilowo nie obchodzi. Powodzenie ani Podziw Należny Najlepszym – dwa oficjalne kryteria przyjaźni dorosłych – i kiedy pojawi się u niego nudny, obcy człowiek, wyciąga doń rękę, uśmiecha się (właściwie nie widząc naszej twarzy), wymawia nasze imię (które w gruncie rzeczy już do tej twarzy nie należy) i mówi: „No, Jack, strasznie się cieszę, żeś przyszedł. Wejdźże, stary!”

Usiadłem więc w jednym z jego zapadniętych foteli, gdy już usunął zeń książki, i piłem jego whisky, i czekałem na chwilę, kiedy się odezwę: „Posłuchaj, chcę ci coś powiedzieć, tylko nie zacznij wrzeszczeć, dopóki nie skończę”.

Nie zaczął wrzeszczeć, dopóki nie skończyłem. Zresztą nie zabrało mi to wiele czasu. Powiedziałem:

– Gubernator Stark chciałby, żebyś został dyrektorem nowego szpitala i ośrodka medycznego.

Mówiąc ściśle, nie wrzasnął i wtedy. Nie wydał z siebie żadnego głosu. Patrzył na mnie prawie przez minutę nieuśmiechniętym, klinicznym okiem, jak gdyby moje objawy zasługiwały na szczególną uwagę, po czym z wolna potrząsnął głową.

– Lepiej się nad tym zastanów – powiedziałem. – Może to nie takie złe, jak się zdaje; może z pewnego punktu widzenia...

Ale zamilkłem, widząc, że znowu potrząsa głową i uśmiecha się tym uśmiechem, którym bynajmniej mi nie wybaczał, lecz sam pokornie prosił o wybaczenie, że nie jest taki jak ja, że nie jest taki jak wszyscy, że nie jest taki jak cały świat.

Gdybyż się nie był uśmiechnął! Gdyby się uśmiechnął, ale uśmiechem pewnym siebie, takim ironicznym, który mówi: „Idź do cholery”. Albo choćby uśmiechem wybacającym. Gdyby się nie uśmiechnął tym uśmiechem, który pokornie, ale z godnością prosił mnie o wybaczenie – wszystko mogłoby być inaczej. Jednakże uśmiechnął się właśnie tak, z tej pełni czegoś, co miał w sobie, z głębi tej myśli, którą żył – lichy wie, jaka to była myśl i dlaczego nią żył – i wobec tego sprawy ułożyły się właśnie tak, a nie inaczej. Uśmiechając się w ten sposób, był jak człowiek, który zatrzymuje się, aby dać żebrakowi dolara, i otwierając portfel, pozwala mu dostrzec grubą zwitkę banknotów. Gdyby żebrak nie dostrzegł owego zwitka, nigdy nie poszedłby za nim, wypatrując nie oświetlonego odcinka

ulicy. Nie tyle dlatego, że pożąda tego zwitka banknotów, ile że teraz nie może już ścierpieć człowieka, który go ma i który mu dał dolara.

Albowiem gdy się uśmiechnął i powiedział: „Ale mnie nie interesują punkty widzenia”, nie poczułem owego nieśmiałego ciepła przypominającego ciepło zimowego słońca, którego zawsze doświadczałem, kiedy się dawniej uśmiechał, ale nagle uczułem coś innego, czego nie umiałem nazwać, ale co było jak sama zima, a nie zimowe słońce – jak wbity w serce sopel lodu. I pomyślałem: Niech będzie, uśmiechaj się tak... uśmiechaj się tak...

A kiedy ta myśl zniknęła – jeśli można w ogóle powiedzieć, że myśl znika, bo przecież wynurza się z nas i z powrotem w nas zapada – rzekłem:

– Ale ty nie wiesz, jakie tu mogą być punkty widzenia. Na przykład Szefer chciałby, żebyś sam poddyktował warunki.

– Szefer – powtórzył, a przy tym słowie górna warga podwinęła mu się bardziej niż zazwyczaj, ukazując zęby, w głosie zaś zabrzmiało jakieś przesadne syczenie. – Szefer niech nie liczy na to, że mnie kupi. Ja tutaj – rozejrział się po pokoju, po całym tym bałaganie i niechlujstwie – mam wszystko, czego mi potrzeba.

– Szefer nie jest głupcem. Chyba nie myślisz, że chciał cię kupić?

– Nie udałoby mu się – odpowiedział.

– Więc niby co chciał zrobić, twoim zdaniem?

– Zagrozić mi. To by przyszło potem.

– Nie – potrząsnąłem głową – nie to. Nie mógłby cię zastraszyć.

– Zdaje się, że on głównie na tym bazuje. Na przekupstwie albo groźbie.

– Zgaduj jeszcze raz – rzekłem.

Wstał z fotela, przeszedł nerwowo kilka kroków po postrzępionym zielonym dywanie i obrócił się do mnie.

– Niech sobie nie myśli, że może mi pochlebić – powiedział z



zaciekłością.

– Nikt nie mógłby ci pochlebić – odpowiedziałem łagodnie. – Nikt na świecie. A wiesz dlaczego?

– No?

– Posłuchaj, bracie, był taki człowiek imieniem Dante, który powiedział, iż prawdziwie dumny człowiek, znający swoją wartość, nie może nigdy popełnić grzechu zawiści, bo uważa, że nie ma nikogo, komu by miał zazdrościć. Mógłby zaś równie dobrze powiedzieć, że człowiek dumny, znający swoją wartość, nie jest podatny na pochlebstwo, bo uważa, że nikt nie może powiedzieć mu o jego wartości czegoś, czego by sam już nie wiedział. Nie, tobie nie można pochlebić.

– W każdym razie nie on – odrzekł ponuro Adam.

– Nikt – powiedziałem. – I on to wie. – Więc czego próbuje? Czy myśli, że ja...

– Zgaduj jeszcze raz – rzekłem.

Stał pośrodku postrzępionego zielonego dywanu i patrzył na mnie, z głową nieco pochyloną, z leciutkim cieniem – nie powątpiewania czy niepokoju – w pięknym, abstrakcyjnym błękicie swych oczu. Był to ledwie cień pytania, zaskoczenia.

Ale to było już coś. Niewiele, ale coś. Nie jest to lewy prosty w szczękę i od tego człowiek nie chwieje się na nogach. Od tego oddech nie staje się chrapliwy. To ledwie trącenie w nos, muśnięcie szorstką stroną rękawicy. Nic zabójczego, po prostu krótka pauza. Ale także przewaga. Trzeba to dobić do końca. Więc powtórzyłem:

– Zgaduj jeszcze raz.

Nie odpowiedział. Patrzył na mnie, a ten cień się pogłębiał, jak wtedy, gdy obłok przesuwa się nagle ponad błękitną wodą.

– No dobrze. Powiem ci – rzekłem. – On wie, że jesteś najlepszy, ale że tego nie sprzedajesz. A zatem najwyraźniej nie chcesz pieniędzy, bo

inaczej kazałbyś sobie płacić tak jak inni twoi koledzy albo przynajmniej odkładałbyś to, co bierzesz. Nie chcesz używać życia, bo przecież mógłbyś, gdyż jesteś sławny, stosunkowo młody i nie żaden kaleka. Nic chcesz wygod, bo przestałbyś zapracowywać się jak wyrobnik i nie mieszkałbyś w tej norze. Ale on wie, czego ty chcesz.

– Nie chcę niczego takiego, co on by mógł mi dać – oświadczył Adam.

– Na pewno, Adamie? – spytałem. – Jesteś tego pewny?

– Cholera... – zaczął i krew napłynęła mu do policzków.

– On wie, czego ty chcesz – wtrąciłem. – Mogę to ująć krótko, Adamie.

– No?

– Chcesz robić dobrze innym.

To go zatkało. Usta otworzyły mu się jak rybie chwytającej powietrze.

– Jasne – powiedziałem. – Tak jest. On zna twoją tajemnicę.

– Nie rozumiem, co... – zaczął, znowu zajadle, ale mu przerwałem:

– Spokojnie, to przecież nie żadna hańba. Tylko coś ekscentrycznego.

To, że nie możesz patrzeć na kogoś chorego, żeby go zaraz nie wziąć w swoje ręce. Że nie możesz patrzeć na kogoś, kto sobie coś złamał, żeby zaraz nie chcieć go złożyć. Że jak komuś coś gnije w środku, musisz złapać nóż w swoje silne, białe, diabelnie wytrenowane palce i zaraz to wyciąć. To tylko ekscentryczność, chłopie. Albo też może jakiś rodzaj superchoroby, na którą cierpisz.

– Chorych ludzi jest diablo dużo – stwierdził ponuro. – Ale nie rozumiem...

– Cierpienie jest złe – rzekłem pogodnie.

– Cierpienie jest złem – powiedział – ale złe nie jest... Nie jest złe samo w sobie. – I postąpił krok ku mnie, przypatrując mi się jak wróg.

– To jest ten rodzaj zagadnienia, nad którym się nie zastanawiam, kiedy boli mnie ząb – odparłem – ale fakt pozostaje faktem, że jesteś taki, jaki jesteś. I Szefer – delikatnie zaakcentowałem słowo „Szefer – o tym wie.

Wie, czego chcesz. Zna twoją słabostkę, bracie. Chcesz robić dobrze i ona ma zamiar umożliwić ci robienie tego na wielką skalę.

– „Dobrze” – powtórzył drapieźnie, a długa, wąska górna warga znów mu się podwinęła. – „Dobrze” to jest cholerne słowo tam, gdzie on wchodzi w grę.

– Czyżby? – spytałem niedbale.

– Każda rzecz rozwija się tylko w odpowiednim klimacie, a ty wiesz, jaki klimat stwarza ten człowiek. Albo przynajmniej powinieneś wiedzieć.

Wzruszyłem ramionami.

– Każda rzecz jest dobra sama w sobie... jeżeli jest naprawdę dobra – odrzekłem. – Jakiegoś faceta zaczyna świerzbic w portkach, więc pisze sonet. Czy taki sonet jest mniej dobry... jeżeli w ogóle jest dobry, w co wątpię... dlatego że babka, do której tego faceta świerzbi, jest akurat żoną kogoś innego, tak że jego namiętność musi być, jak to mówią, grzeszna? Czy róża jest mniej różą, dlatego że...

– Mówisz kompletnie nie na temat – rzekł.

– Niech będzie – powiedziałem i wstałem z fotela. – Zawsze to powtarzałeś, jak tylko cię przyparłem do muru w jakiejś dyskusji tysiąc lat temu, kiedyśmy byli chłopakami i spirali się po całych nocach. Czy pierwszorzędny bokser może pobić pierwszorzędnego zapaśnika? Czy lew może pokonać tygrysa? Czy Keats jest lepszy od Shelleya? Dobro, prawda i piękno. Czy Bóg istnieje? Spieraliśmy się całymi nocami i ja zawsze wygrywałem, ale ty, ty, łobuzie – klepnałem go po ramieniu – stale odpowiadałeś, że mówię nie na temat. Ale mały Jackie nigdy nie mówi nie na temat. Ani też rzeczy nieistotnych... – Rozejrzałem się, wziąłem swój płaszcz i kapelusz. – Teraz zostawię cię sam na sam z tą myślą i...

– Cholerna jest ta myśl – powiedział, ale już się uśmiechał, był teraz moim kumplem, był moim Przyjacielem z Młodości.

Jednakże nie zwracałem na niego uwagi i rzekłem:

– Nie możesz powiedzieć, żebyśmy obaj, ja i Szefer, nie wykładali kart na stół. Ale odpływam stąd, bo muszę złapać pociąg, który o północy odchodzi do Memphis, gdzie mam przeprowadzić rozmowę z pewnym medium.

– Z medium? – powtórzył.

– Znakomitym medium, które nazywa się panna Littlepaugh i da mi potwierdzenie z Tamtego Brzegu, że szpital Szefera otrzyma przystojnego, ciemnowłosego, sławnego drania dyrektora nazwiskiem Stanton.

Z tymi słowami zatrzaskałem drzwi i potykając się, zbiegłem po ciemnych schodach, był to bowiem taki dom czynszowy, w którym, gdy spali się żarówka, nikt nie zakłada nowej, i zawsze na dolnym podeście stoi pozostawiony wózek dziecinny, i chodnik na schodach jest zdarty na strzępy, a powietrze cuchnie wilgotnie psami, pieluchami, kapustą, starymi babami, przypalonym tłuszczem i wiecznym losem człowieczym.

Przystanąłem w ciemnej ulicy i obejrzałem się na dom. W jednym z okien była podniesiona roleta i zajrzałem do środka, gdzie tęgi, tłusty mężczyzna siedział bez marynarki przy stoliku w tak zwanej dinette, pochylony ciężko nad talerzem niczym wór złożony na krześle; przy jego łokciu stało jakieś dziecko, skubiąc go za rękaw, a kobieta ze strączkowatymi włosami, w luźnej, bezbarwnej sukni, niosła z kuchenki dymiącą patelnię, bo tata wrócił do domu późno, jak zwykle, i stawy go bolały, i już dawno trzeba było zapłacić czynsz, i Johnnie potrzebował nowych butów, Susie miała fatalne stopnie – i ta Susie stała za jego ramieniem, skubała go nieśmiało, wpatrywała się weń swoimi kretyńskimi oczkami i oddychała ciężko z powodu powiększonych migdałków – a obraz Maxfielda Parrisha wisiał krzywo na ścianie i jego błękity miały dziki odcień siarczanu miedziowego w jaskrawym świetle gołej żarówki zwisającej z sufitu. Gdzieś w domu zaszczekał pies, gdzieś jeszcze dziecko zapłakało urywanym, mechanicznym szlochem. I to było

Życie, i Adam Stanton mieszkał pośród niego, stykając się z nim, jak mógł najbliżej; tulił się do Życia, wdychał zapach kapusty, potykał się o wózek dziecienny, kłaniał się w sieni młodej, nowo zaślubionej, żującej gumę, trzymającej się za ręce parze, słuchał przez cienkie przepierzenie odgłosów wydawanych przez starą kobietę, która musiała umrzeć przed latem (rak, jak mi powiedział), i kroczył po wystrzępionym, zielonym dywanie, wśród książek i pozapadanych foteli. Tulił się do tego Życia, może aby się ogrzać, bo nie miał własnego – tylko gabinet, skalpel, ten klasztorny pokój. Albo może wcale się nie tulił, aby się ogrzać. Może pochylał się nad Życiem, trzymając mu rękę na pulsie, obserwując je swymi głęboko osadzonymi niebieskimi oczami, których spojrzenie było abstrakcyjne, kliniczne i z lekka zasępienie, gotów podać pigułkę, nalać lekarstwo, przyłożyć nóż. Może musiał być blisko, aby zachować jakiś powód do tego, co czynił. Aby to, co czynił, samo stało się Życiem. Nie tylko przyjemnym stosowaniem technicznej biegłości, którą człowiek zdołał osiągnąć, ponieważ on jeden ze wszystkich zwierząt ma sprawną kciuk.

Co jest nonsensem, bo wszystko, co się przeżywa, jest Życiem. O tym trzeba pamiętać, kiedy się spotka dawnego kolegę szkolnego, który mówi: „No więc podczas naszej ostatniej wyprawy do Konga...” – albo tego, który opowiada: „Mówię ci, mam najmiłszą w świecie żoneczkę i trzy strasznie fajne dzieciaki...” Musisz o tym pamiętać, kiedy siedzisz w hallach hotelowych albo pochylasz się nad barem, aby pogadać z barmanem, lub stoisz nocą na ciemnej ulicy, w początkach marca, i patrzysz w oświetlone okno. I pamiętaj, że ta mała Susie ma zapalenie migdałków, a chleb jest pewnie przypieczony, i zawróć w ulicę, bo pora już ruszać w drogę, bo trzeba zdążyć na nocny pociąg, bo cały mój grzech jest mi odpuszczony. Bo wszystko, co się przeżywa, jest Życiem.

Kiedy się odwracałem, z wyższego piętra buchnęła dziko muzyka

głośniejsza od krzyku dziecka, otrząsająca tynk ze starych cegieł. Był to fortepian Adama.

Zdążyłem na pociąg do Memphis, przesiedziałem tam trzy dni, odbyłem seans z panną Littlepaugh i wróciłem. Z kilkoma fotokopiami i urzędowym zaświadczeniem w teczce.

Po powrocie zastałem w swojej przegródce u portiera kartkę z numerem telefonu. Był to numer Anny; potem jej głos odezwał się w słuchawce i jak zawsze serce podskoczyło mi z lekka niczym żaba dająca susa do stawu. Z rozchodzącymi się w krąg kołami na wodzie.

Był to głos Anny, mówiący, że musi się ze mną zobaczyć. Odpowiedziałem, że nic prostszego, że może się ze mną widzieć przez resztę swego życia. Jednakże zignorowała ten mój dowcip, na co niewątpliwie zasługiwał, i poprosiła, żebym się z nią zaraz spotkał. „Nad Zatoką” – zaproponowałem, na co się zgodziła. „Nad Zatoką” był to lokal Slade’a.

Przyszedłem tam pierwszy, napiłem się z samym Slade’em pośród przyćmionych świateł, słodkiej muzyki i lśniącego chromoniklu; patrzyłem na jajowatą głowę Slade’a, koloru żółtawej kości słoniowej, na jego kosztowny garnitur, na blondynkę królującą w kasie i tęsknie wspominałem tamten poranek dawno temu, za prohibicji, kiedy w pokoiku za swoją obskurną knajpą Slade, wówczas jeszcze z włosami na głowie i bez centa w kieszeni, odmówił Duffy’emu kiedy ten próbował wmusić piwo Kuzynkowi Wilusiowi ze wsi, który okazał się Williem Starkiem i który chciał oranżady. To ustawiło Slade’a raz na zawsze. Więc teraz wypilem swój trunek i patrząc na Slade’a, zastanawiałem się, jak mało trzeba, by człowiek został zgubiony lub ocalony.

Spojrzałem w lustro za barem i zobaczyłem w drzwiach wchodzącą Annę Stanton. Albo raczej jej obraz wchodzący przez obraz drzwi. Przez chwilę nie obracałem się twarzą do rzeczywistości. Zamiast tego patrzyłem

na obraz, który trwał tam w lustrze niczym wspomnienie odcisnięte na lodzie pamięci – widywaliście pewnie zimą w przezroczystym lodzie zamarniętego strumienia wtopiony weń czysty, jasnozłoty i czerwony liść, który nagle przywodził wam na myśl ten czas, gdy wszystkie jasnozłote i czerwone liście były jeszcze razem na drzewach i światło słoneczne oblewało je, jak gdyby nigdy nie miało zgasnąć.

Ale teraz to nie było wspomnienie, to była Anna Stanton we własnej osobie, stojąca tam w chłodnej tafli lustra, ponad barową barykadą lśniących butelek i syfonów, za błękitem dywanu, dziewczyna – właściwie już nie dziewczyna, tylko młoda kobieta – wysoka na metr sześćdziesiąt, mająca najzgrabniejsze, nerwowe kostki i drobne biodra, które jednakże wyglądały tak krągło, jak gdyby były toczzone na tokarni, talię tak szczupłą, żeś się zastanawiał, czy nie zdołałbyś objąć jej dłonią – a wszystko to owinięte sztuką szarej flaneli, która pretendowała do surowego męskiego kroju, ale w rzeczywistości tylko wołała o zwrócenie uwagi na pewne zgoła niemęskie urządzenia wewnątrz.

Anna stała tam, jeszcze niezupełnie gotowa tupać niecierpliwą stopą w błękit dywanu, i powoli obracała z boku na bok swą gładką, chłodną twarz (pod jasnoniebieskim filcowym kapelusikiem), rozglądając się po sali. Kiedy się tak rozglądała, spostrzegłem błysk błękitu w jej oczach.

A potem zauważyła moje plecy przy barze i podeszła. Nie obejrzałem się i nie popatrzyłem jej w oczy w lustrze. Kiedy stanęła tuż za mną, powiedziała:

– Jack.

Nie obejrzałem się.

– Slade – rzekłem. – Ta dziwna kobieta wciąż za mną chodzi, a ja myślałem, że pan prowadzi przyzwoity lokal. Co pan, u licha, ma zamiar z tym zrobić?

Slade obrócił się szybko, by spojrzeć na dziwną kobietę, której twarz

stała się natychmiast kredowobiała, a oczy zaczęły miotać iskry niczym dwie lampy łukowe.

– Pani szanowna – rzekł Slade. – Niech pani będzie łaskawa... Wtedy owa pani nagle przewyciężyła paraliż, który poraził jej język, i krew rzuciła jej się do policzków.

– Jack! – powiedziała – Jeżeli nie przestaniez...

– Ona zna pańskie imię – rzekł Slade.

Obróciłem się twarzą do rzeczywistości, która nie była czymś wtopionym w lód pamięci, lecz czymś w tej chwili zarumienionym, kocim, zabójczym, elektrycznym, gotowym spalić bezpieczniki.

– No wiecie państwo! – powiedziałem. – Przecież to moja narzeczona! Niech pan pozwoli przedstawić sobie Annę Stanton. Mamy się pobrać.

– Ojej – odrzekł Slade, z gębą tak skrzepłą, jak resztki w zlewie nad ranem. – Bardzo mi przyje...

– Pobieramy się w roku dwa tysiące sto pięćdziesiątym – ciągnąłem. – Ślub odbędzie się w czerwcu, z...

– A morderstwo w marcu – przerwała mi Anna. – Właśnie w tej chwili.

Potem uśmiechnęła się, rumieniec zniknął z jej policzków i wyciągnęła rękę do Slade'a.

– Bardzo mi przyjemnie – rzekł Slade i chociaż jego twarz mogłaby doskonale należeć do wyrzezanego z drewna Indianina, oczy nie pominęły żadnego ze szczegółów sugerowanych przez szary kostium. – Napije się pani czegoś?

– Dziękuję bardzo – odparła Anna i zdecydowała się na martini. Wypiwszy, powiedziała:

– Jack, musimy stąd wyjść.

Raz jeszcze podziękowała Slade'owi i wyprowadziła mnie w noc pełną neonowych świateł, wyziewów benzyny, woni palonej kawy i trąbienia taksówek.



- Masz nadzwyczajne poczucie humoru – powiedziała.
- Dokąd idziemy? – Zignorowałem tę uwagę.
- Straszny z siebie dowcipniś.
- Dokąd idziemy?
- Czy ty nigdy nie dorośniesz?
- Dokąd idziemy?

Szliśmy bez celu boczną ulicą, mijając wahadłowe drzwi knajp i barów ostrygowych, kioski z gazetami i stare sprzedawczynie kwiatów. Kupiłem kilka gardenii, wręczyłem je Annie i powiedziałem:

– Pewnie i jestem dowcipniś, ale to także sposób zabijania czasu. Uszliśmy jeszcze kawałek, przeciskając się przez tłum, który wypływał i wpływał przez wahadłowe drzwi.

– Dokąd idziemy?

– Nie szłabym z tobą nigdzie – odparła – gdybym nie musiała ci czegoś powiedzieć.

Znów mijaliśmy inną starą kobietę sprzedającą kwiaty. Wzięłem więc jeszcze jeden bukiet gardenii, położyłem na straganie pięćdziesięciocentówkę i wcisnąłem Annie kwiaty do ręki.

– Skoro nie umiesz się grzecznie zachować – powiedziałem – to cię zadławię tym draństwem.

– Dobrze – odrzekła i roześmiała się. – Dobrze, już będę grzeczna.

Wzięła mnie pod rękę i zrównawszy krok z moim, ruszyła dalej, trzymając kwiaty w wolnej ręce, a torebkę wetkniętą pod łokieć.

Przeszliśmy tak kawałek, nie mówiąc nic. Patrzyłem w dół, na jej stopy wysuwające się kolejno do przodu – raz-dwa, raz-dwa. Miała czarne zamszowe pantofle, bardzo proste, bardzo męskie, i twardo stuknęła podszwami po bruku, ale jej stopy były drobne, a delikatne kostki migęły raz-dwa, raz-dwa, jakoś hipnotycznie. W końcu zapytałem:

– Dokąd idziemy?

– Przejść się – odpowiedziała. – Po prostu się przejść. Jestem zanadto zdenerwowana, żeby usiedzieć na miejscu.

Szliśmy dalej, ku rzece.

– Musiałam z tobą pomówić – rzekła.

– No to mów. Śpiewaj. Gadaj.

– Nie teraz – powiedziała spokojnie, podniosła na mnie wzrok i w świetle latarni ulicznej zobaczyłem, że jej twarz jest bardzo poważna, nawet zatroskana. Skóra na twarzy była jakby wygładzona, wręcz boleśnie naciągnięta na cudownie doskonałej rzeźbie kości. W tej twarzy nie było żadnego nadmiaru tworzywa i zawsze jakby odrobina znużonego, wyczerpanego napięcia, chociaż napięcia ukrytego pod gładką powierzchnią spokoju, niczym płomień za szklanym kloszem lampy. Ale widziałem, że to napięcie jest teraz większe niż zazwyczaj. I doznałem wrażenia, że gdyby odrobinę podkręcić knot, szkło mogłoby pęknąć.

Nie odpowiedziałem i uszliśmy jeszcze kilka kroków. Wreszcie się odezwała:

– Później. Teraz tylko pospacerujemy.

Więc spacerowaliśmy. Pozostawiliśmy za sobą ulice, na których były bary, sale bilardowe, restauracje, ryk i kwilenie muzyki za wahadłowymi drzwiami. Minęliśmy brudną, ciemną uliczkę, gdzie kilku chłopaków pomykało pod murami domów, wydając krótkie, ponure, głuche okrzyki niczym błotne ptactwo. W tych domach wszystkie okiennice były pozamykane i tylko tu i ówdzie błyszczało przez wąską szparę światło albo dolatywały stłumione głosy. Później, na wiosnę, gdy się poprawi pogoda, ludzie będą tu wieczorami siadywać na małych tarasikach przy trotuarze i zagadywać do siebie, a od czasu do czasu, jeżeli będzie przechodził mężczyzna, któraś z kobiet powie tonem rozmowy towarzyskiej: „No, malutki, pójdziemy?” Tu bowiem zaczynała się dzielnica burdela i w niektórych tych domach były burdele. Jednakże o tej porze roku,

wieczorem, wszelkie życie, jakie tam było – życie dobre i życie złe – wciąż jeszcze tkwiło ukryte głęboko w starych łupinach domów z wilgotnych, kruszących się cegieł lub splekanego drewna. Za miesiąc, w początkach kwietnia, kiedy daleko za miastem każdą pięćdziesiątą, lagun, rzeczulek i zalewów pokryją hiacynty wodne gwałtowną, wulgarną, mięsistą, zwartą, dławiącą masą kwiatów od biadoliła do bezwstydnie fioletowych, rozpostartą na czarnej wodzie – kiedy pierwsza wzruszająca, zwiewna, podobna do dziewczęcych snów zieleń na starych cyprysach ukształtuje się ostatecznie w listki, kiedy grube jak ramię oślizłe węże mokasyny koloru błota wychyną z bagnisk i spróbują przepelznąć przez szosę, a wasza przednia opona, trafiając na któregoś z nich, podskoczy lekko, wydając odgłos podobny do kłapnięcia, po którym rozlegnie się blaszany brzęk, kiedy wąż trzepnie ciężko o spód błotnika – gdy owady wyroją się z bagien i dniem i nocą całe powietrze będzie od nich wibrowało dźwiękiem przypominającym buczenie elektrycznego wentylatora, a w nocy sowy na moczarach poczną kwilić i zawodzić jak miłość, jak śmierć i zatracenie lub któraś wyleci ze smolistej ciemności w światła reflektorów, uderzy w chłodnicę i wybuchnie pierzem niczym rozpruta poduszka, gdy pola będą gęsto pokryte wybujałą, kosmatą lub gładką, soczystą, lepką trawą, którą bydło pochłania, nie porastając ani trochę mięsem na żebrach, ponieważ ta trawa pleni się na czarnej glebie, choćby jej korzonki sięgały najgłębiej, Bóg wie jak głęboko, nie natrafiają na nic prócz owej czarnej, pozlepianej gleby bez jednego kamyka, który by trawę nasycił wapniem – a więc za miesiąc, na początku kwietnia, kiedy to wszystko będzie się działo za przedmieściami, łupiny starych domów na tej ulicy, którą w tej chwili szliśmy z Anną Stanton, pękną o wieczorne i wyrzucą na tarasiki i ulice całe to życie, które teraz było zamknięte w ich wnętrzu.

W tej chwili jednak ulica była pusta i mroczna, na rogu stała krzywa

latarnia, brukowce połyskiwały oleście w jej świetle, okiennice były pozamykane i całość wyglądała jak dekoracja teatralna. Spodziewałeś się, że wyjdzie skądś bohaterka sztuki, oprze się o latarnię i zapali papierosa. Nie ukazała się jednak i oboje z Anną przeszliśmy prosto przez tę dekorację, o której wiedziałeś, że jest z tektury, dopóki nie dotknąłeś ręką wilgotnych, chropawych cegieł lub gąbczastego tynku. Szliśmy przed siebie, milcząc. Może dlatego, że kiedy jesteś w takim miejscu wyglądającym jak tekturowa dekoracja i tak diabelnie „malowniczym”, wszystko, co powiesz, zabrzmii jak napisane przez jakiegoś rozczochanego, kołyszącego biodrami faceta, który mieszka w jednym z tych tekturowych domów, w pokoju na piętrze (wychodzącym na podwórko – o Jezu, tak, wychodzącym na podwórko), i napisał sztukę zaczynającą się od tego, że bohaterka idzie ciemną ulicą, między dwoma szeregami tekturowych domów, opiera się o krzywą latarnię i zapala papierosa. Ale Anna Stanton nie była tą bohaterką, więc nie oparła się o latarnię, nie mówiła ani słowa i tylko wciąż szliśmy przed siebie.

Szliśmy tak, dopóki nie dotarliśmy do rzeki, gdzie były magazyny, a przystanie schodziły aż do samej wody. Blaszane dachy połśniewały matowo w świetle latarni. Nad palami pomostów kłębiła się gęsto, zwijała i unosiła mgła, rozwierająca się tu i ówdzie, aby ukazać gładką, aksamitną, nieruchomą wodę, która też połśniewała ciemno jak blacha owych dachów albo jak czarne, mokro-śliskie futro foki. O kilka przystani dalej, na tle ciemnego nieba, majaczyły krępe maszty frachtowców. Gdzieś w dole rzeki buczała i pojękiwała syrena statku. Szliśmy wzdłuż przystani, patrząc na rzekę, nad której czernią kosmaciła się i rozpościerała poszarpana, pierzasta, puchata mgła. Jednakże trzymała się tuż nad powierzchnią wody i patrząc ponad nią, miałeś wrażenie, że jesteś nocą na jakiejś górze i spoglądasz na całe mile w dal ponad obłokami. Na drugim brzegu płonęło kilka światełek.

Doszlismy do mola, z którego, jak pamiętałem, statki wycieczkowe zabierały w letnie wieczory tłumy pasażerów na przejażdżki po rzece przy księżycu – tłumy gęste, potracające się, spocone, wrzeszczące, obarczone dziećmi, popijające lemoniadę z alkoholem. Teraz jednakże nie było tu dużego parowca z kołami, białego jak tort, dziwnego i niewiarygodnego, z czerwonymi i złotymi ozdobami, i żadna fisharmonia nie wygrywała *Dixie*, i nie słychać było gwizdków. Panowała cisza jak w grobie i pustka jak w księżycową noc na pustyni Gobi. Doszlismy do końca mola, oparliśmy się o poręcz i popatrzyliśmy na rzekę.

– No dobrze – odezwałem się. Nie odpowiedziała.

– No dobrze – powtórzyłem. – Zdaje się, że chciałaś porozmawiać.

– Chodzi o Adama – rzekła.

– A co takiego? – spytałem spokojnie.

– Przecież wiesz... wiesz doskonale... Byłeś u niego i... – Słuchaj – powiedziałem i poczułem, że krew się we mnie burzy, a głos zaostrza. – Poszedłem do niego i zrobiłem mu pewną propozycję. Jest dorosły i jeżeli nie ma ochoty, nie musi się zgodzić. Nie masz powodu mieć mi za złe, że...

– Ja wcale nie mam ci za złe – odrzekła.

– Już chciałaś na mnie naskoczyć – powiedziałem – ale jeżeli Adam nie potrafi się zdecydować ani samemu sobie radzić, to mnie nie możesz o to winić.

– Ja cię wcale nie winię, Jack. Taki jesteś nerwowy i drażliwy. Położyła mi dłoń na ręce opartej o poręcz i poklepała ją, a ja poczułem, że ciśnienie pary we mnie opada o kilka stopni.

– Jeżeli nie umie sam sobie radzić, to ty... – zacząłem, ale przerwała mi szybko i ostro:

– Nie umie. W tym sęk.

– Moja kochana, ja mu tylko zrobiłem propozycję.

Jej dłoń, którą położyła mi na przedramieniu, aby mnie uspokoić, aby przyklepać to ciśnienie, nagle mnie uchwyciła, wpijając palce bez mała do kości. Podskoczyłem i w tejże chwili usłyszałem głos Anny, mówiący cicho, z napięciem, nieomal szeptem:

– Ty możesz go do tego namówić.

– Jest dorosły i... – zacząłem, ale przerwała mi znowu:

– Musisz go namówić... Musisz!

– Na miłość boską! – powiedziałem.

– Musisz – powtórzyła tym samym głosem i doznałem wrażenia, że palce na mojej ręce zaciskają się do krwi.

– Dopiero co napadałaś na mnie tylko dlatego, że mu coś zaproponowałem, a teraz powiadasz, że muszę go do tego namówić.

– Ja chcę, żeby on to przyjął – powiedziała i jej palce mnie puściły.

– No, niech mnie szlag trafi – rzuciłem w stronę wielkiego międzygwiazdznego mroku, po czym spojrzałem jej w twarz. Nie było wiele widać; mogłem dojrzeć tę twarz nienaturalnie kredowobiałą, a oczy tylko jak ciemne błyski, ale wyczułem, że mówi szczerze. – Więc ty chcesz, żeby on to przyjął? – spytałem powoli. – Jesteś córką gubernatora Stanton i siostrą Adama Stanton i chcesz, żeby to przyjął?

– Musi – odpowiedziała i zauważyłem, że jej drobne dłonie w rękawiczkach ściskają poręcz tak, że zrobiło mi się żal poręczy. Patrzyła na kłębiący się dywan rzecznej mgły jakby ze szczytu góry na obłoki kryjące ciemny świat.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Poszłam do niego – odrzekła, wciąż patrząc na rzekę – żeby o tym pomówić. Kiedy wchodziłam na górę, nie byłam jeszcze pewna, czy powinien się zgodzić. Nie byłam pewna wtedy, ale nabrałam pewności, kiedy go zobaczyłam.

Coś w jej słowach korciło mnie jak hałas za sceną, jak rzecz, którą się

dojrzy kątem oka, lub jak swędzenie, które czujesz, kiedy ręce masz zajęte i nie możesz się podrapać. Słuchałem, co mówiła, ale to nie było to. To było coś innego. Jednakże nie mogłem uchwycić, co to jest. Odsunąłem to więc i słuchałem jej słów.

– Kiedy zobaczyłam, co się z nim dzieje – mówiła – od razu wiedziałam. Po prostu wiedziałam. Och, Jack, był cały podminowany... coś nienaturalnego... tylko dlatego, że mu to zaproponowano. Odciął się od wszystkiego... od wszystkich. Nawet ode mnie. Może zresztą i nie, ale w każdym razie już nie jest taki jak dawniej.

– Jest okropnie zajęty – wtrąciłem nieporadnie.

– Zajęty – powtórzyła jak echo. – Zajęty... No tak, zajęty. Odkąd poszedł na medycynę, pracuje jak niewolnik. Coś go do tego popycha... coś go popycha. Nie pieniądze i nie sprawa opinii, i nie... sama nie wiem co. – Głos jej zamilkł.

– To bardzo proste – powiedziałem. – Chce robić dobrze innym.

– „Dobrze” – powtórzyła. A potem: – Ja dawniej też tak myślałam. Och, robi to, ale...

– Ale co?

– Sama nie wiem... nie powinnam tego mówić... nie powinnam... ale czasem myślę, że ta praca... nawet to robienie dobrze innym... wszystko jest tylko sposobem odcięcia się. Nawet ode mnie... nawet ode mnie...

A potem rzekła:

– Och, Jack, strasznie się pokłóciliśmy. To było okropne. Wróciłam do domu i płakałam całą noc. Wiesz, jak my zawsze byliśmy ze sobą. A tu taka okropna awantura. Wiesz, jak byliśmy? Wiesz, prawda? – nalegała, ściskając mnie za rękę, jak gdyby chciała mnie zmusić, żebym potwierdził, żebym powiedział, jak byli ze sobą.

– Tak – odrzekłem. – Wiem.

Spojrzałem na nią i przez sekundę bałem się, że wybuchnie płaczem,

ale nie zrobiła tego, co powinienem był przewidzieć, bo należała do takich, co wyplakują się nocą w poduszkę. Jeżeli w ogóle płaczą.

– Powiedziałaś mu – ciągnęła. – Powiedziałaś mu, że jeżeli chce zrobić coś dobrego, coś naprawdę dobrego – to właśnie ma okazję. I sposób. Dopilnować, żeby ten ośrodek medyczny był dobrze prowadzony. A nawet żeby się rozwijał. I w ogóle. Ale on tylko zeszytniał i powiedział, że tego nie tknie. Oskarżyłam go o samolubstwo – o samolubstwo i pychę – o to, że swoją pychę stawia przed wszystkim. Przed robieniem dobrze, przed swoim obowiązkiem. Wtedy tylko przyjrzał mi się ponuro, złapał mnie za rękę i powiedział, że ja nic nie potrafię zrozumieć, że człowiek jest coś winien samemu sobie. Ja odparłam, że to pycha, tylko jego pycha, a on, że jest dumny z tego, że nie tyka się brudu, i jeżeli chcę, aby to zrobił, to mogę się... – Przerwała, nabrała tchu i opanowała się na tyle, aby dopowiedzieć, co zaczęła. – No więc już miał mi kazać, żebym się wynosiła. Ale nie powiedział tego. Cieszę się... – Przerwała znowu. – Cieszę się, że nie powiedział. Przynajmniej nie na głos.

– Wcale tego nie myślał – odparłam.

– Nie wiem... Nie wiem. Gdybyś ty widział jego płonące oczy i twarz, białą i napiętą! Och, Jack... – Znowu chwyciła mnie za ramię i potrząsnęła tak, jakbym ukrywał przed nią jakąś odpowiedź. – Dlaczego on tego nie chce? Dlaczego jest taki? Nie rozumie, że przecież powinien? Że jest właściwym człowiekiem i że musi? Dlaczego, Jack, dlaczego?

– Cóż, powiem ci brutalnie: dlatego, że jest Adamem Stantonem, synem gubernatora Stantona, wnukiem sędziego Peytona Stantona i prawnikiem generała Morgana Stantona i przez całe życie żył w przeświadczeniu, że dawno temu były czasy, kiedy wszystkim kierowali dumni, piękni panowie w spodenkach do kolan i ze srebrnymi kłami na trzewikach albo w błękitnych mundurach czy w surdutach, czy nawet w kozłowych skórkach i futrzanych czapkach, zależnie od przypadku (bo



Adam Stanton nie jest przecież snobem), którzy zasiadali dokoła stołu i szlachetnie rozprawiali na temat dobra publicznego. Dlatego tak jest, że Adam to romantyk, że ma w głowie pewien obraz świata i jeżeli świat pod jakimkolwiek względem nie pasuje do tego obrazu, Adam chce świat odrzucić. Nawet jeżeli to jest równoznaczne z wyrzuceniem dziecka razem z kąpielą. A zawsze jest równoznaczne – dodałem.

To ją na chwilę uciszyło. Odwróciła ode mnie twarz i znów popatrzyła na zamgloną rzekę. A potem szepnęła:

– Powinien to przyjąć.

– Cóż – odparłem. – Jeżeli tego chcesz, musisz odmienić obraz świata w jego głowie. O ile znam Adama.

A znałem dobrze Adama i w tejże chwili widziałem jego twarz, ze skórą napiętą na kości, z mocnymi ustami podobnymi do gładko zagojonej rany, z głęboko osadzonymi niebieskimi oczyma, płonącymi jak biały lód.

Nie odpowiedziała mi.

– To jedyny sposób – rzekłem – i musisz się na to zdecydować.

– Powinien się zgodzić – szepnęła, patrząc na rzekę.

– Bardzo tego chcesz?

Obróciła się do mnie szybko; zajrzałem jej w twarz.

– Najbardziej ze wszystkiego – powiedziała.

– Naprawdę? – spytałem.

– Naprawdę. Musi się zgodzić. Żeby się uratować. – Znowu chwyciła mnie za rękę. – Dla siebie samego. Równie jak dla wszystkich innych. Dla siebie samego.

– Jesteś pewna?

– Jestem – odpowiedziała z zapalem.

– Mnie idzie o to, czy jesteś pewna, że chcesz, aby to zrobił? Bardziej niż czegokolwiek innego?

– Tak – odparła.

Przypatrywałem się jej twarzy. Była to twarz piękna – albo jeżeli nie piękna, to lepiej niż piękna, napięta, gładka, oszczędnie modelowana, dobrze wykończona, kredowobiała w mroku, z oczami jak ciemne błyski. Przypatrywałem się jej twarzy i na chwilę zająłem się tylko tym, i pozwoliłem wszelkim pytaniom odpłynąć jak czemuś, co bym upuścił w tę mgłę i wodę pod nami, aby spłynęło w oleistej ciszy nurtu.

– Tak – powtórzyła szeptem.

Ale ja wciąż wpatrywałem się w jej twarz, widząc ją właściwie po raz pierwszy po wszystkich tych latach, bo wtedy tylko można naprawdę rzetelnie coś zobaczyć, kiedy się na to spojrzy poza czasem i wszelkimi pytaniami.

– Tak – szepnęła i położyła mi dłoń na rękę, lekko tym razem. Dotknięcie to wyrwało mnie z zamyślenia, w którym byłem pogrążony.

– No, dobrze – powiedziałem, otrząsając się. – Ale ty nie wiesz, czego żądasz.

– Wszystko jedno – odparła. – Możesz go namówić?

– Mogę – odpowiedziałem.

– Więc dlaczego nie... Dlaczego czekasz... dlaczego...

– Nie sądzę – odrzekłem z wolna – nie sądzę, żebym to w ogóle zrobił... przynajmniej nie w ten sposób... gdybyś nie poprosiła mnie ty, właśnie ty.

– Jak możesz to zrobić? – spytała, a jej palce zacisnęły się na mojej ręce.

– To proste – odparłem. – Mogę zmienić ten obraz świata, który Adam nosi w głowie. – Jak?

– Mogę mu dać lekcję historii.

– Lekcję historii?

– Tak, przecież studiowałem historię, nie pamiętasz? A my, badacze historii, dowiadujemy się zawsze jednego: że człowiek jest bardzo

skomplikowanym mechanizmem, że nikt nie jest albo dobry, albo zły, ale i dobry, i zły jednocześnie i że dobro rodzi się ze zła, a zło z dobra, żeby tam nie wiem co. Natomiast dla Adama wszystko jest uporządkowane, jedna cząsteczka tlenu zawsze zachowuje się tak samo, kiedy się zetknie z dwiema cząsteczkami wodoru, i każda rzecz jest zawsze tym, czym jest, toteż kiedy Adam romantyk utworzy sobie w głowie jakiś obraz świata, jest on akurat taki sam jak obraz tego świata, z którym ma do czynienia Adam naukowiec. Wszystko uporządkowane. Wszystko schludniutkie. Cząsteczka dobra zawsze zachowuje się tak samo. Cząsteczka zła zawsze zachowuje się tak samo. Istnieją także...

– Przestań – zażądała. – Przestań i powiedz mi wyraźnie. Próbujesz nie odpowiedzieć. Mówisz tak, żeby nic nie powiedzieć. Więc teraz powiedz.

– Dobrze – odparłem. – Pamiętasz, jak cię spytałem, czy sędzia Irwin był kiedy splukany? No więc był. Jego żona także nie była bogata. On tylko tak myślał. I wziął łapówkę.

– Sędzia Irwin? – powtórzyła jak echo. – Łapówkę?

– Tak – odrzekłem. – I mogę to udowodnić.

– On... on był przyjacielem ojca i... – Urwała, wyprostowała się, odwróciła ode mnie twarz i popatrzyła na rzekę, a potem, po chwili, rzekła mocnym głosem jakby nie do mnie, ale do całego szerokiego świata tam, za tą mgłą: – No, to jeszcze niczego nie dowodzi. Sędzia Irwin.

Nie odpowiedziałem. Ja też spoglądałem na mgłę kłębiącą się w ciemnościach.

Jednakże choć nie patrzyłem w stronę Anny, zauważyłem, kiedy obróciła się do mnie znowu.

– No, powiedz coś – rzekła i wyczułem napięcie w jej głosie.

Ale nie powiedziałem nic. Stałem, czekając i czekając, słyszałem w ciszy lekki plusk i bulgot wody przy palach, w dole we mgle.

A potem się odezwała:

– Jack... czy mój... czy mój ojciec był... Nie odpowiedziałem.

– Ty tchórze! – zawołała. – Tchórze, nie chcesz mi powiedzieć!

– Tak – odrzekłem.

– Czy wziął łapówkę? No wziął? – Chwyciła mnie za ramię i potrząsnęła mocno.

– Tak źle nie było – odpowiedziałem.

– „Tak źle nie było! Tak źle nie było!” – zaczęła mnie przedrzeźniać i wybuchnęła śmiechem, uwiesiwszy się u mego ramienia. Potem mnie nagle puściła, odepchnęła od siebie moją rękę, jak gdyby była zbrukana, i cofnęła się. – Nie wierzę w to – oświadczyła.

– To prawda – powiedziałem. – Wiedział o Irwinie i krył go. Mogę to udowodnić. Mam dokumenty. Bardzo mi przykro, ale to prawda.

– Przykro ci! Ach, tak ci przykro! Sam to wygrzebałeś, wszystkie te kłamstwa... dla niego... tego Starka... dla niego... i tobie... tobie jest tak przykro! – Znowu zaczęła się śmiać, odwróciła się na pięcie i odbiegła pomostem, śmiejąc się i potykając.

Pobiegłem za nią.

Już miałem ją złapać przy końcu pomostu, kiedy z cienia magazynu wysunął się policjant i powiedział:

– Hej, kolego!

W tej chwili Anna potknęła się i schwyciłem ją za ramię. Zachwiała się w moim uścisku. Policjant podszedł do nas.

– Co się tu dzieje? – zapytał. – Dlaczego pan ganiasz za tą babką?

– Ma napad hysterii – odpowiedziałem, mówiąc szybko. – Chcę się nią tylko zaopiekować, wypila kilka kieliszków, tylko kilka, i dostała hysterii, bo przeżyła wielki wstrząs, ból...

Glina, ciężki, przysadzisty i włochaty, postąpił kaczym chodem naprzód, nachylił się i powąchał oddech Anny.

– ...przeżyła wstrząs i to ją tak wytrąciło z równowagi, że coś wypila

i teraz dostała hysterii. Chcę ją odwiedzić do domu.

Jego flegmatyczna twarz z ciemnym zarostem obróciła się do mnie.

– Ja was zawieze do domu – oświadczył. – Karetkom. Jeżeli nie będziecie uważać.

Tylko tak gadał. Wiedziałem, że tylko tak gada, aby usłyszeć samego siebie, bo było już późno i nudziło mu się tutaj. Wiedziałem o tym i powinienem był powiedzieć z uszanowaniem, że będę uważał, albo też powiedzieć ze śmiechem i może mrugnięciem, że dobrze, panie władzo, odwiezę ją do domu. Ale nie powiedziałem ani jednego, ani drugiego. Byłem podminowany. Anna chwiała się w moich objęciach, oddychając jakoś chrapliwie, urywanie, a przed sobą miałem tę parszywą, flegmatyczną gębę z ciemnym zarostem. Więc odparłem:

– Cholerę pan zawieziesz!

Na to oczy wylazły mu trochę na wierzch, gęba nabrzmiała czarną krwią, postąpił o krok bliżej, ściskając w rękę pałkę, i rzekł:

– Zawieze, cholera, i to zaraz, oboje! – Po czym powiedział: – Jazda! – Popchnął mnie pałką i powtórzył: – Jazda! – kierując mnie ku końcowi pomostu, gdzie niewątpliwie była budka telefoniczna, z której chciał zadzwonić po karetkę.

Przeszedłem kilka kroków, czując na krzyżach nacisk pałki, ciągnąc Annę, która nie odezwała się ani słowem. A potem przypomniałem sobie.

– Panie, jeżeli pan chcesz jutro rano być jeszcze w policji, to mnie pan posłuchaj.

– Cholera tam posłuchaj – odparł i dźgnął mnie w nerki trochę mocniej.

– Gdyby nie to, że tu jest ta pani – rzekłem – pozwoliłbym panu to zrobić i wtedy byś się pan wykończył. Proszę bardzo: ja mogę jechać do komisariatu. Ale dam panu szansę.

– „Szansę”! – powtórzył, splunął kątem ust i dźgnął mnie znowu.

– Sięgnę teraz do kieszeni – rzekłem. – Nie po rewolwer, tylko po

portfel, żeby coś panu pokazać. Słyszałeś pan kiedy o Williem Starku?

– Jasne – odrzekł. I dźgnął.

– Słyszałeś pan kiedy o Jacku Burdenie? – ciągnąłem. – Tym dziennikarzu, co jest jakby sekretarzem Williego?

Namyślał się przez chwilę, wciąż popychając mnie naprzód.

– Aha – odpowiedział wreszcie niechętnie.

– To może byś pan chciał zobaczyć mój bilet wizytowy – rzekłem, sięgając po portfel.

– Nie ruszać się – powiedział, przyciskając pałką moje podniesione przedramię. – Nie ruszać się. Sam wezmę.

Sięgnął po portfel, wyjął go i zaczął otwierać. Dla samej zasady.

– Spróbuj pan otworzyć, to pana wykończę i tak, czy pan wezwiesz karetkę, czy nie – rzekłem. – Dawaj pan to.

Podał mi portfel. Wyjąłem bilet wizytowy i wręczyłem mu go.

Przypatrzył mu się w nikłym świetle.

– O Jezu! – powiedział z lekkim syczeniem w głosie, podobnym do syczenia powietrza wypuszczanego z dziecinnego balonika. – Skąd miałem wiedzieć, że pan jest przy gubernatorze?

– To następnym razem lepiej się pan dowiedz, zanim pan zaczniesz skakać – odparłem. – A teraz proszę mi wezwać taksówkę.

– Tak jest – powiedział, patrząc na mnie nienawistnie świńskimi oczkami osadzonymi w obrzmiałej twarzy. – Tak jest – powtórzył i odszedł do budki telefonicznej.

Nagle Anna wyrwała mi się i pomyślałem, że ucieknie. Przytrzymałem więc ją znowu.

– Ach, aleś ty nadzwyczajny – powiedziała chrapliwym szeptem. – Taki nadzwyczajny... wspaniały... tyranizujesz tyranów... przyłapujesz łapaczy... jesteś nadzwyczajny...

Stałem, trzymając ją, nie słuchając, świadomy jedynie jakiegoś

ciężaru we mnie, który był jak zimny kamień.

– ...nadzwyczajny jesteś... i taki czysty... wszystko to jest cudowne i czyste...

Nie mówiłem nic.

– ...jesteś wspaniały... czysty i mocny... o, jaki z ciebie bohater...

– Przykro mi, że postąpiłem jak drań – rzekłem.

– Nie mam pojęcia, co konkretnie masz na myśli – szepnęła z drwiącą słodyczą, podkreślając słowo „konkretnie”, wbijając mi je pracowicie w skórę jak banderillę. A potem odwróciła się, nie chcąc na mnie spojrzeć, i ręka, którą ścisnąłem, mogłaby równie dobrze należeć do manekina z wystawy sklepowej, a ów zimny kamień w moim żołądku był jak kamień w głębokiej studni pokrytej szlamem, a świńskie oczka w obrzmiałej twarzy z ciemnym zarostem wróciły po chwili i nienawidziły mnie w tej głuchej, zamglonej nocy, i syrena statku jęknęła na rzece, a w taksówce Anna Stanton usiadła wyprostowana w samym kącie, jak najdalej ode mnie, i światło mijanych latarni migało na jej białej twarzy. Nie chciała się do mnie odezwać. Dopóki nie dojechaliśmy do ulicy, na której były tory tramwajowe. Wtedy powiedziała:

– Wsiądź. Tu możesz złapać jakiś tramwaj. Nie chcę, żebyś mnie odwoził do domu.

Wobec tego wysiadłem.

Pięć dni później usłyszałem w telefonie głos Anny Stanton. Mówiła:

– Te rzeczy... te papiery, które podobno masz... Przyślij mi je. Odpowiedziałem:

– Sam przyniosę. Głos rzekł:

– Nie, przyślij. Odparłem:

– Dobrze. Mam zapasowe fotokopie jednej rzeczy. Jutro zrobię

fotokopię drugiego dokumentu i przyślę ci wszystko razem.

Głos powiedział:

– Fotokopię? Więc mi nie ufasz. Odrzekłem:

– Przyślę to jutro.

W czarnej tubce rozległo się szcęknięcie. A potem cichy, szumiący, brzękliwy dźwięk, który jest odgłosem uciekającej od nas przestrzeni, nieskończoności i absolutnej nicości.

Co wieczór, wchodząc do pokoju, spoglądałem na telefon. Mówiłem sobie: „Zadzwoń”. Raz nawet byłem pewien, że zadzwonił, bo we wszystkich nerwach czułem klucie i drganie dzwonka. Ale wcale nie zadzwonił. Po prostu się zdrzemnąłem. A raz podniosłem słuchawkę i trzymając ją przy uchu, słuchałem cichego, brzęczącego dźwięku, który jest odgłosem tych rozmaitych rzeczy, jakie wymieniłem.

Co wieczór zapytywałem w hallu portiera, czy ktoś nie zostawił dla mnie numeru telefonu. Owszem, czasami były różne telefony. Ale nigdy nie ten, o który mi chodziło.

Potem szedłem na górę do swego pokoju, gdzie był telefon i teczka z fotokopiami i zaświadczeniem z Memphis. Nie dałem ich jeszcze Szefowi. Nawet mu o nich nie wspomniałem. Nie dlatego, żebym miał zamiar mu nie dać. Chciałem dać. To już było w kartach. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie w tej chwili. Kiedy wreszcie zadzwoni telefon.

Jednakże nie zadzwonił.

Zamiast tego, mniej więcej w tydzień później, kiedy pewnego wieczora wyszedłem zza zakrętu korytarza, zobaczyłem jakąś kobietę siedzącą w głębi na ławeczce, za wejściem do mojego pokoju. Wyjąłem klucz, włożyłem go w zamek i już miałem wejść, kiedy uświadomiłem sobie, że ta kobieta stoi obok mnie. Obróciłem się do niej. Była to Anna



Stanton.

Podeszła bezszelestnie po grubym chodniku. Zawsze stąpała bardzo lekko.

– O mało mnie nie przyprawiłaś o atak serca – powiedziałem i otworzywszy szeroko drzwi, dodałem: – Wejdz.

– Myślałam, że dbasz o moją reputację – odparła. – Przynajmniej tak twierdziłeś. Kiedyś.

– Pamiętam – rzekłem. – Ale jednak wejdz.

Weszła do pokoju i przystanęła na środku, plecami do mnie, podczas gdy zamykałem drzwi. Zauważyłem, że oprócz torebki ma w ręku brunatną kopertę.

Nie obracając się do mnie, podeszła do biurka stojącego pod ścianą i rzuciła na nie kopertę.

– Masz – powiedziała. – Te fotokopie. Przyniosłam je z powrotem. Ale przyniosłabym i oryginały, gdybyś mi był zaufał.

– Wiem o tym – odrzekłem.

– To było okropne – powiedziała, wciąż nie obracając się do mnie.

Podszedłem i dotknąłem jej ramienia.

– Bardzo mi przykro – rzekłem.

– Okropne. Nawet nie wiesz.

Nie wiedziałem, jakie to było okropne, więc stałem tuż za nią i nie śmiałem jej powtórnie dotknąć nawet palcem.

– Nie wiesz – powtórzyła.

– Nie – odrzekłem. – Nie wiem.

– To było straszne. – Obróciła na mnie swe wielkie oczy i doznałem wrażenia, że spadam do studni. – Straszne – powtórzyła. – Dałam mu to... te rzeczy... a on przeczytał i tylko stał... ani drgnął... nie odezwał się... twarz miał białą jak prześcieradło i słyszałam jego oddech. A potem go dotknęłam... spojrzał na mnie... patrzył tak długo. Wreszcie powiedział...

patrzył na mnie i powiedział: „Ty”. Tylko tyle. „Ty”. Patrząc na mnie.

– Psiakrew! – zawołałem. – Psiakrew, o co on ma żal do ciebie? Dlaczego nie ma żalu do gubernatora Stanton?

– Ma – odparła. – O, ma do niego żal. To właśnie jest takie okropne. Ze go potępia. Swojego ojca. Pamiętasz... Pamiętasz, Jack. – Wyciągnęła rękę i położyła mi ją na przedramieniu. – Pamiętasz... naszego ojca... jaki on był... jak nam czytał na głos... jak nas kochał... jak uczył Adama i jaki był z niego dumny... ile czasu poświęcał na to, żeby samemu go uczyć... Och, Jack, siadywał przed kominkiem, ja byłam jeszcze mała, i czytał nam, a ja mu kładłam głowę na kolanach... Och, Jack... pamiętasz?

– Pamiętam – odpowiedziałem.

– Tak – ciągnęła. – Tak... mama nie żyła i ojciec robił, co mógł... taki był dumny z Adama... a teraz Adam... a teraz... – Puściła moją rękę, cofnęła się, uniosła dłonie i przyłożyła palce do czoła obłąkanym gestem. – Och, Jack, co ja zrobiłam! – szepnęła.

– Zrobiłaś to, co twoim zdaniem powinnaś była zrobić – odpowiedziałem stanowczo.

– Tak – wyszeptała. – Właśnie tak.

– Już się stało – rzekłem.

– Tak, stało się – odparła głośno i jej szczęki zwarły się z wyrazem, który ją nagle upodobnił do Adama. Usta miała stanowcze, zaciśnięte, skórę napiętą na ciele, głowę podniosła, jakby patrząc na świat z góry, a ja poczułem się tak, jakbym miał wybuchnąć płaczem. Gdyby to było moim zwyczajem.

– Tak – powtórzyłem. – Stało się.

– Teraz to zrobi – powiedziała.

A ja omal nie zapytałem: Co? Co zrobi? Bo na chwilę zapomniałem, po co wyjawiałem Annie te fakty, po co dałem jej fotokopie, po co pokazała jej bratu. Ale zaraz przypomniałem sobie i zapytałem:

– Namówiłaś go?

– Nie. – Potrząsnęła z wolną głową. – Nie, nic nie powiedziałam. Dałam mu te rzeczy. I już wiedział.

– Co się wtedy stało?

– To, co ci mówiłam. Popatrzył na mnie twardo i powiedział: „Ty”. Tylko tyle. Wtedy zawołałam: „Adamie, nie mów tak, nie wolno ci, Adamie, nie wolno!” A on zapytał: „Dlaczego?” Na to ja:

„Bo cię kocham, bo kocham jego, naszego ojca”. Wciąż patrzył na mnie, wreszcie powiedział: „Kochasz go! Niech go piekło pochłonie!” Zawołałam: „Adamie, Adamie!”, ale odwrócił się ode mnie, poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Wtedy wyszłam i długo chodziłam sama w ciemnościach. Żeby móc zasnąć. Przez trzy dni się nie odzywał. Potem poprosił, żebym do niego przyszła. Poszłam i oddał mi to – wskazała brunatną kopertę. – Kazał ci powiedzieć, że się zgadza. I żeby to załatwić. To było wszystko.

– To dużo – rzekłam.

– Tak – odparła i wymijając mnie, ruszyła ku drzwiom. Położyła rękę na klamce, nacisnęła ją i otworzyła drzwi. Obejrzała się na mnie i powiedziała: – Tak, to dużo.

I wyszła.

Jednakże zatrzymała się z dłonią na framudze drzwi.

– Jeszcze jedno – powiedziała.

– Co? – spytałem.

– Proszę cię o jedną łaskę. Zanim zrobisz użytek z tych rzeczy, tych papierów, pokaż je sędziemu Irwinowi. Daj mu szansę. Przynajmniej szansę.

Zgodziłem się na to.

Wielki czarny cadillac, którego maska połyskiwała matowo w świetle latarni – co widziałem nawet z tylnego siedzenia – sunął ulicą z luksusowym szeptem motoru, pod gałęziami drzew pokrytych świeżymi listkami, bo był początek kwietnia. Potem dojechaliśmy do innej ulicy, nad którą już nie było pięknego sklepienia drzew.

– To tutaj – powiedziałem. – Ten dom na prawo, zaraz za tym sklepem kolonialnym.

Cukierek zatrzymał cadillaca przy krawężniku, delikatnie jak matka układająca do snu z ostatnim całusem swoje kochanie. Potem obiegnął wóz dookoła, żeby otworzyć drzwiczki Szeferowi, ale Szefer już stał na chodniku. Wygramoliłem się i stanąłem obok niego.

– Jesteśmy na miejscu – rzekłem i wszedłem do domu. Przyjechaliśmy bowiem do Adama Stantona.

Kiedy powiedziałem Szeferowi, że Adam Stanton zgadza się przyjąć to stanowisko i że dał mi znać, abym to załatwił, Szefer rzekł:

– No, no! – Potem przyjrzał mi się od stóp do głów i dodał: – Musisz być czarnoksiężnikiem.

– Aha – odrzekłem. – Jestem czarnoksiężnikiem.

– Chciałbym się z nim zobaczyć – powiedział Szefer.

– Postaram się go tu ściągnąć.

– Ściągnąć go tutaj? – zapytał Szefer. – To ja do niego pojadę. Psiakrew, przecież mi robi łaskę.

– No, ale ty jesteś gubernatorem, nie?

– Masz zupełną rację – odparł Szefer – ale on jest doktor Stanton. Kiedy jedziemy?

Powiedziałem mu, że trzeba to zrobić wieczorem, że nie można go złapać kiedy indziej, tylko wieczorem.

I oto wchodziliśmy wieczorem w bramę obskurnego domu czynszowego, potem na ciemne schody, potykając się o wózek dziecienny,

wdychając odór kapusty i pieluch.

– Ale sobie znalazł mieszkanie! – powiedział Szeff.

– Aha – przyznałem. – I masa ludzi nie może pojąć dlaczego.

– Ja chyba mogę – odrzekł.

I kiedy zastanawiałem się, czy rzeczywiście może, czy nie, dotarliśmy do drzwi, zapukałem, weszliśmy i znaleźliśmy się oko w oko z Adamem Stantonem.

Przez krótką chwilę, kiedy Cukierek wsuwał się do środka, a ja zamykałem drzwi, Adam i Szeff wpatrywali się w siebie bez słowa. Potem obróciłem się i powiedziałem:

– Panie gubernatorze, to jest doktor Stanton.

Szeff postąpił krok naprzód i wyciągnął prawą rękę. Może mi się tylko zdawało, ale zauważyłem u Adama jakby cień wahania, zanim ją ujął. Szeff musiał to też zauważyć, bo kiedy Adam wyciągnął rękę, w chwili gdy sobie ściskali dłonie, jeszcze zanim padło jakiegokolwiek inne słowo, Szeff nagle wyszczerzył zęby i powiedział:

– Widzisz, chłopie? To wcale nie takie straszne. Nie umrzesz pan od tego.

I wtedy, jak Boga kocham, Adam też się uśmiechnął.

Potem powiedziałem:

– A to jest pan O'Sheean – i Cukierek pochylił się, wyciągnął swą krótką rękę z dłonią zwisającą na końcu niczym wypchana rękawiczka, wykrzywił twarz i zaczął:

– B-b-ardzo mi prz-prz-prz-prz...

– Miło mi pana poznać – rzekł Adam. A potem zauważyłem, że jego wzrok natrafił na tę wypukłość pod lewą pachą Cukierka. Obrócił się do Szeffa. – Więc to jest jeden z tych pańskich rewolwerowców, o których słyszałem? – zapytał już wyraźnie bez uśmiechu.

– Psiakrew, Cukierek nosi to tylko dla zabawy – odparł Szeff. –

Cukierek to mój kumpel. Nikt tak mi nie prowadzi wozu jak on.

Cukierek patrzył na Szefa jak pies, którego podrapano po głowie. Adam stał, nie odpowiadając. Przez chwilę myślałem, że wszystko się rozleci. A potem powiedział bardzo oficjalnie:

– Może panowie zechcą usiąść. Usiedliśmy.

Cukierek wyłuskał z bocznej kieszeni marynarki kostkę cukru, włożył ją do ust i zaczął ssać, wciągając swoje zapadnięte irlandzkie policzki, z oczami zmętniałymi z rozkoszy.

Adam czekał, siedząc wyprostowany na krześle.

Szef, rozparty na jednym z wypchanych gratów, najwyraźniej się nie spieszył. Ale w końcu zapytał:

– No, doktorku, co pan o tym myśli?

– O czym? – zapytał Adam.

– O moim szpitalu.

– Myślę, że przyniesie mieszkańcom naszego stanu sporo dobrego – odrzekł Adam. Po czym dodał: – I przysporzy panu trochę głośów.

– Niech pan zapomni o wyborczej stronie zagadnienia – odparł Szef.

– Wiele jest sposobów zdobywania głośów, synu.

– Tak słyszałem – rzekł Adam. Po czym ofiarował na podziw Szefowi nowy pokaźny kęs milczenia.

Szef podziwiał go przez jakiś czas, a potem rzekł:

– Tak, zrobi trochę dobrego. Ale nie za wiele, jeżeli pan go nie obejmie.

– Nie pozwolę, żeby ktokolwiek się wtrącał – powiedział Adam i uciął to zdanie.

– Nie martw się, chłopie – roześmiał się Szef. – Mogę pana wylać, ale wtrącać się nie będę.

– Jeżeli to jest groźba – rzekł Adam, a w jego oczach zapłonął bładoniebieski ogień – to traci pan czas na próżno, przychodząc tutaj. Zna pan moją opinię o obecnych rządach. Nie robiłem z niej tajemnicy. I nie

będę robił tajemnicy w przyszłości. Czy pan to rozumie?

– Doktorku – rzekł Szefer. – Pan nie zna się na polityce. Będę z panem szczerzy. Mógłbym rządzić tym stanem i jeszcze dziesięćmi takimi, choćbyś pan wył na każdym rogu ulicy jak pies z obolałym ogonem. Niech pan się nie obraża. Ale pan po prostu nie rozumie.

– Rozumiem pewne rzeczy – odparł Adam ponuro i zacisnął zęby.

– A innych pan nie rozumie, tak samo jak i ja, ale jedno wiem, a pan nie: mianowicie, co trzeba robić, żeby się kółka kręciły. Ja umiem to robić. I jeszcze jedna sprawa, skoro już gramy w otwarte karty... – Szefer nagle przerwał, przekrzywił głowę, łypnął na Adama i zapytał: – Czy też może tak nie jest?

– Mówił pan, że jest jeszcze jedna sprawa – zignorował to pytanie Adam, który siedział wyprostowany na krześle.

– Właśnie, jeszcze jedna sprawa. Niech pan posłucha, doktorku. Zna pan Hugh Millera?

– Tak – odrzekł Adam. – Znam go.

– Ano, pracował ze mną... tak, jako prokurator generalny i podał się do dymisji. A wie pan dlaczego? – I nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Podał się do dymisji, bo chciał zachować czyste ręczki. Chciał cegieł, ale nie wiedział, że aby je zrobić, ktoś musi się ubabrać w glinie. Był jak człowiek, który uwielbia befsztyki, ale po prostu nie może znieść widoku rzeźni, bo tam siedzą brzydacy, źli ludzie, którzy nie są miłośnikami zwierząt i na których należałoby złożyć doniesienie do towarzystwa opieki nad zwierzętami. No i podał się do dymisji.

Obserwowałem twarz Adama. Była kamienna i blada, jakby wyciosana z jakiejś gładkiej skały. Przypominała twarz człowieka, który zebrał się w sobie, żeby wysłuchać werdyktu przewodniczącego ławy przysięgłych. Albo diagnozy doktora. Adam musiał w swoim czasie widywać wiele takich twarzy. Musiał zaglądać w nie i mówić, co miał do powiedzenia.

– Taaak – ciągnął Szeff. – Podał się do dymisji. Był jednym z tych gości, co to chcą wszystkiego naraz i zawsze na dwa sposoby jednocześnie. Pan takich zna, doktorze?

Rzucił okiem na Adama, jak wędkarz zarzucający muszkę przy wierzbach, u strumienia obfitującego w pstrągi. Ale nic nie wzięło.

– Tak, stary Hugh nie nauczył się, że nigdy nie można mieć wszystkiego. Ze można mieć tylko bardzo mało. I że nigdy nie ma się nic poza tym, co się zrobi samemu. Tylko dlatego, że odziedziczył! trochę pieniędzy i nazwisko Miller, myślał, że można mieć wszystko. No i chciał tej jednej jedynej rzeczy, której nie można odziedziczyć. A wie pan, co to jest? – Popatrzył w oczy Adamowi.

– Co? – spytał Adam po długiej chwili milczenia.

– Dobro. Tak, po prostu zwyczajne dobro. Otóż tego nie można po nikim odziedziczyć. To trzeba samemu robić, doktorze. Jeżeli się tego chce. I trzeba to robić ze zła. Ze zła. A wie pan dlaczego? – Dźwignął się ciężko na wypchanym, zapadniętym gracie, pochylił się, oparł dłonie na kolanach, rozstawił łokcie, wyciągnął szyję, włosy opadły mu na oczy i wpatrzył się w twarz Adama. – Ze zła – powtórzył. – A wie pan czemu? Bo nie można go stworzyć z niczego innego. – Potem, opadłszy z powrotem na ów grat, zapytał cicho: – Wiedział pan o tym, doktorze?

Adam nie wyrzekł ani słowa.

Wtedy Szeff zapytał jeszcze ciszej, niemal szeptem:

– Wiedział pan o tym, doktorze? Adam zwilżył wargi i powiedział:

– Chciałbym zadać panu jedno pytanie. Chodzi o to: jeżeli, jak pan twierdzi, można zacząć tylko od zła i dobro musi być tworzone ze zła, to skąd można wiedzieć, co to jest dobro? Jak można je w ogóle rozpoznać? Założywszy, że uczyniło się je ze zła. Niech pan mi na to odpowie.

– Spokojnie, doktorku, spokojnie – rzekł Szeff.

– No, niech mi pan odpowie.



– Po prostu tworzy się je stopniowo.

– Co tworzy?

– Dobro – odparł Szefer. – A o czymże mówimy, do licha? Dobro przez duże D.

– Więc pan je tworzy stopniowo? – powtórzył Adam łagodnie.

– A jak panu się zdaje, psiakrew, że co ludzie robili od miliona lat, doktorku? Kiedy pański praprapradziadziś zlął z drzewa, miał większe pojęcie o dobru i złu, o słuszności i niesłuszności, niż ta sowa, co na drzewie została. Ale on zlął i stopniowo zaczął tworzyć Dobro. Tworzył to, co mu było potrzebne w jego własnym interesie. A wszystko, co stworzył i co inni podziwiali jako dobre i słuszne, było zawsze o kilka kroków w tyle za tym, czego potrzebował. Dlatego rzeczy się zmieniają, doktorze. Bo to, co ludzie uważają za słuszne, jest zawsze o kilka kroków w tyle za tym, czego potrzebują w swym własnym interesie. Czasem jakaś jednostka, pojedynczy człowiek, przestaje myśleć o swoim własnym interesie, bo ma poczucie tego, co słuszne, i jest bohaterem. Ale ogół ludzi, czyli społeczeństwo, nigdy nie zapomni o swoim interesie. Społeczeństwo po prostu wysmaży nowe kryterium tego, co słuszne. Społeczeństwo na pewno nigdy nie popełni samobójstwa. Przynajmniej nie w ten sposób i nie rozmyślnie. To fakt. No, czyż nie?

– Chyba tak – odrzekł Adam.

– Ma pan zupełną rację, że chyba tak, doktorze. Słuszność jest klapą, którą się na coś zakłada, a pewne rzeczy, co są pod tą klapą, wyglądają kubek w kubek jak inne, co nie są pod nią, i nigdy nie było takiego pojęcia słuszności zastosowanego do ogółu, na które masa ludzi by nie utyskiwała, ponieważ najzwyczajniej nie mogli dbać w jego ramach o swoje ludzkie sprawy. Psiakrew, niech pan choćby weźmie te czasy, kiedy ludzie nie mogli dostać rozwodu. Ile dobrych kobiet brało ciężki, ilu dobrych mężczyzn miało zatrute życie i nie mogli na to nic a nic poradzić!

A potem nagle rozwód uznano za słuszny. Pan nie wie, co będzie dalej. Ani ja. Ale jedno wiem. – Przerwał i znowu się pochylił, rozstawiając łokcie.

– Co? – spytał Adam.

– A to. Nie przeczę, że musi być jakieś pojęcie słuszności, żeby móc załatwiać sprawy, ale jak Boga kocham, dane pojęcie, stworzone w danym czasie, prędzej czy później będzie jak ten korek wbity mocno w butelkę wody, którąśmy w szkole wrzucali do gorącego pieca, żeby usłyszeć huk. Para, która rozsadza butelkę i napędza takiego stracha nauczycielce, że ta susia w majtki, jest właśnie taką ludzką sprawą, którą trzeba załatwić; rozsadzi wszystko, jeżeli będzie mocno zatkana, ale jeżeli ją ulokować we właściwym miejscu i dać jej odpowiedni upust, wprawi w ruch lokomotywę.

Znów zagłębił się w fotelu, powieki mu obwisły, ale spod włosów opadłych na czoło oczy patrzyły czujnie jak z zasadzki.

Adam nagle wstał i przeszedł przez pokój. Staął przed pustym kominkiem, w którym leżały resztki starego popiołu i kawałki na wpół zwęglonego papieru, chociaż już przyszła wiosna i ognia nie zapalano od dawna. Okno było otwarte i do pokoju wpadało nocne powietrze, niosąc jakiś zapach odmienny od odoru kapusty i pieluch – woń wilgotnej trawy i liści zwisających z gałęzi drzew w ciemnościach, woń, która niewątpliwie była tu, w tym pokoju, czymś obcym. I nagle przypomniałem sobie, jak kiedyś do pokoju, w którym siedziałem, wpadła wieczorem duża bladezielona ćma, wielka jak nietoperz, miękka i cicha jak sen – ćma nazywana luną, co jest cudowną nazwą. Ktoś zostawił drzwi siatkowe otwarte i ćma unosiła się nad stołami i krzesłami jak wielki, bladezielony, jedwabisty, żywy liść, tańcząc bez żadnego powiewu w elektrycznym świetle, w którym ćma luna była na pewno czymś obcym. Nocne powietrze wpadające teraz do pokoju było właśnie takie.

Adam oparł łokieć na drewnianym gzymsie kominka, tak zakurzonym, że można się było na nim podpisać; leżały tam książki i stała zaschnięta, oblepiona fasami filiżanka po kawie. Stał tak, jak gdyby był zupełnie sam.

Szef obserwował go.

– Tak – powiedział, patrząc czujnie. – Wprawi w ruch lokomotywę i...

Ale Adam mu przerwał:

– O czym pan chce mnie przekonać? Nie musi pan mnie przekonywać o niczym. Powiedziałem już, że biorę tę posadę. To wszystko! – Spojrzał wrogo na masywnego mężczyznę w wielkim fotelu i powtórzył: – To wszystko! A jakie mam powody, to już moja sprawa.

Szef uśmiechnął się z wolna, poprawił w fotelu i powiedział:

– Tak, to pańska sprawa, doktorze. Ale ja tylko myślałem, że pan może chcieć coś usłyszeć o moich powodach. Skoro mamy wspólnie prowadzić interes.

– Ja będę prowadził szpital – odparł Adam i dodał z grymasem wzgardy: – Jeżeli pan to nazywa wspólnym prowadzeniem interesu.

Szef roześmiał się głośno. Potem wstał z fotela.

– Doktoru – powiedział. – Niech pan się nic nie martwi. Dopilnuję, żeby pan zachował czyste łapki. Żeby pan był cały czysty. Umieszczę pana w tym pięknym, antyseptycznym, sterylnym szpitalu za sześć milionów dolarów i zawinę pana w celofan, nie tkniętego ludzkimi rękami. – Podeszedł do Adama i klepnął go po ramieniu. – Niech pan się nic nie martwi – powtórzył.

– Sam dam sobie radę – oświadczył Adam i spojrzął na dłoń położoną na jego ramieniu.

– Jasne, że tak, doktoru – powiedział Szef. Zdjął mu rękę z ramienia. A potem jego ton zmienił się, stał się nagle rzeczowy i spokojny. – Zapewne zechce pan obejrzeć wszystkie sporządzone plany. Może pan

poczynić w nich zmiany po konsultacji z architektami. W tej sprawie zgłosi się do pana inżynier Todd z firmy Todd i Waters. I może pan już zacząć dobierać sobie personel. To wszystko należy do pana. – Odwrócił się i wziął z fortepianu swój kapelusz. Znów spojrzął na Adama, taksując go wzrokiem od stóp do głów i z powrotem. – Wspaniały z pana chłop, doktorze – powiedział. – I niech pan nie wierzy, jakby ktoś panu mówił, że nie.

A potem skręcił do drzwi i wyszedł, zanim Adam zdążył powiedzieć słowo. Jeżeli miał cokolwiek do powiedzenia.

Cukierek i ja ruszyliśmy za Szefem. Nie zatrzymaliśmy się, żeby powiedzieć dobranoc i podziękować za gościnę. Tego jakoś nie było w kartach. Jednakże przy drzwiach obejrzałem się i rzekłem: „No to tymczasem, stary”, ale Adam nic nie odpowiedział.

Na dole Szef zawahał się przy krawężniku, obok samochodu. Powiedział:

– Wy jedźcie. Ja się przejdę.

Ruszył ulicą w stronę centrum, mijając obskurny dom czynszowy i sklepik kolonialny, kamienice i tandetne domy jednorodzinne.

W chwili, kiedy siadałem obok Cukierka na zwykłym miejscu Szefa, usłyszałem muzykę, która buchnęła z domu. Okno było otwarte i rozlegała się bardzo głośno. To Adam bębnił na swoim kosztownym fortepianie, wypełniając nocne powietrze wrzawą niczym wodospad Niagara.

Potoczyliśmy się ulicą, mijając Szefa, który szedł ze spuszczoną głową i nie zwrócił na nas żadnej uwagi. Wjechaliśmy w jedną z lepszych ulic, gdzie drzewa spletały się w górze, a świeże liście wydawały się czarne na tle nieba lub blade, nieledwie białawe, tam, gdzie nie padało światło latarni. Wydostaliśmy się już poza zasięg dźwięków fortepianu Adama.

Oparłem się, przymknąłem oczy i poddawałem się miękkiemu, delikatnemu kołysaniu i przechylaniu wozu, i myślałem o tym, jak

Szef i Adam Stanton stali naprzeciw siebie w pokoju. Nigdy się nie spodziewałem, że to zobaczę. A jednak się stało.

Odnalazłem prawdę, wygrzebałem prawdę z kupy popiołów, ze śmietniska, ze stosu odpadków, z usypiska kości – i posłałem ten kawałek prawdy Adamowi Stantonowi. Nie mogłem prawdy przykrajać tak, żeby pasowała do jego wyobrażeń. No cóż, musiał teraz dopasować swoje wyobrażenia do prawdy. Tak uważamy my wszyscy, badacze Historii. Prawda oswobadza człowieka.

Więc na wół leżałem w samochodzie i myślałem o Adamie i o prawdzie. A także o Szefie i o tym, co według niego było prawdą. Było nią to, co dobre. To, co słuszne. I leżąc tam, kołysany w cadillacu, zastanawiałem się, czy wierzył w to, co mówił. Powiedział, że trzeba tworzyć dobro ze zła, bo nie ma nic innego, z czego by można je tworzyć. Cóż, stworzył coś dobrego ze zła. Ten szpital. Szpital imienia Williego Starka, który miał pozostać, kiedy po Williem Starku nie będzie już śladu. Tak powiedział Willie Stark. Ale jeżeli Willie Stark uważał, że zawsze trzeba tworzyć dobro ze zła, to dlaczego tak się zdenerwował, kiedy Tiny chciał ubić logiczny, drobny interes z umową na budowę szpitala? Dlaczego tak się rozłościł tylko z tej racji, że do surowca, z którego miał wytworzyć jakieś Dobro, mógł się domieszać pewien gatunek zła Tiny’ego. „Czy ty nie rozumiesz? – pytał, łapiąc mnie za kłapę. – Czy i ty też nie rozumiesz? Ja buduję ten szpital, najlepszy w kraju, najlepszy na świecie, i taki łobuz jak Tiny nie będzie się do tego mieszał; nazwę ten szpital imieniem Williego Starka i on tu zostanie długo po tym, kiedy umrę i już mnie nie będzie, i ty umrzesz i już cię nie będzie, i wszystkie te sukinsyny powymierają i już ich nie będzie...” To się nie bardzo trzymało kupy. Wcale się nie trzymało. Będę musiał kiedyś zapytać o to Szefa.

Raz zapytałem Szefa o coś innego. Tamtego wieczora, gdy upadła sprawa oskarżenia. Tamtego wieczora, gdy wielkie tłumy, które się

wlały do miasta, stały na trawniku przed Kapitołem, deptając klomby pod potężnymi, strojnymi w surduty i koźle skóry i zbrojnymi w szpady pomnikami, które były Historią. Kiedy z wysokich, ciemnych wrót Kapitolu wyszedł w błękitne światło reflektorów Willie Stark i stanął u szczytu wyniosłych schodów, ciężki i powolny, mrugający oczyma w blasku. Stał tam, on jeden na tej wielkiej kamiennej połaci, jakiś samotny i zagubiony na tle spiętrzonego za nim masywu kamieni – stał i mrugał oczami. Przeciągłe skandowanie: „Wil-lie, Wil-lie, my chce-my Wil-liego”, które nabrzmięwało z tłumu, zamilkło, gdy się pokazał. Czekał przez chwilę i było cicho jak makiem zasiał. A potem nagle rozległ się wielki ryk tłumu, bez żadnych słów. Długo to trwało, nim podniósł rękę, by go uciszyć. Wtedy ryk zamilkł, jak gdyby pod naciskiem jego wolno opuszczającej się dłoni.

A on powiedział:

– Chcieli mnie wykończyć ale sami się wykończyli.

Ryk ozwał się znowu i ucichł pod jego dłonią.

– Chcieli mnie wykończyć, bo im się nie podobało to, co zrobiłem. A wam się podoba?

Ryk rozbrzmiał i ucichł. On zaś mówił:

– Powiem wam, co teraz zrobię. Zbuduję szpital. Największy i najwspanialszy, jaki można mieć. Będzie należał do was. Każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko, każdy, kto jest chory czy cierpiący, będzie mógł wejść w jego progi, wiedząc, że zostanie dlań uczynione wszystko, co w ludzkiej mocy. Żeby wyleczyć chorobę. Żeby ulżyć cierpieniu. Za darmo. Nie jako dobroczynność. Jako prawo. Bo to jest wasze prawo. Słyszycie? Wasze prawo!

Znowu ryk. A on mówił:

– I jest waszym prawem, żeby każde dziecko otrzymało pełne wykształcenie. Żeby nikt stary czy niedołężny nie musiał żebrać o chleb.

Żeby ten, kto coś produkuje, mógł to dostawić na rynek, nie grzęznąc w błocie po osie, nie płacąc myta. Żeby żaden ubogi człowiek nie płacił podatku od swego domu czy ziemi. Żeby bogaci i wielkie spółki, które czerpią bogactwo z tego stanu, wpłacali mu uczciwą część. Żebyście nie byli pozbawieni nadziei!

Ryk odezwał się znowu. Kiedy ucichał, Anna Stanton, która trzymała mnie pod rękę, przycisnięta do mnie naporem tłumu, spytała:

– Czy on naprawdę tak myśli, Jack? Naprawdę?

– Sporo z tego już zrobił – odrzekłem.

– Tak – powiedział Adam Stanton, a wargi mu się wykrzywiły. – Tak... to jest jego łapówka.

Nie odpowiedziałem – i nie wiem, jaka by była moja odpowiedź, bo Willie Stark tam, wysoko na schodach, mówił:

– Ja to zrobię. Tak mi dopomóż Bóg. Będę żył waszą wolą i waszym prawem. I jeżeli ktokolwiek spróbuje powstrzymać mnie od wypełniania waszej woli i waszych praw, to go zmiażdżę. Zmiażdżę go, o tak! – Rozłożył szeroko ręce wzniesione na wysokość ramion i trzasnął się prawą pięścią w lewą dłoń. – O, tak! Rozniosę go. Ręka, noga, goleń, grdyka, dam w kark, dam w szczękę, dam sierpowym, dam w brzuch. I wszystko mi jedno, czym uderzę. Albo jak!

Wtedy, wśród ryku tłumu, pochyliłem się do ucha Anny i wrzasnąłem:

– On naprawdę tak zrobi!

Nie wiedziałem, czy Anna mnie usłyszała, czy nie. Była wpatrzona w człowieka stojącego u szczytu schodów, który z oczami wyłazającymi z orbit pochylał się do tłumu i mówił:

– Trzasnę go. Rąbnę go tym toporem rzeźnickim!

A potem nagle wyciągnął ręce nad głowę, rękawy marynarki zsunęły mu się, ukazując rękawy koszuli, dłonie zaczęły się rozwierać i zwierać.

– Dajcie mi ten topór rzeźnicki! – ryknął. A tłum zawrzasał.

Powoli opuścił ręce, nakazując ciszę. Potem powiedział:

– Wasza wola jest moją siłą. I po chwili ciszy dodał:

– Wasze potrzeby są dla mnie prawem. A potem:

– To wszystko.

Obrócił się i powoli wszedł przez wysokie drzwi Kapitolu w ciemność za nimi i zniknął. Ryk nabrzmiewał teraz i przewalał się w powietrzu, donośniejszy niż przedtem, i czułem go także w sobie, czułem, że wzbiera jak krew, jak zwycięstwo. Patrzyłem w ciemność wielkich drzwi Kapitolu, w których zniknął, a ryk wciąż trwał.

Anna Stanton pociągnęła mnie za rękę, Spytała:

– Czy on naprawdę tak myśli, Jack?

– Psiakrew – odparłem i usłyszałem w swoim głosie nutę złości. – Psiakrew, skąd mogę wiedzieć?

Usta Adama Stantona wykrzywiły się. Powiedział:

– „Prawo”! I to on użył tego słowa!

Wtedy nagle, na mgnienie oka, znenawidziłem Adama Stantona.

Powiedziałem im obojgu, że muszę już iść, co było prawdą, i precyzyjnie skierowałem tłum aż do kordonu policji. Potem poszedłem na tyły Kapitolu, gdzie spotkałem Szefa.

Później tego wieczora, już w pałacu, kiedy wyrzuciłem z gabinetu Tiny’ego wraz z jego bandą, zadałem Szefowi to pytanie. Spytałem:

– Czyś ty naprawdę myślał to, co mówiłeś?

Rozparty na wielkiej, skórzanej kanapie, popatrzył na mnie i zapytał:  
– Co?

– To, co mówiłeś – odrzekłem. – Dzisiaj. Ze ich wola jest twoją siłą. Ze ich potrzeby są dla ciebie prawem. Te wszystkie rzeczy.

Wciąż wpatrywał się we mnie wylupiastymi oczami, a jego spojrzenie mocowało się ze mną, sondowało mnie.

– Powiedziałeś tak – rzekłem.



– Cholera jasna! – wykrzyknął gwałtownie, wciąż wpatrując się we mnie. – Cholera jasna!... – Zaciśnął prawą pięść i dwukrotnie uderzył się nią w piersi. – Cholera, w tobie jest coś... w tobie jest coś takiego...

Nie dokończył; te słowa jakby zawisły w powietrzu. Odwrócił ode mnie wzrok i w zamyśleniu zapatrzył się w ogień. Nie naciskałem go więcej.

No więc tak to było, gdy dawno temu zadałem mu pytanie. Teraz zaś miałem nowe: jeżeli uważa, że dobro musi się tworzyć ze zła, bo nie ma nic innego, z czego by można je stworzyć, to dlaczego tak się ciskał, żeby nie dać Tiny’emu tknąć szpitala imienia Williego Starka?

Było jeszcze inne małe pytanie. Takie, które musiałem zadać Annie Stanton. Przyszło mi ono do głowy owej nocy na molo, nad zamgloną rzeką, kiedy Anna powiedziała, że poszła do Adama „pomówić o tym” – o propozycji objęcia stanowiska dyrektora szpitala imienia Williego Starka. Powiedziała mi tak i wtedy coś mnie w tym zaniepokoiło, jak wówczas, gdy gdzieś cię śwędzi, a ręce masz zajęte i nie możesz się podrapać. W owej chwili nie próbowałem dociec, na czym to polega. Po prostu odsunąłem ten garnek w głąb pieca i pozwoliłem mu się tam gotować. I tak się gotował przez całe tygodnie. Aż pewnego dnia nagle wykipiął i już od razu wiedziałem, na czym polega pytanie: skąd Anna Stanton dowiedziała się o propozycji w sprawie szpitala?

Jedno było pewne: ja jej tego nie powiedziałem.

Może powiedział jej Adam i wtedy poszła, „żeby z nim o tym pomówić”. Wybrałem się więc do Adama, który był wściekle zapracowany, bo oprócz swojej zwykłej praktyki i nauczania miał jeszcze na dodatek pracę nad planami szpitala i, jak powiedział, już prawie od miesiąca nie dotknął fortepianu. Jego oczy spoczęły na mnie lodowato, twarz miał wymizerowaną z bezsenności i potraktował mnie z kurtuazją zbyt chromoniklową dla przyjaciela z młodości. Wobec tej kurtuazji trzeba

było z mojej strony pewnego wysiłku, żeby się zebrać na zadanie mu tego pytania. Ale je w końcu zadałem. Powiedziałem:

– Adamie, wtedy jak Anna pierwszy raz przyszła porozmawiać z tobą o... tej pracy... no, wiesz, w szpitalu... czyś ty jej wtedy powiedział...

A on odparł głosem jak skalpel:

– Nie chcę o tym mówić.

Ale ja musiałem wiedzieć. Zapytałem więc:

– Czy to ty powiedziałeś jej o tej propozycji?

– Nie – odrzekł. – I powtarzam, że nie chcę o tym mówić.

– Okej – usłyszałem własny głos, jakiś płaski, jakby nie mój. – Okej.

Spojrzał na mnie ostro, po czym wstał z krzesła i postąpił krok ku mnie.

– Przepraszam – rzekł. – Przepraszam cię, Jack. Jestem zdenerwowany.

– Potrząsnął z lekka głową, jak człowiek usiłujący strząsnąć z siebie otumanienie snu. – Nie dosypiałem ostatnio – powiedział. Postąpił jeszcze krok ku mnie (stałem oparty o kominek), spojrzał mi znowu w twarz i położył dłoń na mojej ręce, mówiąc: – Naprawdę mi przykro, Jack... że tak gadam... ale nic nie mówiłem Annie... i przepraszam cię.

– Nie myśl już o tym – odparłem.

– Nie będę – zgodził się z posępnym uśmiechem, poklepując mnie po ręce. – Jeżeli i ty nie będziesz.

– Jasne – odpowiedziałem. – Nie będę. Oczywiście. To zresztą nieważne, kto jej powiedział. Pewnie ja sam. Po prostu wyleciało mi z głowy...

– Mnie idzie o to, żebyś nie myślał o tym, jak się zachowałem – poprawił mnie. – Ze tak wybuchłem.

– Ach, to! – odparłem. – Jasne; nie ma o czym mówić. Przyjrzał mi się i jakieś pytanie zasepiło jego oczy. Przez chwilę nic nie mówił. A potem:

– Dlaczego chciałeś to wiedzieć?

– Nic takiego – odparłem. – Nic. Zwykła ciekawość. Ale już sobie przypominam. Sam jej powiedziałem. Tak, i możliwe, że niepotrzebnie. Nie chciałem jej w to wciągać. Tak mi się jakoś wymknęło. Nie miałem zamiaru wywoływać żadnej chryi. Nie myślałem... – A przez cały czas ta zimna, nieczuła cząstka umysłu, ta stara ciotka, to lustro w łazience, w które spogląda pijany, ten przyciszony głos, ten robak w serze szacunku dla samego siebie, ten komentator eterowego koszmaru, ta trupia czaszka bezwargiego rozsądku przy każdej zabawie – przez cały czas ta cząstka umysłu mówiła mi: „Tylko pogarszasz sprawę, twoje kłamstwa tylko to pogarszają, nie możesz się zamknąć, gaduło?”

A Adam mówił z blednącą twarzą:

– Nie było żadnej chryi, jak to nazywasz.

Ale ja już nie mogłem się zatrzymać, podobnie jak wtedy, gdy auto wpadnie na oblodzoną nawierzchnię na stoku wzgórza i zaczyna sunąć w dół, nim zdążysz nacisnąć hamulec, i czujesz ten piękny, swobodny suw i pęd poślizgu, i nieomal wybuchasz śmiechem, bo jest wspaniały i nieokiełznany jak dzieciństwo. Mówiłem:

– ...no, może nie chryję... ale przykro mi, że napuściłem Annę na ciebie... Nie chciałem wywołać awantury... tylko po prostu...

– Nie chcę o tym mówić – powiedział i szczęki mu się zacisnęły, odwrócił się ode mnie, odszedł na drugi koniec pokoju i stanął tam, bardzo sztywny i wojskowy.

Pożegnałem się więc, a ta chromoniklowa kurtuzja była tak połykliwa i zimna, że moje „Do zobaczenia, stary” u więzło mi w gardle jak czerstwy kukurydziany placek.

Ale Adam jednak nie powiedział Annie Stanton. I ja też nie powiedziałem. Więc kto? Na to nie znajdowałem odpowiedzi prócz jednej możliwości, że były jakieś plotki, jakiś przeciek, i że wiadomość się rozeszła. Myślę, że zaakceptowałem tę odpowiedź – jeśli ją naprawdę

zaakceptowałem – ponieważ była najłatwiejsza do przyjęcia. Ale w głębi duszy wiedziałem, że Szeff nie był skłonny do plotkowania, chyba że chciał plotkować, a przecież musiał wiedzieć, że jedynym pewnym sposobem zaprzepaszczenia szansy przyciągnięcia Adama Stantona było puścić w ruch młyn plotek na ten temat. Zdawałem sobie z tego sprawę, ale mój umysł po prostu się zamknął jak skorupa mięczaka, kiedy po wodzie przesuwa się cień. Bo mięczak musi przecie jakoś żyć, nieprawdaż?

Jednakże wykryłem, kto powiedział Annie Stanton.

Był piękny poranek w połowie maja i właśnie tego rana, o tej porze, około wpół do dziesiątej, czuło się jeszcze jakiś ostatni ślad wiosny – bo już się prawie zdążyło zapomnieć, że wiosna w ogóle była – jakąś mleczność w powietrzu, i z okna widziałem w oddali lekką, białą, też mleczną mgiełkę nad rzeką. Pora roku przypominała piękną córkę biednego dzierżawcy, dziewczynę o piersiach obfitych, rozsadzających perkal, lecz jeszcze wciętą w pasie, o rumianych policzkach, błyszczących oczach i z odrobiną potu u skraju jasnych włosów (które mogą być w pewnych wypadkach platynowe). Patrzysz na taką i wiesz, że niedługo będzie już tylko workiem kości i chrząstek, z twarzą jędzy, przypominającą zardzewiały sierp. Ale chwilowo wygląda tak dobrze, iż lęk cię chwyta, jeżeli jej się naprawdę przyjrzysz, i tego rana pora roku sprawiała to samo wrażenie, bo wiedziałeś, że z końcem czerwca wszystko będzie już tylko kośćmi i chrząstkami, i twarzą jędzy, i lepkiem od potu prześcieradłem, na którym się budzisz, czując w ustach smak starej miedzi. Tymczasem jednak liście okrywały drzewa gęsto i mięsiście i jeszcze nie zaczęły się zwijać. Z mojego gabinetu widziałem wielkie pęki, pióropusze i rozdęte kule zieleni, które były drzewami parku Kapitolu widzianymi z wysokości mojego okna, i rozmyślałem o głębokim wewnętrznym labiryncie zieleni w koronie któregoś z tych wielkich drzew i o sklepionych, cieniстых komnatach w pobliżu pnia, gdzie może przysiadła na chwilę swarliwa

sójka niczym jakiś barbarzyński potentat, wpatrując się czarnymi, błyszczącymi paciorkami oczu w zieloną gęstwinę. A potem sfrunie bezgłośnie z gałęzi, przedrze się przez zaslonę zieleni i wyleci na jaskrawe światło słoneczne, gdzie nagle zacznie się drzeć jak opętana. Patrzyłem tak i wyobrażałem sobie siebie w tej sklepionej, wewnętrznej komnacie, w wodnistym zielonym świetle wewnątrz wielkiej kuli drzewa, nawet bez sójki, która już odleciała, i bez możliwości dojrzenia czegokolwiek za tymi gęstymi, zielonymi liśćmi, w zupełnej ciszy, z dala od stłumionego szumu miasta, podobnego do pomruku oceanu.

Była to wspaniała, spokojna, piękna myśl i oderwałem oczy od owej zieleni w dole, oparłem się wygodnie w moim obrotowym fotelu, stopy złożyłem na biurku, zamknąłem oczy i wyobrażałem sobie, że lecę w dół i przebijam się przez liście w tę nagłą, zieloną ciszę tam, wewnątrz. Siedziałem tak z zamkniętymi oczami i słuchałem elektrycznego wentylatora, szumiącego jak we śnie, i nieomal czułem to cudowne spadanie i zatrzymanie się w środku. To był wspaniały pomysł. Jeżeli miało się skrzydła.

A potem usłyszałem harmider obok, w pokoju recepcyjnym, i otworzyłem oczy. Ktoś trzasnął drzwiami. Następnie spostrzegłem jakiś gwałtowny ruch i w moje pole widzenia wtargnęła Sadie Burke, zataczając duże półkole przez otwarte drzwi i jednocześnie zatraskując je za sobą, i szarżując prosto na mnie. Zatrzymała się przed moim biurkiem i zaczęła chwytać ustami powietrze, aby powiedzieć, co miała do powiedzenia.

Było to zupełnie jak za dawnych czasów. Nie widziałem jej tak rozjuszonej od owego rana, gdy dowiedziała się o „nordyckiej nimfie”, która utorowała sobie na łyżwach drogę do łóżka Szefa, w Chicago, dawno temu. Tamtego rana Sadie wypadła z drzwi gabinetu Szefa i zakreśliła parabolę prosto do mojego pokoju, z rozwichrzonymi, czarnymi, krótko uciętymi włosami, a twarzą przypominającą podziurkowaną gipsową

maskę Meduzy, z wyjątkiem palących, smolistych oczu, które gorzały, jak gdyby miech podsyczał ich płomień.

Niewątpliwie od tamtego rana bywało wiele momentów, kiedy Sadie i Szeff niezupełnie się z sobą zgadzali. Szeff miał w swym życiu wszelkie możliwe przygody, od „nordyckiej nimfy” aż po dziennikarkę z działu porad dla pań w „Kronice”, i wprawdzie nie można powiedzieć, żeby Sadie mu to wybaczała – bo nie miała wybaczącej natury – niemniej jednak jakiś szczególny układ został w końcu zawarty. „Niech go szlag trafi – powiedziała do mnie Sadie. – Niech sobie ma te swoje dziwki. Ale zawsze wróci do mnie. Wie, że beze mnie nie da sobie rady. Wie o tym doskonale”. Po czym dodała ponuro: „I lepiej niech nie próbuje”. Przy całej swojej furii, swoim cholerowaniu, ironii i smaganiu językiem – a język miała jak kańczug – nawet przy swoich rzadkich wybuchach suchookiego bólu, zdawała się czerpać jakąś przyjemność – Bóg jeden wie, jak bardzo gorzką i wypaczoną – z obserwowania rozwoju wypadków za każdą taką nową-starą historią, z obserwowania, jak dziwka idzie w ką, a Szeff znowu wraca i staje przed Sadie uśmiechnięty i ociężały, spokojny i cierpliwy, by dostać swoją porcję słownej chłosty. Sadie zapewne od dawna już przestała wierzyć w tę chłostę czy nawet myśleć to, co mówiła. Soczyste epitety dawno już utraciły swój pieprzny smak i w owe sceny wkradała się jakaś wrzaskliwa mechaniczność, niby zacinająca się płyta gramofonowa albo odśpiewujący hymn kaznodzieja, który jest głodny i nie może się doczekać kurczenia. Słowa padały, lecz myśli Sadie nie były przy nich.

Jednakże tego pięknego majowego poranka było inaczej. Owszem, przypominało to dawne czasy: pierś Sadie falowała i igła manometru odmierzającego ciśnienie pary zachodziła daleko na czerwone pole tarczy. A potem Sadie wypchnęła wentyl.

– Zrobił to – wysapała. – Znow zrobił... i przysięgam...

– Co zrobił? – zapytałem, chociaż z góry wiedziałem co. Miał nową dziwkę.

– Prowadzi ze mną podwójną grę – oświadczyła. Odchyliłem się w fotelu i popatrzyłem na nią. Jaskrawe poranne światło padało na jej twarz prosto i bezlitośnie, ale oczy były wspaniałe.

– Podwójną grę prowadzi, drań jeden! – powiedziała.

– Słuchaj, Sadie – rzekłem odchylony do tyłu, patrząc na nią znad nosków moich butów skrzyżowanych na biurku. – Jużeśmy dawno przerabiali tę arytmetykę. Z tobą nie prowadzi podwójnej gry. Najwyżej z Lucy. Z tobą może prowadzić pojedynczą albo poczwórną. Ale podwójnej nie.

Obserwowałem jej oczy i mówiłem to tylko po to, żeby się przekonać, czy można im dodać jeszcze trochę więcej kąśliwości. Okazało się, że tak.

Powiedziała bowiem:

– Ty... Ty... – Zabrakło jej słów.

– Co ja? – broniłem się.

– Ty... ty... razem z twoimi wytwornymi przyjaciółmi... Co oni wiedzą... co oni rozumieją... a ty musisz ich w to wciągać.

– O czym mówisz?

– Może i nie jestem wytworna, może i mieszkałam w budzie, ale gdyby nie ja, on nie byłby w tej chwili gubernatorem i doskonale o tym wie, i niech ona lepiej sobie za dużo nie pozwala, bo czy jestem wytworna, czy nie, to jej jeszcze pokażę! Jak Boga Kocham, pokażę jej!

– O czym ty mówisz, do licha?

– Wiesz, o czym mówię – oświadczyła i pochyliła się ku mnie nad biurkiem, wygrażając mi palcem. – A ty siedzisz tu, uśmiechasz się tak i myślisz, że jesteś ogromnie wytworny. Gdybyś był mężczyzną, tobyś wstał, poszedł tam i strzelił go w pysk. Myślałam, że ona jest twoja. Ale może i tobie też dał jakąś intratną posadkę. Może zaopiekował się tobą

tak samo jak tym doktorem. – Pochyliła się jeszcze bardziej ku mnie. – Może cię zrobi dyrektorem jakiegoś szpitala. No powiedz: czego masz być dyrektorem?

Pod tym zalewem słów, pod dziko wygrażającym palcem i płonącymi oczami szarpnąłem się do przodu, spuściłem z traskiem stopy na podłogę, zerwałem się i stanąłem przed nią, a krew załomotała mi w skroniach, jak wówczas, gdy się wstanie zbyt raptownie. Małe czerwone plamki tańczyły mi przed oczami, a te słowa rozbrzmiewały w uszach. A potem zatrzymały się na jej pytaniu.

– Czy ty chcesz powiedzieć – zacząłem z determinacją – że... że...  
– Już miałem wymówić nazwisko Anny Stanton, bo było wypisane jasno w moim umyśle, jakby wykaligrafowane na tablicy, gdy wtem utknęło mi w gardle i ze zdumieniem stwierdziłem, że nie mogę go wypowiedzieć. Ciągnąłem więc: – że ona... ona...

Ale Sadie Burke zaglądała prosto w moje myśli – przynajmniej tak mi się wydało – i szybko jak bokser trzasnęła mnie tym nazwiskiem:

– Tak, ona, ona, ta Stanton, Anna Stanton!

Przez chwilę patrzyłem Sadie w oczy i zrobiło mi się jej tak żal, że niemal byłem bliski łez. To właśnie mnie zdumiało. Że tak mi było jej żal. A potem przestałem odczuwać cokolwiek. Nie było mi żal nawet samego siebie. Czułem się tak zdrewniały jak drewniany Indianin i pamiętam swoje zdziwienie, kiedy stwierdziłem, że moje nogi działają doskonale, choć są drewniane, że poszły prosto do wieszaka na kapelusze, przy którym moja prawa ręka, chociaż drewniana, podniosła się, by zdjąć wiszącą tam starą panamę, i nałożyła mi ją na głowę. Następnie moje nogi ruszyły prosto przez drzwi i długi pokój recepcyjny, po dywanie puszystym i miękkim jak murawa przystrzyżonego na wiosnę trawnika, i wyszły za próg na dźwięczące marmurowe płyty.

Wyszedłem na świat, który był jakby większy niż przedtem. Zdawała



się nie mieć końca wędrówka po białym, błyszczącym w słońcu betonie, co wił się i skręcał między posągami z brązu, barwnymi klombami w kształcie gwiazd i półksiężyców i dalej, bez końca, po zielonym trawniku aż do wielkich, rozdętych bań zieleni będących drzewami, i ku niebu, z którego słońce łało się falami żaru niby krystaliczną lawą, co ogarniała cię, bo pierzchło już, pierzchło na dobre, ostatnie tchnienie wiosny; i piękna dziewczyna o obfitych piersiach rozsadzających perkal, o twarzy jak brzoskwinia z kremem i maleńkich, rosistych kropelkach potu u skraju płowej czupryny zniknęła także, i odtąd wszystko miało być tylko kośćmi i chrząstkami, twarzą jędry podobną do zardzewiałego sierpa, zielonym osadem na wyschniętej kałuży, wokoło której odsłonięta ziemia pęka i łuszczy się jak szary strup.

Było dla mnie źródłem ustawicznego zdumienia to, że nogi niosą mnie tak dobrze po białym betonie podjazdu i że choć ta wędrówka po nim, za drzewa, zdawała się nie mieć końca, przecie je wreszcie minąłem i szedłem ulicą, jakby unoszony potokiem krystalicznej lawy. Przypatrywałem się z największą ciekawością napotykanym twarzom, ale nie znajdowałem w nich nic pięknego ani godnego uwagi i nie byłem pewien, czy są rzeczywiste. Bo trzeba wielkiego wysiłku, aby uwierzyć w ich realność, a na to znowu musi się wierzyć w swoją własną, lecz aby w nią uwierzyć, trzeba uwierzyć w realność ich, a żeby w nią uwierzyć, trzeba wierzyć w swoją – raz-dwa, raz-dwa, raz; dwa – jak maszerujące stopy. Ale jeżeli nie ma się stóp, którymi można maszerować? Albo jeżeli są drewniane? Jednakże spojrzałem na nie i zobaczyłem, że maszerują, raz-dwa, raz-dwa.

Maszerowały tak długo. Ale na końcu nieskończoności doprowadziły mnie do drzwi. Drzwi otworzyły się i oto na tle chłodnego, cieniście białego pokoju, w bladoniebieskiej, świeżej, płóciennej sukience, z obnażonymi, długimi, białymi, drobnymi ramionami, które zwisały

na bladoniebieski materiał, stała Anna Stanton. Wiedziałem, że to ona, choć nie spojrzełem jej w twarz. Spoglądałem w inne twarze – we wszystkie, jakie napotykałem – patrzyłem w nie z największą otwartością i zaciekawieniem. Ale w tej chwili nie spojrzełem w jej twarz.

A potem popatrzyłem na nią. Spotkała mój wzrok z zupełnym spokojem. Nie powiedziała nic. I nie musiała mówić. Bo patrząc na mnie, z wolna kiwnęła głową.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po odwiedzinach u Anny Stanton owego rana pod koniec maja wyjechałem z miasta na pewien czas, na jakieś osiem dni. Z mieszkania Anny poszedłem wtedy do banku, podjąłem trochę pieniędzy, wyprowadziłem wóz z garażu, spakowałem walizkę i wyruszyłem w drogę. Wyruszyłem długą, białą jak kość szosą, prostą jak sznurek, gładką, lśniącą i migotliwą w upale i dźwięczącą pod oponami jak napięty nerw. Robiłem siedemdziesiąt pięć mil na godzinę, ale jakoś nie mogłem dopędzić owej kałuży, która zdawała się stać na szosie pod samym horyzontem. A później, po jakimś czasie, poraziło mnie w oczy słońce, bo jechałem na Zachód. Opuściłem więc daszek przeciwsłoneczny, zmrużyłem oczy i dałem pełny gaz. I wciąż jechałem na Zachód. Bo właśnie na Zachód zamierzamy wszyscy kiedyś się udać. Tam bowiem zmierzasz, gdy ziemia się wyjałowi i porasta sosnami. Tam zmierzasz, kiedy dostajesz list: „Uciekaj, wszystko się wydało”. Zmierzasz tam, gdy spojrzawszy na ostrze noża trzymanego w rękę, zobaczysz na nim krew. Zmierzasz tam, kiedy ci mówią, że jesteś banieczką na fali imperium. Zmierzasz, gdy słyszysz, że w tamtejszych górach jest złoto. Zmierzasz tam, aby rosnąć wraz z krajem. Zmierzasz, aby tam spędzić starość. Albo po prostu udajesz się tam, a nie gdzie indziej.

I tam też ja się udałem.

Następnego dnia byłem w Teksasie. Jechałem przez tę jego część, w której zamieszkują płaskostopi śledziennicy, baptystowscy zjadacze sucharów noszący laski z kolcem. A potem jechałem przez tę część, gdzie zamieszkują krzywonodzy, chodzący na wysokich obcasach, zbrojni w

rewolwery, zabijający ciemnoskórych, zaprawieni do siodła synowie prerii, którzy w sobotnie wieczory tłoczą się w drugstore'ach, a potem idą za róg obejrzeć trzecią serię *Zemsty kowboja* z Gene'em Autrym w roli Boraksa Pete'a. Ale nad jedną i drugą częścią niebo było za dnia jak rozpalony mosiądz, a nocą jak czarny aksamit, człowiekowi zaś wystarczała do życia jedynie coca-cola. Następnie jechałem przez Nowy Meksyk, który jest krajem całkowitej, przepysznej pustki, gdzie napotykasz małą białą stację benzynową, rzuconą na piasek obok szlaku niczym zbieła krowia czaszka, a dalej na północy waleczne niedobitki bohaterów bitwy o Montmartre, przybrane na swym ostatnim biwaku w sandały *huarache* i kute srebro, usiłujące nawiązać na rogach ulic rozmowy z Indianami Hopi. A potem Arizona, która jest jednym ogromem i powolnym, nie dowierającym spojrzeniem owiec, dopóki nie dojedziesz do pustyni Mohave. Przejeżdżasz nocą przez Mohave i nawet w nocy oddech drapie cię w gardle, jak gdybyś był połykaczem mieczy, który przez pomyłkę łyknął piłę do metalu, a w ciemnościach garbate skały i wyniosłe kaktusy mającą niby kształty dręczącego, freudowskiego koszmaru.

A potem Kalifornia.

A potem Long Beach, które jest kwintesencją Kalifornii. Wiem to, bo poza Long Beach nigdy nie oglądałem Kalifornii, wobec czego nie rozpraszają mojej uwagi żadne konkurencyjne możliwości. Byłem w Long Beach przez trzydzieści sześć godzin i cały ten czas spędziłem w pokoju hotelowym, poza czterdziestoma minutami w salonie fryzjerskim obok hotelowego hallu.

Rano nawaliła mi opona, więc do Long Beach dotarłem dopiero pod wieczór. Napiliśmy się mrożonego mleka, kupiłem butelkę whisky i poszedłem do swego pokoju. Nie miałem w ustach ani kropli alkoholu przez całą drogę. Nie chciało mi się popijać. Nie chciałem niczego poza szumem silnika i kołysaniem wozu, a to miałem. Ale teraz wiedziałem,

że jeżeli nie napiję się whisky, to gdy tylko przymknę oczy, by zasnąć, cały ten rozpalony, falujący kontynent runie na mnie z ciemności. Napiłem się więc trochę, wziąłem kąpiel, a potem położyłem się na łóżku, zgasilem światło i patrzyłem na reklamowy neon zapalający się i gasnący naprzeciwko w takt uderzeń mojego serca, i popijałem z butelki, którą między jednym łykiem a drugim stawiałem na podłodze przy łóżku.

Wyspałem się po tym dobrze. Obudziłem się nazajutrz dopiero około południa. Następnie kazałem sobie przynieść śniadanie i plik gazet, bo to była niedziela. Przeczytałem gazety, z których wynikało, że Kalifornia jest takim samym miejscem jak każde inne, czy też chce myśleć o sobie to samo co inni, a potem słuchałem radia, dopóki reklamowy neon nie zaczął znowu rozbłyskać i gasnąć w takt uderzeń mojego serca, i wtedy zamówiłem kolację, zjadłem ją i położyłem się spać.

Następnego rana ruszyłem z powrotem.

Jechałem z powrotem i nie pamiętałem już tego, co pamiętałem, jadąc w tę stronę.

Na przykład. Ale nie mogę wam podać przykładu. Bo to jest nie tyle jakiś poszczególny przykład czy poszczególnie zdarzenie, które zapamiętałem jako ważne, lecz raczej samo przepływanie, sama faktura zdarzeń, sens bowiem nigdy nie tkwi w zdarzeniu, lecz ruchu poprzez zdarzenia. Inaczej moglibyśmy wyodrębnić jakiś moment zdarzenia i powiedzieć, że jest on samym zdarzeniem. I jego sensem. Ale tego zrobić nie możemy. Bo ważny jest ruch. A ja byłem w ruchu. Byłem w ruchu, zdążając na Zachód z szybkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę, poprzez migający wokół mnie przepyszny krajobraz i heroiczne dzieje, a potem wracałem poprzez czas w moje wspomnienia. Powiadają, że człowiek tonący przeżywa w ostatniej chwili całe swoje życie. No cóż, ja nie tonąłem w wodzie, ale tonąłem w Zachodzie. Tonąłem w Zachodzie poprzez dnie z rozpalonego mosiądzu i noce z czarnego aksamitu. Trzeba

mi było siedemdziesięciu ośmiu godzin, żeby utonąć. Żeby moje ciało opadło na samo dno Zachodu i legło w nieruchomym mule Historii, nagie na hotelowym łóżku w Long Beach w Kalifornii.

W takt szumu i kołysania auta przeszłość przewijała mi się przez głowę jak film. Było to coś w rodzaju pokazu rodzinnego filmu, takiego, jaki zalecają ci przechowywać reklamy, żebyś miał pamiątkę owego dnia, kiedy Susie zaczęła raczkować albo Johnny poszedł do przedszkola, albo kiedy wybrałeś się w góry lub urządziłeś piknik na starej farmie rodzinnej, albo zostałeś szefem działu sprzedaży i kupiłeś swego pierwszego buicka. Ilustracja na ogłoszeniu niezmiennie ukazuje godnego, siwowłosego, dobrotliwego starszego pana, takiego, jakich znajdujesz na reklamach whisky (bądź siwowłosą, dobrotliwą, sympatycznie wyglądającą starą babkę), oglądającego film rodzinny i łagodnie marzącego o minionych latach. Cóż, ja nie byłem siwowłosa ani godny, ani dobrotliwy, ani sympatycznie wyglądający, lecz także oglądałem swój film rodzinny i łagodnie marzyłem o minionych latach. Dlatego też, jeżeli macie jakieś rodzinne filmy, doradzam wam usilnie, żebyście je spalili i ochrztili się do nowego życia.

Marzyłem łagodnie o minionych latach. I oto krępy mężczyzna w okularach i czarnej marynarce pochylał się nade mną, kiedy siedziałem z kolorowymi kredkami na dywanie przed kominkiem, podawał mi cukierek i mówił: „Tylko raz ugryź, bo kolacja już prawie gotowa”. I kobieta o jasnych włosach, niebieskich oczach i zgłodniałych policzkach też pochylała się nade mną, całowała mnie na dobranoc i po zgaszeniu światła pozostawiała w ciemnościach swój słodki zapach. I sędzia Irwin pochylał się nade mną w szarym zmierzchu, mówiąc: „Powinieneś być bardziej poprowadzić lufą tę kaczkę, Jack. Kaczkę trzeba prowadzić, synu”. I hrabia Covelli siedział wyprostowany w kosztownym fotelu, w długim, białym pokoju, i uśmiechał się pod przystrzyżonym czarnym

wąsikiem, i w jednej ręce – drobnej, silnej ręce, od której uścisku krzywili się ludzie – trzymał szklanę, a drugą gładził wielkiego kota, który mu siedział na kolanach. I był też Młody Dyrektor z włosami przylizanymi na krągłej czaszce gładko jak polewa. I Adam Stanton wypływał ze mną daleko jolką, jej białe żagle zwiślały luźno w bezwietrznym powietrzu, a morze było jak gorące szkło i słońce płonęło na zachodnim horyzoncie jak stodoła. I zawsze była Anna Stanton.

Małe dziewczynki noszą białe sukienki z kloszowymi spódniczkami, które ukazują ich zabawne, drobne kolana, mają okrągłonose, czarne, lakierowane pantofelki z paskiem zapinanym na jeden guzik, ich białe pończoszki trzymają się przylepione mydłem, a włosy zwisają na plecach warkoczem przewiązanym błękitną wstążką. Tak wyglądała Anna Stanton i była niedziela, i szła do kościoła, aby tam siedzieć cicho jak myszka i w zamyśleniu dotykać językiem miejsca, z którego właśnie wypadł jej ząb. I małe dziewczynki siedzą na poduszkach rzuconych na podłogę, opierają w zamyśleniu policzki o kolano kochanego tatusia, którego ręka igra z jedwabistymi lokami, a głos odczytuje piękne słowa. Taka była Anna Stanton. I małe dziewczynki są lękliwe i pierwszego dnia wiosny sprawdzają palcem stopy przybrzeżne fale, a kiedy fala chluśnie zniecka i obryzga im uda kłującym zimnem, piszczą i podskakują na swoich cienkich, drobnych nóżkach niczym na szczudłach. Taka była Anna Stanton. I małe dziewczynki mają czubek nosa usmolony sadzą, gdy przypiekają parówki nad ogniskiem, ty zaś – ponieważ jesteś już dużym chłopcem i nie umażesz sobie nosa sadzą – pokazujesz je palcem i podśpiewujesz: „Morusek, Morusek, co ma brudny nos!” A potem pewnego dnia, kiedy tak podśpiewujesz, dziewczynka nie odcina ci się tak jak zawsze dawniej, ale zwraca na ciebie swe duże oczy spoglądające z chudej, drobnej, gładkiej twarzyczki i wargi jej drgają przez chwilę, tak iż myślisz, że się rozpląca, choć jest już na to za duża, i kiedy jej oczy

wpatrują się w ciebie, uśmiech zamiera ci na twarzy i odwracasz się czym prędzej, i udajesz, że dokładasz dREW do ogniska. Taka była Anna Stanton.

Wszystkie pogodne dni nad wodą, z przemykającymi wysoko w górze mewami, były Anną Stanton. Ale ja tego nie wiedziałem. I wszystkie dni niepogodne, kiedy okapy dachów ociekały wodą, kiedy szkwał dął od morza, a na kominie palił się ogień, też były Anną Stanton. Ale ja nie wiedziałem także tego. Później zaś przyszedł taki czas, kiedy noce były Anną Stanton. Ale to już wiedziałem.

Zacząło się to tego lata, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat, Anna Stanton zaś siedemnaście. Wróciłem z uniwersytetu na wakacje i byłem dorosłym, obytym w świecie mężczyzną. Przyjechałem z uniwersytetu późnym popołudniem, popływałem trochę, zjadłem kolację i pogałem do domu Stantonów, żeby zobaczyć się z Adamem. Ujrzałem go siedzącego na werandzie z książką (pamiętam, że to był Gibbon) w powoli zapadającym zmierzchu. I zobaczyłem Annę. Siedziałem z Adamem na bujanej kanapce, kiedy stanęła w drzwiach domu. Spojrzałem na nią i poczułem, że minęło tysiąc lat, odkąd widziałem ją po raz ostatni na Boże Narodzenie, kiedy wróciła na święta do Landing z pensji panny Pound. Teraz już z całą pewnością nie była małą dziewczynką noszącą czarne lakierowane pantofelki na płaskich obcasach, z okrągłymi noskami i paskiem zapinanym na jeden guzik, w białych pończoszках przylepionych mydłem. Miała na sobie białą płócienną sukienkę, skrojoną bardzo prosto, i ta prostota kroju i sztywność płótna tylko podkreślała przez jakiś drażniący paradoks wszystkie wypukłości i pulchności zasłonięte przez materiał. Włosy miała upięte w węzeł na karku i przewiązane wokoło głowy wąską białą wstążką, i uśmiechnęła się do mnie uśmiechem, który znałem przez całe życie, ale który był czymś zupełnie nowym, i powiedziała: „Jak się masz, Jack”, kiedy trzymałem jej mocną, wąską dłoń w mojej, wiedząc, że oto już przyszło lato.



Przyszło istotnie. I było niepodobne do wszystkich poprzednich i wszystkich tych, które miały nadejść. W ciągu dnia wiele przebywałem z Adamem, jak zawsze, i Anna spędzała sporo czasu przy nas, bo tak bywało przedtem, gdyż była z Adamem bardzo blisko. Tego lata grywaliśmy z Adamem w tenisa wczesnym rankiem, nim słońce podeszło wyżej i zaczęło przypiekać, a Anna też szła z nami na kort, siadała w cętkowanym cieniu drzew mimozowych i mirtów, przypatrywała się, jak Adam wybija ze mnie siódme poty, jak zwykle, i śmiała się śmiechem podobnym do śpiewu ptaków i szmeru górskich strumieni, kiedy nogi zaplątały mi się w moją własną raketę. Czasem sama też mi dawała niezłą szkołę, bo grała bardzo dobrze, a ja bardzo źle. Była rzeczywiście doskonała jak na tak wątłą dziewczynę i miała masę siły w swych drobnych, krągłych ramionach, które migwały w porannym słońcu niby skrzydła. Była też szybka w nogach i jej spódniczka wirowała jak u tancerki, i łyślały jej białe tenisówki. Ale z owych poranków zapamiętałem ją głównie po drugiej stronie kortu, wspiętą na palce do serwowania, w chwili kiedy rakietą znalazła się za jej głową o włosach przewiązanych wstążką, gdy zamach ramienia podnosił prawą pierś, lewa ręka, która właśnie wyrzuciła piłkę, zatrzymywała się w górze, jak gdyby chwytając coś z powietrza, twarz była wzniesiona z powagą i napięciem ku jaskrawemu słońcu i szerokiemu niebu, a idealnie krągła, biała piłeczka zawisała na chwilę wysoko niczym wirujący glob pośród światłości. Cóż, jest to poza klasyczna i szkoda, że Grecy nie grali w tenisa, bo gdyby grali, uwieczniliby Annę Stanton na greckiej wazie. Chociaż po namyśle sędzę, że pewnie by tego nie zrobili. Jest to pozycja mimo całej swojej harmonii zbyt zwiewna, zbyt wspięta na palce, zbyt wysiłona. Jest to moment bezpośrednio poprzedzający uderzenie, wybuch, a Grecy nie uwieczniali takich momentów na wazach. Tak więc ta chwila nie jest utrwalona na wazie w muzeum, lecz w mojej głowie, gdzie nikt prócz mnie nie może jej

oglądać. Albowiem był to moment poprzedzający wybuch, który potem istotnie następował. Rakieta uderzała z brzękiem strun i biała piłka waliła wprost na mnie, ja najczęściej nie trafiałem w nią i już był koniec gema i seta, i wszyscy wracaliśmy do domu w nieruchomym upale, bo rosa już znikła z trawy, a poranny powiew ustał.

Ale były też zawsze popołudnia. Po południu szliśmy popływać albo żeglować, a pływać później – całą trójką, a czasem z innymi chłopcami i dziewczynami, których rodzice mieszkali w Alei pod Landing albo którzy bawili tam w odwiedzinach. Później, po obiedzie, zbieraliśmy się znowu i siadaliśmy w cieniu na werandzie jej albo mojego domu bądź szliśmy do kina lub pływać przy księżycu. Ale któregoś wieczora, gdy do nich zaszedłem, Adama nie było – musiał odwieźć dokądś ojca – zaproponowałem Annie, żebyśmy pojechali do Landing, do kina. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się – miałem otwarty wóz, bo matka wyjechała gdzieś z całą paczką swym dużym autem – i przyglądaliśmy się księżycowi nad zatoką, za cyplem Hardin. Światło księżycza kładło się na lekko zmarszczoną wodę niby pasmo jaskrawobiałego, zimnego ognia. Spodziewałeś się ujrzeć, jak ów biały ogień zacznie pożerać cały ocean niczym pożoga szerząca się w łanie bożydrzewu. Jednakże leżał tam, migocąc i polśniewając szerokim, nerwowym pasem, sięgającym aż po jasną smugę horyzontu.

Siedzieliśmy w samochodzie, dyskutując o filmie, któryśmy widzieli, i patrząc na to pasmo światła. A potem rozmowa ucichła. Anna zsunęła się nieco na siedzeniu i położyła głowę na wierzchu oparcia, tak że już nie patrzyła w stronę horyzontu, ale w niebo – gdyż składany dach auta był opuszczony – i światło księżycza oblewało jej twarz, nadając jej gładkość marmuru. Ja także zsunąłem się trochę i patrzyłem w niebo, a światło księżycza oblewało moją twarz taką, jaka była. Myślałem o tym, że już zaraz, za minutę, pochylę się i obejmę Annę. Spojrzałem na nią

ukradkiem z boku i zauważyłem, jak marmurowo gładka jest jej twarz w świetle księżyca. I jak jej ręce odwrócone wnętrzem dłoni do góry leżą na kolanach z palcami lekko przygiętymi, rzekłbyś, w oczekiwaniu na przyjęcie podarunku. Powinno było być całkiem łatwo pochylić się, wziąć ją za rękę, ruszyć sprawę z miejsca i zobaczyć, co się da dziać. Myślałem bowiem takimi właśnie terminami, zwietrzałym, bezosobowym językiem studenta, który ma się za stuprocentowego mężczyznę.

Jednakże nie pochyliłem się ku niej. Rzekłbyś, że ten kawałek skórzanego obicia na siedzeniu samochodu, dzielący mnie od miejsca, gdzie leżała z głową odchyloną do tyłu, z rękami na kolanach i światłem księżyca na twarzy, liczy z tysiąc mil. Nie wiem, dlaczego nie pochyliłem się ku niej. Zapewniałem sam siebie, że nie jestem nieśmiały, że się nie boję, mówiłem sobie: Przecież, to, psiakrew, smarkata, na co u diabła czekam, najwyżej się rozzłości, no to wtedy przestanę. Do licha – mówiłem sobie – wcale się nie rozzłości, przecież wie, co się szykuje, wie, że nie siedzi się z chłopcami w zaparkowanych autach po to, żeby grać w szachy przy księżycu, przecież na pewno już nieraz ktoś ją obrabiał, ktoś z pewnością wygrywał już gamy na jej fortepianie. Przez chwilę bawiłem się tą myślą, a potem nagle podnieciło mnie to i zgniewało zarazem. Wyprostowałem się raptownie, czując jakieś niespodziewane wzburzenie w piersiach.

– Anno – szepnąłem – Anno... – i nie wiedziałem, co dalej powiedzieć.

Obróciła ku mnie twarz, nie unosząc głowy z oparcia, tylko przekraczając ją na skórzanej poduszce. Przyłożyła palec do warg i powiedziała: „Tsss! Tsss!” Potem odjęła palec od ust i uśmiechnęła się bezpośrednio i prosto nadowym tysiącem mil dzielącego nas skórzanego obicia.

Opadłem z powrotem. Leżeliśmy tak długo, przedzieleni tą przestrzenią, wpatrując się w nasiąknięte księżycem niebo, słysząc nikły szept wody liżącej przybrzeżne kamyki wzdłuż cypla. Im dłużej tak leżeliśmy, tym większe wydawało się niebo. Po długiej chwili zerknąłem

znowu ukradkiem na Annę. Oczy miała zamknięte i kiedy pomyślałem, że nie patrzy wraz ze mną w to rozległe niebo, poczułem się nagle samotny i opuszczony. Ale otworzyła oczy – podpatrywałem ją i zaraz to zauważyłem – i znowu spojrzała w niebo. Leżałem tam, patrzyłem w górę i nie myślałem o niczym na świecie.

W owym czasie kursował pociąg, który mijał przejazd tuż pod Burden's Landing o jedenastej czterdzieści pięć w nocy. Zawsze gwizdał przed tym przejazdem. Zagwizdał i owej nocy i wiedziałem, że jest jedenasta czterdzieści pięć. I że czas już wracać. Wyprostowałem się więc na siedzeniu, nacisnąłem starter, zakręciłem wozem i ruszyłem ku domowi. Nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa i nie odezwaliśmy się ani słowem, dopókiśmy nie zatrzymali się przed domem Stantonów. Wtedy Anna w mgnieniu oka wysliznęła się z auta, przystanęła na chwilę na wysypanym muszelkami podjeździe, powiedziała: „Dobranoc, Jack”, głosem cichym, z ostatnim przebłyskiem tego uśmiechu, który przed dwiema godzinami posłała mi nad tysiącem mil skórzanego obicia, i wbiegła na schodki lekko jak ptak. Wszystko to, zanim w ogóle zdążyłem się połapać.

Wpatrywałem się w czerń drzwi w cieniu werandy (wchodząc, nie zapaliła światła) – i nasłuchiwałem usilnie, jak gdyby czekając na znak. Ale nie było słyhać nic prócz tego nieokreślonego szmeru nocy, który rozchodzi się, nawet gdy nie ma żadnego powiewu, a jest się zbyt daleko od plaży, aby dosłyszeć poszept i plusk trwający tam zawsze, nawet przy najspokojniejszym morzu.

Potem, po kilku minutach, znów zapuściłem silnik i runąłem z posiadłości Stantonów z chrzęstem opon, które musiały bryzgać muszelkami podjazdu jak pianą. Na drodze docisnąłem pedał gazu do samych desek podłogi i dałem porządną szkołę wszystkim tym draniom śpiącym w białych willach. Otwarty tłumik pewnie poderwał ich na

łózkach niczym armata. Ryczałem tak po szosie przez jakieś dziesięć mil, póki nie dojechałem do lasów sosnowych, gdzie nie było już kogo podrywać, oprócz sów czy jakiegoś zabłąkanego, malarycznego osadnika, który mógł leżeć tam w swojej budzie na skraju zalewu jako przynęta dla komarów. Zawróciłem więc i ruszyłem wolno z powrotem, z przepustnicą przymknętą do zera, a wóz unosił mnie z wolna, opartego na skórzanym siedzeniu niczym w łodzi dryfującej z leniwym prądem.

W domu, gdy tylko się położyłem, przypomniałem sobie nagle – nie przypomniałem, zobaczyłem – twarz Anny odchyloną do tyłu, z zamkniętymi oczyma, oblaną księżycem, i przyszedł mi na pamięć ten dzień pikniku, dawno temu – kiedy wypłynęliśmy na zatokę, pod burzowymi chmurami, i Anna leżała na wodzie z twarzą obróconą ku fioletowozielonemu, ciemniejącemu niebu, z oczami zamkniętymi, a w górze, bardzo wysoko, przelatywała biała mewa. Nie myślałem o tym chyba od tamtej pory albo jeżeli nawet myślałem, nie miało to żadnego znaczenia; natomiast teraz, leżąc tam, raptem doznałem uczucia, że jestem na zawrotnej krawędzi niebywałego odkrycia. Pojąłem, że ta dzisiejsza chwila była po prostu przedłużeniem tamtej dawnej z pikniku – że ta dzisiejsza chwila trwała w tamtej przez cały czas, a ja o tym nie wiedziałem i odsunąłem ją od siebie czy odrzuciłem, ale była jak ziarno, które wyrzucasz, by później, kiedy znów idziesz tą samą drogą, ujrzyć wybujałą, okrytą kwieciami roślinę – albo jak mały, bury wałek, który ciskasz do ognia razem z innymi śmieciami, ale to jest dynamit i rozlega się przeraźliwy huk.

Huk przeraźliwy istotnie się rozległ. Poderwałem się na łóżku jak tamte śpiące dranie, kiedy im dałem szkołę tłumikiem. Tylko że to było jeszcze gwałtowniejsze. Siadłem na łóżku, do głębi przepełniony uniesieniem. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się coś podobnego. Zabrakło mi tchu i czułem, iż żyły pęcznieją mi tak, że o mało nie pękną – jak wówczas,

gdy nurkujesz bardzo głęboko i myślisz, że już nigdy nie wypłyniesz na wierzch. Czuję, że jestem na progu poznania rzeczywistej, bezwzględnej prawdy o wszystkim. Jeszcze chwila, a będę ją znał. A potem odzyskałem oddech.

– Jezuu! – powiedziałem na głos. – Jezuu! – Rozpostarłem ramiona jak mogłem najszerzej, jak gdybym chciał objąć całą pustą przestrzeń.

I znowu pomyślałem o tej twarzy na wodzie pod fioletowozielonym, ciemniejącym niebem, z przelatującą w górze białą mewą. Tamto wspomnienie, nawrót tamtego obrazu był nieomal wstrząsem, bo to, co wywołało we mnie ekstazę, samo zagubiło się i poszło w niepamięć pośród owej ekstazy, która wybuchła we wszechświat. Jednakże ujrzałem znowu ten obraz i uniesienie znikło natychmiast, i uczułem ogromny przypływ tkliwości, tkliwości przenikniętej i przeplecionej smutkiem, jak gdyby ta tkliwość była mym ciałem, a smutek jego żyłami i nerwami. Wydaje się to niedorzeczne, ale tak było. To fakt.

A potem pomyślałem zupełnie obiektywnie, jak gdybym obserwował objawy u kogoś całkiem obcego: Jesteś zakochany.

Przez chwilę byłem oszołomiony tą myślą. Ze jestem zakochany. I to wcale nie było tak, jak sobie wyobrażałem. Byłem tym zaskoczony i trochę przestraszony, jak człowiek, który dowiaduje się niespodziewanie, że odziedziczył milion dolarów czekających w banku, aby je podjął, albo też dowiaduje się, że to lekkie klucie w boku jest rakiem i że nosi w sobie ową tajemniczą, apokaliptyczną, pączkującą rzecz, która jest częściąka niego, a jednocześnie nie częściąka, ale wrogiem. Wstałem z łóżka bardzo ostrożnie, poruszając się z lekliwą uwagą, jak gdybym był koszykiem pełnym jajek, po czym podszedłem do okna i wyjrzałem w przesiąkniętą księżycem noc.

Tak więc ów student, który myślał, że jest stuprocentowym mężczyzną i że wszystko już wie, i który tego wieczora spoglądał ponad małeńką

przestrzenią obitych skórą poduszek i snuł zwietrzałe, bezosobowe myśli nieledwie z obowiązku wobec definicji tego, za co sam siebie uważał – tak więc ów student nie sięgnął ręką ponad tamtą maleńką przestrzenią i teraz, w wyniku tego, stał nagi w ciemnym pokoju przed otwartym oknem i wpatrywał się w bezmierną, nasyconą księżycem noc, podczas gdy nieopodal, w mirtowym żywopłocie, jakiś ptak wyrzucał z siebie histeryczny komentarz na temat doskonałego piękna i sprawiedliwości wszechświata.

W taki to sposób i noce też stały się Anną Stanton. Bo owej nocy w aucie Anna Stanton zagrała bardzo dobrze. Była to gra bez słów i bez gestów, ale też nie wymagała słów ani gestów. Anna przekręciła głowę na skórzanym oparciu i położywszy palec na ustach, powiedziała: „Tsss, tsss”, i uśmiechnęła się. I wbiła harpun głębiej niż kiedykolwiek. Queequeg<sup>[4]</sup> wbił go do żywego ciała przez gruby na cztery stopy tłuszcz wieloryba, ale ja w gruncie rzeczy nic nie wiedziałem, dopóki linka nie rozwinęła się, a grot nie targnął w czerwonym mięsie, będącym Mną wewnątrz tego całego tłuszczu, który uważałem za siebie. I który nadal mogłem za siebie uważać.

Anna Stanton była nocami, owszem. I dniami także, ale za dnia nie była pełną substancją, raczej zapachem, destylatem, klimatem, tchnieniem, bez którego reszta byłaby niczym. Często przebywał z nami Adam, a czasem i inni, z książkami, sandwiczami i kocem w sosnowym lesie, na plaży, na korcie tenisowym, na cienistej werandzie przy gramofonie, w łodzi czy w kinie. Ale niekiedy Anna pozwalała książce osunąć się na koc i leżała zapatrzona w wysokie sklepienie i wikłaninę gałęzi sosnowych, a ja zaczynałem ją śledzić, aż wreszcie, po chwili, stawało się tak, jakby Adama wcale nie było. Albo też na werandzie śmiała się i paplała z innymi, podczas gdy grał gramofon, po czym spostrzegalem

[4] Postać z powieści Hermana Melville’a *Moby Dick*.

nagle, że nieruchomieje w zamyśleniu, czasem tylko na chwilę, z oczami utkwionymi w jakiś punkt poza werandą i ogrodem – i znów na tę chwilę stawało się tak, jakby nie było Adama i innych.

Albo też szliśmy w stronę hotelu, przy którym stała nad zatoką wieża do skoków, doskonała, wysoka wieża, bo hotel był ogromnie szykowny i od czasu do czasu urządzano tam popisy albo regaty. Anna szalała tego lata za nurkowaniem. Wychodziła wysoko na wieżę – co dzień wyżej – i stawała tam w słońcu, na samej krawędzi. A potem, gdy podnosiła ręce, zdawało mi się, że coś we mnie pęknie. Wreszcie leciała w dół, pięknym klasycznym skokiem, z rozpostartymi szeroko ramionami, co uwypuklało jej zgrabne piersi – z wygiętymi wąskimi plecami, ze złożonymi wdzięcznie długimi nogami. Leciła tak w dół, w słońcu, i kiedy na nią patrzyłem, zdawało się znowu, że nie ma wokół nikogo innego. Wstrzymywałem oddech, czekając, kiedy to coś we mnie pęknie. A potem wrzynała się w wodę, jej bliźniacze pięty przebijały się przez wieniec drobnych fal i bryzgów piany i znikwały. Adam czasem złościł się piekielnie, że Anna skacze z tak wysoka. „Och, Adamie – mówiła. – Adamie, nic mi nie będzie, a to takie cudowne”. I wchodziła na drabinkę. Na górę i nurka. Na górę i nurka. Wciąż od nowa. Zastanawiałem się, jak wygląda jej twarz w chwili, gdy wpada do wody. Jaki ma wtedy wyraz.

Ale niekiedy w ciągu dnia bywaliśmy zupełnie, dosłownie sami. Nieraz wymykaliśmy się we dwoje do sosnowego lasu i spacerowaliśmy po bezszelestnej podściółce igliwia, trzymając się za ręce. Była tam mała tratwa do nurkowania, z pojedynczą niską trampoliną, zakotwiczona jakieś sto jardów od plaży, w pobliżu mola Stantonów. Czasem podpływaliśmy do tej tratwy, kiedy inni baraszkowali na plaży albo kiedy nie było nikogo, i kładliśmy się płasko na wznak z zamkniętymi oczami, stykając się tylko czubkami palców, w których czułem mrowie, jak gdyby odarto je ze skóry i obnażono nerwy, tak że całe moje jestestwo w nich się skupiało.



Wieczorami bywaliśmy sam na sam dosyć często. Dawniej zawsze przebywałem z Adamem, a Anna snuła się za nami, aż nagle stało się tak, że była Anna i ja, a snuł się za nami Adam albo raczej zostawał w domu i czytał Gibbona lub Tacyty, bo w owym czasie ogromnie się pasjonował Rzymem. Zmiana ta przyszła łatwiej, niż się spodziewałem. Następnego dnia po owym wieczorze w aucie grałem z nimi rano w tenisa, jak zwykle, a po południu poszliśmy razem popływać. Stwierdziłem, że przez cały czas przyglądam się Annie, ale to była jedyna różnica. Nie mogłem się w niej dopatrzeć żadnej odmiany. Zacząłem już powątpiewać, czy coś w ogóle się stało, czy rzeczywiście zabrałem ją poprzedniego dnia do kina. Ale musiałem się z nią zobaczyć tego wieczora.

Poszedłem do ich domu zaraz o zmierzchu. Siedziała na werandzie na bujanej kanapce. Okazało się, że Adam jest na górze i pisze jakiś list, który musi wysłać. Powiedziała, że za chwilę zejdzie. Że to coś dla ich ojca. Nie usiadłem, chociaż mnie poprosiła. Stałem u szczytu schodków, bardzo nieswój, zaraz za siatkowymi drzwiami werandy, starając się wymyślić, co by powiedzieć. A potem wykrztusiłem:

– Chodźmy na molo, pospacerujemy. – I dodałem nieporadnie: – Zanim Adam zejdzie.

Wstała bez słowa, podeszła do mnie, podała mi rękę – to był jej własny odruch, co sprawiło, że w moim układzie nerwowym rozdziwniły się i rozdziwaczały wszystkie dzwonki pożarowe, syreny i sygnały alarmowe – po czym zeszliliśmy razem ze schodów i udaliśmy się ścieżką, przez drogę, w stronę mola. Siedzieliśmy tam długo. Adam zdążyłby napisać przez ten czas z tuzin listów. Ale nic się nie stało na molo; tyle że siedzieliśmy na jego końcu, zwiesiwszy nogi, trzymając się za ręce i patrząc na zatokę. Naprzeciw domu Stantonów, po drugiej stronie drogi, od zatoki, był spory zagajnik mirtów. Kiedy, wracając, doszliśmy do niego, trzymając się za ręce, przystanąłem pod osłoną ciemności, przyciągnąłem Annę do siebie

trochę nieporadnie i gwałtownie, bo musiałem się zebrać na odwagę, aby uczynić to, co planowałem sobie przez całą drogę z mola – i pocałowałem ją. Nie opierała się wcale, stała ze zwieszonymi bezwładnie rękami, ale nie odwzajemniła pocałunku, tylko przyjęła go ulegle jak mała, grzeczna dziewczynka, robiąca to, co jej każą. Po pocałunku spojrzałem Annie w twarz i zobaczyłem, że jej gładkość jest ocieniona skupionym, wewnętrznym wyrazem, takim, jaki widzimy czasem na twarzy dziecka, gdy usiłuje rozstrzygnąć, czy mu smakuje, czy nie, nowe jedzenie, którego właśnie pokosztował. I pomyślałem: „Boże drogi, pewnie jej jeszcze nikt nie całował, choć ma już siedemnaście lat albo prawie” – i omal nie wybuchnąłem śmiechem, taki zabawny był wyraz jej twarzy i taki się czułem szczęśliwy. Pocałowałem ją więc raz jeszcze. Tym razem odwzajemniła mi pocałunek, nieśmiało i niepewnie, ale jednak odwzajemniła.

– Anno – powiedziałem z wezbrany sercem, czując lekki zawrót głowy. – Anno, kocham cię. Szaleję za tobą.

Trzymała mnie kurczowo za marynarkę po obu stronach, tuż pod ramionami, mnąc i obciągając materiał, z głową schyloną i lekko obróconą w bok, przytuloną delikatnie do mnie, jak gdyby prosiła o przebaczenie za jakąś psotę. Nie odpowiedziała na moje słowa, a kiedy spróbowałem unieść jej twarz, przytuliła ją mocniej do mej piersi i silniej zacisnęła w dłoniach materiał marynarki. Stałem więc, gładziłem ją po włosach i wdychałem ich czysty zapach.

A potem, po chwili, która mogła być długa albo krótka, uwolniła się z moich objęć i cofnęła.

– Adam... – powiedziała. – On czeka... musimy iść.

Poszedłem za nią przez drogę do bramy wjazdowej Stantonów. Kilka kroków dalej, na podjeździe, zawahała się i zaczęła, bym się z nią zrównał. Potem wzięła mnie za rękę i tak trzymając się, poszliśmy dalej

ku werandzie, gdzie Adam powinien był siedzieć w ciemnościach.

Siedział tam istotnie, bo dostrzegłem ogieniek papierosa, który rozżarzywszy się nagle, kiedy palący zaciągnął się głęboko, przygasł po chwili.

Trzymając mnie wciąż za rękę, teraz mocniej, jak gdyby powzięła jakąś decyzję, weszła na schodki werandy, otworzyła wolną ręką siatkowe drzwi i pociągnęła mnie za sobą. Przystanęliśmy na chwilę, trzymając się za ręce. Potem powiedziała: „Jak się masz, Adamie” i ja też powiedziałem: „Jak się masz, Adamie”.

– Jak się macie – odrzekł.

Staliśmy nadal, jak gdyby na coś czekając. Potem puściła moją rękę.

– Idę na górę – oznajmiła. – Dobranoc wam.

I odeszła, stąpając po deskach werandy szybko, bezgłośnie na gumowych podeszwach, po czym zniknęła w hallu. Ja stałem wciąż w miejscu. Dopóki Adam nie zapytał:

– Dlaczego nie siadasz, u licha?

Usiadłem więc na drugim końcu bujanej kanapki. Podrzucił mi pudełko papierosów. Wziąłem jednego i zacząłem szperać po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek, ale ich nie znalazłem. Pochylił się ku mnie, potarł zapalną i podał mi ognia. Kiedy zapaliłem papierosa, a płomyk rozżarzył się przed moją twarzą, pomyślałem, że Adam pewno umyślnie przybliżył tak zapalną, aby dojrzeć moją twarz, podczas gdy jego własna była poza bezpośrednim zasięgiem światła. Przez chwilę miałem szaloną chęć cofnąć się i otrzeć usta ręką, by sprawdzić, czy nie została na nich pomadka.

Ale papieros zapalił się, więc odchyliłem głowę, oddalając się od światła, i powiedziałem:

– Dziękuję.

– Proszę bardzo – odrzekł i na tym mniej więcej wyczerpała się

rozmowa tego wieczora. A mieliśmy sobie coś do powiedzenia. On mógł mi zadać pytanie, o którym wiedziałem, że chodzi mu po głowie. Albo ja mogłem na nie odpowiedzieć, choćby nie zostało zadane. Jednakże żaden z nas nie powiedział tego, co było do powiedzenia. Bałem się, że mnie zapyta, bo choć mówiłem sobie, że może iść do diabła, że to nie jego rzecz, to jednak miałem poczucie winy, jak gdybym go z czegoś obrabował. A jednocześnie siedziałem pełen podniecenia, pragnąc, by mnie zapytał, bo chciałem komuś powiedzieć, że Anna jest cudowna i że jestem zakochany. Było to tak, jakby stan zakochania nie mógł osiągnąć całej swojej pełni, dopóki bym komuś nie powiedział: „Słuchaj, jestem zakochany, niech mnie piorun spali, jeżeli nie!” W owej chwili było to konieczne dla jego spełnienia, tak jak później byłoby konieczne gorące, wilgotne zetknięcie się ciał. Siedziałem więc w ciemnościach na kanapce, pochłonięty tym, że jestem zakochany, pragnąc to wypowiedzieć, żeby się dopełniło, nie tęskniąc w owej chwili za Anną, przedmiotem mojej miłości, za Anną, która poszła na górę do swego pokoju. Byłem tak pochłonięty tym, co się ze mną działo, że nawet się nie zastanawiałem, dlaczego poszła na górę. Później doszedłem do wniosku, iż dlatego, że kiedy już objawiła to Adamowi, stając przed nim i trzymając mnie za rękę, chciała go pozostawić sam na sam z tym faktem, pozwolić mu przywyknąć do nowej struktury naszego małego kryształu, naszego małego świata.

Jednakże później, o wiele później, po latach, kiedy nie wydawało się, aby to mogło mieć jeszcze jakieś znaczenie, uznałem, iż może poszła na górę, bo musiała być sama, musiała usiąść przy oknie w nie oświetlonym pokoju i spoglądać w mrok albo położyć się na łóżku, patrzeć w ciemny sufit, przywyknąć do swego nowego „ja”, sprawdzić, czy może oddychać nowym powietrzem, utrzymywać się w nowym żywiole, nurkować i pływać w tej nowej fali uczucia. Może poszła na górę, by zostać sama, pogrzyżyć się w sobie jak dziecko pochłonięte obserwowaniem kokonu,

który rozwiera się stopniowo w ciemności, aby wypuścić piękną ómę – ową ómę zwaną luną, o delikatnych, zielonych i srebrnych barwach, wilgotną jeszcze i zmiętą, ale stopniowo rozprostowującą się w zmierzchu, przybierającą swój kształt, z wolna poruszającą skrzydełkami powietrze, tchnące powiewem tak lekkim, że nie poczułbyś go nawet na gałce oka, gdybyś przysunął je blisko, aby popatrzeć. Więc może poszła do swego pokoju, żeby odkryć, jakie jest to jej nowe „Ja”, bo kiedy ktoś się zakocha, tworzony jest zupełnie od nowa. Osoba, która cię kocha, wybiera cię z ogromnej masy nieukształtowanej gliny, która jest ludzkością, aby coś z ciebie uczynić, a ten biedny kawałek gliny, który jest tobą, pragnie dowiedzieć się, co z niego uczyniono. Lecz jednocześnie ty przez akt kochania stajesz się rzeczywisty, nie jesteś już cząstką tej masy nieukształtowanej gliny, budzi się w tobie tchnienie życia i wtedy wstajesz. Tak więc tworzysz sam siebie, tworząc inną istotę, która jednakże stworzyła cię również i z masy gliny wybrała tę bryłkę – ciebie. Toteż masz dwa „Ja” – to, które sam tworzysz, kochając, i to, które tworzy ukochana istota, kochając ciebie. Im bardziej te dwa „Ja” są oddalone jedno od drugiego, tym mocniej świat zgrzyta i chrzęści na swojej osi. Jeżelibyś jednak kochał i był kochany doskonale, to nie byłoby żadnej różnicy ani żadnego dystansu między tymi dwoma twoimi „Ja”. Zbiegałyby się nienagannie, nakładały na siebie doskonale, jak wówczas, gdy stereoskop dopasowuje bezbłędnie dwa bliźniacze obrazy umieszczone na kartoniku.

Tak czy owak, Anna Stanton, siedemnastolatka, poszła na górę zapewne, aby pozostać sama, bo oto nagle się zakochała. Zakochała się w dość wysokim, trochę chudawym, nieco pochylonym, dwudziestojednoletnim młodzieńcu o kościstej, końskiej twarzy, dużym, odrobinę krzywym, garbatym nosie, ciemnych, niesfornych włosach i ciemnych oczach (nie takich palących i głębokich jak oczy Cassa Masterna, lecz często

zamglonych i mętnych, z rana nabiegłych krwią, rozjaśniających się tylko pod wpływem podniecenia), o dużych rękach, co przebierały i zaciskały się z wolna na kolanach, skubiąc jedna drugą, o wykrzywionych, dużych stopach, którymi z lekka powłóczył – młodzieńcu ani pięknym, ani błyskotliwym, ani pracowitym, ani dobrym, ani łagodnym, ani nawet ambitnym, skłonny do wybryków i chaotyczności, rzuconym pomiędzy melancholię a nieobliczalną gwałtowność, między zimną maź a gorący płomień, między ciekawość a apatię, między pokorę a miłość własną, pomiędzy wczoraj a dziś. Nikt nie miał nigdy wiedzieć, co Annie udało się stworzyć z tej mało obiecującej bryły gliny, wygarniętej z wspólnej ziemi.

Jednak w każdym razie, kochając, tworzyła też na nowo samą siebie i poszła na górę, żeby pozostać w ciemnościach i popróbować dowiedzieć się, czym jest jej nowe „Ja”. Tymczasem zaś na dole siedzieliśmy z Adamem na werandzie, nie mówiąc ani słowa. Tego właśnie wieczora Adam został wyeliminowany ze wszystkich następnych wieczorów, odrzucony jak brudna ścierka.

Wszyscy inni też zostali wyeliminowani, bo nawet w te wieczory, kiedy na werandzie u Stantonów czy u mojej matki zbierała się cała paczka, żeby potańczyć przy gramofonie (niektórzy chłopcy – byli żołnierze, co powrócili z Francji – wymykali się, by pociągnąć z butelki ukrytej gdzieś w rozwidleniu konarów dębu), nawet wtedy wyeliminowaliśmy ich z Anną. Bo organdyna i gabardyna są dosyć cienkimi tkaninami, a jedyną osobą na świecie, z jaką naprawdę tańczyłem, była Anna Stanton, a noce były gorące, ja zaś nie byłem o tyle wyższy od Anny, by nie móc wdychać zapachu jej włosów, podczas gdy nasze urzeczony muzyką ciała odmierzały rytm naszej hipnozy, oddechy dobywały się zgodnym rytmem z piersi, aż w końcu, po pewnym czasie, przechodziłem od dojmującego poczucia ciała do stanu bardzo bliskiego bezcielesności, unoszenia się

lekką jak piórko albo jak pusty balonik uwiązany do ziemi pojedynczą nitką i tylko oczekujący pierwszego poddmuchu.

Albo też wsiadaliśmy do samochodu, wyjeżdżaliśmy z Landing i z otwartym tłumikiem waliliśmy na złamanie karku – czy raczej na takie złamanie karku, jakie było możliwe na ówczesnych drogach i maszynach – daleko za wszystkie zabudowania między sosnami a zalewem, i Anna kładła mi głowę na ramieniu, a jej włosy rozwiane wiatrem oraz witki krzaków smagały mnie po policzkach. Przytulała się do mnie, śmiała się głośno i mówiła: „Och, Jackie, Jackie, jaka to cudowna noc, cudowna noc, cudowna noc, powiedz, że jest cudowna, mój malutki, no powiedz, powiedz!” I musiałem to za nią powtarzać jak wyuczoną lekcję. Albo nuciła coś czy śpiewała jakąś piosenkę z płyt gramofonowych – Boże mój, które to były wtedy? Już nie pamiętam. Bądź też przestawała nucić i siedziała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, dopóki nie zatrzymałem wozu w jakimś miejscu, gdzie powiew od zatoki był dość silny, aby odpędzić komary. (W te noce, kiedy nie wiało, po prostu nie przystawaliśmy nigdzie.). Czasem też, gdy zatrzymałem wóz, nie otwierała oczu, dopóki nie pochyliłem się, aby ją pocałować, i nieraz musiałem całować ją poty, póki nie zabrakło jej tchu. Albo wyczekiwała do ostatniego momentu przed pocałunkiem i wtedy raptem otwierała szeroko oczy, krzyczała: „Bu!” i wybuchała śmiechem. Potem zaś, kiedy usiłowałem ją pochwycić i pocałować, stawiała się wszystka kolanami, kanciastymi łokciami, krótkimi wybuchami śmiechu, chichotem, węzowymi unikami i strategią godną mistrza dżiu-dżitsu. Było czymś niezwykłym, jak wtedy wąskie siedzenie auta okazywało się nie mniej przestronne dla różnych manewrów i zwodów niż klasyczne bitewne równiny flandryjskie i jak istota, która może leżeć w czyichś objęciach gibka jak wierzba, miękka jak jedwab i pieszczotliwa jak kotek, potrafiła nagle przemienić się w tę zastraszającą liczbę zmyślnych, spiczastych łokci i przebiegłych kolan. A za łokciami,

kolanami i ostrymi palcami oczy błyszcząły w świetle księżycy lub gwiazd poprzez rozpuszczone włosy, z rozchylnych warg dobywały się zaś krótkie wybuchy zdyszanego śmiechu między skandowanymi słowami: „Nie-ko-cham-małego-Jackiego – nikt nie kocha mojego ptaszka – nie ko-cham małego Jackiego – nikt nie ko-cha mojego ptaszka...” Wreszcie, śmiejąc się, opadała wyczerpana w moje ramiona, pozwalając się pocałować, wzdychała i szeptała: „Kocham mojego Jackiego”, pocierała lekko palcem mą twarz i powtarzała: „Kocham małego Jackiego – nawet z tym jego paskudnym nosem!” I pociągała mnie zań porządnie. Ja zaś rozcierałem tę garbatą, krzywą chrząstkową potworność, udając wielki ból, ale zarazem dumny jak paw, po prostu z tego, że jej dotknęła palcami. Nigdy nie było wiadomo, czy nastąpi drugi pocałunek, czy też ten wściekły młynek łokci i kolan. I nie miało to większego znaczenia, bo zawsze kończyło się tak samo: opierała się o mnie, kładła mi głowę na ramieniu i patrzyła w niebo. Między pocałunkami albo nie mówiliśmy nic, albo recytowałem jej wiersze – bo w owym czasie czytałem ich trochę i zdawało mi się, że je lubię – albo rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić po ślubie. Nigdy jej się nie oświadczyłem. Po prostu uznaliśmy, że się pobierzemy i będziemy zawsze razem, w świecie składającym się ze słonecznych plaż i oświetlonych księżycem lasów nadmorskich, z wypraw do Europy (gdzie żadne z nas nigdy nie było), domu w dębowym gaju, skórzanych poduszek w samochodzie i gdzieś gromadki rozkosznych dzieci, które pozostawały nader mgliste w mojej wyobraźni, a za to bardzo żywe w jej, i których imiona, w chwilach, gdy nam zabrakło innego tematu do rozmowy, dobieraliśmy bardzo uroczyście, po wielkich dyskusjach. Każde z tych dzieci miało otrzymać na drugie imię Stanton. I jeden z chłopców miał być ochrzczony Joel Stanton przez pamięć na gubernatora. Oczywiście najstarszy byłby Jack, po mnie.

– Bo ty jesteś najstarszą rzeczą na świecie, Jackie – mówiła Anna. –



Najstarszy będzie się nazywał Jackie po tobie, bo jesteś najstarszą rzeczą na świecie, jesteś starszy niż ocean, niż niebo, niż ziemia, niż drzewa, i ja cię zawsze kochałam i zawsze pociągałam cię za nos, bo jesteś stary, stareńki paskudnik, Jackie, mój malutki, mój ptaszek, i ja cię kocham. – Po czym pociągała mnie za nos.

Raz tylko, pod koniec lata, zapytała, jak będę zarabiał na życie. Leżąc spokojnie, oparta o moje ramię, po długim milczeniu spytała nagle:

– Jack, a co ty będziesz robił?

Nie wiedziałem, o czym u licha mówi. Więc odrzekłem:

– Co będę robił? A dmuchnę ci w ucho. – I tak też uczyniłem. – Co będziesz robił? Z czego będziemy żyli? – zapytała ponownie.

– Z tego, że będę ci dmuchał w ucho – odparłem. Nie uśmiechnęła się.

– Ja mówię poważnie – rzekła.

Nie odpowiadałem przez chwilę. W końcu powiedziałem:

– Myślałem o tym, żeby studiować prawo. Milczała jakiś czas, po czym rzekła:

– Wymyśliłeś to sobie w tej chwili. Tak sobie powiedziałeś.

Istotnie tak sobie powiedziałem. Prawdę mówiąc, sprawa mojej przyszłości była tematem, nad którym nigdy nie chciało mi się zastanawiać. Po prostu się tym nie przejmowałem. Myślałem sobie, że wezmę posadę, byle jaką posadę, będę pracował, pobierał pensję, wydawał ją, wracał do pracy w poniedziałek rano i na tym koniec. Nie miałem żadnych aspiracji. Ale nie mogłem powiedzieć Annie po prostu: „A, wezmę sobie jakąś posadę”. Musiałem sprawić na niej wrażenie, że jestem dalekowzroczny, rozsądny i przewidujący.

Udało mi się to doprawdy diabelnie.

Przejrzała mnie na wylot, jak szybę, i nie pozostawało mi nic innego, jak tylko odpowiedzieć, że się całkowicie myli, że naprawdę mam zamiar studiować prawo i cóż jest złego w studiowaniu prawa, jeśli łaska?

– Wymyśliłeś to w tej chwili – powtórzyła z uporem.

– Psiakrew, przecież nie dam ci umrzeć z głodu – powiedziałem. – Będziesz miała wszystko, czego ci potrzeba. Jeżeli musisz mieć duży dom, masę sukienek, przyjęcia, no to ja...

Ale nie zdołałem skończyć.

– Wiesz doskonale, Jack – przerwała mi – że nie muszę mieć niczego podobnego. Jesteś w tej chwili paskudny. Próbujesz zrzucić winę na mnie. Ja nie potrzebuję takich rzeczy. Wiesz, że nie. Wiesz, że cię kocham, że mogę mieszkać w chałupie i jeść fasolę, jeżeli będziesz musiał tak żyć dlatego, że to, co chcesz robić, nie daje pieniędzy. Natomiast jeżeli nie chcesz nic robić... nawet jeżeli weźmiesz jakąś posadę i będziesz miał masę pieniędzy... ach, wiesz, o co mi idzie... wiesz, jacy są niektórzy ludzie.

Wyprostowała się na siedzeniu, a jej oczy, chociaż widoczne tylko w świetle gwiazd, zabłysły wspaniałym, siedemnastoletnim gniewem. A potem skierowała na mnie ich błysk i powiedziała z powagą, która czyniła z niej zabawną mieszaninę naprawdę dorosłej kobiety i małej dziewczynki odgrywającej jakąś rolę, być może w za dużych, kłapiących, matczyńskich pantoflach na wysokich obcasach i w boa z piór na szyi – powiedziała z powagą, która czyniła ją zarazem starszą i młodszą, niż była naprawdę:

– Wiesz, że cię kocham, Jack, i wierzę w ciebie, i ty nie będziesz taki jak ci ludzie.

Roześmiałem się, bo to było bardzo zabawne, i chciałem ją pocałować, ale nie pozwoliła mi i nagle stała się wszystka tymi kanciastymi łokciami i kolanami rozmachanymi nie na żarty, niczym żniwiarka, a ja stałem się pokosem. Nie mogłem jej udobruchać. Nie zdołałem nawet tknąć jej palcem. Kazała mi się odwieźć do domu i nie chciała mnie pocałować na dobranoc.

Więcej już nie było o tym mowy, poza jednym jedynym zdaniem.

Następnego dnia, kiedy oboje leżeliśmy na tratwie, spytała nagle po długim, rozprężonym od słońca milczeniu:

– Pamiętasz, co było wczoraj? Odpowiedziałem, że tak.

– No, więc ja mówiłam poważnie. Naprawdę – rzekła. Potem wysunęła swoją dłoń z mojej, ześliznęła się z tratwy w wodę i odpłynęła, żebym nie mógł jej odpowiedzieć.

Więcej już nie słyszałem o tej sprawie. I więcej o niej nie myślałem. Anna była taka sama jak przedtem i znowu się pogрузyłem w fali lata, w owym przypiływie uczuć, który unosił nas z jakąś zawrotną łatwością, niby silny, potężny, głęboki prąd, niespieszny, ale mający za sobą niepowstrzymane masy wody, ponad którym dnie i noce mijały jak ulotne światła i cienie. Dawaliśmy mu się unosić, ale nie w jakimś niemiłym, ujemnym sensie, jak nasiąknięta wodą stara łódka unosząca się na sadzawce albo jak kawałek mydła w zmętniałej wodzie, zanim się wyjmie zatyckę z wanny. Nie, to było wspaniałe, świadome poddawanie się prądowi, współdziałanie z nurtem i kierowanie nim, i wcale nie uległość, ale afirmacja i tak dalej, coś podobnego do uległości mistyka wobec Boga, która jest zarówno uleganiem Bogu, jak i tworzeniem Boga, bo jeżeli mistik kocha Boga, to pragnie istnienia Boga. Otóż w samym moim uleganiu tworzyłem i opanowywałem ów wielki prąd, który mnie unosił, nad którym przelatywały dnie i noce, w którym nie musiałem nawet ruszyć ręką, by płynąć prędzej, bo ten prąd znał swoją szybkość i swój czas i porywał mnie z sobą.

Ani razu nie starałem się czegoś przyśpieszyć tego lata. Ani na kanapce na werandzie, ani w sosnowych lasach, ani wieczorami na tratwie, kiedy pływaliśmy po zatoce, ani w samochodzie. Wszystko, co się działo, odbywało się tak prosto, tak naturalnie i stopniowo jak nadejście pór roku, jak rozwijanie się listka rośliny albo jak przebudzenie kota. I było coś wspaniałego w tym, że nic się nie przynaglało, że nie

śpieszyłem się do gorących uścisków i tych nieporadnych szamotań ani do wścibskich spojrzeń kolegów w dormitorium po powrocie z wakacji; była jakaś nowa zmysłowość w czekaniu, aby potężny prąd poniósł nas do celu, tam, gdzie mieliśmy w końcu dopłynąć. Anna była młoda – wtedy wydawała mi się młodsza niż później, we wspomnieniu, bo tego lata czułem się bardzo stary i zblazowany – była nieśmiała, wrażliwa i wstydliva, ale ta wstydlivość nie polegała na piskach, wrzaskach, kurzym skrzeczeniu, przekomarzaniu się, wrywaniu, wykrzyknikach w stylu: „Ach, to nieładnie, jeszcze nikomu nie pozwoliłam tego robić!” Może jednak wstydlivość jest tu mimo wszystko niewłaściwym określeniem. Z pewnością niewłaściwym, jeżeli w tym słowie tkwi jakieś pojęcie czy barwa wstydu lub strachu albo chęć zachowywania się „przyzwoicie”. Bo Anna w pewnym sensie wydawała się oderwana od swego szczupłego, jędrnego, dobrze umięśnionego, delikatnego, złotoramiennego ciała, jak gdyby było wymyślnym i złożonym mechanizmem, stanowiącym jej i moją współwłasność, który spadł nam niespodziewanie z nieba i który w naszej niewiedzy musieliśmy badać z największą cierpliwością i pełną najwyższego szacunku uwagą, ażeby nie przeoczyć jakiegoś drobnego, uczonego szczegółu, którego nieznanostwo mogłaby wszystko zepsuć. Był to więc okres najsztelniejszych rozróżnień i delikatnych dociekań, w którym powaga Anny mieszała się z wdzięczną wesołością. („Och, Jackie, mój ptaszku, cudna noc, ach! Czy masz nie najgorsze, ale nos jak strach”). Wesołością, w której słowa nie miały większej wagi, natomiast wszystko znaczył ton, ton, co zdawał się dobywać z samego powietrza, jak gdyby było pełne niewidzialnych strun, ona zaś po prostu wyciągała na chybił trafił rękę w ciemność i od niechcenia trącała je nieomylnym palcem. A poza owymi poważnymi dociekaniem była jakaś uważna czułość, tak naturalna i prosta jak powietrze, którym się oddycha, czasem na pozór obca naszym gorącowargim, zdyszanyim poczynaniem, coś, co

niejako miałem w sobie zawsze, co wcale nie wiązało się z tym nowym, tajemniczym ciałem, które teraz fascynowało i Annę, i mnie.

Siadała, brała moją twarz w obie dłonie, przyciskała ją do piersi i nuciła półszepcetem słowa, rymy, które wymyślała na oczekaniu („Biedny mój Jackie, mały brzydasku, utulę cię do snu w ciepłutkim gniazdku, zaśpiewam piosenkę mojemu ptaszкови, najśłodszą piosenkę małemu Jackowi”). Po chwili słowa rozplywały się i zostawało tylko to ciche nucenie, od czasu do czasu przerywane szepcetem: „Biedny mój Jackie, nigdy nie pozwolę, żeby coś złego się stało mojemu ptaszкови”. Po jakimś czasie obracałem nieco twarz do jej ciała, całowałem je przez cienką letnią sukienkę i tak wtulony oddychałem przez materiał.

Tego lata posunęliśmy się dość daleko i chwilami byłem zupełnie pewny, że mógłbym posunąć się jeszcze dalej. Ze mógłbym posunąć się do ostatka. Bo ten śliczny, szczupły, jędrny, dobrze umięśniony, delikatny, złotoramienny mechanizm, który fascynował Annę i mnie i który spadł nam z nieba, był bardzo czułym i pięknie nastrojonym instrumentem. Ale może się i myliłem w tym przypuszczeniu, może nie zdołałbym przyspieszyć zwartego posuwania się tego prądu, w którym tkwiliśmy zawieszeni, ani przynaglic zamyślnego, uczonego przetrawiania przez Annę każdej najdrobniejszej przemiany, która musiała być powoli wchłonięta przez całość naszych przeżyć, zanim mogła po niej nastąpić inna. Było to tak, jak gdyby Anna miała poczucie jakiegoś rytmu, melodii, nakazu płynącego z zewnątrz i podążała za nim posłusznie w jego subtelnym i zawiłym przebiegu. Jednakże bez względu na to, czy się myliłem, czy nie, nie poddałem próbie tego mojego domniemania, bo chociaż sam nie byłem naprawdę świadom owego rytmu i nakazu, który ją zniewalał, wyczuwałem, jak bardzo jest mu posłuszna i każda chwila spędzona z nią była dla mnie pełna. Rzecz paradoksalna: dopiero kiedy znalazłem się z dala od Anny, nocą w moim pokoju lub wczesnym, gorącym

popołudniem po obiedzie, doznawałem dzikiego zniecierpliwienia na myśl o tym analizowaniu i ociąganiu. Zwłaszcza wtedy, gdy nie chciała się ze mną zobaczyć przez cały dzień, co – jak w końcu zrozumiałem – zaznaczało jakieś stadium, jakiś kamień milowy, do któregośmy dotarli. Po prostu odsuwała się wtedy ode mnie, tak jak tamtego wieczora, po naszym pierwszym pocałunku, i zostawiała mnie z początku zmieszanego i pełnego winy, a później, kiedy już rozumiałem sens tych spraw, już tylko niecierpliwie czekającego na dzień następny, kiedy to zjawiała się na korcie, wymachując rakieta, z twarzą tak gładką, młodą, zdrową i według wszelkich pozorów obojętną, choć przyjacielską, że nie mogłem w niej odnaleźć tamtej zapamiętanej twarzy o ciężkich powiekach i wilgotnych wargach połyskujących w świetle księżycy czy gwiazd i rozchylonych w krótkim, płytkim oddechu lub nie tajonym westchnieniu.

Raz jednak, pod koniec lata, nie widziałem jej przez dwa dni. Poprzedniego wieczora było bezwietrznie, świecił księżyc w pełni, a powietrze ledwie co ochłodziło i zaczęło się poruszać z nadejściem zmierzchu i wtedy oboje z Anną podpłynęliśmy do hotelowej wieży do skoków, tak późno, że już nikogo nie było w wodzie. Leżeliśmy jakiś czas na dużej tratwie, nie mówiąc nic, nie dotykając się wzajemnie, wyciągnięci na wznak i wpatrzeni w niebo. Po chwili Anna wstała i zaczęła się wspinać na wieżę. Przekręciłem się na bok, by na nią popatrzeć. Weszła na trampolinę na wysokość sześciu metrów, zatrzymała się chwilę i zrobiła ładny klasyczny skok. Potem wspięła się na jeszcze wyższą. Nie wiem, ile było tych skoków, ale wiele. Patrzyłem sennie, jak wchodzi na górę powoli, szczebel po szczeblu, a w świetle księżycy mokry materiał jej ciemnego kostiumu kąpielowego błyszczy niby metal czy lakier; patrzyłem, jak zatrzymuje się na krawędzi, podnosi ręce, wyciągając je do ostatecznych granic, wspina się na palce, odbija od deski, na moment jakby zawisa w powietrzu polśniewającą matową sylwetką, która jest

tak smukła i na takiej wysokości, że zasłaniazaledwie jedną czy dwie gwiazdy, i w następnej chwili spada głową w dół, rozbryzgując z czystym pluskiem wodę, jak gdyby dała nurka w środek wielkiej cyrkowej obręczy pokrytej czarnym jedwabiem nakrapianym srebrem.

Zdarzyło się to, kiedy Anna skoczyła z największej wysokości, z jakiej kiedykolwiek widziałem, że skacze, może największej w życiu. Patrzyłem, jak się wspina wolno na górę, potem mija tę sześciometrową deskę, z której skakała, i wciąż podchodzi wyżej. Zawołałem do niej, ale nawet na mnie nie spojrzała. A wiedziałem, że mnie usłyszała. Wiedziałem też, że skoro już zaczęła, dojdzie tam, dokąd chciała dojść, bez względu na to, co bym teraz powiedział. Nie zawołałem więc powtórnie.

Skoczyła. Już w chwili, kiedy odbiła się od deski, wiedziałem, że skok jest dobry, lecz mimo to zerwałem się na nogi i stanąłem na brzegu tratwy, wstrzymując oddech, wpatrzony w jej lot. W momencie, kiedy wbiła się w wodę, czysto jak nóż, skoczyłem i ja, nurkując głęboko, prac do dołu z rozpędu. Dojrzałem srebrzyste kotłowisko i pasmo banieczek oraz lśnienie jej rąk i nóg w ciemnej wodzie, kiedy się obracała. Weszła głęboko. Nie żeby tak musiała, bo potrafiła wywinąć się płytko, jeżeli chciała. Ale tym razem – i kiedy indziej też – weszła głęboko, jak gdyby chcąc przedłużyć swój lot ile tylko się da, poprzez gęstszy już żywioł. Znurkowałem głęboko i natknąłem się na nią, kiedy zaczęła wypływać. Objąłem ją wpół, przyciągnąłem do siebie i przycisnąłem wargi do jej warg. Opuściła bezwładnie ręce, ciągnąc je za sobą, nie czyniąc żadnego ruchu; ja przyciskałem jej ciało do siebie i odchylałem jej głowę, a nasze nogi zwiślały luźno razem, kiedy wypływaliśmy wolno, faliście, poprzez czerń wody i srebro perlących się ku górze banieczek. Wypływaliśmy bardzo powoli, albo przynajmniej tak mi się wydawało, i wstrzymywałem oddech tak długo, aż uczułem ból w piersiach i wirujący zawrót głowy, ale ten ból i ten zawrót głowy przekroczyły pewną granicę i przeszły w

jakąś ekstazę, podobną do tej, której doznałem w swoim pokoju tamtego wieczora, gdy pierwszy raz byliśmy w kinie i zatrzymaliśmy się w drodze do domu. Wypływaliśmy tak wolno, iż myślałem, że nigdy nie dosięgniemy powierzchni.

Ale znaleźliśmy się wreszcie na niej, w świetle księżyca, kruchym i popękany na wodzie wszędzie dokoła nas. Zatrzymaliśmy się razem jeszcze przez chwilę, wciąż nie oddychając, a potem puściłem ją i rozdzieliliśmy się, i przekręciliśmy się na wznak, by wciągać haustami powietrze i patrzeć w wysokie, wirujące, pokłute gwiazdami niebo.

Po chwili uświadomiłem sobie, że Anna ode mnie odpływa. Myślałem, że kilkoma ruchami dopłynię do tratwy. Lecz kiedy w końcu przekręciłem się na brzuch i podpłynąłem do tratwy, Anna już była na plaży. Widziałem, jak podnosi swój płaszcz kąpielowy, owija się nim i pochyla, aby włożyć sandały. Zawołałem na nią. Pomachała mi ręką, po czym wytrząsnęła włosy z gumowego czepka i zaczęła biec plażą w stronę domu. Popłynąłem do brzegu, lecz kiedy dotarłem do plaży, Anna była już blisko domu. Wiedziałem, że jej nie dopędzę. Wyszedłem więc na brzeg bez pośpiechu.

Po tym nie widziałem jej przez dwa dni. Następnie zjawiała się na korce, gotowa wybić ze mnie siódme poty, gdy tylko Adam spuści mi ze swej strony lanie.

Był wtedy wrzesień. Za kilka dni Anna miała odjechać z powrotem na wschód, na pensję panny Pound. Ojciec chciał zabrać ją o kilka dni wcześniej i zatrzymać się w Waszyngtonie, a potem w Nowym Jorku, przed odesłaniem jej do Bostonu, gdzie miała się dostać w ręce panny Pound. Anna nie wydawała się szczególnie zachwycona perspektywą podróży czy powrotu do panny Pound. Mówiła, że bardzo lubi szkołę, ale mnie bynajmniej nie oszałamiały opowieści o przekąskach o północy, albumach z wycinanymi fotografiami i tej kochanej nauczycielce francuskiego,



a słownictwo Anny nie było zabagnione przykrymi naleciałościami ezoterycznego szkolnego żargonu. W sierpniu wspomniała mi o tym projekcie i o dacie wyjazdu, ale bez zadowolenia ani przykrości, jakby to było coś, co nas kompletnie nie dotyczy, tak jak kiedy młoda istota mówi o śmierci. Wówczas, usłyszawszy to, poczułem nagle ukłucie bólu, ale udało mi się odsunąć tę myśl od siebie, bo choć kalendarz mówił, że już jest sierpień, nie mogłem uwierzyć, iż lato i świat kiedykolwiek się skończą. Natomiast tego rana, gdy Anna zjawiała się znowu na korcie, moją pierwszą myślą było, że już niedługo wyjedzie. Wtedy dopiero naprawdę to sobie uprzytomniłem. Podszedłem do niej, nawet nie mówiąc „dzień dobry”, i wziąłem ją za rękę, czując jakąś nieokreśloną desperację i niecierpliwość.

Spojrzała na mnie z łagodnym zdziwieniem.

– Nie kochasz mnie? – zapytałem gniewnie.

Wybuchnęła śmiechem i popatrzyła na mnie, a ten śmiech poczynił niewinne, kpiące zmarszczki w zewnętrznych kącikach jej absolutnie czystych oczu.

– Jasne – odpowiedziała ze śmiechem, kołysząc rakiętą trzymaną w wolnej ręce. – Jasne, kocham cię, mój malutki, mój ptaszku; kto powiedział, że nie kocham biednego Jacka?

– Nie bądź niemądra – rzekłem, bo ta mowa wszystkich naszych wieczorów w aucie i na werandzie nagle wydała mi się w jasnym świetle poranka i wobec mej desperacji jakaś bezmyślna i odręczająca. – Nie bądź niemądra – powtórzyłem – i nie nazywaj mnie ptaszkiem.

– Kiedy ty jesteś mój ptaszek – odparła poważnie, ale wciąż z tymi zmarszczkami w kącikach oczu.

– Nie kochasz mnie? – zapytałem, nie zwracając uwagi na to, co powiedziała.

– Kocham mojego ptaszka – odrzekła. – Mojego biednego ptaszka.

– Niech to diabli! – krzyknąłem. – Nie kochasz mnie? Przypatrywała mi się chwilę, a zmarszczki już teraz zniknęły całkowicie.

– Tak – powiedziała wreszcie. – Kocham. I wyrwawszy rękę z mojej dłoni, przeszła przez kort krokiem stanowczym, jak gdyby powzięła decyzję, że ma gdzieś iść, to zaś było daleko i należało już ruszać. A przeszła tylko przez kort i usiadła na ławce w pierzastym cieniu mimozy, lecz ja patrzyłem na nią tak, jakby kort był rozległy niczym Sahara, a ona mi zniknęła w oddali.

Potem zaś przyszedł Adam i graliśmy w tenisa.

Wróciła więc tego rana, ale odtąd nie miało już być tak jak dawniej. Wróciła, owszem, ale nie cała. Przebywała ze mną równie dużo jak przedtem, ale zdawała się spowita we własne myśli, a kiedy ją pieściłem, poddawała się temu jakby z poczucia obowiązku albo w najlepszym razie z dobroci, która nie była całkowicie wzdorczywa. Tak to trwało przez ostatni tydzień, tymczasem zaś dni były wciąż upalne i bezwietrzne, chmury nad wieczorem kłębiły się, jak gdyby obiecując szkwał, ale szkwał nie nadchodził, a noce były ciężkie i obrzmiałe jak wielkie, czarne, srebrzyście oproszone grono, gotowe pęknąć lada chwila.

Na dwa dni przed jej wyjazdem wybraliśmy się do Landing, do kina. Kiedy wychodziliśmy po seansie, padał deszcz. Mieliśmy zamiar popływać po przedstawieniu, aleśmy tak nie zrobili. Wiele razy pływaliliśmy w deszczu tego lata i dawniej, gdy bywał z nami Adam. Poszlibyśmy zapewne popływać i owego wieczora, gdyby deszcz był inny, gdyby był lekki i słodki, padający z wysokiego nieba, taki, co ledwie szmerze jedwabście po powierzchni wody, w której płyniesz, albo też gdyby to był gnany wiatrem, kłujący jak igły, zimny, oczyszczający deszcz, kiedy to masz ochotę biec po plaży i krzyczeć, zanim się schronisz w morzu, albo nawet gdyby to była ulewa, taka, jaka się zdarza na zatoce, przypominająca chwilę, gdy wreszcie odpada dno wielkiej papierowej

torby napełnionej wodą. Ale ten deszcz nie był podobny do tamtych. Było to tak, jak gdyby niebo osiadło możliwie najniżej i jakby poprzez czarne, lepkie, zasepione powietrze zewsząd przeciekała brudna woda.

Postawiliśmy więc składany dach samochodu, zmoknąwszy przy tym porządnie, wsiedliśmy i ruszyliśmy w stronę domu. W oknach i na werandzie mojej matki paliło się światło, więc postanowiliśmy tam wstąpić, zaparzyć trochę kawy i zrobić sobie kanapki. Było jeszcze wcześniej, około wpół do dziesiątej. Pamiętam, że matka pojechała do sąsiadów na brydża z Pattonami i jakimś jegomościem, który był u nich w odwiedzinach i uczeplił się jej. Zajechaliśmy przed dom i zahamowaliśmy z wielkim chrzęstem i bryzganiem muszelek i wody deszczowej. Wbiegliśmy na jedno z dwóch bliźniaczych schodków prowadzących z obu stron na werandę i bezpieczni pod jej dachem, zaczęliśmy tupać i otrząsać z siebie wodę jak psy. Od tego biegu, tupania i wilgoci rozplotły się Annie włosy. Zwisaly jej na plecy, a kilka mokrych kosmyków przylepiło się do czoła i policzka, tak że wyglądała jak dziecko wychodzące z kąpeli. Roześmiała się, przechyliła głowę i potrząsnęła nią, jak to robią dziewczyny, żeby włosy im luźno opadły. Przeczesala je palcami niczym wielkim grzebieniem, aby wyłowić zaplątane szpilki. Kilka z nich spadło na podłogę werandy.

– Wyglądam jak straszidło – powiedziała. – Okropne straszidło. – I wciąż tak przechylała głowę, śmiała się i patrzyła na mnie z ukosa błyszczącymi oczyma. Była już teraz bardziej taka jak dawniej.

Powiedziałem, że owszem, wygląda jak straszidło, i wszedłem do domu.

Zgaśliem światło w hallu, ale zostawiłem je na werandzie i poprowadziłem Annę w prawo do kuchni, przez jadalnię i pokój kredensowy. Postawiłem kawę na gazie i wyjąłem jakieś jedzenie z lodówki (wtedy jeszcze nie było tych elektrycznych, gdyż inaczej matka

miałaby co najmniej ze dwie, wielkie jak chałupy, i o północy otoczone wydekoltowanymi damami oraz podchmielonymi panami w smokingach, jak na reklamach). Podczas gdy zajmowałem się tym wszystkim, Anna splatała sobie włosy. Najwidoczniej miała zamiar upleść je w dwa warkoczyki z obu stron, bo jeden był już prawie gotowy, kiedy rozstawiłem jedzenie na kuchennym stole.

– Dlaczego nie weźmiesz się do robienia kanapek i nie przestaniesz się mizdrzyć? – zapytałem.

– Dobrze – odparła. – A ty mi zapleciesz włosy.

Tak więc usiadła przy stole i zaczęła przygotowywać kanapki, a ja dokończyłem pierwszy warkoczek.

– Powinno się go przewiązać wstążką albo czymś, żeby się trzymał – powiedziałem.

Ścisnąłem jego koniec palcami, żeby się nie rozplótł. A potem mój wzrok padł na czystą ścierekę do naczyń wiszącą na wieszaku. Puściłem warkocz, poszedłem po nóż i pomagając sobie szczyrykiem, udarłem z brzegu dwa paski. Ścierka była biała z czerwonym szlaczkiem. Wróciłem, poprawiłem warkocz i związałem na kokardkę jego koniec tym kawałkiem ściereki.

– Będziesz wyglądała jak smarkuła – powiedziałem. Zachichotała, rozsmarowując na chlebie masło orzechowe.

Spostrzegłem, że kawa już gotowa, i wyłączyłem gaz. Potem zacząłem splatać drugi warkocz. Stałem pochylony i przepuszczałem jego jedwabistość między nieporadnymi palcami, po których chodziło mi mrowie i które były szorstkie jak papier ścierny; rozdzieliłem włosy na trzy pasma i zakładając je kolejno jedno na drugie, wdychałem ich świeży, łąkowy zapach, gdyż były wilgotne. Wciąż byłem tym zajęty, kiedy zadzwonił telefon.

– Potrzyмай – kazałem Annie – bo się rozplecie. – I wcisnąłem jej w

rękę koniec warkocza, po czym wyszedłem do hallu.

Dzwoniła moja matka. Ona, Pattonowie, ten gość, co się do niej przypiął, i Bóg wie, kto jeszcze, mieli się załadować do samochodu i jechać czterdzieści mil do „La Grange”, lokalu w sąsiednim okręgu, przy szosie do miasta; było tam kilka stolików do gry w kości i parę ruletek, a najlepsze towarzystwo ocierało się o najgorsze, wdychając pospólne, błękitne tumany drapiącego w gardle dymu tytoniowego i niedozwolonych wyziewów alkoholu. Matka powiedziała, że nie wie, kiedy wróci, ale żebym zostawił drzwi wejściowe otwarte, bo zapomniała klucza. Nie musiała mi mówić, żebym zostawił drzwi otwarte, bo w Landing i tak ich nikt nie zamykał. Powiedziała, żebym się o nic nie martwił, bo jest jej bardzo dobrze, roześmiała się i odłożyła słuchawkę. Cóż, nie musiała mi mówić i tego, żebym się nie martwił. Przynajmniej o to, czyjej dobrze, czy nie. Dobrze jej było, nie ma dwóch zdań. Miała wszystko, czego chciała.

Odłożyłem słuchawkę, podniosłem wzrok i w świetle wpadającym do hallu przez drzwi od korytarza zobaczyłem Annę stojącą o kilka kroków ode mnie, zawiązującą kokardkę na końcu drugiego długiego warkocza.

– To matka – wyjaśniłem. – Jedzie do „La Grange” z Pattonami. – Po czym dodałem: – Wróci późno.

Powiedziawszy to ostatnie zdanie, uprzytomniłem sobie nagle pustkę tego domu, otaczające nas mroczne pomieszczenie, brzemie nagromadzonej nad nami ciemności wypełniającej pokoje i poddasze, spływającej gęsto, ale nieważko po schodach – wreszcie ciemność na zewnątrz. Kiedy spojrzałem Annie w oczy, w domu panowała zupełna cisza. Na dworze słychać było kapanie deszczu po liściach i dachu, teraz już ucichające. Serce zabiło mi mocno i poczułem, że w żyłach zaczyna mi krążyć nowa krew, jakby ktoś otworzył śluzę.

Patrzyłem Annie prosto w twarz i patrząc tak, wiedziałem – i wiedziałem, że ona wie – iż to jest właśnie ta chwila, do której przez cały

czas zmierzał wielki nurt lata. Odwróciłem się i powoli ruszyłem przez hali ku schodom. Zrazu nie wiedziałem, czy Anna idzie za mną, czy nie. A potem wyczułem, że tak. Wszedłem na schody, świadom, że postępuję za mną o cztery stopnie niżej.

U szczytu schodów, w korytarzu na piętrze, nawet się nie zatrzymałem ani nie obejrzałem. Poszedłem ciemnym jak smoła korytarzem ku drzwiom mojego pokoju. Namacałem po ciemku klamkę, otworzyłem drzwi i wszedłem. Do pokoju wpadało trochę światła, bo niebo na chwilę się przejaśniło, a poza tym odbłask lampy z werandy na dole odbijał się od mokrych liści. Usunąłem się w bok, z ręką jeszcze na klamce, i Anna weszła do pokoju. Wchodząc, nawet nie rzuciła na mnie okiem. Postąpiła trzy kroki i przystanęła. Zamknąłem drzwi i zbliżyłem się do smukłej, biało ubranej postaci, lecz Anna nie odwróciła się do mnie. Stałem za nią, przyciągnąłem do siebie jej ramiona, zaplotłem ręce na jej piersiach i wtuliłem suche wargi we włosy. Ręce Anny zwisały bezwładnie wzdłuż boków. Staliśmy tak kilka minut, niby kochankowie na jakiejś reklamie, przypatrujący się malowniczo zachodowi słońca albo oceanowi czy Niagarze. Ale my nie przypatrywaliśmy się niczemu. Staliśmy pośrodku gołego, ciemnego pokoju (żelazne łóżko, stara komoda, sosnowy stół, kufry, książki i różne męskie przybory – bo nie pozwoliłem matce przemienić tego pokoju w muzeum) i spoglądaliśmy na ciemne korony drzew, które nagle zaczęły się poruszać na wietrze nadlatującym od zatoki i szumieć pod wzmożoną falą deszczu.

A potem Anna uniosła ręce i położyła je na moich ramionach, którymi ją obejmowałem.

– Jackie – powiedziała cichym głosem, ale nie szeptem. – Ptaszku mój, przyszedł tutaj.

Przyszła, istotnie.

Zacząłem rozpinać haftki z tyłu jej białej sukni. Stała zupełnie

nieruchomo, jakaś posłuszna i grzeczna, z warkoczykami zwisającymi na jedno i drugie ramię. Lekki materiał był mokry i przylegający, co bynajmniej nie ułatwiało sprawy. Borykałem się dalej z tymi przeklętymi haftkami. Wreszcie doszedłem do szarfy. Pamiętam, że była zawiązana na kokardę z lewego boku. Rozwiązałem ją, szarfa opadła na podłogę, a ja znów wziąłem się do sukni. Anna stała tak cierpliwie, z opuszczonymi rękami, jak gdybym był krawcem i robił przymiarkę. Nie odzywała się ani słowem, tylko raz, kiedy w swojej nieporadności i pomieszaniu próbowałem ściągnąć jej suknię przez biodra, powiedziała głosem równie cichym jak przedtem: „Nie. Trzeba tak”, i uniosła nad głowę nagie ramiona. Zauważyłem w tym momencie, że nie opuściła palców luźno, naturalnie, ale trzymała je złożone razem, prawie zupełnie wyprostowane, jak gdyby podniosła ręce przed skokiem do wody i zatrzymała się przed przybraniem wstępnej postawy. Ściągnąłem suknię przez głowę i stałem, ściskając ją niemądrze w rękach, zanim mi przyszło na myśl, by ją położyć na krześle.

Anna wciąż czekała z podniesionymi rękami, co wziąłem za znak, że koszulkę należy zdjąć tak samo jak suknię. Została zdjęta tak samo i w swej niezdarnej nerwowej drobiazgowości ułożyłem ją na krześle, jak gdyby mogła się stłuc. Anna opuściła ręce do boków i dalej stała tak samo biernie, podczas gdy ja kończyłem rozbieranie. Gdy rozpinałem staniczek i zsuwałem go do przodu, aż opadł po jej nieruchomych rękach, a potem ściągałem majtki przez nogi, klęcząc obok Anny na podłodze, nie wiedzieć czemu uważałem, żeby moje palce nawet nie musnęły jej ciała.

Oddech miałem przyśpieszony, a skurcz w krtani i w piersi był niczym jakiś supeł, ale myśli moje ulatywały ku osobliwym rzeczom – ku książce, którą zacząłem czytać, lecz nie skończyłem, ku rozważaniom, czy tej jesieni wrócę do internatu, czy też wezmę sobie pokój na mieście, ku algebraicznemu wzorowi, który zapamiętałem i który mi przebiegał

przez głowę, ku obrazowi jakiegoś zakątka pola z połamaną furtką, który usiłowałem rozpaczliwie umiejscowić w swojej przeszłości. Umysł mój czynił takie szaleńcze, dzikie skoki i odśrodkowe susy niby zwierzę z jedną nogą w sidłach albo chrabąszcz na nitce.

Gdy tak klęczałem obok Anny i batyst opadł już do jej stóp, wysunęła najpierw jedną nogę z pantofelka – wiecie, tak jak to robią dziewczyny, przyciskając lekko piętę do pięty, żeby wyciągnąć stopę – a potem drugą. Podniosłem się i stanąwszy przy niej, nieomal doznałem wstrząsu, widząc, jaka jest niska, gdy stoi bez obcasów na podłodze. Widywałem ją tak tysiące razy, w kostiumie kąpielowym, bosą na plaży czy tratwie. Ale uderzyło mnie to dopiero teraz.

Gdy się podniosłem, stała wciąż z opuszczonymi luźno rękami, potem zaś skrzyżowała je na piersiach, przygarbiła się trochę i zadrżała lekko, a ja spostrzegłem, jak wskutek tego ściągnięcia ramion do przodu łopatki jej wydały się nagle kanciaste i wątle pod opadającymi na nie warkoczami.

Na dworze padał teraz gęsty deszcz nadlatujący gwałtownymi falami. Zdążyłem to zauważyć.

Anna lekko pochyliła głowę i najwidoczniej zobaczyła czy przypomniała sobie, że ma na nogach pończochy. Odwróciła się nieco ode mnie, schyliła i utrzymując się w równowadze na jednej, a potem na drugiej nodze, ściągnęła pończochy i upuściła je na podłogę obok leżącej przed nią szarfy i małego delikatnego kłębka batystu. Potem znowu stanęła tak jak przedtem, lekko przygarbiona, być może drżąca, z nieco ugiętymi i ściśniętymi kolanami.

Kiedy szamotałem się z guzikami swojej koszuli, urywając jeden, który jakoś nie chciał przejść przez dziurkę (upadł na gołą podłogę w chwilowej przerwie w deszczu i wietrze, z cichym pojedynczym stuknięciem), i kiedy moje myśli miotały się tymi oszalałymi, chrabąszczowymi skokami, Anna podeszła do żelaznego łóżka i usiadła niepewnie na brzeżku, ściskając



kolana i stopy, z rękami wciąż splecionymi na piersi, a ramionami nieco przygarbionymi, tak jak przedtem. Patrzyła na mnie z daleka, z jakimś pytaniem czy wezwaniem w oczach – nie mogłem tego rozeznaczyć w półmroku.

A potem, oparłszy się jedną ręką o łóżko, pochyliła się nieco w bok, uniosła z podłogi złożone wciąż razem stopy i łagodnym, miękkim ruchem wyciągnęła się na białej narzucie, po czym starannie wyprostowała ręce, znów skrzyżowała je na piersiach i przymknęła oczy.

W chwili, gdy przymykała oczy, spojrziałem na nią i mój umysł uczynił znowu szaleńczy skok, i ujrzałem Annę leżącą na wodzie w dzień owego pikniku sprzed trzech lat, z zamkniętymi oczami, pod burzliwym niebem, po którym przelatywała wysoko biała mewa – i tamta twarz, i ta twarz, tamta scena i ta scena niejako stopiły się niby nałożone na siebie fotografie, każda zachowując swoją tożsamość, ale bez przekreślenia tej drugiej. I w tejże chwili, kiedy tak stałem z dławiącym skurczem w krtani i z obrzmiałym ciałem, popatrzyłem na Annę leżącą na żelaznym łóżku, potem rozejrzałem się nagle po wielkim, gołym, ciemnym pokoju, usłyszałem niesiony wiatrem deszcz i pojąłem, że to wszystko jest złe, zupełnie złe (dlaczego? – nie wiedziałem i nie próbowałem zrozumieć), że lato nie do tego zmierzało. I że tego nie zrobię.

– Anno – powiedziałem chrapliwie. – Anno...

Nie odezwała się, ale otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Nie powinniśmy – zacząłem – nie powinniśmy... to by nie było... nie byłoby... nie byłoby dobre.

Tak więc użyłem słowa „dobre”, które cisnęło mi się na usta ku memu własnemu zdumieniu, bo nigdy nie myślałem o tym, co robiłem z Anną Stanton lub jakąś inną kobietą czy dziewczyną jako o czymś dobrym czy złym, ale tylko jako o czymś, co się zdarzyło, i w ogóle nigdy nie zastanawiałem się zbytnio nad dobrem i złem w związku z czymkolwiek,

lecz po prostu robiłem to, co robią inni, i nie robiłem tego, czego nie robią. A to jest właśnie tym, co każdy robi i czego nie robi. Pamiętam jeszcze teraz moje zdumienie, gdy usłyszałem to słowo dźwięczące w powietrzu jak echo wyrazu powiedzianego przez kogoś Bóg wie przed ilu laty, a teraz odmrożonego, niczym tamto słowo z opowieści barona Münchhausena. Nie mogłem w tej chwili tknąć Anny, jak gdyby była moją małą siostrzyczką.

Nie odpowiedziała, ale wpatrywała się we mnie z wyrazem twarzy, którego nie umiałem zgłębić, i kiedy na nią spojrzałem, ogarnęła mnie ogromna, gorąca żalność, niby powódź wzbierająca w piersiach, i wybuchłem:

– Anno, och, Anno... – i zapragnąłem paść na kolana przy łóżku i chwycić ją za rękę.

Otóż gdybym to zrobił, sprawy mogły przyjąć inny obrót, bardziej normalny, bo jest prawdopodobne, że kiedy na wpół rozebrany zdrowy młody człowiek kłęka przy łóżku i chwyta za rękę całkowicie rozebraną ładną młodą dziewczynę, wydarzenia muszą wcześniej czy później potoczyć się normalnym torem. I gdybym choć raz jej dotknął, kiedy ją rozbierałem, albo nawet gdyby do mnie przemówiła, nazwała mnie małym Jackiem czy powiedziała, że mnie kocha, bądź też zaśmiała się, była jakaś weselsza lub wreszcie odpowiedziała mi coś, gdy popatrzyłem na nią leżącą na łóżku i po raz pierwszy wykrzyknąłem jej imię, gdyby zdarzyło się cokolwiek z tego, wszystko mogłoby być zupełnie inaczej wtedy i potem. Ale nie zdarzyło się nic takiego, nie poszedłem za szaleńczym odruchem każącym mi paść na kolana przy łóżku i chwycić Annę za rękę, co byłoby pierwszym, drobnym kontaktem ciała z ciałem i co by zapewne wystarczyło. Bo właśnie w chwili, kiedy wybuchłem: „Anno... och, Anno...” rozległ się chrzęst opon na podjeździe, a potem pisk hamulców.

– Wrócili! Wrócili! – krzyknąłem, a Anna siadła raptownie na łóżku i

spojrzała na mnie z przerażeniem.

– Łap swoje rzeczy! – rozkazałem. – Łap swoje rzeczy i leć do łazienki! – Wkładałem koszulę i jednocześnie usiłowałem zapiąć pasek, biegnąc do drzwi. – Ja będę w kuchni! Będę szykował coś do jedzenia!

Wypadłem z pokoju, pognałem korytarzem, starając się biec na palcach, zbiegłem tylnymi schodami do hallu, a potem do kuchni, gdzie drżącymi palcami zapaliłem gaz pod imbrykiem z kawą, właśnie w chwili, gdy trzasnęły siatkowe drzwi frontowe i do hallu weszli jacyś ludzie. Usiadłem przy stole i zacząłem robić kanapki, czekając, by serce przestało mi walić, nim się znajdę oko w oko z matką, Pattonami i tymi wszystkimi typkami, których ze sobą przyprawdzili.

Kiedy matka weszła po chwili do kuchni, a za nią cała jej paczka, zastali mnie przed pięknym stosikiem apetycznych sandwiczów. Nie pojechali do „La Grange” ze względu na burzę i żartowali ze mnie, że jestem odgadywaczem myśli, bo przygotowałem dla nich kanapki i kawę, ja zaś byłem czarujący i miły dla wszystkich. A potem zeszła Anna (spisała się dobrze w tej sytuacji, bo dwa razy spuściła wodę w toalecie, żeby oznajmić, gdzie się znajduje) i zaczęli się z nią przekomarzać z powodu jej warkoczyków i pensjonarskich kokardek, ona zaś nie mówiła nic, tylko uśmiechała się skromnie, tak jak powinna grzeczna, dobrze wychowana panienka, kiedy dorośli w miły sposób zwracają na nią uwagę, potem zaś usiadła spokojnie i zjadła kanapkę i nie mogłem nic wyczytać z jej twarzy, zupełnie nic.

I tak zakończyło się lato. Co prawda była jeszcze reszta nocy, kiedy to leżałem na żelaznym łóżku, słyszałem, jak woda ocieka z liści, wymyślałem sobie od durni, przeklinałem swojego pecha, próbowałem wyobrazić sobie, co myślała Anna, i robiłem plany, jak zostanę z nią sam na sam następnego dnia – ostatniego. Ale potem pomyślałem, że byłoby jeszcze gorzej, gdybym posunął się dalej, a matka wróciłaby i poszła z

paniami na górę (tak jak istotnie zrobiła) i oboje z Anną znaleźlibyśmy się w pułapce w moim pokoju. I kiedy ta myśl przeraziła mnie tak, że oblałem się zimnym potem, doznałem nagle poczucia wielkiej mądrości: postąpiłem słusznie i mądrze. Dlategośmy się uratowali. W ten sposób mój pech stał się moją mądrością (podobnie jak pech całej przeklętej ludzkości staje się jej mądrością, jest zapisywany w księgach i wykładany w szkołach), a znowu później ta moja mądrość stała się mą szlachetnością, bo w końcu, długo potem, nabrałem przekonania, że kierowałem się szlachetnością. Nie użyłem wprost tego słowa w stosunku do siebie, ale niejako obchodziłem je po skrajach i często późną nocą albo po kilku kieliszkach czułem dla siebie uznanie, wspominając, jak się wtedy zachowałem.

I kiedy teraz przewijał się przede mną mój film rodzinny, a ja jechałem na Zachód, nie mogłem się oprzeć myśli, że gdybym wówczas nie był taki szlachetny – jeżeli to była szlachetność – wszystko mogło wyglądać inaczej. Bo z pewnością gdyby przyłapano Annę i mnie w tym pokoju, moja matka i gubernator Stanton zmusiliby nas do małżeństwa, choćby ze złością i niechęcią. A potem, cokolwiek by się stało, nie zdarzyłoby się to, co teraz pchało mnie na Zachód. Tak więc stwierdziłem, że moja szlachetność (czy co to tam było) miała w moim świecie nieomal równie zgubne skutki jak grzech Cassa Masterna w jego świecie. A to może coś mówi o tych dwóch światach.

Jak powiedziałem, była jeszcze reszta nocy, kiedy Anna już poszła do domu. Ale był także następny dzień. Jednakże w ciągu dnia Anna miała dużo roboty z pakowaniem i załatwianiem sprawunków w Landing. Krążyłem koło jej domu, próbowałem się z nią rozmówić, ale nie zdołaliśmy zamienić nawet kilku słów, poza momentem, kiedy ją odwoziłem do miasta. Usiłowałem nakłonić ją, żeby natychmiast wzięła ze mną ślub – tylko wstąpiła do domu po walizkę i wyrwała się stamtąd.

Była niepełnoletnia i tak dalej, ale wyobrażałem sobie, że to da się obejść – jeśli w ogóle coś sobie wyobrażałem. A potem niech moja matka i gubernator robią piekło. Odpowiedziała tylko:

– Jackie, ty wiesz, że ja za ciebie wyjdę. Oczywiście zostanę twoją żoną na zawsze. Ale nie dziś. – A kiedy dalej ją o to nagabywałem, dodała: – Wróc na uniwersytet, skończ studia, to wyjdę za ciebie. Nawet zanim zrobisz magisterium z prawa.

Kiedy powiedziała „magisterium z prawa”, właściwie nie od razu sobie przypomniałem, o czym mówi. Przypomniałem sobie jednak w porę, żeby nie okazać zdziwienia, i na tym musiałem poprzestać.

Pomogłem jej załatwić sprawunki, odwoziłem ją do domu, po czym wróciłem do siebie na kolację. Po kolacji pojechałem do niej wcześniej, w nadziei, że mimo złej, wietrznej pogody wybierzemy się na przejażdżkę. Ale wyszły z tego nici. Kilkoro chłopców i dziewcząt, z którymi zabawialiśmy się tego lata, zebrało się, aby pożegnać Annę, poza tym byli też ich rodzice, dwie pary, gdyż przyszli odwiedzić gubernatora (który już nie był gubernatorem, ale dla Landing miał nim na zawsze pozostać) i wypić z nim strzemiennego. Młodzi puszczały płyty gramofonowe na werandzie, a starsi, którzy nam wydawali się starzy, siedzieli w domu i popijali dzin z tonikiem. Mogłem co najwyżej tańczyć z Anną, która była dla mnie bardzo czuła, lecz kiedy poprosiłem, by się ze mną wymknęła, odpowiedziała, że w tej chwili nie może ze względu na gości i że spróbuje później. Ale później przyszła nowa burza, bo właśnie było zrównanie dnia z nocą, i rodzice wyszli na werandę, aby powiedzieć, że trzeba wracać do domu, a swoim latoroślom oświadczyli głośno, że powinny też jechać i pozwolić Annie przespać się przed podróżą.

Ociągałem się z wyjściem, ale to nic nie dało. Gubernator Stanton siedział w salonie, popijał samotnie i przeglądał wieczorną gazetę. My dwoje siedzieliśmy przytuleni do siebie na werandzie, słuchaliśmy

szelestu jego gazety, kiedy przewracał stronę, i szeptaaliśmy sobie, że się kochamy. A potem już tylko obejmowaliśmy się w milczeniu, bo słowa zaczęły tracić sens, i słuchaliśmy deszczu siekającego po drzewach.

Kiedy deszcz ustał na chwilę, podniosłem się, wszedłem do salonu, uścisnąłem dłoń gubernatorowi, po czym wróciłem, pocałowałem Annę na do widzenia i wybiegłem. Był to sztywny, chłodny pocałunek, jak gdyby lata wcale nie było albo jak gdyby miało zupełnie inny przebieg.

Wróciłem na uniwersytet. Nie mogłem doczekać się świąt Bożego Narodzenia, na które Anna miała przyjechać do domu. Pisywaliśmy do siebie codziennie, ale te listy zaczęły mi się wydawać czekami wystawianymi na kapitał lata. Na koncie było dużo, ale nigdy nie powinno się żyć z kapitału, ja zaś doświadczałem jakoś uczucia, że żyję z kapitału i że coś w moich oczach topnieje. A jednocześnie szalałem, pragnąc zobaczyć Annę.

Zobaczyłem ją w czasie świąt, widywaliśmy się przez dziesięć dni. Nie było tak jak w lecie. Mówiła mi, że mnie kocha, że za mnie wyjdzie, i pozwoliła mi posunąć się dość daleko. Ale nie chciała wyjść za mnie od razu wtedy i nie chciała posunąć się do ostatka. Pokłóciliśmy się z tego powodu przed samym jej odjazdem. We wrześniu tego chciała, a teraz nie. Uważałem, że w pewnym sensie łamię daną obietnicę, i bardzo się rozeźliłem. Powiedziałem jej, że mnie nie kocha. Odpowiedziała, że kocha. Wobec tego dopytywałem się, dlaczego nie chce.

– Nie dlatego, żebym się bała, i nie dlatego, że cię nie kocham. Och, kocham cię, Jackie, naprawdę – powiedziała. – I także nie dlatego, że jestem jakąś paskudną starą świętoszką. Ale dlatego, że ty jesteś taki, jaki jesteś, Jackie.

– Aha – odparłem szyderczo. – To znaczy, że mi nie ufasz, myślisz, że nie ożeniłbym się z tobą i byłabyś pohańbioną dziewicą.

– Wiem, że byś się ze mną ożenił – odrzekła. – Ale to po prostu

dlatego, że jesteś taki, jaki jesteś.

Nie chciała powiedzieć nic więcej. Wobec tego pokłóciliśmy się okropnie. Wróciłem na uniwersytet rozbity nerwowo.

Nie pisała do mnie przez miesiąc. Ja wytrzymałem dwa tygodnie, a potem zacząłem przeproszać. Więc listy znowu zaczęły przychodzić i gdzieś daleko, w wielkim buchalteryjnym systemie wszechświata, ktoś co dnia naciskał czerwone guziczki na księgującej maszynie i jakieś czerwone cyfry odbijały się na arkuszu rozrachunkowym.

Przyjechała do Landing w czerwcu na kilka dni. Ale gubernator nie czuł się dobrze i niebawem lekarze wysłali go do Maine, żeby uniknąć upałów.

Zabrał Annę z sobą. Przed jej odjazdem wszystko było tak jak na Boże Narodzenie, a nie jak poprzedniego lata. Było nawet gorzej niż na Boże Narodzenie, bo pozdawałem już egzaminy i przyszła pora wstąpić do szkoły prawnej. Pokłóciliśmy się o to. Ale czy o to? Powiedziała coś na temat prawa, a ja wybuchłem. Naprawiliśmy to listownie, kiedy już przesiedziała w Maine sześć tygodni, i listy znowu zaczęły przychodzić i czerwone cyferki znowu padały jak małe, krwawe, ptasie tropy na ów arkusz rozrachunkowy noszący moje imię w niebie, a ja pokładałem się na kanapach w domu sędziego Irwina, zaczytując się w historii Ameryki, nie dla studiów, nie dlatego, że musiałem, ale ponieważ przypadkiem przebiłem stopą cienką, kruchą skorupę teraźniejszości i poczułem pierwsze zassanie ruchomych piasków wokoło kostek. Gdy jesienią Anna wróciła z ojcem mniej więcej na tydzień przed odjazdem do jakiegoś wykwinnego college'u dla panien w Wirginii, spędzaliśmy dużo czasu nad zatoką i w samochodzie i robiliśmy wszystko to, co przedtem. Sfruwała z wieży do skoków jak ptak. Leżała w moich ramionach przy księżycu, jeżeli świecił księżyc. Ale nie było już tak jak dawniej.

Przede wszystkim był incydent z nowym pocałunkiem. Mniej

więcej za drugim czy trzecim spotkaniem tej jesieni pocałowała mnie w nowy sposób, jak jeszcze nigdy przedtem. I nie zrobiła tego na próbę, eksperymentalnie, tak jak było z różnymi rzeczami ubiegłego lata. Można powiedzieć, że zrobiła to po prostu, w zapale chwili. Od razu odgadłem, że nauczyła się tego w lecie od jakiegoś mężczyzny w Maine, jakiegoś wakacyjnego drania w białych flanelowych portkach, składającego samogłoski jak domino. Powiedziałem jej, iż wiem, że się zabawiała z różnymi gośćmi w Maine. Nie zaprzeczyła. Odrzekła po prostu: „Tak”, z pełnym spokojem, i zapytała, skąd wiem. Powiedziałem jej. Wtedy odparła: „Tak tak, oczywiście!”, a ja się rozwścieczyłem i odsunąłem się od niej. Przez cały ten czas obejmowała mnie za szyję.

Spojrzała na mnie, wciąż spokojnie, i powiedziała:

– Jack, ja rzeczywiście całowałam się z kimś w Maine. To był miły chłopiec, Jack, i bardzo go polubiłam, i było mi z nim przyjemnie. Ale go nie pokochałam. I nie zrobiłabym tego, gdybyśmy się wtedy nie pokłócili i gdybym nie miała wrażenia, że świat jakby się skończył i że już więcej z tobą nie będę. Może i chciałam się w nim zakochać. Żeby wypełnić to puste miejsce po tobie, Jackie. Och, Jackie, bo było takie miejsce, okropnie duże miejsce... – I prostym, nieświadomym gestem przyłożyła prawą dłoń do serca. – Ale nie mogłam – ciągnęła. – Nie mogłam się w nim zakochać. Więc przestałam się z nim całować. Jeszcze zanim się pogodziliśmy, ty i ja. – Wyciągnęła rękę, położyła prawą dłoń na mojej i pochyliła się ku mnie. – Bo przecież się pogodziliśmy, prawda, mój ptaszku? – spytała i roześmiała się krótko, gardłowo. – Prawda, mój malutki? Pogodziliśmy się. I znowu jestem szczęśliwa!

– Aha – odparłem. – Pogodziliśmy się.

– A ty nie jesteś szczęśliwy? – spytała, pochylając się ku mnie.

– Jasne – odrzekłem i pewnie byłem szczęśliwy, tak jak na to zasługiwałem. Ale tamto wciąż we mnie tkwiło, oddychając w mroku



moich myśli, gotowe do skoku. Choć zapomniałem, że tam jest. A potem, następnego wieczora, kiedy nie pocałowała mnie w ten nowy sposób, poczułem, że znowu drgnęło. I jeszcze raz następnego wieczora. Dlatego że nie pocałowała mnie w nowy sposób, byłem jeszcze bardziej zły niż wówczas, kiedy to zrobiła. Więc pocałowałem ją tak jak tamten z Maine. Natychmiast odsunęła się ode mnie i powiedziała zupełnie spokojnie:

– Wiem, dlaczego to zrobiłeś.

– W Maine dosyć ci się to podobało – odparłem.

– Och, Jackie – rzekła. – Nie ma i nigdy nie było żadnego miejsca, które nazywa się Maine, nie ma nic oprócz ciebie i ty jesteś wszystkimi czterdziestoma ósmioma stanami naraz i kochałam cię zawsze. A teraz będziesz grzeczny? Pocałujesz mnie po naszemu?

Pocałowałem ją więc tak, ale świat jest wielką śnieżną kulą toczącą się w dół i nigdy nie toczy się pod górę, aby odtoczyć się z powrotem do próżni i do nieistnienia.

Choć to ostatnie lato nie było takie jak poprzednie, wróciłem na uniwersytet, znowu zacząłem harować, zajmowałem się trochę reporterką, wstąpiłem do szkoły prawnej i znienawidziłem ją. Tymczasem pisywałem listy do Anny, do tego szalenie wykwintnego college'u dla panien w Wirginii, a kapitał, na który owe czekiny były wystawiane, topniał i topniał. Aż do świąt Bożego Narodzenia, kiedy przyjechałem do domu i Anna też przyjechała. Powiedziałem jej, że wręcz nie mogę ścierpieć szkoły prawnej i spodziewałem się (a także w jakiś przewrotny sposób pragnąłem tego), że mi zrobi piekło. Ale nie zrobiła piekła. Po prostu poklepała mnie po ręce. (Siedzieliśmy na kanapie w salonie domu Stantonów, gdzie ściskaliśmy się i obejmowaliśmy, aż wreszcie odsunęliśmy się od siebie, ona z jakimś tajonym smutkiem, a ja zmęczony i rozdrażniony pożądaniem zbyt długo przeciąganym i nie zaspokojonym). Poklepała mnie po ręce i powiedziała:

– No, to nie studiuj prawa. Przecież nie musisz.

– Więc co chcesz, żebym robił?

– Jackie, ja nigdy nie chciałam, żebyś studiował prawo. To był twój pomysł.

– Ach tak? – zapytałam.

– Tak – odrzekła i znów mnie poklepała po ręce. – Rób to, na co masz ochotę. Chcę, żebyś zajmował się tym, co ci odpowiada. I będzie mi obojętne, jeżeli nie zrobisz pieniędzy. Już dawno ci mówiłam, że z tobą mogę się żywić fasolą.

Wstałem z kanapy. Po pierwsze dlatego, żeby Anna mnie nie klepała po ręce w ten sposób, który mi nagle przypomniał klepanie po ręce chorego przez pielęgniarkę, jakieś bezosobowe poklepywanie, które ma być kojące. Stałem z daleka od niej i powiedziałem stanowczo:

– W porządku, ze mną możesz się żywić fasolą. Więc się pobierzemy. Jutro. Dziś. Dość długo już się wygłupiamy. Mówisz, że mnie kochasz. No dobrze, a ja Kocham Ciebie.

Nic nie odpowiedziała; siedziała na kanapie, z rękami złożonymi bezwładnie na kolanach; uniosła twarz, nagle jakąś zmęczoną i ściągniętą, i spojrzała na mnie oczami, które powoli rozbłyły od nie wylanych łez.

– Kochasz mnie przecież? – zapytałam. Wolno kiwnęła głową.

– I wiesz, że ja cię Kocham? Znowu kiwnęła głową.

– No więc?

– Jack... – zaczęła i przerwała na chwilę. – Jack, ja cię Kocham. Czasem wydaje mi się, że mogłabym cię pocałować, objąć, zamknąć oczy i skoczyć z tobą w przepaść. Albo jak wtedy, kiedy zanurkowałeś do mnie i całowaliśmy się w wodzie, i zdawało się, że nigdy nie wypłyniemy. Pamiętasz?

– Pamiętam – odparłem.

– Tak właśnie kochałam cię wtedy, Jack.

– A teraz? – zapytałem. – Teraz co?

– Teraz też, Jack; myślę, że teraz też mogłabym to zrobić. Ale jest jakoś inaczej.

– Inaczej?

– Och, Jack! – wykrzyknęła i po raz pierwszy, przynajmniej pierwszy raz, jaki zapamiętałem, uczyniła ten gest podniesienia rąk do skroni, ten gest hamowania desperacji, który nigdy nie miał być dla niej charakterystyczny, ale który miałem jeszcze zobaczyć. – Och, Jack – powtórzyła. – Różne rzeczy się stały, tyle się stało. Od tamtej pory.

– Co się stało?

– Ach, bo po prostu małżeństwo nie jest jak skok w przepaść. Miłość też nie jest taka, nie jest jak skok w przepaść. Albo tonięcie. To jest... jest... och, nie wiem, jak powiedzieć... próba jakiegoś życia, znalezienia sobie sposobu życia.

– Pieniądze – powiedziałem. – Jeżeli ci chodzi o pieniądze...

– Nie o pieniądze – przerwała mi. – Nie mam na myśli pieniędzy... och, Jack, gdybyś ty potrafił mnie zrozumieć!

– Cóż, nie mam zamiaru wziąć posady u Pattona ani u nikogo z tutejszych. Ani ich nie poproszę, żeby mi wyrobili posadę. Nawet Irwina. Wezmę posadę, obojętne jaką, ale nie u nich.

– Kochanie – powiedziała ze znużeniem – ja nie próbuję cię tu ściągnąć. Ani namówić na pracę u Pattona. Czy u kogoś innego. Chcę, żebyś robił to, na co masz ochotę. Byleby to było coś. Nawet jeżeli nie zrobisz pieniędzy. Powiedziałam ci, że mogę mieszkać w chałupie.

Wróciłem więc do szkoły prawnej i dzięki wytrwałym wysiłkom osiągnąłem to, że mnie wylali. Potrzeba było sporo starań, żeby zostać wylanym, bo na uniwersytecie stanowym człowiek nie może tego osiągnąć zwykłymi środkami. Musi na to zapracować. Oczywiście mogłem się po prostu wypisać, ale jeżeli się tylko przestanie studiować

albo wypisze, można zawsze wrócić. Więc zrobiłem tak, że mnie wylali. A potem, kiedy to oblewałem w przeświadczeniu, że Anna się rozzłości i rzuci mnie, wplątałem się w pewną historię z jednym moim kumplem i dwiema dziewczynami, z czego wyniknął mały skandal, który się dostał do gazet. Byłem już wtedy eks-studentem i uniwersytet nie mógł nic poradzić. Anna także nie mogła, bo sądzę, że w tym czasie byłem już dla niej eks-ptaszkiem.

I tak Anna poszła swoją drogą, a ja swoją. Moją drogą była praca dla gazety, wałęsanie się po mieście i czytanie dzieł na temat historii Ameryki. W końcu zacząłem znowu chodzić na wykłady uniwersyteckie, zrazu tylko w wolnych chwilach, a potem już na serio. Wstępowałem w uroki przeszłości. Przez jakiś czas wydawało się, że między mną a Anną nastąpiła zgoda, ale jakieś kółko nie zaskoczyło i wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Nie zrobiłem doktoratu. Wróciłem do „Kroniki”, gdzie pracowałem jako reporter, i to diablo dobry. I nawet się ożeniłem. Z Lois o piekielnej urodzie, która była chyba o wiele ładniejsza od Anny, i jakaś soczysta, podczas gdy Anna miała budowę raczej kościstą i muskularną. Lois wydawała się bardziej jadalna, czuło się, że wszystko w niej jest miękkie aż do końca, stanowiła jakąś przedziwną kombinację *filet mignon* i brzoskwini z Georgii, ogromnie apetyczną i gotową ociekać czystym złotem. Wyszła za mnie z przyczyn najlepiej znanych jej samej. Ale jedną z nich było bez wątpienia to, że nazywałem się Burden. Jestem zmuszony do wyciągnięcia takiego wniosku w drodze eliminacji. Nie mogła bowiem tego sprawić moja uroda, mój wdzięk, czar, dowcip, intelekt i wiedza, bo po pierwsze moja uroda, wdzięk i czar nie były wielkie, po wtóre zaś Lois nie obchodził ani trochę dowcip, intelekt i wiedza. Nawet gdybym je miał. Nie mogły też sprawić tego pieniądze mojej matki, bo owdowiała matka Lois miała w bród pieniądze, które ojciec Lois zarobił na jakichś korzystnych dostawach żwiru w czasie wojny, nieco za późno, aby

zapewnić córce tak zwane awantaze w najbardziej wrażliwym jej wieku. Musiało to więc sprawić nazwisko Burdenów.

Chyba że Lois kochała się we mnie. Wciągam tę możliwość na listę jedynie dla logicznego i schematycznego uzupełnienia, gdyż jestem całkiem pewny, że Lois wiedziała o miłości tylko tyle, jak się pisze to słowo i jak się wykonuje pewne fizjologiczne zabiegi tradycyjnie kojarzone z tym pojęciem. Nie pisała zbyt dobrze, natomiast owe zabiegi wykonywała z dużą umiejętnością i zamiłowaniem. Zamiłowanie było wrodzone, umiejętność zaś była sztuką, a *ars longa est*. Wiedziałem o tym pomimo całego wytrawnego i bogatego aktorstwa, do jakiego Lois była zdolna. Wiedziałem, ale udało mi się to zagrzebać gdzieś na tylnym podwórku mego umysłu, niczym szczura przychwyconego w spizarni na chrupaniu sera. Myślę, że w gruncie rzeczy było mi to obojętne, dopóki nie działo się nic takiego, co by mnie mogło zmusić do spojrzenia faktom w oczy. A z chwilą, kiedy znalazła się w moich ramionach, pani Burden była bardzo wierna lub bardzo dyskretna, bo nic się nigdy nie stało. I wszystko szło wtedy doskonale.

„Jack i ja jesteśmy doskonale dobrani seksualnie” – mawiała Lois pretensjonalnym tonem, bo była bardzo zaawansowana w tym, co w jej oczach uchodziło za myślenie, i bardzo nowoczesna w sposobie wyrażania się. Spoglądała po twarzach gości zebranych w prostym, modernistycznym mieszkaniu (jej gusty zmierzały w tym kierunku, a nie ku balkonikom wychodzącym na urocze stare podwóreczka, jej pieniądze zaś opłacały komorne) i opowiadała im, jak doskonale jesteśmy dobrani, i mówiąc to, dorzucała poprzez ptysia z kremem czekoladowym ze dwie dodatkowe sylaby do słowa „seksualnie”. Przez jakiś czas nie miałem nic przeciwko temu, że mówiła gościom, jak świetnie jesteśmy dopasowani. To nawet mi pochlebiało, bo nikt nie mógł mieć za złe łączenia własnego imienia z imieniem Lois czy fotografowania się z nią publicznie. Toteż

uśmiechałem się skromnie do zebranej grupki osób, podczas gdy Lois opowiadała im o tym świetnym dopasowaniu. Ale potem zaczęło mnie to drażnić.

Dopóki uważałem Lois za piękną, soczystą, miękką, wibrującą, słodko pachnącą, słodko oddychającą maszynkę do wzbudzania i zaspokajania pewnych apetytów (a z taką właśnie Lois się ożeniłem), wszystko było dobrze. Ale gdy tylko począłem uważać ją za człowieka, zaczęły się kłopoty. Wszystko byłoby też może dobrze, gdyby w okresie dojrzewania Lois została tknięta niemotą. Wówczas nie oparłby się jej żaden mężczyzna. Ale Lois umiała mówić, a kiedy jakaś rzecz mówi, wcześniej czy później zaczynasz słuchać odgłosów, jakie wydaje, i nawet mimo wszelkich przeciwnych dowodów zaczynasz uważać to coś za człowieka. Zaczynasz stosować do tego ludzkie mierniki i ów ludzki element kazi ci swoją niewinną, rajska przyjemność czerpaną z owej soczystej, słodko pachnącej maszynki. Uwielbiałem Lois maszynkę, tak jak uwielbia się *filet mignon* albo brzoskwinie z Georgii, ale zdecydowanie nie miałem uwielbienia dla Lois człowieka. Mówiąc ściśle, w miarę jak sobie uświadamiałem, że Lois maszynka jest własnością i narzędziem Lois człowieka (a przynajmniej tego czegoś, co umiało mówić), owa Lois maszynka, którą niewinnie kochałem, zaczęła się upodabniać do pięknego, bujnego mięczaka, rozwartego i pulsującego w połyskliwej toni, ja zaś do jakiegoś małego, bezlitośnie przyciąganego morskiego żyjątko. Albo przypominała ową kadź wina, w której utopiono księcia Clarence, a ja niewątpliwie byłem księciem. Albo też przypominała żarłoczne, łapczywe, rozkoszne trzęsawisko połykające zbłąkanego, zapóźnionego wędrowca z ostatnim znużonym, bulgoczącym, zadowolonym westchnieniem. Tak, to żarłoczne, rozkoszne trzęsawisko mogłoby połączyć z owym ostatnim, lubieżnym westchnieniem wszystkie uroczyste świątynie, przepyszne pałace, baszty, blanki, muzea, biblioteki, chaty, szpitale, domy, miasta i

wszelkie twory człowiecze. Albo tak mi się wydawało, o ile pamiętam. Ale paradoksalne jest to, że dopóki Lois była jedynie maszynką, dopóki była tylko dobrze ubranym zwierzątkiem, dopóki stanowiła cząstkę niewinnej, pozaludzkiej przyrody, dopóki nie zacząłem spostrzegać, że dźwięki, jakie wydaje, są słowami, nie było nic złego ani w niej, ani w tej doprawdy niezwyklej przyjemności, jakiej potrafiła dostarczać. Dopiero kiedy zauważyłem, że ta Lois zmieszana jest z tamtą i że ma pewne cechy ludzkie, zacząłem myśleć, że wszystkie twory człowiecze mogłyby zostać pochłonięte przez trzęsawisko. Jest to bardzo subtelny paradoks.

Nie powziąłem bynajmniej decyzji, żeby się nie dać pochłonać. Instykt samozachowawczy jest zakorzeniony głębiej od decyzji. Człowiek nie podejmuje decyzji, by płynąć, kiedy wpadnie do wody. Zaczyna wierzcąć nogami. I ja też zacząłem po prostu wić się, skręcać i wierzcąć. Najpierw, pamiętam, była sprawa przyjaciół Lois (w naszym nowoczesnym mieszkaniu nie powstała noga żadnego z moich przyjaciół, jeśli można w ogóle nazwać przyjaciółmi ludzi, których znałem z redakcji, z knajpy czy z klubu dziennikarzy). Nabrałem odrazy do przyjaciół Lois. Właściwie nic im nie mogłem zarzucić. Byli po prostu najzwyczajniejszą odmianą ludzkiego śmiecia. Niektórzy z nich mieli to, co Lois, niezbyt dobrze w tych sprawach zorientowana, nazywała „pozycją”, nie mieli natomiast zbyt wiele pieniędzy i lubili popijać u Lois za darmo. Inni nie mieli wprawdzie „pozycji”, ale za to więcej pieniędzy niż Lois i potrafili się zachować w towarzystwie. Byli wreszcie tacy, którzy nie mieli zbyt wysokiej pozycji ani zbyt wiele pieniędzy, lecz za to pewien kredyt u lepszych krawców i dawali się jej tyranizować. Wszyscy czytali „Vanity Fair” albo „Harper’s Bazaar” (zależnie od płci; niektórzy zaś czytali i jedno, i drugie) oraz „Smart Set” i cytowali Dorotę Parker, a ci, co byli tylko w Chicago, płaszczyli się przed tymi, co byli w Nowym Jorku, ci zaś, co byli tylko w Nowym Jorku, płaszczyli się przed tymi, co byli w

Paryżu. Jak mówię, nie można było tym ludziom zarzucić nic specjalnego i niektórzy z nich byli zupełnie przyjemni i atrakcyjni. Wspominając te czasy, przyznaję, iż miałem im do zarzucenia tylko to, że byli przyjaciółmi Lois. Z początku wyrobiła się we mnie pewna rezerwa w stosunkach z nimi, później natomiast postawa, którą Lois określała jako arogancję. Po jednym z takich moich popisów Lois spróbowała mnie poskromić, odmawiając mi słodyczy swej płci.

Tak wyglądała sprawa przyjaciół Lois. Ale po drugie, była sprawa jej mieszkania. Mieszkanie to mi obrzydło. Powiedziałem Lois, że nie chcę w nim zostać. Że weźmiemy sobie takie, które będę mógł opłacać ze swojej pensji. Mieliliśmy na ten temat kilka starć, których wcale nie spodziewałem się wygrać. I po nich znów odmawiano mi owych słodyczy.

Tak wyglądała sprawa mieszkania. Ale po trzecie, była sprawa mojego ubierania się i tego, co Lois lubiła nazywać „zadbaniem”. Byłem przyzwyczajony do trzydziestodolarowych garniturów, noszenia koszuli przez dwa dni z rzędu, strzyżenia się raz na dwa miesiące, do nie wyglansowanych butów, kapelusza z obwisłym i poskręcany rondem, pazurek stale połamanych i czasem brudnych. A zwyczaj prasowania spodni miałem za coś, co się nie ostanie. Na początku, kiedy uważałem Lois tylko za tę luksusową maszynkę, pozwoliłem na dokonanie pewnych ledwie dostrzegalnych zmian w moim wyglądzie. Ale kiedy zacząłem sobie uświadamiać, że odgłosy, które wydaje ustami, przypominają ludzką mowę i są czymś więcej niż prymitywnymi żądaniem jedzenia lub kopulacji, względnie wyrazem zadowolenia z jednego czy drugiego, wytworzył się we mnie pewien opór. A w miarę jak wzrastał się nacisk na poprawienie mojego „zadbania”, rósł także ten opór. Raz po raz znikwały części mej garderoby, do których przywykłem, a na ich miejsce pojawiały się oznajmiane lub ukradkowe prezenty. Początkowo tłumaczyłem sobie owe prezenty jako wynikające ze źle pojętej, zrodzonej z uczucia



chęci sprawienia mi przyjemności. W końcu pojąłem, że względ na moją przyjemność jest w tym wypadku na ostatnim miejscu. Kryzys przyszedł, kiedy wyglansowałem sobie but nowym krawatem. Doszło do awantury, pierwszej z wielu spowodowanych różnicą naszych upodobań w dziedzinie konfekcji. I słodycze znowu zostały mi odmówione z tej przyczyny.

Były mi odmawiane z wielu przyczyn. Ale nigdy nie na długo. Czasem kapitulowałem i przepraszałem. Początkowo te moje przepraszania były niekiedy smutne i w danej chwili nawet szczere, choć często zaprawione jakimś współczuciem dla samego siebie. Później natomiast stały się arcydziełami ironii, *double-entendre* i aktorstwa i leżałem w łóżku, wypowiadając je, świadom, że moja twarz w ciemnościach wykrzywia się w maskę samozadowolonej chytryści, goryczy i odrazy. Ale nie zawsze ja ugiąłem się pierwszy, bo czasem soczysta maszynka Lois brała górę nad oschłą i sztywną Lois człowiekiem. Bywało, że wzywała mnie głosem cichym i napiętym z nienawiści, a później, podczas procesu, który z kolei następował, odwracała ode mnie twarz albo jeśli na mnie patrzyła, to wzrokiem osaczonego zwierzęcia. Bądź też, jeżeli nawet sama mnie nie wezwała, mogła ulec w zapale szamotania się ze mną, które rozpoczynała z całym przekonaniem, ale którego oschła i sztywna Lois człowiek nie mogła wytrzymać, wobec czego ta druga Lois brała górę. W każdym razie, czy ugięła się ona, czyja, oboje pośród zmiętoszonej pościeli, milczącej nienawiści i ruin czyjegoś szacunku dla samego siebie udowodnialiśmy, że – jak Lois zapewniała swoich gości – jesteśmy doskonale dobrani seksualnie. I tak rzeczywiście było.

To, że byliśmy dobrani tak doskonale, sprawiło tylko, że w końcu, wiedziony głęboko zakorzenionym instynktem samozachowawczym, począłem się zadawać ze zwykłymi kurwami. W owym czasie opracowywałem wydanie wieczorne dziennika i kończyłem zajęcia

o drugiej po południu. Po kilku whisky i późnym obiedzie w jakiejś knajpie, następnie zaś kilku kolejnych whisky i partyjce bilardu w klubie dziennikarzy, dzwoniłem do któregoś ze znajomych. Potem, przy kolacji, jeżeli zdążyłem do domu na kolację, a także wieczorem, obserwowałem Lois z kliniczną obojętnością i poczuciem tajemnego odrodzenia. Doszedłem nawet do tego, że niemal w dowolnej chwili mogłem sobie wytworzyć złudzenie optyczne. Mogłem patrzeć na Lois w pewien sposób i stwierdzać, że jakby się oddala, a cały pokój wydłuża się razem z nią, aż wreszcie stawało się tak, jak gdybym patrzył na nią przez odwróconą lornetkę. Ta praktyka dawała mi wielkie odświeżenie duchowe. W końcu nabrałem w niej takiej wprawy, że mogłem słyszeć głos Lois – jeżeli to był jej wieczór wymyślań, a nie ponurego milczenia – jakby dolatywał z ogromnego oddalenia i nawet nie był skierowany do mnie.

Wreszcie przyszła faza ostatnia, faza Wielkiego Snu. Co wieczór, zaraz po kolacji, kładłem się do łóżka i spałem smacznie aż do ostatniej możliwej chwili następnego rana, ze słodkim uczuciem ciągłego spadania ku ośrodkowi rozkosznej czerni. Czasem nie czekałem nawet na kolację i na przyjemność obserwowania Lois. Po prostu kładłem się do łóżka. Pamiętam, że późną wiosną przeszło mi to nieomal w zwyczaj. Wracalem z popołudniowych zajęć, spuszczałem rolety w sypialni i kładłem się do łóżka, a łagodne światło wsączało się dokoła rolet, ptaki ćwierkały i śpiewały na drzewach małego ogrodu przy domu, a dzieci nawoływały się melodyjnie na placu zabaw w parku. Kładzenie się do łóżka późnym wiosennym popołudniem albo o zmierzchu, z tymi odgłosami w uszach, daje człowiekowi cudowne poczucie spokoju, spokoju, który musi przypominać spokój starości po dobrze spędzonym życiu.

Ale oczywiście była też Lois. Niekiedy przychodziła do mojej sypialni – w tym czasie przeniosłem się ze swoim poważnym spaniem do pokoju gościnnego – siadała na skraju łóżka i częstowała mnie długimi

opisami mojej osoby, opisami, prawdę mówiąc, raczej monotonnymi, gdyż miała niewielki dar wymowy i musiała wciąż powtarzać trzy czy cztery klasyczne określenia. Niekiedy biła mnie zaciśniętymi pięściami. Miała bezsilny, kobiecy sposób posługiwania się tymi swoimi drobnymi, białymi piąstkami. Potrafiłem drzemać podczas owych opisów, a nawet bez mała podczas owego bicia pięściami po boku i plecach. Czasami płakała i dawała upust ogromnemu współczuciu dla siebie. Raz czy dwa nawet wśliznęła się do mego łóżka. To znów otwierała drzwi pokoju i nastawiała w salonie gramofon, tak że cały dom się trząsł. Ale nic z tego nie wychodziło. Potrafiłem przesypiać to wszystko albo prawie.

Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy otworzyłem oczy i poczułem na sobie palec losu: wiedziałem, że nadszedł czas. Wstałem, spakowałem walizkę, wyszedłem i więcej nie wróciłem. Do tego nowoczesnego mieszkania i do Lois, która była piękna i do której byłem tak znakomicie dopasowany.

Nie widziałem jej od tamtej pory, ale wiem, jak wygląda teraz, kiedy koktajle, słodczyce, późne chodzenie spać i prawie czterdzieści lat wycisnęły piętno na brzoskwiniowych policzkach, na perłowych, dojrzałych, lecz jędrnych piersiach, giętkiej talii, zamyślonych, czarnych, aksamitno-wilgotnych oczach, obrzmiałych wargach, przepysznych udach. Siedzi gdzieś na kanapie, utrzymywana mniej albo więcej w formie przez wigor masażystki i taśmy lateksu opasujące ją sekretnie jak mumię, nasycona całym wszechświatem, który wchłonęła z przeciągłym westchnieniem rozkoszy. I dłonią, której spiczaste paznokcie są tak purpurowe, jak gdyby właśnie wydarła nimi zachłannie trzewia jeszcze żywego, przeznaczonego na ofiarę ptaka, sięga do srebrnej patery po czekoladkę. I kiedy czekoladka jest jeszcze w powietrzu, dolna warga odchyła się i za karminem mikroskopijnie spękanej polewy pomadki do ust widać wilgotną, bledszą czerwień oczekujących błon podniebienia

oraz nikły błysk złotej plomby w ciemnym, gorącym otworze.

Zegnaj, Lois, przebaczam ci wszystko, co ci zrobiłem.

Co się zaś tyczy dziejów Anny Stanton w owym okresie, to sprawa jest krótka. Po dwóch latach w wykwintnym college'u dla panien w Wirginii wróciła do domu. Adam był podówczas na Wschodzie, w szkole medycznej. Anna chodziła przez rok na różne przyjęcia w stolicy i zaręczyła się. Ale nic z tego nie wyszło. Narzeczony był człowiekiem przyzwoitym, inteligentnym i zamożnym. Po jakimś czasie nastąpiły drugie zaręczyny, lecz znowu coś wynikło. Wówczas gubernator Stanton był już prawie niedołężny, a Adam studiował za granicą. Anna przestała chodzić na przyjęcia z wyjątkiem sporadycznych zabaw urządzanych latem w Landing. Siedziała w domu przy ojcu, podawała mu lekarstwa, poprawiała poduszki, pomagała pielęgniarce, czytała mu godzinami, trzymając go za rękę w letnim zmierzchu czy w zimowe wieczory, kiedy dom dygotał od podmuchów morskiego wichru. Gubernatorowi trzeba było siedmiu lat, żeby umrzeć. Kiedy zaś umarł w wielkim łożu z baldachimem, otoczony pochylonymi nad nim licznymi i kosztownymi talentami medycznymi, Anna pozostała w domu nad morzem, mając za towarzyszkę tylko Ciotkę Sophonisbę, słabowitą, mrukliwą, kłótliwą i nieporadną starą Murzynkę, łączącą dobrotliwość z mściwą tyranią w ten swoisty sposób znany tylko starym Murzynkom, które spędziły życie na czulej służbie, na wścibstwie, przymilnościach i szykanach, na krótkich buntach i przeciągłych szyderstwach, i w używanym odzieniu. A potem umarła i Ciotka Sophonisba, Adam zaś wrócił z zagranicy, obławowany akademickimi wyróżnieniami i fanatycznie oddany swej pracy. Wkrótce po jego powrocie Anna przeniosła się do miasta, żeby być bliżej brata. Wówczas dobiegała już trzydziestki.

Zamieszkała samotnie w małym mieszkanku. Od czasu do czasu chodziła na obiad z jakąś kobietą, która niegdyś była jej przyjaciółką z dzieciństwa, lecz teraz przebywała w innym świecie. Niekiedy wybierała się na przyjęcie do domu którejś ze znajomych albo do country klubu. Zaręczyła się po raz trzeci, tym razem z mężczyzną o siedemnaście czy osiemnaście lat od niej starszym, wdowcem z kilkorgiem dzieci, zamożnym adwokatem, filarem społeczeństwa. Był to porządny człowiek, jeszcze krzepki i dosyć przystojny. Miał nawet poczucie humoru. Ale Anna nie wyszła za niego. Coraz częściej, w miarę upływu lat, oddawała się dorywczej lekturze, na którą składały się biografie (Daniela Boone'a czy Marii Antoniny), tak zwane dobre powieści i książki mające za temat poprawę społeczeństwa – a także bezpłatnej pracy na rzecz schroniska i sierocińca. Zewnętrznie trzymała się doskonale i wciąż, w sposób nieco surowy, dbała o strój. Bywały teraz chwile, kiedy jej śmiech dźwięczał trochę głucho i oschle, jak śmiech wynikający z nerwów, a nie z wesołości i pogody. Czasem w toku rozmowy jakby traciła wątek i pogrążała się w zamyśleniu, aby się ocknąć z zakłopotaniem i nie wypowiedzanymi na głos wyrzutami sumienia. Czasem też robiła ów gest podnoszenia obu dłoni do czoła, z palcami ledwie dotykającymi skóry, albo też odrzucała w tył głowę ruchem subtelnej desperacji. Dobiegała już trzydziestki piątki. Ale wciąż potrafiła być przyjemną towarzyszką.

Taka była ta Anna Stanton, którą wybrał sobie Willie Stark, która na koniec mnie zdradziła, albo raczej zdradziła jakąś moją wizję, mającą dla mnie większą wagę, niż kiedykolwiek myślałem.

Dlatego wsiałem do samochodu i ruszyłem na Zachód, bo kiedy źle ci tam, gdzie jesteś, zawsze udajesz się na Zachód. My zawsze ciągnęliśmy na Zachód.

Dlatego utonąłem w Zachodzie i przeżyłem od nowa moje życie niby rodzinny film.

Dlatego znalazłem się na hotelowym łóżku w Long Beach w Kalifornii, na ostatnim brzegu, wśród wspaniałości przyrody. Bo tam właśnie przybywasz, gdyś już przepłynął oceany, jedząc spleśniałe suchary, uwięziony przez czterdzieści dni i nocy w miotanej burzą pułapce na myszy, kiedy się napociłeś w kniejach, słuchając wycia dzikich, gdy zbudowałeś chaty i miasta i przerzuciłeś mosty przez rzeki, gdy zległeś z kobietami i rozproszyłeś swoje potomstwo niby garść prosa na wietrze, gdy ułożyłeś grzmiące dokumenty, wypowiedziałeś wniosłe przemówienia i unurzałeś ręce po łokcie we krwi, gdyś nadygotał się od malarii na bagnach i od lodowatych wichrów na wyżynnych preriach. Tam właśnie przybywasz, by leżeć samotnie na hotelowym łóżku w Long Beach, w Kalifornii. Leżałem tam, a za oknem neon zapalał się i gaśł w takt mego serca, jego skurczów i rozkurczów, rumieniąc wciąż od nowa szarą nadmorską mgłę barwą, która przypominała krew.

Leżałem tak, utonąwszy w Zachodzie, a moje ciało spłynęło tu, by spocząć w pokrzepiającym mule podświadomości na morskim dnie Historii. Leżąc tam, miałem – jak mi się wówczas zdawało – wspaniały widok na moją własną historię i pojąłem, że dziewczyna, którą znałem tamtego lata dawno temu, nie była piękna i urocza, ale po prostu ładna i zdrowa, i chociaż śpiewała piosenki swemu ptaszkowi, tuląc do piersi jego głowę, nie kochała go wcale, lecz jedynie doznawała tajemniczego świerzbieńca we krwi, i wtedy on akurat znalazł się pod ręką, a słowo „miłość” było określeniem na owo tajemnicze świerzbieńcie. I że dręczyło ją to tajemnicze świerzbieńcie, że miotła się między jego nakazami a lękiem, że wszystkie jej odmowy i wahania nie wynikały z jakiegoś marzenia o tym, by „miłość była coś warta” i że bym ja to marzenie zrozumiał, ale z tych obaw, które wszepały jej do ucha stare, syczące, kwaśno pachnące baby z konwencjonalnego towarzystwa, pochylone niczym chrzestne wróżki nad kołyską, w której leżała, i że te wahania

i odmowy nie były ani lepsze, ani gorsze od najgorętszego oddania, ani lepsze, ani gorsze od odmów stosowanych przez Lois w innych celach. I w końcu nie mogłem już odróżnić Anny Stanton od Lois Seager, bo były do siebie podobne, i chociaż szalony poeta William Blake napisał poemat, w którym powiadał Przeciwnikowi, który jest Księciem tego Świata, że nigdy nie zdoła przemienić Kate w Nan, to jednak ten szalony poeta mylił się całkowicie, albowiem każdy może przemienić Kate w Nan, jeżeli zaś Książę nie potrafił tego uczynić, to tylko z tej przyczyny, że Kate i Nan były przede wszystkim zupełnie do siebie podobne, a właściwie nawet jednakie, tylko z iluzoryczną różnicą imienia, która nic nie znaczyła, bo imiona nie znaczą nic, i wszystkie słowa, jakie wypowiadamy, nie mają żadnego znaczenia, i jest tylko tętno we krwi i skurcz nerwów, podobnie jak w nodze martwej żaby, gdy podczas doświadczenia przepuszcza się przez nią prąd elektryczny. Toteż, leżąc z zamkniętymi oczami na łóżku w Long Beach, widziałem w wewnętrznym mroku, niczym w trzęsawisku, ogromne falowanie i wicie się niezliczonych ciał i odłączonych od ciał członków, oblanych potem, a może nawet krwawiących z nie zatamowanych ran. Lecz w końcu to widowisko, które mogłem przywołać zwykłym aktem zamknięcia oczu, wydało mi się tylko śmieszne. Więc roześmiałem się głośno.

Roześmiałem się głośno, a potem, popatrzywszy przez pewien czas, jak neonowa reklama rytmicznie rumieni nadmorską mgłą, zasnąłem. Kiedy się obudziłem, byłem gotów wracać do miejsc i rzeczy, od których odszedłem.

Przed laty na żelaznym łóżku w moim pokoju leżała naga młoda dziewczyna z zamkniętymi oczami, z rękami złożonymi na piersiach, a ja byłem tak poruszony patosem jej uległości, jej ufności we mnie i owej chwili, która ją miała zanurzyć w wezbrany, ciemny nurt świata, że zawahałem się przed dotknięciem jej ręką i nie rozumiejąc sam

siebie, wykrzyknąłem jej imię. Wówczas nie znajdowałem słów na określenie tego, co czułem, i teraz też jest mi trudno je znaleźć. Lecz kiedy tam leżała, wydawała się znowu tą małą dziewczynką, która w dzień pikniku unosiła się na wodach zatoki, z oczami zamkniętymi, pod burzliwym, winnofioletowym niebem, z samotną białą mewą przelatującą bardzo wysoko. Gdy tam leżała, ten obraz pojawił mi się w myślach i zapragnąłem wykrzyknąć jej imię, powiedzieć jej coś, ale co, tego nie wiedziałem. Ufała mi, lecz ja być może nie ufałem sam sobie w owej chwili wahania i ujrzałem przeszłość jako coś cennego, co ma nam być odjęte, i zląkłem się przyszłości. Nie rozumiałem tego, co w tej chwili chyba nareszcie pojąłem: że przeszłość możemy zachować, jedynie mając przyszłość, bo obie są z sobą związane na zawsze. Dlatego zabrakło mi jakiegoś podstawowego zaufania do świata i do siebie. Z czasem i Anna zaczęła to we mnie podejrzewać. Nie wiem, czy miała słowa, żeby samej sobie to opisać. Czy też miała jedynie te łatwe słowa, które dali jej ludzie: że trzeba pracować, studiować prawo, coś robić.

Jak powiedziałem, rozeszły się nasze drogi w świecie, ale wciąż miałem w sobie obraz dziewczynki leżącej na wodach zatoki, pod burzliwym niebem, dziewczynki, która była wszystka niewinnością i zaufaniem. A potem przyszedł dzień, kiedy obraz ten został mi odebrany. Dowiedziałem się, że Anna Stanton została kochanką Williego Starka, że za sprawą jakiejś niepojętej i nieuniknionej logiki sam mu ją oddałem. To było zbyt straszne, aby się z tym pogodzić, bo obrabowywał mnie z jakiejś części przeszłości, którą żyłem – do tej chwili nieświadomie.

Uciekłem więc od tego faktu na Zachód, a na Zachodzie, u krańców Historii – ostatni człowiek na tym ostatnim brzegu, na moim hotelowym łóżku – odkryłem sen. Ten sen był snem, którym jest całe życie, z wyjątkiem mrocznych fal krwi i skurczów nerwów. Kiedy uciekniesz jak możesz najdalej, zawsze odnajdziesz ów sen, będący snem naszego wieku. Z



początku jest koszmary i okropny, lecz w końcu może się stać w pewien szczególny sposób pokrzepiający i odświeżający. Przynajmniej taki był dla mnie przez pewien czas. Był pokrzepiający, bo po nim zrozumiałem, że Anna Stanton w pewnym sensie nie istniała. Słowa „Anna Stanton” były po prostu nazwą dziwnie skomplikowanego mechanizmu, który nie powinien mieć żadnego znaczenia dla Jacka Burdena będącego po prostu innym dość skomplikowanym mechanizmem. Wówczas, kiedy po raz pierwszy odkryłem ten punkt widzenia – odkryłem naprawdę, samodzielnie, nie z żadnej książki – poczułem, że dotarłem do tajemnego źródła wszelkiej siły i wszelkiej wytrwałości. Ten sen rozwiązuje wszystkie problemy.

Z początku był, jak powiedziałem, raczej pokrzepiający i odświeżający. Bo nie ma powodu, żeby po snach nie wrócić i nie spojrzeć w oczy faktowi, od którego się uciekało (nawet jeżeli tym faktem jest to, że odgrzebując prawdę o przeszłości, oddało się Annę Stanton Williemu Starkowi). Bo każde miejsce, do którego można uciec, będzie odtąd takie jak to, z którego uciekłeś, i ostatecznie możesz równie dobrze wrócić na swoje miejsce, bo nic nie było twoją ani niczyją winą, ponieważ wszystko zawsze jest tym, czym jest. I możesz wrócić w dobrym nastroju, bo poznałeś dwie bardzo wielkie prawdy. Po pierwsze, że nie można utracić tego, czego się nigdy nie miało. Po drugie, że nigdy nie jesteś winien przestępstwa, którego nie popełniłeś. Więc jednak na Zachodzie można znaleźć niewinność i zacząć wszystko od nowa.

Jeżeli wierzysz w sen, który ci się śni, kiedy tam zmierzasz.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tak więc przeleżawszy jakiś czas na łóżku w Long Beach w Kalifornii i ujrawszy to, co ujrzałem, wstałem bardzo odświeżony i ruszyłem z powrotem, twarzą ku porannemu słońcu. Rzucało ono w moją stronę cienie białe, różowo lub bladoniebiesko tynkowanych domów (w stylu hiszpańskich misji, w stylu mauretańskim albo amerykańsko-frymuśnym), cienie stacji benzynowych przypominających bajeczne domki z pierników albo dom Annę Hathaway czy eskimoskie igloo, cienie pałaców jaśniejących na wzgórzach pośród wyniosłych sylwetek eukaliptusów, cienie lwich garbów górskich, cień wagonu towarowego, zapomnianego na opuszczonej bocznicy, cień człowieka idącego ku mnie białą drogą z oddali połyskliwej jak kwarc. Rzucało w moją stronę piękny, fiołkowy cień całego świata, gdy tak jechałem z powrotem, ale ja wciąż mknąłem dalej z wielką szybkością, bo jeżeli się było naprawdę w Long Beach w Kalifornii i prześniło swój sen na hotelowym łóżku, nie ma powodu, żeby nie wracać z nową ufnością tam, skąd się przyszło, gdyż teraz już się wie, a wiedza jest siłą.

Można docisnąć pedał gazu do samej podłogi tak, aby ta sześćdziesięciokonna tajemnica skomlała niczym ogar szarpiący się na smyczy.

Minąłem owego człowieka, który szedł ku mnie, a jego twarz przemknęła obok jak skrawek papieru w wichurze albo jak chłopięce nadzieje. Ja zaś roześmiałem się głośno.

Widziałem ludzi spacerujących po rynkach małych pustynnych miasteczek. Widziałem w restauracji kelnerkę odpędzającą muchę

ruchem bezsilnego protestu, podczas gdy elektryczny wentylator kłůł powietrze rozrzedzone i gorące jak podmuch pieca hutniczego. Widziałem komiwojażera, który stojąc tuż przede mną przy biurku portiera w hotelu, mówił: „I pan to nazywasz hotelem, przyjacielu? Zamawiam telegraficznie pokój z łazienką, a wy go nie rezerwujecie. To cud, że w ogóle macie pokój z łazienką w takiej mieścinnie”. Widziałem pasterza owiec, stojącego samotnie na olbrzymiej mesie. Widziałem Indiankę o oczach koloru czarnej melasy, spoglądającą na mnie z nad piramidy garnków zdobionych plemiennymi symbolami życia i płodności, a przeznaczonych głównie dla tanich domów towarowych. Patrząc na tych wszystkich ludzi, czułem wielką siłę mojej tajemnej wiedzy.

Pamiętam, jak kiedyś, dawno temu, gdy Willie Stark był jeszcze marionetką i naiwniakiem, w czasach kiedy był Kuzynkiem Wilusiem ze wsi i po raz pierwszy kandydował na gubernatora, pojechałem do zaśnieźdzałej zachodniej części stanu, aby zrobić reportaż z tamtego pikniku i przemówień w Upton. Jechałem miejscowym pociągiem, który godzinami trząśł i sapał pośród pól bawełny, a potem wśród bożydrzewu. W jakimś małym miasteczku, gdzie się zatrzymał, wyjrzałem przez okno i pomyślałem, jak bardzo te płoty z desek czy drutu wokoło drewnianych domków są niewystarczające, aby powstrzymać napór pofalowanej, puszystej od bożydrzewu przestrzeni, niejako gotowej zalać i pochłonać domki. Myślałem sobie, że owe domki wydają się tu nie na miejscu, są jakieś zaimprovizowane, rzucone byle jak, że ludzie gotowi są każdej chwili zostawić je razem z płachtami bielizny rozwieszanej na sznurach, bo nie byłoby czasu jej zdjąć, gdyby wreszcie uświadomili sobie, że muszą odejść, i to szybko. Przyszło mi to na myśl, ale w chwili, gdy pociąg ruszał, jakaś kobieta stanęła w kuchennych drzwiach jednego z bliższych domków i chlusnęła wodą z garnka. Chlusta tak wodą, potem chwilę patrzy na odjeżdżający pociąg i bez pośpiechu zawraca do domu.

Ona nie ma zamiaru uciekać. Zawraca do domu, do jakiejś tajemnicy, która w nim jest, jakiejś wiedzy. I kiedy pociąg odjeżdżał, doznałem wrażenia, że to ja uciekam, i że muszę uciekać prędko, bo niedługo się ściemni. Myślałem o tej kobiecie, że posiada jakąś sekretną wiedzę, i zazdrościłem jej. Często zazdrościłem ludziom. Ludziom, których widywałem przelotnie albo takim, których znałem od dawna, mężczyźnie, co w kwietniu wyorywał długą, prostą bruzdę na czarnym polu, albo Adamowi Stantonowi. Zazdrościłem chwilami ludziom, którzy zdawali się posiadać jakąś sekretną wiedzę.

Ale teraz, gdy pędziłem na wschód przez pustynię, w cieniu gór, mijając mesy i płaskowzgórza, i widziałem ludzi w tym przepysznym, pustym kraju, nie myślałem, bym kiedyś jeszcze musiał komuś zazdrościć, bo byłem pewny, że oto posiadam ową sekretną wiedzę, a mając wiedzę, można stawie czoło wszystkiemu, gdyż wiedza jest mocą.

W osadzie nazywającej się Don Jon, w stanie Nowy Meksyk, rozmawiałem z człowiekiem, który siedział oparty o ocienioną ścianę stacji benzynowej, rozkoszując się jedynym kawałkiem cienia na przestrzeni stu mil ku wschodowi. Był to stary mężczyzna, chyba siedemdziesięcioletni, o twarzy jak wysuszony na słońcu jucht i bladoniebieskich oczach pod rondem filcowego, niegdyś czarnego kapelusza. Jedyne godne uwagi w tym człowieku było to, że kiedy patrzyło się na ten wysuszony od słońca jucht twarzy, która wydawała się sztywne i pozbawiona życia jak skóra na szczęce mumii, spozstrzegano się nagle skurcz lewego policzka pod bladoniebieskim okiem. Zrazu myślałem, że ten człowiek chce mrugnąć, ale on nie miał zamiaru mrugać. Ów skurcz był po prostu zjawiskiem niezależnym, nie związanym z twarzą ani z tym, co kryło się za twarzą, ani z niczym w owej całej sieci zjawisk będącej światem, w którym jesteśmy zagubieni. Osobliwy był w owej twarzy ten skurcz żyjący swym własnym, odrębnym, małym życiem. Przysiadłem

obok mężczyzny na kupie gałganów, z których sterczała rączka blaszanej patelni, i słuchałem tego, co mówi. Ale jego słowa nie miały życia. Żywy był tylko ten skurcz, którego już sobie nie uświadamiał.

Kiedy mi napełniono zbiornik benzyną, dalej obserwowałem ów skurcz, odrywając na chwilę wzrok od szosy, gdy obaj siedzieliśmy obok siebie w samochodzie, pędząc na wschód. Ten człowiek też wracał na wschód. Przybył tu w czasach, kiedy burze piaskowe zdmuchiwały precz pół kraju, a ludzie parli na zachód niczym oszalałe lemingi. Tylko że ludziom, którzy tam wyruszyli, brakowało wspaniałego zapamiętania lemingów. Nie rzucili się w pław niezliczonymi, opętanymi hordami prosto na środek błękitnego Pacyfiku. A to byłoby właściwie logiczne, po prostu rzucić się w pław – tata i mama, dziadzio i babcia, i maleństwo z ropiejącą ranka na drobnej bródce – całym hurmem, młóćąc wodę na pianę i prac przed siebie. Ale nie, oni nie byli jak lemingi, więc tu osiedli i powoli przymierali głodem w Kalifornii. Natomiast ten stary tak nie zrobił. Wracał do północnego Arkansas, przymierać głodem tam, skąd pochodził.

– Kalifornia – powiedział. – To takie samo coś jak reszta świata, tyle że tego więcej.

– Aha – odparłem. – To fakt.

– Pan żeś tam był? – zapytał. Odpowiedziałem mu, że byłem. – I wracasz pan do domu? Powiedziałem mu, że wracam do domu.

Dojechaliśmy przez Teksas do Shreveport w Luizjanie i tam rozstał się ze mną, aby pobrać do północnego Arkansas. Nie zapytałem go, czy poznał prawdę w Kalifornii. Jego twarz poznała ją w każdym razie i tę ostateczną wiedzę nosiła pod lewym okiem. Twarz ta wiedziała, że żywy jest jej skurcz. Ze on jest wszystkim. Ale rozstawszy się z tym skądinąd przeciętnym człowiekiem, zastanawiałem się, co go wyróżniało, i pomyślałem, że jeżeli ów skurcz jest wszystkim, to czy coś może zdawać

sobie z tego sprawę? Czy noga martwej żaby w laboratorium wie, że skurcz jest wszystkim, gdy się przepuszcza przez nią prąd elektryczny? Czy twarz tego człowieka wiedziała o skurczu i o tym, że on jest wszystkim? Jeżeli zaś ja cały jestem tylko skurczem, to skąd ów skurcz będący mną wie, że jest wszystkim? A to właśnie jest tajemnica, pomyślałem. To jest ta sekretna wiedza. I trzeba pojechać do Kalifornii, żeby to odkryć w mistycznym jasnowiedzeniu. Żeby odkryć, iż sam skurcz może wiedzieć, że jest wszystkim. A potem, pojąwszy to w mistycznym jasnowiedzeniu, czujesz się czysty i swobodny. Jesteś pojedypany z Wielkim Skurczem.

Jechałem więc dalej na wschód i po dłuższym czasie znalazłem się w domu.

Wróciłem późną nocą i położyłem się do łóżka. Nazajutrz stawiłem się w biurze, wypoczęty, starannie ogolony, i wmaszerowałem tam, aby przywitać się z Szefem. Miałem ogromną chęć go zobaczyć, przypatrzeć mu się dokładnie, przekonać się, czy jest w jego wyglądzie coś, co przedtem uszło mojej uwagi. Musiałem przyjrzeć mu się dobrze, bo był człowiekiem, który teraz miał wszystko, gdy ja nie miałem nic, albo raczej – poprawiłem się – miał wszystko z wyjątkiem tego, co ja miałem, tej wielkiej rzeczy, sekretu. Zrobiłem więc tę poprawkę i po trosze w nastroju kapłana, który spogląda z dobrośliwym politowaniem na ludzkie trudy i znoje, wszedłem do biura gubernatora, minąłem recepcjonistkę i zapukawszy od niechcenia, znalazłem się w gabinecie.

Siedział tam i nie zmienił się ani trochę.

– Cześć, Jack – powiedział, odgarnął włosy z oczu, spuścił nogi z biurka i podszedł do mnie, wyciągając rękę. – Gdzieś ty się, u diaska, podziewał, chłopcze?

– Byłem na Zachodzie – odparłem tonem rozmyślnie niedbałym, ujmując wyciągniętą dłoń. – Pojechałem trochę na Zachód. Sprzykrzyło mi się tutaj, więc sobie zrobiłem małe wakacje.

- Dobrześ się bawił?
- Wspaniale się bawiłem – odrzekłem.
- To świetnie – powiedział.
- A co u ciebie słysząc? – zapytałem.
- Wszystko dobrze – odparł. – Doskonale.

Tak więc wróciłem do miejsca, gdzie wszystko było doskonale. Wszystko było tak samo doskonale jak przed moim wyjazdem, tylko że teraz znałem już sekret. I ta moja sekretna wiedza wyodrębniła mnie. Jeżeli posiadasz sekret, nie możesz w gruncie rzeczy nawiązać kontaktu z tym, kto go nie ma, podobnie jak nie możesz nawiązać kontaktu z ruchliwym, nafaszerowanym witaminami brzdącem, który bawi się klockami albo blaszanym bębenkiem. A nie możesz wziąć kogoś na stronę i zwierzyć mu sekretu. Jeżeli tak zrobisz, to ów facet czy facetka, któremu lub której chcesz powiedzieć prawdę, pomyśli, że się litujesz nad sobą i oczekujesz współczucia, podczas gdy w rzeczywistości nie oczekujesz współczucia, ale gratulacji. Toteż wykonywałem swoje powszednie zajęcia, jadłem swój chleb powszedni, oglądałem dawne, znane twarze i uśmiechałem się dobrotliwie jak kapłan.

Był czerwiec i bardzo gorąco. Co wieczór – poza tymi wieczorami, kiedy przesiadywałem w klimatyzowanym kinie – wracałem po kolacji do swego pokoju, rozbierałem się do naga i kładłem na łóżku, podczas gdy elektryczny wentylator mruczał i drażył mi mózg, i czytałem książkę, dopóki nie uświadomiłem sobie, że hałas miasta stopniał już niemal tylko do pojedynczego, dalekiego klaksonu taksówki albo pojedynczego, zagubionego zgrzytu i brzęku nocnego tramwaju, który właśnie wyruszył. Wtedy wyciągałem rękę, gasiłem światło, przekręcałem się na drugi bok i zasypiałem, a wentylator wciąż mruczał i drażył.

Adama widziałem w czerwcu kilka razy. Był jeszcze bardziej niż przedtem pochłonięty pracą nad ośrodkiem medycznym, jeszcze bardziej

ponuro i lodowato zaharowany. Z końcem roku akademickiego nastąpił oczywiście pewien luz w zajęciach na uniwersytecie, ale wszelkie pofolgowanie na tym odcinku Adam nadrobił z nawiązką wzmożeniem prywatnej praktyki i pracy w klinice. Kiedy do niego zaszedłem, powiedział, iż cieszy się, że mnie widzi, i może istotnie się ucieszył, ale nie miał mi wiele do powiedzenia i gdy tam siedziałem, pogrążał się w sobie coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie doznałem uczucia, że usiłuję mówić do kogoś, kto jest na dnie studni, i że powinienem krzyczeć, ażeby mnie zrozumiał. Raz tylko się ożywił, kiedy któregoś wieczora wspomniał mi, że ma nazajutrz jakąś operację, a ja zapytałem, co to za przypadek.

Odpowiedział, że to przypadek schizofrenii katatonicznej.

– To znaczy, że ten gość ma fioła? – spytałem.

Adam uśmiechnął się i przyznał, że mniej więcej coś takiego.

– Nie wiedziałem, że się kraje ludzi dlatego, że mają fioła – powiedziałem. – Myślałem, że się ich tylko uspokaja, daje im zimne kąpiele, każe wyplatać koszyczki z rafii i opowiadać własne sny.

– Nie – odparł. – Można ich krajać. – A potem dodał niemal przeproszającym tonem: – Lobektomia czołowa.

– Co to takiego?

– Usuwa się z obu stron po kawałku czołowego płatu mózgu – odrzekł.

Spytałem, czy ten gość wyżyje. Odpowiedział, że nigdy nie wiadomo na pewno, ale jeżeli wyżyje, będzie już inny. Zapytałem, co to znaczy: inny.

– A, inna osobowość – odparł.

– Coś tak jak po nawróceniu i chrzcie?

– To nie daje innej osobowości – powiedział. – Kiedy ktoś się nawróci, zachowuje nadal tę samą osobowość. Działa ona jedynie w kategoriach innego zespołu wartości.

– A ten facet będzie miał inną osobowość?



– Tak – odrzekł Adam. – W tej chwili tylko przesiaduje na krześle albo leży na wznak na łóżku i patrzy w przestrzeń. Czoło ma pofałdowane i zmarszczone. Od czasu do czasu wydaje cichy jęk albo okrzyk. W niektórych takich przypadkach wykrywamy istnienie manii prześladowczej. Ale zawsze pacjent jest najwyraźniej w stanie porażającej, dotkliwej depresji. Natomiast kiedy go zoperujemy, będzie zupełnie inny. Odprężony, wesoły, przyjacielski. Czoło mu się wygładzi. Będzie spał dobrze, jadł dobrze i uwielbiał opierać się o parkan ogródka i wieszować sąsiadom ich nasturcji i kapusty. Będzie zupełnie szczęśliwy.

– Jeżeli możesz zagwarantować takie wyniki – powiedziałem – to powinieneś błyskawicznie się dorobić. Jak tylko ta wiadomość się rozejdzie.

– Nigdy nie można nic gwarantować – odrzekł Adam.

– A co będzie, jeżeli to nie wypadnie przepisowo?

– Cóż – odparł – bywały przypadki... nie u mnie, Bogu dzięki... że pacjent nie stawał się wesoło ekstrawertywny, ale kompletnie i radośnie amoralny.

– To znaczy, że w biały dzień przewracał pielęgniarki na podłogę?

– Mniej więcej – powiedział Adam. – Jeżeli mu się pozwoliło. Znikały wszelkie zwyczajne hamulce.

– No, jeżeli ten twój jutrzejszy typ wyjdzie z tego taki, to niewątpliwie będzie cennym nabytkiem dla społeczeństwa.

Adam uśmiechnął się kwaśno i powiedział:

– Nie będzie gorszy od całej masy ludzi, których nie krajano.

– A mógłbym przyjrzeć się temu krajaniu? – zapytałem. Nagle poczułem, że muszę to zobaczyć. Nigdy nie widziałem operacji. Jako dziennikarz oglądałem trzy egzekucje przez powieszenie i jedną na krześle elektrycznym, ale to co innego. Przy wieszaniu nie zmienia się osobowości człowieka. Po prostu zmienia mu się długość szyi i nadaje

kpiący wyraz twarzy, a na elektrycznym krześle smaży się w całości jakieś podskakujące mięso. Natomiast ta operacja miała być bardziej radykalna nawet od tego, co przydarzyło się Saulowi na drodze do Damaszku. Zapytałem więc, czy mogę być przy operacji.

– Dlaczego? – spytał Adam, wpatrując się w moją twarz. Powiedziałem mu, że przez zwykłą ciekawość. Odrzekł, że dobrze, ale to nie będzie ładne.

– Chyba równie ładne jak wieszanie – odparłem.

Wtedy zaczął mi opowiadać o tym przypadku. Rysował mi szkice i wyciągał różne książki. Ożywił się znacznie i o mało mnie całkiem nie zagadał. Było to tak ciekawe, że zapomniałem zadać mu pewne pytanie, które mi przeleciało przez głowę na początku naszej rozmowy. Powiedział mianowicie, że w wypadku religijnego nawrócenia osobowość się nie zmienia, tylko działa w kategoriach innego zespołu wartości. No więc chciałem go zapytać, jakim sposobem – jeżeli osobowość się nie zmienia – dany człowiek otrzymuje inny zespół wartości, w którego kategoriach jego osobowość ma działać. Ale wtedy wyleciało mi to z głowy.

W każdym razie zobaczyłem tę operację.

Adam tak mnie przystroił, żebym mógł stać z nim przy stole operacyjnym. Przeprowadzono pacjenta i położono go na stole. Był to chudy osobnik z haczykowatym nosem i kwaśną twarzą, przypominający trochę Andrew Jacksona albo prowincjonalnego kaznodzieję, pomimo białego turbanu z wysterylizowanych ręczników, który miał na głowie. Ale ten turban zsunięto dość daleko do tyłu pod zawadiackim kątem, bo trzeba było obnażyć przednią część głowy. Była ona ogolona. Założono mu maskę i uśpiono go. Wtedy Adam wziął skalpel i zrobił zgrabne małe nacięcia w poprzek nad czołem i w dół na skroniach, po czym zwyczajnie odciągnął od kości skórę, która równym płatem zwisła do przodu. Zrobił to tak, że wojownik z plemienia Komanczów, dzierżący nóż do

skalpowania, wyglądałby przy nim jak nowicjusz. Tymczasem zbierano tamponami krew, której było dość dużo.

A potem Adam wziął się do właściwej roboty. Miał przyrząd, który przypominał świder korbowy. Wywiercił nim pięć czy sześć otworów – fachowo nazywają to borowaniem – z jednej i z drugiej strony czaszki. Następnie zaczął pracować czymś, co jak mi przedtem powiedział, nazywało się piłą Gigliego, a co wyglądało jak gruby drut. Tym piłował kość, dopóki z obu stron przodu głowy nie wykrajał luźno odchodzącego płatu, który mógł odchylić, aby się dostać do właściwego mechanizmu wewnątrz. Albo raczej mógł to zrobić zaraz po przecięciu małej, białawej błony nazywanej oponą mózgową.

Do tego momentu operacja trwała już przeszło godzinę albo tak mi się przynajmniej zdawało i rozbolały mnie nogi. W sali było gorąco, ale nie robiło mi się słabo, nawet pomimo widoku krwi. Po pierwsze ten człowiek leżący na stole nie wydawał się rzeczywisty. Zapomniałem w ogóle, że to człowiek, i obserwowałem tę ciesielską robotę wysokiej klasy. Nie zwracałem uwagi na takie elementy owego procederu, które wskazywały, że rzecz leżąca na stole jest człowiekiem. Na przykład pielęgniarka ciągle mierzyła ciśnienie krwi, a od czasu do czasu krzątała się przy aparacie do transfuzji, bo przez cały czas robiono pacjentowi transfuzję z zawieszonyj na stojaku butelki, od której biegła w dół gumowa rurka.

Spisywałem się dobrze, dopóki nie rozpoczęli przepalania. Do wyjmowania kawałków mózgu posługują się elektrycznym przyrządkiem, który jest po prostu małym metalowym prętem tkwiącym w rączce, z której wychodzi sznur elektryczny. Całość wygląda jak elektryczne rurki do włosów. Trzeba zaznaczyć, iż od początku było dla mnie uderzające, że wszystkie te kosztowne przyrządy są tak logiczne, proste i swojskie i że przypominają zupełnie przybory znajdujące się w każdym dobrze wyposażonym gospodarstwie domowym. Przetrzęsnawszy

kuchnię i toaletkę żony, można by w pięć minut zgromadzić ekwipunek wystarczający do rozpoczęcia praktyki na własną rękę.

Otóż w procesie elektroauteryzacji ten mały pręcik wykonuje cięcie albo raczej przepalanie. I jest przy tym trochę dymu i dużo swędu. Mnie przynajmniej wydawało się, że dużo. Z początku nie było tak źle, ale potem przypomniałem sobie, gdzie czułem już taki zapach. Było to dawno temu, w moim dzieciństwie, tej nocy, kiedy w Landing spaliła się stara stajnia remizy i nie zdążyli wyprowadzić wszystkich koni. W nieruchomym, wilgotnym, nasyconym nocnym powietrzu unosił się swąd smażących się koni i nie sposób go było zapomnieć, nawet kiedy przestałeś słyszeć ich kwik. Gdy tylko uświadomiłem sobie, że palony mózg wydziela taki sam odór jak palące się konie, zrobiło mi się niedobrze.

Ale wytrzymałem do końca. Zabrało to wiele czasu, jeszcze całe godziny, bo można wycinać tylko po małym kawałku mózgu naraz i trzeba się dostawać coraz głębiej i głębiej. Wytrzymałem, dopóki Adam nie zaszył opon mózgowych, nie założył na miejsce płatów czaszki, nie naciągnął płatu skóry i nie przyfastrygował go jak się patrzy.

A potem wyrzucono te małe wycięte kawałeczki mózgu, ażeby sobie spokojnie snuły swe małe myśli gdzieś pośród odpadków, to zaś, co zostało wewnątrz rozszczepionej czaszki chudego jegomościa, zapieczętowano na powrót, pozwalając, by sobie wymyśliło zupełnie nową osobowość.

Kiedy wyszedłem z Adamem i kiedy się mył, i obydwaj zdejmowaliśmy te nasze białe nocne koszule, powiedziałem do niego:

- Cóż, zapomniałeś go ochrzcić.
- Ochrzcić? – zapytał Adam, ściągając białą nocną koszulę.
- Aha – odparłem. – Bo narodził się znowu, i to nie z kobiety.

Chrzczę cię w imię Wielkiego Skurczu, Małego Skurczu i Ducha Świątego. Który też zapewne jest Skurczem.

- Co ty wygadujesz, u licha? – zapytał.

– Nic – odparłem. – Po prostu próbowałem być dowcipny. Adam uśmiechnął się nikło, wyrozumiale, lecz najwyraźniej nie uważał, żeby to było zbyt zabawne. I wspominając to, ja sam także nie mogę uznać, żeby było. Natomiast wtedy wydawało mi się zabawne. Uważałem, że można z tego boki zrywać. Ale owego lata, z wyżyn mej olimpijskiej mądrości, uważałem za zabawne bardzo wiele spraw, które dziś wcale mi się takie nie wydają.

Po operacji nie widziałem Adama przez dłuższy czas. Wyjechał na Wschód w interesach, jak przypuszczam, w sprawie szpitala. A potem, wkrótce po jego powrocie, wydarzyła się rzecz, która sprawiła, że Szefer omal nie znalazł się wobec konieczności poszukania innego dyrektora.

To, co się zdarzyło, było proste i do przewidzenia. Pewnego wieczoru Adam i Anna, którzy byli razem na kolacji, wszedłszy na schody obskurnej kamienicy, ujrzeli na podeście przed drzwiami wysoką, chudą, ubraną na biało postać w białej panamie na głowie, z cygarem, które żarzyło się w ciemnościach nieco w bok od punktu, gdzie powinny były znajdować się usta, i wydzielalo kosztowny aromat współzawodniczący z zapachem kapusty. Ów facet zdjął biały kapelusz, wetknął go sobie lekko pod łokieć i zapytał Adama, czy jest doktorem Stantonem. Adam odpowiedział, że tak. Wtedy tamten oświadczył, że nazywa się Coffee („Hubert Coffee jestem”), i zapytał, czy może wejść na minutkę.

Adam i Anna weszli i Adam zapytał go, czego sobie życzy. A on stał w swoim białym, starannie odprasowanym ubraniu i białobrązowych butach, które niewątpliwie były wymyślnie szyte i miały otwory wentylacyjne w skórze (bo jak się dowiedziałem, Hubert był nie lada elegantem – dwa białe garnitury na dzień, podobno też białe jedwabne kalesony z czerwonymi monogramami, czerwone jedwabne skarpetki i frymuśne buty – i pochrząkiwał, jękał się, pokasywał dyskretnie i znacząco wskazywał Annę piwnymi oczami (o barwie i konsystencji

zużytego oleju samochodowego) tkwiącymi w pociągłej, cytrynowożółtej twarzy. Anna powiedziała mi później – bo od niej mam informacje o tym zdarzeniu – iż myślała, że przyszedł jako pacjent, więc przeprosiła ich i wyszła do kuchni, ażeby wstawić do elektrycznej lodówki mały karton z lodami, który kupiła w narożnym drugstorze. Planowała sobie spokojny, cichy wieczór z Adamem. (Jednakże spokojne, ciche wizyty u Adama musiały tego lata być dla niej niezbyt odprężające. Zapewne gdzieś w głębi jej mózgu tkwiło stale pytanie, co będzie, kiedy Adam się dowie, jak jego siostra spędza niektóre inne wieczory. Albo też może potrafiła zamknąć tę część swojego mózgu, podobnie jak zamyka się kilka pokoiów w dużym domu i zasiada w przytulnym – czy też może już nie tak przytulnym – saloniku. I może siedząc w nim, wciąż nasłuchiwała skrzypienia podłogi lub nieustannego stąpania w owych zamkniętych pokojach na górze?)

Wstawiwszy lody do lodówki, zauważyła w zlewie jakieś brudne naczynia. Więc żeby się nie plątać pod nogami rozmawiającym w pokoju mężczyznom, wzięła się do zmywania. Już prawie z tym skończyła, gdy wtem niezrozumiały szmer głosów umilkł. Ta nagła cisza zwróciła jej uwagę. A potem rozległ się suchy łomot (tak to opisywała) i usłyszała głos brata: „Wynoś się!” Następnie doleciał do niej odgłos jakiegoś szybkiego ruchu i trzaśnięcie frontowych drzwi.

Weszła do saloniku i zastała Adama na środku pokoju, bardzo bladego, pocierającego lewą dłońią prawą pięść, którą przyciskał do brzucha, i wpatzonego w drzwi. Gdy Anna weszła, obrócił do niej wolno głowę i powiedział:

– Uderzyłem go. Nie chciałem tego zrobić. Jeszcze nigdy nikogo nie uderzyłem.

Musiał zresztą uderzyć Huberta dość mocno, bo knykcie miał obtłuczone i spuchnięte. Adam miał dobry zamach ramienia, chociaż był szczupły. Tak czy owak, stał tam, pocierając okaleczone knykcie

z wyrazem otępiełego niedowierzania na twarzy. Niedowierzenie to odnosiło się najwyraźniej do jego własnego postępuku.

Anna, bardzo zdenerwowana, zapytała go, co się stało.

Stało się to, co – jak już wspomniałem – było proste i do przewidzenia. Gummy Larson nasłał Huberta Coffee – który z uwagi na swoje białe garnitury i monogramowane kalesony uchodził za człowieka odznaczającego się finezją i dżentelmeńskim podejściem – ażeby spróbował przekonać doktora Stantona, by ten użył swojego wpływu i nakłonił Szefa do powierzenia budowy ośrodka medycznego Larsonowi. Adam o tym wszystkim nie wiedział, bo można być pewnym, że Hubert we wstępnym stadium rozmowy nie wymienił nazwiska tego, kto za nim stał. Jednakże gdy tylko usłyszałem nazwisko Coffee, wiedziałem od razu, że idzie o Larsona. Hubert w ogóle nie wyszedł poza wstępne stadium rozmowy. Ale widocznie potraktował to stadium dosyć szeroko. Adam z początku nie mógł się połapać, o co idzie, i Hubert zapewne uznał, że jego drogocenna subtelność poszłaby na marne wobec takiego tumana, przeszedł więc szybko do rzeczy. Dotarł do stwierdzenia, że Adamowi coś by z tego skapnęło, i wtedy właśnie nacisnął guzik, który spowodował wybuch.

Jeszcze pełen niedowierzania, pocierając swoją zdrętwiałą dłoń, Adam jakimś dalekim głosem opowiedział Annie, co się stało. Skończywszy, schylił się, żeby podnieść zdrową lewą ręką ogarek cygara, który powoli wypalał dziurę w starym zielonym dywanie. Trzymając cuchnący ogarek z dala od siebie, podszedł do kominka i wrzucił go do paleniska, na którym (jak zauważyłem podczas moich wizyt) leżał jeszcze popiół po ostatnim ogniu rozpalonym na wiosnę oraz kawałki papieru i skórki pomarańcz z lata. Potem zawrócił i rozdeptał tłące się miejsce na dywanie, zapewne z jakąś symboliczną furią. Przynajmniej mogłem sobie wyobrazić tę scenę.

Podszedł do biurka, usiadł, wyjął pióro i papier i zaczął pisać. Kiedy

skończył, obrócił się do Anny i wyjaśnił, że właśnie podał się do dymisji. Nie powiedziała nic. Ani słowa. Mówiła mi, iż wiedziała, że nie ma sensu z nim dyskutować, dowodzić, iż nie jest winą gubernatora Starka ani samej pracy, że przyszedł jakiś łobuz i próbował go przekupić. Widziała po twarzy Adama, że nie warto nic mówić. Innymi słowy, Adam musiał odczuwać nacisk jakiejś instynktownej niechęci, która przybrała formę moralnego oburzenia i moralnej odrazy, ale która niewątpliwie była czymś odmiennym, tkwiącym głębiej niż jedno i drugie, i w końcu irracjonalnym. Wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju, najwyraźniej w ogromnym podnieceniu. Anna mówiła, że wydawał się nieomal wesoły, jak gdyby miał wybuchnąć śmiechem. Sprawiał wrażenie uszczęśliwionego, że ta cała historia się zdarzyła. A potem wziął list i nalepił nań znaczek.

Anna obawiała się, że natychmiast wyjdzie, aby go wysłać, bo stał na środku pokoju i obracał kopertę w palcach, jak gdyby zastanawiając się, czy to zrobić. Ale nie wyszedł. Położył list na kominku, przeszedł się jeszcze po pokoju, a następnie rzucił się na stołek przy fortepianie i zaczął bębnić po klawiszach. Bębnił tak przez dwie godziny z górą, w duszną czerwcową noc, a pot mu ściekał po twarzy. Anna mówiła mi, że siedziała tam przestraszona, nie wiedząc, czego się boi.

Gdy skończył i obrócił do niej mokrą od potu, bladą twarz, przyniosła lody i urządzili sobie wesołe rodzinne przyjętko. Potem Anna wyszła, wsiadła do swego samochodu i pojechała do domu.

Zatelefonowała do mnie. Spotkałem się z nią w nocnym drugistorze i tam, nad sztucznym marmurem blatu stolika, zobaczyłem ją po raz pierwszy od owego majowego poranka, kiedy to stojąc w drzwiach swojego mieszkania, wyczytała pytanie w mej twarzy i wolno, bez słowa, kiwnęła głową w odpowiedzi. Kiedy tego wieczora usłyszałem jej głos w telefonie, serce, tak jak dawniej, podskoczyło we mnie niczym żaba dająca z pluskiem susa do stawu i przez chwilę miałem wrażenie, że nie



stało się to, co się stało. Ale się stało i teraz, gdy taksówka wiozła mnie ku centrum miasta, do tego całonocnego drugstore'u, miałem jedynie spaczoną i gorzką satysfakcję, że mnie wzywają w jakiejś niezwyklej sprawie, na którą tamten nie umiałby dać odpowiedzi. Ale ta satysfakcja zapomniała nawet, że ma być spaczona i gorzka, i przez chwilę była zwyczajną satysfakcją, kiedy wysiadłszy z taksówki, ujrzałem Annę stojącą za szklanymi drzwiami drugstore'u, zgrabną, wyprostowaną, w jasnozielonej sukni w groszki, z jakimś białym żakiecikiem przewieszonym przez obnażoną rękę. Spróbowałem rozeznac wyraz jej twarzy, lecz zanim zdążyłem tego dokonać, spostrzegła mnie i uśmiechnęła się.

Był to niepewny, przepraszający uśmiech, który mówił: „proszę” i „dziękuję”, a jednocześnie wyrażał niewinną i absolutną ufność, że zwycięży lepsza strona mojej natury. Poszedłem przez rozgrzany trotuar ku temu uśmiechowi i tej zielonkawej w groszki postaci, która tam stała za szkłem, jak coś, co wystawiono w gablocie na podziw, lecz nie do dotykania. A potem popchnąłem szklaną taflę drzwi i zostawiłem za sobą ulicę, na której powietrze było gorące i lepkie jak w łaźni tureckiej i gdzie wyciewy benzyny mieszały się z mdłym, słodkawym zapachem rzeki, który wpełzał do miasta w spokojne letnie noce – i wszedłem w jasno oświetlony, rzeź wy, antyseptyczny, chłodny świat za szkłem, gdzie był ów uśmiech, albowiem nie ma nic równie jasnego, rzeźwego, antyseptycznego i chłodnego jak naprawdę pierwszorzędny narożny drugstore w gorącą letnią noc. Jeśli za drzwiami czeka Anna Stanton, a klimatyzacja działa.

Uśmiech zwrócił się w moją stronę, oczy spojrzały wprost na mnie i Anna wyciągnęła rękę. Ująłem ją, myśląc Jaka jest chłodna, drobna i mocna, jak gdybym dopiero w tej chwili to odkrywał, i usłyszałem głos Anny:

– Wygląda na to, że stale do Ciebie wydzwaniam, Jack.

– Ach, nic nie szkodzi – powiedziałem i puściłem jej rękę.

Zapewne staliśmy tam bez słowa tylko moment, ale mnie wydało się to długą i boleśnie kłopotliwą chwilą, podczas której żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć, aż wreszcie rzekła:

– Usiądźmy.

Ruszyłem w stronę małych łóż ze stolikami, kątem oka zauważyłem, że Anna zrobiła taki ruch – szybko powściągnięty – jakby mnie chciała wziąć pod rękę. Gdy to spostrzegłem, satysfakcja, która przez chwilę była zwykłą satysfakcją, stała się znowu tą gorzką i spaczoną, z którą wyszedłem z domu. I taka pozostała, kiedy usiadłem w łóży i spojrzałem na twarz Anny, już teraz nie uśmiechniętą, z widocznym napięciem skóry na delikatnej kości, zdradzającą zapewne te lata, które minęły od czasu, gdy siedzieliśmy w samochodzie i Anna nuciła swojemu ptaszкови, obiecywała, że nie pozwoli, aby ktokolwiek skrzywdził jej biednego ptaszka. Cóż, dotrzymała obietnic, bo zanim przyszła jesień, ptaszek odleciał tamtego lata do jakichś cieplejszych krajów, gdzie nikt go nie mógł skrzywdzić i skąd już więcej nie wrócił. Przynajmniej ja nie widziałem go od tej pory.

Teraz siedziała przy stoliku i opowiadała mi nad szklankami coca-coli, co się zdarzyło w mieszkaniu Adama.

– I co chcesz, żebym zrobił? – spytałem, kiedy skończyła.

– Ty wiesz – odrzekła.

– Chcesz, żebym go namówił do zostania?

– Tak – odparła.

– To będzie trudne. Kiwnęła głową.

– Będzie trudne – mówiłem dalej – bo Adam postępuje jak zupełny wariat. Mogę mu tylko udowodnić, że jeżeli ten drań Coffee chciał go przekupić, wskazuje to jedynie, że ta praca jest na poziomie, dopóki Adam zechce ją na nim utrzymać. Wskazuje to, co więcej, że ktoś, kto

jest wyżej, także odmówił przyjęcia łapówki. Wskazuje to nawet, że Tiny Duffy jest uczciwym człowiekiem. Albo też – dodałem – że nie mógł dostarczyć towaru.

– Spróbujesz? – zapytała.

– Spróbuję – odparłem – ale nie rób sobie za wielkich nadziei. Mogę udowodnić Adamowi tylko to, co sam powinien był wiedzieć, gdyby nie zwariował. On ma te wysokie, wymyślne skrupuły moralne. Nie lubi się bawić z brzydkimi chłopczykami. Boi się, że mogą mu zbrukać jego ubranko Małego Lorda Fauntleroy.

– To niesprawiedliwe! – wybuchła. Wzruszyłem ramionami, po czym odrzekłem:

– No, w każdym razie spróbuję.

– Co chcesz zrobić?

– Można zrobić tylko jedno. Pójdę do gubernatora Starka, namówię go, żeby kazał zaarrestować Coffee’ego pod zarzutem próby przekupienia urzędnika – bo Adam jest przecież urzędnikiem – i poproszę Adama, żeby potwierdził to pod przysięgą. Jeżeli będzie chciał przysiąc. To mu powinno pokazać, jak sprawa wygląda. To mu powinno pokazać, że SzeF go będzie ochraniał. A poza tym... – Do tej chwili myślałem tylko o Adamie, ale teraz objawiły mi się różne możliwości, jakie ta sytuacja nasuwała. – Poza tym SzeFowi wcale by nie zaszkodziło, gdyby zamknął Coffee’ego. Zwłaszcza jeżeli Coffee wygada, kto za nim stoi. SzeF może wtedy wykończyć Larsona. A bez Larsona MacMurfee nie będzie wiele znaczył. A SzeF może Coffee’ego zamknąć, jeżeli ty... – I urwałem, jak nożem uciął.

– Jeżeli ja co? – spytała.

– Nic – odpowiedziałem i poczułem się tak jak wówczas, gdy jedziesz wesoło przez most zwodzony i nagle przeszło zaczyna się wznosić.

– Ale co? – zapytała.

Spojrzałem w jej baczne oczy, zauważyłem jej zaciśnięte szczęki i zrozumiałem, że mogę to powiedzieć. Męczyłaby mnie dopóty, dopóki by się nie dowiedziała. Więc rzekłem:

– Jeżeli ty byś złożyła zeznanie.

– Zrobię to – powiedziała bez wahania. Potrząsnąłem głową.

– Nie – odparłem.

– Zrobię to.

– Nie, to nie przejdzie.

– Dlaczego?

– Po prostu nie przejdzie. Ostatecznie ty nic nie widziałas.

– Byłam tam.

– To byłoby tylko zeznanie ze słyszenia. Nic więcej. Nigdy by się nie utrzymało.

– Nie wiem – odrzekła. – Nie znam się na tych rzeczach. Ale wiem jedno. Wiem, że ty nie dlatego zmieniłeś w tej chwili zdanie. Z jakiego powoduje zmieniłeś?

– Nigdy nie zeznawałaś jako świadek. Nie wiesz, co to jest, kiedy jakiś cwany, sprytny adwokat zacznie cię piłować do siódmego potu.

– Zrobię to – powtórzyła. – Nie.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Posłuchaj – powiedziałem i zamknąwszy oczy, skoczyłem z owego podniesionego przęsła mostu. – Jeżeli myślisz, że adwokat Coffee’ego nie miałby różnych rzeczy w zanadru, to jesteś taka sama wariatka jak Adam. Będzie złośliwy, będzie sprytny i nie będzie miał ani odrobiny pięknej, staroświeckiej, południowej rycerskości.

– Myślisz, że... – zaczęła i po jej twarzy poznałem, że zrozumiała, o co chodzi.

– Właśnie – odrzekłem. – Teraz może nikt nic nie wie, ale jak się raz zacznie zabawa, ludzie dowiedzą się o całej historii.

– Wszystko mi jedno – oświadczyła i uniosła brodę o parę stopni wyżej.

Zauważyłem drobne zmarszczki na jej szyi, drobniutkie zmarszczki, ten mały znak pozostawiany dzień po dniu przez pajęczy, dusicielski powróż, który czas zarzuca codziennie na najpiękniejszą nawet szyję, by ją zadławić. Powróż ów jest taki pajęczy, że co dzień pęka, ale znaki wreszcie się odciskają, aż w końcu pewnego dnia nie pęka i wtedy już jest po wszystkim. Popatrzyłem na owe znaki, gdy Anna uniosła brodę, i uprzytomniłem sobie, że nigdy ich dotąd nie zauważyłem i że od tej pory będę je zawsze dostrzegał. Nagle poczułem się okropnie – zrobiło mi się dosłownie słabo, jak gdyby ktoś mnie grzmotnął w brzuch albo jakbym się spotkał z czyjąś ohydną zdradą. I zanim się zorientowałem, to, co czułem, przemieniło się w gniew i wybuchłem.

– Taaak! – powiedziałem. – Tobie wszystko jedno, ale zapominasz o jednym. Zapominasz, że Adam będzie tam siedział i patrzył na swoją siostrzyczkę.

Jej twarz zrobiła się biała jak prześcieradło.

A potem opuściła nieco głowę i zapatrzyła się w swoje dłonie obejmujące kurczowo pustą szklankę po coca-coli. Głowę schyliła tak nisko, że nie widziałem oczu, tylko przykrywające je powieki.

– Kochanie, kochanie... – szepnąłem, po czym chwyciłem ją za ręce zaciśnięte wokoło szklanki i wyrwały mi się słowa: – Och, Anno, dlaczego to zrobiłaś?

Było to jedyne pytanie, którego nie chciałem zadać. Przez chwilę nic nie odpowiadała. A później, nie podnosząc oczu, powiedziała cicho:

– On był zupełnie inny niż wszyscy. Inny niż wszyscy ludzie, jakich znałam. I ja go kocham. Chyba go kocham. Przypuszczam, że to jest przyczyna.

Siedziałem, myśląc, że sam się na to naraziłem.

– A potem – ciągnęła – powiedziałaś... powiedziałaś mi o moim ojcu. Wtedy już nie było powodu, żeby tego nie robić. Kiedy mi powiedziałaś.

Pomyślałem, że i to była moja własna robota.

– On chce się ze mną ożenić – powiedziała. – Wyjdiesz za niego?

– Teraz nie. To by mu zaszkodziło. Rozwód by mu zaszkodził. Nie teraz.

– Ale wyjdiesz za niego?

– Może. Później. Jak wejdzie do senatu. W przyszłym roku. Jedna część mego umysłu pilnie rejestrowała: Do senatu w przyszłym roku. To znaczy, że nie dopuści z powrotem starego Scoggana. Zabawne, że mi nic nie powiedział. Ale druga część mojego umysłu, która nie była zgrabną, chłodną, stalową szafeczką na akta, z alfabetycznymi kartkami, wrzała jak kocioł smoły. Ogromna bańka wezbrała na tej smole i pękła, i usłyszałem swój głos:

– Anno, myślę, że wiesz, co cię czeka.

– Ty go nie znasz – odparła jeszcze cichszym głosem. – Znasz go od tyłu lat, a nie poznałeś go wcale. – Potem podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy. – Nie żałuję – powiedziała bardzo wyraźnie. – Niczego, co się stało.

Szedłem ulicą w stronę hotelu, w gorącym mroku, pod przepyszny, rozżętnionym niebem, wdychając zastałe wyziewy benzyny z całego dnia i słodki, błotnisty zapach opadłych wód rzeki, który noc niosła w ulice, i myślałem: Tak, ja wiem, dlaczego ona to zrobiła.

Odpowiedź była we wszystkich minionych latach, w tym, co się podczas nich stało, i nie tylko w tym.

Odpowiedź była we mnie, bo to ja powiedziałem Annie.

Powiedziałem jej tylko prawdę, powtarzałem sobie dziko, a przecież nie może mnie winić za prawdę!

Ale czyżby w samej naturze świata i mojej własnej tkwiła jakaś fatalna

logika, która sprawiła, że to ja powiedziałem jej prawdę? Musiałem zadać sobie i takie pytanie. I nie mogłem być pewny odpowiedzi. Szedłem więc dalej ulicą, obracając to pytanie w głowie i nie znajdując odpowiedzi, aż wreszcie straciło wszelki sens i wypadło mi z myśli niby jakiś ciężki przedmiot spomiędzy zdrętwiałych palców. Chętnie bym przyjął odpowiedzialność i winę i byłem na to gotowy, gdybym tylko mógł wiedzieć. Ale któż mógł mi to wyjaśnić?

Szedłem więc dalej i po chwili przypomniałem sobie, iż powiedziała, że nigdy go nie poznałem. A ów „on” był to Willie Stark, którego znałem od wielu lat, od tego dnia, kiedy Kuzynek Wiluś ze wsi, chłopak w gwiazdkowym krawacie, wszedł do izby na tyłach dawnego lokalu Slade’a. Jasne, że go znałem. Jak książkę. Znałem go od długiego czasu.

Za długiego, pomyślałem. Za długiego, żeby go znać. Bo może czas mnie oślepił albo raczej nie byłem świadom upływu czasu i krągła twarz Kuzyńka Wilusia stale mi przesłaniała tę drugą twarz, tak że tej drugiej nigdy nie zobaczyłem naprawdę. Z wyjątkiem może chwil, gdy pochylała się ku tłumowi, gdy włosy opadały na czoło, oczy wychodziły z orbit, a tłum ryczał, ja zaś czułem, jak coś we mnie wzbiera, i czułem, że jestem na krawędzi prawdy. Lecz zawsze powracała twarz Kuzyńka Wilusia nad gwiazdkowym krawatem.

Teraz jednakże nie powróciła. Ujrzałem tamtą drugą twarz. Olbrzymią. Większą od tablicy. Z kędziorem włosów zmierzwionych jak grzywa. I tę potężną szczękę. Grube wargi dociśnięte jak cegły w murze. Oczy rozplamione i wyłazące z orbit.

Zabawne, nigdy dotąd jej nie widziałem. Nigdy tak naprawdę.

Tego wieczora zatelefonowałem do Szefa, opowiedziałem mu, co się stało i że to wiem od Anny, i podsunąłem mu myśl, żeby nakłonić Adama do złożenia pod przysięgą zeznań przeciwko Coffee’emu. Szef polecił mi to załatwić. Zrobić wszystko, byleby tylko Adama przytrzymać.

Poszedłem więc do hotelu, gdzie przeleżałem na łóżku pod elektrycznym wentylatorem do chwili, gdy około szóstej rano zadzwonił portier, że czas wstawać. Przed siódmą byłem już na progu Adama z chlupiącą w żołądku jedną filiżanką kawy, ze świeżym zacięciem od brzytwy na brodzie i snem jak piasek pod powiekami.

Załatwiłem to. Wykrajałem sobie kawałek ciężkiej roboty. Najpierw musiałem zmobilizować Adama po stronie sprawiedliwości, przekonując go, żeby się zgodził na złożenie pod przysięgą zeznań przeciwko Coffee'emu. Metodą, jaką przyjąłem, było oczywiście zakładanie, że Adam pali się do przygwożdżenia Coffee'ego, oraz dawanie mu do zrozumienia, że Szeff przyklaskuje takiemu wspianemu czynowi. Potem musiałem go naprowadzić na odkrycie, które powinno być jego własnym, że to jednak pociągnęłoby za sobą konieczność wystąpienia Anny w charakterze świadka. Następnie musiałem odegrać półgłówka i udawać, że mi to wcale nie przyszło do głowy. W wypadku takiego człowieka jak Adam niebezpieczeństwo polegało na tym, iż mógł tak się uprzeć przy zadośćuczynieniu sprawiedliwości, że pozwoliłby Annie zeznawać, nie oglądając się na nic. I omal tego nie zrobił, tylko że namalowałem mu krwawy obraz sali sądowej (choć bynajmniej nie taki krwawy, jaki by był w rzeczywistości), odmówiłem maczania w tym palców, napomknąłem, że jest wyrodnym bratem i zakończyłem niejasnym daniem do zrozumienia, że istnieją sposoby przyłapania Coffee'ego na podobnej próbie, skierowanej pod innym adresem; wspomniałem mianowicie, że Coffee mógłby zwrócić się do mnie. Ze mógłbym go zwabić i w ogóle. Wobec tego Adam porzucił pomysł skargi, natomiast zachował mniemanie, że obaj z Szeffem oczyścili atmosferę wokół szpitala.

Kiedy już byliśmy gotowi wyjść razem, zbliżył się do kominka i zabrał z niego listy z naklejonymi znaczkami, naszykowane do wysłania.



Już przedtem wypatrzyłem kopertę zaadresowaną do Szefa. Więc kiedy się obrócił z listami, po prostu wyciągnąłem mu z ręki ten właśnie i powiedziałem z najmiłszym uśmiechem:

– Psiakrew, to ci już niepotrzebne – po czym przedarłem list i schowałem oba kawałki do kieszeni.

Wyszliśmy kuchennymi drzwiami i wsiedliśmy do samochodu Adama. Pojechałem z nim aż do kliniki. Gdyby się tylko dało, siedziałbym z nim cały dzień, byleby go nie spuszczać z oka. Tak czy owak, gadałem żwawo przez całą drogę do centrum, żeby go czymś zająć. Moje gadanie było wesołe i ożywione jak ptasi śpiew.

Lato upływało, nabrzmiewając powoli niby wielki owoc, i wszystko było tak samo jak przedtem. Chodziłem do biura, wracałem do hotelu, czasem jadłem obiad, czasem nie, leżałem pod wentylatorem i czytałem do późna. Widywałem wciąż te same twarze, Duffy’ego, Szefa, Sadie Burke, wszystkie te twarze, które znałem od dawna i oglądałem tak często, że nie dostrzegalem w nich zmian. Ale przez jakiś czas nie widziałem Adama i Anny. I od dawna nie widziałem Lucy Stark. Mieszkała teraz na wsi. Szef nadal jeździł do niej od czasu do czasu, żeby zachować pozory i sfotografować się wśród białych leghornów. Czasem na fotografii był z nim Tom Stark albo Lucy, na pierwszym planie zaś białe leghorny, a w tyle drucziany płot. Podpis brzmiał: „Gubernator Willie Stark z rodziną”.

Tak, te fotografie były dla Szefa atutem. Połowa ludzi w stanie wiedziała, że Szef od lat robi skoki w bok, ale zdjęcia rodziny i białych leghornów napawały wyborców miłym, serdecznym ciepłem, dawały im poczucie czegoś solidnego, poważnego i cnotliwego, nasuwały myśli o pieńkach i smakowitej zimnej maślanecy, a jeżeli nawet gdzieś niezbyt głęboko za kulisami mignął im negliż z czarnych koronek i zaleciały

wonne perfumy, mówili sobie: „Ano, nie można mieć mu za złe, że sobie używa; przecie same mu się nadstawiają”. Zaczyło to tylko, że Szefer ma jedno i drugie, a taka rzecz jest znamięm ludzi wybranych i lepszych. To samo robił wyborca, kiedy się wyrwał do miasta na zjazd handlarzy mebli i dawał chłopcu hotelowemu kilka dolarów, żeby mu sprowadził do pokoju panienkę. Albo jeżeli nie robił tego z szykanami, to przyjeżdżał do miasta z całą platformą świń i za dwa dolary załatwiał sprawę w burdelu. Ale czy tak, czy tak, z szykanami czy w burdelu, wyborca wiedział, jak to jest, chciał mieć i żonine pierniki, i negliże z czarnych koronek, i nie potępił Szefera, że ma jedno i drugie. Potępiłby natomiast Szefera za rozwód. Anna miała w tym rację. Rozwód zaszkodziłby nawet Szeferowi. To byłoby coś zupełnie innego: obrabowałby wyborcę z czegoś, co ten sobie cenił, z owego miłego, ciepłego samozadowolenia, z obrazu, który pochlebiał jemu i jego tłustej czy chudej żonie, kiedy stawali przed kurnikiem.

Tymczasem chociaż wyborca wiedział, że Szefer od lat robi skoki na boki, i chociaż mógłby wymienić nazwiska połowy zainteresowanych dam, to jednak nie wiedział nic o Annie Stanton. Sadie rzecz wykryła, ale to nie był żaden cud. O ile mogłem się zorientować, nie wiedział nikt poza nią, nawet Duffy ze swoim zasapanym, słoniowym sprytem i uśmieszkiem. Może coś wiedział Cukierek, ale na nim można było polegać. Ten wiedział wszystko. Szefer nie wzdragał się mówić przy Cukierku wszystkiego albo prawie – to znaczy tego, co chciał powiedzieć. Prawdopodobnie więc pozostawało wiele spraw nie powiedzianych. Raz w bibliotece Szefera był kongresman Randall, Szefer, ja i Cukierek; Randall chodził tam i z powrotem, a Szefer udzielał mu szczegółowych instrukcji, jak ma się zachować, kiedy Kongresowi zostanie przedłożony projekt ustawy Milтона-Brodericka. Instrukcje były dość szczere i kongresman raz po raz zerkał nerwowo na Cukierka. Szefer to zauważył.

– Cholera jasna – powiedział. – Boisz się pan, że Cukierek się czegoś

dowiaduje? No więc słusznie, dowiaduje się. Cukierek już się niejednego dowiedział. Wie o tym stanie więcej od pana. I ufam mu o wiele bardziej niż panu. Ty jesteś mój kumpel, co, Cukierek?

Twarz Cukierka pociemniała od zadowolonego, zakłopotanego rumieńca i wargi jęły mu się poruszać, a ślina pryskać, kiedy gotował się do mówienia.

– Tak, Cukierek to mój kumpel; prawda, Cukierek? – zapytał Szeff i klepnął go po ramieniu, po czym znowu obrócił się do kongresmana, a tymczasem Cukierek wreszcie zdołał wykrztusić:

– J... ja... ja jestem p... p... pana kumpel... i n... n... nic nie g... g... gadam.

Tak, Cukierek zapewne wiedział, ale na nim można polegać.

Można było polegać i na Sadie. Mnie wprawdzie powiedziała, ale to jej się zdarzyło w pierwszym przyływie strasznej pasji, a poza tym ja (myślałem o tym z jakimś ponurym humorem) należałem, można powiedzieć, do rodziny. Nikomu innemu by się nie zwierzyła. Sadie Burke nie miała powierników, bo nie ufała nikomu. Nie oczekiwała współczucia, bo ono nie istniało w świecie, w którym się wychowała. Sadie więc nie puściłaby pary z ust. I miała masę cierpliwości. Wiedziała, że Willie do niej wróci. Tymczasem mogła go doprowadzić do pasji albo przynajmniej próbować, bo to nie było łatwe, i sama wpadła w pasję, tak że myślałaś, iż rzucą się na siebie w tej furii, którą potrafili z siebie wykrzesać. Wtedy nie było już wiadomo, czy to furia miłości, czy nienawiści sprawa, że szczipają się i zmagają z sobą. A ponieważ trwało to już od lat, więc chyba stało się obojętne, jaka to była furia. Oczy Sadie gorzały czarno w kredowobiałej, dziobatej twarzy, zmierzwione czarne włosy zdawały się jeżyć elektrycznie na głowie, a ręce młóciły w powietrzu, jakby coś drąc i szarpiąc. I kiedy potop jej słów lał się na Szefa, jego głowa kołysała się ciężko, choć prawie niedostrzegalnie z boku na bok, a oczy podążały

za każdym ruchem Sadie, najpierw sennie, a potem w uniesieniu, aż wreszcie dźwigał się z pulsującymi, nabrzmiętymi żyłami na skroniach i z podniesioną prawą pięścią. Potem ta prawa pięść waliła w dłoń lewej ręki i wybuchał:

– Cholera! Cholera jasna, Sadie!

Albo też przez całe tygodnie nie było żadnych awantur. Sadie odnosiła się do Szefa z lodowatą kurtuazją, spotykała się z nim tylko i wyłącznie służbowo i stała spokojnie przed nim, kiedy mówił. Stała tak przed nim i przypatrywała mu się czarnymi oczami, w których ogień był wtedy przytłumiony. No cóż; pomimo wszystkich tych awantur Sadie umiała czekać. Nauczyła się tego dawno. Musiała czekać na każdą rzecz, jaką dostała od świata.

Tak więc mijało lato, a myśmy wszyscy w nim żyli. Był to też jakiś sposób życia, a kiedy się żyje przez pewien czas w jakiś sposób, zapomina się, że istnieje inny i że może znów wrócić. I nawet gdy przyszła zmiana, z początku nie wydawała się zmianą, ale jakby nadal tym samym, jak gdyby tylko przedłużeniem i rozszerzeniem tego samego.

Zmiana ta przyszła za sprawą Toma Starka.

Zważywszy wszystkie elementy, była całkowicie do przewidzenia. Z jednej strony był Szef, a z drugiej MacMurfee. MacMurfee nie miał wyboru. Musiał zwalczać Szefa, bo Szef nie chciał z nim gadać, a jeżeliby (przy czym wyglądało to bardziej jak „kiedy” niż „jeżeli”) Szef pokonał MacMurfee’ego w czwartym dystrykcie, Mac byłby wykończony. Nie miał więc wyboru i posługiwał się wszystkim, co mu w ręce wpadło.

A wpadł mu w ręce gość nazwiskiem Marvin Frey, dotychczas nie znany ogółowi. Frey miał córkę Sibyl, również nie znaną ogółowi, natomiast, jak twierdził pan Frey, niecałkowicie nie znaną Tomowi Starkowi. Było to proste, żadnych nowych wątków w treści, żadnych nowych wstawek w dialogu. Rzecz stara i swojska. Prosta i obrzydliwa.

Skrzywdzony ojciec, w towarzystwie przyjaciela jako świadka i zapewne obrońcy, zjawił się u Szefa i przedstawił swoją sprawę. Wyszedł blady i najwyraźniej wstrząśnięty, ale miał siłę iść. Przeszedł po długim chodniku od drzwi gabinetu Szefa do korytarza, nieskutecznie podtrzymywany przez przyjaciela, którego nogi też jakby utraciły nieco ze swojej siły, po czym obaj znikli.

A wtedy rozszalał się brzęczyk na moim biurku, zabłyśło czerwone światełko oznaczające wezwanie do kwatery głównej, a gdy włączyłem aparat, odezwał się głos Szefa: „Jack, chodź tu, do cholery”. Kiedy tam poszedłem do cholery, nakreślił mi zwięzłe sprawę i dał dwa polecenia: po pierwsze złapać gdzieś Toma Starka, a po drugie dowiedzieć się wszystkiego, co można, o Marvinie Freyu.

Trzeba było całego dnia oraz wysiłków połowy policji drogowej, żeby odnaleźć Toma Starka, który, jak się okazało, przebywał w domku rybackim nad zatoką, z kilkoma druhami, paroma dziewczynami oraz całą masą mokrych szklanek i suchego sprzętu rybackiego. Przywieźli go dopiero około szóstej. Byłem w pokoju recepcyjnym, kiedy wszedł.

– Sie masz, Jack. Co go tam znowu ugryzło? – powiedział i skinął głową w stronę drzwi gabinetu Szefa.

– Sam ci powie – odrzekłem i popatrzyłem za nim, kiedy szedł ku drzwiom, świetnie zbudowany, w brudnych białych spodniach, w sandałach i białoniebieskiej jedwabnej koszulce sportowej z krótkimi rękawami, która była oblepiona na wilgotnych mięśniach piersiowych i nieomal pękała na opalonych bicepsach. Jego głowa w białej czapce z daszkiem, nasadzonej na bakier, była nieco wysunięta, a idąc, kołysał się lekko, ręce zaś miał przygięte, łokciami na zewnątrz. Patrząc na te ręce, trzymane w ten sposób, miałem wrażenie, że są jak broń, gotowa do użycia i lekko chodząca w pochwie. Nie zapukał, tylko wszedł prosto do gabinetu Szefa. Ja wycofałem się do swojego i czekałem, aż opadnie pył.

Cokolwiek miało się zdarzyć, Tom nie był taki, żeby to przyjąć potulnie, nawet od Szefa.

W pół godziny później wyszedł, trzaskając drzwiami tak, że ciężkie, oprawne w złote ramy portrety poprzednich gubernatorów, rozwieszona na wyłożonych boazerią ścianach wielkiego pokoju recepcyjnego, zadrżały niczym jesienne liście na wietrze. Przemaszerował przez pokój, nawet nie spojrzawszy w stronę moich otwartych drzwi, i wyszedł. Szef powiedział mi później, że z początku Tom wyparł się wszystkiego. Potem się do wszystkiego przyznał, patrząc Szefowi w oczy z wyrazem „cholera ci do tego”. Szef nadawał się do związania, kiedy go zobaczyłem w kilka minut po wyjściu Toma. Miał tylko jedną drobną pocięgę z prawnego punktu widzenia: że Tom, jak sam stwierdził, był zaledwie jednym z całego plutonu przyjaciół Sibyl. Ale pomijając prawny punkt widzenia, to, że Tom był jednym z plutonu, rozwścieczył Szefa jeszcze bardziej. Mogło to być wygodne przy wszelkiej dyskusji na temat ojcostwa domniemanego dziecka Sibyl, lecz najwyraźniej raniło dumę Szefa.

Wykonując pierwsze z otrzymanych poleceń, odnalazłem i sprowadziłem Toma. Drugie zabrało mi trochę więcej czasu. Dowiedzenie się o Marvina Freya. Okazało się, że niewiele jest do dowiedzenia. Był fryzjerem w jedynym hotelu w Duboisville, niedużym miasteczku w czwartym dystrykcie. Był fryzjerem elegantem, z ostrymi jak nóż kantami na sztuczkowych spodniach, brylantyną na rzednących włosach, dłońmi jak nadmuchane, białe, gumowe rękawiczki, biuletynem wyścigów konnych w tylnej kieszeni, bezkształtnym, sflaczałym nosem poznaczonym siatką pękniętych żyłek przypominającą maleńkie fioletowe pnące i oddechem słodko zaprawionym wonią sen-senu i whisky. Był wdowcem i mieszkał ze swymi dwiema córkami. Nie można się wiele dowiedzieć o takim typku. Wszystko wiadomo z góry. Jasne, miał nieśmiertelną duszę, rzecz indywidualną i cenną w oczach Boga, i stanowił ten jednostkowy ładunek

energii atomowej nazywający się Marvin Frey, ale z góry wiedziało się o nim wszystko. Znało się jego dowcipy, porozumiewawcze prychnanie przez nos, którym je poprzedzał, i wiedziało się, że na zakończenie jego popielaty język przesunie się oblesnie po wargach; wiadomo było, jak ten człowiek przymila się i mizdrzy do bezwładnej masy z twarzą przykrytą parującymi rącznikami, będącej miejscowym bankierem albo właścicielem miejscowego domu gry, albo miejscowym kongresmanem, wiedziało się, jak buja hotelowe kurewki, usiłując im coś wyperswadować, i jak popada w długi przez złe typowanie na wyścigach oraz brak szczęścia w hazardzie, i jak budzi się rano, siada na brzegu łóżka, spuszczać bosc nogi na zimną podłogę, czuje na języku metaliczny smak i przeżywa nieopisaną beznadziejność swojego bytowania. Wiedziałeś, że ten konglomerat biedy, lęku i próżności nadaje się w sam raz do tego, aby MacMurfee pozbawił go resztek dumy i resztek wstydu i posłużył się nim dla swoich celów. MacMurfee czy ktokolwiek inny.

Ale tak się złożyło, że uczynił to MacMurfee. Ten moment nie wyszedł na jaw podczas pierwszej wizyty Marvina. Wyszedł na jaw dopiero w kilka dni później. Jeden z ludzi MacMurfee'ego przyszedł do Szefa i oświadczył, iż MacMurfee dowiedział się, że niejaki Frey ma córkę Sibyl, która ma coś na Toma Starka. Ale MacMurfee zawsze lubił futbol i oczywiście bardzo mu się podoba to, jak Tom prowadzi piłkę, więc nie chce wplątać chłopaka w jakąś nieprzyjemną historię. Frey – mówił ów człowiek – nie jest w takim stanie ducha, żeby postępować rozsądnie. Ma zamiar zmusić Toma do poślubienia córki. (W tym momencie zapewne warto było widzieć twarz Szefa.). Ale Frey mieszka w dystrykcie MacMurfee'ego i MacMurfee trochę go zna, i może potrafiłby przemówić mu do rozsądku. Takie załatwienie sprawy oczywiście coś by kosztowało, ale uniknęłoby się rozgłosu, a Tom pozostałby kawalerem.

Co by to kosztowało? Hmm, trochę pieniędzy dla Sibyl. Trochę

papierków.

To jednak znaczyłoby, że MacMurfee kieruje się po prostu dobrym sercem i wspaiałością.

Co by to kosztowało? Cóż, MacMurfee uważa, że mógłby kandydować na senatora.

Więc to o to chodziło.

Ale, jak mi wspomniała Anna Stanton, SzeF sam zamierzał wejść do senatu. Miał to już w ręku. Miał w ręku cały stan. Z wyjątkiem MacMurfee'ego. MacMurfee'ego i Marvinina Frey'a. Ale mimo to nie był skłonny do żadnych targów z MacMurfeem. Nie targował się, tylko grał na zwłokę.

Był jeden powód, że mógł zaryzykować i grać na zwłokę. Gdyby Marvin i MacMurfee mieli murowaną pewność i mogli Szefa wykończyć, zrobiliby to bez ceregieli. Nie bawiliby się w żadne targi. Mieli w ręku jakieś karty, i owszem, ale to niekoniecznie był sekwens z pięciu i także musieli ryzykować. Musieli czekać, aż SzeF się namyśli, i tylko mieć nadzieję, że nie wymyśli nic nieprzyjemnego.

Podczas gdy SzeF się namyślał, odwiedziłem Lucy Stark. Napisała do mnie z prośbą, żebym do niej przyjechał. Wiedziałem, czego chce. Chciała porozmawiać o Tomie. Najwyraźniej nie mogła nic się dowiedzieć od niego samego albo przynajmniej nie dowiedziała się tego, co uważała za prawdę, całą prawdę, a nie miała zamiaru omawiać sprawy z Szefem, bo na temat Toma nie zgadzali się nigdy. Chciała mi więc zadać kilka pytań, ja zaś miałem tam siedzieć i pocić się na czerwonych pluszowych obiciach w salonie domu na farmie, gdzie mieszkała. Ale tak musiało być. Już dawno postanowiłem sobie, że jeżeli Lucy Stark zażąda czegoś ode mnie, ja to zrobię. Niezupełnie dlatego, żebym uważał, iż jestem jej coś dłużny i powinienem dać jej jakieś zadośćuczynienie czy odbyć pokutę. A przynajmniej jeżeli już był jakiś dług, to nie wobec Lucy Stark, jeżeli



zaś należało dać jakieś zadośćuczynienie, to nie jej. Jeżeli istniał jakiś dług, to był on należny mnie – ode mnie samego. Jeśli należało się komuś zadośćuczynienie, to tylko mnie i też ode mnie samego. Co zaś się tyczy pokuty, nie popełniłem żadnej zbrodni, za którą musiałbym ją odprawiać. Jedyłą moją zbrodnią było to, że jestem człowiekiem i żyję w świecie ludzi, a za to nie musi się odprawiać specjalnej pokuty. W tym wypadku zbrodnia i pokuta pokrywają się całkowicie. Są jednym i tym samym.

Jeżeli kiedyś byliście w okolicach zatoki, to znacie takie domy. Biała konstrukcja, ale połysk już dawno zniknął. Jedno piętro, szeroka weranda wzdłuż frontu, z wydłużonymi kolumnkami podtrzymującymi jej okap. Blaszany dach z nikłymi pasmami rdzy, czerwieniejącymi na złączach rynien. Całość wzniesiona na ceglanych filarach, tworzących pod spodem chłodny, pełen pajęczyn krużganek, przesłonięty od frontu wybujałymi ligustrami i rabatami kann, gdzie gromadzą się i kąpią w piasku kury, a stary owczarek leży i dyszy w upalne dni. Dom stoi cofnięty dość daleko od drogi, otoczony trawnikiem rzednącym i zrudziałym pod koniec lata. Po obu stronach anachronicznej betonowej ścieżki, urywającej się przy furtce, tam gdzie zaczyna się goła ziemia garbu gościńca, są dwa okrągłe klombiki zrobione ze starych opon samochodowych ułożonych na ziemi i wypełnionych leśną glebą. W jednej i drugiej rośnie po kilka cynii, włochatych jak zwierzęta i jaskrawych w oślepiającym słońcu. Przy obu końcach domu widać dwa niezbyt wspaniałe dęby wirginijskie. Za domem stoją po bokach nie malowane kurniki i stajnie. Ale sam ten wyblakłobiały, godny dom, pośród letniego popołudnia i zupełnego spokoju właściwego tej porze dnia i roku, z rzadkim trawnikiem, schludnymi klombami i okazałą betonową ścieżką od frontu oraz dębami po obu stronach, przypomina zupełnie jakąś szacowną, starszą niewiaستę o szpakowatych włosach upiętych na głowie, ubraną w czystą szarą bawełnianą suknię, białe pończochy i czarne buciki z kozłej skóry, i siedzącą w bujającym

fotelu, z dłońmi splecionymi na brzuchu, ażeby trochę odsapnąć po całodziennej robocie teraz, kiedy mężczyźni są w polu, a jeszcze nie czas myśleć o kolacji i cedić mleko na wieczór.

Przeszedłem ostrożnie po tej cementowej ścieżce, jak gdybym stąpał po tuzinach jaj zniesionych przez te wszystkie białe leghorny z kurników.

Lucy wprowadziła mnie do ba wialni, która była dokładnie taka, jak przewidywałem: meble z rzeźbionego czarnego orzecha wyściełane czerwonym pluszem ze zwisającymi jeszcze tu i ówdzie frędzlami, na stole z rzeźbionego czarnego orzecha biblia, stereoskop i schludny stosik kartoników do stereoskopu, na podłodze kwiecisty dywan, przykryty w najbardziej przetartych miejscach małymi dywanikami z gałganków, na ścianach zaś wielkie orzechowe i złożone ramy okalające surowe, malaryczne, kalwińskie twarze, których oczy spoglądały na człowieka niezbyt życzliwie. Okna pokoju były zamknięte, a zasłony pozaciągane, co stwarzało cienisty, wodnisty półmrok, w którym siedzieliśmy przez chwilę milcząc jak na pogrzebie. Plusz kłuł mnie sucho w dłoń, którą na nim złożyłem.

Lucy siedziała, jak gdyby mnie nie było, nie patrząc na mnie, ale na jakiś kwietny deseń dywanu. Bujne, ciemnobrązowe włosy, które wówczas, kiedy poznałem ją na farmie Starka, były chłaśnięte na wysokości szyi i zaondulowane w salonie piękności w Mason City, od dawna już odrosły do właściwej długości. Zapewne miały wciąż jeszcze ów kasztanowy połysk, ale nie mogłem go dojrzeć w półmroku salonu. Zauważyłem jednak nieliczne siwe pasma, kiedy spotkałem ją u drzwi. Teraz siedziała naprzeciw mnie na czerwonym pluszowym siedzeniu sztywnego, rzeźbionego, orzechowego fotela, kostki nóg, wciąż jeszcze zgrabne, miała skrzyżowane przed sobą, talię, już nie tak cienką, nadal wyprostowaną, a pod niebieską letnią suknią pełne, lecz nie bezkształtne piersi. Miękkie, delikatne rysy twarzy nie były już dziewczęce tak, jak

tamtego pierwszego wieczora w domu starego Starka, bo obecnie była w nich odrobina ociężałości, tej minimalnej obwisłości ciała, będącej wczesnym przekleństwem i niewątpliwym końcem owych miękkich, delikatnych twarzy, które – zwłaszcza kiedy są bardzo młode – pobudzają w nas całą przyrodzoną dobroć i nasuwają myśli o świętości macierzyństwa. Tak, to właśnie jest ten rodzaj twarzy, który nadalibyście Madonnie Stanów Zjednoczonych, gdybyście ją mieli malować. Ale nie macie, tymczasem zaś jest to ten rodzaj twarzy, który umieszczają na reklamach gotowego ciasta na placki, patentowanych pieluszek i pełnego pszennego chleba – twarz dobra, uczciwa, zdrowa, ufna, dzielna, czuła, z blaskiem młodości. W tej twarzy, na którą patrzyłem, nie było już blasku młodości, lecz kiedy Lucy Stark uniosła głowę, aby przemówić, zauważyłem, że jej duże, ciemno-piwe oczy niewiele się zmieniły. Czas i smartwienia ocieniły je i pogłębiły nieco, ale to było wszystko. Powiedziała:

– Chodzi o Toma.

– Tak – odrzekłem. Powiedziała:

– Ja wiem, że coś jest nie w porządku. Kiwnąłem głową.

Powiedziała:

– Więc mów.

Wciągnąłem w płuca suche powietrze i nikły zapach politory w nie otwieranym salonie, będący zapachem obyczajności, skrzętności i skromnych nadziei, i poprawiłem się na siedzeniu, podczas gdy czerwony plusz kłuł moje przyciśnięte doń dłonie jak pokrzywa.

Powiedziała:

– Jack, chcę usłyszeć prawdę. Muszę znać prawdę. Ty mi ją powiesz. Zawsze byłeś dobrym przyjacielem. Byłeś dobrym przyjacielem Williego i moim... Wtedy, dawniej... dawniej... kiedy...

Jej głos ucichł.

Więc powiedziałem jej prawdę. O wizycie Marvina Freya. Kiedy

mówiłem, jej ręce skręcały się na kolanach, a potem zacisnęły i spoczęły bez ruchu. Następnie powiedziała:

– Tom może zrobić tylko jedno.

– Możliwe, że da się... jakoś to załatwić... no, wiesz...

Ale przerwała mi.

– Jest tylko jedno uczciwe wyjście – rzekła. Czekałem.

– On... on się z nią ożeni – powiedziała, podniosła wysoko głowę.

Poruszyłem się lekko na fotelu, po czym odparłem:

– No kiedy, widzisz... wygląda na to... że mogli być... jeszcze inni...

inni przyjaciele Sibyl, którzy...

– O Boże – szepnęła tak cicho, iż nie wiedziałem, czy to nie jest tylko westchnienie, i zauważyłem, że jej dłonie znów rozwierają się i zaciskają na kolanach.

– Poza tym – ciągnąłem, raz już zacząwszy – jest jeszcze inna strona zagadnienia. W to jest także wmieszana polityka. Widzisz... MacMurfee chce...

– O Boże – westchnęła znowu, wstała raptownie z fotela i przycisnęła do piersi obie zaciśnięte pięści. – O Boże, polityka! – szepnęła, odeszła ode mnie parę kroków jak nieprzytomna i powtórzyła: – Polityka! – Obróciła się do mnie i powiedziała, teraz już głośno: – O Boże, i w tym też!

– Tak – odparłem. – Jak w większości rzeczy.

Podeszła do okna, stanęła plecami do mnie i salonu i wyjrzała przez szparę między zasłonami na gorący, rozjarzony świat zewnętrzny, w którym to wszystko się działo. Po jakiejś minucie rzekła:

– No mów, powiedz mi, co miałeś powiedzieć.

Nie patrząc więc na nią, wyglądającą przez szparę na świat, ale ze wzrokiem wbitym w pusty fotel, na którym przed chwilą siedziała, opowiedziałem jej o propozycji MacMurfee’ego i o obecnym stanie

rzeczy.

Umilkłem. Znowu nastąpiła minuta milczenia. A potem usłyszałem jej głos przy oknie:

– Pewnie musiało tak być. Próbowałam postępować właściwie, ale pewnie musiało tak być. Och, Jack – usłyszałam szelest, kiedy się odwracała od okna, i popatrzyłam na nią w chwili, gdy mówiła: – Och, Jack, próbowałam postępować właściwie. Kochałam mojego chłopca i starałam się wychować go dobrze. Kochałam mojego męża i starałam się wypełniać swój obowiązek. A oni też mnie kochają. Myślę, że mnie kochają. Mimo wszystko. Muszę tak myśleć, Jack. Muszę.

Siedziałem i pocilem się na czerwonym pluszu, a wielkie piwne oczy wpatrywały się we mnie z mieszaniną błagania i stanowczości. Wreszcie powiedziała bardzo spokojnie:

– Muszę tak myśleć. I ufać, że w końcu wszystko będzie dobrze.

– Słuchaj – rzekłam. – Szef gra na zwłokę, wymyśli coś i będzie dobrze.

– Ach, mnie nie o to chodzi, tylko... – Zamilkła.

Ale ja wiedziałem, o co jej chodzi, kiedy podjęła głosem już cichszym i równiejszym, a jednocześnie bardziej zrezygnowanym:

– Tak, wymyśli coś. I wszystko będzie dobrze.

Nie było celu siedzieć tam dłużej. Wstałem, wziąłem kapelusz z rzeźbionego orzechowego stołu, na którym leżała biblia i stereoskop, podszedłem do Lucy, wyciągnąłem do niej rękę i powiedziałem:

– Wszystko będzie dobrze.

Popatrzyła na moją dłoń, jakby nie wiedziała, po co tu jest. A potem spojrzała na mnie.

– To jeszcze dziecko – nieledwie szepnęła. – To jeszcze małe dziecko. Małe dzieciątko w mroku. Jeszcze się nawet nie narodziło i nic nie wie, co się stało. O pieniądzach i polityce, i o tym, że ktoś chce być senatorem.

Nie wie nic... skąd się wzięło... co ta dziewczyna zrobiła... i dlaczego... ani czemu jego ojciec... czemu on... – Przerwała i jej wielkie ciemne oczy wpatrzyły się we mnie błagalnie i jakby oskarżająco. W końcu rzekła: – Och, Jack, to jest maleńkie dziecko i nie ma w tym żadnej jego winy.

Omam mi się nie wyrwało, że i mojej winy w tym nie ma, ale się powstrzymałem.

Potem dodała:

– Może to będzie moje wnuczátko... Może to dziecko mojego chłopca.

A potem, po chwili:

– Ja bym je kochała.

Jej dłonie, zaciśnięte w pięści i złożone na piersiach, rozwarły się przy tych słowach i wyciągnęły, odwrócone przygiętymi palcami do góry, lecz kǳcie wciąż przywierały do ciała, jakby w pokornym lub beznadziejnym oczekiwaniu.

Zauważyła, że patrzę na jej ręce, i opuściła je szybko.

– Do widzenia – powiedziałem i ruszyłem do drzwi.

– Dziękuję ci, Jack – odrzekła, ale nie poszła za mną. Co mi bardzo odpowiadało, bo naprawdę chciałem już odejść.

Wyszedłem na rozśłoneczniony świat i tą okazałą ścieżką z betonu dotarłem do samochodu, wsiałem i ruszyłem z powrotem do miasta, gdzie niewątpliwie było moje miejsce.

Szef istotnie coś wymyślił.

Po pierwsze, że byłoby wskazane wejść w kontakt z Marvinem Freyem bezpośrednio, a nie przez MacMurfee'ego, żeby wybać sytuację. Ale MacMurfee był na to za sprytny. Nie ufał ani Freyowi, ani Szefowi, i Marvina gdzieś usunęto, nikt właściwie nie wiedział dokąd. Jednakże później okazało się, że Marvina i Sibyl wywieziono do Arkansas,

będącego zapewne ostatnim miejscem, w jakim mieli ochotę się znaleźć, na jakąś farmę, gdzie jedynymi końmi były muły, a najjaśniejsze światło pochodziło od patentowanej lampy benzynowej stojącej na stole w bawialni, i gdzie nie było szybkich samochodów, ludzie zaś kładli się spać o wpół do dziewiątej, a wstawali o świcie. Oczywiście oboje mieli tam towarzystwo i mogli grać we trójkę w pokera i w inne gry karciane, bo MacMurfee posłał z nimi jednego ze swoich ludzi, który, jak miałem się później dowiedzieć, trzymał za dnia kluczyki od samochodu w kieszeni spodni, a nocą pod poduszką, i kiedy któreś z nich poszło do ustępu, bez mała wartował pod drzwiami, oparty o kratkę obrośniętą powojem, w meloniku na bakier, ażeby mieć pewność, że nie zrobią jakiegoś kawału w rodzaju drapnięcia przez tylne podwórko w kierunku odległej o dziesięć mil linii kolejowej. On też pierwszy przeglądał pocztę, bo nie było przewidziane, aby Marvin i Sibyl otrzymywali jakąś korespondencję. Nikt nie miał wiedzieć, gdzie się znajdują. I myśmy też się nie dowiedzieli. Dopiero w długi czas potem.

Po drugie, Szeff pomyślał o sędzim Irwinie. Jeżeli MacMurfee w ogóle liczył się z czymś zdaniem, to tylko ze zdaniem sędziego Irwina. Zawdzięczał mu wiele, a nie siedział znów tak pewnie na swoim stołku, żeby móc sobie pozwolić na utratę jednej z jego nóg. Toteż Szeff pomyślał, że jest przecież sędzia Irwin.

Wezwał mnie i powiedział:

– Mówiłem ci, żebyś wygrzebał coś na Irwina. Co znalazłeś?

– Znalazłem coś – odrzekłem. – Co?

– Szeffie – powiedziałem. – Chcę dać Irwinowi szansę. Jeżeli potrafi mi dowieść, że to nieprawda, nie puszczać pary z ust.

– Psiakrew! – zaczął. – Prosiłem cię...

– Daję Irwinowi szansę – przerwałem mu. – Obiecałem dwóm osobom, że tak zrobię.

– Komu?

– No, przede wszystkim sobie samemu. Druga osoba jest nieważna.

– Sobie przyobiecaneś, co? – Popatrzył na mnie twardo.

– Aha, sobie.

– Okej – powiedział. – Rób, jak uważasz. Jeżeli będzie klapowało, to wiesz, czego chcę. – Przypatrzył mi się posępnie i dodał: – A lepiej niech klapuje.

– Szeffie – odrzekłem. – Obawiam się, że będzie klapowało.

– Obawiasz się? – zapytał. – Aha.

– Dla kogo ty pracujesz? Dla niego czy dla mnie?

– No cóż, ja nie chcę zrobić Irwina. Przypatrywał mi się nadal. W końcu rzekł:

– Chłopie, ja nie żądam, żebyś go zrobił. Nigdy cię nie prosiłem, żebyś zrobił kogokolwiek, tak czy nie?

– Tak.

– Nigdy cię nie prosiłem, żebyś kogoś zrobił. A wiesz dlaczego? – Nie.

– Bo to nigdy nie jest potrzebne. Nigdy nie trzeba kogoś wrabiać, bo zawsze wystarczy prawda.

– Rzeczywiście masz wysokie mniemanie o ludzkiej naturze.

– Chłopcze – powiedział. – Chodziłem do prezbiteriańskiej szkółki niedzielnej w tych dawnych czasach, gdy jeszcze tam zwracali uwagę na teologię, i przynajmniej tyle mi z tego zostało. No i – wyszczerzył nagle zęby – okazało się to bardzo cenne.

Tak zakończyła się nasza rozmowa, po czym wsiadłem do samochodu i ruszyłem do Burden's Landing.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, które zjadłem samotnie, bo Młody Dyrektor



wyjechał do miasta, a matka wstawała dopiero około południa, wybrałem się na spacer po plaży. O tej godzinie była pusta, tylko kilkoro dzieciaków bawiło się na roziskrzonych płycznach o ćwierć mili dalej, małych dzieciaków, cienkonogich jak bekasy. Powędrowałem w tę stronę, a gdy je mijałem, przerwały na chwilę swoje skoki, pluskania i igraszki, by mnie zaszczyścić obojętnym spojrzeniem, obróciwszy ku mnie opalone, lśniące od wody twarze. Ale trwało to tylko chwilę, bo najwyraźniej należałem do owej tępej, nierozgarniętej rasy, noszącej buty i spodnie, a przecież w butach i spodniach nie bryka się po jasnych płycznach. Nie chodzi się nawet po piasku, jeżeli tylko można tego uniknąć, bo piasek nabiera się do butów. Ja jednak szedłem po piasku, który obficie nabierał mi się do butów. Na to nie byłem za stary. Rozmyślałem o tym z satysfakcją i zmierzałem ku kępie sosen, wielkiemu dębowi, mimozom i mirtom, które rosły tuż przy plaży, w miejscu, gdzie były korty tenisowe. Stało tam w cieniu kilka ławek, a ja miałem w ręku nie przeczytaną poranną gazetę. Po jej przeczytaniu chciałem pomyśleć trochę o tym, co miało się zdarzyć później w ciągu dnia. Ale na razie jeszcze o tym nie myślałem.

Odnalazłem ławkę przy pustyni korcie, zapaliłem papierosa i zacząłem czytać. Przeczytałem słowo po słowie pierwszą stronę, z mechaniczną uwagą księdza ślęczącego nad mszałem, nie myśląc o wszystkich tych wiadomościach, które mi były znane, a które nie figurowały na pierwszej stronie gazety. Zagłębiłem się już w trzecią z kolei, gdy usłyszałem głosy i podniósłszy wzrok, zobaczyłem parę tenisistów, dziewczynę i chłopca, którzy zbliżali się od przeciwległej strony kortów. Zerknąwszy mimochodem na mnie, objęli w posiadanie dalszy kort i zaczęli podawać sobie małą, białą piłeczkę, od niechcienia, żeby rozluźnić mięśnie.

Po pierwszej wymianie piłek można było poznać, że znają się na rzeczy. I że ich mięśnie nie wymagają zbyt wiele rozluźniania. Chłopak był średniego wzrostu, może odrobinę poniżej średniego, z wypukłą klatką

piersiową, silnymi rękami i bez żadnych zbędnych naddatków w pasie. Rudą czuprynę miał przystrzyżoną na jeża, kręte rude włosy widniały mu na piersiach, nad koszulką gimnastyczną, włożoną zamiast zwykłej koszuli, a ciało jego było jednolicie, dzieciennie różowe poza dużymi plamami brunatnych piegów na twarzy i ramionach. Pośród tych piegów twarz jego była wszystka białozębym uśmiechem i błyskiem niebieskich oczu. Dziewczyna, smągła i żywa, miała krótkie kasztanowe włosy, które się rozwiewały, gdy okręcała się w miejscu, brązowe ręce i ramiona nad białym opalaczem przewiązanych na piersiach, brązowe nogi migające nad białymi skarpetkami i pantoflami i brązowy, płaski brzuch między białymi szortami a białym opalaczem. Oboje byli bardzo młodzi.

Wkrótce zaczęli grać, a ja przyglądałem im się znad gazety. Możliwe, że rudowłosy chłopak nie wysiłał się zbyt, ale ona odbijała mu piłki dość dobrze i zmuszała go do ruszania się po korcie. Od czasu do czasu nawet wygrywała gema. Przyjemnie było na nią patrzeć, taką lekką, sprężystą, z twarzą skupioną i migającymi nogami. Ale doszedłem do wniosku, że nie tak przyjemnie jak na Annę Stanton. Zamyśliłem się nawet nad estetyczną wyższością białej spódniczki, która w przeciwieństwie do szortów faluje i trzepocze z każdym ruchem grającej. Ale szorty też były dobre. Dobre były na tej żywej, opalanej dziewczynie. To musiałem przyznać.

Musiałem też przyznać, patrząc na nich, że mam kluchę w gardle. Dlatego, że to nie ja stałem tam, na korcie. Z Anną Stanton. Było czymś strasznie, podstawowo niesprawiedliwym, że to nie ja tam jestem. Co tu robił ten zaczerwieniony, ostrzyżony na jeża chłopak? Co tu robiła ta dziewczyna? Nagle poczułem do nich niechęć. Miałem ochotę podejść, przerwać im grę i powiedzieć:

„Myślicie, że wiecznie będziecie tak grali w tenisa? Niech wam się nie zdaje”.

„Ależ nie – odrzekłaby dziewczyna. – Wcale nie wiecznie”.

„Nie, psiakrew – powiedziała by chłopak. – Po południu idziemy popływać, a wieczorem...”

„Nie rozumiecie – odparł bym na to. – Jasne, ja wiem, że pójdziecie popływać, a potem wybierze się gdzieś wieczorem i zatrzymacie wóz, wracając do domu. Ale wy myślicie, że wiecznie będziecie tu tak jak teraz”.

„Nie, psiakrew – powiedziała by on. – W przyszłym tygodniu wracam do college’u”.

„A ja jadę do szkoły – dodała by ona. – Ale na Dziękczynienie znowu zobaczą się z Alem... prawda, Al? I zabierzesz mnie na ten wielki mecz, no nie, Al?”

Nie zrozumieliby nic a nic. Nie było warto życzyć im dobrodziejstw mojej mądrości. Nawet tego wielkiego kęsa mądrości, który posiadałem w czasie mojej podróży do Kalifornii. Nie znali mądrości Wielkiego Skurczu i musieli dojść do niej sami, bo nie było sensu im tego mówić. Może by i wysłuchali uprzejmie, ale nie uwierzyliby w ani jedno słowo. I przypatrując się brązowej dziewczynie, tańczącej i migającej na tle mirtów i rozjarzonego morza, przez chwilę nie byłem tak bardzo pewien, czy sam w to wierzę.

Ale wierzyłem, oczywiście, bo miałem za sobą tę podróż do Kalifornii.

Nie doszedziałem do końca pierwszego seta. Kiedy odchodziłem, stan był pięć:dwa, ale wyglądało na to, że dziewczyna podciągnie do pięć:trzy, bo ostrzyżony chłopak podawał jej łatwe piłki, chociaż nie robił tego ostantacyjnie, i szczyrzył zęby, kiedy je tego odbijała.

Wszedłem do rozbieralni, włożyłem kostium kąpielowy i popływałem trochę. Wypłynąłem powoli, daleko, i unosiłem się na wodach zatoki, która jest częścią Zatoki Meksykańskiej, będącej z kolei częścią ogromnych, słonych, niezgłęzionych wód świata. Wróciłem do domu na obiad.

Matka zjadła go razem ze mną. Wciąż próbowała dać mi sposobność

do wyjaśnienia, dlaczego przyjechałem, ale aż do deseru omijałem ten temat. A potem zapytałem, czy sędzia Irwin jest w Landing. Dotąd jej o to nie pytałem. Mogłem dowiedzieć się poprzedniego wieczora. Ale nie zapytałem. Odkładałem to na później.

Owszem, sędzia był w Landing.

Wyszliśmy z matką na boczną werandę, wypiliśmy kawę i wypaliliśmy papierosy. Po chwili poszedłem na górę wyciągnąć się trochę i potrawie. Przeleżałem z godzinę w moim dawnym pokoju. Wreszcie uznałem, że trzeba się wziąć do roboty. Zszedłem na dół i chciałem się wymknąć frontowymi drzwiami.

Ale matka była w salonie i zawołała mnie. Dziwne, że tam siedziała o tej porze, ale tak było. Doszedłem do wniosku, że czatowała na mnie. W salonie oparłem się o ścianę i czekałem, co powie.

– Idziesz do sędziego? – zapytała. Odparłem, że tak.

Trzymała podniesioną prawą dłoń, wierzchem do góry, z rozstawionymi palcami, oglądając lakier na czerwonych paznokciach. A potem, zmarszczywszy czoło, jak gdyby owe oględziny nie wypadły zadowolająco, spytała:

– A, pewnie polityka?

– Coś jakby – odparłem.

– Czemu nie pójdziesz później? – zapytała. – Sędzia bardzo nie lubi, jak mu się przeszkadza o tej porze.

– Nie ma takiej pory dnia ani nocy, w której by lubił słuchać tego, co mu powiem.

Spojrzała na mnie ostro, z tą dłonią o rozstawionych palcach zapomnianą w powietrzu. Potem rzekła:

– Sędzia nie najlepiej się czuje. Dlaczego musisz go niepokoić? Nie jest z nim dobrze w tej chwili.

– Nic na to poradzę – odparłem, czując w sobie rosnący upór.

– On źle się czuje.

– Cóż ja poradzę?

– Mógłbyś przynajmniej trochę poczekać.

– Nie, nie będę czekał – odrzekłem. Czułem, że czekać nie mogę. Musiałem dalej robić swoje i doprowadzić to do końca. Przeszkoda, opór tylko mnie w tym utwierdziły. Musiałem wiedzieć. Jak najprędzej.

– Wolałabym, żebyś nie szedł – powiedziała i opuściła dłoń, którą przez cały ten czas trzymała zapomnianą w powietrzu.

– Nic na to nie poradzę.

– Wolałabym, żebyś się nie mieszał do... do różnych rzeczy – powiedziała z żalem.

– Nie ja jestem zamieszany w to coś.

– Co to znaczy?

– Będę wiedział po rozmowie z Irwinem – odrzekłem i wyszedłem z pokoju i z domu, i ruszyłem aleją ku willi Irwina. Przynajmniej tam szedłem, pomimo gorąca, a to dawało staremu jeszcze chwilę, zanim mu wygarnę moje pytanie. Uważałem, że zasłużył sobie na te kilka dodatkowych minut.

Gdy tam dotarłem, stary leżał na piętrze. Tak mi powiedział czarny boy w białej kurtce.

– Seńdzia, on na górze leży, na łóżku, on odpoczywa – rzekł, jakby uważał, że to ułatwia sprawę.

– Dobra – odpowiedziałem. – Zaczekam, aż zejdzie. – I bez zaproszenia otworzyłem siatkowe drzwi i wszedłem w cienisty, przyjemny chłód hallu niczym w doskonałą głębię czasu, gdzie lustra i wielkie klosze lamp połyskiwały jak lód, a wszystkie gładkie płaszczyzny chwytaly odbicie mojej postaci bezgłośnie jak aksamit czy wspomnienie.

– Seńdzia, on... – zaczął znów czarny boy.

Wyminąłem go, mówiąc:

– Posiedzę w bibliotece. Dopóki nie zejdzie.

Minąłem więc te oczy, których białka były jak obrane jajka na twardo, te smutne, duże usta, które nie wiedziały, co teraz powiedzieć, i tylko się rozdziawiły, ukazując różowe wnętrza, i skierowałem się do biblioteki, wszedłem w głęboki, okiennicowy półmrok, co spływał od wysokiego sufitu i ścian pokrytych książkami ustawionymi jedna przy drugiej niczym kamienie w murze i leżał na ciemnoczerwonym tureckim dywanie jak wielki pies, który śpi i prawie nie oddycha. Usiadłem w jednym z obszernych, obitych skórą foteli, dużą brązową kopertę, którą przyniosłem z sobą, upuściłem obok na ziemię i odchyliłem się do tyłu. Doznałem wrażenia, że wszystkie książki wpatrują się we mnie obojętnie, niby rzeźbione w kamieniu, zamknięte oczy w galerii. Zauważyłem tak jak dawniej, że właśnie te stare, oprawne w cielőcą skórę książki prawnicze nadają pokojowi ową lekką woń sera.

Po pewnym czasie usłyszałem na górze jakiś ruch, a następnie dźwięk dzwonka na tyłach domu. Domyśliłem się, że to sędzia zadzwonił na służącego. W chwilę później rozległ się odgłos miękkich kroków boya w hallu i odgadłem, że idzie na górę.

Po jakichś dziesięciu minutach sędzia zszedł z piętra. Jego sprężysty krok zbliżył się do drzwi biblioteki. Przystanął na chwilę w progu, ze swą sklepioną głową nad czarną muszką i białą marynarką, jak gdyby czekając, by oczy przywykły mu do półmroku, następnie zaś ruszył ku mnie z wyciągniętą ręką.

– Jak się masz, Jack – powiedział swym tak dobrze mi znanym głosem.  
– Strasznie się cieszę, że do mnie wpadłeś. Nie wiedziałem, że jesteś w Landing. Teraz przyjechałeś?

– Wczoraj – odpowiedziałem krótko i wstałem, żeby ująć tę wyciągniętą rękę.

Uścisnął mi mocno dłoń, po czym zaprosił gestem, żebyśmy na powrót

usiadł.

– Strasznie się cieszę, że wpadłeś – powtórzył i jego pociągła, zmęczona, ogorzała twarz starego jastrzębia uśmiechnęła się w półmroku.  
– Dawno tu czekasz? Dlaczego nie kazałeś temu nicponiowi mnie obudzić, zamiast mi pozwalać spać przez całe popołudnie? Dawno cię nie widziałem, Jack.

– Tak – przyznałem. – Dawno.

Rzeczywiście dawno. Ostatnim razem byłem tu w środku nocy.

Z Szefem. W ciszy, która zaległa po mojej odpowiedzi, pojąłem, że i on pamięta. Przypomniał sobie, ale dopiero po swoich własnych słowach. Wtedy zrozumiałem, że odsuwał od siebie to wspomnienie. Ze je odrzucał.

– Cóż, sporo czasu minęło – powiedział, opanowując się tak, jakby nic sobie nie przypominał. – Ale niech no tylko nie mijają do następnego razu. Nigdy nie zaglądasz do mnie, starego. A nam, starym, miła jest odrobina zainteresowania.

Uśmiechnął się, ja zaś nie mogłem nic powiedzieć prosto w ten uśmiech.

– Do licha! – zawołał, zrywając się z fotela bez żadnego dosłyszalnego trzeszczenia w stawach. – Zapominam o gościnności! Założę się, że jesteś wyschnięty na wiór. Może jeszcze trochę za wcześnie na coś konkretnego, ale odrobina dżinu z tonikiem nigdy nikomu nie zaszkodziła. W każdym razie nie tobie i mnie. Bo my dwaj jesteśmy niezniszczalni, prawda?

Był już w pół drogi do dzwonka, gdy wreszcie zdołałem przemówić.

– Nie, dziękuję – odrzekłem.

Spojrzał na mnie z leciutkim odcieniem zawodu na twarzy. A potem znów wrócił ten uśmiech, dobry, uczciwy, szczerzący zęby, męski uśmiech. Powiedział:

– E, daj spokój, napijemy się odrobinę. Trzeba to oblać. Chcę oblać to, że przyszedłeś mnie odwiedzić.

Postąpił jeszcze krok w stronę dzwonka, zanim powtórzyłem:

– Nie, dziękuję.

Przez chwilę stał, patrząc na mnie, z ręką podniesioną ku dzwonnkowi. Potem opuścił ją i zawrócił w stronę fotela, z ledwie dostrzegalnym zwiotczeniem w sylwetce – czy może tylko tak mi się wydało?

– Cóż – powiedział, ofiarowując mi coś, co nie było już całkowicie tym samym uśmiechem. – Nie będę pił sam. Znajdę sobie podniętą w rozmowie z tobą. Z czym przychodzisz?

– A, nic takiego – odrzekłem.

Popatrzyłem na niego w półmroku i spostrzegłem, że coś utrzymuje te stare ramiona wyprostowane, a starą głowę podniesioną. Zastanowiłem się, co to może być. Zastanowiłem się, czy to, co wygrzebałem, jest prawdą. Patrzyłem na niego i nie chciałem, żeby było prawdą. Odkryłem, że z całego serca nie chcę, żeby było prawdą. I nagle przyszło mi do głowy, że przecież mógłbym wypić ten jego dżin z tonikiem, pogadać z nim i nic mu nie powiedzieć, wrócić do miasta i oświadczyć Szefowi, iż przekonałem się, że to nieprawda. Szef musiałby się z tym pogodzić. Ciskałby się i ryczał, ale wiedziałby, że nic nie poradzi. Prócz tego zniszczyłbym przedtem materiały otrzymane od panny Littlepaugh. Mogłem tak zrobić.

Ale musiałem wiedzieć. W chwili gdy przeleciała mi przez głowę myśl o odejściu bez dowiedzenia się prawdy, poczułem, że muszę tę prawdę poznać. Bo prawda to straszna rzecz. Zanurzysz w niej stopę i nic się nie dzieje. Ale gdy tylko wejdiesz trochę dalej, czujesz, że cię wciąga jak denny prąd cofającej się fali. Najpierw jest to powolne wciąganie, tak równe i stopniowe, że ledwie je zauważasz, a potem przyspieszenie, wreszcie szalony wir i zanurzenie w mroku. Bo istnieje także mrok prawdy. Powiadają, że straszna to rzecz popaść w łaskę bożą. Jestem gotów w to wierzyć.

Patrzyłem więc na sędziego Irwina i nagle poczułem, że go lubię,



tak jak go nie lubiłem od lat, bo jego stare ramiona były takie proste, a ten szczerzący zęby uśmiech taki otwarty. Ale wiedziałem, że muszę wiedzieć.

I kiedy mi się uważnie przyglądał, bo moja twarz w owej chwili musiała pobudzać chęć odczytania jej wyrazu – spojrzałem mu w oczy.

– Powiedziałem, że to nic takiego – rzekłem. – Ale coś jest.

– Proszę, mów – odparł.

– Sędzio – zacząłem. – Pan wie, dla kogo ja pracuję.

– Wiem, Jack – odrzekł. – Ale posiedźmy tu sobie i zapomnijmy o tym. Nie mogę powiedzieć, żebym pochwalał Starka, ale nie jestem taki jak większość naszych tutejszych przyjaciół. Potrafię szanować mężczyznę, a on jest mężczyzną. W pewnej chwili byłem nieomal za nim. Bo on wybijał szyby i wpuszczał trochę świeżego powietrza. Ale – potrząsnął smutnie głową i uśmiechnął się – zacząłem się martwić, że rozwali przy tym cały dom. No, i te niektóre jego metody... Toteż... – Nie dokończył zdania, tylko leciutko wzruszył ramionami.

– Toteż – dokończyłem zań – postawił pan na MacMurfee’ego.

– Jack – powiedział. – Polityka jest zawsze sprawą wyboru, a człowiek sam nie decyduje, co jest do wyboru. I zawsze trzeba zapłacić za wybór jakąś cenę. Ty to wiesz. Tyś dokonał wyboru i wiesz, ile cię to kosztowało. Zawsze jest jakaś cena.

– Tak, ale...

– Jack, ja ciebie nie krytykuję – odparł. – Ja ci ufam. Czas pokaże, który z nas się mylił. A tymczasem, Jack, niech to nas nie dzieli. Przepraszam, jeżeli tamtego wieczoru straciłem panowanie nad sobą. Przepraszam z całego serca. To mnie kosztowało trochę bólu.

– Mówi pan, że się panu nie podobają metody Starka – powiedziałem.

– No, więc ja panu powiem coś o metodach MacMurfee’ego. Niech pan posłucha, co chce zrobić MacMurfee... – I ruszyłem z miejsca, chybocząc

się i zgrzytając jak tramwaj, co wyskoczył z szyn i z zepsutymi hamulcami wali po pochyłości. Powiedziałem mu, co chce zrobić MacMurfee.

Siedział i słuchał. Wreszcie spytałem:

– Czy to jest takie ładne?

– Nie – odrzekł i potrząsnął głową.

– Nieładne – powiedziałem. – A pan może temu przeszkodzić.

– Ja? – zapytał.

– MacMurfee pana usłucha. Musi pana usłuchać, bo pan jest jednym z nielicznych przyjaciół, jacy mu jeszcze zostali, a wie, że Szeff następuje mu na pięty. Gdyby naprawdę miał coś więcej niż tylko coś, co może narobić trochę przykrości, postarałby się wykończyć Szefa, a nie wchodziłby w żadne targi. Ale on wie, że nie ma nic. I powiem panu, że jeżeli dojdzie do awantury, Szeff będzie walczył w sądzie. Ta Sibyl Frey to domorosła kurewka i my możemy z łatwością tego dowieść. Sprowadzimy całą drużynę futbolową plus zespół wyścigowy i wszystkich szoferów ciężarówek, którzy jeżdżą zosą numer sześćdziesiąt dziewięć koło domu jej tatusia. Jeżeli pan przemówi MacMurfee’emu do rozsądku, może być jakaś szansa uratowania jego skóry, jak przyjdzie co do czego. Ale, oczywiście, ja nic nie mogę obiecać. Na razie.

Przez chwilę nie było nic prócz półmroku, ciszy i nikłej woni jakby starego sera, podczas gdy to, co powiedziałem, służyło przez lejek do tej przystojnej starej głowy. A potem potrząsnął nią z wolna.

– Nie – powiedział.

– Niech pan posłucha – rzekłem. – Sibyl, ta kurewka, coś z tego dostanie. Możemy się zająć tą stroną zagadnienia, chyba że ona ma jakieś wielkie aspiracje. Będzie musiała oczywiście podpisać małe oświadczenie. I nie chcę przed panem ukrywać, że nasza strona będzie miała w zapasie kilka deklaracji innych jej przyjaciół, na wypadek, gdyby kiedyś zaczęła znów brykać. Jeżeli pan myśli, że Sibyl nie zostanie potraktowana uczciwie, to

mogę pana uspokoić pod tym względem.

– Nie o to chodzi – powiedział.

– Sędzio – ciągnąłem, słysząc nutę prośby w mym głosie. – A o cóż chodzi?

– To jest sprawa MacMurfee’ego. Możliwe, że robi błąd. Myślę, że tak. Ale to jego sprawa. Ja się nie mieszam do takich rzeczy.

– Sędzio – prosiłem. – Niech pan się zastanowi. Niech pan się namyśli przez jakiś czas.

Potrząsnął głową. Wstałem.

– Muszę już uciekać – powiedziałem. – Niech pan to sobie przemyśli. Wrócę jutro, to wtedy porozmawiamy. Wtedy da mi pan odpowiedź.

Skierował na mnie swe żółte agaty i znowu potrząsnął głową.

– Przyjdź do mnie jutro, Jack. Jutro i każdego innego dnia. Ale odpowiedź dam ci teraz.

– Ja pana proszę, sędzio, żeby pan mi zrobił tę łaskę. Niech pan zaczeka z decyzją do jutra.

– Mówisz tak, jakbym siebie nie znał, Jack. A to jest bodaj jedyna rzecz, jakiej się nauczyłem przez te moje siedem krzyżyków. Ze wiem, kiedy coś postanowię. W każdym razie przyjdź jutro. I nie będziemy mówili o polityce. – Uczynił nagły gest, jak gdyby coś zmiatał ręką ze stołu. – W ogóle niech diabli porwą politykę! – wykrzyknął żartobliwie.

Spojrzałem nań i mimo żartobliwego grymasu na jego twarzy oraz ręki wyciągniętej owym gestem, zrozumiałem, że chwila nadeszła. Nie było to już zanurzenie stopy w wodę ani nawet równy, głęboki ruch prądu dennego czy peryferyczne zasysanie nurtu. Był to nieodparty pęd i wciąganie wiru. Powinienem był wiedzieć, że tak będzie.

Patrząc na niego, powiedziałem nieomal szeptem:

– Ja pana prosiłem, sędzio. Ja pana prawie błagałem. Na jego twarzy pojawił się łagodnie pytający wyraz.

– Próbowałem – mówiłem dalej. – Błagałem pana.

– O co? – zapytał.

– Czy pan kiedy słyszał – ciągnąłem głosem, który był nadal nieledwie szeptem – o człowieku nazwiskiem Littlepaugh?

– Littlepaugh? – powtórzył, a brwi zmarszczyły mu się od wysiłku pamięci.

– Mortimer L. Littlepaugh – powiedziałem. – Nie pamięta pan?

Skóra na czole zbiegła mu się jeszcze mocniej, tworząc głęboką pionową bruzdę niby krzywy wykrzyknik między gęstymi, rdzawymi brwiami.

– Nie – odrzekł i potrząsnął głową. – Nie pamiętam.

I rzeczywiście nie pamiętał. Byłem tego pewien. Nawet nie pamiętał Mortimera L. Littlepaugh.

– A czy pan przypomina sobie Amerykańską Kompanię Elektryczną? – pytałem dalej.

– Oczywiście. Dlaczego miałbym nie pamiętać? Byłem jej radcą prawnym przez dziesięć lat.

Nic w nim nie drgnęło.

– Czy pamięta pan, jak pan dostał tę posesję?

– Zaraz, zaraz... – zaczął i wiedziałem, że w tej chwili nie pamięta, że naprawdę sięga w przeszłość, usiłując sobie przypomnieć. A potem wyprostował się i dokończył: – No, oczywiście. Pamiętam. Przez niejakiego pana Satterfielda.

Ale już coś w nim drgnęło. Grot natrafił na żywe mięso i ja to wiedziałem.

Odczekałem długą chwilę, wpatrując się w niego, a on patrzył mi w oczy, wyprostowany w fotelu.

– Sędzio – spytałem cicho. – Nie zmieni pan decyzji? W sprawie MacMurfee'ego?

– Już ci powiedziałem – odparł.

Wtedy usłyszałem jego oddech i poczułem, że nade wszystko pragnę się dowiedzieć, co dzieje się w jego mózgu, dlaczego siedzi taki wyprostowany i patrzy na mnie, podczas gdy grot go rozkrwawia.

Zbliżyłem się do fotela, na którym przedtem siedziałem, i schyliłem się, by podnieść z podłogi leżącą tam brązową kopertę. Wyprostowałem się, podszedłem do niego i położyłem mu ją na kolanach.

Popatrzył na kopertę, nie dotykając jej. Potem podniósł na mnie twarde, proste spojrzenie swoich żółtych agatów, w których nie było żadnego pytania. Wreszcie, bez słowa, otworzył kopertę i przeczytał znajdujące się w niej papiery. Światło było niedobre, ale się nie pochylał. Podnosił kolejno papier za papierem do twarzy. Czytał je bez pośpiechu. Wreszcie powoli odłożył ostatni na kolana.

– Littlepaugh – powiedział w zamyśleniu i odczekał chwilę. – Wiesz – ciągnął ze zdziwieniem – wiesz, ja nawet nie pamiętałem jego nazwiska. Przysięgam, że nawet nie pamiętałem jego nazwiska.

Znowu odczekał chwilę.

– Nie uważasz, że to niezwykle? – zapytał. – Że nawet nie pamiętałem jego nazwiska?

– Możliwe – odparłem.

– Wiesz – ciągnął, wciąż ze zdziwieniem – nieraz całymi tygodniami... czasem miesiącami... nie pamiętam zupełnie o... – dotknął lekko papierów mocnym, obrzmiałym palcem wskazującym prawej ręki – ...o tym.

Czekał, zagłębiając się w siebie. Wreszcie powiedział:

– Wiesz, niekiedy... przez dłuższy czas... jest tak, jakby to się nie stało. Przynajmniej mnie. Może komuś innemu, ale nie mnie. A potem przypominam sobie i kiedy sobie przypomnę, mówię: nie, mnie to nie mogło się zdarzyć.

Podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy.

– Ale się zdarzyło – powiedział.

– Tak – odrzekłem. – Zdarzyło się.

– Owszem – kiwnął głową. – Tylko trudno mi w to uwierzyć.

– Mnie też – odparłem.

– Dziękuję ci i za to, Jack – powiedział i uśmiechnął się krzywo.

– Myślę, że pan zna następne posunięcie – rzekłem.

– Chyba tak. Twój pracodawca chce wyrzucić na mnie presję. Zaszantażować mnie.

– „Presja” to ładniejsze słowo – oświadczyłem.

– Mnie już niewiele obchodzą ładne słowa. Żyje się ze słowami długi czas. A potem nagle człowiek jest stary i są tylko rzeczy, a słowa przestają być ważne.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak pan woli – powiedziałem. – Ale rozumie pan, o co idzie.

– Czyżbyś nie wiedział... twój pracodawca powinien wiedzieć, skoro utrzymuje, że jest prawnikiem... że to tutaj – znowu postukał palcem w papiery – nie mogłoby się utrzymać? Ani przez chwilę. W żadnym sądzie. Przecież to się stało prawie dwadzieścia pięć lat temu. I w żadnym razie nie wydostaniecie znikąd zeznań. Poza tą Littlepaugh. A to by było bez wartości. Wszyscy już pomarli.

– Oprócz pana, sędzio – rzekłem.

– To by się nie utrzymało w sądzie.

– Ale pan nie żyje w sądzie. Nie umarł pan, żyje pan na świecie i ludzie mają pana za człowieka określonego rodzaju. Nie jest pan człowiekiem, który potrafiłby znieść, żeby myśleli inaczej, sędzio.

– Nie mogliby tak pomyśleć! – wybuchnął, pochylając się do przodu.  
– Na Boga, nie mają żadnego prawa tak myśleć. Ja postąpiłem właściwie, spełniłem mój obowiązek i...

Oderwałem wzrok od jego twarzy i skierowałem go na papiery, które miał na kolanach. Zauważył to i także spojrzął w dół. Zamilkł, a jego palce dotknęły papierów niepewnie, jakby chcąc sprawdzić, czy są rzeczywiste. Bardzo wolno podniósł znów na mnie oczy.

– Masz rację – powiedział. – Zrobiłem i to.

– Tak – potwierdziłem. – Zrobił pan.

– Czy Stark już wie?

Usiłowałem odgadnąć, co kryje się za tym pytaniem, ale nie mogłem go rozszyfrować.

– Nie, nie wie – odparłem. – Oświadczyłem mu, że nic nie powiem, dopóki się z panem nie zobaczę. Widzi pan, sędzio, musiałem mieć pewność.

– Jesteś ogromnie wrażliwy – powiedział. – Jak na szantażystę.

– Nie zaczynamy sobie ubliżać. Ja tylko twierdzę, że pan próbuje osłaniać szantażystę.

– Nie, Jack – odrzekł spokojnie. – Ja nie próbuję osłaniać MacMurfee’ego. Może... – Zawahał się. – Może próbuję osłonić samego siebie.

– No to pan wie, jak to zrobić. A ja nic nie powiem Starkowi.

– Może i tak nic nie powiesz.

Wyrzekł to jeszcze spokojniej i przez chwilę myślałem, że może sięgnie po jakąś broń – biurko było blisko – albo rzuci się na mnie. Stary był, ale mógł jeszcze być niebezpieczny.

Musiał odgadnąć moją myśl, bo potrząsnął głową, uśmiechnął się i powiedział:

– Nie, bądź spokojny. Nie musisz się obawiać.

– Panie... – zacząłem ze złością.

– Nie zrobiłbym ci krzywdy – powiedział. A potem dodał w zamysleniu: – Ale mógłbym cię powstrzymać.

– Powstrzymując MacMurfee’ego.

– O wiele łatwiej. – Jak?

– O wiele łatwiej – powtórzył. – Jak?

– Mógłbym po prostu... – zaczął. – Mógłbym po prostu powiedzieć ci... powiedzieć ci coś... – Przerwał, po czym nagle wstał, zrzucając papiery z kolan. – Ale nie powiem – dokończył pogodnie i uśmiechnął się do mnie.

– Czego pan mi nie powie?

– Mniejsza z tym – odrzekł wciąż z uśmiechem i machnął ręką, jakby odsuwając wesoło ten temat.

Przez chwilę stałem niezdecydowany. Było tu coś nielogicznego. Nie powinien przecież tak stać, dziarski, pewny siebie i pogodny, z obciążającymi papierami u stóp. Ale tak było.

Schyliłem się, aby pozbierać papiery, a on przypatrywał mi się ze swej wysokości.

– Sędzio – powiedziałem. – Przyjdę tu jutro. Niech pan to sobie przemyśli i po weźmie decyzję.

– Przecież już ją powziąłem.

– Więc pan...

– Nie, Jack. Podszedłem do drzwi hallu.

– Wróć tu jutro – powiedziałem.

– Jasne, jasne. Przyjdź. Ale ja już się zdecydowałem. Wyszedłem do hallu, nie mówiąc do widzenia. Już podnosiłem rękę do klamki frontowych drzwi, gdy usłyszałem jego głos, wołający moje imię. Obróciłem się i postąpiłem parę kroków ku niemu. Wszedł za mną do hallu.

– Chciałem ci tylko powiedzieć – rzekł – że dowiedziałem się czegoś nowego z tych interesujących dokumentów. Dowiedziałem się, że mój stary przyjaciel, gubernator Stanton, naraził swój honor, żeby mnie ochronić. Nie wiem, czy bardziej się cieszyć, czy martwić z tego



powodu. Dowiadując się o jego przywiązaniu do mnie czy o tym, ile bólu go to kosztowało. Nigdy mi nic nie powiedział. To był szczyt jego wielkoduszności. Prawda? Ze mi nigdy nie powiedział.

Wymamrotałem coś, że chyba tak.

– Chciałem tylko, żebyś to wiedział o gubernatorze. Że jego błąd był ułomnością jego cnoty. Cnoty przywiązania do przyjaciela.

Na to już nic nie wymamrotałem.

– Chciałem tylko, żebyś to wiedział o gubernatorze – dokończył.

– W porządku – odparłem i zawróciłem do drzwi frontowych, czując na sobie jego żółte spojrzenie i spokojny uśmiech, po czym wyszedłem na rozjarzone światło dnia.

Było gorąco jak w piekle, gdy szedłem aleją ku domowi. Zastanawiałem się, czy popływać, czy wsiąść do samochodu, wrócić do miasta i powiedzieć Szeferowi, że sędzia Irwin ani drgnie. Wreszcie zdecydowałem się odczekać jeszcze jeden dzień. Mogłem zaczekać, mając na widoku szansę, że sędzia zmieni zdanie. Ale postanowiłem popływać później. Teraz było za gorąco nawet na pływanie. Pomyślałem, że wrócę do domu, wezmę prysznic i poleżę, dopóki się na tyle nie ochłodzi, żeby można było iść popływać.

Wziąłem prysznic, położyłem się i zasnąłem.

Ocknąłem się i poderwałem na łóżku. Byłem zupełnie obudzony. Odgłos, który mnie zbudził, jeszcze mi dźwięczał w uszach. Wiedziałem, że to był krzyk. A potem ozwał się znowu. Przenikliwy, piękny, srebrzysty, sopranowy krzyk.

Wyskoczyłem z łóżka, rzuciłem się do drzwi, potem uświadomiłem sobie, że jestem zupełnie nagi, złapałem szlafrok i wypadłem z pokoju. Z głębi korytarza, z pokoju matki, dochodził odgłos jakby jęku. Drzwi były

otwarte i wbiegłem do środka.

Siedziała na krawędzi łóżka, w negliżu, zaciskając w dłoni słuchawkę białego, sypialnego telefonu, i wpatrzyła się we mnie szeroko otwartymi, oszalałymi oczami, pojękując co chwila automatycznie. Podeszedłem do niej. Upuściła z trzaskiem słuchawkę na podłogę, wyciągnęła rękę i wskazując mnie palcem, krzyknęła:

– Tyś to zrobił! Tyś to zrobił! To tyś go zabił!

– Co? – zapytałem. – Co takiego?

– Zabiłeś go!

– Kogo zabiłem?

– Zabiłeś go! – Zaczęła śmiać się histerycznie.

Chwyciłem ją za ramiona i potrząsnąłem, usiłując przerwać ten śmiech, ale wydzierała się i odpychała mnie. Przestała się śmiać na sekundę, by złapać oddech, i w tej chwili usłyszałem suchy, szczękający sygnał, który dawał telefon, by zwrócić uwagę, że słuchawka nie leży na widełkach. A potem zagłuszył go jej śmiech.

– Cicho bądź! Cicho! – rozkazałem i nagle spojrzała na mnie, jak gdyby dopiero w tej chwili zauważyła moją obecność.

A potem, już nie głośno, ale dobitnie, powiedziała:

– To ty go zabiłeś, ty go zabiłeś.

– Kogo zabiłem? – spytałem, potrząsając nią.

– Twojego ojca – odrzekła. – Twojego ojca i, och, ty go zabiłeś.

W ten sposób się dowiedziałem. W pierwszej chwili ta wiadomość po prostu mnie poraziła. Kiedy cię trafi wielkokalibrowa kula, możesz się wprawdzie okrećć w miejscu, ale nie czujesz nic. Przynajmniej z początku. W każdym razie miałem teraz sporo do roboty. Matka była w okropnym stanie. W drzwiach już się ukazały dwie czarne twarze, kucharki i pokojówki, i kłamałem je, żeby przestały się gapić i wezwały doktora Blanda. Potem porwałem z podłogi szczękającą słuchawkę

telefonu, żeby mogli zadzwonić z aparatu na dole, i na chwilę puściłem matkę, aby zatrasnąć drzwi i zasłonić to, co się działo, przed owymi wszyszkowidzącymi i wszyszkowiedzącymi oczyma.

Matka mówiła między jękami a śmiechem. Mówiła, jak go kochała, i że był jedyną miłością w jej życiu, i że go zabiłem, zabiłem własnego ojca, i wiele takich rzeczy. Mówiła wciąż, gdy zjawił się doktor Bland i zrobił jej zastrzyk podskórny. Pochylony nad leżącą na łóżku matką, której jęki i szepty już teraz ucichały, obrócił do mnie swą siwą i siwobrodą, sową twarz i powiedział:

– Jack, ja tu przyślę pielęgniarkę. Osobę godną zaufania. Nikt inny nie ma tu wchodzić. Rozumiesz?

– Tak – odrzekłem, bo rozumiałem, i zrozumiałem także, iż on zrozumiał doskonale, co znaczyły oszalałe słowa mojej matki.

– Zostań tu, dopóki nie przyjdzie pielęgniarka – ciągnął – i nie wpuszczaj nikogo. A pielęgniarka też nie ma nikogo wpuszczać, dopóki nie wrócę i nie sprawdzę, czy twoja matka jest już normalna. Nikogo!

Kiwnąłem głową i odprowadziłem go do drzwi. Kiedy już się pożegnał, zatrzymałem go na chwilę.

– Doktorze – spytałem. – Co się stało sędziemu? Matka nie powiedziała mi wyraźnie. Czy to był atak?

– Nie – odrzekł i przypatrzył mi się bacznie. – Więc co?

– Zastrzelił się dziś po południu – odparł, wciąż mi się przyglądając. Ale potem dodał rzeczowym tonem: – Była to niewątpliwie sprawa jego zdrowia. Zdrowie mu ostatnio nie dopisywało. Człowiek ogromnie aktywny... miłośnik sportu... Bardzo często – jego głos był jeszcze bardziej suchy i obojętny – bardzo często tacy ludzie nie chcą przeżywać ostatnich lat ograniczonej aktywności. Tak, jestem przekonany, że to była przyczyna.

Nie odpowiedziałem nic.

– Do widzenia – rzekł doktor, oderwał ode mnie wzrok i ruszył korytarzem.

Był już prawie przy schodach, gdy zawołałem: „Doktorze!” – i pobiegłem za nim. Dogoniłem go i zapytałem:

– Doktorze, gdzie on strzelił? To znaczy w jaką część ciała? Nie w głowę?

– Prosto w serce – odpowiedział. – Pistolet automatyczny kaliber dziewięć. Bardzo czysta rana.

Po czym zszedł po schodach. Zostałem na górze i myślałem o tym zabitym, który przestrzelił sobie serce – zadając bardzo czystą ranę – a nie głowę, z wylotem lufy włożonym w usta, kiedy to strzał rozwała miękkie błony podniebienia, osmala je i roznosi wierzch czaszki jak jajko i robi ohydne spustoszenie. Stałem tam, czując ogromną ulgę na myśl o tej ładnej, czystej ranie.

Poszedłem do swego pokoju, złapałem jakieś ubranie, wróciłem do matki i zamknąłem drzwi. Ubrałem się i usiadłem przy wielkim, wspaniałym łożu z baldachimem, w którym spowita w koronki postać wydawała się tak drobna. Zauważyłem, jak zwiotczałe są jej piersi, a twarz zapadnięta i szarawa. Usta były nieco rozchylone i oddech dobywał się z nich z trudem. Ledwie poznałem jej twarz. Z pewnością nie była to twarz owej złotowłosej dziewczyny w jasnozielonej sukni, która przed czterdziestu laty stała obok krępego mężczyzny w ciemnym ubraniu, na schodkach kantyny w miasteczku tartacznym w Arkansas, podczas gdy jęk pił dźwięczał w powietrzu i pod czaszką jak obolały nerw, a czerwona ziemia między połaciami pieńków okrywała się puchem bladej zieleni i parowała w wiosennym słońcu. Nie była to owa rozgorzała twarz o zgłodniałych policzkach, która w tamtych latach unosiła się żarliwie i z desperacją ku mężczyźnie o jastrzębiej głowie i gorących oczach, w mirtowych alejkach, w sekretnych gajach sosnowych albo w pokojach za

zamkniętymi okiennicami. Nie, teraz była to twarz stara. I zrobiło mi jej się bardzo żal. Pochyliłem się i ująłem rękę nieprzytomnej, spoczywającą bezwładnie na prześcieradle.

Trzymałem tę rękę i próbowałem sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby nie Uczony Adwokat, ale jego przyjaciel pojechał do małego tartacznego miasteczka w Arkansas. Nie, to by niewiele pomogło – doszedłem do wniosku, przypominając sobie, że w owym czasie Monty Irwin był żonaty z chorą kobietą, swoją pierwszą żoną, która została kaleką, spadłszy z konia, przeleżała w łóżku kilka lat, a potem cicho umarła w Landing i zesłała nam z oczu i myśli. Monty Irwin niewątpliwie był związany z tą ułomną żoną jakimś poczuciem obowiązku i nie mógł rozejść się z nią i ożenić z tą drugą kobietą. Niezawodnie dlatego nie ożenił się z dziewczyną o zgłodniałych policzkach, dlatego nie poszedł do swego przyjaciela, Uczonego Adwokata, i nie powiedział: „Kocham twoją żonę”, i dlatego nie poślubił jej nawet wtedy, gdy mąż dowiedział się prawdy, co musiało nastąpić, skoro wyszedł z domu i spędził tyle lat na poddaszach slumsów. Wówczas Irwin miał jeszcze żonę, z którą – ponieważ była kaleką – musiał się czuć związany jakimś opacznie pojętym honorem. I wtedy moja matka wyszła powtórnie za mąż. Musiały przez cały ten czas trwać zaciekle i gorzkie kłótnie, przeplatane kradzionymi chwilami radości i rozkoszy. Wreszcie kaleka umarła. Dlaczego nie pobrali się wtedy? Może matka wówczas już nie chciała – żeby go ukarać za jego własne poprzednie odmowy. Albo też może ich życie ułożyło się już wtedy w pewien wzór, którego nie mogli rozbić. Dość, że ożenił się z ową kobietą z Savannah, kobietą, która nie przyniosła mu nic, ani pieniędzy, ani szczęścia, ale która też po pewnym czasie umarła. Dlaczego nie pobrali się wtedy?

W końcu usunąłem z myśli to pytanie. Przyszło mi do głowy, iż może jedyną odpowiedzią jest to, że kiedy wreszcie zrozumiemy układ rzeczy, w jakim się znaleźliśmy, definicję, którą dajemy sami sobie, jest już za

późno wyrwać się z zamknięcia. Możemy jedynie żyć w kategoriach tej definicji, jak więzień w klatce wywieszanej z wyroku na widok motłochu, w której nie może się położyć ani stać. Ani siedzieć.

A jednak definicją, którą sobie nadajemy, jesteśmy my sami.

Ażeby się z niej wyrwać, musimy stworzyć sobie nowe „ja”. Ale jakże nasze „ja” ma utworzyć to nowe, skoro ta samoistość, którą ono jest, stanowi jedyną substancję, z jakiej nowe „ja” może powstać? Tak przynajmniej argumentowałem sobie naówczas.

Jak powiadam, usunąłem z myśli to pytanie, a także odpowiedź, której próbowałem na nie udzielić, i tylko trzymałem bezwładną rękę matki w moich dłoniach, słuchałem ciężkiego oddechu dobywającego się z ust tej zapadniętej twarzy i wspominałem, jak w krzyku, który wyrwał mnie ze snu tego popołudnia, brzmiała jasna, piękna, srebrzysta czystość uczucia. Doszedłem do wniosku, że był to prawdziwy krzyk pogrzebanej duszy, która w tej jednej chwili, po tylu latach, zdołała się znów wypowiedzieć. No cóż, matka widać kochała Monty’ego Irwina. A myślałem, że nigdy nie kochała nikogo. Więc teraz, trzymając ją za rękę, uczułem nie tylko litość dla niej, ale coś jakby miłość, ponieważ kogoś kochała.

Po pewnym czasie nadeszła pielęgniarka i złuzowała mnie w pokoju. Potem zjawiała się pani Danieli, sąsiadka sędziego Irwina, żeby zobaczyć się z matką. To ona zatelefonowała do niej z wiadomością. Pani Danieli usłyszała po południu strzał, ale nie przywiązywała do tego wagi, dopóki czarny boy Irwina nie wypadł do ogrodu i nie zaczął wrzeszczeć. Weszła razem z nim do domu i zobaczyła sędziego, który siedział u siebie w bibliotece, na jednym z wielkich skórzanych foteli, z pistoletem na kolanach, głową zwieszoną na ramię i krwią przesiąkającą przez lewą stronę białej marynarki. Pani Danieli miała masę do opowiedzenia i obrabiała systematycznie aleję dom po domu. Powtórzyła mi całą historię, spróbowała bez powodzenia wyniuchać coś na temat mojej popołudniowej

wizyty u sędziego i niedyspozycji matki (słyszała oczywiście jej krzyki w telefonie), wreszcie pożegnała się i odeszła, nie uzyskawszy zbyt wielu danych, które mogłaby dorzucić do swojej podstawowej opowieści w następnej przystani, do której miała zawiązać.

Młody Dyrektor zjawił się około siódmej. Wiedział już o śmierci sędziego Irwina, ale musiałem mu opowiedzieć o matce. Dałem mu bardzo wyraźnie i bez ogródek do zrozumienia, że ma nie wchodzić do jej pokoju. Następnie wyszliśmy obaj na boczną werandę i tam popijaliśmy w milczeniu. Jego obecność nie bardziej mi przeszkadzała, niż gdyby był cieniem.

Dwa dni później pochowano sędziego Irwina na cmentarzu, pod upiornymi dębami, z których zwisały girlandy hiszpańskich mchów. Przedtem, w jego domu, podszedłem za innymi do trumny i popatrzyłem w martwą twarz. Orli nos wydawał się cienki jak papier i prawie przezroczysty. Zwykły, intensywny koloryt cery zniknął i na policzkach był tylko nieśmiały rumieńczyk, wytwór sztuki przedsiębiorcy pogrzebowego. Natomiast twarde, rudawe włosy, jakby rzadsze niż przedtem, zdawały się jeżyć elektrycznie i samoistnie na wysoko sklepionej czaszce. Ludzie przechodzili obok trumny, spoglądali, szeptali do siebie i stawali w głębi salonu, obok palm w doniczkach, sprowadzonych na tę okazję. I tak fakt śmierci sędziego wtopił się bezboleśnie w życie społeczności, niczym pojedyncza kropelka barwnika wpuszczona do szklanki czystej wody. Miał rozchodzić się coraz dalej od punktu najsilniejszego stężenia, rozpląwać się i rozrzedzać, osłabiając centralny fakt plamki barwnej, dopóki by się nie stała zupełnie niewidoczna.

Później stałem na cmentarzu, podczas gdy obrządek dobiegał końca, i ziemia – mieszanina piasku i czarnej wierzchniej próchnicy – spadała zrzucona łopatami do dołu, w którym leżał sędzia Irwin. Myślałem o tym, jak zapomniał nazwiska Mortimera L. Littlepaugha, zapomniał, że

ten kiedykolwiek istniał – natomiast Mortimer nie zapomniał go nigdy. Mortimer nie żył już od dwóch dziesiątków lat z górą, ale nigdy nie zapomniał sędziego Irwina. Pamiętając o liście schowanym w kuferku siostry, szczyrzył bezcielesnie zęby, chichotał bezgłośnie i czekał. Sędzia Irwin zabił Mortimera L. Littlepaugha. Ale Mortimer w końcu zabił sędziego Irwina. Tylko czy Mortimer? Może to ja go zabiłem? Był to jeden sposób patrzenia na sprawę. Obracałem w głowie tę myśl i zastanawiałem się nad swoją odpowiedzialnością. Byłoby najzupełniej możliwe powiedzieć, że nie ponoszę żadnej, tak samo jak Mortimer. Mortimer zabił sędziego Irwina, ponieważ sędzia Irwin zabił jego, a ja zabiłem sędziego Irwina, ponieważ sędzia Irwin mnie stworzył, patrząc zaś na sprawę w tym świetle, można by powiedzieć, że Mortimer i ja byliśmy jedynie bliźniaczymi narzędziami odwleczonego, ale nieuchronnego samounicestwienia sędziego Irwina. Bo zabicie albo stworzenie może być zbrodnią, która karana jest śmiercią, a zbrodniarz zawsze ponosi śmierć z własnej ręki i każdy człowiek jest samobójcą. Gdyby człowiek wiedział, jak żyć, nie umarłby nigdy.

Zasyпали dół i ukleпали na wierzchu zgrabny kopczyk, na którym położyli dywanik ze sztucznej trawy, jadowicie zielonej – na tym cmentarzu, gdzie w gęstym cieniu gałęzi i festonów mchu, pod pokrywą udeptanych liści nigdy nie kiełkowała prawdziwa trawa. W końcu, podążając za godnym tłumem, pozostawiłem nieboszczyka pod ową zieloną trawą, wymysłem przedsiębiorcy pogrzebowego, który oszczędzał co wrażliwszym duszom widoku surowej ziemi, obwieszczając, że właściwie nic się nie stało, i niejako przesłaniał wszelką treść życia i śmierci.

Pozostawiłem więc mego ojca i poszedłem przed siebie aleją. Zdołałem już przywyknąć do myślenia o nim jako o ojcu. To jednak znaczyło, że odwykłem od myślenia jako o ojcu o człowieku, który niegdyś był Uczonym Adwokatem. Była jakaś ulga w świadomości, że nie



jest on moim ojcem. Zawsze czułem na sobie przekleństwo jego słabości czy też to, co za nie uważałem. Miał piękną i ochoczą młodą żonę, a inny mężczyzna odebrał mu ją i został ojcem jego dziecka, on zaś tylko odszedł, pozostawiając jej wszystko, co miał, zaszył się w jakiejś dziurze w slumsach, przywarował tam niby ranione zwierzę i pozwolił, by jego inteligencja wykrwawiła się w nabożne brednie, a jego siła w słabość. A przecież był dobry. Ale jego dobroć nie nauczyła mnie niczego poza tym, że nie mógłbym nią żyć. Natomiast mój nowy ojciec nie był dobry. Przyprawił rogi przyjacielowi, zdradził żonę, wziął łapówkę, doprowadził – choć nieświadomie – człowieka do śmierci. Mimo to czynił dobro. Był sprawiedliwym sędzią. I głowę nosił wysoko. Tak uczynił tego ostatniego popołudnia swojego życia. Nie powiedział: „Słuchaj, Jack, nie możesz tego zrobić – nie możesz – bo widzisz, widzisz... ja jestem twoim ojcem”.

No cóż, zamieniłem dobrego, słabego ojca na ojca złego i silnego. Nie było mi przykro z tego powodu. Gdy szedłem aleją nad morzem, zrobiło mi się żal sędziego, ale nie czułem niezadowolenia z tej zamiany. A potem pomyślałem o tamtym drugim człowieku, pochylającym się w brudnym pokoju nad akrobatą półgłówkiem, wyciągającym kawałek czekolady ku twarzy mokrej od łez, i pomyślałem o chłopczyku na dywanie przed kominkiem i o krępyim, ubranym w czarną marynarkę mężczyźnie, który schylał się ku niemu i mówił: „Masz, synku, tylko raz ugryź przed kolacją”. I nie byłem już taki pewny, co czuję.

Dałem więc temu spokój. Nie było sensu sondować moich uczuć w stosunku do nich, bo utraciłem ich obu. Większość ludzi traci jednego ojca, ale ja byłem w szczególnej sytuacji, bo utraciłem dwóch w tej samej chwili. Odgrzebałem prawdę, a prawda zawsze zabija ojca, dobrego i słabego czy złego i silnego, i wtedy zostajesz sam na sam z sobą i prawdą, i nigdy już nie możesz zapytać tatusia, który i tak nie wiedział i który jest teraz martwy jak kamień.

Następnego dnia, po moim powrocie do miasta, zatelefonowano do mnie z Landing. Dzwonił niejaki pan Pettus, który, jak się okazało, był wykonawcą testamentu sędziego. Według tego, co mi powiedział, byłem jedynym spadkobiercą, poza kilkoma pomniejszych darowiznami na rzecz służby. Byłem wyłącznym spadkobiercą majątku, który sędzia Irwin ocalił przed laty swoim jedynym aktem nieuczciwości, aktem, za który ja, nieświadome narzędzie sprawiedliwości, przyłożyłem mu pistolet do serca.

Cała ta sprawa wydawała się tak obłądna i tak logiczna, że odłożywszy słuchawkę, wybuchnąłem śmiechem i nie mogłem się pohamować. Ścisłe mówiąc, zanim się pohamowałem, stwierdziłem, że bynajmniej się nie śmieję, ale płaczę i powtarzam wciąż od nowa: „Nieszczęsne biedaczysko, nieszczęsne biedaczysko!” Było to jak pęknięcie lodów po długiej zimie. A zima była długa.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po wielkim ciosie czy kryzysie, po pierwszym wstrząsie, gdy nerwy przestały drgać i boleć, oswajasz się z nowym stanem rzeczy i czujesz, że wyczerpały się już wszelkie możliwości odmiany. Przystosowujesz się i jesteś pewny, że nowa równowaga trwać będzie wiecznie. Tak właśnie czułem się po śmierci sędziego Irwina i powrocie do miasta. Uważałem, że zakończyła się jakaś historia, że zostało rozegrane to, co zaczęło się dawno temu, że cytrynę wyciśnięto do ostatka. Ale jeżeli jest coś pewnego, to to, że żadna historia się nie kończy, bo ta, którą uważamy za zakończoną, jest tylko rozdziałem innej historii nie kończącej się nigdy, i że to nie sama gra się skończyła, ale jedynie jej runda, a gra ma o wiele więcej niż dziewięć rund. Kiedy grę się przerywa, to tylko ze względu na zapadnięcie ciemności. Ale dzień jest długi.

Mała gra rozgrywana przez Szefa nie była zakończona. Tylko ja prawie o niej zapomniałem. Zapomniałem, że historia sędziego Irwina, która wydawała się całością sama w sobie, jest jedynie rozdziałem dłuższej historii Szefa, bynajmniej nie zakończonej i będącej z kolei tylko rozdziałem innej, większej historii.

Gdy wszedłem, Szef spojrzał na mnie znad biurka i rzekł:

- Psiakrew, więc ten drań mi się wywinął. Nic nie odpowiedziałem.
- Nie prosiłem cię, żebyś go zastraszył na śmierć; powiedziałem ci tylko, żebyś go nastraszył.
- On się nie przestraszył.
- Więc dlaczego to zrobił, u diabła?
- Już dawno temu, kiedy zaczęła się ta cała heca, powiedziałem ci, że

nie da się zastraszyć.

– No to dlaczego to zrobił?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Ale dlaczego to zrobił?

– Cholera jasna – odparłem. – Nie słyszysz, że nie chcę o tym rozmawiać?

Popatrzył na mnie z lekkim zdziwieniem, wstał z fotela i przeszedł na moją stronę biurka.

– Bardzo mi przykro – powiedział i położył mi swą ciężką dłoń na ramieniu.

Wysunąłem się spod niej.

– Bardzo mi przykro – powtórzył. – Bo on kiedyś był twoim kumplem, prawda?

– Aha – odrzekłem.

Przysiadł na biurku, podniósł masywne kolano i zaplótł na nim dłonie.

– Jest jeszcze MacMurfee – powiedział w zamyśleniu.

– Tak, jest jeszcze MacMurfee, ale jeżeli znowu chcesz próbować szantażu, to znajdź sobie do tego kogoś innego.

– Nawet na MacMurfee’ego? – zapytał z nutą żartobliwości, na którą nie zareagowałem.

– Nawet na MacMurfee’ego – odparłem.

– Co to? Rozstajesz się ze mną? – zapytał.

– Nie, tylko z pewnymi rzeczami.

– No przecież to była prawda, nie? – Co?

– To, co zrobił sędzia, cokolwiek to tam było.

Nie mogłem zaprzeczyć. Musiałem powiedzieć: tak. Toteż kiwnąłem głową i odrzekłem:

– Tak, zrobił to.

– No więc? – zapytał.

– Powiedziałem już, co powiedziałem.

Obserwował mnie leniwie spod opadłego na czoło kędziora.

– Chłopcze – rzekł wreszcie spokojnie. – Byliśmy razem przez długi czas. Mam nadzieję, że będziemy razem do końca. Tkwiliśmy w tym po uszy obaj, ty i ja, chłopcze.

Nie odpowiedziałem.

Dalej mi się przypatrywał, w końcu rzekł:

– Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

– Aha – odparłem z goryczą. – Zostaniesz senatorem.

– Nie o to mi idzie. Mógłbym być senatorem już teraz, gdyby tylko o to chodziło.

– A o co ci idzie?

Przez moment nie odpowiadał, nawet nie patrzył na mnie, tylko na swoje dłonie, splecione na przygiętym kolanie.

– Cholera – rzekł nagle. – Zapomnij o tym. – Raptem puścił kolano, noga opadła, stopa uderzyła ciężko o podłogę, a on poderwał się z biurka. – Ale niech nikt inny lepiej nie zapomina... MacMurfee i nikt... że zrobię, co muszę zrobić. Jak Boga kocham, zrobię, choćbym miał im łamać kości gołymi rękami. – I wyciągnął przed siebie dłonie z rozstawionymi, zakrzywionymi palcami, naprężone, jak gdyby chciał coś chwycić.

Potem oparł się znów o biurko i powiedział na wpół do siebie:

– Teraz ten Frey. Ten Frey.

Następnie pogrążył się w milczącej zadumie i gdyby Frey mógł go widzieć, pewnie uradowałby się, że siedzi daleko na farmie w Arkansas i że nie zostawił swojego adresu.

Tak więc historia Szefa i MacMurfee'ego, której jedynie częścią była historia sędziego Irwina, ciągnęła się dalej, ale ja już nie brałem w niej udziału. Wróciłem do mych niewinnych, drobnych zajęć i przesiadywałem u siebie w gabinecie; jesień nadciągała niepostrzeżenie i Ziemia pochylała

się na swej osi, przesuując powoli miejsce, w którym się znajdowałem, poza bezpośredni, rozjarzony, krystaliczny, palący żar ogromnego Słońca. Gdy wieczorem zrywał się wiatr, liście dębów szeleściły sucho, a na wsi, z dala od betonowych chodników i linii tramwajowych, padały pod ciężkim nożem zbite gęszcze trzciny cukrowej i o zmierzchu wielkie wozy z wysokimi kołami skrzybiały na wyboistych drogach, zawalone wysoko stertami słodkawo cuchnącego ładunku, daleko zaś, na płaskich, czarnych, ogołoconych nożem polach, pod szafranowym niebem, jakiś Murzyn zawodził pieśń o układzie między nim a Jezusem. Na uniwersyteckim boisku stopa długonogiego, masywnego, barczystego chłopaka kopała i kopała piłkę, dalej zaś zwarta masa graczy przewalała się i kłębiła w takt krzyków i rozkazujących gwizdków. W sobotnie wieczory, w blasku baterii reflektorów, stadion rozbrzmiewał echem ryku: „Tom! Tom! Tom!” Bo Tom Stark biegł z piłką, Tom Stark robił zwód, Tom Stark przecinał linię i wciąż było słyhać: „Tom, Tom, Tom”.

Komentatorzy sportowi pisali, że jest lepszy niż kiedykolwiek. Tymczasem ojciec musiał się dobrze przez niego napocić. Szef był wściekły jak nie pijący Szkot. Całe biuro chodziło na palcach, dziewczęta nagle wybuchały płaczem nad maszynami do pisania, wróciwszy po podyktowaniu przezeń listu, a urzędnicy stanowią, wychodząc z jego gabinetu, przykładali jedną ręką chustkę do pobladłego czoła, drugą zaś wyciągali po omacku przed siebie, idąc przez pokój pod malowanymi oczami wszystkich oprawnych w złote ramy zmarłych gubernatorów. Jedna tylko Sadie nie zmieniła się wcale. Mówiąc, urywała krótko sylaby niczym krawcowa nitkę i patrzyła na Szefa pośepnym, nieugiętym wzrokiem, jak duch przyszłości medytujący nad nadziejami człowieka.

Chmurność opuszczała w tym czasie Szefa tylko na meczach. Wybrałem się z nim parę razy i kiedy Tom zaczynał robić swoje, Szef zmieniał się zupełnie. Oczy mu wyłaziły z orbit i błyszcząły, walił mnie

po plecach i tarmosił jak niedźwiedź. Czasem jakiś przebłysk tego trwał jeszcze nazajutrz, kiedy otwierał niedzielną gazetę na kromce sportowej, ale z całą pewnością nie ostawał się do końca tygodnia. A Tom nawet palcem nie kiwnął, żeby wynagrodzić ojcu kłopoty, których był przyczyną. Raz czy dwa przemówili się ostro, bo Tom opuszczał się na treningach i miał awanturę z coachem Billiem Martinem.

– Co ojcu do tego? – pytał, stojąc pośrodku hotelowego pokoju, rozkraczony jak na rozkołysanym pokładzie, z głową spowitą w snującą się tam dym cygar. – Jeżeli potrafię wygrać, to co ojcu czy Martinowi do tego? A przecież potrafię, nie? Jeszcze potrafię, więc czego więcej ojciec chce, psiakrew? Potrafię wygrać, a ojciec może się później tym przechwalać. O to właśnie ojcu idzie, nie?

I po tych słowach Tom Stark wyszedł, trzaskając drzwiami, a Szeff zapewne pozostał jak sparaliżowany od uderzenia krwi do głowy.

– Tak mi powiedział – mówił mi później. – Jak Boga kocham, tak mi powiedział i trzeba mi było go trzasnąć.

Ale był tym wstrząśnięty. To się wyraźnie widziało.

Tymczasem Szeff załatwił sprawę Sibyl Frey. Jak już wspomniałem, nie brałem w tym udziału. To jednak, co się stało, było proste i do przewidzenia. Istniały dwa sposoby dobrania się do MacMurfee’ego: przez sędziego Irwina i przez Gummy’ego Larsona. Szeff próbował zastraszyć sędziego i to się nie udało. Teraz więc musiał kupić Gummy’ego. A mógł go kupić, bo Gummy był człowiekiem interesu. Stuprocentowym człowiekiem interesu. Za odpowiednią sumę sprzedałby wszystko, swą nieśmiertelną duszę czy święte kości matki, a przecież jego stary druh MacMurfee nie był ani jednym, ani drugim. Gdyby Gummy powiedział MacMurfee’emu, żeby dał sobie spokój, bo nie zostanie senatorem, MacMurfee dałby spokój, gdyż bez Gummy’ego był niczym.

Szeff nie miał wyboru. Musiał kupić. Mógł ułożyć się bezpośrednio

z MacMurfeem i dopuścić go do senatu, z zamiarem podążenia w jego ślady podczas następnych senackich wyborów. Ale przeciwko temu przemawiały dwa argumenty. Po pierwsze, pora byłaby wtedy nieodpowiednia. Szef powinien był wystąpić teraz. Później byłby tylko jeszcze jednym senatorem dobiegającym pięćdziesiątki. Obecnie zaś byłby cudownym dzieckiem, ziejącym siarką. Miały przed sobą przyszłość. Po drugie, jeśliby dopuścił MacMurfee'ego do żłobu, wielu takich, którym teraz wystąpiłby na czoło zimny pot, gdyby bodaj w zaciszu buduaru przeszło im przez myśl sprzeciwić się Szefowi, wyobraziłoby sobie, że można bezkarnie zrobić mu na przekór. Zaczęłyby się bratać i wzajemnie częstować cygarami z przyjaciółmi MacMurfee'ego. Zaczęłyby nawet mieć własne pomysły. Ale był jeszcze trzeci argument przeciwko ułożeniu się z MacMurfeem. A właściwie nie argument, lecz po prostu fakt. Mianowicie, że Szef jest taki, jaki jest. Jeżeli MacMurfee zmuszał go do kompromisu, to już przynajmniej nie MacMurfee powinien był na tym skorzystać. Toteż Szef doszedł do porozumienia z Gummy Larsonem.

Cena nie była niska. To nie był drobiazg. Była to umowa, generalna umowa na budowę ośrodka medycznego. Rzecz miała być tak załatwiona, żeby Larson ją dostał.

Ja jednak nie miałem nic wspólnego z tym załatwianiem. Robił to Duffy, bo przez cały czas parł do takiego układu, i przypuszczam, że musiał coś dostać ciepłą ręką czy na osłodę od Larsona. Cóż, nie mam mu tego za złe. Zapracował sobie na to. Wił się i pocił, czuł na sobie złowrogi, przenikliwy wzrok Szefa podczas owego długiego milczenia, gdy usiłował namówić go na Gummy'ego Larsona. Nie było winą Tiny'ego, że przypadek, a nie jego usilne starania, umożliwił obecnie taki układ. Nie mam mu więc za złe tej jego osłody.

Wszystko to odbywało się za moimi plecami albo może nawet na moich oczach, bo w owym czasie, gdy nadchodziła jesień, czułem się tak,



jakbym stopniowo wycofywał się z otaczającego mnie świata. On mógł iść swoją drogą, ja swoją. Czy może raczej poszedłbym swoją drogą, gdybym wiedział, jaka jest. Bawiłem się myślą odejścia, powiedzenia Szefowi: „Szefie, zabieram się stąd do diabła i więcej nie wrócę”. Rozmyślałem, że mogę sobie na to pozwolić. Nie musiałem ruszyć palcem, aby mieć swój poranny pączek z kawą. Może i nie byłbym strasznie bogaty, lecz uważałem, że mogłem być zamożny jakoś tak elegancko, nobliwie, po południowemu. Nikt z nas nie chce być strasznie bogaty, bo to byłoby oczywiście pospolite i wulgarnie. Miałem więc być po prostu nobliwie zamożny. Gdy tylko by upłynniono majątek sędziego. (Jeżeliby to się wreszcie stało, bo jego interesy były skomplikowane i musiało to zabrać sporo czasu.).

Miałem więc być nobliwie zamożny, ponieważ odziedziczyłem owoce przestępstwa sędziego, podobnie jak kiedyś miałem odziedziczyć po matce owoce słabości Uczonego Adwokata, pieniądze, które jej zostawił, kiedy dowiedział się prawdy i po prostu odszedł. Dochody z dawnego przestępstwa sędziego pozwoliłyby mi wyjechać i wieść przyjemne, czyste, nieskazitelne życie w jakiejś miejscowości, gdzie siada się pod pasiastą markizą przy marmurowym stoliku, popija wermut i cassis z wodą sodową i patrzy na migotliwy, pomarszczony, skąpany w słońcu, słynny błękit morza. Jednakże nie pojechałem nigdzie. Co prawda, straciwszy obu ojców, czułem, że mógłbym odlecieć swobodnie jak balon, gdy przetną ostatnią linkę. Ale musiałbym żyć z pieniędzy po sędzim Irwinie. A właśnie te pieniądze, które umożliwiłyby mi podróż, były jednocześnie – rzecz paradoksalna – więzią przytrzymującą mnie na miejscu. Albo też, żeby użyć innego porównania, były długim łańcuchem kotwicy, której pazury wczepiały się i wżerały w wodorosty i muł odległej przeszłości. Może i byłem głupcem, że tak się odnosiłem do swego małego spadku. Może nie różnił się on niczym od wszelkich innych spadków. Może

cesarz Wespazjan miał rację, kiedy pobrzękując w kieszeniach pieniędzmi pochodzącymi z podatku od latryn, stwierdzał dowcipnie: *Pecunia non olet*.

Wprawdzie nie pojechałem nigdzie, ale zupełnie wyszedłem z kursu, przesiadywałem u siebie w biurze albo w bibliotece uniwersyteckiej i wertowałem książki i monografie o systemach podatkowych, ponieważ miałem teraz ładne, czyściutkie zadanie: opracowanie ustawy podatkowej. Tak mało mi było wiadomo o tym, co się dzieje, że dowiedziałem się czegoś dopiero wtedy, gdy układ stał się faktem dokonany.

Pewnego wieczora przyszedłem do pałacu na konferencję z Szeferem, niosąc teczkę wypchaną notatkami i wykresami. Szefer nie był sam. W bibliotece byli z nim Tiny Duffy, Cukierek i, ku mojemu zdumieniu, Gummy Larson. Cukierek siedział w kącie, przygarbiony na krześle, trzymając oburącz szklanę, tak jak trzyma szklanę dziecko. Pociągał z niej małymi, ostrożnymi łyżkami i po każdym podnosił głowę, niczym kura, gdy pije. Cukierek nie lubił pić. Jak mówił, obawiał się, że może się po tym stać „n-n-n-n-ner-ner-wowy”. Byłoby okropne, gdyby Cukierek stał się tak nerwowo, żeby nie móc rozwałać każdym strzałem rzuconych w powietrze słoiów od marmolady albo ocierać nosa mułowi tylnym błotnikiem czarnego cadillaca. Duffy, rzecz jasna, lubił popijać, ale tego wieczora nie pił. Najwyraźniej nie miał nastroju do picia, aczkolwiek można było dostrzec w jego przelotnych spojrzeniach błysk tryumfu zmieszanego z dojmującym uczuciem niepewności, jakiego doświadczał, stojąc na pustej przestrzeni przed wielką skórzaną kanapą. Niepewność należało przypisać, przynajmniej częściowo, temu, że Szefer bardzo zdecydowanie popijał. Bo kiedy Szefer pił naprawdę, wszelkie delikatne hamulce, jakie zazwyczaj pętały mu język, zniknęły całkowicie. W tej chwili zaś pił naprawdę. Przypominało to pierwszy deszczyk trzydniowej ulewy, przy spadającym barometrze. Siedział rozwalony na skórzanym

kanapie, a na podłodze obok jego pomiętej marynarki i zrzuconych butów stał dzbanek wody, butelka i naczynie z lodem. Kiedy SzeF miał przed sobą prawdziwie ciężkie zadanie, zazwyczaj zdejmował buty. Teraz też popijał w skarpetkach. Butelka była już dobrze napoczęta.

Opodal kanapy stał pan Larson, krępy, średniego wzrostu i w średnim wieku, o szarej twarzy, w szarym ubraniu, wyglądający na człowieka pozbawionego fantazji. Nie pił nic. Był niegdyś kierownikiem domu gry i przekonał się, że picie nie płaca. Gumy był stuprocentowym człowiekiem interesu i robił tylko to, co się opłacało.

Gdy wszedłem i zorientowałem się w sytuacji, SzeF obrócił na mnie już zaczerwienione oczy, ale nie powiedział ani słowa, dopóki nie podszedłem do pustej przestrzeni przed kanapą. Wtedy wyrzucił przed siebie rękę, wskazując Tiny'ego, który stał na środku owej niczym nie osłoniętej przestrzeni, z bladym uśmiechem na swoim tłustym obliczu.

– Patrz! – zawołał do mnie SzeF, wskazując go. – On chciał ubić interes z Larsonem, a co ja mu powiedziałem? Powie działałem mu: nie, psiakrew. Nie, psiakrew, powiedziałem. Prędzej mnie szlag trafi. I co się stało?

Uznałem to za pytanie retoryczne, więc nie odpowiedziałem. Widziałem, że na ten wieczór ustawa podatkowa odpada, i zacząłem się wycofywać.

– I co się stało?! – ryknął na mnie SzeF.

– Skąd mogę wiedzieć? – odparłem, ale widząc ten zespół obecnych, zacząłem się domyślać istoty dramatu.

SzeF skinął głową na Tiny'ego.

– Powiedz mu – rozkazał. – Powiedz mu i dodaj, jaki się czujesz cholernie cwany.

Tiny nic nie wykrztusił. Zdobył się tylko na blady niczym zimowy świt uśmiezek ponad czarną połacią wykwintnego krawiectwa, kamizelką z

białymi wypustkami i brylantową szpilką w krawacie.

– Powiedz mu!

Tiny oblizął wargi, zerknął wstydliwie jak oblubienica na niewzruszoną, szarą twarz Gummy’ego, ale nic nie wykrztusił.

– No, to ja ci powiem – rzekł Szeff. – Gummy Larson będzie budował mój szpital, Tiny załatwił to tak, jak chciał, i wszyscy są zadowoleni.

– To świetnie – odparłem.

– Taaak, wszyscy są zadowoleni – ciągnął Szeff. – Oprócz mnie. Oprócz mnie – powtórzył i grzmotnął się w piersi. – Bo ja powiedziałem Tiny’emu: nie, psiakrew, nie będę gadał z Larsonem. Bo nie wpuściłem Larsona do tego pokoju, kiedy Tiny go tu sprowadził. Bo już dawno powinienem był przepędzić go z tego stanu. A gdzie on jest w tej chwili? No, gdzie jest?

Spojrzałem na Gummy’ego Larsona, którego szara twarz nie zdradzała niczego. Dawno temu, kiedy poznałem Gummy’ego Larsona, który był wówczas kierownikiem domu gry, pobili go raz policjanci. Prawdopodobnie dlatego, że zalegał im z łapówkami. Obrobili mu twarz tak, że wyglądała jak surowy befszytk. Ale już się zagoiła. Wiedział, że się zagoi, i przyjął to lanie, nie otwierając jadaczki, bo zawsze się opłacało trzymać ją zamkniętą. I w końcu mu się opłaciło. Był teraz bogatym przedsiębiorcą budowlanym, a nie kierownikiem domu gry. Był bogatym przedsiębiorcą budowlanym, ponieważ wreszcie nawiązał odpowiednie kontakty w zarządzie miejskim i umiał trzymać język za zębami. Teraz stał tu i przyjmował wszystko, co Szeff w niego miotał. Bo to się opłacało. Gummy rzeczywiście miał instynkt kupiecki.

– Ja ci powiem, gdzie on jest – mówił Szeff. – Patrz: tutaj. Tu, w tym pokoju. Stoi przede mną; przyjrzyj mu się. Śliczniutki, nie? A wiesz, co zrobił przed chwilą? Właśnie sprzedał swojego najlepszego kumpla. Właśnie sprzedał MacMurfee’ego.

Z tego, co było widać po twarzy Larsona, można by pomyśleć, że stoi w kościele, czekając na błogosławieństwo.

– O, ale to drobiazg. Głupstwo. Dla Gummy’ego. Gummy’emu nie drgnął ani jeden mięsień twarzy.

– O, dla Gummy’ego to głupstwo. Jediną różnicą między nim a Judaszem Iskariotą jest to, że Gummy coś by zarobił na tych trzydziestu srebrnikach. O, Gummy wszystko by sprzedał. Sprzedał swojego najlepszego kumpla, a ja... a ja... – grzmotnął się dziko w piersi, aż huknęło niczym w becze – a ja... ja musiałem to kupić, te sukinsyny mnie zmusiły!

Zamilkł, zerknął spode łba na Gummy’ego i sięgnął po butelkę. Nalał sporo do szklanki, po czym chlapnął do niej trochę wody. Już się nie bawił w dokładanie lodu. Doszedł prawie wyłącznie do konkretów. Niedługo i woda miała odpaść.

Gummy obserwował siedzącą na kanapie postać z ogromnego dystansu, jaki daje trzeźwość, zwycięstwo i moralna pewność wynikająca z dokładnej wiedzy, jaka jest co do szeląga cena wszystkiego na świecie, i kiedy dzbanek wody został odstawiony, rzekł:

– Jeżeli już załatwiliśmy naszą sprawę, gubernatorze, to chyba będę się zbierał.

– Aha! – odparł SzeF. – Aha! – powtórzył i spuścił stopy w skarpetkach na podłogę. – Aha, załatwiliśmy, jak Boga kocham. Ale... – Wstał, ściskając w ręku szklankę, i otrząsnął się jak wielki pies, aż trochę płynu wychlupało się ze szklanki. – Posłuchaj no!

Ruszył ku Larsonowi w skarpetkach, stąpając ciężko po dywanie z wysuniętą głową.

Tiny Duffy nie stał mu wprost na drodze, ale nie usunął się dostatecznie czy może z dostateczną skwapliwością. Tak czy owak, SzeF, przechodząc, omal go nie potrącił albo może i potrącił. W tejsze chwili, nie patrząc na

swój cel, bryznął płynem ze szklanki prosto w twarz Tiny'emu. I tym samym ruchem rzucił szklankę na podłogę. Odskoczyła od dywanu, nie tłukąc się.

Widziałem twarz Duffy'ego w tym momencie, wielką, rozlaną, zdumioną twarz, która przypomniała mi ową chwilę sprzed lat, gdy SzeF przepłószył Duffy'ego z estrady na pikniku w Upton i Duffy spadł z jej skraju. Teraz, po zdumieniu, zabłysła na tej twarzy wściekłość, a potem odmalował się na niej już tylko pokorny, zbolały wyraz i rozległo łagodzące skomlenie:

– No i dlaczego pan to zrobił, Szefie? Dlaczego pan to zrobił? A SzeF, który już go minął, obrócił się na te słowa, popatrzył na Duffy'ego i odparł:

– Powinienem był to zrobić dawno temu. Powinienem był to zrobić już dawno.

Następnie podszedł do Larsona, który, nieporuszony tym incydentem, wziął swoje palto i kapelusz, i stał, czekając, aż opadnie pył. SzeF przystanął tuż przed nim, tak że się nieomal stykali. Złapał Larsona za kłapy i przysunął swoją poczerwieniałą twarz do jego szarej twarzy.

– Załatwione – powiedział. – Tak, załatwione, ale jeśli tylko... jeśli tylko zapomnisz jednej klamki od okna, jednego kawałka żelaza w betonie, jeśli tylko dołożysz jedną łyżeczkę piasku za dużo albo wyszczerbisz jeden kawałek marmuru, to jak pragnę Boga... jak pragnę Boga, ja cię rozerwę, ja ci... – I wciąż trzymając mocno kłapy, szarpnął rękami w obie strony. Guzik zapiętej marynarki Larsona potoczył się po podłodze i z cichym brzękiem podskoczył na palenisku kominka.

– Bo to jest moje! – zawołał SzeF. – Słyszysz...! To mój szpital... mój! A potem nie było już słychać nic prócz oddechu Szefa.

Duffy, zaciskając w ręce mokrą chusteczkę, którą się wytarł, przypatrywał się tej scenie ze zgrozą i przerażeniem. Cukierek nie zwracał

na nią najmniejszej uwagi.

Tymczasem Larson, którego Szefer ciągle trzymał za kłapy, stał przed nim i nawet nie mrugnął okiem. Musiałem to oddać Gummy'emu. Ani drgnął. Miał w żyłach mrożoną wodę. Nic go nie mogło zbić z tropu: ani zniewagi, ani gniew, ani gwałt, ani zmasakrowanie twarzy na befszytk. Był prawdziwym człowiekiem interesu. Znał wartość każdej rzeczy.

Stał tam, mając tuż przed sobą tę ciężką, zaczerwienioną twarz, niewątpliwie czując na niej gorący, przesycony alkoholem oddech, i czekał. A potem Szefer go puścił. Po prostu rozwarł w powietrzu dłonie, rozstawiwszy palce, i cofnął się. Odwrócił się do niego plecami i odszedł z tego miejsca, tak jakby nie było tam nikogo. Gdy szedł, jego stopy w skarpetkach nie czyniły żadnego hałasu, a głowa chwiała się lekko.

Siadł na kanapie, pochylony, z łokciami opartymi na rozstawionych kolanach, ze zwieszonymi przedramionami i zapatrzył się w żar na kominku, jak gdyby był zupełnie sam.

Larson bez słowa zbliżył się do drzwi, otworzył i wyszedł, pozostawiając je na oścież otwarte. Tiny Duffy także ruszył do drzwi z tą osobliwą lekkością, jaką ma wzdęte ciało topielca, z wolną wypływające dziewiątego dnia na powierzchnię – z lekkością, którą odznacza się czasem człowiek tusty, gdy stąpa na palcach. Znalazłszy się przy drzwiach, położył rękę na klamce i obejrzał się. Jego oczy spoczęły na Szeferze, który nań nie patrzył, i wściekłość znowu zabłysła mu na twarzy, a ja przez tę jedną chwilę pomyślałem: Jak Boga kocham, on ma cechy ludzkie. Wtedy zauważył, że mu się przyglądam, i także na mnie spojrzął z jakimś wyrazem cierpiącego, niemego odwołania się do mnie, które prosiło o wybaczenie za wszystko, o zrozumienie i współczucie, prosiło, żeby wszyscy dobrze myśleli o biednym, poczciwym Tinym Duffym, który robił, co mógł, na miarę swego rozumu, i za to mu jeszcze chlapnęli w twarz. A czyż on nie ma żadnych praw? Czyż biedny, poczciwy Tiny

nie ma swoich uczuć?

Potem wyszedł za Larsonem w ciemność. Udało mu się bezgłośnie zamknąć drzwi.

Spojrzałem na Szefa, który się nawet nie poruszył.

– Cieszę się, że zdążyłem na ostatni akt – powiedziałem – ale teraz muszę już uciekać.

Z pewnością nie mogło być dziś mowy o ustawie podatkowej.

– Poczekaj – rzekł.

Sięgnął po butelkę i pociągnął wprost z niej. Doszedł już do samych konkretów.

– Powiedziałem mu – mówił, łypiąc na mnie. – Powiedziałem mu: jeśli tylko zapomnisz jednej klamki od okna, powiedziałem: jeśli tylko zapomnisz jednego kawałka żelaza w betonie, powiedziałem mu...

– Wiem – rzekłem. – Słyszałem.

– ...jeśli tylko dołożysz jedną łyżeczkę piasku za dużo, jeśli tylko zrobisz coś takiego, cokolwiek bądź, to ja cię rozerwę, rozerwę! – Wstał, podszedł do mnie i stanął bardzo blisko. – Rozerwę go – powtórzył i odetchnął ciężko.

– Tak powiedziałeś – przyznałem.

– Powiedziałem, że tak zrobię, i zrobię. Niech tylko coś skręci!

– W porządku.

– Ja i tak go rozerwę. Jak Boga kocham! – Rozrzucił szeroko ramiona. – I tak go rozerwę. Ich wszystkich. Każdego, kto tego tknie swoją brudną łapą. Zrobią robotę, a jak skończą, porozrywam ich. Co do jednego. Porozrywam i zniszczę. Jak Boga kocham, że tak! Bo się pchali z tymi brudnymi łapami. Bo mnie zmusili, zmusili do tego.

– Tom Stark też miał z tym coś wspólnego – zauważyłem.

To go pohamowało, choć bardzo był rozkręcony. Wpatrzył się we mnie z takim wyrazem twarzy, iż pomyślałem, że podniesie na mnie rękę.



A potem odwrócił się i ruszył w stronę kanapy. Ale nie usiadł. Schylił się po butelkę, poczynił w niej pewne bezpośrednie szkody, spojrział znów na mnie i wybełkotał:

– To jeszcze dzieciak.

Na to nic nie odpowiedziałem. Pociągnął znowu z butelki.

– To jeszcze dzieciak – powtórzył głucho.

– W porządku – odrzekłem.

– Ale tamci – wybuchnął i znów rozrzucił szeroko ramiona – tamci... co mnie zmusili... ich porozrywam... wykończę!

Miał jeszcze sporo do powiedzenia w tym sensie, zanim dał nura w kanapę. Gdy już się na niej ułożył, wygłosił jeszcze kilka stłumionych uwag podobnej treści, a także powtórzył, że Tom Stark jest jeszcze dzieciakiem. Wreszcie ta jednostronna rozmowa urwała się i było słychać już tylko jego ciężkie sapanie.

Stałem, patrząc na niego, i myślałem o tamtym dniu sprzed Bóg wie ilu lat, kiedy się upił w moim pokoju hotelowym w Upton i stracił przytomność. Od tego czasu przebył długą drogę. I teraz nie miałem już przed sobą pyzatej, chłopięcej twarzy Kuzynka Wilusia. Wszystko się odmieniło. Jasne, że tak.

Cukierek, który przez cały ten czas siedział w cieniu, ledwie dosięgając podłogi krótkimi nogami, zlaźł z krzesła i podszedł do kanapy. Spojrzął na Szefa.

– Zalał się w trupa – powiedziałem do niego.

Kiwnął głową, wciąż patrząc na tę masywną postać. Szef leżał na znak. Jedna noga zwisała mu na podłogę. Cukierek schylił się, podniósł ją i ułożył na kanapie. Potem spostrzegł porzuconą na podłodze marynarkę. Podniósł ją też i rozłożył na nie obutych stopach Szefa. Spojrzął na mnie i wyjaśnił, nieomal się usprawiedliwiając:

– M-m-m-może się z-z-z-zaziębić.

Zabrałem teczkę i palto i ruszyłem do drzwi. W moim spojrzeniu musiał widocznie być jakiś ślad pytania, bo Cukierek rzekł:

– P-p-p-posiedzę tu i p-p-p-popilnuję, ż-ż-ż-żeby mu nikt n-n-nie p-p-przeszkadzał.

Zostawiłem więc ich razem.

Jadąc wśród nocy ulicami do domu, zastanawiałem się, co by powiedział Adam Stanton, gdyby kiedyś usłyszał, jak szpital ma być zbudowany. Wiedziałem natomiast, co by powiedział Szef, gdyby mu zadano pytanie na temat Adama. Odparłby: „Psiakrew, powiedziałem, że zbuduję ten szpital i buduję go. To jest najważniejsze – że go buduję. A on będzie w nim siedział i miał te swoje łapki wysterylizowane jak cholera”. I tak mi właśnie odrzekł, gdy mu zadałem to pytanie.

Jadąc wśród nocy ulicami, zastanawiałem się też, co powiedziałyby Anna Stanton, gdyby wtedy była w pokoju i widziała Szefa rozwalonego na kanapie, spitego do nieprzytomności. Czerpałem jakąś sardoniczną satysfakcję z tych rozważań. Jeżeli Anna związała się z nim dlatego, że był taki mocny i twardy i wiedział, czego chce, i gotów był zapłacić za wszystko odpowiednią cenę, no, to trzeba jej było zobaczyć go tam, powalonego jak byk, który zaplątał się w powróż, padł na kolana i nie może nawet drgnąć ani podnieść łba, bo ma kółko przewleczone przez nos. Trzeba jej było to widzieć.

A potem pomyślałem, że może właśnie na to czekała. Kobiety nikogo tak nie kochają jak pijaka, nicponia, krzykacza, rozpustnika. Kochają go, gdyż są jak owe pszczoły z przypowieści Salomonowej w Biblii: lubią budować swój plaster miodu w ściernie martwego lwa.

Bo z tego, kto mocny, dobywa się słodkość.

Tom Stark mógł sobie być jeszcze dzieciakiem, jak mówił Szeff, niemniej jednak przyczynił się w znacznej mierze do tego, co się działo. Ale też sądzę, że Szeff przyczynił się również znacznie do uczynienia Toma takim, jakim był. A więc koło się tu zamykało, syn stanowił jedynie dalszy ciąg ojca i kiedy łypali na siebie spode łba, było to tak, jakby lustro spoglądało w lustro. Naprawdę byli do siebie podobni: to samo przekrzywienie głowy, to samo wysuwanie jej w przód, te same raptowne ruchy. Tom był wyszczuploną, gładkolicą, pewną siebie, wygoloną repliką Szefa z tych dawnych czasów, kiedy go poznałem. Główna różnica polegała na tym, że Szeff wówczas błądził po omacku, szukał nieświadomie drogi do odkrycia samego siebie, swego wielkiego daru; chodził w drelichach wypchanych na siedzeniu albo w granatowym sukiennym garniturze z ciasnymi, wyświeconymi spodniami, nosił w sobie jakiś ślepy, nieokreślony impuls, który był jak przeznaczenie czy choroba.

Natomiast Tom nie błądził po omacku ku niczemu, a już na pewno nie ku odkryciu samego siebie. Wiedział bowiem, że jest czymś najfajniejszym i najbardziej przebojowym. Tom Stark z drużyny ogólnokrajowej, mucha nie siada. Żadnych wypchanych drelichów na jego wężowych biodrach i na kolanach przypominających kafary. Nie, on stał pośrodku pokoju w bokerskiej postawie, w półbutach na gumie, w zarzuconej na ramiona sportowej marynarce w szare paski, z odpiętym górnym guzikiem grubo tkanej białej koszuli, czerwonym wełnianym krawatem związanym luźno w węzeł wielkości pięści i ściągniętym w bok pod szyją jakby ulaną z brązu, i jego pewne siebie spojrzenie wędrowało z wolna po lokalu, a gładkie, silne, brązowe szczęki żuły leniwie gumę dla sportowców. Wiecie, jak to sportowcy żują gumę. O, Tom był bohaterem, nie ma co mówić, i wcale nie błądził po omacku. Wiedział, czym jest.

Wiedział, że jest pierwszorzędnym. Toteż nie musiał zawracać sobie głowy przestrzeganiem reguł. Nawet reguł treningu. Powiedział ojcu, że

przecież i tak potrafi wygrywać, więc co, u diabła? Ale raz przebrał miarę. Pewnego sobotniego wieczoru, po meczu, on, Thad Mellon, rezerwowo przechwytyjący, i Gup Lawson, który grał na ochronie, pohulali sobie w knajpie. Wszystko poszłoby doskonale, gdyby się nie wdali w bójkę z jakimiś drabami, którzy ani się znali na futbolu, ani go lubili, natomiast mieli za złe przystawianie się do ich dziewczyn. Gup Lawson dostał od tych drabów tęgie lanie, poszedł do szpitala i przez kilka tygodni nie mógł występować na boisku. Tom i Thad oberwali tylko kilka kułaków, zanim ludzie rozdzielili walczących. Jednakże złamaniem reguł obciążono dość dramatycznie trenera Billiego Martina. Dostało się to do którejś z gazet. Martin zawiesił Toma Starka i Thada Mellona. To całkowicie zmieniło typowanie wyników wyznaczonego na najbliższą sobotę meczu z Georgią, bo Georgia była mocna tego roku, a Tom Stark był miejscowym asem.

Szef przyjął to po męsku. Nie wierzgał ani nie ryczał, kiedy Georgia do przerwy wyciągnęła siedem do zera. Zaraz po gwizdku zerwał się z miejsca. „Chodź”, rzekł do mnie i wiedziałem, że idzie do szatni zawodników. Powlokłem się za nim, oparłem o framugę drzwi i patrzyłem. Na boisku grała teraz orkiestra. Paradowała dookoła w słońcu (było to bowiem pierwsze spotkanie rozgrywane po południu, gdyż o tej porze roku upał zaczynał już folgować) i słońce lśniło na mosiądzu trąb i wirującej złotej pałce dyrygenta. A potem orkiestra jęła głosić Naszemu Drogiemu Stanowi, jak go kochamy, jak będziemy zań walczyć, walczyć, walczyć, jak dlań umrzemy, jak to on jest ojcem bohaterów. Tymczasem bohaterowie, mocno ubabrani błotem i zasapani, leżeli na pryczach i dostawali za swoje.

Szef z początku nie powiedział ani słowa. Po prostu wszedł i z wolna rozejrzał się po leżących postaciach. Nastrój przypominał trupiarnię. Można by dosłyszeć upadającą szpilkę. Panowała zupełna cisza; raz tylko zachrobotała na betonie listewka, gdy ktoś ukradkiem poruszył

nogą, a parę razy skrzygnęła skóra oporządzenia, kiedy ktoś inny zmienił pozycję. Trener Billie Martin stał w głębi izby, w kapeluszu naciśniętym na oczy, minę miał ponurą i żuł nie zapalone cygaro. Szef powiódł wzrokiem po nich wszystkich kolejno, podczas gdy na boisku orkiestra powtarzała swoje obietnice, a dawni absolwenci stali na trybunach w pięknym jesiennym słońcu, z kapeluszami przyłożonymi do serca, i czuli się wzniośli i czyści.

Oczy Szefa spoczęły na Jimmym Hardwichu, który siedział na ławce. Jimmy był rezerwowym skrzydłowym, ale wzięli go do gry w drugiej ćwierci, bo lewoskrzydłowy poczynał sobie jak cierpiąca na obstrukcję wdowa. Miała to być wielka szansa Jimmy'ego. Szansa ta przyszła. Nastąpiło podanie. I Jimmy puścił piłkę. Teraz więc, gdy oczy Szefa wpatrzyły się w niego, Jimmy odpowiedział mu ponurym spojrzeniem. A potem, gdy te oczy wciąż weń patrzyły, Jimmy wybuchnął:

– Cholera jasna... Cholera jasna! No, powiedz pan to już!

Ale Szef tego nie powiedział. Nie powiedział nic. Po prostu podszedł z wolna i stanął przed Jimmym. Następnie bardzo spokojnie wyciągnął prawą rękę i położył mu ją na ramieniu. Nie poklepał go. Położył tylko tak rękę, podobnie jak to robią niektórzy ludzie, ażeby uspokoić nerwowego konia.

Nie patrzył teraz na Jimmy'ego, tylko powiódł wzrokiem po pozostałych.

– Chłopcy – rzekł. – Przyszedłem powiedzieć wam tylko, że wiem, żeście robili, co było w waszej mocy.

Stał tak, z ręką na ramieniu Jimmy'ego, i czekał, aby te słowa do nich dotarły. Jimmy rozplakał się.

Wtedy Szef powiedział:

– I wiem, że teraz też zrobicie wszystko, co w waszej mocy. Bo wiem, na co was stać.

Znowu zaczekał chwilę. Następnie zdjął rękę z ramienia Jimmy'ego, obrócił się powoli i ruszył do drzwi. Tam zatrzymał się i znowu powiódł wzrokiem po izbie.

– Chcę wam powiedzieć, że was nie zapomnę – rzekł i wyszedł. Jimmy płakał już teraz na dobre.

Wyszedłem za Szefem na stadion, gdzie orkiestra wygrywała jakiś dźwięczny marsz.

Kiedy zaczęła się druga część meczu, chłopcy łaknęli krwi. Na początku trzeciej ćwierci zdobyli punkt z przyłożenia. Szef ucieszył się z tego, trochę na ponuro. W czwartej ćwierci Georgia znalazła się w strefie niebezpieczeństwa, została zatrzymana, po czym nastąpił strzał z pola. Tak się to zakończyło: dziesięć do siedmiu.

Ale mieliśmy jeszcze szansę w lidze. Gdybyśmy wygrali wszystkie spotkania w sezonie. Następnej soboty Tom Stark wrócił na boisko. Wrócił na boisko, bo Szef wymusił to na Billiem Martinie. Na pewno dlatego, bo sam Szef mi o tym powiedział.

– No i jak Martin to przełknął? – spytałem.

– Wcale nie przełknął – odparł Szef. – Wepchnąłem mu to do gardła.

Nie odpowiedziałem nic i nie myślałem nawet, że coś po mnie widać. Ale Szef wyciągnął ku mnie szyję i rzekł:

– Słuchaj no, przecież nie mogłem pozwolić, żeby tak to zmarnowali. Mamy szansę w lidze, a ten drań byłby ją zaprzepaścił.

Wciąż nic nie mówiłem.

– Nie chodzi o Toma, ale o mistrzostwo, jak Boga kocham! – ciągnął. – Nie chodzi o Toma. Gdyby chodziło tylko o Toma, nie pisnąłbym ani słowa. A jeżeli jeszcze raz złamię zasady treningu, będę go walił łbem o podłogę. Słukę go własnymi rękami. Przysięgam.

– To dosyć wyrośnięty chłopak – zauważyłem. Przysięgł raz jeszcze, że tak zrobi.

A więc następnej soboty Tom Stark wyszedł znowu na boisko i biegł z piłką jak skrzyżowanie tancerki z lokomotywą, i trybuny wrzeszczały: „Tom! Tom! Tom!”, bo był ich ulubieńcem, i punktacja wynosiła dwadzieścia do zera i nasza drużyna odzyskała widoki na mistrzostwo. Czekały ją jeszcze dwa spotkania. Jedno, łatwe, z drużyną Instytutu Technologii, a potem rozgrywka końcowa w Święto Dziękczynienia.

Pierwszy z tych meczów był łatwy. W trzeciej ćwierci, kiedy nasza drużyna już miała prowadzenie, trener włączył Toma do gry, po prostu żeby się trochę rozgrzał. Tom urządził małe przedstawienie dla trybun. Było to niedbałe, piękne, zuchwałe. Zdawało się, że nie ma nic prostszego, z taką łatwością to robił. Ale kiedy przebił się na siedem jardów, przygwoździł go obrońca przeciwników i Tom nie wstał z ziemi.

– Tylko dech z niego wybili – powiedział SzeF.

A Tiny Duffy, który siedział z nami w łoży gubernatora, rzekł:

– Tak, ale to nie zmoże naszego Toma.

– Nie, psiakrew – powiedział SzeF.

Jednakże Tom nie wstał w ogóle. Dźwignięto go i poniesiono do szatni.

– Jasne, wybili z niego dech – powiedział SzeF tak, jakby mówił o pogodzie. A potem: – Patrzcie, dają za niego Axtona. Axton jest wcale nieźły. Niech tylko pogra jeszcze z jeden sezon.

– Dobry jest, ale to nie Tom Stark. Tom Stark to mój faworyt – oświadczył Duffy.

– Założę się, że teraz będzie podanie – rzekł SzeF bezstronnie, ale przez cały czas zerkał ukradkiem na orszak zmierzający ku szatni.

– Axton na miejsce Starka! – wyryczał głośnik nad trybunami, a cheerleader wezwał do oklasków dla Toma. Urządzono owację, zespół dopingujący zaś rozbiegł się w koło, podruczając swoje megafony.

Gra rozpoczęła się znowu. Tak jak SzeF przepowiedział, nastąpiło

podanie. Dziewięć jardów i pierwsze zatrzymanie piłki. – Pierwsze zatrzymanie na dwudziestoczerojardowej linii Technologii – oznajmił głośnik. Po czym dodał: – Tom Stark, który odniósł kontuzję, daje oznaki powrotu do przytomności.

– Kontuzję, co? – podchwycił Duffy. A potem klepnął Szefa po ramieniu (uwielbiał klepać go publicznie po ramieniu, żeby pokazać, jakimi są kumplami) i rzekł: – Naszego Toma nie da się ogłuszyć, co?

Twarz Szefa na chwilę pociemniała, ale nic nie powiedział.

– Przynajmniej nie na długo – oświadczył Duffy. – Ten chłopak jest dla nich za twardy.

– Twardy jest – przyznał Szef. Po czym z największym skupieniem zajął się obserwowaniem gry.

Rozgrywka była nudna, ale im nudniej szał się stawała, z tym większym skupieniem Szef śledził wszystkie zagrania. Nasza drużyna zdobywała punkty równie metodycznie, jak rzeźnicza maszyna wyrabia befsztyki. Na przeciwników można było stawiać mniej więcej z takimi samymi szansami, jak na to, że woda popłynie pod górę. Ale Szef wiwatował za każdym razem, gdyśmy zrobili trzy jardy. Właśnie oklaskiwał podanie, które ulokowało drużynę Toma na linii sześćojardowej, gdy przed naszą lożą ukazał się jakiś facet, zdjął kapelusz i powiedział:

– Panie gubernatorze... panie gubernatorze...

– No? – zapytał Szef.

– Doktor... tam w szatni... pyta, czy pan nie mógłby przyjść na chwilę.

– Dziękuję – odrzekł Szef. – Niech pan mu powie, że będę za minutę. Jak tylko chłopcy to rozegrają. – I znowu skupił uwagę na grze.

– Psiakrew – zaczął Tiny. – Ja przecież wiem, że to nic takiego. Przecież nasz Tom...

– Zamknij się – rozkazał Szef. – Nie widzisz, że przyglądam się grze?



I dopiero kiedy nasi zdobyli punkt z przyłożenia, Szeff obrócił się do mnie i rzekł:

– Niedługo będzie trzeba się zbierać. Powiedz Cukierkowi, żeby cię odwiózł do biura, i zaczekaj tam na mnie. Chcę pomówić z tobą i Swintonem, jeżeli ci się uda go złapać. Ja wezmę taksówkę. Pewnie będę na miejscu przed tobą.

Po czym przeskoczył przez poręcz na boisko i ruszył w kierunku szatni. Jednakże po drodze zatrzymał się na chwilę obok ławki graczy, by z nimi pożartować. A potem z kapeluszem wciśniętym na masywną, wysuniętą do przodu głowę poszedł do szatni.

Reszta nas w łoży nie czekała na ostatni gwizdek. Zeszliśmy z trybun, zanim ludzie zaczęli pchać się do wyjścia, i odjechaliśmy do miasta. Duffy wysiadł przed Klubem Sportowym, gdzie utrzymywał się w kondycji, zdmuchując pianę z piwa i pochylając się nad stołami bilardowymi, ja zaś pojechałem do Kapitolu.

Jeszcze zanim włożyłem klucz do zamka, zauważyłem, że w dużym pokoju recepcyjnym nie pali się światło. Dziewczęta zamknęły cały kram i porozjeżdżały się do domów na sobotnie popołudnie albo poszły do kina, na brydża, na randki, na befsztyki skwierczące na patelniach „Pod Starym Kołem” czy na dansing do „Paryskich Snów”, gdzie światła były błękitne, a saksofon wydawał dźwięki podobne do powolnego odbijania się słodkim syropem – poszły tam, gdzie były plotki i pogaduszki, chichoty, szepty, westchnienia, wszystko to, co nazywa się zabawą.

Przez chwilę, gdy stałem w wielkim, ciemnym pokoju, w niezwyklej temu miejscu ciszy, przemknęła mi gdzieś skrajem umysłu szydercza myśl o tych wszystkich rodzajach zabaw, jakie je czekały, o miejscach, w których będą się bawić („Pod Starym Kołem”, „Paryskie Sny”, „Capitol City”, „Pałac Filmowy”, zaparkowane auta, ciemne przedpokoje), o ludziach, z którymi będą się zabawiały (jakiś pewny siebie student z

ledwo skrywaną miną człowieka, który wypuścił się na zwiedzanie zakazanych lokali, pracownik apteki z dziewięćsetdolarowym kontem w banku oraz nadzieją, że w następnym roku wkupi się do interesu, znajdzie sobie jakąś kobitkę i osiadzie na swoim, podstarzały lowelas o rzadkich włosach przylizanych na wielkiej czaszce pożyłkowanej jak agat oraz dużych, wilgotnych, brutalnie wymanikiurowanych dłoniach koloru surowej słoniny, pachnący wodą kwiatową i miętową gumą do żucia).

A potem, kiedy tak stałem, myśli moje się odmieniły. Ale szyderstwo nadal przeblyskiwało na skrajach mego umysłu niczym płomyk nadgryzający brzeg wilgotnego papieru. Tylko teraz zwrócone było przeciwko mnie samemu. Zadawałem sobie pytanie, jakie mam prawo szydzić z tych dziewczyn. Ja też się kiedyś tak zabawiałem. Jeżeli nie robiłem tego dziś, to nie dlatego, żebym przeszedł w jakiś błogostan. Może raczej coś uszło ze mnie. Cnota przez brak. Abstynencja przez mdłości. Kiedy cię leczą, dodają ci do alkoholu coś na wymioty, a jak się już dość nawymiotujesz, nabierasz odrazy do alkoholu. Jesteś jak pies Pawłowa, któremu cieknie ślina, ilekroć usłyszy dzwonek. Tylko że u ciebie odruch działa tak, iż za każdym razem, gdy poczujesz zapach alkoholu czy choćby o nim pomyślisz, żołądek wywraca ci się do góry nogami. Ktoś musiał dodać czegoś takiego do moich zabaw, bo już ich więcej nie chciałem. W każdym razie obecnie. Nie – mogłem stłumić to szyderstwo pobłyskujące na skrajach mego umysłu. Nie miałem powodu być dumny z tego, że zabawa stawała mi kością w gardle.

Zamierzałem więc pójść do swego gabinetu, posiedzieć tam kilka minut w półmroku, potem zapalić światło, wyciągnąć projekty ustawy podatkowej i popracować nad nimi. Myślałem o nich z uczuciem oczyszczenia i ulgi.

Ale gdy myśląc o tym, ruszyłem przez duży pokój ku drzwiom mojego gabinetu, usłyszałem, czy może tylko tak mi się wydało, jakiś odgłos

w jednym z pokoiów po drugiej stronie. Spojrzałem tam. Pod żadnymi drzwiami nie było widać światła. A potem znów usłyszałem ten odgłos. Odgłos całkowicie rzeczywisty. Nikt nie powinien był tam się znajdować – a już z pewnością po ciemku. Przeszedłem więc bezgłośnie po grubym dywanie i pchnąłem drzwi na oścież.

Była to Sadie Burke. Siedziała przy biurku na krześle (musałem pewnie usłyszeć jego skrzypienie), ręce miała oparte na blacie i złożone razem i widziałem, że właśnie w tej chwili podniosła z nich głowę. Nie to, żeby płakała. Ale siedziała go ciemku w opustoszałym biurze, w sobotni wieczór, gdy wszyscy inni setnie się zabawiali, i głowę trzymała na dłoniach złożonych na biurku.

– Jak się masz, Sadie – powiedziałem.

Przypatrywała mi się przez chwilę. Siedziała tyłem do okna o spuszczonej żaluzjach, przez które sączyło się trochę światła, więc nie mogłem rozeznac wyrazu jej twarzy, tylko błysk oczu. Spytała:

– Czego chcesz?

– Niczego – odrzekłem.

– No to nie masz co tu czekać.

Podszedłem do krzesła, usiadłem i popatrzyłem na nią.

– Słyszałeś, co powiedziałam.

– Słyszałem.

– No więc usłyszysz jeszcze raz: nie masz co tu czekać.

– Uważam, że bardzo tu przyjemnie – odparłem, nie ruszając się z miejsca. – Bo widzisz, Sadie, my mamy z sobą wiele wspólnego, ty i ja.

– Mam nadzieję, że nie mówisz tego jako komplement – rzekła.

– Nie, jako naukową obserwację.

– No, z tego powodu nie jesteś jeszcze Einsteinem.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie jest prawdą, jakobyśmy mieli z sobą wiele wspólnego, czy że jest oczywiste, że nie potrzeba mózgu

Einsteina, aby dojść do takiego wniosku?

– Chcę powiedzieć, że guzik mnie to obchodzi – odparła kwaśno. I dodała: – A także guzik mi zależy na tym, żebyś tu był.

Nie ruszyłem się z krzesła i przypatrywałem się jej.

– Jest sobotni wieczór – rzekłem. – Dlaczego nie poszłaś się zabawić na mieście?

– Niech piekło pochłonie to miasto. – Wyłowiła z biurka papierosa i zapaliła go. Ognik zapałki wyrwał jej twarz z mroku. Zgasiła zapałkę strzepnięciem ręki i wydmuchnęła pierwszy kłęb dymu ponad pełną, wywinętą dolną wargą, po czym spojrzała na mnie i rzekła: – I ciebie też niech piekło pochłonie. – Potoczyła nienawistnym wzrokiem po pokoju, jak gdyby był pełen postaci i twarzy, wyrzuciła z płuc szary dym i dokończyła: – I niech piekło pochłonie ich wszystkich. I to miejsce. – Jej oczy znowu spoczęły na mnie. – Ja się stąd zabieram.

– Stąd? – zapytałem.

– Z tego całego miejsca – oświadczyła i zatoczyła szeroko ręką, a ogieniek papierosa rozżarzył się od szybkości jej ruchu. – Z tego miejsca i z tego miasta.

– Siedź tu, to się wzbogacisz – odparłem.

– Mogłam być bogata już dawno temu, grzebiąc się w tych rzeczach – odrzekła. – Gdybym chciała.

Rzeczywiście, mogłaby. Ale się nie wzbogaciła. Przynajmniej o ile wiedziałem.

– Taaak. – Rozgniotła papierosa w popielniczce. – Zabieram się stąd. – Podniosła na mnie oczy, jakby wyzywając mnie, bym coś powiedział.

Nie powiedziałem nic, tylko potrząsnąłem głową.

– Myślisz, że tego nie zrobię – spytała.

– Myślę, że nie.

– Pokażę ci, szlag by cię trafił.

– Nie – powtórzyłem i znowu potrząsnąłem głową. – Nie zrobisz tego. Masz do tych rzeczy talent, podobnie jak ryba do pływania. A nie można wymagać od ryby, żeby nie pływała.

Już chciała coś powiedzieć, ale zmilczała. Siedzieliśmy tak w półmroku przez kilka minut.

– Przystań się na mnie gapić – rozkazała. A potem: – Nie powiedziałam ci, żebyś się wynosił? Dlaczego nie pójdziesz sobie do domu?

– Czekam na Szefa – odparłem rzeczowo. – Bo on... – A potem przypomniałem sobie. – Nie słyszałaś, co się stało?

– Co takiego?

– Tom Stark.

– Ktoś powinien mu wkopać zęby do gardła.

– Ktoś właśnie to zrobił – odrzekłem.

– Należało mu się już dawno.

– Cóż, dziś po południu wykonano tę robotę wcale nieźle. Ostatnie, co słyszałem, to że jest nieprzytomny. Wezwali Szefa do szatni.

– Czy to coś poważnego? – spytała. – Coś niedobrego? – Pochyliła się w moją stronę.

– Stracił przytomność. Wiem tylko tyle. Zdaje się, że zabrali go do szpitala.

– Nie mówili, co mu się stało? Nie powiedzieli Szefowi? – pytała, nachylając się ku mnie.

– A co cię to obchodzi? Przecież powiedziałaś, że ktoś powinien mu wkopać zęby do gardła, a kiedy to zrobiono, zachowujesz się tak, jakbyś go uwielbiała.

– Ha! – odparła. – Można się uśmieć. Spojrzałem na zegarek.

– Szef się spóźnia. Pewnie siedzi w szpitalu przy tym futbolowym asie.

Milczała przez chwilę, patrząc w blat biurka i przygryzając wargę.

Potem nagle wstała, podeszła do wieszaka, włożyła palto, nasadziła na głowę kapelusz i skierowała się do drzwi. Obróciłem się, patrząc na nią. Przy drzwiach zawahała się, nastawiając zatrask, i rzekła:

– Wychodzę i chcę zamknąć pokój. Chyba możesz posiedzieć u siebie.

Wstałem i wyszedłem do pokoju recepcyjnego. Sadie zatrzasnęła drzwi i nie odzywając się do mnie, przeszła szybkim krokiem do korytarza. Stałem, słuchając spieszного, cichnącego staccato jej obcasów na marmurowych płytach.

Kiedy ucichło zupełnie, wszedłem do mego gabinetu, usiadłem przy oknie i popatrzyłem na rzeczny opar, który rozsnuwał się po dachach.

Jednakże kiedy zadzwonił telefon, nie spoglądałem już na zamglone, romantyczne, przedmierzchowe miasto, lecz pochylałem się nad zgrabnymi, schludnymi, pokrzepiającymi projektami ustawy podatkowej pod lampą z zielonym abażurem. Telefonowała Sadie. Powiedziała, że jest w szpitalu uniwersyteckim i że Tom Stark wciąż nie odzyskał przytomności. Szef czeka tam, ale go nie widziała. Podobno pytał o mnie.

Więc jednak Sadie pojechała do szpitala. Aby czatować w antyseptycznym cieniu.

Porzuciłem schludne, pokrzepiające projekty podatkowe i wyszedłem. Zjadłem w kiosku sandwicza, napiłem się kawy i pojechałem do szpitala. Zostałem Szefa siedzącego samotnie w poczekalni. Miał trochę markotną minę. Spytałem, co z Tomem, i dowiedziałem się, że jest na prześwietleniu i że jeszcze niewiele wiadomo. Opiekuje się nim doktor Stanton, a jakiegoś innego specjalistę sprowadzają specjalnym samolotem z Baltimore na konsylium. Potem Szef rzekł:

– Chcę, żebyś pojechał do Lucy. Powinna być tutaj. Pewnie tam, na wsi, jeszcze nie widziała gazety.

Powiedziałem, że pojedę, i ruszyłem do drzwi.

– Jack! – zawołał, a ja się obróciłem. – Tylko jakoś ostrożnie jej to

podaj – rzekł. – No wiesz... jakoś ją do tego przygotuj.

Powiedziałem, że tak zrobię, i wyszedłem. Musiało być źle, jeżeli trzeba było aż przygotować Lucy. I jadąc szosą naprzeciw światła powrotnej sobotniej fali samochodów, rozmyślałem, jakie to będzie zabawne przygotować Lucy do tej wiadomości. I rozmyślałem o tym samym, idąc anachroniczną betonową ścieżką ku wątlu oświetlonemu białemu domowi. A kiedy znalazłem się w salonie, mając dokoła siebie orzech i czerwony plusz, kartoniki do stereoskopu i malaryczny kredkowy portret na sztalugach, i przygotowywałem Lucy do owej wiadomości, było to zdecydowanie niezabawne.

Jednakże jakoś to przełknęła. Trafiło ją w bolesne miejsce, ale przełknęła.

– O Boże – powiedziała niegłośnie. – O Boże. – A potem, ze stężalą, pobladała twarzą: – Zaczekaj chwileczkę. Wezmę palto.

Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do miasta. Nie rozmawialiśmy wcale. Raz tylko usłyszałem, że powiedziała znowu: „O Boże”, ale nie było to zwrócone do mnie. Przypuszczam, że się modliła, bo niegdyś chodziła do małego baptystowskiego college’u, tam, na wsi, gdzie dużo się modlono, i możliwe, że jej został ten zwyczaj.

Nie było też zabawnie, kiedy ją wprowadzałem do poczekalni, gdzie siedział Szef. Obrócił ku niej ociężale twarz spośród kwietnego deseniukretonu na wyścielanym fotelu z wysokim oparciem i spojrzal na nią jak na kogoś obcego. Przystanęła pośrodku pokoju, nie podchodząc bliżej, i zapytała:

– Jak on się czuje?

Na to pytanie oczy Szefa zabłyśły i wstał gwałtownie z fotela.

– Słuchaj – powiedział. – Nic mu nie jest... nic mu nie będzie. Zrozumiałaś?

– Jak się czuje? – powtórzyła.

– Mówię ci... powiedziałem ci, że nic mu nie będzie – odparł chrapliwym głosem.

– Powiedziałeś – rzekła. – Ale co mówią lekarze?

Krew rzuciła mu się apoplektycznie do twarzy i dosłyszałem jego urywany oddech, zanim odparł:

– Sama tego chciałaś. Takeś mówiła. Powiedziałeś, że wolałabyś widzieć go martwego u swoich stóp. Sama tego chciałaś. Ale... – postąpił ku niej – on ci robi zawód. Nic mu nie jest. Słyszysz? Nic mu nie będzie.

– Daj Boże – powiedziała spokojnie.

– Daj Boże, daj Boże! – wybuchnął. – Teraz już wszystko dobrze. Ten chłopak jest twardy, wytrzyma.

Nic nie odpowiedziała, stała tylko i patrzyła nań, a jemu krew powoli odpływała z twarzy, cała postać zaś jakby obwisła pod ciężarem ciała. Wreszcie Lucy spytała:

– Czy mogę się z nim zobaczyć?

Zanim odpowiedział, cofnął się do fotela i opadł nań. Potem spojrział na mnie.

– Zaprowadź ją do pokoju trzysta pięć – rozkazał. Mówił obojętnie, na pozór bez zainteresowania, jakby opowiadał jakiemuś podróżnemu w poczekalni dworcowej na niemądre pytanie dotyczące rozkładu jazdy.

Zaprowadziłem więc Lucy do pokoju trzysta pięć, gdzie Tom leżał jak kłoda pod białym prześcieradłem, a z rozwartych ust z trudem dobywał mu się oddech. Zrazu nie podeszła do łóżka. Zatrzymała się tuż za progiem, patrząc na niego. Pomyślałem, że upadnie, więc wyciągnąłem rękę, żeby ją podtrzymać, ale jakoś ustała na nogach. Potem zbliżyła się do łóżka i pochyliła nieśmiało, by dotknąć leżącego tam ciała. Położyła dłoń na prawej nodze, nad kostką, i przytrzymała ją, jak gdyby tym dotknięciem mogła zaczerpnąć czy przekazać trochę siły. Tymczasem stojąca po drugiej stronie łóżka pielęgniarka schyliła się, by otrzeć z czoła pacjenta



krople potu, które się na nim zbierały. Lucy Stark postąpiła dwa kroki ku głowie łóżka i patrząc na pielęgniarkę, wyciągnęła dłoń. Pielęgniarka położyła na niej ręcznik i Lucy dokończyła obcierania czoła i skroni. Potem zwróciła ręcznik pielęgniarce.

– Dziękuję – szepnęła.

Pielęgniarka uśmiechnęła się z jakimś zawodowym zrozumieniem, odmalowanym na pospolitej, poczciwej, anonimowej, niemłodej twarzy, a ten uśmiech zabłysnął na chwilę niczym światło w przyjemnym, ubogim saloniku.

Ale Lucy nie patrzyła na jej twarz, tylko w dół, na tę drugą, z której rozwartych ust z trudem dobywał się oddech. W tej twarzy nie było światła. Po chwili – pielęgniarka powiedziała, że doktor Stanton przyjdzie dopiero za jakiś czas i że ona da nam wtedy znać – wróciliśmy do pokoju, gdzie Szef siedział ze zwieszoną ciężko głową pośród kwietnego deseni fotela.

Lucy usiadła w drugim fotelu, także obitym kretonem (poczekalnia była bardzo przytulna i wesoła, z palmami w doniczkach na oknie, kretonem na meblach, akwarelami w ramkach z surowego drzewa na ścianach oraz kominkiem ze sztucznymi polanami), i patrzyła na swoje kolana, a od czasu do czasu na Szefa, ja zaś usiadłem na kanapie pod ścianą i przerzucałem ilustrowane pisma, z których wynikało, że świat poza naszym zacisznym kącikiem jest zawsze taki sam.

Około wpół do dwunastej wszedł Adam, aby powiedzieć, że doktor, który miał przylecieć z Baltimore na konsylium, miał przymusowe lądowanie z powodu mgły i przyleci, gdy tylko pułap się podniesie.

– Mgła! – wykrzyknął Szef i podniósł się z krzesła. – Mgła! Telefonujcie do niego... niech pan zatelefonuje... niech pan powie, żeby się tu zjawił, mgła czy nie mgła.

– Samolot nie może lecieć we mgle – rzekł Adam.

– Niech pan zadzwoni... że ten chłopiec tutaj... ten chłopiec... mój chłopiec... – Głos nie ucichł, ale po prostu zatrzymał się jak jakaś ciężka masa, która nagle nieruchomieje, i Szeff popatrzył na Adama Stantona z urazą i głębokim potępieniem.

– Doktor Burnham przybędzie, jak tylko to będzie możliwe – powiedział zimno Adam. Po chwili jednak, spostrzegłszy ową urazę i potępienie, dodał: – Gubernatorze, uważam, że byłoby dobrze, gdyby pan się położył. Żeby trochę odpocząć.

– Nie – odparł Szeff chrapliwie. – Nie.

– Nic panu z tego nie przyjdzie, że pan się nie położy. Straci pan tylko siły. Nic pan na tym nie zyska.

– Zyska – powtórzył Szeff – zyska – i zacisnął dłonie, jak gdyby usiłował chwycić coś, co zniknęło za jego dotknięciem i rozplynęło się w powietrzu.

– Ja bym to panu doradzał – rzekł Adam spokojnie, prawie miękko. A potem obrócił pytające spojrzenie na Lucy.

Potrząsnęła głową.

– Nie, doktorze – nieledwie wyszeptała. – Poczekam. Ja także. Adam skłonił głowę na znak zgody i wyszedł. Wstałem i poszedłem za nim. Dopędziłem go w hallu:

– Jak to wygląda? – zapytałem.

– Źle – odparł.

– Bardzo źle?

– Jest nieprzytomny i sparaliżowany – odrzekł Adam. – Kończyny ma zupełnie bezwładne. Odruchy całkowicie zniknęły. Jeżeli podniesiesz jego rękę, jest całkiem jak galareta. Prześwietlenie... zrobiliśmy zdjęcie czaszki... wykazuje złamanie i przemieszczenie piątego i szóstego kręgu szyjnego.

– Gdzie to jest, do cholery?

Adam wyciągnął rękę i dotknął mi karku palcami.

– Tutaj – powiedział.

– To znaczy, że ma złamany kark? – Tak.

– Myślałem, że to zabija.

– Zwykle zabija – odrzekł. – Zawsze, jeżeli złamanie jest nieco wyżej.

– Ma jakieś szansę?

– Owszem.

– Tylko wyżyć czy i wydobrzeć?

– Wydobrzeć. Albo prawie. Ale tylko szansę.

– Co będziesz robił?

Popatrzył na mnie wprost i zauważyłem, że wyraz jego twarzy niewiele się różni od tego, jaki by miała, gdyby ktoś kopnął w głowę jego samego. Była błada i napięta.

– To trudna decyzja – powiedział. – Muszę się zastanowić. Nie chcę o tym mówić w tej chwili.

Obrócił się, wyprostował i odszedł korytarzem po wypolerowanej syntetycznej podłodze, która błyszczała w miękkim świetle jak brązowy lód.

Wróciłem do pokoju, w którym Lucy Stark siedziała naprzeciw Szefa, pośród kretonów, palm w doniczkach i akwarel. Od czasu do czasu odrywała wzrok od swych kolan, na których spoczywały jej splecione dłonie z niebieskimi żyłkami, i spoglądała z daleka w twarz męża. On nie spotykał jej spojrzenia, ale wpatrywał się w bezcieplne podświetlenie sztucznych drzew na kominku.

Po pierwszej weszła pielęgniarka z wiadomością, że mgła ustąpiła i samolot doktora Burnhama znowu jest w drodze. Dadzą nam znać, jak tylko wyląduje. Następnie wyszła.

Szef siedział w milczeniu przez kilka minut, po czym rzekł do mnie:

– Idź zadzwonić na lotnisko. Zapytaj, jak jest z pogodą. Każ im powtórzyć Cukierkowi, że ma tu przyjechać szybko. Powiedz Murphy’emu, że chcę naprawdę szybko. Jak Boga... – zaczął i jego słowa zawisły w próżni, nie wymierzone w nic.

Z korytarza zszedłem na parter do budek telefonicznych, aby przekazać to zwariowane polecenie Cukierkowi i Murphy’emu. Cukierek i tak by gnał jak diabli, a Murphy – porucznik dowodzący eskortą motocyklową – wiedział przecież, że nie jest tam dla zabawy. Zadzwoniłem jednak na lotnisko – powiedziano mi, że pogoda się poprawia (zerwał się wiatr), i zostawiłem polecenie dla Murphy’ego.

Wyszedłszy z budki, natknąłem się na Sadie. Musiała czekać gdzieś w hallu, pewnie na którejś z ławek stojących w cieniu, bo nie widziałem jej, kiedy tam wchodziłem.

– Dlaczego nie powiedziałaś „buuu!” i nie przyprawiłaś mnie o prawdziwy atak serca, żeby mnie dobić? – spytałem.

– Co z nim jest? – zapytała, chwytając mnie za rękaw.

– Źle. Złamał sobie kark.

– Ma jakieś szansę?

– Doktor Stanton mówił, że tak, ale nie był zanadto rozpromieniony.

– Co będą robić? Operację?

– Przylatuje tu na konsylium jeszcze drugi as, doktor z kliniki Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. Jak przyjedzie, wyrzucą orła albo reszkę i zdecydują, co robić.

– Czy z tego, co mówił, wygląda, że naprawdę jest szansa? – Jej dłoń wciągnęła się na moim rękawie.

– A bo ja wiem? – zirytowałem się nagle. Wyrwałem rękaw z jej palców.

– Jeżeli się czegoś dowiesz... no, jak ten doktor przyjedzie... to dasz

mi znać? – spytała pokornie, opuszczając rękę.

– Czemu, u diabła, nie pójdziesz do domu i nie przestaniesz tu straszyć po ciemku? Dlaczego nie wracasz do domu?

Potrząsnęła głową, wciąż pokornie.

– Chciałaś mu wkopać zęby do gardła, a teraz sterczysz tutaj, zamiast iść spać. Czemu nie pójdziesz do domu?

Potrząsnęła z wolna głową.

– Zaczekam – powiedziała.

– Jesteś idiotka – oświadczyłem.

– Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz – rzekła.

Nic na to nie odpowiedziałem, tylko odszedłem i wróciłem na górę do tamtych dwojga. W atmosferze pokoju nie zmieniło się nic.

Po pewnym czasie zjawiała się pielęgniarka, aby powiedzieć, że na lotnisku spodziewają się lądowania samolotu za jakieś trzydzieści-czterdzieści minut. Nieco później wróciła z wiadomością, że jest do mnie telefon.

– Kto dzwoni? – spytałem jej.

– Jakaś pani, ale nie chciała podać nazwiska.

Domyśliłem się, kto to taki, i kiedy zszedłem na parter do telefonu, przekonałem się, że miałem rację. Była to Anna Stanton. Wytrzymała tak długo, jak mogła. Nie złapała mnie za rękaw, bo znajdowała się o kilka mil, w swoim mieszkaniu, ale jej głos zrobił nieledwie to samo. Powiedziałem jej, co mi było wiadomo, i udzieliłem odpowiedzi na ponawiane pytania. Podziękowała mi i przeprosiła, że mnie niepokoi. Powiedziała, że musiała się dowiedzieć. Telefonowała przez cały wieczór do mnie, do hotelu, myśląc, że wrócę, aż wreszcie zadzwoniła do szpitala. Nie miała kogo zapytać. Kiedy poprosiła telefonicznie o wiadomość w szpitalu, odpowiedzieli jej wymijająco.

– Więc widzisz, że musiałam się zwrócić do ciebie – powiedziała.

Odrzekłem, że owszem, widzę, odłożyłem słuchawkę i wróciłem do poczekalni. Nic się tu nie zmieniło. I nie zmieniło się nic aż do około czwartej, kiedy to Szeff, który siedział zagłębiony w kretonowym fotelu, ze wzrokiem utkwionym w sztuczne polana, nagle podniósł głowę, niczym drzemiący przy kominku pies na odgłos, którego człowiek nie może nawet dosłyszeć. Ale Szeff nie drzemał. Nasłuchiwał tego odgłosu. W jednej chwili podniósł bacznie głowę i zerwał się na równe nogi.

– Są! – wykrzyknął chrapliwie. – Są!

Wtedy usłyszałem to po raz pierwszy – daleki jęk syren eskorty motocyklowej. Samolot przyleciał.

Zaraz potem weszła pielęgniarka i oznajmiła, że doktor Burnham jest u doktora Stantona. Nie potrafiła powiedzieć, ile czasu zabierze ustalenie diagnozy.

Po pierwszym dźwięku syren Szeff już nie wrócił na fotel. Stał pośrodku pokoju, z podniesioną głową, i nasłuchiwał syren, które zawodziły, przycichały, jęczały znowu i zamilkły, a potem oczekiwali kroków na korytarzu. Teraz także nie usiadł. Zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Do okna, w którym rozsuwał kretonowe zasłony, by wyjrzieć na czerń trawnika i poza nią, gdzie zapewne żarzyła się we mgle samotna latarnia uliczna. Później z powrotem do kominka, gdzie zawracał ciężko, skręcając dywanik pod obcasem. Ręce miał splecione z tyłu, a głowa z opadającym kędziorem zwisała ponuro i jakby chwiała się odrobinę z boku na bok.

Ja ciągle przeglądałem ilustrowane pisma, ale to ciężkie stąpanie, nerwowe, a jednak opanowane, poruszało coś w moim umyśle. Korciło mnie to tak jak wówczas, gdy nie można określić i rozpoznać jakiegoś wspomnienia. A potem przypominałem sobie, co to było. Był to odgłos stąpania tam i z powrotem, tam i z powrotem w klatce pokoju prowincjonalnego hotelu, za tandetnym przepierzeniem. To było to.

Szef kroczył tak, gdy wtem czyjaś ręka spoczęła z zewnątrz na klamce drzwi. Lecz na ten odgłos, pierwszy odgłos położenia ręki na klamce, obrócił gwałtownie głowę ku drzwiom i zastygł w miejscu jak wyżeł. Adam wszedł do pokoju, w uchwyt jego spojrzenia.

Szef przesunął językiem po dolnej wardze, ale powściągnął pytanie.

Adam zamknął za sobą drzwi i postąpił kilka kroków do przodu.

– Doktor Burnham zbadał pacjenta – rzekł – i obejrzał zdjęcia rentgenowskie. Jego diagnoza pokrywa się całkowicie z moją. Wiadomo panu, jaka ona jest.

Przerwał, jakby czekając na odpowiedź.

Ale odpowiedzi nie było, nie było nawet żadnego znaku, a uchwyt spojrzenia nie rozluźnił się wcale.

– Są dwie możliwe linie postępowania – podjął Adam. – Jedna zachowawcza, druga radykalna. Zachowawczą byłoby zastosować wyciąg i ciężki opatrunek gipsowy i czekać na jakieś rozwiązanie sytuacji. Radykalną byłoby natychmiastowe dokonanie zabiegu chirurgicznego. Muszę podkreślić, że jest to decyzja bardzo trudna, zasadnicza. Dlatego chcę, żeby państwo możliwie w pełni zdali sobie sprawę z położenia.

Zamilkł, ale Szef nie dał żadnego znaku, a jego spojrzenie nie zelżało.

– Jak państwu wiadomo – zaczął znowu Adam, a w jego głosie pojawił się ton z sali wykładowej, nuta akademickiej precyzji – prześwietlenie poprzeczne wykazało złamanie oraz przemieszczenie piątego i szóstego kręgu szyjnego. Ale rentgen nie może pokazać stanu tkanek miękkich. Dlatego nie mamy w tej chwili możliwości ustalić, jaki jest stan samego rdzenia kręgowego. Tego możemy się dowiedzieć jedynie drogą zabiegu chirurgicznego. Jeżeli w toku operacji stwierdzimy, że rdzeń jest zmiażdżony, pacjent pozostanie sparaliżowany do końca życia, ponieważ rdzeń kręgowy nie ma zdolności regeneracyjnych. Jednak jest możliwe, że tylko go uciska jakiś przemieszczony fragment kości. W takim wypadku

możemy zlikwidować ten ucisk, dokonując laminectomii. Nie potrafimy przewidzieć, w jakim stopniu taki zabieg się powiedzie. Możemy przywrócić funkcje częściowo albo prawie całkowicie. Oczywiście nie należy się za wiele spodziewać. Niektóre grupy mięśni mogą pozostać sparaliżowane. Czy państwo mnie rozumieją?

Tym razem Adam najwyraźniej nie spodziewał się odpowiedzi i zamilkł tylko na chwilę.

– Jedno muszę podkreślić. Byłaby to operacja w bezpośredniej bliskości mózgu. Być może śmiertelna. I przy operowaniu zwiększa się ryzyko infekcji. Omówiliśmy to szczegółowo z doktorem Burnhamem i zgadzamy się z sobą całkowicie. Ja z pełnym poczuciem odpowiedzialności doradzam operację. Ale chcę, aby państwo wiedzieli, że jest to krok radykalny. Że szansa nie jest duża. Że to jest hazard.

Zamilkł, a w ciszy kilkakrotnie rozległ się chrapliwy oddech Szefa. Po chwili Szef powiedział:

– Operujcie.

Uchwycił się tej niedużej szansy, poszedł na ten hazard. Ale to mnie nie zaskoczyło.

Adam popatrzył pytająco na Lucy Stark, jak gdyby oczekiwał od niej potwierdzenia. Przeniosła spojrzenie z niego na męża, który odszedł do okna i patrzył na czarny trawnik. Przez chwilę spoglądała na jego przygarbione plecy, po czym jej wzrok wrócił do Adama Stantona. Wolno kiwnęła głową, zaciskając dłonie na kolanach. Potem szepnęła:

– Tak... Tak.

– Będziemy operować natychmiast – rzekł Adam. – Zarządziłem już przygotowania. Natychmiastowa operacja nie jest niezbędnie konieczna, ale moim zdaniem tak będzie lepiej.

– Operujcie – odezwał się chrapliwy głos od okna. Ale Szef nie obrócił się nawet wtedy, gdy za Adamem Stantonem zamknęły się drzwi.



Wróciłem do przeglądania pism, lecz przewracałem stronicę z największą ostrożnością, jak gdybym nie mógł sobie pozwolić na żaden szelest w tej szczególnej, wszystko pochłaniającej ciszy, która panowała w pokoju. Trwała ona długo, ja zaś oglądałem zdjęcia dziewczyn w kostiumach kąpielowych, fotografie koni wyścigowych, widoki pięknej przyrody i długie szeregi wyprężonych, gładkolicych młodzieńców w jakichś tam koszulach, stojących z rękami podniesionymi w salucie, wreszcie historyjki detektywistyczne w sześciu fotografiach, z rozwiązaniem na następnej stronie. Ale nie zwracałem większej uwagi na ilustracje, a reszta i tak były zawsze takie same.

Wreszcie Lucy Stark wstała z fotela. Podeszła do okna, przez które wyglądał Szefer. Położyła mu dłoń na prawej ręce. Odsunął się, nawet na nią nie patrząc. Lecz ona uchwyciła go za przedramię i pociągnęła, a on po chwilowym oporze poszedł za nią. Poprowadziła go z powrotem do dużego obitego drewnem fotela.

– Siądź, Willie – powiedziała bardzo spokojnie. – Siądź i odpocznij.

Opadł na fotel. Lucy odwróciła się i usiadła na swoim. Patrzył teraz na nią, nie na sztuczne polana. Wreszcie powiedział:

– Wszystko będzie dobrze.

– Daj Boże – odparła.

Milczał przez kilka minut, wciąż patrząc na nią. Nagle powiedział gwałtownie:

– Będzie dobrze, musi być.

– Daj Boże – powtórzyła i spojrzała mu w oczy, aż w końcu opuścił wzrok.

Miałem już dosyć siedzenia w poczekalni. Wstałem i poszedłem korytarzem do dyżurującej na tym piętrze pielęgniarki.

– Czy można by zakaż przynieść tu kilka kanapek i kawę dla gubernatora i jego żony? – spytałem.

Odpowiedziała, że zaraz to załatwi, ja zaś poprosiłem, by kazała przynieść jedzenie do siebie, a ja zabiorę je do poczekalni. Następnie znowu zszedłem do hallu. Sadie wciąż tam siedziała, strasząc w półmroku. Powiedziałem jej, że będzie operacja, i zostawiłem ją tam. Zaczekałem przy biurku pielęgniarki, dopóki nie przyniesiono sandwichów, po czym wziąłem tacę i poszedłem do poczekalni.

Jednakże jedzenie i kawa niewiele odmieniły nastrój. Ustawiłem obok Lucy stoliczek, a na nim kanapkę na talerzyku i filiżankę kawy. Podziękowała mi, ułamała kawałek i nadgryzła go dwa czy trzy razy, ale widziałem, że nie czyni w nim większych spustoszeń. Wypiła natomiast trochę kawy. Podałem też jedzenie i kawę Szeferowi. Spojrzał na mnie z głębi siebie i rzekł: „Dziękuję, Jack”. Ale nawet nie udawał, że je. Trzymał filiżankę w ręku przez kilka minut, lecz nie zauważyłem, aby pociągnął bodaj łyk. Po prostu ją trzymał.

Zjadłem sandwicha i wypilem filiżankę kawy. Właśnie nalewałem sobie drugą, gdy Szefer odstawił swoją na stoliczek, wychlapując trochę płynu.

– Lucy – powiedział. – Lucy!

– Słucham – odrzekła.

– Wiesz... wiesz, co zrobię? – Pochylił się, nie czekając na odpowiedź.

– Nazwę ten nowy szpital jego imieniem. Toma. Nazwę go Szpitalem i Ośrodkiem Medycznym imienia Toma Starka. Będzie nazwany od Toma, będzie...

Pokiwała z wolną głową, a on zamilkł.

– To nie ma znaczenia – powiedziała. – Och, Willie, czy ty tego nie rozumiesz? To nieważne. Wykuwanie czyjegoś imienia na kamieniu. Podawanie go do gazet. Wszystkie te rzeczy. Och, Willie, on był moim chłopaczkiem, naszym chłopaczkiem, i tamto nie ma żadnego znaczenia, żadnego w ogóle, nie rozumiesz?

Opadł z powrotem na fotel i znowu zaległa cisza. Panowała w całej pełni, gdy wróciłem, odniósłszy pielęgniarce naczynia i nie zjedzone sandwicze. Dało mi to pretekst do wyjścia. Kiedy wróciłem, była za dwadzieścia szósta.

O szóstej wszedł Adam. Twarz miał poszarzałą i kamienną. Szefer zerwał się na równe nogi i stanął, patrząc na Adama, ale ani on, ani Lucy nie wydali z siebie żadnego dźwięku.

Wtedy Adam powiedział:

– Będzie żył.

– Bogu dzięki – odetchnęła Lucy, ale Szefer dalej wpatrywał się w twarz Adama.

Adam także spojrział na niego. Potem rzekł:

– Rdzeń był zmiążdżony.

Usłyszałem jęk Lucy i spojrzawszy na nią, zobaczyłem, że głowa opadła jej na piersi.

Szefer przez chwilę nic po sobie nie pokazywał. Potem podniósł do piersi dłonie z palcami rozstawionymi, jak gdyby chciał coś schwycić.

– Nie! – krzyknął. – Nie!

– Był zmiążdżony – rzekł Adam. I dodał: – Bardzo mi przykro, panie gubernatorze.

Po czym wyszedł z pokoju.

Szefer wpatrzył się w zamknięte drzwi i z wolna osunął się na fotel. Patrzył w nie wytrzeszczonymi oczami, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Potem szarpnął się na fotelu i z piersi wydarł mu się głos. Był to bezładny, udręczony głos, wyrwany na żywo z czarnej, zwierzęcej głębi tkwiącego w fotelu ciała.

– Och! – jęknął. A potem: – Och!

Lucy Stark patrzyła na niego. On ciągle wpatrywał się w drzwi.

I znowu dobył się z niego jęk:

– Och!

Lucy wstała z fotela i podeszła do męża. Nie powiedziała nic. Po prostu stanęła przy nim i położyła mu dłoń na ramieniu.

Jęk powtórzył się znowu, ale już po raz ostatni. Szeff wsunął się w fotel, patrząc na drzwi, oddychając ciężko. Musiało to trwać ze trzy albo cztery minuty. Wreszcie Lucy powiedziała:

– Willie...

Spojrzał na nią po raz pierwszy.

– Willie – rzekła. – Czas iść.

Wstał z fotela, a ja wziąłem ich okrycia z kanapy stojącej pod ścianą. Podałem palto Lucy, ona zaś wzięła płaszcz męża i pomogła mu go włożyć. Nie przeszkadzałem jej.

Ruszyli do drzwi. On już się wyprostował i patrzył przed siebie, ale Lucy wciąż trzymała mu dłoń na ręce i widząc ją, można by pomyśleć, że wytrawnie i taktownie prowadzi niewidomego. Otworzyłem im drzwi, a następnie poszedłem przodem powiedzieć Cukierkowi, żeby podstawił samochód.

Stałem przy wozie, kiedy Szeff wszedł, a za nim Lucy. To mnie trochę zaskoczyło, ale nie miałem za złe, że Cukierek odwiezie ją do domu. Pomimo wypitej kawy ledwo trzymałem się na nogach.

Zawróciłem do szpitala i poszedłem do gabinetu Adama. Właśnie gotował się do wyjścia.

– Jak to wygląda? – spytałem.

– Tak jak powiedziałem – odparł. – Rdzeń jest zmiażdżony. To oznacza paraliż. Prognoza jest taka, że przez pewien czas kończyny będą całkowicie bezwładne. Potem mu wróci władza w mięśniach. Ale już nigdy nie będzie mógł posługiwać się rękoma ani nogami. Funkcje fizjologiczne będą trwały, ale bez żadnej kontroli. Będzie jak niemowlę. Skóra zacznie mu pękać, a infekcje będą się wdawały z łatwością. Zostaną również

upośledzone funkcje oddechowe. Będzie miał skłonności do zapalenia płuc. To zazwyczaj prędzej czy później wykańcza takich pacjentów.

– Widzę z tego, że im prędzej, tym lepiej – rzekłem i pomyślałem o Lucy Stark.

– Być może – odparł ze znużeniem. Teraz już wyraźnie oklapł. Nałożył płaszcz i wziął swoją walizeczkę. – Mogę cię gdzieś podrzucić? – zapytał.

– Dziękuję, mam swój wóz – odrzekłem. A potem wzrok mój padł na telefon stojący na biurku. – Ale chciałbym zadzwonić, jeżeli można. Zatrzasnę potem drzwi.

– Proszę bardzo – powiedział i ruszył do wyjścia. – Dobranoc – dodał i wyszedł.

Poprosiłem o miasto, wykręciłem numer Anny i przekazałem jej wiadomość. Powiedziała, że to potworne. Powtórzyła to kilkakrotnie w telefon cichym, oszołomionym głosem. Potem podziękowała mi i odwiesiła słuchawkę.

Wyszedłem z gabinetu. Miałem jeszcze jedno do załatwienia. Zszedłem do hallu. Sadie nadal tam była. Powiedziałem więc jej wszystko. Odparła, że to bardzo ciężka sprawa. Przyznałem jej rację.

– To będzie ciężkie dla Szefa – rzekła.

– Będzie cholernie ciężkie dla Lucy – odparłem – bo przecież to jej przyjdzie opiekować się tym niemowlęciem. Nie zapominaj o tym, kiedy rozdajesz swoje bezpłatne próbki współczucia.

Musiła być dosyć zmęczona czy coś, bo to jej nie rozwścieczyło. Zapytałem więc, czy mogę ją odwieźć do miasta. Odrzekła, że ma swój wóz.

– Cóż, to jadę do domu i walę się spać – powiedziałem i zostawiłem ją tam.

Kiedy wsiadałem do samochodu, niebo zaczynało błękitnieć od świtu.

Wypadek zdarzył się w sobotę wieczorem. Operacji dokonano tuż przed świętem w niedzielę. Rozgrywka finałowa przypadała w poniedziałek. Był to poniedziałek przed Świętem Dziękczynienia.

Tego dnia wydarzenia najpierw narastały stopniowo, a potem potoczyły się gwałtownie ku zakończeniu, jak wówczas, gdy wielki ciężar, który z wolna osuwa się i ześlizguje, wreszcie traci ostatnie punkty zaczepienia i wali się w dół. W moim odczuciu ten dzień wyglądał tak, że z początku miałem wrażenie objawiającej się chwilami logiki wydarzeń, lecz potem, gdy wypadki piętrzyły się, zmierzając ku finałowi, mogłem uchwycić już tylko najogólniejsze zarysy układu, jaki się kształtował. Ten brak logiki, poczucie, że ludzie i wydarzenia znajdują się pod działaniem impulsów, których nie potrafiłem określić, nadawały wszystkiemu posmak czegoś nierzeczywistego, jak we śnie. Poczucie rzeczywistości wróciło dopiero po zakończeniu, kiedy już było po wszystkim, w długi czas po tym, gdy zdołałem pozbierać klocki tej łamigłówki i złożyć je razem, aby zobaczyć, co przedstawiają. Nie ma w tym nic osobliwego, bo jak wiadomo, rzeczywistość nie jest funkcją wydarzenia jako takiego, ale jego stosunku do wydarzeń przeszłych i przyszłych. Wydaje się, że mamy tu paradoks, że realność jakiegoś zdarzenia, które nie jest realne samo w sobie, wynika z innych zdarzeń, które również nie są same w sobie realne. Ale to jedynie potwierdza fakt, który musimy uznać: że kierunek jest wszystkim. I tylko zdając sobie z tego sprawę, żyjemy naprawdę, bo nasze własne jestestwo uzależnione jest od tej zasady.

W poniedziałek rano przyszedłem wcześniej do biura. Przespałem całą niedzielę; wstałem tylko, żeby coś przegryźć na kolację, potem poszedłem na jakiś głupi film i o wpół do jedenastej byłem już z powrotem w łóżku. W biurze zjawiłem się z tym poczuciem czystości ducha, jakie człowiek ma, kiedy dobrze się wyśpi.

Zaszedłem do gabinetu Szefa. Jeszcze go nie było. Ale kiedy tam

stałem, weszła jedna z sekretarek, niosąc taczkę, na której piętrzyły się telegramy.

– To wszystko w związku z wypadkiem jego syna – rzekła. – I wciąż przychodzą nowe.

– Będą tak przychodziły przez cały dzień – odrzekłem.

Tak rzeczywiście miało być. Każdy niewypierzony polityk z naszego stanu, każdy prowincjonalny woźny czy ambitny wazeliniarz, który nie zdążył przeczytać wiadomości w niedzielnej gazecie, musiał ją znaleźć w dzisiejszym porannym wydaniu i wysłać depeszę. Wysłanie jej było jak modlitwa. Nie można powiedzieć, że modlitwa pomaga, ale z pewnością nikomu nie szkodzi. Telegramy te należały do zwyczaju. Jak podarunki na ślub córki polityka albo kwiaty na pogrzeb policjanta. I skoro już o tym mowa, należało też do zwyczaju, żeby kwiaty pochodziły z kwaciarni Antonia Giusto. W tej kwaciarni ekspedientka prowadziła specjalne zestawienia wszystkich zamówień na pogrzeb danego policjanta, po czym Antonio przeglądał je po pogrzebie i sprawdzał nazwiska według swej listy głównej na wieki osieroconych przyjaciół i jeśli czyjeś nazwisko znajdowało się na liście głównej, powinno było koniecznie figurować i na tym zestawieniu zamówień pogrzebowych, i to nie z byle jakim bukietem pachnącego groszku. Antonio był serdecznym przyjacielem Tiny’ego Duffy’ego.

I właśnie Tiny Duffy wszedł do gabinetu, kiedy sekretarka wybiegła, zamiótszy kokieteryjnie spódniczką. Wtoczył się z powagą i miną pełną profesjonalnego współczucia oraz karawaniarskiego smutku, ale gdy tylko stwierdził, że Szefa nie ma, odprężył się trochę, wyszczerzył zęby i spytał:

– Co słyhać? Odpowiedziałem, że dobrze słyhać.

– Widział pan Szefa? Potrzaśnałem głową.

– Ojej – rzekł, a współczucie i smutek pojawiły się na jego twarzy

jak za zaklęciem. – To rzeczywiście straszne. To jest to, co ja zawsze nazywam tragedią. Taki chłopak! Taki porządny, zacny, równy chłopak! Tragedia, nie ma co mówić.

– Nie musi pan ćwiczyć się na mnie – powiedziałem.

– To będzie cios dla Szefa – rzekł i pokiwał głową.

– Oszczędzaj pan amunicję do chwili, kiedy tu przyjdzie.

– A gdzie jest?

– Nie wiem.

– Próbowałem złapać go wczoraj – mówił Tiny – ale w pałacu go nie było. Powiedzieli mi, że nie wiedzą, gdzie jest, bo nie wrócił do domu. Był przez jakiś czas w szpitalu, ale go tam nie zastałem. W hotelu też go nie było.

– Widzę, że pan gruntownie zabrał się do rzeczy.

– No! – odparł Tiny. – Chciałem mu powiedzieć, co my wszyscy czujemy.

Właśnie w owej chwili wszedł Calvin Sperling, komisarz do spraw rolnictwa, wraz z kilkoma innymi gośćmi. I oni też mieli krepę na twarzach, dopóki nie zobaczyli, że Szefa nie ma. Wtedy rozpogodzili się i zaczęli gadać bez troski.

– Może w ogóle nie przyjdzie – zastanowił się Sperling. – Przyjdzie – zawyrokował Tiny. – To go nie zmoże. Szef jest twardy.

Zjawilo się jeszcze paru, a wreszcie Morrisey, który dawno temu objął urząd prokuratora generalnego po Hugh Millerze, kiedy ten podał się do dymisji. W pokoju zaczął gęstnieć dym cygar.

W pewnej chwili w drzwiach stanęła Sadie, oparła się dłonią o framugę i przypatrzyła owej scenie.

– Sie masz, Sadie – rzekł jeden z obecnych.

Nie odpowiedziała. Przypatrywała się jeszcze przez chwilę, po czym westchnęła: „Chryste!”, i znikła. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi jej



gabinetu.

Podszedłem do okna znajdującego się za biurkiem Szefa i wyjrzałem na park. Przez noc padało, i teraz, w nikłym świetle słońca, trawa i liście dębów, a nawet zwisające z gałęzi festony mchów, błyszcząły lekko, natomiast wilgotny beton wijących się podjazdów i drózek polśniewał niemal niedostrzegalnie. Cały świat, nagie pnie innych drzew, które już utraciły liście, dachy domów, nawet samo niebo, miały jakiś blady, obmyty, odprężony wygląd niby twarz człowieka, który długo chorował, a teraz czuje się lepiej i myśli, że pewnie zupełnie wydobrzeje.

Nie można powiedzieć, żeby dokładnie taki wygląd miała twarz Szefa, gdy wszedł, ale daje to niejakię pojęcie ojej wyrazie. Nie był właściwie blady, choć bledszy niż zwykle, a ciało jakby trochę obwisło mu na szczękach. Widniało też na nich kilka skaleczeń od brzytwy. Pod oczami miał szare kręgi, jak gdyby ciało było posiniaczone, ale już prawie się zagoiło. Natomiast oczy miał czyste.

Przeszedł przez pokój recepcyjny, stąpając cicho po grubym dywanie, i chwilę stał w progu, zanim ktokolwiek zauważył jego przybycie. Paplanina nie ucichła, ale zamarła w pół sylaby. Potem nastąpiło coś w rodzaju bezładnej krzątania i uwijania się przy nakładaniu odłożonych chwilowo pogrzebowych twarzy. Następnie wszyscy, z tymi twarzami już nasadzonymi na miejsce, choć odrobinę krzywo, otoczyli Szefa i zaczęli ścisnąć mu dłoń. Mówili, że chcą mu wyrazić, co czują.

– Pan wie, co my wszyscy czujemy, Szefie – powtarzali. Odpowiedział bardzo spokojnie, że owszem, wie.

– Wiem, wiem – powiedział – i dziękuję.

Następnie podszedł do biurka, oni zaś rozstąpili się przed nim jak woda przed dziobem statku, kiedy go odholowują od nabrzeża, a załoga dokonuje pierwszego manewru. Stanął przy biurku, wziął telegramy, przejrzał je i rzucił na blat biurka.

– Szefie – odezwał się ktoś. – Szefie... te depesze... to świadczy... to świadczy, jak ludzie odnoszą się do pana.

Nie odpowiedział nic.

Właśnie w tej chwili weszła sekretarka z nową stertą telegramów. Postawiła tackę przed Szefem. Wpatrzył się w dziewczynę, a potem położył dłoń na stosie żółtych papierków, odepchnął je lekko i powiedział spokojnym, rzeczowym tonem:

– Proszę stąd zabrać te śmiecie. Dziewczyna zabrała te śmiecie.

Podniosły nastrój prysł. Wszyscy zaczęli odpływać z gabinetu na krzesła przy swoich biurkach, jeszcze nie zagrane tego rana. Kiedy wychodził Tiny, Szef rzekł:

– Tiny, zaczekaj chwilę. Chcę z tobą pomówić.

Tiny zawrócił. Ja też już wychodziłem, ale Szef mnie zawołał:

– Chcę, żebyś był przy tym – powiedział.

Usiadłem więc na jednym z krzeseł pod ścianą. Tiny usadowił się w dużym, krytym zieloną skórą fotelu obok biurka, założył nogę na nogę, przezyciężając opór swych szynek oraz okrywającego je materiału, wetknął papierosa w długą cygarniczkę, zapalił go i czekał.

Szefowi się nie spieszyło. Siedział zadumany przez całą minutę, nim podniósł wzrok na Tiny'ego Duffy'ego. Ale wtedy już poszło szybko.

– Nie będzie umowy z Larsonem – powiedział. Kiedy Tiny odzyskał dech, wykrztusił:

– Szefie... Szefie... Nie może pan tego zrobić.

– Owszem, mogę – odparł Szef, nie podnosząc głosu.

– Niemożliwe, Szefie. Wszystko już zafiksowane.

– Nie jest za późno, żeby to odfiksować – rzekł Szef. – Nie za późno.

– Szefie... Szefie... – nieledwie wyjęczał Duffy, a popiół z papierosa opadł mu na wykrochmalony, biały gors koszuli. – Nie może pan złamać słowa danego biednemu Larsonowi. To porządny gość... no, nie można!

Pan jest równy chłop, Szefie.

– Mogę złamać słowo dane Larsonowi – powiedział Szef.

– Nie może pan... Nie może pan zmienić decyzji. Teraz już nie. Teraz już nie można.

Szef wstał raptownie zza biurka. Wpatrzył się w Tyny'ego i rzekł:

– Mogę zmienić do cholery i trochę rzeczy. W ciszy, jaka nastąpiła, wyszedł zza biurka.

– To wszystko – powiedział głosem niewiele donośniejszym od chrapliwego szeptu. – I możesz powiedzieć Larsonowi, żeby go szlag trafił.

Tiny wstał. Parę razy otworzył usta, zwilżył językiem wargi i zdawało się, że przemówi, ale za każdym razem poszarzała twarz zamykała się na kosztownym sztucznym uzębieniu. Szef podszedł do niego.

– Ty powiesz o tym Larsonowi – rzekł. – Larson to twój kumpel i ty mu o tym powiesz. – Dziabnął go w piersi wyprostowanym sztywno palcem wskazującym. – Tak – ciągnął. – To twój kumpel i kiedy będziesz mu mówił, możesz położyć mu rękę na ramieniu.

I Szef się uśmiechnął. Nie spodziewałem się uśmiechu. Ale był to uśmiech zimny i nie pokrzepiający. Kładł pieczęć na wszystkim, co zostało powiedziane.

Tiny ruszył do drzwi i wyszedł. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby je zamknąć, tylko szedł, nie zatrzymując się, malejąc na długim, zielonym chodniku. Wreszcie zniknął.

Ale Szef nie patrzył za odchodzącym. Spoglądał w zamyśleniu na nagi blat biurka. Po chwili rzekł:

– Zamknij drzwi.

Wstałem i zamknąłem je.

Nie usiadłem z powrotem, ale stanąłem na pustej przestrzeni między drzwiami a biurkiem, czekając, by powiedział, co ma powiedzieć.

Jednakże cokolwiek to było, nie powiedział nic. Spojrzał tylko na mnie jakoś niewinnie i pytająco i rzekł:

– No?

Nie wiem, co chciał ode mnie usłyszeć czy też czego się po mnie spodziewał. Od owej pory wiele myślałem na ten temat. Była to chwila, kiedy powinienem był powiedzieć, co miałem do powiedzenia Williemu Starkowi, który był niegdyś Kuzynkiem Wilusiem ze wsi, a teraz Szeferem. Ale nie powiedziałem tego. Wzruszyłem ramionami i rzekłem:

– Cóż, nie jest ważne, że dałeś jeszcze jednego kopniaka Tiny’emu. Do tego jest stworzony. Ale Larson to zupełnie inna para kaloszy.

Nadal wpatrywał się we mnie, jak gdyby chcąc coś powiedzieć, lecz pytanie ulotniło się z jego twarzy. Wreszcie rzekł:

– Trzeba od czegoś zacząć.

– Co zacząć?

Przyglądał mi się chwilę, po czym rzucił:

– Mniejsza z tym.

Wróciłem do swego gabinetu. I tak właśnie zaczął się ów dzień. Wziąłem się do ostatniego sprawdzenia pomocniczych danych do ustawy podatkowej. Swinton, który miał ją przedłożyć w senacie, chciał mieć te dane na sobotę, lecz spóźniłem się z domową robotą. Byłem umówiony ze Swintonem i Szeferem na sobotę po południu, ale wszystko ułożyło się inaczej. Przed południem zdarzyło się coś osobliwego. Wszedłem do dużego pokoju, kierując się ku drzwiom gabinetu Szefa. Sekretarka powiedziała, że poszedł do pokoju Sadie Burke. Drzwi Sadie były zamknięte. Odczekałem kilka minut w nadziei, że Szefer wyjdzie, ale drzwi pozostały zamknięte. Raz dosłyszałem za nimi podniesiony głos, który jednakże ucichł.

Dzwonek telefonu odwołał mnie do mego gabinetu. Telefonował Swinton, pytając, czemu, u diaska, nie przynoszę mu tych danych.

Zabrałem więc papiery, poszedłem do Swintona i oddałem mu cały materiał. Spędziłem z nim około czterdziestu minut. Kiedy wróciłem, Szefa już nie było.

– Pojechał do szpitala – oświadczyła sekretarka. – Będzie tu po południu.

Zerknąłem ku drzwiom pokoju Sadie, myśląc, że może ona by mogła pomóc Swintonowi i mnie. Sekretarka zauważyła moje spojrzenie.

– Panna Burke też wyjechała – rzekła.

– A dokąd?

– Nie wiem – odparła – ale jedno panu powiem: dokądkolwiek się wybierała, w tej chwili musi już być na miejscu, sądząc po tym, jak stąd wyrwała. – Następnie uśmiechnęła się z tą wszechwiedzącą, złośliwą, tajemniczą miną, jaką zawsze przybiera najemna pomoc biurowa, chcąc dać do zrozumienia, że wie więcej, niż mówi, i podniosła zgrabną, krągłą, drobną, białą dłoń o czerwonych paznokciach, aby poprawić niesforny lok doprawdy pięknych, złotych włosów. Ułożywszy go jak należy, ruchem, który unosił jej biust, wystawiając go na podziw pana Burdena, dodała: – I dokądkolwiek pojechała, pewnie nie będzie tam mile widziana, sądząc po jej wyrazie twarzy, kiedy wychodziła.

Następnie uśmiechnęła się słodko, jak gdyby chcąc pokazać, że ona byłaby wszędzie mile widziana.

Wróciłem do swego gabinetu i do obiadu przygotowałem kilka listów. Zjadłem sandwicza w samoobsługowym barze w podziemiach Kapitolu, gdzie jadło się niczym w wesołej, sterylnej, dobrze prowadzonej, lśniącej od marmurów kostnicy. Natknąłem się na Swintona, pogadałem z nim trochę i na jego propozycję udałem się do senatu na popołudniową sesję. Około czwartej podszedł do mnie goniec z kartką z biura. Brzmiała ona: „Panna Stanton telefonowała, prosząc, żeby pan natychmiast do niej przyjechał. Sprawa jest pilna”.

Zmiałem kartkę, wyrzuciłem ją i poszedłem na górę do gabinetu po płaszcz i kapelusz. W biurze poprosiłem, aby zawiadomili pannę Stanton, że już jestem w drodze. Kiedy wyszedłem na dwór, stwierdziłem, że zaczęło padać. Czyste, blade słońce z przedpołudnia zniknęło.

Anna otworzyła mi drzwi tak prędko, iż pomyślałem, że musiała czekać za nimi. Jednakże gdy się otwarły, w pierwszej chwili nie byłbym poznał twarzy, którą ujrzałem, gdybym nie wiedział, że jest to twarz Anny Stanton. Była biała, zrozpaczona, zmaltretowana, już tylko ze śladami łez, które najwyraźniej zostały wylane. I odgadywałeś, co to były za łzy: nieskore, nieobfite, bolesne, szybko powściągnięte.

Uchwyciła mnie oburącz za rękę, jakby chcąc się czegoś przytrzymać.

– Jack! – wykrzyknęła. – Jack!

– Co, u licha? – spytałem i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

– Musisz go odszukać... musisz go znaleźć... znaleźć i powiedzieć...

– Trzęsa się cała jak w gorączce.

– Kogo odszukać?

– ...powiedzieć mu, jak to było... och, przecież to nie tak... nie tak, jak mówili...

– Na miłość boską, kto co mówił?

– ...mówili, że to ze względu na mnie... na to, co zrobiłam... na to...

– Kto mówił?

– ...och, musisz go znaleźć, Jack... musisz go znaleźć, powiedzieć mu, przyprowadzić go do mnie i...

Schwyciłem ją mocno za oba ramiona i potrząsnąłem.

– Słuchaj! – powiedziałem. – Opanuj się. Przestań na chwilę bełkotać i opanuj się.

Zamilkła i stała między moimi rękami ściskającymi ją za ramiona; podniosła ku mnie zbielełą twarz i zadrzała. Jej oddech był płytki, szybki i suchy.

Po jakiejś minucie rzekłem:

– A teraz powiedz mi, kogo mam znaleźć.

– Adama – odparła. – Chodzi o Adama.

– Dlaczego mam go szukać? Co się stało?

– Przyszedł tu i powiedział, że to wszystko ze względu na mnie. Na to, co zrobiłam.

– Co ze względu na co?

– Że go zrobili dyrektorem ze względu na mnie. Tak powiedział. Ze względu na to, co zrobiłam. Tak mówił. I jeszcze... och, Jack, jeszcze powiedział...

– Co powiedział?

– Ze nie będzie płatnym alfonsem swojej siostry kurwy... tak powiedział... tak powiedział, Jack... do mnie, Jack... a ja chciałam mu wytłumaczyć... wytłumaczyć, jak to jest... i wtedy mnie pchnął i upadłam na podłogę, a on wybiegł... i ty musisz go odnaleźć, Jack... musisz, i...

Znowu zaczęła bełkotać. Potrząsnąłem nią mocno.

– Przestań! – rozkazałem. – Przestań, bo ci zęby wytrząsnę. Kiedy się uspokoiła i zwisała mi w rękach, powiedziałem:

– A teraz zacznij wolno od początku i opowiedz mi, co się stało. – Podprowadziłem ją do krzesła i lekko popchnąłem na nie. – No mów – rzekłem. – Ale spokojnie.

Patrzyła na mnie przez chwilę, jak gdyby obawiała się zacząć.

– Mów – powtórzyłem.

– Przyszedł tu – zaczęła. – Było to około trzeciej. Jak tylko przestąpił próg, wiedziałam, że stało się coś strasznego... Mnie już dziś zdarzyła się straszna rzecz, ale wiedziałam, że to jest jeszcze jedna... Złapał mnie za rękę i wpatrzył mi się w oczy bez słowa. Chyba go pytałam, co się stało, a on ścisnął mi rękę coraz mocniej i mocniej.

Podciągnęła rękaw i pokazała sińce w połowie lewego przedramienia.

– Pytałam go, co się stało, a on nagle powiedział: „Stało, stało – ty dobrze wiesz, co się stało”. Potem powiedział, że ktoś zatelefonował do niego, ktoś... jakiś mężczyzna – tylko tyle mówił – zadzwonił i opowiedział mu... o mnie... o mnie i o...

Nie mogła mówić dalej.

– O tobie i o gubernatorze Starku – dokończyłem za nią. Kivnęła głową.

– To było okropne – wyszeptwała, nie do mnie, ale jakby w zapamiętaniu do siebie. I powtórzyła: – Okropne.

– Daj z tym spokój i mów dalej – rozkazałem i potrząsnąłem nią.

Opanowała się, spojrzała na mnie i ciągnęła:

– Powiedział Adamowi o mnie i o tym, że jedynie dzięki mnie zostałem dyrektorem i że gubernator usunie go z tej posady... bo sparaliżował mu syna źle zrobioną operacją... i że mnie też się pozbędzie... wyrzuci mnie – tak powiedział tamten w telefonie: że mnie wyrzuci – z powodu tego, co Adam zrobił jego synowi... i Adam wysłuchał go i od razu przybiegł tutaj, bo uwierzył... uwierzył w tamto o mnie...

– No, przecież tamto o tobie jest prawdą, nie? – wtrąciłem ze złością.

– Powinien był mnie zapytać – odrzekła, czyniąc półprzytomny gest dłońmi. – Powinien był mnie zapytać, zanim uwierzył.

– Nie jest półgłówkiem – odparłem – a przecież nic prostszego, niż w to uwierzyć. Masz piekielne szczęście, że nie domyślił się czegoś już dawno, bo gdyby...

Schwyciła mnie za rękę, wpijając w nią palce.

– Cicho! Cicho! – zawołała. – Nie wolno ci tego mówić... bo wcale tak nie było... i nie tak, jak powiedział Adam... och, mówił rzeczy straszne... wyzywał mnie okropnie... mówił, że jeżeli wszystko dokoła jest brudem, człowiek nie musi nim być... a ja próbowałam mu wytłumaczyć... że nie jest tak, jak mówi, ale pchnął mnie tak mocno, że upadłam, a on



powiedział, że nie będzie alfonsem swojej siostry kurwy i że nikt nigdy tego o nim nie powie... a potem wybiegł za drzwi i ty musisz go znaleźć. Znajdź go i powiedz mu, Jack. Powiedz mu, Jack.

– Co mam powiedzieć?

– Że wcale nie jest tak, jak mówił. Musisz mu wytłumaczyć. Ty wiesz, dlaczego tak postąpiłam, wiesz, co się stało. Och, Jack... – i znowu uwiesiła się swojego rękawa – to nie było tak. To nie było takie wstrętne. Ja się starałam nie być wstrętna. No prawda, Jack? Prawda? Powiedz mi, Jack!

Spojrzałam na nią.

– Nie – odrzekłam. – Nie byłaś wstrętna.

– Ale tak mi się zdarzyło. To wszystko mi się zdarzyło. A on gdzieś poszedł.

– Znajdę go – powiedziałem i odsunąłem się od niej, gotów iść.

– Już nic nie pomoże.

– Posłucha głosu rozsądku – rzekłam.

– Och, nie mam na myśli Adama, tylko...

– Starka?

Kiwnęła głową. Potem powiedziała:

– Tak. Pojechałam tam... za miasto, gdzieśmy się spotykali. Zadzwoił do mnie zaraz po obiedzie. Pojechałam tam i wtedy mi powiedział. Wraca do żony.

– Niech mnie diabli! – zawołałem. Opanowałem się jednak i ruszyłem do drzwi.

– Znajdę Adama – rzekłam.

– Znajdź go – odparła. – Znajdź go, bo on jest teraz wszystkim, co mam.

Wychodząc w deszcz z bramy domu, pomyślałem, że przecież ma także Jacka Burdena. Przynajmniej jako chłopca na posyłki. Ale pomyślałem to

bez goryczy i całkiem bezosobowo.

Znalezienie kogoś w mieście, jeżeli nie można odwołać się do policji, jest nie lada przedsięwzięciem. Próbowalem tego nieraz dawniej, gdy byłem reporterem, i wiem, że trzeba na to szczęścia i czasu. Ale jedną regułą jest zawsze próbować najpierw tego, co oczywiste. Pojechałem więc do mieszkania Adama. Kiedy zobaczyłem jego auto przed domem, pomyślałem, że udało mi się trafić. Zaparkowałem swój wóz, zauważyłem, że drzwiczki samochodu Adama od strony kierowcy są otwarte i może je urwać przejeżdżająca ciężarówka, a poza tym deszcz z pewnością pada na siedzenie, zatrzasnąłem je więc, przechodząc, i wszedłem do kamienicy.

Zapukałem energicznie do drzwi. Nikt się nie odezwał. Ale to jeszcze nic nie znaczyło. Nawet jeżeli Adam był u siebie, mógł w tej sytuacji nie chcieć otworzyć. Nacisnąłem więc klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Zszedłem do suterenu, wygrzebałem stamtąd dozorcę Murzyna i opowiedziałem mu jakąś zbujaną historię o tym, że coś zostawiłem w mieszkaniu Adama. Widywał mnie z nim często, więc mnie wpuścił. Pokręciłem się po mieszkaniu, ale Adama nigdzie nie było. A potem mój wzrok padł na telefon. Zadzwoniłem do gabinetu Adama, następnie do szpitala, do szkoły medycznej, wreszcie do centrali, w której lekarze zostawiali numery telefoniczne, kiedy nie byli tam, gdzie zwykle. Nic to nie dało. Nikt nic nie wiedział o Adamie. Albo raczej każdy miał jakieś informacje, gdzie się w tej chwili znajduje, tylko że wszystkie okazały się do niczego. Zostawało mi więc szukanie go po całym mieście.

Wyszedłem na ulicę. To, że auto stało przed domem, było dosyć dziwne. Adam je tam porzucił. Dokąd, u diabła, można iść w deszcz, na piechotę, o tej porze dnia? Czy raczej nocy – bo już się ściemniało.

Przyszły mi na myśl bary. Należy bowiem do tradycji, że człowiek, który doznał silnego wstrząsu, wali do baru, opiera stopę na pręcie, zamawia pięć czystych whisky z rzędu, goli je jedna po drugiej, wpatrując

się otępiełym wzrokiem w bladą, udręczoną twarz w lustrze naprzeciw, po czym wdaje się z barmanem w sardoniczną rozmowę o Życiu. Ale nie mogłem sobie wyobrazić Adama Stantona uprawiającego tę grę. Mimo to poszedłem do barów.

To znaczy zająłem do wielu. Całego życia by nie starczyło, żeby obejść wszystkie bary w naszym mieście. Zacząłem od lokalu Slade'a, nie poszczęściło mi się, poprosiłem Slade'a, żeby postarał się zatrzymać doktora Stantona, gdyby tu zaszedł, po czym wędrowałem po innych barach, pełnych chromonikłów, szklanych cegiełek, kolorowych świateł, wygodnych staroangielskich dębowych mebli, zżartych przez robaki, sportowych sztychów, komicznych fresków i trzyosobowych orkiestr. Około wpół do ósmej zadzwoniłem znowu do gabinetu Adama, a potem do szpitala. Nie było go ani tu, ani tam. Kiedy mi to powiedzieli w szpitalu, oświadczyłem, że dzwonię w imieniu gubernatora Starka, którego syn jest tam jako pacjent doktora Stantona, i poprosiłem, żeby postarali się czegoś dowiedzieć. Wrócili z informacją, że spodziewano się doktora jeszcze przed siódmą, że miał umówione spotkanie z innym lekarzem, aby obejrzeć jakieś klisze rentgenowskie, ale się nie zjawił. Nie mogli go znaleźć ani w domu, ani w gabinecie lekarskim. Czy chciałbym zostawić dla niego jakieś zlecenie, gdy przyjdzie? Odpowiedziałem, że tak, że proszę, aby skontaktował się ze mną jak najprędzej, bo sprawa jest ważna. Zostawię w hotelu wiadomość, gdzie jestem.

Wróciłem do hotelu i zjadłem kolację w kawiarni, uprzedziwszy przedtem portiera, żeby mnie wywołał, gdyby ktoś telefonował. Ale nikt nie zatelefonował. Posiedziałem więc beczynnie w hallu nad wieczornymi gazetami. W „Kronice” był długi artykuł redakcyjny, wychwalający odwagę i rozsądek garści tych ludzi w senacie, którzy zwalczali rządowy projekt ustawy podatkowej, paraliżującej interesy i przedsiębiorczość w naszym stanie. Obok artykułu był rysunek. Przedstawiał Szefa albo raczej

jakąs postać z głową Szefa, lecz z wielkim, rozdętym brzuchem, ubraną w dziecinny garniturek i obcisłe, krótkie spodenki nad ogromnymi, włochatymi łydami. Potworek ów, trzymając na kolanie balansujący ogromny pudding, wyłuskał z zięjącej w jego wierzchu dziury jakiegoś małego, skręconego stwora. Na puddingu widniał napis: „Stan”, a na wijącym się stworku: „Ciężko pracujący obywatel”. Z ust Szefa dobywał się ów balon słów, który rysownicy umieszczają na komiksach, aby ukazać, co mówią przedstawione postacie. Słowa te brzmiały: „Ach, jaki ja jestem dobry chłopczyzna!” Pod spodem widniał tytuł rysunku: „Mały Jack Horner”<sup>[5]</sup>.

Przeczytałem artykuł redakcyjny. Mówił on, że nasz stan jest ubogi i że nie może udźwignąć narzuconego mu tak tyrańsko ciężaru. To była stara historia. Zawsze działa się to samo, ilekroć Szef z czymś wyskoczył – z podatkiem dochodowym, podatkiem od kopalni, od alkoholu, ze wszystkim. Portfel to bolesny punkt. Florentyńczyk o zimnej twarzy, będący rodzicem naszego współczesnego świata, powiedział niegdyś, że człowiek może przeboleć śmierć ojca, lecz nigdy utratę ojcowizny, i trafił w sedno.

Opozycja stale wrzeszczała, że nasz stan jest biedny. Ale Szef mówił na to: „Nie ma dwóch zdań, że żyje tu kupa ubogich ludzi, ale stan nie jest biedny. Wszystko polega na tym, kto włązi przednimi kopytami do koryta, jak przychodzi pora karmienia. A ja mam zamiar trochę takich poroztrącać i pogrzmocić po pyskach”. I pochylał się do tłumu, z kędziorem opadającym na czoło i wytrzeszczonymi oczyma, podnosił prawą rękę i pytał ludzi i rozpalonego nieba: „Jesteście za mną? Jesteście za mną?”

---

[5] Aluzja do popularnego wierszyka dziecięcego o Małym Jacku Homerze, który znalazł w puddingu dokument nadający tytuł własności wspaniałego zamku.

Opozycja stale wrzeszczała: „Szerzy się korupcja!” „Jasne – odpowiadał Szefer, rozparty swobodnie. – Jasne, jest trochę korupcji, ale akurat tyle, żeby kółka kręciły się bez skrzywienia. I pamiętajcie o jednym. Nie było jeszcze maszyny stworzonej przez człowieka, która by nie powodowała pewnej utraty energii. Ile energii wydobywacie z kawałka węgla w prądnicy czy lokomotywie w porównaniu z tą, jaka naprawdę tkwi w tym kawałku? Diabło mało. No, a my spisujemy się o wiele lepiej niż najlepsza prądnica czy lokomotywa, jaką kiedykolwiek wynaleziono. Jasne, jest tu paru łajdaków, ale są zanadto spietrani, żeby się całkiem złajdaczyć. Mam na nich oko. A czy coś dają temu stanowi? Pewnie, że dają”.

Teoria kosztów historycznych, można powiedzieć. Wszystkie przemiany coś kosztują. Obok zysków trzeba zapisać koszty. Możliwe, że w naszym stanie przemiany mogą zajść tylko w takich warunkach, a są na pewno potrzebne. Można to nazwać teorią moralnej neutralności historii. Określony proces jako taki nie jest ani moralnie dobry, ani moralnie zły. Możemy oceniać wyniki, ale nie sam proces. Element moralnie zły może dokonać dobrego czynu. Natomiast element moralnie dobry może dokonać czynu złego. Możliwe, że człowiek musi zaprzedać swą duszę, by zyskać moc czynienia dobra.

Teoria kosztów historycznych. Teoria moralnej neutralności historii. Wszystko to jest wysoką, historyczną perspektywą z jakiejś wyniosłej turni. Może trzeba geniusza, aby to dojrzeć. Aby dojrzeć naprawdę. Może zanim to dojrzysz, winienesz zostać przykuty łańcuchami do owej wysokiej turni, a jastrzębie winny ci szarpać wątrobę i płuca. Może trzeba geniusza, żeby to dojrzeć. Może trzeba bohatera, żeby w tych warunkach działać.

Jednakże, siedząc w hotelowym hallu, czekając na wezwanie, które nie nadchodziło, byłem skłonny dać spokój z tymi spekulacjami. Wróciłem do czytania artykułu. Jego autor uprawiał niewątpliwie

walkę z cieniem. Uprawiał walkę z cieniem, bo zapewne właśnie w tej chwili rozpoczynało się już głosowanie w Kapitolu i trzeba było chyba skrzydlatych zastępów, ażeby zmienić jego wynik po tym, gdy ludzie MacMurfee’ego zrezygnowali i zaczynał się obrachunek.

Około dziewiątej wywołano mnie. Ale to nie był telefon od Adama. Był to telefon z Kapitolu, że Szef tam jest i chce, żebym zaraz przyjechał. Zostawiłem portierowi polecenie, że gdyby zadzwonił do mnie doktor Stanton, ma się połączyć z Kapitołem, gdzie zostawię wiadomość telefonistce w centrali. Następnie zadzwoniłem do Anny, aby podzielić się z nią wynikami czy raczej brakiem wyników moich dotychczasowych poszukiwań. Jej głos w telefonie był spokojny i zmęczony. Wyszedłem do samochodu. Widać musiało znów padać, bo ściekiem płynął czarny strumień, połyskujący jak oliwa w świetle ulicznych latarni. Jednakże teraz już przestało.

Kiedy wjechałem na teren Kapitolu, zobaczyłem, że gmach jest rześście oświetlony. To jednak nie było niespodzianką, nawet o tej godzinie, jeżeli zbierała się legislatura. Gdy zaś wszedłem do środka, stwierdziłem, że budynek z pewnością nie jest nie zamieszkanym. Panowie ustawodawcy zwinęli już kram na ten wieczór i kręcili się po korytarzach, zwłaszcza w tych punktach strategicznych, gdzie stały wielkie mosiężne spluwaczki. Poza tym było też sporo innych osób. Masa reporterów i stada widzów, tych, co to uwielbiają mieć poczucie, że są obecni, kiedy się dzieje coś ważnego.

Przepchałem się do gabinetu Szefa. Tam powiedziano mi, że zszedł z kimś do senatu.

– Nie było żadnych zahaczeń przy uchwalaniu ustawy podatkowej? – zapytałem sekretarki.

– Niech pan nie będzie niemądry – odparła.

Już miałem jej powiedzieć, że znałem się na tych rzeczach, kiedy ona

jeszcze ssła duży palec w kołysce, ale się powstrzymałem. Poprosiłem, ażeby dopilnowała sprawy ewentualnego telefonu Adama, i zszedłem do senatu.

Z początku nie mogłem wypatrzeć Szefa. Potem spostrzegłem go na boku, z paroma senatorami i Calvinem Sperlingiem; w głębi stało dyskretnie kilku innych ludzi, zwykłych gapiów, grzejących sobie dłonie przy ogniu wielkości. Koło Szefa zauważyłem Cukierka opartego o marmurową ścianę i ssącego z wciągniętymi policzkami kostkę cukru, która zapewne w tej chwili spływała mu rozkoszą do przełyku. SzeF stał z rękami założonymi na plecy i lekko pochyloną głową. Słuchał tego, co mówił mu jeden z senatorów.

Zbliżyłem się do tej grupki i przystanąłem opodal, czekając. Po chwili uchwyciłem wzrok Szefa i już wiedziałem, że mnie zauważył. Podeszedłem więc do Cukierka i rzekłem:

– Jak się masz.

Po kilku wysiłkach zdołał wydobyć z siebie odpowiedź, po czym znów zabrał się do ssania cukru. Oparłem się obok niego o ścianę i czekałem.

Minęło z pięć minut, a SzeF wciąż stał ze zwieszoną głową, słuchając. Potrafił słuchać długo i nie mówić ani słowa, pozwalając, aby tamten drugi się wygadał. Słowa mogły się łać i łać, ale SzeF czekał, aby się przekonać, co jest na dnie kubelka. W końcu spostrzegłem, że już ma dosyć. Wiedział, co jest na dnie kubelka tamtego faceta, czy raczej przekonał się, że jednak nie ma tam nic. Czuję, że ma już dosyć, bo zauważyłem, że nagle podniósł ostro głowę i spojrział wprost na swego rozmówcę. To był znak. Przestałem się opierać o ścianę. Wiedziałem, że SzeF jest gotów odejść.

Popatrzył na mówiącego senatora i potrząsnął głową. – Nie da rady – powiedział jak najuprzejmiej, ale tak głośno, że to usłyszałem. Tamten gadał dotąd szybko i cicho. A potem SzeF spojrział na mnie i zawołał:

- Jack! Podszedłem do niego.
- Chodźmy na górę – rzekł do mnie. – Chcę ci coś powiedzieć.
- Dobra – odparłem i ruszyłem do drzwi.

Odszedł od grupki mężczyzn, podążył za mną i dopędził mnie przy wyjściu. Cukierek szedł obok niego, trochę w tyle.

Już chciałem zapytać Szefa, co z Tomem, ale się rozmyśliłem. Była to przecież jedynie kwestia, jak dalece jest z nim źle, nie było więc celu pytać. Poszliśmy korytarzem do dużego hallu, skąd mieliśmy pojechać windą na górę, do gabinetu Szefa. Niektórzy ludzie przechadzający się po korytarzu rozstępowali się nieco na boki i mówili: „Uszanowanie, gubernatorze” albo „Cześć, Szefie”, ale Szef tylko kłaniał się w odpowiedzi na te pozdrowienia. Inni, którzy nic nie mówili, obracali głowy, patrząc za przechodzącym. Nie było w tym wszystkim nic niezwykłego. Musiał przechodzić tym korytarzem z tysiąc razy lub prawie, a ludzie zagadywali do niego albo milczeli i tylko odprowadzali go wzrokiem, gdy stapał po lśniącym marmurze.

Weszliśmy do wielkiego hallu pod kopułą, gdzie światła jarzyły się nad posągami, które stały z władczym dostojeństwem na cokółkach, wysoko nad ludźmi przechodzącymi w tym miejscu. Szliśmy wzdłuż wschodniej ściany ku niszy, w której były windy. Kiedyśmy się zbliżali do posągu generała Moffata (wielkiego bojownika przeciw Indianom, zręcznego spekulanta ziemią, pierwszego gubernatora stanu), spostrzegłem jakąś postać opartą o cokół.

Był to Adam Stanton. Zauważyłem, że ubranie ma przemoczone, a spodnie uwalane błotem i brudem niemal po kolana. Zrozumiałem teraz, co znaczył ów porzucony samochód. Adam odszedł odeń pieszo w deszcz.

W chwili, kiedy go zobaczyłem, patrzył w naszą stronę. Ale jego oczy były utkwione w Szefa, nie we mnie.

- Adamie! – zawołałem. – Adamie!



Postąpił krok ku nam, lecz wciąż nie patrzył na mnie.

Wtedy Szef skrzył ku niemu i wyciągnął rękę, chcąc mu uściśnąć dłoń.

– Jak się pan ma, doktorze – zaczął z wyciągniętą dłonią. Przez chwilę Adam stał nieruchomo, jak gdyby miał odmówić podania ręki zbliżającemu się doń człowiekowi. Potem wyciągnął ramię, ja zaś uczułem przypływ ulgi i pomyślałem: „Podaje mu rękę, już wszystko w porządku, wszystko w porządku”.

I wtedy zobaczyłem, co w niej trzyma, i w chwili, gdy rozpoznałem ów przedmiot, lecz jeszcze zanim sens tego rozpoznania zdążył uformować mi się w umyśle i nerwach, ujrzałem dwa małe błyski bladopomarańczowego ognia u wylotu lufy.

Nie usłyszałem huku, ponieważ zagubił się i wtopił w inne, donośniejsze staccato serii wystrzałów po lewej. Adam, z prawą ręką wciąż wyciągniętą, zatoczył się w tył o krok, rzucił mi pełne wyrzutu, błędne spojrzenie, które znieruchomiło, kiedy znowu buchnęły strzały, a on runął na podłogę.

W zdumiewającej ciszy poskoczyłem do padającego Adama. Usłyszałem kobiecy krzyk gdzieś w hallu, potem wielki tupot nóg i wrzawę głosów. Adam krwawił obficie. Dostał w pierś. Całą ją miał wtłoczoną do środka. Już nie żył.

Podniósłszy wzrok, ujrzałem Cukierka stojącego z dymiącym rewolwerem w ręce, a nieco w prawo, w pobliżu wind, policjanta z policji drogowej, też trzymającego broń.

Szefa nie zobaczyłem. I pomyślałem: Nie trafił go.

Mylłem się jednak. W chwili, kiedy to pomyślałem i obejrzałem się, Cukierek z trzaskiem upuścił rewolwer na marmurową posadzkę i wydając jakiś zdławiony, zwierzęcy jęk, poskoczył za posąg gubernatora Moffata.

Złożyłem głowę Adama na marmurze i obszedłem posąg. Musiałem odpychać ludzi, tak się cisnęli. Ktoś krzyczał: „Cofnąć się, cofnąć się, dać mu powietrza!”, ale nadal się tłoczyli, biegnąc ku temu miejscu z całego hallu i z korytarza.

Kiedy się wreszcie przepchałem, zobaczyłem Szefa. Siedział na podłodze, oddychając ciężko, patrząc prosto przed siebie. Obie dłonie przyciskał do ciała poniżej piersi i ku środkowi. Nie zauważyłem żadnej oznaki, żeby był trafiony. A potem dostrzegłem drobniutki, skąpy strumyczek krwi przeciekający mu między dwoma palcami.

Cukierek stał pochylony nad nim płakał i bełkotał, usiłując przemówić. W końcu zdołał wydobyć z siebie słowa:

– B-b-b-bardzo bo-bo-bo-li, Szefie...? B-b-b-bardzo bo-bo-bo-boli?

Szef nie skonał tam w hallu pod kopułą. Żył jeszcze jakiś czas i umarł na czystym, białym, antyseptycznym łóżku, korzystając ze wszystkich dobrodziejstw nauki. Przez kilka dni utrzymywano, że w ogóle nie umrze. Był poważnie ranny – w ciele utkwiły dwa niewielkie pociski kalibru .25 z małego pistoletu ćwiczebnego, który Adam miał od dziecka, ale operację uważano za możliwą, a Szef był bardzo silny.

Więc znowu zaczęło się przesiadywanie w poczekalni, gdzie były rośliny w doniczkach, akwarele i sztuczne polana na przytulnym kominku. Rano w dzień operacji przyjechała Lucy z siostrą. Stary Stark, ojciec Szefa, był za słaby, żeby opuścić Mason City. Siostra Lucy, znacznie od niej starsza, ubrana w wiejską czerń i wysokie sznurowane czarne buciki z kozłej skóry, była energiczną, rozumną kobietą, która wiele przeżyła i umiała dopomóc innym. Patrząc na jej kanciaste, nieco zaczerwienione, szorstkie dłonie o równo obciętych paznokciach, wiedziałeś, że potrafi się wziąć do rzeczy. Gdy weszła do poczekalni w szpitalu i obrzuciła wytrawnym i krytycznym, ale nie całkiem gniewnym spojrzeniem owe rośliny w doniczkach i sztuczne polana, było to tak, jakby pilot wkroczył

na mostek kapitański i objął komendę.

Usiadła, sztywna i surowa, na krześle, nie na którymś z tych miękkich, obitych kretonem foteli. Nie miała zamiaru pozwolić sobie na ujawnianie wzruszeń w obcym pokoju i o tej porze dnia – porze, kiedy codziennie trzeba przyrządzić śniadanie, zająć się dziećmi, a mężczyzn wyprawić z domu. Na to miało być inne, odpowiednie miejsce i czas. Gdy wszystko się zakończy, odwiezie Lucy do domu, położy ją do łóżka w sypialni z zaciągniętymi storami, będzie jej przykładła do czoła chusteczkę zwilżoną octem, usiądzie przy łóżku, weźmie ją za rękę i powie: „No, popłacz sobie, jeżeli chcesz, dziecinko, to ci się zrobi lepiej, a potem poleż spokojnie, a ja przy tobie posiedzę, nie zostawię cię samej”. To jednak miało przyjść później. Tymczasem Lucy co chwila zerkała ukradkiem na twarzo ciosaną i poźłobioną twarz siostry. Nie była to twarz specjalnie sympatyczna, lecz widać miała w sobie to, czego szukała Lucy.

Siedziałem na kanapie i przeglądałem te same stare ilustrowane tygodniki. Czuję się tu zdecydowanie nie na miejscu. Ale Lucy prosiła, żebym przyszedł.

– On by chciał, żebyś tu był – powiedziała.

– Zaczekam na dole w hallu – odparłem.

Potrząsnęła głową.

– Chodź na górę – rzekła.

– Nie chcę wam zawadzać – Przecież mówiłaś, że będzie też twoja siostra.

– Proszę cię o to – odrzekła, więc poszedłem. I uznałem, że choć nie czuję się na swoim miejscu, lepiej mi tam niż na dole w hallu, razem z tymi wszystkimi pismakami, politykierami i ciekawskimi.

Nie trwało to zbyt długo. Zawiadomiono nas, że operacja się udała. Kiedy to powiedziała pielęgniarka, która przyniosła wiadomość, Lucy skuliła się w fotelu i zaszlochała sucho, jakby się zachłysnęła. Siostra,

która też jakby odprężyła się nieco na te słowa, spojrzała na nią ostro.

– Lucy – powiedziała niegłęboko, ale z niejaką surowością. – Lucy!

Lucy podniosła głowę, napotkała karcące spojrzenie siostry i szepnęła pokornie:

– Przepraszam, Ellie, przepraszam. Ale ja... ja...

– Musimy dziękować Bogu – oświadczyła Ellie. Potem wstała żwawo, jak gdyby miała od razu wyjść, by tak uczynić, zanim jej to wyleci z głowy. Obróciła się jednak do pielęgniarki. – Kiedy moja siostra będzie się mogła zobaczyć z mężem? – spytała.

– To jeszcze trochę potrwa – odrzekła pielęgniarka. – Nie umiem powiedzieć dokładnie, ale to jeszcze trochę potrwa. Jeżeli panie tu zaczekają, to mogę paniom dać znać. – Podeszła do drzwi. Przy nich obróciła się i zapytała: – Może paniom coś przynieść? Lemoniady? Albo kawy?

– Bardzo to ładnie i uprzejmie z pani strony – odrzekła siostra Lucy – ale na razie dziękujemy.

Pielęgniarka wyszła, a ja przeprosiłem panie i podążyłem za nią. Zszedłem do gabinetu doktora Simmonsa, który dokonał operacji. Widywałem go nieraz. Był w pewnym sensie przyjacielem Adama – chyba najlepszym, jakiego miał Adam, który nigdy nie bratał się z nikim, to jest z nikim poza mną, ja zaś się nie liczyłem, bo byłem Przyjacielem z Jego Młodości. Widywałem nieraz doktora Simmonsa. Adam mi go przedstawił.

Doktor Simmons, suchy, chudy, siwawy mężczyzna, siedział przy biurku, zapisując coś na dużej karcie. Poprosiłem go, żeby sobie nie przerywał. Odrzekł, że już właściwie skończył, sekretarka wzięła kartę, włożyła ją do kartoteki, a on obrócił się do mnie. Zapytałem, jak się ma gubernator. Odpowiedział, że operacja się powiodła.

– To znaczy, że pan wyjął kule? – spytałem.

Uśmiechnął się jakoś chłodno i odrzekł, że to znaczy coś więcej.

– Ma szansę – powiedział. – To silny człowiek.

– Na pewno – przyznałem.

Doktor Simmons wziął z biurka małą kopertę i wysypał na dłoń jej zawartość.

– Ale choćby ktoś był nie wiem jak silny, nie strawi za wiele tego – powiedział i otworzył dłoń, ukazując leżące na niej dwie małe kulki. Pocisk kalibru .25 jest niewątpliwie mały, ale te wydawały się jeszcze mniejsze i bardziej niegroźne, niż pamiętałem.

Wziąłem jeden z jego dłoni i obejrzałem go. Była to trochę odkształcona ołowiana kula. Trzymając ją w palcach, myślałem, jak dawno temu, kiedyśmy byli małymi chłopcami w Landing, obaj z Adamem strzelaliśmy do sosnowej deski i jak czasem wydłubywaliśmy scyzorykiem kule z miękkiego drewna. Niekiedy wydłubane kule nie były bardziej odkształcone niż ta, bo drewno było miękkie.

– Sukinsyn – powiedział ni stąd, ni zowąd doktor Simmons. Oddałem mu kulę i wróciłem do hallu. Był już teraz prawie opustoszały. Politykierzy się rozeszli. Zostało paru reporterów czekających na rozwój wydarzeń.

Tego dnia nie było żadnych wydarzeń. Ani następnego. Szef zdawał się trzymać dobrze. Ale trzeciego dnia nastąpiło pogorszenie. Wdała się infekcja. Postępowała dosyć szybko. Choć doktor Simmons niewiele chciał mówić, widziałem po jego minie, że sprawa jest przegrana.

Tego wieczora, gdy tylko przybyłem do szpitala i poszedłem do poczekalni zobaczyć, jak sobie radzi Lucy, zawiadomiono mnie, że Szef chce się ze mną widzieć. Powiedzieli, że przyszedł do siebie.

Kiepsko wyglądał, kiedy go zobaczyłem. Ciało na twarzy zwiotczało mu tak, że skóra obwisła na kości jak u starca. Przypominał teraz starego Starka z Mason City. Był błady jak kreda.

W pierwszej chwili oczy w owej białej twarzy wydały mi się zamglone

i półprzytomne. Ale kiedy podszedłem do łóżka, spoczęły na mnie i pojawił się w nich wątpliwy błysk. Usta wykrzywiły się z lekka, w sposób, w którym domyśliłem się niewyraźnego stenogramu uśmiechu. Zbliżyłem się do łóżka.

– Cześć, Szefie – powiedziałem i zawiesiłem na twarzy coś, co miało być uśmiechem.

Podniósł wskazujący i trzeci palec leżącej na kołdrze prawej ręki, jakby zaczątkowym gestem pozdrowienia, po czym ręka opadła mu z powrotem. Mięśniom, które utrzymywały ów grymas na ustach, też nie starczyło siły, uśmiech ześliznął mu się z twarzy, a ciało znowu obwiło pod swoim ciężarem.

Stałem przy łóżku, patrzyłem na niego i szukałem w myśli, co by tu powiedzieć. Ale mózg miałem wyschnięty jak stara gąbka długo pozostawiona na słońcu.

Wtedy powiedział nieco głośniejszym niż szeptem:

– Chciałem się z tobą zobaczyć, Jack.

– Ja także chciałem zobaczyć się z tobą, Szefie.

Przez chwilę nic nie mówił, ale jego oczy patrzyły na mnie, ciągle z tym lekkim błyskiem. Wreszcie rzekł:

– Dlaczego on mi to zrobił?

– A niech to szlag! – wybuchnąłem bardzo głośno. – Nie wiem. Pięlegniarka spojrziała na mnie ostrzegawczo.

– Nie zrobiłem mu nigdy nic złego – powiedział.

– Nie, nigdy.

Zamilkł znowu, a błysk zgasł mu w oczach. Potem rzekł:

– To był porządny gość. Doktor. Kiwnąłem głową.

Czekałem, ale zaczęło mi się wydawać, że nic więcej nie powie. Oczy miał utkwione w sufit i nie byłem pewien, czy oddycha. W końcu te oczy obróciły się znowu na mnie, bardzo powoli, ja zaś nieomal doznałem

wrażenia, że słyszę cichutkie, bolesne trzeszczenie gałek w oczodołach. Ale błysk zapłonął znowu. Szef powiedział:

– Wszystko mogło być inaczej, Jack. Powtórnie kiwnąłem głową.

Zebrał się jeszcze bardziej w sobie. Wydawało się nawet, że usiłuje dźwignąć głowę z poduszki.

– Musisz w to wierzyć – rzekł chrapliwie.

Pielęgniarka postąpiła krok naprzód i spojrzała na mnie znacząco.

– Tak – powiedziałem do leżącego na łóżku.

– Musisz – powtórzył. – Musisz w to wierzyć.

– Tak jest.

Popatrzył na mnie i przez chwilę było to jego dawne, mocne, sondujące, natarczywe spojrzenie. Ale gdy się odezwał tym razem, głos miał bardzo słaby.

– Gdyby się to nie stało, mogłoby... być... inaczej... nawet jeszcze teraz.

Ledwie zdołał dokończyć, taki był osłabiony.

Pielęgniarka dawała mi znaki.

Schyliłem się i ująłem dłoń leżącą na kołdrze. Przypominała kawał galarety.

– No, to tymczasem, Szefie – powiedziałem. – Niedługo wpadnę do ciebie.

Nie odpowiedział i nie byłem nawet pewny, czy jego oczy jeszcze mnie poznają. Odwróciłem się i wyszedłem.

Umarł następnego dnia nad ranem. Pogrzeb miał diablo okazały. Miasto było zatłoczone ludźmi wszelkiego rodzaju – mieszczuchami z prowincji i „czerwonymi karkami”, chłopcami w wełnianych czapkach i takimi, którzy jeszcze nigdy w życiu nie stąpali po chodniku. Przeprowadzili też swoje kobiety. Wypełnili całą przestrzeń wokół Kapitolu, rozlali się i wtopili w sąsiednie ulice, tymczasem zaś kropił deszcz, a głośniki

umieszczone na drzewach i słupach wyrzaskiwały słowa, od których chciało się rzygać.

A potem, gdy już zniesiono trumnę z wielkich schodów Kapitolu i załadowano ją na karawan, a policja drogowa i konna utorowała przejście, pochód wolno ruszył na cmentarz. Tłum popłynął za nim. Na cmentarzu przelewał się i kotłował po trawnikach, depcząc groby i łamiąc krzewy. Kilka nagrobków przewrócono i uszkodzono. Policja zdołała oczyścić cmentarz dopiero w dwie godziny po pogrzebie.

To był mój drugi pogrzeb w owym tygodniu. Pierwszy wyglądał zupełnie inaczej. Był to pogrzeb Adama Stanton w Burden's Landing.



# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy Szefa przysypano już ziemią, a grubasy z miejskiej policji, pocące się w swoich granatowych mundurach, i szczupłe zgrabne chłopaki ze stanowej, i konni policjanci na lśniących, roztańczonych wierzchowcach, których kopyta grzęzły po pęczyny w rabatach kwiatów, ponuro usunęli tłumy z cmentarza – natomiast na długo przed tym, nim zdeptana trawa zaczęła się podnosić, a robotnicy przyszli naprawić poobalane nagrobki – wyjechałem z miasta do Landing. Były po temu dwie przyczyny. Po pierwsze, nie mogłem usiedzieć w mieście. Po drugie, w Landing była Anna Stanton.

Przebywała tam od pogrzebu Adama. Odwiozła do Landing jego zwłoki, jadąc za błyszczącym w słońcu, kosztownym karawanem, w limuzynie przedsiębiorcy pogrzebowego, z pielęgniarką, która okazała się zbędna, i z Katy Maynard, swą starą przyjaciółką, która też niewątpliwie okazała się zbędna. Nie widziałem Anny, kiedy siedziała w tej wynajętej limuzynie, która przebywała dręcząco dostojnym tempem bez mała sto mil, odwijając powoli i wyrefinowanie te mile z betonowej nawierzchni niczym nie kończące się pasmo skóry z żywego ciała. Nie widziałem jej, ale wiem, jak wyglądała: wyprostowana, blada, z pięknymi kośćmi twarzy zarysowanymi pod napiętą skórą, z dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Bo taką ją zobaczyłem, stojącą pod dębem obwieszonym girlandą mchów – jakąś absolutnie samotną pomimo obecności pielęgniarki i Katy Maynard, i wszystkich zebranych: przyjaciół rodziny, ciekawskich, co przyszli gapić się i trącać łokciami, dziennikarzy, wybitnych lekarzy z miasta i z Baltimore, i Filadelfii, którzy tam stali, podczas gdy łopaty dokonywały

swego dzieła.

I taka też była, gdy wychodziła z cmentarza nie opierając się na niczym ramieniu, a pielęgniarka i Katy Maynard postępowały za nią z owym zakłopotaniem i fałszywym skupieniem, które pojawia się na twarzach ludzi, kiedy na pogrzebie towarzyszą publicznie głównemu żałobnikowi.

Nawet gdy pewien reporter wycelował aparat w Annę wychodzącą z bramy cmentarnej i zrobił zdjęcie, nie zmienił się wyraz jej twarzy.

Reporter jeszcze tam stał, kiedy do niego podszedłem – pętał na kapeluszu na bakier, z aparatem zawieszonym na szyi i uśmiechkiem na swojej pętackiej twarzy. Zastanowiłem się, czy go już gdzieś spotkałem w mieście, czy nie; te pętaki są bardzo do siebie podobne, kiedy ich wypuszczają ze szkoły dziennikarskiej.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry – odrzekł.

– Widziałem, jak pan tu robił zdjęcie – rzekłem.

– Aha – odparł.

– No, synu – rzekłem – jeżeli dosyć długo pożyjesz, dowiesz się, że są takie świństwa, których nie trzeba robić nawet po to, żeby być dziennikarzem.

Powiedział: „Aha”, i spojrzał na mnie swoimi pętackimi oczyma. W końcu spytał:

– Pan jesteś Burden? Kiwnąłem głową.

– O rany! – wykrzyknął. – Pan pracujesz dla Starka, a zarzucasz innemu świństwo.

Tylko spojrzałem na niego. Te gadki znałem dobrze. Przeszedłem przez to tysiące razy z tysiącami innych ludzi. W hallach hotelowych, przy restauracyjnych stolikach, w samochodach i na rogach ulic, w pokojach sypialnych i na stacjach benzynowych. Czasem nie mówiono tego akurat

w taki sposób, a czasem nie mówiono w ogóle, ale to było stale obecne. O, chętnie bym ich załatwił. Umiałem kropnąć pięścią prosto w żołądek. Musiałem umieć; miałem dostateczną praktykę.

Ale człowiek się nuży. W pewnym sensie jest to zbyt łatwe, więc przestaje być zabawne. A wreszcie już się nie wściekasz, bo zdarzało ci się za często. Jednakże nie tu jest przyczyna. Po prostu ludzie, którzy ci to mówią – albo nie mówią – nie mają racji i jednocześnie się nie mylą. Gdyby było bezwzględnie albo tak, albo tak, nie musiałbyś o tym myśleć, mógłbyś po prostu przymknąć oczy i dać im w żołądek. Ale sęk w tym, że na w pół mają rację i na w pół się mylą, i to cię w końcu paraliżuje. Próba wyodrębnienia jednego od drugiego. Nie możesz im wytłumaczyć, bo nigdy nie ma czasu, a poza tym oni zawsze mają ten wyraz na twarzy. Toteż w końcu dochodzisz do takiego punktu, że nawet nie chce ci się dać im w żołądek. Po prostu patrzysz na nich i to jest tak jak we śnie albo jak coś, co sobie przypominamy z dawnych czasów, albo wreszcie tak, jak gdyby tamtych wcale nie było.

Więc tylko spojrzałem w twarz temu pętakowi.

Byli na cmentarzu i inni ludzie. Patrzyli na mnie. Spodziewali się, że coś powiem. Albo coś zrobię. Ale jakoś te ich spojrzenia były mi obojętne. Nawet nie nienawidziłem tych ludzi. Nie czułem nic poza jakąś wewnętrzną drętwotą i obolałością – bardziej drętwotą niż obolałością. Stałem, patrzyłem na tego człowieka i czekałem, podobnie jak się czeka na ból po uderzeniu. Gdyby odezwał się ból, byłbym go kropnął. Ale się nie odezwał i czułem tylko drętwotę. Odwróciłem się więc i odszedłem. Obojętne mi były śledzące mnie oczy i śmiech, którym ktoś parsknął i zaraz zamilkł, bo to był przecież pogrzeb.

Szedłem ulicą, czując w sobie drętwotę i obolałość. Ale nie wywołało ich to, co zaszło przy bramie. Miałem je w sobie, nim tu przyszedłem.

Udałem się aleją w stronę domu Stantonów. Nie wyobrażałem sobie,

żeby Anna chciała się ze mną widzieć w tej chwili, ale zamierzałem zostawić dla niej wiadomość, że będę w hotelu w Landing aż do późnego wieczora. To znaczy, oczywiście, jeżeliby nie zaszły jakieś nagłe zmiany w stanie Szefa.

Jednakże kiedy przyszedłem do domu Stantonów, dowiedziałem się, że Anna nikogo nie przyjmuje. Katy Maynard i pielęgniarka nie były już zbędne. Gdy bowiem Anna weszła do domu i udała się do salonu, stanęła tuż za progiem i wolno powiodła wzrokiem po pokoju, popatrzyła na fortepian, na meble sztuka po sztuce, na obraz nad kominkiem – niby kobieta, która ogarnia spojrzeniem pokój, nim wejdzie do środka, żeby go inaczej urządzić i przemeblować (tak określiła to Katy Maynard) – osunęła się na ziemię. Podobno nawet nie sięgnęła do klamki, nie zachwiała się, nie wydała żadnego głosu. Po prostu osunęła się, kiedy już było po wszystkim, i padła zemdlona na podłogę.

Kiedy więc tam przyszedłem, pielęgniarka doglądała jej na górze, a Katy Maynard wzywała doktora i zajmowała się wszystkim. Nie miałem więc powodu zostać. Wsiadłem do auta i odjechałem do miasta.

Ale teraz nie żył i Szef, toteż wróciłem do Landing. Matka ze swoim Theodore'em była w podróży, miałem więc cały dom dla siebie. Był pusty i cichy jak kostnica. Ale nawet taki wydawał mi się weselszy od szpitali i cmentarzy, w których ostatnio przesiadywałem. To, co w nim było umarłe, nie żyło już od dawna, i przywykłem do tego. Przywykałem nawet do innych zgonów. Zakopano już i sędziego Irwina, i Adama Stantona, i Szefa.

Ale niektórzy z nas pozostali. A między tymi, co pozostali, była Anna Stanton. I ja.

Kiedy więc wróciłem do Landing, siadywaliśmy obok siebie na werandzie, gdy było słońce – cytrynowoblade, późnojesienne słońce – a popołudnie wykreślało swój skrócony łuk nad nakrapianymi onyksem

wodami zatoki rozciągającej się ku zamglonemu jesiennie horyzontowi. Albo też nie było słońca, wiatr piętrzył fale na plaży aż po samą drogę, niebo zdawało się jedną nawałą deszczu, a my siedzieliśmy obok siebie w salonie. Czy tu, czy tam, nie rozmawialiśmy wiele w owych dniach, nie dlatego, żeby nie było nic do powiedzenia, ale że mogło tego być za dużo i kiedy by raz się zaczęło, zakłóciłoby to piękną i ryzykowną równowagę, którąśmy osiągnęli. Było to tak, jakbyśmy obydwój siedzieli na końcach świetnie wyważonej deski do huśtania, ale nie w jakimś schludnym ogródku, lecz ponad Bóg wie jaką czernią – na huśtawce, którą Bóg ustawił dla nas, dzieciaków. I gdyby jedno z nas pochyliło się ku drugiemu chociażby o ułamek cała, równowaga zostałaby zaburzona i oboje spadlibyśmy w czern. Ale zwiedliśmy Boga i nie mówiliśmy ani słowa.

Nie mówiliśmy ani słowa, lecz czasem po południu czytałem Annie. Czytałem jej pierwszą książkę, jaka mi wpadła w ręce pierwszego popołudnia, kiedy stwierdziłem, że nie mogę dłużej wysiedzieć w tej ciszy, która pęczniała i trzeszczała od wszystkich nie wypowiedzianych słów. Był to pierwszy tom dzieł Anthony'ego Trollope'a. Po prostu pewniak. Anthony nie naruszał żadnej równowagi.

W jakiś dziwny sposób te późnojesienne popołudnia zaczęły mi przypominać tamto lato sprzed lat nieomal dwudziestu, gdy zakochałem się w Annie. Wtedy byliśmy zupełnie sami, nawet gdy przebywali z nami inni ludzie. Byliśmy jedynymi mieszkańcami tej pływającej wyspy czy zaczarowanego dywanu, którym jest zakochanie. I teraz też byliśmy sami, ale to był już inny rodzaj pływającej wyspy czy zaczarowanego dywanu. Tamtego lata jakby nas unosił potężny, oszalałający prąd, który znał swoją szybkość i czas i nie dawał się przyspieszyć nawet ku szczęściu, jakie niewątpliwie obiecywał. Teraz znowu unosił nas taki prąd i nie mogliśmy nawet ruszyć palcem w jego potężnym nurcie, bo też znał

swoją szybkość i czas. Ale co obiecywał – tego nie wiedzieliśmy. Nawet się nad tym nie zastanawiałem.

Od czasu do czasu jednakże zastanawiałem się nad czymś innym. Siedząc obok Anny, czytając lub milcząc, bądź też w chwilach, gdy byłem z dala od niej i jadłem śniadanie, szedłem aleją albo leżałem bezsennie. Istniało pewne pytanie bez odpowiedzi. Gdy Anna powiedziała mi o tych ostatnich, szalonych odwiedzinach Adama w jej mieszkaniu – o tym, jak wpadł i zawołał, że nie będzie jej alfonsem i tak dalej – wspomniała, że ktoś zatelefonował do Adama i powiedział mu o niej i gubernatorze Starku.

Kto?

W pierwszych dniach po wypadku właściwie zapomniałem o tym, lecz później nasunęło mi się to pytanie. Z początku nie wydawało mi się ważne. Bo nie wydawało mi się zbyt ważne wówczas, w dojmującej drętwości i obolałości. Albo przynajmniej to, co wtedy zdawało mi się ważne, nie miało nic wspólnego z tym pytaniem. Ważne było to, co się stało, a nie przyczyna tego, co się stało – o tyle, o ile nie tkwiła we mnie samym.

Jednakże pytanie zaczęło powracać. Nawet gdy o tym nie myślałem, uświadamiałem sobie nagle, że wżera się jak mysie zęby w ścianki mojego umysłu.

Przez jakiś czas nie widziałem możliwości zapytania wprost Anny. Nigdy nie mógłbym wspomnieć jej o tym, co się stało. Mieliśmy już zawsze tak przesiadywać w naszej zmowie milczenia, na zawsze w niej związani świadomością naszej poprzedniej, mimowolnej zmowy, która popchnęła Adama Stantona i Williego Starka ku sobie i ku śmierci. (Gdybyśmy kiedykolwiek złamali znowę milczenia, musielibyśmy może stanąć wobec faktu tamtej drugiej zmowy i ujrzeć krew na naszych rękach.). Więc nie mówiłem nic.

Aż do dnia, kiedy musiałem powiedzieć.

Powiedziałem:

– Anno, zadam ci jedno pytanie. Na temat... na temat... tego. Później nie wspomnę o tym ani słowem, chyba że ty zaczniesz pierwsza.

Spojrzała na mnie bez odpowiedzi. Ale dostrzegłem w jej oczach drgnienie strachu i bólu, a potem uparte zbieranie wszystkich sił, jakie miała.

Pobrnąłem więc naprzód.

– Wspomniałeś mi... tego dnia, kiedy do ciebie przyszedłem... że ktoś telefonował do Adama... powiedział mu... powiedział mu o...

– O mnie – dokończyła zdanie, przy którym się na chwilę zawahałem. Nie czekała na uderzenie. Resztkami sił wyszła mu śmiało naprzeciw.

Kiwnąłem głową.

– No więc? – spytała.

– Czy Adam powiedział ci, kto to telefonował? Zastanowiła się przez minutę. Widziałem, że siedząc tam, uchyla zasłonę z owej chwili, gdy Adam wpadł do niej – podobnie jak ktoś, kto podnosi całun z głowy trupa złożonego na marmurowej płycie w kostnicy i zagląda mu w twarz. A potem potrząsnęła głową.

– Nie – rzekła. – Nie powiedział... – Zawahała się. – Tylko tyle, że to był mężczyzna. Jestem pewna, że powiedział: mężczyzna.

Wróciliśmy więc do naszej umowy milczenia, a huśtawka chwiała się i kołysała pod nami, czerń sięgała po nas, my zaś trzymaliśmy się kurczowo deski.

Nazajutrz wyjechałem z Landing.

Przybyłem do miasta późnym popołudniem i zadzwoniłem do mieszkania Sadie. Nikt się nie odezwał. Spróbowałem więc połączyć się z Kapitołem w nadziei, że może ją tam zastanę, ale jej numer nie odpowiadał. Przez cały wieczór dzwoniłem do domu Sadie, ale bez powodzenia. Rano

nie poszedłem do niej do Kapitolu. Nie chciałem widzieć tej całej bandy, która tam teraz siedziała. Nie chciałem jej widzieć nigdy więcej.

Zadzwoiłem więc znowu. Numer Sadie nie odpowiadał. Poprosiłem zatem telefonistkę z centrali, żeby, jeżeli to możliwe, dowiedziała się, gdzie teraz jest. Po kilku minutach głos w telefonie powiedział:

– Tutaj jej nie ma. Choruje. Czy to już wszystko, proszę pana? I zanim zdążyłem zebrać myśli, usłyszałem szcęk rozłączenia.

Zadzwoiłem powtórnie.

– Tu mówi Jack Burden – powiedziałem. – Chciałbym...

– A, pan Burden – odezwała się centrala obojętnie czy może pytająco.

Jeszcze niedawno były czasy, kiedy nazwisko Jack Burden robiło swoje w tym lokalu. Ale ten głos, ton tego głosu, powiedział mi, że obecnie nazwisko Jack Burden nie znaczy tam nic oprócz trwonienia oddechu.

Przez sekundę byłem wściekły jak diabli. A potem uprzytomniłem sobie, że sytuacja się zmieniła.

Sytuacja się tam zmieniła. Kiedy zaś sytuacja zmienia się w takim miejscu, zmienia się szybko i gruntownie i głos w centrali przybiera nowy ton, wymawiając nasze nazwisko. Uprzytomniłem sobie, jak bardzo wszystko się zmieniło. I już nie byłem wściekły, bo stało mi się to zupełnie obojętne. Jednakże powiedziałem słodko:

– Chciałem zapytać, czy pani mogłaby mi powiedzieć, jak mam się skontaktować z panną Burke. Byłbym pani bardzo zobowiązany.

Następnie zaczekałem parę minut, żeby się dowiedziała.

– Panna Burke jest w sanatorium Milletta – powiedział wreszcie głos.

Cmentarze i szpitale; pomyślałem, że znowu się zaczyna.

Jednakże sanatorium Milletta nie przypominało szpitala. Kiedy skręciłem z szosy dwadzieścia pięć mil za miastem i jechałem wolno pod przepysznym sklepieniem stuletnich dębów, których konary stykały się nad aleją, ociekając stalaktytami hiszpańskich mchów i tworząc zielony,



wodnisty półmrok jak w grocie, przekonałem się, że to sanatorium wcale nie wygląda jak szpital. W regularnych odstępach między dębami stały cokoły, a na nich klasyczne marmurowe rzeźby – udrapowane i nie udrapowane, męskie i kobiece, noszące ślady niepogody, pokryte zaciekami i omszałe, wyglądające nieomal tak, jakby powyrastały z tej lepkiej, czarnozielonej próchnicy pod nimi – patrzyły na przechodnia z nieco bolesnym, ociężałym, obojętnym niezrozumieniem zwierząt. Spojrzenie tych marmurowych oczu musiało być pierwszą fazą kuracji, jaką aplikowano nerwowo chorym przybywającym do sanatorium. Musiało to być tak, jakby posmarowano chłodną maścią rozpalony wrzód i suchy świerzb duszy.

Na końcu alei pacjent docierał do sanatorium, które dobrotliwie obiecywało mu spokój za swymi białymi kolumnami. Albowiem sanatorium Milletta było tym, co się nazywa domem wypoczynkowym. Jednakże zbudowane zostało przed z górą stu laty, z próżności i rozlubowania, przez wzbogaconego na bawelnie snoba, dla którego pieniądze nie stanowiły problemu i który zakupił w Paryżu prawie cały statek empirowych mebli do swego domu, a w Rzymie prawie cały statek lśniących marmurowych rzeźb do swojej alei, miał zapewne twarz jak z grubo ciosanego cedru i ani jednego nerwu w ciele – a teraz ci, co pochodzili od takich ludzi albo też mieli dosyć pieniędzy (zarobionych za rządów Granta czy Coollidge’a), ażeby utrzymywać, że od nich pochodzą, przywozili tu swoje drgawki, tiki, urojenia i ropiejące rany, odpoczywali w wysoko sklepionych pokojach, jedli zupę z raków i słuchali kojącego głosu psychiatry, w którego dużych, spokojnych, piwnych, wodnistych, niezgłębianych oczach człowiek się z wolna zatapiał.

Ja także omal się w nich nie zatopiłem podczas jednonominutowej rozmowy, jaką przeprowadziłem w celu otrzymania zgody na zobaczenie się z Sadie.

– Ona jest bardzo trudna – powiedział mi.

Sadie leżała na szezlongu pod oknem, które wychodziło na połac trawnika opadającego ku rozlewisku. Krótko ucięte czarne włosy miała zmierzwiowane, twarz kredowobiałą, a padające na nią popołudniowe światło upodabniało ją jeszcze bardziej niż zwykle do gipsowej maski Meduzy podziurawionej śrutem. Była to jednak maska rzucona na poduszki, a oczy, które z niej spoglądały, należały do tej maski. Nie były to oczy Sadie Burke. Nie miały w sobie ognia.

– Dzień dobry, Sadie – powiedziałem. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.

Przypatrywała mi się chwilę tymi niepalącymi oczami.

– Proszę bardzo – odrzekła.

Usiadłem więc, przysunąłem bliżej krzesło i zapaliłem papierosa.

– Jak się czujesz? – spytałem.

Obróciła głowę w moją stronę i znowu mi się długo przyglądała. Przez chwilę coś zamigotało w jej oczach, jak wówczas, gdy powiew powietrza dotknie żaru.

– Słuchaj no – powiedziała. – Czuję się dobrze. Dlaczego, u diabła, nie miałabym się dobrze czuć?

– To doskonale – rzekłem.

– Nie przyjechałam tu dlatego, żeby mi coś dolegało. Przyjechałam, bo byłam zmęczona. Chciałam sobie odpocząć. To właśnie powiedziałam temu cholernemu doktorowi. Powiedziałam mu: „Jestem tu, żeby odpocząć, bo czuję się zmęczona, i nie życzę sobie, żeby pan się przy mnie kręcił i próbował wymieniać ze mną sekrety, i dowiadywać się, czy miewałam kiedy sny o czerwonych wozach strażackich. Gdybym zaczęła dzielić się z panem sekretami, to panu by uszy zwiędły, ale jestem tu, żeby odpocząć, i nie chcę, żeby pan się do mnie wtrącał”. I powiedziałam: „Zmęczyło mnie wiele rzeczy, cholernie mnie zmęczyło wielu ludzi, i to

odnosi się także do pana, doktorze”.

Podniosła się na łokciu i spojrzała na mnie.

– I to odnosi się także do ciebie, Jack – dodała po chwili.

Nic nie odpowiedziałem i nie ruszyłem się. Opadła więc na szezlong i pogrążyła się w sobie.

Papieros dopalał mi się między palcami, więc zapaliłem nowego i powiedziałem:

– Sadie, myślę, że wiem, co czujesz, i nie chcę odgrzewać wszystkiego na nowo, ale...

– Nie masz zielonego pojęcia, co ja czuję – przerwała mi.

– Może i mam jakieś pojęcie – odparłem. – Ale przyszedłem zadać ci jedno pytanie.

– Myślałam, żeś przyszedł, bo mnie tak cholernie lubisz.

– Prawdę mówiąc, tak jest – odrzekłem. – Spędziliśmy z sobą dużo czasu i zawsze nam jakoś dobrze szło razem. Ale to nie...

– Aha – przerwała mi ponownie i znowu dźwignęła się na łokciu. – Wszystkim wszystko szło doskonale. O Jezuu, po prostu doskonale.

Zaczekałem, aż znowu opadła na poduszki i odwróciwszy ode mnie wzrok, spojrzała ponad trawnikiem ku rozlewisku. Za nim, w przezroczystym powietrzu, nad postrzępionymi wierzchołkami cyprysów, przelatowała wrona. Później zniknęła, ja zaś powiedziałem:

– Adam Stanton zabił Szefa, ale sam nie wpadł na ten pomysł. Ktoś go do tego popchnął. Ktoś, kto wiedział, jakim człowiekiem jest Adam, znał od podszewki okoliczności, w jakich przyjął tę posadę w ośrodku medycznym, i wiedział...

Zdawała się mnie nie słuchać. Wpatrywała się w przezroczyste powietrze nad postrzępionymi cyprysami, tam gdzie zniknęła wrona. Zawahałem się, a potem, obserwując twarz Sadie, dokończyłem:

– ...i wiedział o Szefie i Annie Stanton.

Odczekałem znowu chwilę, śledząc jej twarz po wymienieniu tych dwojga, ale nie zdradzała niczego. Wydawała się po prostu zmęczona, zmęczona i całkiem zobojętniała.

– Dowiedziałem się jednego – ciągnąłem. – Tamtego popołudnia zadzwonił do Adama jakiś mężczyzna i powiedział mu o jego siostrze i Sefie. I jeszcze różne inne rzeczy. Można się domyślić jakie. I Adam oszalał. Pobiegł do siostry, naskoczył na nią, a ona nie zaprzeczyła. Nie jest osobą, która mogłaby temu zaprzeczyć. Myślę, że miała już dość tej tajemnicy i prawie się ucieszyła, że już jej nie ma, i...

– Taaak – odezwała się Sadie, nie patrząc na mnie. – No, mów mi dalej, jaka to szlachetna i wzniosła jest Anna Stanton.

– Przepraszam – odrzekłem, czując, że krew oblewa mi twarz. – Zdaje się, że odbiegłem od tematu.

– Zdaje się, że tak, rzeczywiście. Zaczekałem. A potem zapytałem:

– Czy ty masz jakieś domysły, kim był ten człowiek, który zadzwonił do Adama?

Zdawała się obracać w myśli to pytanie. Jeśli je dosłyszała, czego nie byłem pewien.

– No, masz? – spytałem.

– Nie mam żadnych – odparła. – Nie?

– Nie – powtórzyła, nadal nie patrząc na mnie. – I nie muszę mieć. Bo widzisz, ja to wiem.

– Kto? – zapytałem. – Kto? – powtórzyłem i podniosłem się z krzesła.

– Duffy – odrzekła.

– Wiedziałem! – wykrzyknąłem. – Powinienem być się domyślić! Tak musiało być.

– Jeżeliś wiedział – odparła – to po kiego licha zawracasz mi głowę?

– Musiałem się upewnić. Musiałem wiedzieć. Wiedzieć naprawdę. Bo... – Przerwałem i stojąc w nogach szelongu, popatrzyłem na jej

odwróconą twarz, na którą padało słońce. – Mówisz, że wiesz, że to był Duffy. Ale skąd wiesz?

– Niechże cię diabli, Jack! Niech cię diabli – odparła znużonym głosem i odwróciła ku mnie twarz. A potem, patrząc na mnie, dźwignęła się gwałtownie do pozycji siedzącej i wybuchnęła głosem, który nagle nie był już znużony, lecz gniewny i gwałtowny: – Po coś tu przyszedł? Dlaczego stale się do wszystkiego wtrącasz? Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? No, dlaczego? Dlaczego?

Popatrzyłem jej w oczy, które teraz, w wykrzywionej bólem twarzy, były płonące i dzikie.

– Skąd to wiesz? – zapytałem cicho.

– Niechże cię diabli, Jack, niech cię diabli – powtórzyła jak litanię.

– Skąd wiesz? – spytałem jeszcze ciszej, nieomal szeptem, i pochyliłem się ku niej.

– Niech cię diabli, Jack – powtórzyła.

– Skąd wiesz?

– Skąd... – zaczęła, zawahała się i odrzuciła głowę na poduszkę z desperacją i umęczeniem, jak dziecko w gorączce.

– No? – pytałem.

– Stąd – powiedziała i opadła na poduszki szezlongu – że mu sama kazałam. Kazałam mu to zrobić.

Więc to było to. To było to, a ja się nie domyśliłem. Kolana z wolna ugięły się pode mną jak pneumatyczny lewar opuszczający na ziemię ciężar wozu i siadłem na krześle. Siedziałem tam, przed sobą miałem Sadie Burke, i patrzyłem na nią tak, jakbym jej nigdy dotąd nie widział. Po jakiejś minucie rzekła:

– Przestań mi się przyglądać. – Ale nie było złości w jej głosie. Musiałem dalej się w nią wpatrywać, bo powtórzyła:

– Przestań mi się przyglądać.

Wtedy usłyszałem własne wargi mówiące jakby do siebie:

– Zabiłaś go.

– Niech będzie – odparła. – Niech będzie, zabiłam go. Chciał mnie rzucić. Na dobre. Wiedziałam, że tym razem już na dobre. Dla tej Lucy. Po wszystkim, co zrobiłam. Po tym, jak go stworzyłam. Powiedziałam mu, że go wykończę, ale on tylko obrócił na mnie ten swój nowy, zbolaly uśmiezek, jakby się ćwiczył w odgrywaniu Pana Jezusa, wziął mnie za rękę i poprosił, żebym zrozumiała... Zrozumiała, Jezu! I w jednej chwili wiedziałam, że go zabiję.

– Zabiłaś Adama Stantona – rzekłem.

– O Boże – westchnęła. – O Boże!

– Zabiłaś Adama – powtórzyłem.

– Och! – westchnęła. – I zabiłam Williego. Zabiłam go.

– Tak – potwierdziłem i kiwnąłem głową.

– O Boże – powtórzyła i leżąc, wpatrzyła się w sufit.

Dowiedziałem się tego, po co przyszedłem. Ale siedziałem tam dalej. Nawet nie zapaliłem papierosa. Po chwili rzekła:

– Chodź tu bliżej. Przysuń się z krzesłem.

Przysunąłem krzesło do szelongu i czekałem. Nie spojrzała na mnie, tylko wyciągnęła niepewnie prawą rękę w moją stronę. Wziąłem ją i przytrzymałem, Sadie dalej wpatrywała się w sufit, a popołudniowe słońce padało okrutnie na jej twarz.

– Jack – odezwała się wreszcie, ciągle nie patrząc na mnie.

– Słucham.

– Cieszę się, że ci powiedziałam – rzekła. – Wiedziałam, że muszę komuś powiedzieć. Kiedyś. Wiedziałam, że to przyjdzie, ale nie miałam komu. Dopóki ty się nie zjawiłeś. Dlatego nie cierpiałam cię za to, żeś przyszedł. Jak tylko stanąłeś w drzwiach, wiedziałam, że będę musiała ci powiedzieć. Ale dobrze, że tak się stało. Teraz mi już obojętne, kto

się dowie. Może nie jestem taka szlachetna i rozumna jak ta Stanton, ale cieszę się, że ci powiedziałam.

Niewiele mogłem na to odrzec. Posiedziałem tam więc jeszcze dłuższą chwilę, trzymając Sadie za rękę w milczeniu, którego najwyraźniej pragnęła, i patrząc ponad nią ku rozlewisku, które wilo się pod mchami zwisającymi ze stojących szeregiem, postrzępionych cyprysów na drugim brzegu; nakrapiana glonami woda wzdłuż skraju przystrzyżonego trawnika zdawała się przesycona bliskością, zapachem bagien i gąszczów, i mrokiem.

Dowiedziałem się więc, że Tiny Duffy, który był teraz gubernatorem stanu, zabił Williego Starka równie pewnie, jak gdyby sam trzymał w ręku broń. Dowiedziałem się też, że Sadie Burke wcisnęła mu ją do ręki i wycelowała za niego – że ona także zabiła Williego Starka. I Adama Stantona. Ale to, co zrobiła, uczynione zostało na gorąco. To, co zrobił Duffy, uczynione zostało na zimno. I w ostatecznym rachunku czyn Sadie Burke został jakoś zmasany. Dla mnie już nie istniał.

Zostawał więc Duffy. Zrobił to Duffy. I, rzecz dziwna, była w tej świadomości jakaś wielka radość i ulga. Zrobił to Duffy, i wobec tego wszystko było przejrzyste i jasne jak słońce w mróz. Tam był Tiny Duffy ze swoim brylantowym pierścieniem, a tutaj był Jack Burden. Poczuję się swobodny i czysty jak wówczas, gdy człowiek, którego paraliżowała niewiedza czy niezdecydowanie, nagle widzi, że może działać. Znalazłem się na krawędzi działania.

Nie wiedziałem jednak, jakie będzie to działanie.

Kiedy ponownie przyjechałem odwiedzić Sadie – sama prosiła mnie o to – powiedziała mi, choć ani słowem nie poruszyłem tego tematu, że jeżeli zechcę, złoży oświadczenie. Odrzekłem, że to wspaniale, i istotnie

tak uważałem, bo ciągle czułem się swobodny, czysty, na krawędzi działania, a ona sama wpychała mi to w ręce. Podziękowałem jej.

– Nie dziękuj – odparła. – Wyświadczam łaskę samej sobie. Duffy... Duffy... – Podniosła się na szeszlengu, a w jej oczach pojawił się dawny błysk. – Wiesz, co on zrobił?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, pobrnęła dalej:

– Po tym... kiedy to się stało... nie czułem nic. Nic a nic. Wiedziałaś tego samego wieczora, co się stało, i nie czułem nic. A następnego dnia przyszedł do mnie Duffy... szczyrzył zęby i sapał... i powiedział: „Dziewczyńko, muszę ci przyznać, że jesteś fajna, bardzo fajna”. I wciąż nie czułem nic, nawet kiedy spojrzałam mu w twarz. Ale potem objął mnie ramieniem i zaczął jakoś tak klepać i gładzić po plecach między łopatkami, i powiedział: „Dziewczyńko, zatrzymałaś jego zegar i ja o tobie nie zapominam, i na pewno dojdziemy ze sobą do porozumienia”. I wtedy to się stało. Właśnie wtedy. Zupełnie jakby wszystko zdarzyło się w tej sekundzie, w moich oczach, a nie tam, na Kapitolu. Odepchnęłam go i odskoczyłam. Wybiegłam stamtąd. A w trzy dni później, kiedy Willie umarł, przyjechałam tutaj. To było jedyne miejsce, do którego mogłam przyjechać.

– No, dziękuję ci w każdym razie – odrzekłam. – Myślę, że uda nam się zatrzymać zegar Duffy’ego.

– To się nie ostoi w sądzie – powiedziała.

– Wcale na to nie liczę. To, co mu powiedziałaś, czy co on powiedział tobie, niczego nie dowodzi. Ale są inne sposoby.

Namyślała się chwilę. A potem:

– Chyba rozumiesz, że każdy inny sposób, prawny czy nie, wciąga tę... – zawahała się i nie powiedziała tego, co zamierzała, ale użyła innych słów: – wciąga w to Annę Stanton.

– Ona to zrobi – stwierdziłem. – Wiem, że zrobi. Sadie wzruszyła



ramionami.

– Wy wiecie, czego chcecie – odrzekła. – Wy wszyscy.

– Ja chcę się dostać do skóry Duffy’ego.

– To mi odpowiada – rzekła ponownie i wzruszyła ramionami. Nagle wydała się znowu zmęczona. – Proszę cię bardzo – powtórzyła. – Ale świat pełen jest Duffych. Zdaje się, że znałam ich przez całe życie.

– Ja mam na myśli tylko tego jednego – oświadczyłem.

W jakiś tydzień później rozmyślałem o tym jednym (wyglądało wówczas na to, że najlepszym sposobem byłoby ujawnienie sprawy w którejś opozycyjnej gazecie), gdy dostałem list od tego właśnie Duffy’ego. Zapytywał, czy mógłbym do niego zajść. Kiedy mi będzie dogadzało.

Dogadzało mi natychmiast i ujrzałem go, władczo i wieprzowato wypełniającego sobą ubranie, i tę dużą skórzaną kanapę w bibliotece pałacu, na której siadywał Szef. Kiedy podchodził, by mnie przywitać, buty mu skrzypiały, ale ciało poruszało się z rozdetą lekkością zwłok topielca nareszcie uwolnionych z mulistego dna rzeki i wznoszących się majestatycznie i chwiejnie ku powierzchni. Podaliśmy sobie ręce i Duffy się uśmiechnął. Wskazał mi fotel, a kanapa jęknęła pod nim.

Czarny boy w białej kurtce wniósł whisky. Wziąłem szklanke, ale odmówiłem cygara i czekałem.

Duffy powiedział, jak mu smutno z powodu Szefa. Kiwnąłem głową.

Powiedział, jak im wszystkim brak Szefa. Kiwnąłem głową i na to.

Powiedział, że mimo to załatwia się dalej sprawą. Tak, jak by chciał Szef. Kiwnąłem głową i na to.

Powiedział, że jednak naprawdę brak im Szefa. Kiwnąłem głową i na to.

Powiedział:

– Jack, wszystkim nam tutaj brak także ciebie. Kiwnąłem skromnie głową i odrzekłem, że mnie też brak ich wszystkich.

– No – ciągnął. – Właśnie mówiłem sobie niedawno, że niech tylko wejdę w kierat, to muszę złapać Jacka. Bo Jack jest takim facetem, jakiego lubię mieć przy sobie. Szef bezwzględnie go cenił wysoko, a co było dobre dla Szefa, jest dobre i dla starego Tiny’ego. Tak, mówiłem sobie, muszę ściągnąć starego Jacka. Bo to jest facet, jakiego mi trzeba. Równy chłop. Gość, któremu można zaufać. On będzie gadał prawdę, nie oglądając się na nic. Słowo jest dla niego święte.

– Masz na myśli mnie? – zapytałem.

– Jasne – odparł. – I robię ci propozycję. Nie wiem dokładnie, jaką mieliście umowę z Szefem, ale od razu mi powiedz, jaka była, to ci podwyższę o dziesięć procent.

– Nie miałem powodu narzekać na warunki.

– O, proszę, to znaczy mówić jak biały człowiek, Jack – powiedział i dodał poważnie: – I nie zrozum mnie źle. Wiem, żeś był z Szefem o tak. – Podniósł dwa grube, białe, lśniące, biskupie paluchy jakby w błogosławieństwie. – O tak – powtórzył. – Proszę, nie zrozum mnie źle. Ja Szefa nie krytykuję. Chcę tylko podkreślić, że cię doceniam.

– Dziękuję – powiedziałem z niejakim brakiem ciepła. Brak ciepła musiał być widocznie taki, że Duffy pochylił się lekko i rzekł:

– Jack, podwyższę ci o dwadzieścia procent.

– To nie wystarczy – odparłem.

– Jack – powiedział. – Racja. To nie wystarczy. Dwadzieścia pięć procent.

Potrząsnąłem głową.

Poruszył się trochę niespokojnie, aż zatrzeszczała kanapa, ale opanował się i uśmiechnął.

– Jack – rzekł pojednawczo. – Sam mi powiedz, ile by ci dogadzało, a ja zobaczę, co się da zrobić. Powiedz, ile wystarczy?

– Nic nie wystarczy – odparłem. – Hę?

– Posłuchaj – ciągnąłem. – Przed chwilą mówiłeś, że jestem gościem, dla którego słowo jest święte, prawda?

– Aha.

– Więc uwierzysz mi, jeżeli coś powiem?

– No pewnie, Jack.

– To powiem. Jesteś najparszywszą świnią, jaką Bóg stworzył. Przez chwilę rozkoszowałem się głęboką ciszą, jaka po tym zaległa, następnie zaś pobrałem dalej:

– I myślisz, że możesz mnie kupić. Cóż, ja wiem, dlaczego tego chcesz. Nie orientujesz się, ile ja wiem i co wiem. Byłem blisko z Szefem i wiem masę rzeczy. Jestem dzokerem w talii. Jestem kartą, która bije. Chcesz mnie sobie podebrać ze spodu talii. Ale nic z tego, Tiny, nic z tego. Wielka szkoda, Tiny. A wiesz czemu?

– Słuchaj no! – powiedział władcym tonem. – Słuchaj no, nie wolno ci...

– Wielka szkoda dlatego, że ja rzeczywiście coś wiem. Wiem sporo. Wiem, żeś to ty zabił Szefa.

– Kłamstwo! – wykrzyknął i dźwignął się na kanapie, aż zaskrzypiała.

– Nie kłamstwo. I nie żaden domysł. Chociaż powinienem był się domyślić. Powiedziała mi Sadie Burke. Ona...

– Ona jest w to wmieszana, ona też!

– Była wmieszana – poprawiłem. – Ale już nie jest. I powie wszystkim. Obojętne jej, kto się dowie. Sadie się nie boi.

– Lepiej niech się boi. Bo ja...

– Nie boi się, bo ma już dosyć. Ma już wszystkiego dosyć i ma dosyć ciebie.

– Zabiję ją – powiedział i pot wystąpił mu delikatnie na czoło.

– Nikogo nie zabijesz – odparłem – i tym razem nie ma nikogo, kto by to za ciebie zrobił. Bo sam się boisz. Bałeś się zabić Szefa i bałeś się go nie

zabić, ale szczęśliwy traf ci dopomógł. Tylko żeś z lekka popchnął ten traf i przysięgam, że cię za to podziwiam. To mi otworzyło oczy. Bo widzisz, Tiny, przez wszystkie te lata nie myślałem, że ty jesteś prawdziwy. Byłeś czymś wyjętym z komiksu. Razem z twoim brylantowym pierścieniem. Byłeś po prostu workiem do boksowania, którego używał Szefer, i tylko szczerzyłeś potulnie zęby i dawałeś się walić. Byłeś jak ten pudel, o którym mi opowiadano. Słyszałeś kiedy o tym pudlu?

Nie dałem mu czasu na odpowiedź. Zauważyłem, że porusza ustami, i zaraz podjąłem:

– Jeden pijak miał pudla, którego zawsze prowadził ze sobą od baru do baru. A wiesz dlaczego? Z przywiązania? Nie z przywiązania. Prowadził wszędzie tego pudla po to, żeby móc płuć, nie zanieczyszczając podłogi. No więc ty byłeś pudlem Szefa. I to ci się podobało. Podobało ci się, że na ciebie pluje. Nie byłeś człowiekiem. Nie byłeś prawdziwy. Tak dawniej myślałem. Ale myliłem się, Tiny. Gdzieś w głębi ciebie było coś ludzkiego. Miałeś za złe, że na ciebie plują. Nawet za pieniądze. – Wstałem, trzymając w ręce na wpół opróżnioną szklankę. – A teraz, Tiny – ciągnąłem – kiedy już wiem, że jesteś prawdziwy, prawie mi ciebie żal. Jesteś śmiesznym, starym grubasem, któremu serce nawala, wątroba już prawie wysiadła i pot ci cieknie po twarzy, w głowie masz podły niepokój, a w sobie wielką czarność podobną do wody, która podchodzi w piwnicy, i prawie mi ciebie żal, ale jeżeli powiesz choć słowo, może mi przestanie być ciebie żal. Więc teraz wypiję twoją whisky, napluję do szklanki i pójdę.

Dopiłem whisky, upuściłem szklankę na ziemię (nie stłukła się na grubym dywanie) i ruszyłem do drzwi. Już do nich dochodziłem, gdy usłyszałem chrypienie dobiegające od kanapy. Obejrzałem się.

– To... – wychrypiał – to się nie utrzyma w sądzie. Potrząsnąłem głową.

– Nie – odpowiedziałem. – Nie utrzyma się. Ale i tak masz się czym martwić.

Otworzyłem drzwi, wyszedłem i nie zamknąłem ich za sobą, potem minąłem długi hali pod wielkim, błyszczącym żyrandolem i wyszedłem w rzeźwą noc.

Zaczerpnąłem głęboko świeżego powietrza i popatrzyłem między drzewami na wyraźnie widoczne gwiazdy. Czułem się, jakby mnie kto na sto koni wsadził. Jak Boga kocham, dobrze rozegrałem tę scenę. Trafiłem go w bolesne miejsce. Byłem rozochocony. Czułem w sobie ikrę. Byłem bohaterem. Byłem świętym Jerzym i smokiem, Edwinem Boothem kłaniającym się zza gazowych świateł rampy<sup>[6]</sup>, Jezusem Chrystusem dzierżącym bicz w świątyni.

Byłem pierwszorzędnym.

Lecz nagle tam, pod gwiazdami, poczułem się jak człowiek, który dogadzał sobie od zakąski aż do deseru i cygara i czuje się prze wybornie, a oto nagle nie zostaje mu nic oprócz żółtej goryczy, co napłynęła do ust ze starego, steranego żołądka.

Trzy dni później otrzymałem list polecony od Sadie Burke. Napisała w nim:

*Kochany Jacku*

*Abyś nie pomyślał, że wymiguję się od tego, co zapowiedziałam, załączam ci obiecane oświadczenie. Sporządziłam je przy świadkach, potwierdziłam notarialnie, obstawiałam z każdej strony, jak tylko się dało, i możesz z tym zrobić, co chcesz, bo to jest twoje. Mówię serio. To jest twoje dziecko, jakem powiedziała.*

[6] Edwin Booth (1833-1893) – sławny amerykański aktor teatralny, wybitny odtwórca ról ze sztuk Szekspira.

Co do mnie, to wynoszę się stąd. To znaczy nie tylko z tego skrzyżowania domu starców ze szpitalem dla wariatów, ale z tego miasta i z tego stanu. Nie mogę tu wytrzymać i zabieram się stąd. Pojadę daleko i na długo, i może gdzieś klimat okaże się lepszy. Ale moja kuzynka (pani Sili Larkin, Rousseau Avenue 2331), która jest dla mnie czymś najbardziej zbliżonym do krewnej, będzie miała mój adres i jeżeli zechcesz kiedyś skontaktować się ze mną, napisz do mnie na jej ręce. Gdziekolwiek będę, zrobię to, co mi powiesz. Przyjadę, jeżeli mi każesz przyjechać. Nie chcę, abyś pomyślał, że się wymiguję. Obojętne mi, kto się czego dowie. Zrobię wszystko, co każesz w tej sprawie.

Ale jeżeli posłuchasz mojej rady, to dasz z tym spokój. Nie dlatego, żebym nosiła Duffy'ego w sercu. Mam nadzieję, że mu porządnie nagadasz, aż się posika ze strachu. Ale radzę ci dać z tym spokój. Po pierwsze, niczego nie zdziałasz w sądzie. Po drugie, jeżeli to wykorzystasz w polityce, osiągniesz najwyżej tyle, że Duffy nie będzie mógł przejść w wyborach, a przecież wiesz równie dobrze jak ja, że nawet nie dostanie nominacji na kandydata. Ci ludzie nigdy go nie wysuną, bo wiedzą, że jest figurantem nawet według ich własnych kryteriów. Był po prostu czymś, czym Szeff się posługiwał. Wyciąganie tego wcale nie zaszkodzi tej bandzie. Da jej najwyżej pretekst do pozbycia się Duffy'ego. Jeżeli chcesz tę bandę załatwić, musisz pozwolić, żeby sama wykopała sobie grób, co na pewno zrobi teraz, kiedy już nie ma Szeffa. A po trzecie, jeżeli wyciągniesz tę sprawę, będzie to z pewnością ciężkie dla tej Stanton. Może i jest, jak twierdziłeś, taka szlachetna i wzniosła, że zechce, abyś to zrobił, ale okażesz się frajerem, jeżeli jej posłuchasz. Pewnie i tak już miała sporo

*przejsć i byłbyś głupi, gdybyś ją teraz ukrzyżował tylko dlatego, żeś sobie nabił głowę jakimiś górnołotnymi pomysłami, że jesteś Wzorowym Skautem, a ona Joanną d'Arc. Byłbyś frajerem, gdybyś jej bodaj powiedział. Chyba że jesteś taka papla, żeś już to zdążył wygadać. Co może i zrobiłeś. Nie powiem, że ona jest moją najlepszą przyjaciółką, ale jak już wspomniałam, miała swoje przykrości i mógłbyś dać jej spokój.*

*Pamiętaj, że wcale się nie wymiguję. Daję ci tylko radę.*

*Trzymaj się wiatru.*

### *Twoja Sadie Burke*

Przeczytałem oświadczenie Sadie. Zawierało wszystko, co trzeba, każda stronica była podpisana i poświadczona. A potem je odłożyłem. Nie było mi na nic potrzebne. Nie ze względu na rady, których udzielała Sadie. Owszem, jej list był sensowny. To znaczy ta jego część o Duffym i całej bandzie. Ale coś się zdarzyło. Do diabła z nimi! – pomyślałem. Miałem dosyć tego wszystkiego.

Znowu rzuciłem okiem na list. Więc Sadie nazwała mnie Wzorowym Skautem. Ale to też nic nowego. Wymyślałem sobie gorzej tamtego wieczora, gdy byłem u Duffy'ego, a potem szedłem ulicą pod gwiazdami. To jednak dotykało bolesnego miejsca, które zaczynało pulsować. Pulsowało tym gorzej, iż wiedziałem, że to bolesne miejsce nie jest tajemnicą. Sadie je znała. Przejrzała mnie na wylot. Czytała we mnie jak w książce.

Była w tej myśli tylko jedna gorzka pociecha. Przynajmniej nie musiałem czekać, by Sadie mnie odczytała. Sam siebie odczytałem owego wieczora, kiedy szedłem rozochocony ulicą, będąc Wzorowym Skautem i nagle napłynęła mi do ust żółta gorycz.

Cóż więc odczytałem? Odczytałem to: kiedy dowiedziałem się, że Duffy zabił Szefa i Adama, poczułem się czysty i nieskalany, a kiedy zmieszałem Duffy'ego z błotem, czułem się, jakby mnie kto na sto koni wsadził, bo myślałem, że to mnie wyzwala. Duffy był to czarny charakter, ja zaś byłem niosącym pomstę bohaterem. Zmieszałem Duffy'ego z błotem i głowę miałem rozdętą od wzniosłości jak balon. A potem nagle coś się stało i poczułem ten żółty smak w ustach.

Stało się to: raptem zadałem sobie pytanie, dlaczego Duffy był taki pewny, że zechcę dla niego pracować? I wtedy ujrzałem patrzące na mnie oczy tamtego pętaka dziennikarzyny przy bramie cmentarza i wszystkie inne oczy, które tak na mnie patrzyły, i nagle pojąłem, że próbowałem uczynić Duffy'ego kozłem ofiarnym za siebie i odciąć się odeń – i wtedy moja przepyszna uczta heroizmu odbiła mi się tym żółtym smakiem w gardle i poczułem, że jestem spętany, uwikłany, że ugrzązłem i utknąłem niby wół w bagnie czy kot w lepku na muchy. I to nie tylko dlatego, że znowu ujrzałem siebie jako współnika owej zмовy z Anną Stanton, co pchnęła Williiego Staraka i Adama Stantona ku sobie i ku śmierci. To było coś więcej. Było to tak, jak gdybym uwikłał się w jakąś bardziej potworną zmovę, której znaczenia nie mogłem zgłębić. Jak gdyby scena, którą dopiero co przeżyłem, była potwornym i komicznym zgrywaniem się dla celów, których nie mogłem pojąć, i dla publiczności, której nie mogłem dojrzeć, chociaż wiedziałem, że łypie na mnie z mroku. Było to tak, jak gdyby w środku tej sceny Tiny Duffy mrugnął do mnie z wolna, po bratersku, swym okiem ostrygi, a ja zrozumiałem, iż zna tę koszmarną prawdę, że obaj jesteśmy bliźniakami związanymi bliżej i potworniej niż owe biedne wybryki natury z jarmarków, sprzęgnięte wspólnym ciałem, chrząstkami i obiegiem krwi. Byliśmy ze sobą związani na zawsze i nie mogłem go nienawidzić, nie nienawidząc siebie, ani też kochać siebie, nie kochając i jego. Byliśmy ze sobą związani pod niezmrużonym okiem



Wieczności i w imię świętej łaski Wielkiego Skurczu, który wszyscy winniśmy wielbić.

I miotalem się, i szarpałem jak ów wół czy kot, a gorycz paliła mi przełyk, i do tego się wszystko sprowadzało, i nienawidziłem wszystkiego i wszystkich, samego siebie, Tiny’ego Duffy’ego, Williego Starka i Adama Stantona. „Do diabła z nimi!” – powiedziałem bezstronnie pod gwiazdami. Wszyscy wydawali mi się wtedy podobni do siebie. I ja też byłem do nich podobny.

Tak to trwało przez dłuższy czas.

Nie wróciłem do Landing. Nie chciałem się widzieć z Anną Stanton. Nawet nie otworzyłem listu, który do mnie napisała. Leżał na moim biurku, gdzie go widziałem co rano. Nie chciałem zobaczyć się z nikim ze znajomych. Wałęsałem się po mieście, przesiadywałem u siebie w pokoju lub w barach, do których nigdy przedtem nie zachodziłem, albo też w kinach, w pierwszym rzędzie, skąd mogłem podziwiać olbrzymie zniekształcone cienie, które gestykulowały, biły się albo ścisnęły i przywierały do siebie, wypowiadając uroczyste zapewnienia przypominające wszystko, co się samemu pamiętało. I przesiadywałem też godzinami w czytelni gazet biblioteki publicznej, miejscu, gdzie tak jak na dworcach kolejowych i przytułkach misyjnych czy w publicznych ustępach, zbierają się zakatarzeni starcy i włóczędzy i gdzie przeglądają pisma opowiadające o świecie, w którym żyją przez pewną liczbę lat, albo siedzą, sapią i patrzą w przestrzeń, podczas gdy szary deszcz ocieka po wielkich szybach nad nimi.

I właśnie w czytelni gazet w bibliotece zobaczyłem Cukierka. Spotkanie go w tym miejscu było czymś tak nieprawdopodobnym, że z początku nie chciałem wierzyć własnym oczom. Ale naprawdę tam siedział. Sporawa głowa zwisała mu w przód, jak gdyby wąta łodyga szyi nie mogła udźwignąć jej ciężaru, i widziałem, jak cienka i po dziecinnemu

różowa jest skóra na czaszce, w miejscach, gdzie przedwcześnie wypadły włosy. Krótkie ręce w rękawach z wygniecionego granatowego sukna leżały przed nim symetrycznie na stole, niby para wiejskich kielbas na kontuarze rzeźnika. Blade, tłuste dłonie skulone były niewinnie na politurowanym, żółtym, dębowym blacie. Cukierek przeglądał tygodnik ilustrowany.

A potem jedna z tych rąk, prawa, opuściła się szybkim, nieznacznym, pamiętnym dla mnie ruchem pod stół – zapewne do bocznej kieszeni marynarki – i powróciła z kostką cukru, którą wsadził do ust. Ten szybki ruch ręki coś mi przypomniał i zastanowiłem się, czy Cukierek nadal nosi rewolwer. Spojrzałem na jego lewy bok pod ramieniem, ale nic nie mogłem wypatrzeć. Granatowa marynarka Cukierka była zawsze na niego za duża.

Był to istotnie Cukierek i nie miałem ochoty z nim rozmawiać. Gdyby podniósł głowę, spojrzyłby prosto na mnie. Toteż ruszyłem do drzwi, póki był zatopiony w tym tygodniku. Przesunąłem się bokiem i już nieomal znalazłem się poza jego naturalnym polem widzenia, gdy podniósł głowę i nasze oczy się spotkały. Wstał z krzesła i podszedł do mnie.

Uczyniłem głową nieokreślony ruch, który mógł oznaczać tylko, że go poznaję i witam chłodno i niezachęcająco, albo być znakiem, by wyszedł za mną do hallu, gdzie będziemy mogli porozmawiać. Cukierek przyjął tę drugą interpretację i podążył za mną. Nie zaczekałem tuż za drzwiami, ale odszedłem jeszcze kawałek przez hali ku schodom prowadzącym na górę, do hallu głównego (te czytelnie gazet w bibliotekach publicznych są zawsze w suterenie, obok ustępów dla mężczyzn). Spodziewałem się, że może to moje dodatkowe oddalenie się zostanie przezeń odpowiednio zrozumiane. Ale nie zostało. Przydreptał do mnie w obwisających workowato na siedzeniu granatowych spodniach o pomarszczonych mankietach nad czarnymi trzewikami z miękkiej skóry.

– C-c-c-co sł-sł-sł... – zaczął, twarz mu się wykrzywiła boleśnie i przepraszająco, a ślina prysnęła.

– Wszystko dobrze – odrzekłem. – A u ciebie?

– D-d-d-dobrze.

Staliśmy w brudnym, wąto oświetlonym hallu w suterenie biblioteki publicznej, wokoło nas wałały się na betonowej podłodze niedopałki papierosów, za sobą mieliśmy drzwi do ustępu dla mężczyzn, powietrze pachniało zeschniętym papierem, kurzem i środkami dezynfekcyjnymi. Było wpół do dwunastej w południe, a na dworze kapało ciurkiem z szarego nieba jak z nasiąkniętej starej markizy.

Popatrzyliśmy na siebie. Obaj wiedzieliśmy, że jeden i drugi schronił się tu przed deszczem, bo nie miał gdzie pójść.

Cukierek zaszurał nogami, spojrzał na podłogę, a potem na mnie.

– M-m-mogłem w-w-wziąć p-p-p-posadę – oświadczył z powagą. – Jasne – odrzekłem bez większego zainteresowania.

– A-a-a-ale n-n-nie chci-ci-ci-ciałem. J-j-j-jeszcze nie. N-n-n-nie miałem o-o-o-choty.

– Jasne – powtórzyłem.

– M-m-mam t-t-trochę osz-osz-osz-czędności – dodał tonem usprawiedliwienia.

– Jasne.

Popatrzył na mnie badawczo.

– A p-p-p-pan ma p-p-posadę? – zapytał.

Potrząsnąłem głową, ale już chciałem powiedzieć na swoją obronę to samo, co on przed chwilą, że mógłbym mieć posadę, gdybym chciał. Mogłem siedzieć w eleganckim gabinecie obok gabinetu Tiny’ego Duffy’ego i trzymać nogi na mahoniowym biurku. Gdybym był chciał. I kiedy ta myśl przemknęła mi przez głowę z przelotnym drgnieniem znużonej autoironii, nagle ujrzałem jakby w błysku i huku pioruna, co

Pan Bóg przede mną postawił. Duffy, pomyślałem, Duffy.

A stał przede mną Cukierek.

– Posłuchaj – rzekłem, pochylając się ku niemu w pustym hallu. – Posłuchaj. Wiesz, kto zabił Szefa?

Wielka głowa przechyliła się lekko w bok na cienkiej łodydze szyi i Cukierek spojrział na mnie, a twarz zaczęła mu drgać boleśnie.

– Tak – odparł. – Tak, ten s-s-s-sukinsyn, i j-j-ja go zas-zas-trz-trz-trzeliłem.

– Aha – powiedziałem. – Zastrzeleś Stantona... – i z nagłym ukłuciem bólu przypomniałem sobie Adama Stantona niegdyś żywego, a teraz martwego, i poczułem nienawiść do tej pokracznej, smutnej istoty stojącej przede mną. – Tak, jego zastrzeleś.

Głowa przekręciła się lekko ze znużeniem na szyi i Cukierek powtórzył:

– Z-z-z-zastrzelełem go.

– Ale przypuśćmy, że nie wiesz – mówiłem, pochylając się ku niemu – przypuśćmy, że za Stantonem był ktoś, kto go do tego namówił.

Czekałem, by to do niego dotarło, i obserwowałem jego twarz, z której nie dobywał się żaden głos.

– Przypuśćmy – ciągnąłem – że mógłbym ci powiedzieć, kto to taki... że mógłbym ci tego dowieść... Co byś wtedy zrobił?

Nagle twarz Cukierka przestała się kurczyć. Stała się gładka jak twarz dziecka i spokojna, ale spokojna tak, jak czasem twarz może na moment wydać się spokojna i czysta wskutek napięcia.

– Co byś wtedy zrobił? – zapytałem.

– Zabiłbym sukinsyna – odpowiedział i nie zająknął się wcale.

– Powiesiliby cię – rzekłem.

– Z-z-z-zabiłbym go. N-n-n-nie mogliby mnie p-p-p-powiesić, zanim bym z-z-z-zabił.

– Pamiętaj – szepnąłem, pochylając się bardziej. – Powiesiliby cię.  
Podniósł na mnie oczy i utkwiał wzrok w mojej twarzy.

– K-k-k-kto to?

– Powiesiliby cię. Jesteś pewny, że byś go zabił?

– K-k-kto... – zaczął. Potem chwycił mnie za marynarkę. – P-p-p-pan wie... P-p-pan wie coś i n-n-nie mówi.

Mogłem mu powiedzieć. Mogłem mu powiedzieć: „Spotkaj się tu ze mną o trzeciej, chcę ci coś pokazać”. Mogłem mu przynieść oświadczenie Sadie, które leżało w biurku, w moim pokoju, a on by tylko raz rzucił na nie okiem. Tylko raz. Byłoby to jak pociągnięcie za spust.

Jego dłonie ścisnęły i tarosiły moją marynarkę.

– P-p-p-powiedz pan – mówił.

Jeden rzut oka. To było niezawodne. Mogłem spotkać się z nim tu po południu. Moglibyśmy wejść do ustępu, on rzuciłby na to okiem, a ja później poszedłbym do domu i spalił ten papier. Zresztą dlaczego miałbym go palić, do diabła? Cóż ja takiego zrobiłem? Nawet przestrzegłem tego biednego durnia, że go powieszą. Nie można by mi było nic zarzucić.

Szarpał mnie natrętnie i bezsilnie, powtarzając:

– P-p-p-powiedz pan. Ale z-z-zaraz.

To byłoby zbyt łatwe. Niezawodne. I uderzyła mnie doskonała, matematyczna ironia tej sytuacji – doskonałe powtórzenie tego, co zrobił Duffy – i przyszła mi ochota roześmiać się głośno.

– Posłuchaj – rzekłem do Cukierka. – Przestań mnie szarpać i słuchaj, to ci...

Przestał mnie szarpać i stał potulnie przede mną.

Zrobiliby to. Wiedziałem, że by zrobił. I byłby to taki kawał spleatany Duffy’emu, że omal nie roześmiałem się głośno. Lecz kiedy imię Duffy’ego przeleciało mi przez myśl, ujrzałem jego twarz: szeroką, księżycową, nalaną, kiwającą do mnie jakby z utajoną braterską pochwałą

jakiegoś kawału, i gdy już otwierałem usta, żeby wymówić sylaby jego imienia, Duffy do mnie mrugnął. Mrugnął do mnie jak brat.

Znieruchomiałem cały.

Twarz Cukierka zaczęła się znowu kurczyć. Chciał zapytać raz jeszcze. Popatrzyłem na niego.

– Ja tylko żartowałem – rzekłem.

Jego twarz przybrała wyraz absolutnego ośpienia, a potem absolutnej morderczości. Nie zapłonęła furią. Była w niej zimna, niewinna, mordercza pewność. Tak jakby ta twarz zamroziła się na ułamek sekundy w owej pewności, przypominając twarz człowieka, który, uwięziony w śniegach, skonał dawno temu, przed wiekami, może jeszcze w epoce lodowej – i lodowiec znosił go cał po calu przez te wszystkie stulecia, aż oto wreszcie ta twarz, pierwotna, czysta i śmiertelnie niewinna, spogląda na ciebie poprzez ostatnią, zabezpieczającą powłokę lodu.

Stałem tam, rzekłbyś, bez końca. Nie mogłem się poruszyć. Zdawało mi się, że jestem trupem.

A potem tamta lodowa twarz znikła. Miałem przed sobą po prostu twarz Cukierka, za dużą w stosunku do szyi, i ta twarz mówiła:

– O m-m-m-małym tego n-n-nie zrobił. Przesunąłem językiem po zaschłych wargach.

– Wiem – powiedziałem.

– N-n-nie p-p-powinien pan być tak m-m-m-mówić – rzekł tonem pokornej skargi.

– Przepraszam.

– P-p-pan wie, c-c-co ja czuję, i n-n-nie p-p-powinien pan być t-t-tego robić.

– Tak, wiem – odparłem. – I bardzo mi przykro. Naprawdę.

– M-m-mniejsza z tym – powiedział. Stał przede mną, jakby niższy niż przedtem, skulony i oklapły niby lalka, z której wysypało się trochę

trocin.

Przypatrzyłem mu się. Potem powiedziałem, chyba w równej mierze do siebie jak do niego:

– Ty byś naprawdę to zrobił.

– Bo idzie o Sz-sz-szefa.

– Nawet gdyby cię mieli powiesić?

– Nie b-b-b-było d-d-d drugiego takiego jak Sz-sz-szef. I z-z-z-za-bili go. M-m-musieli g-g-go z-z-z-zabić. – Zaszurał nogami po betonowej podłodze i spojrzał na mnie. – T-t-tak pięknie u-u-u-umiał mówić – wymamrotał, jękając się. – N-n-nasz Szef. N-n-n-nikt t-t-tak nie po-po-potrafił. Jak p-p-powiedział m-m-mowę i w-w-wszyscy r-r-ryczeli, to człowiek m-m-myślał, że c-c-coś w nim p-p-pęknie.

Dotknął ręką piersi, żeby pokazać, gdzie coś w nim chciało pęknąć. Potem spojrzał na mnie pytająco.

– Jasne – potwierdziłem. – Był wielkim mówcą.

Staliśmy tak jeszcze z pół minuty, nie mając sobie nic więcej do powiedzenia. Spojrzał na mnie, a potem na swoje stopy. Później znowu popatrzył na mnie i rzekł:

– N-n-no, chyba już p-p-p-pójdę.

Wyciągnął rękę, ja zaś ująłem ją i uściśnąłem.

– No, to wszystkiego dobrego – powiedziałem.

Wszedł na schody, zginając nadmiernie kolana na stopniach, bo nogi miał krótkie. Kiedy dawniej prowadził wielkiego, czarnego cadillaca, zawsze wkładał sobie za plecy kilka płaskich poduszek – takich, jakie bierze się na pikniki lub do kajaka – ażeby móc należycie operować pedałami sprzęgła i hamulców.

Tak widziałem Cukierka po raz ostatni. Przyszedł na świat w dzielnicy irlandzkiej. Najpierw był smarkaczem, popychadłem dla starszych chłopców na boisku. Grali w baseball, ale on nie nadawał

się do gry. „Ty, Ogryzek! – wołali. – Leć po ten kij”. Albo: „Ogryzek, przynieś mi colę!” A on szedł po kij lub po coca-colę. Albo mówili: „E, zamknij się, Jąkało, napisz do mnie list”. I Cukierek się zamykał. Ale jakoś z czasem zorientował się, co potrafi. Te krótkie ręce umiały kręcić kierownicą samochodu tak zgrabnie jak jaskółka skręcająca za róg stodoły. Te bladoniebieskie, pozbawione głębi oczy potrafiły spojrzeć po lufie rewolweru i zobaczyć, zobaczyć naprawdę na jedno zamrożone, apokaliptyczne mgnienie, co jest przed nią. Toteż pewnego dnia znalazł się w wielkim czarnym cadillacu, mając pod palcami kilka ton pulsującej, kosztownej maszynerii oraz oksydowany błękitnie rewolwer kalibru .38, tkwiący w ciemnościach pod lewą pachą jak wrzód. A obok niego siedział Szef, który umiał mówić tak pięknie.

„No, to wszystkiego dobrego” – powiedziałem Cukierkowi, ale domyślałem się, co dobrego go spotka. Któregoś dnia wezmę gazetę i przeczytam, że niejaki Robert (czy może Roger?) O’Sheean zginął w katastrofie samochodowej. Albo że został zastrzelony przez nieznaną sprawców, kiedy siedział po ciemku w aucie przed pokątną knajpą i spelunką hazardu prowadzoną przez jego pracodawcę. Albo że tego właśnie rana wszedł samodzielnie na szafot, w wyniku tego, że dobył broni szybciej od policjanta, który zapewne nosił nazwisko Murphy. Możliwe też, że to było zbyt romantyczne. Może miał żyć bez końca i przeżyć wszystko, może miała go opuścić cała tężyzna (alkohol, narkotyki albo zwyczajnie czas) i wtedy przesiadywały co rana w czytelnicy gazet biblioteki publicznej, gdy szary, zimowy deszcz ocieka po wysokich oknach – wynędzniały, łysy, stary człowieczek w zatłuszczonym, wystrzępionym ubraniu, pochylony nad tygodnikiem ilustrowanym.

Tak więc możliwe, że jednak wcale nie wyświadczyłem Cukierkowi przysługi, nie mówiąc mu o Duffym i Szeffie i pozwalając, aby szedł prosto do celu i skończył się jak pocisk, kiedy uderzy. Możliwe, że



pozbawiłem Cukierka tego jednego, co zyskał po wszystkich przeżytych latach i co było prawdziwie nim samym, cokolwiek zaś miało przyjść później, musiało być niepotrzebne i przypadkowe, musiało być kwaśnym, cuchnącym twarogiem prawdy, podobnym do tego, co znajdujecie w na wół opróżnionej butelce mleka, którą zostawiliście w lodówce, wyjeżdżając na sześciotygodniowe wakacje.

Albo może Cukierek miał coś, czego nigdy nie można go było pozbawić.

Stałem w hallu po jego odejściu, wdychając zapach starego papieru i środków dezynfekcyjnych i obracając w głowie te myśli. A potem zawróciłem do czytelnicy, usiadłem i pochyliłem się nad tygodnikiem ilustrowanym.

Kiedy spotkałem Cukierka w czytelnicy, był luty. Później nadal żyłem tym życiem, jakie sobie obrałem, otulając się bezcelowością i anonimowością jak kocem. Jednakże po tym coś się zmieniło, jeżeli nie w warunkach mojego życia, to przynajmniej w moim umyśle. I na koniec, po paru miesiącach, ściśle mówiąc w maju, ta zmiana, którą wywołało spotkanie z Cukierkiem, popchnęła mnie do odwiedzenia Lucy Stark. Przynajmniej teraz wiem, że tak do tego doszło.

Zatelefonowałem do Lucy na farmę, gdzie nadal przebywała. Jej głos w aparacie brzmiał zupełnie dobrze. I poprosiła mnie, żebym przyjechał.

Więc znowu znalazłem się w bawialni małego, białego domu, wśród czarnych, orzechowych mebli wyściełanych czerwonym pluszem, i przypatrywałem się kwiatom na dywanie. W tym pokoju od dawna nie się nie zmieniało i nie miało się zmienić jeszcze długo. Natomiast Lucy zmieniła się trochę. Zrobiła się tęższa, we włosach miała więcej wyraźnej siwizny. Bardziej przypominała typ kobiety, jaki skojarzył mi się z tym

domem, kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem – szacowną niewiastę w średnim wieku, w schludnej, szarej sukni z bawełny, w białych pończochach i czarnych bucikach z kozłej skóry, siedzącą na werandzie w bujanym fotelu, z rękami splecionymi na brzuchu, ażeby trochę wytchnąć, gdy całodzienna robota jest zakończona, mężczyźni są wciąż na polu, a jeszcze nie pora myśleć o kolacji czy cedić mleko na wieczór. Lucy nie była jeszcze tą kobietą, ale za jakieś sześć-siedem lat miała nią zostać.

Siedziałem z oczyma utkwionymi w kwiat na dywanie bądź spoglądałem na nią i znowu na ten kwiat, a jej wzrok błędził po pokoju z tym roztargnieniem, jakie ma w spojrzeniu dobra gospodyni rozglądająca się dokoła, aby sprawdzić, czy nie ma gdzie śladu kurzu. Przez cały czas mówiliśmy sobie różne rzeczy, ale były to rzeczy wymuszone, niełatwe i całkiem puste.

Spotykasz kogoś nad morzem podczas wakacji i świetnie się razem bawicie. Albo gdzieś w kącie, na przyjęciu, gdy brzęczą szklanki i ktoś wygrywa na fortepianie, gadasz z nieznajomym, którego umysł niejako wyostreza i pobudza twój własny i z którym znajdujesz wspaniałe, nowe perspektywy myśli. Bądź dzielisz z kimś jakieś intensywne lub bolesne przeżycie i odkrywasz istnienie głębokiej wspólnoty. I potem jesteś pewny, że gdy spotkacie się znowu, wesoły kompan przyniesie ci dawną wesołość, błyskotliwy nieznajomy wyrwie twój umysł z odrętwienia, współczujący przyjaciel pokrzepi cię dawną wspólnotą duchową. Jednakże coś się staje lub prawie zawsze się staje z tą wesołością, błyskotliwością, wspólnotą. Pamiętasz poszczególne słowa dawnego języka, którym ze sobą rozmawialiście, lecz zapomniałeś już gramatyki. Pamiętasz kroki tańca, ale muzyka już nie gra. I nie masz na to rady.

Siedzieliśmy więc razem przez pewien czas, a minuty przesiewały się i przemykały obok nas jedna po drugiej jak liście opadające w spokojnym, jesiennym powietrzu. Potem, po dłuższym milczeniu, Lucy przeprosiła

mnie i zostałem sam, obserwując to opadanie liści.

Wróciła jednak, niosąc tacę, na której stał dzban mrożonej herbaty, dwie szklanki z wetkniętymi w nie gałązkami mięty i duży tort czekoladowy. To właśnie podają ci na wsi w takim małym, białym domu, kiedy przyjeżdżasz z wizytą: mrożoną herbatę i tort czekoladowy. Bez wątpienia upiekła ów tort tego rana, przygotowując się na moją wizytę.

Cóż, jedzenie tortu mogło być jakimś zajęciem. Nikt nie wymaga, żeby rozmawiać, kiedy ma się usta pełne tortu.

W końcu jednak coś powiedziała. Może umożliwił jej powiedzenie tego fakt, iż miała obok siebie tort na stole, patrzyła, jak ktoś je ten jej tort, o którym wiedziała, że jest dobry – tak jak od lat ludzie siadywali w tym pokoju w niedzielne popołudnia i jedli tort. Powiedziała:

– Wiedziałaś, że Tom nie żyje?

Zapytała tonem zupełnie rzeczowym i to było pocieszające.

– Tak – odparłem. – Wiedziałem.

Przeczytałem o tym w gazecie, jeszcze w lutym. Nie poszedłem na pogrzeb. Uznałem, że byłem już na dość wielu pogrzebach. I nie napisałem do Lucy. Nie mogłem jakoś napisać listu, w którym bym mówił, że mi przykro, a nie mogłem też napisać do niej listu z gratulacjami.

– To było zapalenie płuc – powiedziała. Przypomniałem sobie, jak Adam mówił, że właśnie ono często dobija takich pacjentów.

– Umarł bardzo prędko – ciągnęła. – Wszystkiego trzy dni.

– Tak – powiedziałem.

Milczała przez chwilę, po czym rzekła:

– Teraz już pogodziłam się z losem. Pogodziłam się zupełnie, Jack. Przychodzi taki moment, kiedy myślisz, że już więcej nie potrafisz wytrzymać, ale to cię spotyka i jakoś wytrzymujesz. Teraz, z bożą pomocą, już się z tym pogodziłam.

Nie odpowiedziałem nic.

– A kiedy się już pogodziłam z losem, Bóg dał mi coś, abym mogła żyć.

Mruknąłem coś niewyraźnie.

Wstała raptownie z fotela, ja zaś myśląc, że mnie odprawia, też wstałem nieporadnie i już chciałem się pożegnać. Byłem gotów i pragnąłem odejść. Głupstwo zrobiłem, że tu przyjechałem. Ale Lucy wyciągnęła rękę, dotknęła mojego rękawa i rzekła:

– Chcę ci coś pokazać. – Odeszła ku drzwiom. – Chodź ze mną – dodała.

Poszedłem za nią przez korytarzyk i dalej do jakiegoś pokoju na tyłach domu. Żwawym krokiem zbliżyła się do okna. W pierwszej chwili tego nie zauważyłem, ale pod oknem stało dziecinne łóżeczko, a w nim leżało niemowlę.

Lucy stanęła za łóżeczkiem, przypatrując mi się w chwili, gdy zobaczyłem, co w nim leży. Myślę, że warto było widzieć moją minę. Tak czy owak powiedziała:

– To jest dziecko Toma. Mój wnuczek. Dziecko Toma.

Pochyliła się nad łóżeczkiem, dotykając tu i ówdzie niemowlęcia, tak jak to robią kobiety. Potem podniosła je, podtrzymując dłonią główkę od tyłu. Zakołysała je lekko i zajrzała mu prosto w twarz. Usta dziecka otworzyły się w ziewnięciu, oczki zmrużyły się i rozwarły, a potem, wskutek owego kołysania i cmokania, na twarzyczce pojawił się wilgotny, bezzębny uśmiech zupełnie jak z reklamy. Twarz Lucy Stark miała dokładnie taki wyraz, jakiego się można było spodziewać, i ów wyraz mówił wszystko, co było do powiedzenia na ten temat.

Obeszła łóżeczko, niosąc dziecko, aby mi je pokazać.

– Ładniutkie maleństwo – powiedziałem i jak należy w takich razach, wyciągnąłem wskazujący palec, żeby go mogło pochwycić.

– Podobne do Toma – rzekła. – Nie uważasz? – A potem, zanim

zdołałem wymyślić jakąś odpowiedź, która nie byłaby zbyt horrendalnym kłamstwem, stwierdziła: – Ale właściwie głupio jest pytać cię o to. Ty przecież nie możesz wiedzieć. Mam na myśli, że jest podobne do Toma, kiedy był niemowlęciem. – Przerwała, by znowu przyjrzeć się dziecku. – Podobne – powtórzyła bardziej do siebie niż do mnie. A potem spojrzała mi w oczy. – Ja wiem, że to jest dziecko Toma – oświadczyła z zawziętością. – Musi być Toma, bo jest do niego podobne.

Spojrzałem krytycznie na dziecko i kiwnąłem głową.

– Rzeczywiście go przypomina – przyznałem.

– I pomyśleć – rzekła – że był czas, kiedy modliłam się do Boga, żeby to nie było dziecko Toma. Żeby na Toma nie spadła jakaś krzywda. – Dziecko podskoczyło lekko w jej objęciach. Było rzeczywiście krzepkie i ładne. Lucy pochuściła je zachęcająco, po czym spojrzała na mnie. – A teraz – ciągnęła – modliłam się do Boga, żeby było Toma. I wiem, że jest.

Kiwnąłem głową.

– Wiedziałam w głębi serca – mówiła. – A poza tym, czy myślisz, że ta biedna dziewczyna... matka... oddałaby je mnie, gdyby nie wiedziała, że jest Toma? Obojętne, co ta dziewczyna zrobiła... czy co o niej mówili... nie uważasz, że matka musi wiedzieć? Przecież musiała wiedzieć.

– Tak – odrzekłem.

– Ale ja też wiedziałam. W głębi serca. Więc napisałam do niej list. Pojechałam do niej i zobaczyłam tego chłopczyka. Wtedy nabrałam jeszcze większej pewności. Jak tylko go zobaczyłam i wzięłam na ręce. Przekonałam ją, żeby mi pozwoliła go zaadoptować.

– Przeprowadzasz prawną adopcję? – spytałem. – Tak, żeby ona nie mogła... – zawahałem się, nim zdołałem powiedzieć: – naciągać cię przez całe lata?

– O tak – odrzekła, najwyraźniej nie rozumiejąc, co mam na myśli.

– Wzięłam adwokata, który się do niej wybierze i wszystko załatwi.

Dałam jej też trochę pieniędzy. Biedaczka chciała pojechać do Kalifornii i wyrwać się stąd. Willie niewiele zostawił – wydawał prawie wszystko, co zarobił – ale dałam jej, ile mogłam. Dałam jej sześć tysięcy dolarów.

Pomyślałam, że Sibyl jednak nieźle na tym wyszła.

– Chcesz go potrzymać? – spytała Lucy w przystępie wspaniałomyślności, wyciągając ku mnie kosztowne niemowlę.

– Owszem – odrzekłam i wzięłam chłopczyka. Podrzuciłem go lekko, uważając, żeby się aby nie rozleciał. – Ile on waży? – spytałem i nagle uświadomiłem sobie, że mówię tonem człowieka, który zamierza coś kupić.

– Piętnaście funtów i trzy uncje – odpowiedziała natychmiast i dodała: – To bardzo dobrze jak na trzy miesiące.

– Ma się rozumieć – odrzekłam. – Bardzo dużo.

Uwolniła mnie od dziecka, przytuliła je szybko do piersi, schylając głowę tak, że twarzą dotknęła jego główki, i ułożyła je na powrót w łóżeczku.

– Jak ma na imię? – spytałem.

Wyprostowała się i przeszła na moją stronę łóżeczka.

– Z początku – powiedziała – myślałam, żeby mu dać na imię Tom. Tak myślałam przez dłuższy czas. A potem przyszło mi do głowy, że go ochrzczę po Williem. Na imię ma Willie – Willie Stark.

Wprowadziła mnie do małego hallu. Podeszliśmy do stołu, na którym leżał mój kapelusz. Wtedy obróciła się do mnie i przypatrzyła badawczo mej twarzy, jak gdyby w hallu nie było dość widno.

– Wiesz – powiedziała. – Nazwałam go tak po Williem, bo... Wciąż przyglądała mi się badawczo.

– ...bo Willie – ciągnęła – był wielkim człowiekiem. Bodajże kiwnąłem na to głową.

– O, wiem, że popełniał błędy – rzekła i podniosła głowę, jak gdyby

wpatrując się w coś. – Ciężkie błędy. Może też robił rzeczy złe, tak jak powiadają. Ale w głębi serca... tu, głęboko – położyła rękę na piersi – był wielkim człowiekiem.

Nie pamiętała już o mej twarzy, o tym, aby odczytać jej wyraz. Przez chwilę w ogóle nie pamiętała o mnie. Równie dobrze mogło mnie tam nie być.

– Był wielkim człowiekiem – powtórzyła nieomal szeptem. A potem znowu spojrzała na mnie spokojnie. – Widzisz, Jack – powiedziała – ja muszę w to wierzyć.

Tak, Lucy, musisz w to wierzyć. Musisz w to wierzyć, aby żyć. Wiem, że musisz w to wierzyć. I nie chciałbym, żebyś myślała inaczej. Tak musi być i ja to rozumiem. Bo widzisz, Lucy, ja także muszę w to wierzyć. Muszę wierzyć, że Willie Stark był wielkim człowiekiem. To nieważne, co stało się z jego wielkością. Może ją rozlał na ziemię, tak jak rozlewa się płyn, gdy pęknie butelka. Może ułożył z niej stos i spalił wielkim ogniem w ciemnościach, i wtedy nie zostało już nic oprócz mroku i migocącego żaru. Może nie umiał odróżniać swojej wielkości od małości i tak je razem zmieszał, że zagubiła się w tym roztworze. Ale miał w sobie wielkość. Muszę w to wierzyć.

Dlatego właśnie, że do tej wiary doszedłem, wróciłem do Burden's Landing. Nie osiągnąłem jej w chwili, kiedy patrzyłem na Cukierka wchodzącego na schody w podziemnym hallu biblioteki publicznej ani wówczas, gdy Lucy Stark stała przede mną w sieni małego, obłażącego z farby, białego domu na wsi. Ale te rzeczy – i wszystkie inne, które się stały – sprawiły, że osiągnąłem w końcu tę wiarę. I wierząc, że Willie Stark był wielkim człowiekiem, mogłem myśleć lepiej o innych ludziach i o sobie samym. A jednocześnie mogłem siebie potępiać bardziej stanowczo.

Wróciłem do Burden's Landing z początkiem lata na prośbę mojej matki. Zatelefonowała do mnie któregoś wieczora i powiedziała:

– Synku, chcę, żebyś tu przyjechał. Jak tylko możesz najprędzej. Mógłbyś przyjechać jutro?

Kiedy ją zapytałem, czego sobie życzy, bo jeszcze wtedy nie miałem ochoty tam jechać, odmówiła na razie odpowiedzi. Oświadczyła, że powie mi, jak przyjadę.

Więc pojechałem.

Czekała na werandzie, gdy zajechałem następnego dnia pod wieczór. Przeszliśmy na oszkloną boczną werandę, żeby się czegoś napić. Nie mówiła wiele, a ja jej nie przynaglałem.

Kiedy koło siódmej Młody Dyrektor jeszcze się nie zjawił, zapytałem, czy będzie na kolacji. Potrząsnęła głową.

– A gdzie on jest? – spytałem.

Okręciła w dłoni pustą szklankę, pobrząkując z lekka pozostałymi w niej kawałkami lodu. W końcu odpowiedziała:

– Nie wiem.

– Podróżuje? – zapytałem.

– Tak – odrzekła, pobrząkując lodem. Potem obróciła się do mnie. – Nie ma go już od pięciu dni. Nie wróci, dopóki ja stąd nie wyjadę. Bo widzisz – postawiła szklankę obok siebie na stoliku jakimś ostatecznym gestem – rozstają się z nim.

– A niech mnie licho! – szepnąłem.

Patrzyła na mnie, jakby czegoś oczekując. Czego – nie wiedziałem.

– A niech mnie licho! – powtórzyłem, oswajając się z tym, co mi powiedziała.

– Jesteś zaskoczony? – spytała, pochylając się lekko ku mnie w fotelu.

– Jasne, że jestem.

Przypatrzyła mi się uważnie i dostrzegłem w jej twarzy jakąś dziwną,



zmienną grę uczuć, zbyt nieuchwytną i niezrozumiałą, aby ją można było określić.

– Jasne, że jestem – powtórzyłem.

– Och – powiedziała i opadła na fotel, osuwając się nań jak ktoś, kto spadłszy w głęboką wodę, sięga po linę, chwytają, uwieszają się na chwilę, a potem traci chwyt, próbuje raz jeszcze, ale widzi, że nie podoła i że już nie ma co próbować. Teraz w jej twarzy nie było nic niezrozumiałego. Jej wyraz był taki, jak tu powiedziałem. Straciła chwyt.

Odrzuciła się ode mnie w stronę zatoki, jak gdyby nie chciała, żebym dojrzał jej wyraz. Po chwili rzekła:

– Myślałam... myślałam, że może nie będziesz zaskoczony. Nie mogłem jej powiedzieć, dlaczego zarówno ja, jak każdy inny musiał być tym zaskoczony. Nie mogłem jej powiedzieć, że kiedy kobieta starzejąca się tak jak ona złowi mężczyznę mającego niewiele ponad czterdzieści lat i jeszcze nie steranego, jest zaskakujące, że się go nie trzyma. Nawet jeżeli ta kobieta ma pieniądze, a mężczyzna jest takim bałwanem jak Młody Dyrektor. Nie mogłem jej tego powiedzieć, więc nie powiedziałem nic. Nadal spoglądała ku zatoce.

– Myślałam – rzekła, zawahała się i dokończyła: – Myślałam, że może zrozumiesz powody, Jack.

– Cóż, kiedy nie rozumiem – odparłem. Milczała przez chwilę, potem zaczęła znowu:

– To się zdarzyło w zeszłym roku. Wiedziałam, kiedy się stało... Och, wiedziałam, że tak będzie.

– Co się kiedy zdarzyło?

– A, wtedy, jak ty... jak ty... – Przerwała i poprawiła to, co miała powiedzieć: – Jak Monty... umarł.

Obróciła się szybko do mnie, z jakimś dzikim błaganiem w twarzy. Znowu sięgała po tę linę.

– Och, Jack – powiedziała. – Bo był Monty... nie rozumiesz?...  
Monty.

Wydawało mi się, że rozumiem, i tak też powiedziałem. Pamiętałem tamten srebrzysty, czysty krzyk, który pchnął mnie do korytarza w dzień śmierci sędziego Irwina, a później twarz matki leżącej na łóżku, gdy przenikała do niej świadomość tego, co się stało.

– To Monty – mówiła. – Zawsze był Monty. Właściwie tego nie wiedziałam. Od dawna nie było... nie było nic między nami. Ale Monty był zawsze. Zrozumiałam to, kiedy umarł. Nie chciałam zrozumieć, ale zrozumiałam. I już nie mogłam tak dalej. Przyszła taka chwila, że nie mogłam już dalej. Nie mogłam.

Wstała raptownie z fotela, jakby poderwana do góry na sznurku.

– Nie mogłam – powtórzyła. – Bo wszystko stało się obrzydliwe. Wszystko zawsze było obrzydliwe. – Dłonie jej szarpały i darły chusteczkę, którą trzymała przed sobą na wysokości pasa. – Och, Jack! – krzyknęła – Zawsze było obrzydliwe!

Odrzuciła podartą na strzępy chusteczkę i wybiegła z werandy. Usłyszałem odgłos jej obcasów na podłodze wewnątrz domu, ale nie był to już ten dawny, wesoły, rześki rytm. Był to jakiś rozpaczliwy, bezładny stukot, ściszony nagle dywanem.

Odczekałem chwilę na werandzie. Potem poszedłem do kuchni.

– Matka nie bardzo dobrze się czuje – powiedziałem kucharce. – Może któraś z was, ty albo Jo-Belle, pójdzie za jakiś czas na górę i dowie się, czyby nie wypić bulionu z jajkiem albo czegoś takiego.

Następnie wróciłem do jadalni i usiadłem do stołu przy świecach; podano mi kolację i zjadłem coś niecoś.

Po kolacji przyszła Jo-Belle, aby powiedzieć, że zaniósła tacę do pokoju matki, ale matka nie chciała jej wziąć. Nawet nie otworzyła drzwi na pukanie. Zawołała tylko, że nie chce nic jeść.

Siedziałem długo na werandzie, a tymczasem ucichały odgłosy w kuchni. Potem zaś zgasło w niej światło. Prostokąt zieleni wśród czerni, tam gdzie światło z okna padało na trawę, nagle też stał się czarny.

Po jakimś czasie poszedłem na górę i przystanąłem pod drzwiami pokoju matki. Raz czy dwa omal nie zapukałem, by wejść. Ale doszedłem do wniosku, że gdybym nawet to zrobił, nie byłoby nic do powiedzenia. Nigdy nie ma się nic do powiedzenia komuś, kto dowiedział się o sobie prawdy dobrej czy złej.

Poszedłem więc na dół i stanąłem w ogrodzie, między drzewami magnolii i mirtami, i rozmyślałem o tym, jak zabijając swojego ojca, ocalałem duszę matki. A potem pomyślałem, że może ocalałem też duszę ojca. Oboje dowiedzieli się tego, co musieli wiedzieć, ażeby ocaleć. I pomyślałem, że może za każdą wiedzę, która jest coś warta, trzeba zapłacić krwią. Może jedynym sprawdzianem, iż dany kawałek wiedzy ma jaką wartość, jest to, że zapłacono zań krwią.

Matka wyjechała nazajutrz. Udawała się do Reno. Odwiozłem ją na stację i w oczekiwaniu pociągu ustawiłem równym rzędem na cementnie peronu wszystkie jej eleganckie, zgrabne, dobrane torby, walizki, kuferki i pudła do kapeluszy. Dzień był gorący i słoneczny, a cement rozgrzany i chropawy pod stopą, kiedyśmy stali tam, w owej próżni, która jest chwilą poprzedzającą rozstanie na stacji kolejowej.

Staliśmy tak dość długo, wypatrując ponad torami pierwszej smugi dymu na migocącym od upału horyzoncie, za nadmorskimi równinami i kępami sosen. A potem matka odezwała się nagle:

- Jack, muszę ci coś powiedzieć.
- Słucham.
- Oddaję dom Theodore’owi.

Tak mnie to zaskoczyło, że nie mogłem nic odrzec. Pomyślałem o tych wszystkich latach, przez które wypełniała dom meblami, srebrem i szkłem, aż stał się jakimś muzeum, ona zaś darem niebios dla antykwariuszy z Nowego Orleanu, Nowego Jorku i Londynu. Byłem zdumiony, że coś ją mogło stamtąd wyrwać.

– Bo widzisz – mówiła spiesznie tonem wyjaśnienia, opacznie rozumiejąc moje milczenie – to w gruncie rzeczy nie jest wina Theodore’a, a wiesz, jak on przepada za tym domem, za mieszkaniem w alei i w ogóle. I nie myślałam, żebyś ty chciał mieć ten dom. Widzisz... uważałam... uważałam, że skoro masz dom Monty’ego, bo gdybyś kiedy zamieszkał w Landing, pewnie wolałbyś tam, bo... bo...

– Bo on był moim ojcem – dokończyłem za nią trochę ponuro.

– Tak – powiedziała po prostu. – Bo był twoim ojcem. Dlatego postanowiłam...

– Psiakrew! – wybuchnąłem. – To twój dom i możesz z nim robić, co ci się podoba. Ja go nie chcę. Jak tylko dziś po południu zabiorę stamtąd walizkę, moja noga więcej tam nie postanie i koniec. Nie chcę tego domu i wszystko mi jedno, co zrobisz z nim czy z twoimi pieniędzmi. Bo ich też nie chcę. Zawsze ci to mówiłem.

– Pieniądzy nie ma za dużo, więc z tym kłopotu nie będzie – odparła. – Przecież wiesz, jakie było te ostatnie sześć czy siedem lat.

– Chyba nie jesteś splukana? – spytałem. – Słuchaj, bo jeżeli jesteś, to ja ci...

– Nie jestem – odrzekła. – Mam tyle, że mi wystarczy. Jeżeli pojedę w jakieś ciche miejsce i będę oszczędzała. Z początku myślałam o wyjeździe do Europy, ale potem...

– Lepiej się trzymaj z dala od Europy – powiedziałem. – Tam się rozpęta piekło, i to niedługo.

– O nie, tam nie pojedę. Wybieram się do jakiejś spokojnej, taniej

miejsowości. Jeszcze nie wiem gdzie. Muszę się namyślić.

– Cóż – rzekłem – nie martw się o mnie i dom. Możesz być całkiem pewna, że moja noga więcej tam nie postanie.

Spojrzała na tory, ku wschodowi, gdzie jeszcze nie było widać dymu za sosnami i równiną. Przez kilka minut patrzyła zamyślona na ową pustkę. Potem rzekła, jak gdyby podchwytyjąc moje słowa:

– Moja noga też nie powinna była tam nigdy postać. Wysłałam za męża, przyjechałam do tego domu, a on był dobrym człowiekiem. Ale trzeba mi było zostać na swoim miejscu. Nie powinnam była tu nigdy przyjeżdżać.

Nie bardzo mogłem z nią rozmawiać w taki czy inny sposób na ten temat, więc się nie odezwałem.

Jednakże ona, stojąc w milczeniu, widać sama omawiała to z sobą, bo nagle uniosła głowę, spojrzała prosto na mnie i rzekła:

– No cóż, ale tak zrobiłam. A teraz to wiem.

Wyprostowała swe zgrabne ramiona pod zgrabnym, niebieskim, płóciennym kostiumem i po dawnemu podniosła twarz niby diabło kosztowny prezent, który ofiarowywała światu i który świat winien był docenić.

Cóż, wiedziała już teraz. Stojąc tam na rozgrzanym cemencie, zdawała się zastanawiać nad tym, co wie.

Jednakże zastanawiała się nad tym, czego nie wiedziała. Bo po chwili obróciła się do mnie i rzekła:

– Synku, powiedz mi coś. – Co?

– Coś, co muszę wiedzieć, synku.

– Cóż to takiego?

– Wtedy... jak to się stało... Kiedy poszedłeś do Monty'ego... A więc tak. Wiedziałem, że o to idzie. I w tym oślepiającym słońcu i upale rozmigotanym nad cementem poczułem lodowaty chłód i lodowate ciarki w nerwach.

– ...czy on... czy był... – Nie patrzyła na mnie.

– Chcesz spytać – powiedziałem – czy wplątał się w jakąś historię i musiał się zastrzelić? O to ci chodzi?

Kiwnęła głową, spojrzała na mnie i czekała na to, co przyjdzie.

Przypatrzyłem się uważnie jej twarzy. Światło słońca nie było dla niej zbyt łaskawe. Już nigdy nie miało być łaskawe. Ale trzymała twarz podniesioną, patrzyła prosto na mnie i czekała.

– Nie – powiedziałem. – W nic się nie wplątał. Mieliśmy mały spór na tematy polityczne. Nic poważnego. Ale mówił o swoim zdrowiu. Że źle się czuje. To było to. Pożegnał się ze mną. Teraz rozumiem, że żegnał się na dobre. To wszystko.

Odrężyła się nieco. Nie musiała już trzymać się tak ostro.

– Czy to prawda? – spytała.

– Tak – odparłem. – Przysięgam na Boga.

– Och – powiedziała cicho i wydała nieomal bezgłośnie westchnienie.

Czekaliśmy więc dalej. Nie było nic więcej do powiedzenia. Na zakończenie, w ostatniej minucie, zadała to pytanie, które pragnęła i bała się zadać przez cały czas.

Wreszcie, po chwili, ukazał się dym na horyzoncie. Potem dojrzelśmy daleko ten czarny kłęb, sunący ku nam wzdłuż skraju roziskrzzonej wody. Na koniec z wielkim chrzęstem, stukotem, sykiem i kłębami pary minęła nas lokomotywa i zatrzymała się. Bagażowy w białej kurtce zaczął zbierać elegancki komplet walizek i kufrów.

Matka obróciła się i wzięła mnie za rękę.

– Do widzenia, synku – powiedziała.

– Do widzenia – odrzekłem. Przysunęła się bliżej, a ja objąłem ją.

– Napisz do mnie, synku – poprosiła. – Pisuj do mnie. Jesteś wszystkim, co mam.

Kiwnąłem głową.

– Daj mi znać, jak ci się powodzi – rzekłem.

– Dobrze – odparła. – Dobrze.

Pocałowałem ją na pożegnanie i czyniąc to, spostrzegłem, że stojący za nią konduktor spojrział na zegarek i wpuścił go do kieszeni tym pogardliwym ruchem, jaki miewa konduktor pierwszorzędnego pociągu, kiedy gotuje się, aby dać znak do odjazdu po półtoraminutowym postoju w małym miasteczku. Wiedziałem, że w tej chwili zawoła: „Proszę wsiadać!” Ale jakoś to długo nie następowało. Było to tak, jak kiedy patrzysz na człowieka ponad szeroką dolinę i widzisz dym z jego strzelby, a potem czekasz Bóg wie jak długo na przytłumiony huk – albo gdy widzisz błyskawicę i czekasz na grzmot. Stałem, obejmując matkę za ramiona, czując jej policzek na swoim (stwierdziłem, że jej policzek jest mokry) i czekałem, aby konduktor zawołał: „Proszę wsiadać!”

Wreszcie zawołał, matka odsunęła się ode mnie, weszła na schodki wagonu, obróciła się, by mi pomachać, gdy pociąg ruszał, po czym bagażowy zatrasnęła drzwiczki.

Patrzyłem za malejącym pociągiem, który unosił matkę, dopóki nie zostało w zachodniej stronie już tylko pasmo dymu, i myślałem o tym, jak jej skłamałem. No cóż, ofiarowałem jej to kłamstwo jak prezent na drogę. Albo jak coś w rodzaju prezentu ślubnego.

A potem pomyślałem, że może skłamałem tylko dlatego, by osłonić samego siebie.

– Szlag by to trafił! – powiedziałem dziko. – Nie siebie, nie!

I to była prawda. To rzeczywiście była prawda.

Ofiarowałem matce podarunek, którym było kłamstwo. Natomiast ona ofiarowała mi w zamian podarunek, którym była prawda. Dała mi nowy obraz samej siebie, czyli w ostatecznym rachunku nowy obraz świata.

Albo raczej ten nowy jej obraz wypełniał puste miejsce będące może ośrodkiem nowego obrazu świata, danego mi przez wiele osób – przez Sadie Burke, Lucy Stark, Williego Starka, Cukierka, Adama Stantona. To zaś oznaczało, że matka zwróciła mi przeszłość. Mogłem teraz pogodzić się z przeszłością, którą dotychczas uważałem za skalaną i straszną. Mogłem się teraz pogodzić z przeszłością, bo mogłem pogodzić się z matką i żyć w spokoju z nią i z sobą samym.

Przez całe lata potępiałem ją jako kobietę bez serca, która kochała jedynie swą władzę nad mężczyznami oraz przelotne zaspokajanie próżności czy zmysłów, jakiego jej mogli dostarczyć, i która żyła w dziwnym, bezuczuciowym oscyłowaniu pomiędzy kalkulacją a instynktem. A matka, wyczuwając, że ją potępiam, ale zapewne nie uświadamiając sobie istoty tego potępienia, robiła, co mogła, ażeby mnie przytrzymać i potępienie to zdusić. Wobec mnie mogła użyć tej samej siły, którą stosowała wobec innych mężczyzn. Opierałem się temu, gniewało mnie to, ale chciałem, by mnie kochała, i jednocześnie czułem, że mnie przyciąga jej siła, bo była kobietą żywotną i piękną, która mnie zarazem przyciągała i odpychała, którą potępiałem i z której byłem dumny. Lecz potem przyszyła przemiana.

Pierwszą jej zapowiedzią był ów dziki, srebrzysty krzyk, który rozbrzmiał w domu na wiadomość o śmierci sędziego Irwina. Ten krzyk dźwięczał mi w uszach przez wiele miesięcy, ale zanikł, zagubiony w przeszłości i jej zgniliźnie, nim matka wezwała mnie do Burden's Landing, aby oznajmić, że wyjeżdża. Wtedy zrozumiałem, że mówi prawdę. I poczułem się pogodzony z nią i z sobą samym.

Nie wyjaśniłem sobie przyczyny, kiedy mi to powiedziała ani nazajutrz, gdyśmy oboje stali na cementowym peronie, czekając na pociąg, ani kiedy zostałem sam, patrząc na ostatnią smugę dymu zanikającą na zachodzie. I nie wyjaśniłem sobie przyczyny, kiedy owego wieczora



siedziałem samotnie w domu, który był niegdyś domem sędziego Irwina, a teraz moim. Po południu zamknąłem dom matki, klucz włożyłem pod wycieraczkę na werandzie i odszedłem stamtąd na zawsze.

Dom sędziego Irwina pachniał kurzem, niezamieszkaniami i zatęchłym powietrzem. Po południu pootwierałem wszystkie okna i zostawiwszy je tak, pojechałem do Landing na kolację. Kiedy wróciłem i zapaliłem światła, wydał mi się bardziej podobny do domu, który pamiętałem ze wszystkich tamtych lat. Ale siedząc w gabinecie, do którego wpływało przez okno wilgotne, słodko-duszne, nocne powietrze, nie powiedziałem sobie, dlaczego teraz czuję się tak całkowicie pogodzony z sobą. Myślałem o matce, odczuwałem ten spokój i ulgę, i nowy sens świata.

Po jakiejś chwili wstałem i wyszedłszy z domu, ruszyłem przed siebie aleją. Noc była bardzo cicha, pogodna, od plaży ledwo dolatywał plusk wody na kamkach, a zatoka polśniewała pod gwiazdami. Szedłem aleją, dopóki nie dotarłem do domu Stantonów. W małym saloniku paliło się światło, przyćmione światełko jak gdyby lampki do czytania. Patrzyłem na dom przez kilka minut, po czym przeszedłem przez bramę i ruszyłem ku niemu ścieżką.

Siatkowe drzwi werandy były zamknięte na zasuwkę. Natomiast główne drzwi wejściowe prowadzące z werandy do hallu były otwarte i mogłem przez nie dojrzeć miejsce w głębi, gdzie padał na podłogę prostokąt światła z otwartego saloniku. Zastukałem w ramę siatkowych drzwi i czekałem.

Po chwili w plamie światła w głębi hallu ukazała się Anna Stanton.

– Kto tam?! – zawołała.

– To ja! – odkrzyknąłem.

Szła ku mnie przez hali i werandę. Po chwili stanęła w półmroku za siatką – smukła, ubrana na biało postać. Już miałem powiedzieć „dobry wieczór”, ale się powstrzymałem. Ona też nic nie mówiła, odsuwając

zasuwkę. A potem drzwi się otwały i wszedłem do środka.

Wszedłszy, poczułem ślad zapachu jej perfum i jakaś zimna dłoń ścisnęła mi serce.

– Nie wiedziałem, czy mnie wpuścisz – rzekłem, starając się mówić żartobliwym tonem i wypatrując twarzy Anny w półmroku. Dostrzegłem jedynie jej bladość i połysk oczu.

– Oczywiście, że tak – powiedziała.

– Cóż, nie wiedziałem – odparłem i zdobyłem się na coś w rodzaju śmiechu.

– Czemu?

– A, po tym, jak się zachowałem.

Podeszliśmy do bujanej kanapki na werandzie i usiedliśmy. Łańcuchy zgrzytnęły, ale siedzieliśmy tak nieruchomo, że kanapka nie zakołysała się nawet o włos.

– A coś ty zrobił? – spytała Anna.

Poszukałem papierosa, znalazłem go i zapaliłem. Strzepnąłem zapalną, nie patrząc na twarz Anny.

– Co zrobiłem? – powtórzyłem. – Chodzi raczej o to, czego nie zrobiłem. Nie odpowiedziałem ci na list.

– Nic nie szkodzi – rzekła. A potem dodała w zamyśleniu, jakby do siebie: – To było już dawno.

– Tak, dawno: sześć, siedem miesięcy. Ale zrobiłem coś jeszcze gorszego niż nieodpisanie na list – rzekłem. – W ogóle go nie przeczytałem. Położyłem go u siebie na biurku i nawet nie otworzyłem.

Nic na to nie powiedziała. Zaciągnąłem się kilka razy dymem z papierosa i czekałem, ale nie padło ani słowo.

– Przyszedł w złym momencie – odezwałem w końcu. – Przyszedł w chwili, gdy wszystko i wszyscy, nawet Anna Stanton, byli mi obojętni i nie obchodziło mnie nic. Rozumiesz, o co mi idzie?

– Tak – powiedziała.

– Akurat! – rzekłem.

– Może i rozumiem – odparła spokojnie.

– Ale nie tak jak ja. To niemożliwe.

– Może.

– No, w każdym razie tak to było. Wszystko i wszyscy byli mi obojętni. Nawet nikomu nie współczułem. Nie współczułem nawet samemu sobie.

– Nigdy cię nie prosiłem, żebyś mi współczuł – powiedziała gniewnie.

– Ani w tym liście, ani kiedy indziej.

– Nie – odparłem powoli. – Chyba nie.

– Nigdy cię o to nie prosiłem.

– Wiem – odrzekłem i zamilkłem. Po chwili dodałem: – Przyszedłem tu, aby ci powiedzieć, że teraz już tak nie myślę. Musiałem to komuś powiedzieć... musiałem powiedzieć to na głos... aby się upewnić, że to prawda. Ale to prawda.

Czekałem w ciszy, która pozostała nieprzerwana, dopóki nie zacząłem znowu:

– Idzie o moją matkę – powiedziałem. – Wiesz, jak to zawsze było między nami. Jak się ze sobą nie zgadzaliśmy. Jak myślałem, że ona...

– Przestań! – wybuchła Anna. – Przestań! Nie chcę tego słuchać! Dlaczego jesteś taki zażarty?! Po co to mówisz?! Twoja matka, Jack, i ten twój biedny, stary ojciec!

– On nie jest moim ojcem – powiedziałem.

– Nie jest twoim ojcem?!

– Nie – odrzekłem i siedząc tam na nieruchomej bujanej kanapce na werandzie, opowiedziałem jej wszystko, co było do opowiedzenia na temat jasnowłosej dziewczyny o zgłodniałych policzkach, która przyjechała z Arkansas, i spróbowałem wyjaśnić, co matka mi w końcu zwróciła. Usiłowałem wytłumaczyć Annie, że jeśli nie można pogodzić

się z przeszłością i jej brzemieniem, nie ma się przyszłości, bo nie może być jednej bez drugiej, a pogodziwszy się z przeszłością, można mieć nadzieję na przyszłość, ją bowiem da się stworzyć jedynie z przeszłości.

Usiłowałem powiedzieć Annie to wszystko. Wreszcie, po długim milczeniu, rzekła:

– Wierzę w to, bo gdybym nie wierzyła, nie mogłabym żyć.

Nie rozmawialiśmy więcej. Wypaliłem jeszcze z pół paczki papierosów, siedząc po ciemku na kanapce, w dusznym, wilgotnym, niemal mdląco-słodkim powietrzu letnim, starając się dosłyszeć w ciszy oddech Anny. Wreszcie, po dłuższym czasie, powiedziałem jej „dobranoc” i wróciłem aleją do domu mego ojca.

Takie są dzieje Williego Starka, ale są one również moimi dziejami. Bo ja mam swoje dzieje. Są to dzieje człowieka, który żył na świecie i który przez długi czas widział świat w pewien sposób, potem zaś ujrzał go w inny i bardzo odmienny. Ta zmiana nie przyszła nagle. Wiele się działo i człowiek ów nie wiedział, kiedy jest za to odpowiedzialny, a kiedy nie. Była wręcz taka chwila, gdy doszedł do wniosku, że nikt nie ponosi odpowiedzialności i że nie ma innego boga oprócz Wielkiego Skurczu.

Zrazu ta myśl, narzucona mu jakby przez przypadkowe okoliczności, była dla niego straszliwa, bo niejako odzierała go ze wspomnień, którymi nieświadomie żył; jednakże nieco później przyniosła mu pewną satysfakcję, ponieważ oznaczała, że nie można go o nic winić, nawet o to, że zmarnował swoje szczęście, że zabił własnego ojca czy że popchnął dwóch swoich przyjaciół przeciwko sobie i w śmierć.

Jednakże później, znacznie później, przebudził się któregoś rana i odkrył, że już nie wierzy w Wielki Skurcz. Nie wierzył weń, bo oglądał życie i śmierć zbyt wielu ludzi. Oglądał życie Lucy Stark i Cukierka, i

Uczzonego Adwokata, i Sadie Burke, i Anny Stanton, i ich sposób życia nie miał nic wspólnego z Wielkim Skurczem. Widział śmierć swego ojca. Widział śmierć swego przyjaciela Adama Stantona. Widział śmierć swego przyjaciela Williego Starka i słyszał, jak ten powiedział w ostatnim technieniu: „Wszystko mogło być inaczej, Jack. Musisz w to wierzyć”.

Oglądał życie i śmierć dwóch swoich przyjaciół, Williego Starka i Adama Stantona. Obaj zabili siebie wzajemnie. Jeden był zgubą drugiego. Jako badacz historii, Jack Burden rozumiał, że Adam Stanton, którego sobie nazwał człowiekiem idei, i Willie Stark, którego nazwał człowiekiem czynu, byli skazani na to, by się wzajemnie zniszczyć, podobnie jak przeznaczeniem obydwóch była próba posłużenia się tym drugim, pragnienie, by nim się stać, bo obaj byli niepełni w straszliwym podziale swojego czasu. Jednakże kiedy Jack Burden pojął, iż jego przyjaciele są skazani na zagładę, dostrzegł zarazem, że choć tak jest, nie ma to nic wspólnego z jakąś zagładą zrządzoną przez bożyszcze Wielkiego Skurczu. Byli skazani, lecz żyli w męce woli. Jak powiedział Hugh Miller (niegdyś prokurator generalny za rządów Williego Starka, a znacznie później przyjaciel Jacka Burdena), kiedy obaj omawiali teorię moralnej neutralności historii: „Historia jest ślepa, ale człowiek nie”. (Wygłąda na to, że Hugh wróci do polityki, a kiedy tak się stanie, będę pod ręką, aby go trzymać za połą. Mam pewne cenne doświadczenie w tej dziedzinie.).

Tak więc obecnie ja, Jack Burden, mieszkam w domu mojego ojca. W pewnym sensie jest dziwne, że się tu znalazłem, bo nigdyś wykrycie prawdy obrało mnie z przeszłości i zabiło mojego ojca. Ale w końcu prawda zwróciła mi przeszłość. Mieszkam więc w domu pozostawionym mi przez ojca. Jest ze mną moja żona, Anna Stanton, i ten stary człowiek, który był nigdyś mężem mojej matki. Kiedy kilka miesięcy temu znalazłem go chorego w pokoju nad meksykańską restauracją, cóż

mogłem uczynić, jeżeli nie przywieźć go tutaj? (Czy sądzi, że jestem jego synem? Nie mam pewności. I nie uważam, żeby to miało znaczenie, bo każdy z nas jest synem miliona ojców.).

Jest już bardzo słaby. Od czasu do czasu znajduje siły, by zagrać w szachy, tak jak dawno temu grywał ze swoim przyjacielem Montague Irwinem w podłużnym pokoju w białym domu nad morzem. Niegdyś grał bardzo dobrze, ale teraz nie może skupić uwagi. W pogodne dni przesiaduje na słońcu. Może trochę czytywać Biblię. Nie ma już dość sił, żeby pisać, ale czasem dyktuje coś mnie albo Annie do przygotowywanej przez siebie rozprawki.

Wczoraj podyktował mi, co następuje:

– „Stworzenie człowieka, o którym Bóg w swojej mądrości wiedział, że jest skazany na grzech, było strasliwym wskaźnikiem bożej wszechmocy. Dla Doskonałości bowiem byłoby czymś niepomierne, zawstydzająco łatwym stworzyć jedynie doskonałość. Prawdę mówiąc, byłoby to nie tworzeniem, ale przedłużeniem. Odrębność jest osobowością, toteż dla Boga jedynym sposobem stworzenia, rzetelnego stworzenia człowieka było wyodrębnić go od samego Boga, a być odłączonym od Boga znaczy być grzesznym. Stworzenie zła jest przeto wskaźnikiem mocy i chwały Boga. Musiało tak być, ażeby stworzenie dobra mogło się stać wskaźnikiem siły i chwały człowieka. Ale tylko dzięki pomocy Boga. Dzięki jego pomocy i w Jego mądrości”.

Wymówiwszy ostatnie słowo, obrócił się, popatrzył na mnie i zapytał:

– Zapisałeś to?

– Tak – odparłem.

Wpatrując się we mnie, powiedział z nagłą gwałtownością:

– To jest prawda. Wiem, że to prawda. A ty wiesz? Kiwnąłem głową i odrzekłem, że tak. (Zrobiłem to, żeby mu nie zakłócać spokoju, ale później nie byłem pewien, czy wierzę w to, co powiedział.).

Kiedy zamilkłem, wpatrywał się jeszcze we mnie, po czym rzekł spokojnie:

– Odkąd mi przyszła ta myśl, znalazłem ukojenie duszy. Chodziła mi po głowie przez trzy dni. Zatrzymywałem ją w sobie, aby ją poddać próbie duszy, nim ją wypowiem.

Nigdy nie dokończy rozprawki. Ubywa mu sił z dnia na dzień, w widoczny sposób. Doktor powiada, że nie przetrzyma zimy.

Kiedy umrze, będę gotów opuścić ten dom. Po pierwsze, hipotekę ma mocno obciążoną. Interesy sędziego Irwina były w chwili jego śmierci bardzo powikłane i w końcu okazało się, że nie był bogaty, lecz ubogi. Już raz, prawie dwadzieścia pięć lat temu, dom jego miał obciążoną hipotekę. Ale wtedy został uratowany dzięki przestępstwu. Uczciwy człowiek popełnił przestępstwo, aby go uratować. Nie powinienem być zbyt zadowolony z siebie dlatego, że nie chcę popełnić przestępstwa, ażeby uratować dom. Być może moja niechęć do popełnienia przestępstwa dla ratowania domu (przyjąwszy, że miałbym po temu sposobność, w co wątpię) wynika po prostu stąd, że nie lubię tego domu tak bardzo, jak lubił go sędzia Irwin, i cnota człowieka jest może jedynie niedostatkiem jego pragnienia, podobnie jak przestępstwo może być jedynie funkcją cnoty.

Nie powinienem też czuć się zadowolony z siebie dlatego, że starałem się w pewnej mierze naprawić przestępstwo popełnione przez mego ojca. Uznałem, że te niewielkie pieniądze, które uzyskałem z jego majątku, powinny przyspaść pannie Littlepaugh, tkwiącej w brudnym, cuchnącym lisem pokoju w Memphis. Pojechałem więc do Memphis. Jednakże dowiedziałem się tam, że panna Littlepaugh już nie żyje. Została mi przeto odmówiona ta niekosztowna, cnotliwa satysfakcja. Powinienem osiągnąć satysfakcję, do której dążę w jakiś bardziej kosztowny sposób.

Jednakże mam jeszcze pieniądze, więc je wydaję na utrzymanie, pisząc książkę, którą zacząłem przed laty – życie Cassa Masterna, którego

niegdyś nie mogłem zrozumieć, lecz teraz może nareszcie zrozumieć. Przypuszczam, iż jest coś zabawnego w tym, że pisząc o Cassie Masternie, mieszkam w domu sędziego Irwina i jem chleb kupowany za jego pieniądze. Albowiem sędzia Irwin i Cass Mastern nie są do siebie zbytnio podobni. (Jeżeli sędzia Irwin jest podobny do któregoś z Masternów, to już raczej do Gilberta, granitowogłowego brata Cassa.). Jednakże nie uważam, żeby ta sytuacja miała w sobie coś bardzo zabawnego. Zanadto przypomina świat, w którym żyjemy od urodzenia do śmierci, i jej zabawność wietrzeje na skutek częstego powtarzania. Poza tym sędzia Irwin był moim ojcem, był dla mnie dobry, był w pewnym sensie prawdziwym mężczyzną i ja go kochałem.

Kiedy stary człowiek umrze, a ja skończę pisać książkę, oddam dom Pierwszemu i Trzeciemu Bankowi Narodowemu i nie dbam o to, kto w nim zamieszka, bo od tego dnia będzie on dla mnie tylko zręcznie ułożonym stosem cegieł i drewna. Anna i ja nie będziemy tu już nigdy mieszkali – ani w tym domu, ani w Landing. (Ona nie bardziej ma na to ochotę niż ja. Swój dom oddała przytułkowi dla dzieci, którym się niegdyś interesowała, i przypuszczam, że urzędzą tam coś w rodzaju sanatorium. Nie jest zbytnio zadowolona z siebie z tego powodu. Po śmierci Adama dom nie był dla niej przyjemnością, ale udręką, i oddanie go stało się w końcu jej podarunkiem dla ducha Adama, podarunkiem skromnym, pokornie ofiarowanym, jak garść pszenicy czy malowany dzbanek w grobowcu, mające pokrzepić ducha w jego wędrówce, ażeby więcej nie niepokoił żywych.).

Tak więc latem bieżącego roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego opuścimy Burden's Landing.

Wrócimy tu zapewne, aby pospacerować aleją, przypatrzeć się młodym na kortach obok kęp drzew mimozowych, pójść plażą nad zatoką, gdzie w słońcu unoszą się łagodnie na wodzie tratwy do nurkowania –



i dalej, do sosnowego lasku, gdzie igliwie grubo pokrywające ziemię przytłumi odgłos kroków, tak że będziemy sunąć między drzewami cicho jak dym. Ale to będzie jeszcze nieprędko, a teraz wkrótce opuścimy ten dom i wstąpimy w burzliwy świat, przejdziemy z historii w historię i w straszliwą odpowiedzialność Czasu.







































































































































































































































































































































































































































